

GEORGIA HUNTER

MY
MIELIŚMY
SZCZĘŚCIE





1873
Kr.

*Przebieg choroby...
Wrocław, dnia...*

GEORGIA HUNTER

MY MIELIŚMY SZCZĘŚCIE

Przełożyła Barbara Szelewa

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)
[ROZDZIAŁ 45](#)
[ROZDZIAŁ 46](#)
[ROZDZIAŁ 47](#)
[ROZDZIAŁ 48](#)
[ROZDZIAŁ 49](#)
[ROZDZIAŁ 50](#)
[ROZDZIAŁ 51](#)
[ROZDZIAŁ 52](#)
[ROZDZIAŁ 53](#)
[CZĘŚĆ III](#)
[ROZDZIAŁ 54](#)
[ROZDZIAŁ 55](#)
[ROZDZIAŁ 56](#)
[ROZDZIAŁ 57](#)
[ROZDZIAŁ 58](#)
[ROZDZIAŁ 59](#)
[ROZDZIAŁ 60](#)
[ROZDZIAŁ 61](#)
[ROZDZIAŁ 62](#)
[ROZDZIAŁ 63](#)
[OD AUTORKI](#)
[DALSZE LOSY](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)

Tytuł oryginału
WE WERE THE LUCKY ONES

Redakcja
Elżbieta Walter

Projekt okładki
Katarzyna Bućko

Zdjęcia na okładce
© Rasstock / Shutterstock
© Zastolskiy Victor / Shutterstock
© Elżbieta Sekowska / Shutterstock

Korekta
Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący
Anna Brzezińska
Copyright © 2017 by Georgia Hunter
All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017
Copyright © for the Polish translation by Barbara Szelewa, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-601-2

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

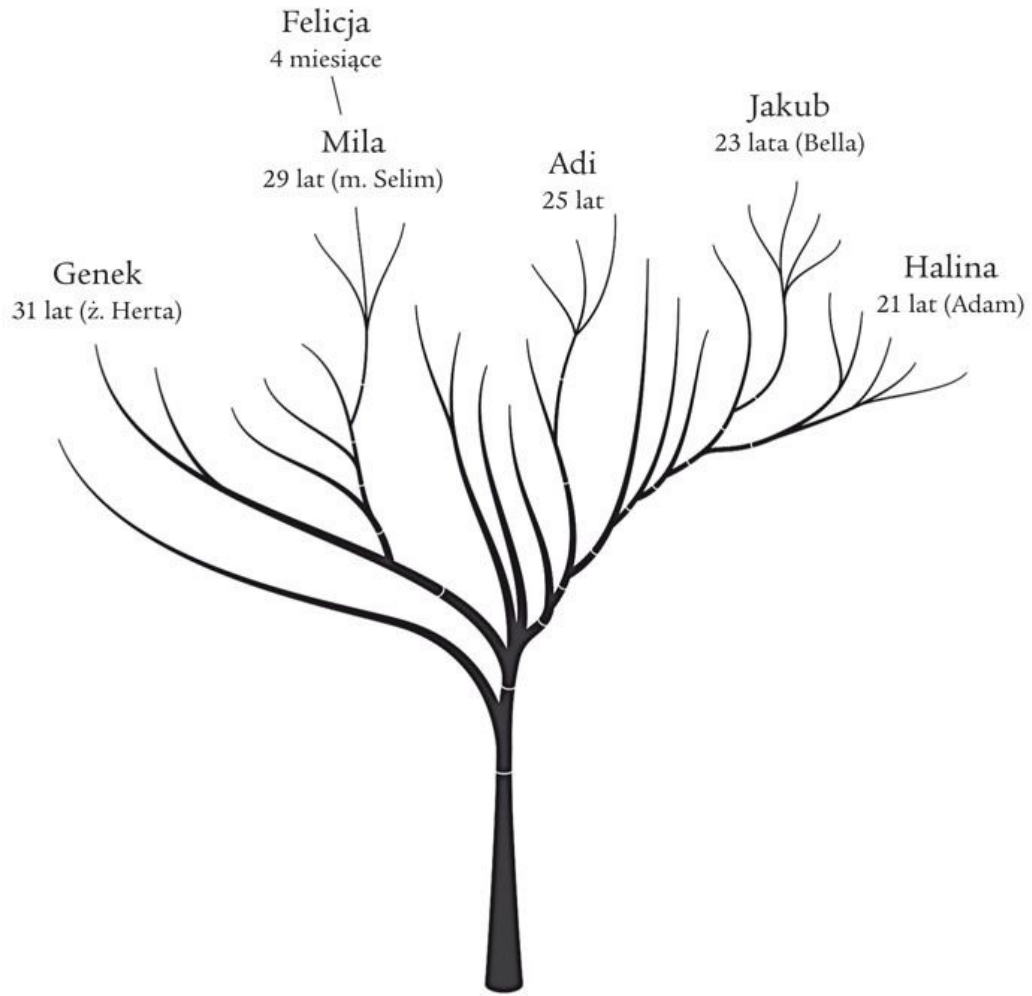
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Z całego serca dedykuję tę książkę mojemu mężowi, Robertowi Farinholtowi.
I mojemu dziadkowi – z miłością i podziwem.

Rodzina Kurców

marzec 1939



Sol (52 lata) + Nechama (50 lat)

Opowieść oparta na faktach

Holocaust pozbawił życia dziewięćdziesiąt procent z trzech milionów mieszkających w Polsce Żydów. Z ponad trzydziestu tysięcy mieszkających w Radomiu przeżyło mniej niż trzystu.

CZEŚĆ I



ROZDZIAŁ 1

Adi

Paryż, Francja ~ początek marca 1939

NIE PLANOWAŁ NIE SPAĆ CAŁĄ NOC. Zamierzał wyjść z Grand Duc koło północy, żeby zdrzemnąć się parę godzin na Gare du Nord przed pociągiem powrotnym do Tuluzi. Teraz, spogląda na zegarek, jest prawie szósta rano.

Tak działa na niego Montmartre. Kluby jazzowe, kabarety, rzesze młodych, pewnych siebie paryżan, niepozwalających, by cokolwiek, nawet groźba wojny, zepsuło im nastrój. Ta atmosfera jest odurzająca. Adi dopija koniak i wstaje, walcząc z pokusą, by zostać i posłuchać jeszcze jednego seta. Na pewno jest jakiś późniejszy pociąg. Myśli jednak o liście, który wsunął do kieszeni płaszcz, i nabiera powietrza do płuc. Powinien już iść. Zbiera płaszcz, szalik i czapkę, mówi *adieu* kolegom i wychodzi, lawirując między kilkunastoma stolikami, z których połowa wciąż jest zajęta przez klientów palących gitany i kołyszących się w rytm *Time on My Hands* Billie Holiday.

Gdy drzwi wejściowe kołyszą się już za nim, Adi bierze głęboki oddech, smakując świeże powietrze, rześkie i chłodne.

Szron na Rue Pigalle zaczął już topnieć, pod późnozimowym niebem brukowana ulica błyszczy kalejdoskopem odcieni szarości. Adi uświadamia sobie, że aby zdążyć na pociąg, musi się spieszyć. Obraca się, rzuca okiem na swoje odbicie w witrynie klubu. Czuje ulgę, bo patrzący na niego młody mężczyzna mimo nieprzespanej nocy wygląda całkiem przyzwoicie. Trzyma się prosto, spodnie przepasane wysoko w talii mają wciąż ostre kanty i mankiety, a ciemne włosy są zaczesane do tyłu, tak jak lubi, gładko, bez przedziałka. Owija szal wokół szyi i wyrusza w stronę dworca.

W innych częściach miasta, przypuszcza Adi, ulice są ciche i opustoszałe. Większość witryn sklepowych chronionych żelaznymi kratami nie otworzy się wcześniej niż w południe. Niektóre w ogóle nie zostaną otwarte – FERME INDEFINIMENT – napisano na witrynie, ich właściciele uciekli na wieś. Ale tu, na Montmartre, sobota gładko przeszła w niedzielę, a ulice pełne są artystów, tancerzy, muzyków i studentów. Wylewają się z klubów i kabaretów, śmiejąc się i zachowując tak, jakby nie mieli żadnych zmartwień. Idąc, chowa brodę w kołnierz płaszcz, w ostatniej chwili podnosi wzrok, unikając zderzenia z idącą w jego stronę młodą kobietą w sukni ze srebrnej lamy.

– *Excusez – moi, Monsieur* – rumieniąc się, mówi z uśmiechem nieznajoma spod żółtego kapelusika ozdobionego piórami. Adi domyśla się, że jest piosenkarką. Tydzień temu może by ją zagadnął.

– *Bonjour Mademoiselle.* – Kiwa głową i idzie dalej.

Gdy mija róg Rue Victor Masse, na którym ustawiła się już kolejka przed całonocną restauracją MitchelTs, czuje zapach smażonego kurczaka i zaczyna mu burczeć w brzuchu. Przez okna restauracji Adi dostrzega klientów rozmawiających przy kubkach parującej kawy i talerzach wypełnionych po brzegi śniadaniem w stylu amerykańskim. Innym razem – mówi sobie i idzie dalej na wschód, w stronę dworca.

Ledwie pociąg ruszył, Adi wyciąga z kieszeni płaszcz list. Odkąd go dostał, wczoraj, przeczytał już dwa razy i nie może przestać o nim myśleć. Przejeżdża palcami po adresie nadawcy. Warszawska 14, Radom, Polska.

Doskonale wyobraża sobie mamę, jak siedzi przy swoim biurku z satynowego drewna, z piórem w rękę, promień słońca oświetla łagodny zarys jej pulchnej szczęki. Tęskni za nią bardziej, niż się spodziewał, gdy sześć lat temu wyjechał z Polski do Francji. Miał wtedy dziewiętnaście lat i długo rozważał, czy nie zostać w Radomiu, gdzie byłby blisko rodziny i gdzie miał nadzieję na karierę muzyczną. Komponował, od kiedy był nastolatkiem, i nie potrafił sobie wyobrazić większego poczucia spełnienia niż spędzanie całych dni przy klawiaturze i pisaniu piosenek. To matka nakłoniła go, by złożył papiery w prestiżowym Institut Polytechnique w Grenoble, i to ona namawiała, by tam pojechał, gdy już został przyjęty.

– Adi, jesteś urodzonym inżynierem – powiedziała, przypominając, jak to w wieku siedmiu lat rozebrał na części zepsute rodzinne radio, rozłożył na stole w jadalni, a potem złożył z powrotem, tak że wyglądało jak nowe. – Nie tak łatwo utrzymać się z muzyki. Wiem, że to twoja pasja. Masz talent i powinieneś go rozwijać. Ale Adi, najpierw wykształcenie.

Wiedział, że miała rację. Wobec tego wyjechał na studia, obiecując, że po ich ukończeniu wróci do domu. Gdy tylko jednak zostawił za sobą prowincjonalne granice Radomia, otworzyło się przed nim całkiem nowe życie. Cztery lata później, już z dyplomem w rękę, dostał ofertę dobrze płatnej pracy w Tuluzie. Miał przyjaciół z całego świata – z Paryża, Budapesztu, Londynu, Nowego Orleanu. Rozwinął w sobie nowe upodobanie do sztuki i kultury, do *pate defoie gras* i maślanej doskonałości świeżo upieczonego croissanta. Miał własne (choć małe) mieszkanie w centrum Tuluzy i luksus podróży do Polski, kiedy tylko zapragnie. Wykorzystywał go przynajmniej dwa razy w roku, na Rosz Haszana i Pesach. I miał swoje weekendy na Montmartre, dzielnicę tak przesiąkniętą muzyką, że nie było niczym niecodziennym, by miejscowi napili się z Cole'em Porterem w Hot Club, wysłuchali występu niespodzianki Djanga Reinhardta w Bricktop's albo, gdy się było Adim, obserwowali w zachwycie, jak Josephine Baker przemierza fokstrotem scenę w Zelli, ze swoim oswojonym gepardem na smyczy przychepionej do diamentowej obroży. Nigdy wcześniej Adi nie miał tak wielu źródeł inspiracji do przelewania nut na papier, do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać, jak by to było przenieść się do Stanów Zjednoczonych, ojczyzny wielkich muzyków, miejsca, gdzie narodził się jazz. Może w Ameryce, marzył, mógłby spróbować szczęścia i do współczesnego kanonu dodać własne kompozycje. Kusząca myśl, ale realizacja tego pomysłu oznaczałaby jeszcze większe oddalenie od rodziny.

Gdy Adi wyjmuje z koperty list od mamy, po plecach przechodzi go lekki dreszcz.

Mój najdroższy Adi, Dziękuję za list. Bardzo nam się z ojcem spodobało, jak opisałeś operę w Palais Garnier. U nas wszystko dobrze, chociaż Genek wciąż jest wściekły z powodu degradacji i nie dziwię się mu. Halina się nie zmienia, jest tak porywcza, że często wydaje mi się, że zaraz wybuchnie. Czekamy, aż Jakub ogłosi zaręczyny z Bellą, ale znasz swojego brata, nie można go popędzać! Ostatnio cieszę mnie popołudnia spędzane z malutką Felicją. Nie mogę się doczekać, aż ją poznasz, Adi. Zaczęły jej rosnąć włosy – są rude jak cynamon! Lada dzień powinna przespać wreszcie całą noc. Biedna Mila jest wykończona. Wciąż jej przypominam, że z czasem będzie łatwiej.

Adi przekłada list na drugą stronę i przekręca się na ławce. Tutaj nastrój matki zmienia się na gorszy.

Muszę Ci powiedzieć, kochanie, że w ciągu ostatniego miesiąca pewne rzeczy się tu zmieniły. Rotszajn

zamknął sklep z artykułami żelaznymi – trudno uwierzyć, po niemal pięćdziesięciu latach prowadzenia interesu. Również Kosman przeniósł swój biznes z zegarami i rodzinę do Palestyny, po tym, jak po raz kolejny zdemolowali mu sklep. Nie przekazuję Ci tych wiadomości, Adi, żeby Cię zmartwić, po prostu czułam, że ukrywanie ich przed Tobą będzie nieuczciwe. Co prowadzi mnie do głównego celu tego listu: razem z ojcem uważamy, że powinniśmy pozostać na Pesach we Francji i poczekać z wizytą u nas do lata. Okropnie będzie nam Ciebie brakowało, ale wydaje się, że podróżowanie teraz jest niebezpieczne, zwłaszcza przez Niemcy. Proszę, Adi, pomyśl o tym. Dom to dom – my tu zostaniemy. Tymczasem pisz, co u Ciebie, gdy tylko będziesz mógł. Jak tam twoja nowa kompozycja?

Kocham cię, MamaAdi wzdycha, jeszcze raz próbując to wszystko zrozumieć. Słyszał o zamykanych sklepach, o żydowskich rodzinach wyjeżdżających do Palestyny. Wiadomości od mamy nie są zaskakujące. Niepokoi go jednak ton listu. Już w przeszłości wspominała, że sporo zaczęło się zmieniać – była wściekła, gdy Genkowi odebrano dyplom prawnika – ale listy matki są zazwyczaj pogodne i optymistyczne. Jeszcze w ubiegłym miesiącu pytała, czy nie pojechałby z nią na Moniuszkę do Teatru Wielkiego w Warszawie, i opowiedziała o rocznicowej kolacji, jaką zjedli z ojcem u Wierzbickiego, jak sam Wierzbicki przywitał ich przy drzwiach i zaproponował, że przygotowuje coś specjalnego, spoza karty.

Ten list jest inny. Do Adiego dociera, że matka się boi.

Kręci głową. Ani razu przez dwadzieścia pięć lat swojego życia nie widział, by Nechama czegokolwiek się bała. Ani razu ani on, ani żadne z jego braci i siostr nie opuściło wspólnie obchodzonego święta Pesach w Radomiu. Dla jego mamy nie ma nic ważniejszego niż rodzina, a teraz ona prosi go, by na święto został w Tuluzie. W pierwszej chwili Adi wmówił sobie, że jej obawy są przesadzone. Ale czy na pewno?

Wygląda przez okno na znany pejzaż francuskiej wsi. Przez chmury przeziiera słońce. Na polach pojawiają się pierwsze kolory wiosny. Świat wydaje się spokojny, tak samo jak zawsze. A jednak przestrogi z listu mamy naruszyły jego spokój, wytrąciły go z równowagi.

Oszołomiony, Adi zamyka oczy i przypomina sobie ostatnią wizytę w domu, we wrześniu, szukając jakichś znaków, czegoś, co mógł przegapić. Przypomina sobie, że ojciec, jak co tydzień, grał w karty z grupką handlarzy – Żydów i Polaków – w aptece Podworskiego, pod freskiem z białym orłem zdobitym sufit. Ojciec Król, ksiądz w kościele Świętego Bernardyna, który podziwiał wirtuozerię Mili przy fortepianie, zaszedł do nich, by jej posłuchać. Kucharka przygotowała na Rosz Haszanę chałkę z miodem, a Adi długo się nie kładł: słuchał Benny'ego Goodmana, pił cote de nuits i żartował z braćmi do późnych godzin nocnych. Nawet Jakub, wycofany jak zwykle, odłożył aparat fotograficzny i przyłączył się do towarzystwa. Wszystko wydawało się względnie normalne.

I wtedy zasycha Adiemu w gardle: a jeśli były sygnały, tylko je zlekceważył? Albo, co gorsza, nie dostrzegł ich, po prostu dlatego, że nie chciał?

W jego głowie pojawia się nagle obraz świeżo wymalowanej swastyki, jaką widział na murze Jardin Goudouli w Tuluzie.

Myśl wędruje do dnia, w którym podsłuchiwał, jak jego szef w firmie inżynierskiej szepcze o tym, czy Adi stanowi dla nich obciążenie. Myśleli, że ich nie słyszy. Wędruje ku pozamykanym w całym Paryżu sklepom. Ku zdjęciom we francuskich gazetach, opublikowanym po listopadowej nocy kryształowej: zniszczone fronty sklepów, spalone synagogi, tysiące Żydów uciekających z Niemiec, zabierających ze sobą na taczkach lampki nocne, ziemniaki i starszych członków rodziny.

Sygnaly na pewno były. Ale Adi pomniejszał ich znaczenie, ignorował je. Wmówił sobie, że mały napis na ścianie jeszcze nikomu nie zrobił krzywdy. Że jeśli miałby stracić pracę, to znajdzie nową. Że to, co się dzieje w Niemczech, choć jest niepokojące, to jednak dzieje się za granicą i ktoś to w końcu powstrzyma. Teraz jednak, trzymając w ręku list od matki, Adi dostrzega z zatrzęsającą klarownością znaki, które wcześniej postanowił zignorować.

Otwiera oczy, gdy nagle jedna myśl wywołuje w nim mdłości: Powinieneś był wrócić do domu już wiele miesięcy temu.

Składa list do koperty i wsuwa z powrotem do kieszeni płaszcz. Postanawia, że napisze do mamy, jak tylko znajdzie się w swoim mieszkaniu w Tuluzie. Powie jej, żeby się nie martwiła, że przyjedzie do Radomia zgodnie z planem, że teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pragnie być z rodziną. Powie jej, że nowa kompozycja idzie dobrze i że cieszy się na moment, kiedy jej ją zagra. Ta myśl odrobinę go pociesza, wyobraża sobie, jak siedzi przy klawiszach Steinwaya w domu rodziców, a wokół niego gromadzi się cała rodzina.

Adi ponownie kieruje wzrok na spokojny widok wsi za oknem. Jutro, postanawia, kupi bilet na pociąg, przygotuje dokumenty podrózne, spakuje bagaż. Nie będzie czekał na Pesach. Szef będzie zły, że wyjeżdża wcześniej, ale Adi ma to w nosie. Liczy się tylko to, że już za kilka dni będzie w drodze do domu.

15 MARCA 1939: Rok po aneksji Austrii Niemcy napadają na Czechosłowację. Hitler, spotykając się z niewielkim oporem, następnego dnia ustanawia w Pradze Protektorat Czech i Moraw. Rzesza zyskuje tym samym nie tylko okupowane terytorium, ale też wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą i ogromne zasoby uzbrojenia w postaci broni wytwarzanej w tych regionach – wystarczające, by w tamtym czasie wyposażyc połowę Wehrmachtu.

ROZDZIAŁ 2

Genek

Radom, Polska ~ 18 marca 1939

GENEK ZADZIERA GŁOWĘ i bokiem, ku szarym kafłom barowego sufitu, wypuszcza wężykiem z ust smugę dymu.

– Ostatnie rozdanie – stwierdza.

Siedzący po drugiej stronie stołu Rafał chwyta jego spojrzenie.

– Tak wcześniej? – zaciąga się papierosem. – Żona obiecała ci coś ekstra, jak wrócisz do domu o przyzwoitej godzinie?

– Puszczaj oko, wydmuchując dym.

Herta była z nimi na kolacji, ale wyszła wcześniej.

Genek się śmieje. Przyjaźni się z Rafałem od podstawówki, kiedy to sporo czasu spędzali razem, skuleni nad tacami z obiadem, rozmawiając o tym, którą z koleżanek zaprosić na zabawę na koniec roku szkolnego albo którą aktorkę woleliby zobaczyć nago, Evelyn Brent czy Renee Adoree. Rafał wie, że Herta jest inna niż dziewczyny, z którymi kiedyś spotykał się Genek, ale gdy nie ma jej w pobliżu, lubi się z nim podroczyć. Genek nie może mieć mu tego za złe. Zanim poznał Hertę, kobiety były jego słabością. Ma niebieskie oczy, dołeczki w policzkach i nieodparty, hollywoodzki wdzięk.

Przez większość trzeciej dekady życia upajał się rolą jednego z najbardziej pożądanых kawalerów w Radomiu. Wówczas wcale mu nie przeszkadzało, gdy kobieta zwracała na niego uwagę. Ale potem pojawiła się Herta i wszystko się zmieniło.

Teraz jest inaczej. Ona jest inna.

Coś ociera się o jego łydkę pod stołem. Spogląda na bok.

– Szkoda, że nie zostaniesz – mówi siedząca obok niego młoda kobieta, szukając jego wzroku. Genek właśnie ją poznał.

To Klara. Nie, Kara. Nie pamięta. Jest przyjaciółką żony Rafała, przyjechała w odwiedziny z Lublina. Dziewczyna wygina kącik ust w zawstydzonym uśmiechu, ale wciąż przyciska do jego nogi czubek swojego półbuta.

W dawnym życiu może by został. Ale flirty już go nie interesują. Uśmiecha się do dziewczyny, trochę mu jej szkoda.

– Rzeczywiście, już mnie nie ma – mówi, kładąc karty na stole. Gasi muradę, zostawiając peta wystającego niczym złamany ząb w przepelnionej popielniczce, i wstaje. – Panie i panowie, jak zawsze było mi niezmiernie miło. Do zobaczenia, Iwono – dodaje, zwracając się do żony Rafała i wskazując na niego skinieniem głowy. – Pilnuj go, żeby nie ładował się w kłopoty. – Iwona się śmieje. Rafał znów puszcza oko. Genek salutuje dwoma palcami i zwraca się w kierunku drzwi.

Marcowa noc jest nadzwyczaj zimna. Mężczyzna chowa ręce w kieszeniach płaszcza i szybko wyrusza

w kierunku Zielnej, ciesząc się perspektywą spotkania z kobietą, którą kocha. Wiedział, że Herta jest tą jedyną, od momentu gdy dwa lata temu pierwszy raz ją zobaczył. Wciąż dobrze pamięta ten weekend. Wybrali się na narty do Zakopanego, uzdrowiska u stóp polskich Tatr. On miał dwadzieścia dziewięć lat, Herta dwadzieścia pięć. Przypadkiem jechali razem wyciągiem krzeselkowym i w ciągu tej dziesięciominutowej drogi na szczyt Genek się w niej zakochał. W jej ustach, od tego zacznijmy, bo były pełne i w kształcie serca, i były niemal wszystkim, co widział pod jej kremową wełnianą czapką i szalikiem. Był jeszcze jej niemiecki akcent, który kazał mu słuchać jej w sposób, do którego nie był przyzwyczajony, i jej uśmiech, taki swobodny, i to, jak w połowie drogi na górę odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i powiedziała: – Czyż nie wspaniały jest zapach sosny zimą? – Roześmiał się, myśląc przez chwilę, że żartuje, ale zaraz zrozumiał, że nie żartowała. Szczerłość była jedną z cech Herty, które wkrótce miał zacząć podziwiać, tak samo jak jej nieposkromioną pasję do przebywania na świeżym powietrzu i skłonność do szukania piękna w najprostszych rzeczach. Podążył za nią w dół stoku, próbując nie myśleć o tym, że była przynajmniej dwa razy lepsza w jeździe na nartach niż on, wśliznął się obok niej w kolejkę do wyciągu i zaprosił ją na kolację. Gdy się wahała, uśmiechnął się i powiedział, że już zamówił sanie z końmi.

Roześmiała się i ku radości Genka zgodziła się na randkę. Sześć miesięcy później się oświadczył.

Już w swoim mieszkaniu Genek cieszy się, widząc poświęcenie z za drzwi sypialni. Zastaje Hertę w łóżku, z jej ulubionym tomem wierszy Rilkego na kolanach. Herta pochodzi z Bielska, miasta w zachodniej Polsce, gdzie większość ludzi mówi po niemiecku. W rozmowach rzadko już używa języka, w którym dorastała, ale lubi w nim czytać, zwłaszcza poezję. Wydaje się, że nie zauważa, jak Genek wchodzi do pokoju.

– To dopiero musi być zajmujący wiersz – drażni się Genek.

– O! – mówi Herta, podnosząc wzrok. – Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Martwiłem się, że już będziesz spała – Genek uśmiecha się szeroko. Wyswobadza się z płaszcza i przerzuca go przez poręcz krzesła. Chucha w dłonie, by je ogrzać.

Herta uśmiecha się i kładzie książkę na piersiach, zakładając palcem miejsce, gdzie czytała.

– Wróciłeś o wiele wcześniej, niż sądziłam. Czyżbyś przegrał wszystkie nasze pieniądze? A może cię wyrzucili?

Genek zdejmuje buty i sweter, odpina mankiety koszuli.

– Właśnie że jestem do przodu. To był dobry wieczór. Tyle że bez ciebie nudny.

Na tle białej pościeli, w jasnożółtej koszuli nocnej, ze swymi głęboko osadzonymi oczami, idealnymi ustami i włosami w kolorze orzecha, opadającymi falami na ramiona, Herta wygląda, jakby wyszła ze snu, a Genek jeszcze raz przypomina sobie, jak wielkim jest szczęściarzem, że ją znalazł. Rozbiera się do bielizny i wślizguje się obok niej do łóżka.

– Tęskniłem – mówi, opierając się na łokciu, i całuje ją.

Herta zwilża usta.

– Ostatni drink – niech zgadnę – Bichat.

Genek przytakuje ze śmiechem. Znów ją całuje, ich języki się spotykają.

– Kochany, musimy uważać – szepcze Herta, odsuwając się.

– Przecież zawsze uważamy.

– Tylko że to wypada mniej więcej teraz.

– Ach – mówi Genek, rozkoszując się jej ciepłem, słodkim kwiatowym zapachem szamponu w jej włosach.

– To byłoby teraz nierozsądne – dodaje Herta. – Nie sądzisz?

Wiele godzin wcześniej przy kolacji rozmawiali z przyjaciółmi o groźbie wojny, o tym, jak łatwo Austria i Czechosłowacja wpadły w ręce Rzeszy i jak zaczęła się zmieniać sytuacja w Radomiu. Genek wykrzykiwał w złości, że został zdegradowany w firmie prawniczej do pozycji asystenta, i odgrażał się, że przeprowadzi się do Francji.

– Tam przynajmniej mógłbym wykorzystać swoje wykształcenie.

– Nie jestem pewna, czy lepiej by ci było we Francji – powiedziała Iwona. – Fuhrer nie atakuje już tylko krajów niemieckojęzycznych. A co, jeśli to dopiero początek? Co, jeśli Polska jest następna?

Przy stole zapanowała na chwilę cisza, którą przerwał Rafał.

– Niemożliwe – stwierdził, kręcąc powątpiewająco głową. – Może spróbować, ale go powstrzymają.

Genek przyznał mu rację.

– Polskie wojsko nigdy by na to nie pozwoliło – dodał. Przypomina sobie teraz, że właśnie w trakcie tej rozmowy Herta przeprosiła i wyszła.

Oczywiście ona ma rację. Powinni uważać. Sprowadzać dziecko na świat, który zdaje się niepokojąco zbliżać do przepaści, byłoby czymś nierozsądnym i nieodpowiedzialnym. Ale leżąc tak blisko, Genek potrafi myśleć tylko o jej skórze, o jej udzie opartym o jego. Jej słowa, jak małe bąbelki w ostatnim kieliszku szampana, który wypił, wypływają z jej ust, by rozpuścić się gdzieś głęboko w jego gardle.

Genek całuje ją po raz trzeci, a wtedy Herta zamyka oczy. Tak do końca nie jest przekonana – myśli. Sięga ponad nią, by zgasić światło, i czuje, jak Herta pod nim mięknie. Pokój wypełnia ciemność, a on wsuwa dłoń pod jej koszulę.

– Zimno! – piszczy Herta.

– Przepraszam – odpowiada jej szeptem.

– Nie, wcale nie przepraszasz, Genek...

– Wojna, wojna, wojna. – Całuje jej kość policzkową, ucho. – Jestem już nią zmęczony, a ona nawet się nie zaczęła – mówi, krocząc palcami od żeber w kierunku linii jej talii.

Herta wzdycha, potem chichocze.

– A co powiesz na to? – dodaje Genek, a źrenice rozszerzają mu się, jakby właśnie doznał objawienia. –

Co, jeśli nie będzie wojny? – Kręci z powątpiewaniem głową. – Odmówilibyśmy sobie na próżno. A Hitler, ten mały chujek, byłby górą.

– Uśmiecha się.

Herta wiedzie palcem po zagłębieniu w jego policzku.

– Te dołeczki wpędzą mnie do grobu – mówi, kręcąc głową. Genek jeszcze szerzej się uśmiecha, a Herta mu przytakuje.

– Masz rację – daje za wygraną. – To byłoby straszne.

Książka spada głośno na podłogę, gdy Herta przekręca się na bok, by znaleźć się naprzeciwko niego.

– *Bumsen der Krieg*.

Genek nie może powstrzymać śmiechu.

– Racja. Pieprzyć wojnę – mówi, naciągając koc na ich głowy.

ROZDZIAŁ 3

Nechama

Radom, Polska ~4 kwietnia 1939, Pesach

NECHAMA NAKRYŁA STÓŁ najlepszą porcelaną i najlepszymi sztuccami, każde miejsce przyszykowawszy dokładnie na białym koronkowym obrusie. Sol siedzi u szczytu, w jednej ręce trzyma wysłużoną hagadę w okładce ze skóry, w drugiej wypolerowany srebrny kielich do kiduszu. Odchrząkuje.

– Dziś – zaczyna, podnosząc wzrok na znajome twarze osób siedzących przy stole – czcimy coś, co liczy się najbardziej – naszą rodzinę i naszą tradycję. – Jego oczy, zwykle okolone zmarszczkami od uśmiechu, tym razem są poważne, tak samo jak barytonowy głos. – Dziś – mówi dalej – obchodzimy Święto Macy, czas naszego wyzwolenia – spogląda na tekst.

– Amen.

– Amen – odpowiadają echem pozostali, biorąc łyk wina. Butelka przechodzi z rąk do rąk, kieliszki ponownie się napełniają.

Gdy Nechama wstaje, by zapalić świece, w pokoju panuje cisza. Idąc w kierunku środka stołu, zapala zapalniczkę i ochrania jej płomień dłonią, potem szybko przystawia do każdego z knotów, aby tylko nikt nie zdążył zauważyć, że płomień między jej palcami drży. Gdy świece już płoną, zakreśla nad nimi potrójny krąg, a następnie zasłania sobie oczy i wypowiada słowa pierwszego błogosławieństwa. Siada na swoim miejscu przy końcu stołu, naprzeciwko męża, kładzie ręce na kolanach, a wzrokiem spotyka się z Solem. Kiwnięciem głowy daje mu znak, żeby zaczynał.

Gdy głos Sola ponownie wypełnia pomieszczenie, spojrzenie Nechamy pada na puste krzesło, które zostawiła dla Adiego, i od razu robi jej się ciężko na sercu od znajomego bólu. Naprawdę przejmują ją tym, że go nie ma.

List od syna przyszedł tydzień temu. Adi dziękował w nim matce za szczerość i prosił, żeby się nie martwiła. Przyjedzie, jak tylko zgromadzi wszystkie dokumenty podrózne. Odebrała tę wiadomość z ulgą, ale i zarazem z niepokojem. Niczego nie pragnęła bardziej na świecie niż tego, aby jej syn przyjechał na Pesach do domu, oczywiście oprócz pewności, że jest bezpieczny we Francji. W swoim poprzednim liście próbowała być szczerą, miała nadzieję, że zrozumie, iż Radom jest teraz mrocznym miejscem, a podróż przez regiony pod niemiecką okupacją nie jest warta ryzyka. Ale może jednak zbyt wiele rzeczy pominęła. W końcu wyjechali nie tylko Kosmanowie. Jeszcze kilkoro innych. Nie powiedziała mu o polskich klientach, którzy przestali przychodzić do ich sklepu, albo o krwawej awanturze, jaka wybuchła tydzień temu między dwoma radomskimi klubami piłkarskimi – żydowskim i polskim, i że młodzi zawodnicy każdej z drużyn wciąż chodzą po ulicach z rozbitymi wargami i podbitymi oczami, rzucając sobie nawzajem groźne spojrzenia. Nie napisała o tym wszystkim, żeby zaoszczędzić mu bólu i zmartwienia, ale być może tym samym naraziła go na większe niebezpieczeństwo.

Nechama odpowiedziała na list Adiego, błagając go, by zadbał o bezpieczeństwo podczas podróży,

a następnie uznała, że już wyjechał. Od tej pory codziennie podskakiwała na dźwięk kroków w przedpokoj, a serce wyrywało się jej z piersi na myśl, że ujrzy w drzwiach Adiego – z szerokim uśmiechem na przystojnej twarzy i walizką w ręku. Zawsze jednak okazywało się, że to nie były jego kroki. Adi nie przyjechał.

„Może musiał dokończyć jakieś sprawy w firmie – powiedział Jakub na początku tygodnia, czując, że ona coraz bardziej się martwi. – Nie wyobrażam sobie, żeby szef pozwolił mu wyjechać bez urlopu zgłoszonego z dwutygodniowym wyprzedzeniem”.

Ale Nechama nie może uwolnić się od myśli: A jeśli zatrzymali go na granicy? Albo jeszcze gorzej? Żeby dotrzeć do Radomia, Adi musiał przejechać albo przez północne Niemcy, albo drogą południową przez Austrię i Czechosłowację, a przecież oba kraje były obecnie pod rządami nazistów. Przez wiele dni nie spała w nocy, myśląc o tym, że jej syn mógłby się znaleźć w rękach Niemców – że mógłby go spotkać los, którego by uniknął, gdyby była z nim bardziej szczerą i z większą stanowczością poprosiła go, żeby został we Francji.

Od łez Nechamę zaczynają szczypać oczy, jej myśli zwracają się ku innemu kwietniowemu dniu podczas pierwszej wojny ćwierć wieku temu, kiedy ją i Sola wyeksmitowano z mieszkania i podobnie jak wielu przyjaciół nie mieli dokąd pójść. Pamięta duszący smród ludzkich odchodów, powietrze wypełnione nieustającym burczeniem pustych żołądków, huk armat z oddali, rytmiczne skrobanie ostrza o drewno, gdy Sol strugał ze starego kawałka drewna opałowego figurki do zabawy dla dzieci, wyjmując co rusz z palców drzazgi. Święto minęło niezauważone, tak samo jak tradycyjny seder.

Jakimś cudem przeżyli w tej piwnicy trzy lata – dzieci tylko dzięki temu, że karmiła piersią – podczas gdy w ich mieszkaniu na górze kwaterowali węgierscy oficerowie.

Nechama patrzy przez stół na Sola. Tamte trzy lata, choć prawie ją wówczas złamały, teraz ma daleko za sobą, wydaje się, jakby to przydarzyło się komuś zupełnie innemu. Jej mąż nigdy na ten temat nie mówi. Dzieci na szczęście dokładnie tego nie pamiętają. Od tamtego czasu zdarzały się pogromy – i będą zawsze – ale Nechama nie chce nawet myśleć o powrocie do życia w ukryciu, bez słońca, bez deszczu, bez muzyki i sztuki, i filozoficznych debat, prostych rzeczy, które nauczyła się cenić jako życiodajne źródła. Nie, nie wróci do podziemi, jak jakieś dzikie stworzenie. Nigdy więcej nie będzie żyła w ten sposób.

To niemożliwe, żeby mogło do tego dojść.

Myśli znów zmieniają kierunek, tym razem sięgając jej własnego dzieciństwa, głosu matki opowiadającej, jak często, gdy dorastała w Radomiu, zdarzało się, że mali polscy chłopcy rzucali w nią kamieniami, celując w głowę, na której zawsze miała chustkę. Jak po wybudowaniu pierwszej synagogi w całym mieście wybuchły zamieszki. Matka Nechamy bagatelizowała to: „Nauczyliśmy się po prostu nie zadzierać głów, a dzieci trzymać przy sobie”, mówiła. A pogromy, ataki, rzeczywiście minęły. Życie toczyło się dalej, tak jak wcześniej. Tak dzieje się zawsze.

Nechama wie, że niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, jak inne w przeszłości, również minie. Zresztą ich sytuacja jest zupełnie inna niż za czasów pierwszej wojny. Razem z Solem niestrudzenie pracowali, żeby zarobić na życie i znaleźć miejsce wśród najlepszych w swoim fachu. Mówią po polsku nawet w domu, choć wielu Żydów w mieście rozmawia tylko w jidysz, i zamiast mieszkać na starym mieście, jak większość ich mniej zamożnych radomskich współwyznawców, mają okazałe mieszkanie w centrum, mają też kucharkę i służącą, i takie luksusy, jak kanalizacja, wanna, którą przywieźli sobie z Berlina, lodówkę

oraz – najcenniejszą rzecz w domu – salonowego steinwaya. Sklep z tkaninami bardzo dobrze prosperuje. Podczas wyjazdów po towar Nechama bardzo się stara, by zdobyć materiały najwyższej jakości, mają klientów – polskich i żydowskich – którzy przyjeżdżają nawet z Krakowa, żeby kupić u nich damskie ubrania i jedwab. Gdy dzieci osiągnęły wiek szkolny, Sol i Nechama wysłali je do prywatnych placówek, w których dzięki dobrze uszytym koszulom i biegłości w języku polskim doskonale wpasowały się w środowisko katolickich uczniów. Mieli nadzieję, że oprócz zapewnienia im możliwie najlepszej edukacji pomogą swoim dzieciom uniknąć podskórnego antysemityzmu, który – odkąd sięgali pamięcią – towarzyszył życiu Żydów w Radomiu. Choć rodzina była dumna z zakorzenienia w żydowskim dziedzictwie i stanowiła część lokalnej wspólnoty żydowskiej, to dla swoich dzieci Nechama wybrała ścieżkę, która, miała nadzieję, otworzy im dobre perspektywy i oddali od nich groźbę prześladowań. Wciąż trzyma się tej ścieżki, mimo że czasem w synagodze albo podczas zakupów w jednej z żydowskich piekarni na starym mieście napotyka pełen dezaprobaty wzrok kogoś z bardziej ortodoksyjnych radomskich Żydów. Tak jakby jej decyzja asymilacji z Polakami w jakikolwiek sposób osłabiała jej wiarę. Nie przejmują się takimi spotkaniami. Zna swoją wiarę, a poza tym dla Nechamy religia to sprawa prywatna.

Ściąga łopatki i czuje ciężar unoszących się piersi. To do niej niepodobne tak bardzo się martwić, tak bardzo dać się zbić z tropu. Weź się w garść, strofuje samą siebie. Rodzina będzie mieć się dobrze, napomina się. Mają duże oszczędności.

Znajomości. Adi w końcu przyjedzie. Na poczcie nie można przecież polegać. Najprawdopodobniej na dniach przyjdzie list z wyjaśnieniem, dlaczego go nie ma. Wszystko będzie dobrze.

Gdy Sol recytuje błogosławieństwo *karpas*, Nechama zamacza gałązkę natki pietruszki w misce z soloną wodą, a jej palce przelotnie dotykają palców Jakuba. Wzdycha, czując, jak z jej szczęk w końcu zaczyna uchodzić napięcie. Słodki Jakub. Syn chwyta jej spojrzenie i uśmiecha się, a serce Nechamy wypełnia się wdzięcznością za to, że on wciąż mieszka z nią pod jednym dachem. Uwielbia jego towarzystwo, jego spokój. Jest inny od reszty. W odróżnieniu od braci i sióstr, którzy pojawili się na tym świecie z krzykiem i czerwonymi twarzami, Jakub urodził się bielutki jak szpitalne prześcieradła i cichutki, jakby chciał naśladować wielkie płatki śniegu spadające spokojnie na ziemię za oknem tego zimowego, lutowego poranka dwadzieścia dwa lata temu. Nechama nigdy nie zapomni tych strasznych chwil, jakie miały, zanim w końcu zapłakał – była wówczas pewna, że synek nie przeżyje jednego dnia – albo tego, jak, gdy trzymała go na rękach i spojrzała w jego ciemne jak atrament oczy, on podniósł na nią wzrok, a wtedy skóra nad jego brwiami uformowała się w małą zmarszczkę, tak jakby był głęboko zamyślony. To w tamtej chwili zrozumiała, jaki był. Spokojny, ale wnikliwy. Tak jak bracia i siostry urodzeni wcześniej i później, był malutką wersją osoby, którą miał się stać, gdy dorośnie.

Nechama patrzy, jak Jakub pochyla się i szepcze coś Belli do ucha. Ona podnosi serwetkę do ust, powstrzymując się od uśmiechu. Przypięta do kołnierzyka broszka – złota róża ozdobiona w środku perłą w kolorze kości słoniowej, prezent od Jakuba – odbija światło świecy. Dostała ją od niego kilka miesięcy po tym, jak się poznali w gimnazjum. On miał wtedy piętnaście lat, ona czternaście. Wtedy Nechama wiedziała o Belli tylko tyle, że dobrze się uczy, pochodzi z rodziny o skromnych dochodach (według Jakuba jej ojciec, dentysta, wciąż jeszcze spłacał długi zaciągnięte na opłacenie edukacji córek) i że sama szyla sobie wiele ubrań. To ostatnie zrobiło na Nechamie szczególne wrażenie. Zastanawiała się, które ze swoich najbardziej stylowych bluzek Bella kupiła w sklepie, a które uszyła. Niedługo po tym, jak Jakub

podarował jej broszkę, oświadczył, że Bella jest jego bratnią duszą.

„Jakub, kochanie, masz piętnaście lat... I dopiero co się poznaliście!” – wykrzyknęła na to Nechama. Ale Jakub nie przesadzał. I oto oni, osiem lat później, nierozłączni. To tylko kwestia czasu, nim wezmą ślub, myśli Nechama. Może Jakub oświadczy się, kiedy skończą się rozmowy o wojnie? A może czeka, aż uda mu się zaoszczędzić na tyle, żeby stać go było na własne mieszkanie? Bella też mieszka z rodzicami, zaledwie kilka domów dalej na zachód, przy bulwarze Witolda. Tak czy inaczej, Nechama jest pewna, że Jakub ma jakiś plan.

U szczytu stołu Sol delikatnie przełamuje na pół kawałek macy. Połowę kładzie na talerzu, drugą owija w chusteczkę.

Gdy dzieci były młodsze, Sol całymi tygodniami szukał najlepszego miejsca do ukrycia macy, a gdy przychodził podczas ceremonii moment poszukiwań afikomanu, dzieci niczym myszki rozbiegały się po całym mieszkaniu, żeby go znaleźć.

Ten, kto miał szczęście, targował się potem bezwzględnie, a w końcu uśmiechnięty i dumny zawsze kończył negocjacje z wystarczającą liczbą monet w ręce, żeby sobie kupić paczkę krówek w cukierni Pomianowskiego. Sol to biznesmen, grał twardo – nazywali go Królem Negocjacji – ale dzieci dobrze wiedziały, że w głębi duszy jest równie miękki jak kawałek świeżo zrobionego masła i że przy odrobinie cierpliwości i uroku osobistego wyciągną mu z kieszeni wszystkie złotówki, jakie tam schował. Oczywiście już od lat tak naprawdę nie chował macy. Dzieci, gdy były nastolatkami, w końcu zbojkotowały ten obyczaj. „Chyba już jesteśmy na to trochę za duzi, nie sądzisz, tato?” – powiedziały. Ale Nechama wie, że jak tylko Felicja nauczy się chodzić, Sol powróci do tej tradycji.

Teraz kolej, by czytał na głos Adam. Podnosi swoją hagę i zagląda w nią przez okulary w grubych oprawkach. Wąski nos, wysokie, wyraźne kości policzkowe, światło świec jeszcze podkreśla, jak nieskazitelna jest jego cera – Adam wygląda wręcz po królewsku. Adam Eichenwald dołączył do Kurców parę miesięcy wcześniej, gdy Nechama wywiesiła w witrynie sklepu z tkaninami ogłoszenie „Pokój do wynajęcia”. Niedawno zmarł jej wujek, zostawił po sobie pustą sypialnię, a dom, mimo że było w nim jeszcze dwoje najmłodszych dzieci, powoli zaczynał wydawać się zbyt pusty. Nechama uwielbiała, gdy przy kolacji wszystkie miejsca przy stole były zajęte. Kiedy Adam wszedł do sklepu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, była zachwycona i od razu zaproponowała mu pokój.

– Cóż za przystojny młody człowiek! – wykrzyknęła Terza, siostra Sola, kiedy wyszedł. – Ma trzydzieści dwa lata?

Wygląda na dziesięć mniej.

– Jest Żydem i jest mądry – dodała Nechama. Jakie jest prawdopodobieństwo, szeptały kobiety, żeby absolwent architektury z Narodowego Uniwersytetu Politechniki Lwowskiej wyjechał z Warszawskiej 14 bez żony? I rzeczywiście, kilka tygodni później Adam i Halina byli parą.

Halina. Nechama wzdycha. Urodziła się z niewytłumaczalną czupryną włosów w kolorze miodu i płomiennie zielonymi oczami. Halina jest jej najmłodszym i najdrobniejszym dzieckiem. Niedobory postury z nawiązką nadrabia osobowością.

Nechama nigdy nie widziała równie zaciętego dziecka, zdolnego przegadać niemal każdego przeciwnika i w ten sposób wywinąć się z kłopotów. Przypomina jej się, jak Halina urokiem osobistym przekonała profesora matematyki, żeby nie dawał jej złej oceny, gdy odkrył, że opuściła lekcję, żeby pójść na poranny

pokaz *Złotych sideł* w dniu premiery filmu. Albo jak, mając szesnaście lat, przekonała Adiego, żeby wsiadł z nią w ostatniej chwili do nocnego pociągu do Pragi, by razem mogli się obudzić w Mieście Stu Wież w dniu swoich urodzin wypadających tego samego dnia. Adam, niech Bóg go ma w opiece, jest ewidentnie pod wpływem jej wdzięków. Na szczęście w obecności Sola i Nechumy zawsze zachowuje się z należyтым szacunkiem.

Gdy Adam kończy czytać, Sol odmawia modlitwę nad resztą macy, odłamuje kawałek i przekazuje talerz dalej.

Nechama wsłuchuje się w miękki odgłos przełamywania praśnego chleba, wędrujący wzdłuż stołu. – *Boruch a – tah A– donai* – intonuje Sol, ale przerywa, gdy rozlega się płacz. To Felicja. Mila czerwieni się, przeprosza i wyslizguje się ze swojego miejsca, żeby wyjąć Felicję z kołyski ustawionej w rogu pokoju. Przeszując z nogi na nogę, szepcze do ucha dziewczynki, by ją uspokoić. Gdy Sol ponownie zaczyna intonację, Felicja wierci się pod fałdami powijaków, twarzyczka jej się wykrzywia i robi się czerwona. Kiedy znów zaczyna płakać, Mila przeprosza wszystkich i szybko wychodzi w kierunku sypialni Haliny w końcu korytarza. Nechama idzie za nią.

– Co się stało, kochanie? – szepcze Mila, pocierając palcem górne dziąsło Felicji, widziała, że Nechama tak robi, żeby ją uspokoić. Felicja odwraca główkę, wygina ciało w łuk i płacze jeszcze głośniej.

– Myślisz, że jest głodna? – pyta Nechama.

– Nie tak dawno ją karmiłam. Chyba po prostu jest zmęczona.

– Chodź tutaj – mówi Nechama, biorąc Felicję z rąk Mili. Oczy dziewczynki są zaciśnięte, podobnie jak pięści.

Wydobywa z siebie krótkie, przenikliwe wrzaski.

Mila siada ciężko w nogach łóżka Haliny.

– Tak bardzo mi przykro, mamó – mówi, starając się nie przekrzykiwać wrzasków Felicji. – Nie chcę, żebyśmy były przyczyną zamieszania. – Przeciera oczy wierzchami dłoni. – Ledwie słyszę własne myśli.

– Nikt się nie gniewa – mówi Nechama, przytulając Felicję bliżej do piersi i delikatnie ją kołysząc. Po kilku minutach jej krzyki zmieniają się w kwilenie, wkrótce znów jest cicho, a na twarzy dziewczynki rysuje się spokój. Radość z trzymania małego dziecka na rękach naprawdę hipnotyzuje, myśli Nechama, wdychając słodki migdałowy zapach Felicji.

– Jestem taka głupia, bo sądziłam, że to będzie łatwe – mówi Mila. Gdy spogląda w górę, oczy ma przekrwione, a pod nimi przezroczyście sińce, jakby brak snu zostawił widoczny znak. Bardzo się stara, Nechama to widzi. Ale bycie młodą matką jest trudne. Ta przemiana nią wstrząsnęła.

Nechama kręci głową.

– Nie bądź wobec siebie taka surowa, Milo. Nie jest tak, jak myślałaś, ale tego można się było spodziewać. Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo.

Mila patrzy na swoje ręce. Nechamie przypomina się, jak jej najstarsza córka, kiedy była młodsza, nie marzyła o niczym innym, jak tylko być matką. Opiekowała się lalkami, kołysała, trzymając je na ręku, śpiewała im, a nawet udawała, że je karmi. Jaka była dumna, gdy opiekowała się młodszym rodzeństwem – pomagała im wiązać buty, obwijala bandażem zakrwawione kolana, czytała im przed snem. Teraz jednak, gdy ma własne dziecko, czuje się tym przytłoczona, tak jakby pierwszy raz trzymała w ramionach niemowlę.

– Chciałabym wiedzieć, co robię źle – mówi Mila.

Nechama siada w nogach łóżka, obok córki.

– Radzisz sobie dobrze, Mila. Mówiłam ci, małe dzieci są trudne. A zwłaszcza pierwsze. Kiedy urodził się Genek, mało nie zwariowałam, próbując to wszystko zrozumieć. Po prostu potrzeba na to trochę czasu.

– To już pięć miesięcy.

– Poczekaj jeszcze kilka.

Mila przez chwilę milczy.

– Dziękuję – szepcze w końcu, patrząc, jak Felicja śpi spokojnie na rękach Nechamy. – Czuję się jak jakaś niedorajda.

– Nie jesteś niedorajdą. Jesteś po prostu zmęczona. Zadzwoń po Estię. Zrobiła już wszystko w kuchni, może pomóc, póki my nie zjemy.

– Dobry pomysł. – Mila wzdycha z ulgą. Zostawia Felicję z Nechamą i idzie po służącą. Gdy wracają z matką na miejsca, Mila spogląda na Selima.

– W porządku? – pyta ją bezgłośnie mąż, a ona potakuje.

Sol nakłada łyżką chrzan na kawałek macy, inni idą w jego ślady. Wkrótce znów zaczyna śpiewać. Po błogosławieństwie spożycia korechu w końcu przychodzi czas na właściwy posiłek. Z rąk do rąk przechodzą półmiski, jadalnia wypełnia się szumem rozmów i uderzeniami srebrnych łyżek o porcelanę, jako że na stole jest wiele dań, od słonego śledzia, przez pieczonego kurczaka i kugel, po słodki jabłkowy charoset. Rodzina popija wino i cicho rozmawia, starając się nie podejmować tematu wojny i nie zastanawiać się na głos, gdzie się podziewa Adi.

Na dźwięk jego imienia do piersi Nechamy wraca ból, razem z całą orkiestrą zmartwień. Aresztowali go. Zamknęli w więzieniu. Jest ranny. Boi się. Nie ma jak się z nią skontaktować. Znów patrzy na puste miejsce przeznaczone dla swojego syna. Gdzie jesteś, Adi? Zagryza usta. Nie rób tego, napomina się, ale już jest za późno. Za szybko piła wino i straciła ostrość myślenia. Ścisła ją w gardle, stół zmienia się w niewyraźny biały pasek. Łzy już prawie lecą, gdy Nechama czuje na swojej dłoni czyjąś dłoń. Dłoń Jakuba.

– To chrzan – szepcze Nechama, wachlując się wolną ręką przed twarzą i mrugając oczami. – Za każdym razem tak mnie kręci. – Dyskretnie ociera kąciki oczu serwetką. Jakub przytakuje ze zrozumieniem i ścisła jej dłoń.

Wiele miesięcy później, w innym świecie, Nechama przypomni sobie ten wieczór, ostatnie Pesach, kiedy niemal wszyscy byli razem, i każdą komórką ciała będzie łaknąć, by mogła to przeżyć jeszcze raz. Przypomni sobie znajomy zapach *gefilte fisz*, brzęk srebra na porcelanie, smak natki pietruszki na języku, słony i gorzki. Będzie pragnęła dotknąć miękkiej skóry małej Felicji, poczuć pod stołem ciężar dłoni Jakuba na swojej dłoni i ciepło w żołądku od wypitego wina; wspomni, jak bardzo pragnęła wtedy przekonać samą siebie, że wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Przywoła w pamięci, na jaką szczęśliwą wyglądała Halina, usiadłszy do fortepianu po posiłku, jak razem tańczyli, jak wszyscy mówili o nieobecnym Adim, zapewniając się nawzajem, że niedługo wróci do domu. Będzie to odtwarzać w głowie wiele razy, ciągle od nowa, każdą piękną chwilę, i delektować się nią, jak ostatnią w sezonie wyborną gruszką klapsą.

23 SIERPNIA 1939: Nazistowskie Niemcy i Związek Radziecki podpisują pakt o nieagresji Ribbentrop – Mołotow, potajemne porozumienie nakreślające granice przyszłego podziału większości terytoriów Europy Północnej i Wschodniej między wpływy niemieckie i radzieckie.

1 WRZEŚNIA 1939: Niemcy najeżdżają Polskę. Dwa dni później w odpowiedzi na to Wielka Brytania, Francja, Australia i Nowa Zelandia wypowiadają Niemcom wojnę. W Europie zaczyna się druga wojna światowa.

ROZDZIAŁ 4

Bella

Radom, Polska ~ 7 września 1939

BELLA SIEDZI PROSTO z kolanami przyciągniętymi do piersi, w rękę ściska chusteczkę do nosa. Ledwie dostrzega prostokątny zarys skórzanej walizki stojącej przy drzwiach sypialni. Jakub przysiadł na skraju łóżka, tuż obok jej stóp, materiał jego tweedowego płaszcza wciąż przesycyca zimne nocne powietrze. Bella zastanawia się, czyjej rodzice usłyszeli, jak wspina się po schodach do ich mieszkania na drugim piętrze, a potem na palcach skrada się przez przedpokój do jej pokoju. Już lata temu dała Jakubowi klucz, żeby mógł przychodzić, kiedy będzie chciał, jednak nigdy jeszcze nie ośmielił się pojawić o takiej porze. Przesuwa palce u nóg w stronę jego uda.

– Wysyłają nas do Lwowa, do walki – mówi Jakub, zdyszany. – Gdyby cokolwiek się stało, spotkajmy się tam.

Bella szuka w ciemności jego twarzy, ale widzi tylko owal szczęki i niewyraźne białka oczu.

– Lwów – szepcze, kiwając głową. We Lwowie, trzysta pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Radomia, mieszka jej siostra Anna z mężem Danielem. Już dawno błagała Bellę, żeby przeprowadziła się bliżej niej, ale Bella nie mogłaby zostawić Jakuba. W ciągu ośmioletniej znajomości ich domów nigdy nie dzieliło więcej niż czterysta metrów.

Jakub bierze ją za rękę, przeplata jej palce swoimi. Podnosi je do ust i całuje. Ten gest przypomina jej dzień, w którym pierwszy raz wyznał jej miłość. Trzymali się za ręce, ich palce były splecione, siedzieli naprzeciwko siebie na kocu rozłożonym na trawie w parku Kościuszki. Miała wtedy szesnaście lat.

„Jesteś dla mnie wszystkim”, powiedział Jakub miękkiem głosem. Jego słowa były tak szczerze, a orzechowe oczy tak czyste, aż chciało jej się płakać, choć jednocześnie zastanawiała się wtedy, co taki młody chłopiec może wiedzieć o miłości. Dziś, mając dwadzieścia dwa lata, niczego bardziej nie jest pewna. Jakub jest mężczyzną, z którym spędzi resztę życia. A który teraz wyjeżdża z Radomia, bez niej.

– Jak... jak się tam dostaniesz? – pyta spokojnym głosem. Boi się, że jeśli go podniesie, głos jej się załamie, uwalniając szloch czający się z wielką siłą u nasady gardła. Zegar w rogu wybija pierwszą. Oboje wzdrygają się, jakby ukąszeni przez parę niewidzialnych os.

– Kazano nam przyjść na dworzec kwadrans po pierwszej – mówi Jakub, spoglądając w kierunku drzwi i uwalniając dłonie z jej rąk. Obejmuje nimi jej kolana. Ona czuje ten zimny dotyk przez bawełniany materiał koszuli nocnej. – Muszę iść. – Opiera pierś o jej pizsczele, przykłada czoło do jej czoła. – Kocham cię – szepcze, dotykają się też czubki ich nosów.

– Najbardziej na świecie. – Ona zamyka oczy, gdy ją całuje. Wszystko kończy się zbyt szybko. Gdy Bella otwiera oczy, Jakuba już nie ma, a ona ma mokre policzki.

Schodzi z łóżka i idzie w kierunku okna, pod bosymi stopami czuje zimne i gładkie klepki drewnianej podłogi. Odsuwa nieco zasłonę i z wysokości dwóch pięter patrzy na bulwar Witolda, szukając na nim

śladów życia, choćby błysku latarki, czegokolwiek, ale już od kilku tygodni w mieście nie ma prądu. Zgaszone są nawet lampy uliczne. Bella nic nie widzi. Jakby patrzyła w otchłań. Otwiera okno, tym razem zamykając na chwilę oczy, i próbuje dosłyszeć kroki albo oddalone wycie niemieckiego bombowca. Ale ulica, jak niebo nad nią, jest pusta i ciężka od ciszy.

Tyle się wydarzyło w ciągu zaledwie tygodnia. Ledwie sześć dni temu, pierwszego września, Niemcy napadły na Polskę.

Już następnego dnia przed świtem na przedmieścia Radomia zaczęły spadać bomby. Zniszczone zostało tymczasowe lotnisko, liczne garbarnie i fabryki obuwia. Jej ojciec zabił okna deskami, wszyscy schronili się w piwnicy. Gdy bombardowania osłabły, radomscy mężczyźni – łopatami machali ramię w ramię zarówno Polacy, jak i Żydzi – kopali okopy, w ostatniej chwili próbując bronić miasta. Ale na nic się to zdało. Gdy zaczęło spadać więcej bomb, tym razem zrzucanych w środku dnia przez nisko latające bombowce Heinkel i junkersy, głównie na stare miasto, około pięćdziesięciu metrów od ich mieszkania, Bella i jej rodzice musieli wrócić do kryjówek. Atak z powietrza trwał wiele dni, aż zdobyto Kielce leżące sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Radomia. To wtedy zaczęły krążyć plotki, że wkrótce w mieście pojawi się Wehrmacht, jeden z rodzajów wojsk Trzeciej Rzeszy – a z megafonów na rogach ulic rozlegały się wezwania do zaciągu do wojska. Tysiące mężczyzn przepełnionych uczuciami patriotyzmu i niepewności wyjechało z Radomia na wschód, gdzie mieli się przyłączyć do polskiej armii.

Bella wyobraża sobie, jak Jakub, Genek, Selim i Adam, spakowawszy do walizek ledwie parę rzeczy, przechodzą obok sklepów z odzieżą i odlewni żeliwa, po cichu zmierzając w kierunku dworca kolejowego, który jakimś cudem ocalał od bomb. Jakub powiedział, że we Lwowie czeka na nich oddział piechoty. Ale czy to prawda? Dlaczego Polska tak długo czekała z mobilizacją? Od napaści minął ledwie tydzień, a docierające do nich informacje już są bardzo niepokojące – armia Hitlera jest bardzo liczna, błyskawicznie się porusza, ponaddwukrotnie przewyższa liczebnością armię polską.

Wielka Brytania i Francja obiecały pomoc, ale do tej pory Polska znikąd nie otrzymała wsparcia.

Bellę ściska w brzuchu. To nie miało się wydarzyć. Powinni być już teraz we Francji. Taki był plan – przeprowadzka po skończeniu przez Jakuba studiów prawniczych. Znalazłby pracę w jakiejś firmie w Paryżu albo w Tuluzie, blisko Adiego.

Dodatkowo pracowałby jako fotograf, tak jak jego brat w wolnym czasie komponował muzykę. I ją, i Jakuba urzekły opowieści Adiego o Francji i o wolności, jaką można się tam cieszyć. Tam mieli się pobrać i założyć rodzinę. Gdyby tylko byli na tyle przewidujący, żeby wyjechać, zanim podróże do Francji stały się zbyt niebezpieczne, zanim myśl o oddaleniu się od bliskich zaczęła być zbyt niepokojąca. Bella próbuje sobie wyobrazić, jak palce Jakuba zaciskają się na drewnianym magazynku karabinu. Czy on byłby w stanie kogoś zastrzelić? Bella zdaje sobie sprawę z tego, że to niemożliwe. To przecież Jakub. On nie jest stworzony do wojny. Nie ma w nim krzty wrogości do kogokolwiek. Jedynym spustem, który jego palce powinny przyciskać, jest spust aparatu fotograficznego.

Delikatnie zamyka okno. Niech tylko chłopcy bezpiecznie dotrą do Lwowa – bez przerwy powtarza w myślach to błaganie, spoglądając w aksamitną czerń na zewnątrz.

Trzy tygodnie później Bella leży na wąskiej drewnianej ławce biegnącej wzdłuż konnego powozu. Jest skrajnie zmęczona, ale nie może zasnąć. Która godzina? Wydaje się, że jest wczesne przedpołudnie. Pod plandekę okrywającą wóz nie dociera wystarczająco światła, by mogła dostrzec wskazówki na swoim

zegarku. Ale na zewnątrz też bardzo trudno jest coś zobaczyć. Nawet gdy deszcz ustępuje, niebo zasnuwają gęste szare chmury. Bella nie pojmuję, jak woźnica wytrzymał tyle godzin narażony na działanie żywiołów. Wczoraj padało tak długo i tak intensywnie, że droga zniknęła pod rzeką błota, a konie musiały się zmagać, żeby utrzymać równowagę. Dwa razy wóz omal się nie przewrócił.

Bella odlicza dni jajkami, które jeszcze zostały w koszu z jedzeniem. Podróż zaczęli w Radomiu z tuzinem, a dzisiaj rano zostało ostatnie, co oznacza, że jest dwudziesty dziewiąty września. W normalnych warunkach podróż wozem do Lwowa zajęłaby najwyżej tydzień. Ale przy ciągle padającym deszczu stała się mordercza. Powietrze w środku wozu jest wilgotne i pachnie pleśnią. Bella przyzwyczała się do tego, że klei jej się skóra, a ubrania nigdy nie wysychają.

Wysłuchując się w trzeszczenie dobiegające z dołu wozu, Bella zamyka oczy i myśli o Jakubie, o chłodzie jego rąk na jej kolanach, o ciepłym oddechu na jej dłoniach, gdy je całował.

Żołnierze Wehrmachtu pojawili się w Radomiu 8 września, zaledwie dzień po jego wyjeździe do Lwowa. Niemcy najpierw wysłali pojedynczy samolot – Bella obserwowała z ojcem, jak latał nisko nad miastem, zataczając raz koło, zanim spuścił pomarańczową flarę.

– Co to oznacza? – zapytała Bella, gdy samolot się wycofał i zniknął w szarości napuchniętych, nisko wiszących chmur.

Ojciec nie odpowiedział. – Tato, jestem dorosła. Po prostu powiedz – rzekła beznamiętnie.

Henryk odwrócił wzrok.

– To oznacza, że nadchodzą – odpowiedział, a w wyrazie jego twarzy, wygiętych ku dołowi kącikach ściśniętych ust, fałdzie skóry między oczami dostrzegła coś, czego wcześniej nigdy u niego nie widziała. Jej ojciec się bał. Godzinę później, gdy właśnie zaczął padać deszcz, Bella patrzyła z okna rodzinnego mieszkania, jak piechota wmaszerowuje do Radomia, szereg za szeregiem, nie napotykając oporu. Zanim ich zobaczyła, najpierw ich usłyszała, dudnienie przedzierających się przez błota od zachodu czołgów, motocykli i koni. Gdy pojawili się w zasięgu wzroku, wstrzymała oddech, jednocześnie bojąc się patrzeć i odwrócić spojrzenie. Jej oczy zawisły na nich, gdy przetaczali się bulwarem Witolda w mundurach w kolorze butelkowej zieleni i gogłach upstrzonych kroplami deszczu – tacy potężni, tak liczni. Zaroili puste ulice miasta, a o zmierzchu okupowali już budynki administracji publicznej i ogłosili, dobitnym *Heil Hitler* towarzyszącym wciągnięciu flag ze swastyką, że miasto należy do nich. Tego widoku Bella nie zapomni nigdy.

Gdy miasto znalazło się oficjalnie pod okupacją, wszyscy stali się ostrożni, zarówno Żydzi, jak i Polacy, ale od początku było jasne, że to Żydzi są pierwszym celem nazistów. Ci, którzy odważyli się wyjść na zewnątrz, narażali się na ryzyko napaści, upokorzenia i pobicia. Radomianie szybko się nauczyli, żeby wychodzić z domowego azylu tylko wtedy, kiedy musieli załatwić najbardziej konieczne sprawy. Bella wyszła tylko raz, po chleb i mleko, a idąc okrężną drogą do polskiego sklepu spożywczego, odkryła, że żydowski targ na starym mieście, na który wcześniej chadzała, został splądrowany i zamknięty. Trzymała się bocznych ulic i szła szybkim, pewnym krokiem, ale w drodze powrotnej napotkała scenę, która dręczyła ją potem tygodniami – rabbi, z rękami związanymi z tyłu, otoczony przez żołnierzy Wehrmachtu i chłostany przez nich po głowie to z jednej, to z drugiej strony, a oni śmieją się, gdy on próbuje się uwolnić. Dopiero gdy Bella go minęła, zdała sobie sprawę, wzdrygając się od napływających mdłości, że broda rabiego płonęła.

Kilka dni po tym, jak Niemcy zajęli Radom, przyszedł list od Jakuba. „Moja Kochana – pismo wskazywało na pościech – jak najszybciej przyjeżdż do Lwowa. Rozmieścili nas w mieszkaniach. Moje wystarczy dla dwojga. Nie znoszę być tak daleko od Ciebie. Potrzebuję Cię tutaj. Proszę, przyjeżdż”. Podał adres. Ku jej zaskoczeniu rodzice pozwolili jej jechać.

Wiedzieli, jak bardzo tęskni za Jakubem. A poza tym – myśleli Henryk i Gustawa – we Lwowie Bella i jej siostra Anna mogą wzajemnie na siebie uważać. Bella, z ogromnym uczuciem ulgi, przycisnęła z wdzięcznością dłoń ojca do swojego policzka. Następnego dnia zaniósła list do ojca Jakuba, Sola. Jej rodzice nie mieli pieniędzy na wynajęcie woźnicy.

Kurcowie z kolei mieli środki i znajomości, była pewna, że zechcą jej pomóc.

Sol początkowo jednak sprzeciwił się temu pomysłowi.

– Absolutnie się nie zgadzam. Samotna podróż jest stanowczo zbyt niebezpieczna – powiedział. – Nie mogę na to pozwolić. Gdyby cokolwiek ci się stało, Jakub nigdy by mi tego nie wybaczył.

Lwów nie padł, ale chodziły głosy, że Niemcy otoczyli miasto.

– Proszę – błagała Bella. – Tam nie może być gorzej niż tutaj. Jakub nie prosiłby mnie o przyjazd, gdyby nie uważał, że to bezpieczne. Muszę być z nim. Moi rodzice się zgodzili... Proszę, panie Kurc. Proszę.

Bella przez trzy dni ponawiała swoje prośby, a Sol trzy dni odmawiał. W końcu czwartego dnia ustąpił.

– Wynajmę wóz – powiedział, kręcąc głową, jakby samego siebie rozczarował tą decyzją. – Mam nadzieję, że nie będę tego żałował.

Niecały tydzień później plan był gotowy. Sol znalazł parę koni, wóz i woźnicę – zwinnego starszego pana imieniem Tomek, o łukowatych nogach i siwiejącej brodzie, który pracował dla niego podczas lata i który dobrze znał drogę do Lwowa. Był godny zaufania, mówił Sol, i dobrze radził sobie z końmi. Sol obiecał mu, że jeśli bezpiecznie dowiezie Bellę do Lwowa, będzie mógł zatrzymać konie i wóz. Tomek nie miał pracy i ochoczo przyjął ofertę.

– Włóż na siebie rzeczy, które chcesz ze sobą zabrać – powiedział Sol. – Będziesz budziła mniej podejrzeń.

Podróże cywilów tam, gdzie kiedyś była Polska, były jeszcze dozwolone, ale naziści codziennie wprowadzali nowe ograniczenia.

Bella natychmiast opowiedziała Jakubowi w liście o swoich planach, a następnego dnia wyruszyła, mając na sobie dwie pary jedwabnych pończoch, granatową rozkloszowaną spódnicę do kolan (Jakuba ulubioną), cztery bawełniane bluzki, wełniany sweter, swój żółty jedwabny szal – urodzinowy prezent od Anny – flanelowy płaszcz i złotą broszkę, którą zawiesiła na szyi na łańcuszku i schowała pod koszulę, żeby nie zobaczyli jej Niemcy. Wsunęła do kieszeni płaszcza mały zestaw do szycia, grzebień, rodzinną fotografię i czterdzieści złotych, które kazał jej zabrać Sol. Zamiast walizki miała ze sobą zimową kurtkę Jakuba i wydrążony bochenek wiejskiego chleba, w którym ukryty był aparat Jakuba marki Rolleiflex.

Odkąd wyjechali z Radomia, minęli cztery niemieckie punkty kontrolne. Za każdym razem Bella wkładała pod płaszcz bochenek chleba i udawała, że jest w ciąży.

– Proszę – błagała, jedną dłoń trzymając na brzuchu, drugą na krzyżowym odcinku pleców. – Muszę dostać się do męża, do Lwowa, zanim urodzi się dziecko.

Dotąd Wehrmacht okazywał jej litość i przepuszczał wóz.

Głowa Belli kołysze się lekko, gdy z trudem suną ku wschodowi. Jedenaście dni. Nie mają radia, a więc

i dostępu do wiadomości, ale przyzwyczaili się już do groźnego warkotu samolotów Luftwaffe, słyszanych z odległości eksplozji materiałów wybuchowych, zrzuconych, jak mogą tylko podejrzewać, na Lwów. Kilka dni temu brzmiało to tak, jakby miasto było oblężone. Bardziej niepokojąca była jednak cisza, jaka nastąpiła potem. Czy Lwów upadł? Czy też Polakom udało się Niemców zatrzymać?

Bella ciągle się zastanawia, czy Jakub jest bezpieczny. Na pewno wezwali go do obrony miasta. Tomek dwa razy pytał Bellę, czy chce zawrócić i wybrać się w podróż później. Ale nalegała, żeby jechać dalej. Napisała Jakubowi, że przyjeżdża.

Musi dotrzymać obietnicy. Gdyby zrezygnowała teraz, pomimo niepewności co do tego, co ją czeka, czułaby, że to tchórzostwo.

– Prrr – woła Tomek ze swojego kozła, a w tej samej chwili jego głos ginie wśród wrzasków.

– *Halt! Halt so fort!*

Bella siada i opuszcza stopy na podłogę. Wsuwa bochenek chleba pod płaszcz i odsuwa brezentową zasłonę. Błotniska łąka na zewnątrz roi się od mężczyzn w zielonych przepasanych bluzach. Wehrmacht. Żołnierze są wszędzie. Bella zdaje sobie sprawę, że to nie punkt kontrolny. To musi być niemiecki front. Przez plecy zaczyna jej przechodzić dreszcz, gdy do wozu zbliża się trzech żołnierzy o kwadratowych szczękach, w czapkach z daszkiem, z karabinami o drewnianych uchwytach. Sam ich wygląd – surowy wyraz twarzy, twardy chód, ostre kanty mundurów – sugeruje brak litości.

Bella schodzi z wozu i czeka, próbując zachować spokój.

Żołnierz idący z przodu, trzymający w jednej ręce broń, podnosi wolną rękę i gwałtownie wyciąga ją w jej kierunku.

– *Ausweis!* – rozkazuje. Otwiera dłoń. – *Papiere!*

Bella zamiera. Słabo zna niemiecki.

– Twoje dokumenty, Bella – szepcze Tomek.

Do kozła zbliża się drugi żołnierz, Tomek podaje mu swoje dokumenty, przez ramię zerkając na Bellę. Ona waha się, czy podać im swój dowód osobisty, ponieważ wynika z niego jasno, że jest Żydówką – a jest to prawda, która przyniesie jej więcej szkody niż pożytku. Ale nie ma wyboru. Wyciąga rękę z dowodem i czeka, wstrzymując oddech, gdy żołnierz dokładnie go bada. Nie wiedząc, na czym się skupić, przesuwa wzrok z dystynkcji na kołnierzu przez sześć czarnych guzików wzdłuż bluzy aż po słowa GOTT MIT UNS wygrawerowane na sprzączce od paska. Akurat te słowa Bella rozumie: BÓG Z NAMI.

W końcu żołnierz podnosi wzrok, a jego oczy są tak szare i bezlitosne jak chmury nad nimi. Zaciska usta.

– *Keine Zivilisten von diesem Punkt!* – rzuca, oddając jej dokument. Mówi coś o cywilach. Tomek wsuwa swoje dokumenty do kieszeni i chwyta lejce.

– Poczekaj! – szepcze Bella, położywszy dłoń na brzuchu, ale pierwszy żołnierz podnosi karabin do góry i podbródkiem wskazuje zachód – kierunek, z którego przybyli.

– *Keine Zivilisten! Nach Hause gehen!*

Gdy Bella w proteście otwiera usta, Tomek szybko i subtelnie wykonuje ruch głową. Nie rób tego. Ma rację. Nieważne, czy uwierzą, że jesteś w ciąży, ci żołnierze nie odstąpią od rozkazów. Bella odwraca się i z wysiłkiem, pokonana, wchodzi z powrotem na wóz.

Tomek uderza konie po udach, odwracają się i zaczynają iść swoimi śladami, sunąc na zachód, coraz dalej od Lwowa, dalej od Jakuba. Bella kręci się w głowie. Wierci się, jest zbyt zdenerwowana, żeby

siedzieć bez ruchu. Wyciąga chleb z płaszcza, kładzie na ławce i czołga się do tylnej zasłony wozu, następnie odsuwa ją tylko na tyle, żeby zobaczyć, co się znajduje na zewnątrz. Mężczyźni na łące wydają się mali, jak drewniane żołnierzyki, jeszcze mniejsi z powodu wiszących nad nimi chmur. Bella pozwala ciężkiemu brezentowi opaść, wokół niej z powrotem zapada półcień.

Zajechali już tak daleko. Są tak blisko celu! Bella przyciska czubki palców do miękkiej skóry skroni, szukając rozwiązania.

Mogą wrócić jutro, liczyć na szczęście, może bardziej pobłażliwą grupę Niemców. Nie. Bella kręci z powątpiewaniem głową. Są na froncie. Tak naprawdę jakie są szanse, że ktoś pozwoli im przejechać? Nagle czuje, jak pod tyłoma warstwami ubrań ogarnia ją klaustrofobia. Zrywa z siebie flanelowy płaszcz i szybko przesuwają się na ławce z powrotem ku przodowi wozu, gdzie warstwa brezentu oddziela ją od Tomka. Podnosi ją i zezuje na kozioł. Zaczęło mżyć.

– Spróbujemy jutro jeszcze raz? – Bella przekrzykuje uderzenia kopyt w rozmoknięte podłoże. Tomek kręci przecząco głową.

– Nie uda się – mówi.

Bella czuje, jak robi się jej gorąco, od karku w kierunku uszu.

– Ale nie możemy zawrócić! – Rzuci okiem na pudełko z prowiantem leżące u jej stóp. – Nie mamy dość jedzenia na kolejne jedenaście dni podróży!

Patrzy, jak ramiona Tomka kołyszą się to w jedną, to w drugą stronę, amortyzując bujanie wozu, jego głowa podskakuje, jakby był pijany. Nie odpowiada.

Bella pozwala brezentowi opaść i osuwa się z powrotem na ławkę. Odkąd wyjechali z Radomia, nie zamienili ze sobą wielu słów. Bella próbowała zagadywać Tomka o błahostki na początku podróży, ale dziwnie się czuła, rozmawiając z kimś, kogo prawie nie znała. A poza tym nie było wiele do powiedzenia. Tomek z pewnością równie mocno pragnie dostać się do Lwowa jak ona. Jest ledwie parę kilometrów od wywiązania się ze swojej części umowy z Solem. Bella postanawia, że mu o tym przypomni, ale gdy ponownie sięga po zasłonę, konie gwałtownie zjeżdżają z drogi. Bella chwytą się ławki i napina ciało, gdy wóz kołysze się i podskakuje po nierównym podłożu. Co się dzieje? Pod kołami gałęzie trzaskają jak sztuczne ognie, a od góry drapią wóz. Na pewno są w lesie. Bellę nachodzi zła myśl: Tomek chyba nie zostawi jej tu samej w lesie? Wystarczyłoby proste kłamstwo, żeby zapewnić Sola, że bezpiecznie dowiózł ją do Lwowa. Jej serce zaczyna galopować. Stwierdza jednak, że nie. Tomek by tego nie zrobił. Ale gdy wóz dalej się pochyla, nie może przestać myśleć – a może jednak?

W końcu konie zwalniają i zatrzymują się, Bella szybko schodzi z wozu. Niebo pociemniało o kilka odcieni. Wkrótce będzie takie jak gładka czarna sierść koni. Tomek schodzi z ławki woźnicy. Ledwie go widać w zapadających ciemnościach, w czarnej czapce i ciemnym płaszczu. Bella wpatruje się w niego, puls wciąż jej szaleje, gdy on zdejmuje koniom uzdy.

– Przepraszam, że nic nie mówiłem – odzywa się, rozkiełznując konie z wędzidła. – Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

Bella przytakuje i czeka.

– Jesteśmy około trzech kilometrów od bocznej drogi, która prowadzi do Lwowa – mówi dalej Tomek. – Kawalek dalej jest tam polana. Łąka. Myślę, że nie ma tam ludzi, ale dla bezpieczeństwa będziesz musiała się przez nią przeczłagać.

Trawa powinna być na tyle wysoka, że nie będzie cię widać.

Bella zerka w kierunku polany, ale jest zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Tomek przytakuje, jakby samego siebie przekonując, że jego plan się powiedzie.

– Jak przejdziesz przez łąkę, idź przez las na południowy wschód przez jakąś godzinę, a dojdiesz do drogi. Powinnaś już wtedy ominąć front... – przerywa. – Chyba że Niemcy otoczyli miasto... w takim wypadku będziesz musiała poczekać, aż przesuną się dalej, albo sama przejść linię frontu. Tak czy inaczej – mówi, wreszcie patrząc jej w oczy – myślę, że lepiej poradzisz sobie beze mnie.

Bella wpatruje się w Tomka, próbując przetrwać możliwe konsekwencje jego planu. Widzi siebie, jak tłumaczy ten pomysł Jakubowi czyjego ojcu. Odpowiedź brzmiałaby w obu wypadkach tak samo: nie rób tego.

– Albo zawracamy i jedziemy z powrotem tak szybko, jak się da, a po drodze szukamy czegoś do jedzenia – mówi Tomek cicho.

Wrócić do domu byłoby bezpieczniej, ale Bella wie, że nie może. W głowie jej się kotłuje. Próbuje przełknąć ślinę, ale jej gardło jest jak papier ścierny i zamiast tego kaszle. Tomek ma rację. Bez wozu będzie mniej podejrzana. A jeśli już wpadnie na Niemców, szybciej przepuszczą ją samą niż starego człowieka, młodą kobietę i dwukonny wóz. Zagryza wnętrze dolnej wargi, milcząc przez chwilę.

– Tak – mówi w końcu, patrząc w kierunku polany. Tak, postanawia. Jaki ma wybór? Tylko kilka godzin dzieli ją od Lwowa. Od Jakuba. Od jej ukochanego, jej miłości. Nie może teraz zawrócić. Jej członki nagle zdają się ważyć więcej pod ciężarem podjętej decyzji. Bella opiera rękę o ramę wozu. Jeśli polanę będą patrolować żołnierze, jest raczej wątpliwe, żeby udało się jej przejść niezauważoną. A jeśli uda się jej dotrzeć na drugą stronę... nie wiadomo, kto albo co może czyhać pod osłoną lasu. Dosyć, karci się po cichu. Zaszła już tak daleko. Dasz radę.

– Tak – szepce, potakując. – Tak, to się uda. Musi się udać.

– W takim razie dobrze – mówi cicho Tomek.

– Dobrze.

Bella przeczesuje ręką kasztanowe włosy, grube jak wełna, tak wiele dni niemyte. Przestała już próbować uczesać je grzebieniem. Chrząka.

– Pójdę już.

– Lepiej wyrusz rano – mówi Tomek – kiedy nie będzie tak ciemno. Zostanę z tobą do świtu.

Oczywiście. Potrzebuje światła dziennego, żeby znaleźć drogę.

– Dziękuję – szepce Bella, zdając sobie sprawę, że Tomek też ma przed sobą niebezpieczną podróż. Wspina się z powrotem do wozu i grzebie w pudełku z prowiantem w poszukiwaniu ostatniego ugotowanego jajka. Znajduje je, obiera i wraca do Tomka. – Proszę – mówi, łamiąc jajo na pół.

Tomek waha się, zanim bierze połowę.

– Dziękuję.

– Powiedz panu Kurcowi, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby mnie dowieźć do Lwowa. Jeśli... – poprawia się – kiedy tam dotrę, napiszę do niego wiadomość, że jestem bezpieczna.

– Dobrze.

Bella przytakuje; zapada cisza, podczas której ona myśli o tym, na co właśnie się zgodziła. Czy po obudzeniu Tomkowi wróci rozum do głowy, zrozumie, że jego plan jest zbyt ryzykowny? Czy rano

spróbuje ją przekonać, by zmieniła zdanie?

– Prześpij się – mówi Tomek, odwracając się do koni.

Bella zmusza się do uśmiechu.

– Spróbuję.

Zatrzymuje się na chwilę, wchodząc do wozu.

– Tomek – woła, czując wyrzuty sumienia, że w niego zwątpiła. On patrzy na nią.

– Dziękuję ci za to, że tak daleko nas doprowadziłeś.

Tomek odpowiada skinieniem głowy.

– Dobranoc zatem – mówi Bella.

W środku wozu rozkłada na podłodze kurtkę Jakuba i wyciąga się na niej na plecach. Jedną dłoń kładzie na sercu, drugą na brzuchu i próbuje się zrelaksować, powoli wdychając i wydychając powietrze. To dobra decyzja, mówi sama sobie, mrugając w ciemności oczami.

Następnego ranka Bella budzi się o świcie z lekkiego, niespokojnego snu. Przeciera oczy i unosi boczną klapę wozu. Na zewnątrz kilka gęstych promieni światła zaczęło przedzierać się przez chmury, ledwo oświetlając przestrzeń między gałęziami drzew. Tomek już zwinął namiot i matę i zaprzągnął konie. Wita się z nią skinieniem głowy i pracuje dalej.

Najwyraźniej nie zmienił zdania. Bella wsuwa do kieszeni ugotowany ziemniak, trzy inne zostawia Tomkowi. Zapina płaszcz, potem na nim kurtkę Jakuba, sięga po bochenek chleba i schodzi z wozu. Nieważne, jak uciążliwa droga przed nią, Bella nie ma nic przeciwko pożegnaniu się z ciasną, zapleśniałą przestrzenią, którą przez większość ostatnich dwóch tygodni nazywała domem.

Tomek majstruje przy jednej z uzd. Gdy Bella zbliża się do niego, zdaje sobie sprawę, że żałuje, iż nie poznała go lepiej, przynajmniej na tyle, żeby na pożegnanie móc go uścisnąć – mogłoby to dodać jej siły, napęścić odwagą, jakiej potrzebuje dla realizacji planu. Ale nie robi tego. Ledwo go zna.

– Chcę ci powiedzieć, że bardzo doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś – mówi, wyciągając dłoń. Nagle docenienie małej, a przecież nieskończenie ważnej roli, jaką Tomek odegrał w jej życiu, staje się bardzo ważne. On łapie ją za rękę.

Uścisk dłoni jest zaskakująco silny. Stojące obok konie zaczynają się niepokoić. Jeden kiwa głową, powodując pobrząk uprzęży. Drugi parska i uderza podkówną w ziemię. One też chciałyby już zakończyć tę podróż.

– Ach, Tomku, prawie zapomniałam – mówi Bella, wyciągając z kieszeni dziesięciozłotowy banknot. – Będziesz potrzebował jedzenia. Trzy ziemniaki to za mało. Wyciąga pieniądze w jego stronę. – Weź, proszę.

Tomek patrzy pod nogi, potem z powrotem na Bellę. Bierze banknot.

– Powodzenia – mówi Bella.

– Wzajemnie. Niech Bóg cię błogosławi.

Bella kiwa głową, odwraca się i wyrusza pod osłoną lasu w stronę łąki.

Po kilku minutach zbliża się do brzegu polany i zatrzymuje się, przeczesując wzrokiem otwartą przestrzeń w poszukiwaniu oznak życia. Z tego, co jest w stanie się zorientować, łąka jest pusta. Bella zerka przez ramię, czy Tomek na nią patrzy, ale pod dębami widać już tylko cienie. To on już pojechał? Bellę przechodzi dreszcz, gdy zdaje sobie sprawę ze swojej samotności. Zgodziłaś się na to, przypomina sobie

samej. Sama lepiej sobie poradzisz.

Podnosi spódnicę nad kolana, zawiązuje ją w luźny węzeł na wysokości ud, następnie wkłada bochenek pod kurtkę Jakuba i przesuwa go tak, że leży na plecach. Tak. Teraz będzie jej łatwiej się poruszać. Kuca i cicho kładzie na ziemi najpierw ręce, potem kolana.

Ziemia pod nią chlupie, zimne błoto przelewa się między palcami, koniuszki palców stają się czarne jak smoła. Trawa jest długa, ostra i wilgotna od rosy. Bezlitośnie tnie ją po twarzy i szyi. Już po kilku minutach krwawi jej policzki i jest przemoknięta do samej bielizny. Nie zważając na błoto, wilgoć i rozcięcie na policzku, klęka na chwilę, by zbadać linię drzew znajdującą się sto metrów przed nią, a następnie spogląda przez ramię za siebie. Ciągle ani śladu Niemców.

W porządku. Opiera się z powrotem na rękach, żałując, że nie ma na sobie spodni, i zdając sobie teraz sprawę, jak bezcelową próżność okazała, chcąc wyglądać ładnie dla Jakuba.

Przedzierając się przez chlupiącą łąkę, Bella myśli o swoich rodzicach, o wspólnym posiłku wieczorem w przeddzień jej wyjazdu. Matka przygotowała pierogi z kapustą i grzybami, Belli ulubione, spałaszowali je razem z ojcem. Jednak Gustawa ledwie ruszyła jedzenie leżące na talerzu przed nią. Gdy Bella przypomina sobie widok matki siedzącej przed talerzem z niezjedzonymi pierogami, ścisza się jej serce. Zawsze była szczupła, ale od wkroczenia Niemców wymizerniała. Bella sądziła, że to z powodu stresu wojennego, i gryzła się tym, że wyjeżdża, widząc, jak bardzo wątpi jest jej matka.

Przypomina sobie, jak następnego dnia, gdy ładowała swoje rzeczy na wóz Tomka, spojrziała w górę w stronę mieszkania i zobaczyła stojących przy oknie rodziców – ojca obejmującego ręką wątpą sylwetkę matki, opierającej otwarte dłonie o okienne szkło. Widziała ledwie zarys ich postaci, ale ruchy ramion Gustawy wskazywały, że płacze. Bella bardzo chciała pomachać, wyjechać od rodziców z uśmiechem na ustach, który przekonałby ich, że sobie poradzi, że wróci, żeby się nie martwili. Ale po całym bulwarze Witolda rozpełzł się Wehrmacht, nie mogła zdradzić, że wyjeżdża, machając na pożegnanie. Zamiast tego odwróciła się, odciągnęła klapę wozu i wspięła się do środka.

Bella krzywi się, gdy uderza kolanem w coś twardego, jakiś kamień. Oddycha głęboko, by ukoić ból, i czołga się dalej, myśląc o tym, jak szybko wszystko się potoczyło w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wyjazd Jakuba, najazd Niemców, list, umowa z Tomkiem. Gdy wyjeżdżała z Radomia, była rozgorączkowana, myślała tylko o tym, żeby dostać się do Lwowa i być z Jakubem. A jej rodzice? Czy poradzą sobie sami? A jeśli coś im się stanie podczas jej nieobecności? Jak im pomoże?

A jeśli jej coś się stanie? Co będzie, jeśli nie uda się jej dostać do Lwowa? Przestań – karci się. Nic ci się nie stanie.

Rodzicom nic się nie stanie. Powtarza tę intencję tak długo, aż możliwość realizacji jakiegokolwiek innego scenariusza znika z jej świadomości.

Czołgając się, próbuje wsłuchiwać się w otoczenie w poszukiwaniu oznak niebezpieczeństwa, ale jej uszy wypełnia tylko dudnienie własnego pulsu. Nigdy by nie pomyślała, że chodzenie na czworaka wymaga tyle wysiłku. Wszystko jest ciężkie – ręce, nogi, głowa. Wszystko, co ma na sobie, ciągnie ją ku ziemi: niezliczone warstwy ubrań, aparat Jakuba, ciężkie ze zmęczenia mięśnie i pot pokrywający jej skórę mimo chłodu poranka. Bolą ją stawy, każdy staw, biodra, łokcie, kolana, nadgarstki. Z każdą minutą robią się sztywniejsze. Cholerne błoto. Zatrzymuje się, tyłem dłoni ociera czoło i wyziera nad czubki trawy – jest w połowie drogi do linii lasu. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Już prawie jesteś na miejscu, mówi sobie samej,

opierając się nagłemu pragnieniu zatrzymania się i położenia na kilka minut, żeby odpocząć. Nie możesz teraz stanąć. Odpoczniesz, jak dotrzesz do lasu.

Skupiona na rytmie własnego oddechu – dwa uderzenia pulsu na wdechu przez nos, trzy na wydechu przez usta – Bella zatopiła się w tym szalonym rytmie, gdy nagle poranne niebo przecina ostry trzask, przerywając ciszę. Szybko opada na brzuch i spłaszcza ciało przy ziemi, chroniąc rękami tył głowy. Nie ma wątpliwości, co to za dźwięk. Wystrzał z broni. Czy będzie następny? Skąd padł strzał? Czy na nią polują? Czeka, mając napięty każdy mięsień ciała, zastanawia się, co robić.

Uciekać? Czy zostać w ukryciu? Instykt podpowiada jej, żeby udawać martwą. I tak leży, z nosem centymetr od błota, wdychając zapach strachu i mokrej ziemi, licząc mijające sekundy. Mija minuta, potem dwie, nasłuchuje z wytężeniem, jak łąka bawi się z nią w ciuciubabkę. Czy to wiatr szeleszczący wśród traw? Czy czyjeś kroki?

W końcu, nie mogąc już wytrzymać, Bella wciska dłonie w błoto i podnosi się w zwolnionym tempie. Przeczesuje wzrokiem horyzont poprzez trawę. Na tyle, na ile widzi, nikogo nie ma. Może wystrzał wydawał się bliższy, niż był w rzeczywistości. Nie zważając na to, że mógł pochodzić z kierunku, w którym zmierza, znów zaczyna się czołgać, teraz szybciej. Mięśnie nie są już ciężkie ze zmęczenia, energii dodaje im przerażające poczucie naglącej potrzeby.

Uda ci się. Już niedaleko. Tylko, Jakubie, bądź tam, jak przyjdę. Pod adresem, jaki mi podałeś. Poczekaj na mnie.

Powtarza te słowa z każdym oddechem. Proszę, Jakubie. Bądź tam.

12 WRZEŚNIA 1939 – BITWA O LWÓW: Bitwa zaczyna się od starć między siłami polskimi i otaczającymi miasto oddziałami niemieckimi, znacznie silniejszymi zarówno pod względem liczby żołnierzy, jak i uzbrojenia. Polacy wytrzymują niemal dwa tygodnie walk na ziemi, ostrzału i bombardowań Luftwaffe.

17 WRZEŚNIA 1939: Związek Radziecki anuluje wszystkie umowy z Polską i od wschodu najeżdża kraj. Na Lwów pełną siłą napiera Armia Czerwona. Polacy odpychają atak, ale 19 września miasto zostaje otoczone przez Sowietów i Niemców.

ROZDZIAŁ 4

Mila

Radom, Polska ~ 20 września 1939

MILA CZUJE, ŻE COŚ JEST NIE TAK, już w chwili gdy otwiera oczy. W mieszkaniu jest zbyt cicho, zbyt spokojnie. Bierze szybki oddech i siada, prostując kręgosłup. Felicja. Mila schodzi z łóżka i boso biegnie przez hol do pokoju dziecięcego.

Drzwi otwierają się bezgłośnie, Mila mruga w ciemności i zdaje sobie sprawę, że zapomniała sprawdzić, która godzina.

Cicho podchodzi do okna, a gdy odsuwa na bok ciężką bladoróżową zasłonę, pokój wypełnia promień miękkiego, przytłumionego światła. Świta. Mila ledwie może dostrzec zarys sylwetki poprzez pręty kołyski. Na palcach zbliża się do jej poręczy.

Felicja leży na boku, nie rusza się, twarz ma przykrytą zawiniętym nad uchem kocykiem. Mila sięga w dół i podnosi mały bawełniany koc, kładzie delikatnie dłoń na tyle główki Felicji, czekając, aż dziewczynka westchnie, wyda z siebie jakiś szmer, cokolwiek. Dlaczego, zastanawia się Mila, nawet gdy jej córka śpi, ona martwi się, że stało się jej coś okropnego?

W końcu Felicja porusza się, wzdycha i przewraca na drugi bok. Po kilku sekundach znów nieruchomieje. Mila oddycha z ulgą. Wyślizguje się z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Dotykając palcami ścian, cicho przechodzi do kuchni, rzucając okiem na stojący w końcu korytarza zegar. Za chwilę będzie szósta rano.

– Dorota? – woła cicho. Rano zazwyczaj budzi ją gwizdek czajnika, gdy Dorota przygotowuje dla niej herbatę. Ale jest jeszcze wcześniej. Dorota, która w tygodniu mieszka w małej służbówce obok kuchni, zazwyczaj nie zaczyna dnia przed szóstą trzydzieści. Na pewno jeszcze śpi.

– Dorota? – raz jeszcze woła Mila, świadoma, że może ją obudzić, ale nie jest w stanie pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak. Pewnie, tłumaczy sobie, to dlatego, że wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego, że budzi się bez Selima przy boku. Minęły już prawie dwa tygodnie, odkąd jej męża, razem z Genkiem, Jakubem i Adamem, wysłano do Lwowa, by przyłączyli się do polskiej armii. Selim obiecał, że napisze, jak tylko będzie na miejscu, ale dotąd nie przyszedł żaden list.

Mila obsesyjnie nasłuchuje wiadomości ze Lwowa. Według raportów miasto jest oblężone. I jakby mało było zagrożenia ze strony Niemców, dwa dni temu w radiu gruchnęła wiadomość, że Związek Radziecki zawarł sojusz z nazistowskimi Niemcami. Wszelkie pakt o nieagresji podpisane wcześniej z Polską zostały złamane i mówi się, że teraz Armia Czerwona Stalina zbliża się do Lwowa od wschodu. Polacy na pewno wkrótce zostaną zmuszeni do kapitulacji. Mila po cichu ma nadzieję, że to zrobią. Wtedy może jej mąż wróci do domu.

Kiedy Selim wyjechał z Radomia, Mila na początku bardzo walczyła ze snem, bo gdy się mu poddała, budziła się zlaną zimnym potem, trzęsąc się ze strachu, przekonana, że jej krwawe koszmary są

rzeczywistością. Jednej nocy był w nich Selim, następnej jeden z jej braci – pogruchothane ciało, mundur przesiąknięty krwią. Mila była na skraju załamania, dopóki Dorota, której syn również został powołany do wojska, nie wyrwała jej z błędnego koła.

„Nie wolno ci tak myśleć – skarciła ją któregoś ranka, gdy Mila dłubała w śniadaniu po kolejnej niespokojnej nocy.

– Twój mąż jest lekarzem. Nie będzie na froncie. A bracia są mądrzy. Zaopiekują się sobą nawzajem. Bądź dobrej myśli.

Dla własnego i jej dobra” – powiedziała, skinieniem głowy wskazując pokój dziecięcy.

– Dorota? – Mila woła trzeci raz, a włączając światło w kuchni, zauważa, że czajnik na kuchni jest zimny. Cicho puka do drzwi Doroty. Ale na stukanie jej palców w drewno odpowiada cisza. Chwyta za klamkę, pchnięciem otwiera drzwi i zagląda do środka.

Pokój jest pusty. Pościel i koc Doroty leżą schludnie złożone w nogach łóżka. Ze ściany naprzeciwko drzwi sterczy samotny gwóźdź, na którym wcześniej wisiał krzyżyk, a małe półki zawieszane przez Selima są puste, z wyjątkiem jednej, na której leży zgięta w pół kartka papieru. Mila kładzie rękę na drzwiach, nagle uginają się pod nią nogi. Po minucie zmusza się, by podnieść liścik i go przeczytać. Dorota odeszła, zostawiając jej dwa słowa: *Przykro mi.*

Mila przywodzi dłoń do ust.

– Coś ty zrobiła? – szepcze, jakby Dorota stała obok niej, ubrana w pobrudzony jedzeniem fartuch, z poprzeplatanymi srebrnymi pasmami włosów zwiniętymi ściśle w okrągły kok. Mila słyszała plotki o innych odchodzących służących.

Niektóre robiły to, by uciec z kraju, zanim wpadnie w ręce Niemców, inne tylko dlatego, że rodziny, u których pracowały, to Żydzi. Nie wzięła jednak pod uwagę możliwości, że Dorota może ją zostawić. Selim dobrze jej płacił, wydawało się, że praca sprawia jej szczerą radość. Nigdy nie powiedziały sobie złego słowa. Poza tym Dorota uwielbia Felicję. Ale ważniejsze niż to wszystko było to, że w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, gdy Mila próbowała radzić sobie z nową rolą jako matka, Dorota stała się dla niej kimś więcej niż zwykłą służącą. Stała się przyjaciółką.

Mila powoli siada na łóżku, sprężyny materaca Doroty skrzypią pod jej ciężarem. Ale co ja bez ciebie zrobię? – zastanawia się, a jej oczy zaczynają się wypełniać łzami. W mieście panuje chaos. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Mila potrzebuje sojuszniczki. Kładzie dłonie na kolanach i opuszcza głowę, czując, jak pod jej ciężarem napinają się mięśnie między łopatkami. Najpierw Selim, potem jej bracia, Adam, a teraz Dorota. Nie ma jej. Gdzieś w głębi ciała kiełkuje w niej ziarno paniki, przyspiesza jej puls. Jak ona sobie sama poradzi? Żołnierze Wehrmachtu okazali się okrutni, a nie zapowiada się na to, żeby wkrótce mieli wyjechać. Zbeczcęcili piękną ceglaną synagogę przy Podwalnej, ograbili do cna i przerobili na stajnię. Zamknęli wszystkie żydowskie szkoły, zamrozili żydowskie rachunki bankowe i zabronili Polakom prowadzić interesy z Żydami. Z każdym dniem bojkotowane są kolejne sklepy – na początku była piekarnia Friedmana, potem sklep zabawkowy Bergmana, a dalej zakład szewski Fogelmana. Gdziekolwiek by spojrzeć, wiszą wielkie płachty ze swastykami, plakaty z napisem ŻYDOSTWO TO ZBRODNIA, pokazujące okropne karykatury Żydów z haczykowatymi nosami, witryny zamalowane tym samym, trzyliterowym słowem, jakby „Żyd” to było jakieś przekleństwo, a nie część czyjejś tożsamości. Jej tożsamości. Wcześniej uważała się za matkę, żonę, utalentowaną pianistkę. Teraz nie jest nikim innym niż

po prostu Żydówką. Za każdym razem, gdy wychodzi z domu, widzi, jak kogoś napadają na ulicy albo wyciągają z mieszkania, obrabowują i biją bez wyraźnych powodów. Czynności dotąd uznawane za naturalne, jak spacer do parku z Felicją czy w ogóle wyjście z mieszkania, teraz są niebezpieczne. Ostatnio to Dorota miała odwagę wychodzić z domu po zapasy jedzenia, Dorota odbierała dla niej listy z poczty, Dorota dostarczała wiadomości jej rodzicom i z ich domu przy Warszawskiej.

Mila wpatruje się w podłogę, słucha słabego tykania zegara dochodzącego z korytarza, odgłosu mijających sekund. Za trzy dni Jom Kippur. Zresztą i tak nie ma to znaczenia – Niemcy rozrzućili po mieście ulotki z zakazem odbywania nabożeństw przez Żydów. To samo zrobili na Rosz Haszana, ale Mila zlekceważyła zakaz i gdy zapadła ciemność, przemknęła do domu rodziców. Potem tego żałowała, gdy usłyszała historie o tym, jak ktoś zrobił to samo i został przyłapany: jednego mężczyznę w wieku jej ojca zmuszono do biegu przez centrum miasta z ciężkim kamieniem w dłoniach nad głową. Innym kazano przenosić metalowe ramy łóżek z jednego końca miasta na drugi, czemu towarzyszyły uderzenia metrowej długości pałkami. Jeden młody mężczyzna został skopany na śmierć. W ten Jom Kippur, postanowiła Mila, ona i Felicja będą pokutować same, w bezpiecznym zaciszu własnego mieszkania.

Co teraz? Po policzkach ciekną jej łzy. Cichutko łka, nie jest w stanie poruszyć się choćby po to, by wytrzeć oczy i nos.

Rozgląda się po pustym pokoju i wie, że powinna być wściekła – Dorota ją zostawiła. Ale nie jest zła. Jest przerażona.

Straciła jedyną osobę pod tym dachem, której mogła ufać, zwierzyć się, na której mogła polegać. Kogoś, kto zdawał się o wiele lepiej niż ona rozumieć, jak trzeba się opiekować jej dzieckiem. Mila chciałaby zapytać Selima, co robić. To w końcu on nalegał, żeby zatrudnić Dorotę, kiedy urodziła się Felicja i Mila była na skraju załamania. Na początku nie chciała na to przystać, zbyt była dumna, by zgodzić się na to, aby ktoś obcy pomagał jej w opiece nad własnym dzieckiem.

Ale w końcu Selim miał rację, Dorota okazała się jej wybawczynią. A teraz Mila znowu przechodzi kryzys i nie ma już silnego ramienia męża, na którym mogłaby się oprzeć. Nagle Mila zdaje sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazła, i zaczyna drżeć. Bezpieczeństwo jej samej, a zarazem Felicji, znajduje się teraz tylko i wyłącznie w jej rękach. Do gardła podchodzi jej żółć, czuje jej smak, ostry i cierpki. Żołądek ją ściska, gdy wracają do niej dwa obrazy – jeden to zdjęcie, jakie widziała w „Trybunie” zaraz po upadku Czechosłowacji, płacząca kobieta z Moraw, z jedną ręką karnie uniesioną w nazistowskim pozdrowieniu, drugi to scena z jednego z jej koszmarów – żołnierz ubrany na zielono wrywa Felicję z jej objęć. O, dobry Boże, błagam, nie pozwól im mi jej zabrać. Miłą ogarniają mdłości. Wymiociny lądują z mokrym plaskiem na linoleum między jej stopami. Zaciska powieki, kaszle, walcząc z kolejną falą mdłości i ukłuciem żalu. Co ty sobie myślałaś, że tak szybko chciałaś założyć rodzinę? Kiedy odkryła, że jest w ciąży, byli z Selimem małżeństwem niecałe trzy miesiące. Była wtedy tak pewna siebie. Niczego bardziej nie chciała, niż wychować dziecko. Wiele dzieci. Całą ich orkiestrę, jak kiedyś żartowała. A potem Felicja okazała się bardzo grymaśnym niemowlęciem, a macierzyństwo wymagało od niej o wiele więcej, niż się spodziewała. A teraz jest wojna. Gdyby wiedziała, że przed pierwszymi urodzinami Felicji Polski już nie będzie... znów się krztusi, i w jednej okropnej, niezdrowej chwili wie, co musi zrobić.

Rodzice prosili ją, żeby wróciła na Warszawską, kiedy Selim wyjechał do Lwowa. Ale Mila wolała zostać u siebie. To mieszkanie było teraz jej domem. A poza tym nie chciała być ciężarem. Wojna niedługo

się skończy, powiedziała. Selim wróci i zaczną od nowa tam, gdzie przerwali. Ona i Felicja poradzą sobie same, tłumaczyła, a poza tym ma Dorotę. Ale teraz...

Ciszę przerywa płacz Felicji, Mila podskakuje. Wyciera usta rękawem sukienki, wkłada liścik Doroty do kieszeni i wstaje.

Gdy pokój zaczyna kręcić się wokół, Mila opiera się o ścianę, by zachować równowagę. Oddychaj, Mila. Posprząta później, postanawia, robiąc krok nad kałużą na podłodze. W kuchni wyciera usta i opłukuje twarz zimną wodą.

– Idę, kochanie! – woła, gdy Felicja ponownie kwili.

Dziewczynka stoi przy poręczu kołyski, trzymając ją mocno obiema rączkami, koc leży na podłodze przed nią. Gdy dostrzega matkę, promiennie się uśmiecha, pokazując cztery maleńkie zaczątki zębów – dwa na górnym i dwa na dolnym dążeń.

Mila się rozczuła.

– Dzień dobry, słodziutka – szepcze, podając Felicji jej kocyk, i podnosi ją z kołyski. Dwa miesiące temu, gdy Mila odstawiła ją od piersi, Felicja zaczęła przesypiać całą noc. Dzięki dodatkowemu odpoczynkowi obie, matka i córka, wyszły na prostą. Felicja stała się szczęśliwszym dzieckiem, a Mila przestała się czuć, jakby była na skraju szaleństwa. Felicja obejmuje matkę za szyję, a Mila delektuje się ciężarem ciepłego policzka córki opartego o jej pierś. O to właśnie mi chodziło, przypomina sobie. Właśnie oto. – Jestem przy tobie – szepcze, trzymając jedną rękę na plecach Felicji.

Felicja podnosi głowę, obraca się do okna i wskazuje malutkim paluszkiem.

– E? – intonuje. Taki dźwięk wydaje, gdy jest czymś zaciekawiona.

Mila spogląda za jej wzrokiem.

– Tam – mówi. – Na zewnątrz?

– Ta – naśladuje ją Felicja.

Mila podchodzi do okna, żeby pobawić się w znaną zabawę, polegającą na wskazywaniu wszystkiego, co widać: cztery nakrapiane gołębie przycupnięte przy kominie, matowy biały klosz ulicznej latarni, trzy łukowate bramy z kamienia po drugiej stronie ulicy, a nad nimi trzy wykute z żelaza balkony, para koni ciągnąca wóz. Mila pomija flagę ze swastyką zwisającą z otwartego okna, witryny sklepów pokryte napisami, nowo odmalowaną tablicę z nazwą ulicy (nie mieszka już przy Żeromskiego, ale Reichstrasse). Gdy Felicja patrzy na sunące w dole konie, Mila całuje ją w czoło, pozwalając, by włosy córki – a właściwie meszek – w kolorze cynamonu poślaskotały ją w nos.

– Twój tata na pewno bardzo za tobą tęskni – szepcze, myśląc o tym, jak Selim potrafił rozśmieszyć Felicję, wkładając nos w jej włosy i udając, że kicha. – Niedługo wróci do nas, do domu. Ale na razie jesteśmy same, ty i ja – dodaje, próbując nie zauważyć smaku goryczy wciąż odczuwanego w gardle, gdy uświadamia sobie potworność wypowiedzianych słów. Felicja spogląda na nią, prawie jakby rozumiała, a potem przyciąga koc do ucha i jeszcze raz kładzie policzek na piersi Mili.

Za parę godzin, postanawia Mila, spakują trochę ubrań, szczoteczka do zębów, kocyk Felicji i stosik pieluch, i pójdą sześć kamienic dalej do domu rodziców przy Warszawskiej 14. Już czas.

ROZDZIAŁ 6

Adi

Tuluza, Francja ~ 21 września 1939

ADI CHOWA SIĘ W KAWIARNI z widokiem na ogromny Place du Capitole. Przed nim leży otwarty zeszyt nutowy w formie kołonoatnika. Odkłada ołówek i rozmasowuje skurczony mięsień między kciukiem a palcem wskazującym.

Spędzanie weekendów na pisaniu przy stole w tym bistro stało się jego rutyną. Nie podróżuje już do Paryża – zatracanie się w hałaśliwej zabawie nocnego życia Montmartre, gdy w jego ojczyźnie trwała wojna, wydawało mu się niepoważne. Zamiast tego poświęca się muzyce i cotygodniowym wycieczkom do polskiego konsulatu w Tuluzie, gdzie od miesiąca próbuje zdobyć wizę podróżną – dokument potrzebny, żeby móc wrócić do Polski. Dotąd jego wysiłki były irytująco bezowocne. Podczas pierwszej wizyty, w marcu, trzy tygodnie przed świętem Pesach, urzędnik tylko spojrzął na paszport Adiego i pokręcił głową, przesuując mapę po biurku i wskazując na kraje oddzielające go od Polski: Niemcy, Austria, Czechosłowacja.

– Nie przejedzie pan przez punkty kontrolne – powiedział, uderzając palcem w miejsce w paszporcie Adiego, gdzie napisane było RELIGIA: ŻYD., skrót od żydowska. Matka miała rację, zrozumiał Adi, odczuwając wielki wyrzut sumienia z tego powodu, że w nią zwątpił. Podróż przez niemieckie granice nie tylko była dla niego zbyt niebezpieczna, ale najwyraźniej również nielegalna. Mimo to Adi wciąż wracał do konsulatu z nadzieją, że przekona urzędnika, by udzielił mu jakiegoś pozwolenia na zasadzie wyjątku, że zmęczy go swoją nieustępliwością. Za każdym razem słyszał jednak to samo.

Niemożliwe. I tak po raz pierwszy w dwudziestopięcioletnim życiu nie było go w Radomiu na Pesach. Opuścił również Rosz Haszana.

Gdy Adi nie jest w pracy albo nie pisze do domu, albo nie komponuje, albo nie zadziera sekretarzy w konsulacie, to ślęczy nad nagłówkami „La Depeche de Toulouse”. Z każdym dniem, wraz z eskalacją wojny, rośnie jego niepokój. Dziś rano przeczytał, że do Polski od wschodu weszła Armia Czerwona i próbowała zdobyć Lwów. We Lwowie są jego bracia.

Matka napisała, że zostali powołani do wojska razem z innymi młodymi mężczyznami z Radomia. Wydaje się, że miasto lada dzień się podda. Polska się podda. Co się stanie z Genkiem i Jakubem? Adamem i Selimem? Co się stanie z Polską?

Adi znalazł się w kropce. Jego życie, jego decyzje, jego przyszłość – niczego nie ma pod kontrolą. Jest to uczucie, do którego nie jest przyzwyczajony i którego nie znosi. Nie znosi tego, że nie ma sposobu na powrót do domu, na kontakt z braćmi. Na szczęście jest przynajmniej w kontakcie z matką. Często do siebie piszą. W ostatnim liście, który wysłała parę dni po kapitulacji Radomia, opisała, z jakim żalem żegnała się z Genkiem i Jakubem tego wieczoru, gdy wyjechali do Lwowa, jak bolesne było patrzeć na pożegnanie Haliny i Mili z Adamem i Selimem i obserwować, jak Niemcy wchodzą do Radomia. Napisała,

że miasto zostało zajęte w ciągu kilku godzin. Żołnierze Wehrmachtu są wszędzie.

Adi kartkuje strony, rzucając okiem na swoje dzieło, wdzięczny muzyce za to, że pozwala odwrócić uwagę.

Przynajmniej to jest jego. Nikt mu tego nie może odebrać. Odkąd w Polsce wybuchła wojna, pisze zawzięcie, prawie ukończył nowy utwór na fortepian, klarnet i kontrabas. Zamyka oczy, wystukuje akord na wymyślonej klawiaturze na swoich kolanach i zastanawia się, czy niesie on ze sobą jakiś potencjał. Ma za sobą już jeden sukces komercyjny – utwór *List* nagrany przez utalentowaną piosenkarkę Verę Gran, który opowiada historię młodego mężczyzny piszącego do domu, do ukochanej. Adi napisał *List* na krótko przed wyjazdem z Polski na studia i nigdy nie zapomni, jak się czuł, gdy po raz pierwszy usłyszał piosenkę w radiu, jak zamknął oczy i słuchał melodii, którą stworzył, jak wylewała się z głośników radiowych, jak pękał z dumy, gdy następnie podano nazwisko kompozytora, jego nazwisko. Może *List*, marzył sobie wtedy, okaże się utworem, dzięki któremu muzyka stanie się wreszcie jego zawodem.

W Polsce to był przebój – do tego stopnia, że w Radomiu Adi stał się w pewnym sensie sławny, co oczywiście prowokowało nieustanne zaczepki ze strony jego rodzeństwa. „Braciszku, poproszę autograf!” – wołał za nim Genek, gdy Adi przyjeżdżał z wizytą do domu. W tamtym czasie nie przeszkadzało mu, że skupiał na sobie uwagę, albo to, że w żartach swojego przystojnego starszego brata wyczuwał nutkę zazdrości. Rodzeństwo na pewno cieszyło się z jego sukcesu. Byli też z niego dumni. Widzieli, jak komponował, odkąd jego stopy ledwie zdołały osiągnąć pedałów baby granda rodziców. Rozumieli, że to był dla niego moment przełomowy. Adi wiedział, że w sekrecie zazdrościli mu jednak życia w wielkim mieście. Genek odwiedził go w Tuluzie, raz spotkał się z Adim w Paryżu. Za każdym razem, jak wyjeżdżał, mamrotał o tym, jak wspaniale wydawało się życie Adiego we Francji w porównaniu z jego własnym. Teraz rzecz jasna jest inaczej. Teraz nie ma nic wspaniałego w przebywaniu w kraju, w którym Adi jest praktycznie uwięziony. Nawet jeśli jego rodzinne miasto zajęli Niemcy, Adi zrobiłby wszystko, żeby móc tam wrócić.

Kilka ostatnich promieni słońca tworzy nad fasadą ratusza o marmurowych kolumnach różową łunę. Adi patrzy na stadko gołębi, które uciekają, gdy jakaś starsza kobieta idzie w kierunku zadaszonych arkad po zachodniej stronie budynku, i przypomina mu się, jak pewnego wieczoru minionego lata siedział o zachodzie słońca z przyjaciółmi w kawiarni na podobnym placu na Montmartre, sącząc kieliszek po kieliszku semillon. Adi powtarza w duchu rozmowę, jaka odbyła się tego wieczoru, przypominając sobie, jak w chwili gdy pojawił się temat wojny, jego przyjaciele wzruszyli ramionami. „Hitler to *un bouffon* – stwierdzili. – Cała ta gadanina o wojnie to przesada, *une agitation*. Nic z tego nie będzie. – *Le dictateur deteste le jazz!* – oświadczył jeden z jego przyjaciół. – Jazzu nienawidzi jeszcze bardziej niż Żydów!

Wyobrażasz go sobie, jak chodzi wokół Place de Clichy z dłońmi na uszach?”. Wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem.

Adi śmiał się razem z nimi.

Sięga po ołówek, wraca do swojego zeszytu nutowego. Zawiązuje muzyczną frazę, potem następną, szybko zapisuje, tak by ołówek nadążył za muzyką rodzącą się w jego głowie. Mijają dwie godziny. Stoliki wokół niego zaczynają się zapełniać mężczyznami i kobietami, którzy szykują się do kolacji, ale Adi prawie tego nie zauważa. Kiedy w końcu podnosi głowę, niebo ma już kolor fioletowoniebieski. Robi się późno. Adi płaci rachunek, zwija kołnотatnik pod pachę i idzie przez plac do swojego mieszkania przy

Rue de Remusat.

Wchodzi na podwórko kamienicy, otwiera skrzynkę pocztową i szybko przegląda niewielki pakiet listów. Nie ma niczego z domu. Rozczarowany wspina się po schodach na czwarte piętro, odwiesza kapelusz, zdejmując buty i odkłada je posłusznie na leżącą przy drzwiach słomianą wycieraczkę. Rzuca listy na stół, włącza radio, nalewa wody do czajnika i stawia go do zagotowania na kuchence.

Jego mieszkanie jest małe i czyste, są w nim tylko dwa pomieszczenia – mała sypialnia i kuchnia, w której ledwo mieści się okrągły stolik – ale jemu to odpowiada. Tylko on spośród rodzeństwa jest ciągle sam, mimo wielu zachęt ze strony matki. Otwiera małą lodówkę i studiuje jej zawartość – odrobina kremowego camemberta, pół litra koziego mleka, dwa nakrapiane jajka, dwa jabłka – tego samego gatunku, jakie matka dawała mu na przekąskę, gdy był mały, pokrojone i skropione miodem (Adi lubi mieć zawsze jedno pod ręką) – kawałek zawiniętego w papier, parzonego ozorka wołowego od rzeźnika, w połowie zjedzona tabliczka ciemnej szwajcarskiej czekolady. Sięga po czekoladę. Delikatnie, by jej nie złamać, zdejmuje sreberko i odłamuje kawałek słodko – gorzkiego kakao, które przez chwilę rozpuszcza w ustach. – *Merci, la Suisse* – szepcze, siadając przy stoliku.

Na wierzchu stosiku z listami leży najnowszy przegląd „Jazz Hot”. Adi przegląda nagłówki. Jeden z nich brzmi: STRAYHORN I ELLINGTON TWORZĄ DUET KOMPOZYTORSKI. Jego dwóch ulubionych kompozytorów jazzowych.

Odnutowuje w głowie, że ma obserwować ich pracę. Pod „Jazz Hot” leży niebieski świstek papieru, którego wcześniej nie zauważył. Gdy go dostrzega, podskakuje mu serce, a resztki czekolady na języku nagle nabierają intensywnego smaku.

Podnosi kartkę, obraca ją. U góry wydrukowane są trzy słowa: COMMANDE DE CONSCRIPTION. To rozkaz powołania do służby wojskowej.

Adi czyta kartkę dwa razy. Nakazuje mu przyłączyć się do polskiej kolumny w armii francuskiej. Ma się natychmiast stawić w L'hôpital de La Grave na badania i dopełnienie formalności. Służbę rozpocznie 6 listopada w Parthenay we Francji. Adi odkłada rozkaz na stół i przez dłuższą chwilę patrzy na niego. Wojsko. I pomyśleć, że dziś rano użalał się nad braćmi, próbując wyobrazić ich sobie w mundurach, przerażony na myśl, co może ich spotkać. Teraz sam znalazł się w takiej sytuacji.

Zaczyna mu dzwonić w uszach i dopiero po chwili uświadamia sobie, że to woda się zagotowała. Podnosi się, żeby wyłączyć palnik, jednocześnie przeczesując ręką włosy. Gdy gwizdek czajnika cichnie, Adiego uderza fakt, jak szybko wszystko może się zmienić w tej jego nowej rzeczywistości. Jak w jednej chwili ktoś może zdecydować o jego przyszłości.

Bierze do ręki powołanie do wojska i podchodzi do kuchennego okna z widokiem na róg Place du Capitole, opiera czoło o szybę. Z głośników radia sączy się cicho dźwięk klarnetu Sidneya Becheta, ale Adi tego nie słyszy. Wojsko. Kilku jego znajomych zostało powołanych, ale to byli Francuzi. Miał nadzieję, że jako obcokrajowca wyłączą go z tego obowiązku.

Ale to, co napisano małym drukiem u dołu kartki, sugeruje, że jest przeciwnie. NIESTAWIENIE SIĘ NA SŁUŻBĘ SKUTKUJE

ARESztOWANIEM I WIĘZIENIEM. *Merde*. Adi jest w dobrej kondycji fizycznej. W wieku, w którym się walczy. Nie ma ucieczki. *Merde. Merde. Merde*.

Cztery piętra niżej prowansalski krzyż Morettiego w granitowych płytach placu wygląda w świetle

ulicznej latarni niczym ogromny tatuż. Na niebie wschodzi księżyc w nowiu. Jak to możliwe, myśli Adi, że tu jest tak spokojnie, a za granicą ktoś wznieca wojnę? Gdzie są teraz Genek i Jakub? Czy czekają na rozkazy? Czy w tej właśnie chwili są na polu walki? Adi spogląda na niebo, wyobraża sobie braci, jak ramię w ramię, ściśnięci siedzą w okopach, nieświadomi wschodzącego księżyca, myślą tylko o latających nad ich głowami moździerzach.

Wilgotnieją mu oczy. Wsuwa dłoń do kieszeni spodni i wyciąga chusteczkę, podarunek od matki. Dostał ją od niej rok temu, kiedy ostatnio był w domu na Rosz Haszana. Jak mu powiedziała, tkaninę znalazła w Mediolanie podczas jednego ze swoich wyjazdów handlowych. To miękkie, białe płótno, do którego ręcznie doszyła wąską lamówkę, a w rogu wyhaftowała jego inicjały AAIK. Adolf Abraham Izrael Kurc. „Jest piękna”, stwierdził Adi, gdy matka wręczyła mu chusteczkę. „Ach, to drobnostka”, odpowiedziała Nechama, ale Adi wiedział, jak wiele troski włożyła w jej uszycie, jak dumna była ze swoich umiejętności. Przejeżdża kciukiem po hacie, wyobrażając sobie, jak matka pracuje na tyłach sklepu. Przed nią leży bela tkaniny, centymetr krawiecki, nożyczki, a z boku czerwona jedwabna poduszeczka na szpilki.

Widzi, jak matka odmierza nić, bierze jeden koniec w palce i zwilża w ustach, zanim przewlecze go przez nieprawdopodobnie małe uszko igły.

Adi bierze głęboki oddech, czując, jak jego pierś podnosi się i opada. Wszystko będzie dobrze, przekonuje się.

Powstrzymają Hitlera. We Francji nie było jeszcze żadnych walk i, jak się wydaje, wojna skończy się, zanim się zaczyna.

Może przyjaciele w Tuluzie, którzy zaczęli mówić o tej wojnie *drôle de guerre* – wojna na niby, mają rację i jest tylko kwestią czasu, kiedy będzie mógł wrócić do Polski, do rodziny, do życia, które zostawił za sobą, gdy wyjechał do Francji.

Adi myśli o tym, że gdyby rok temu ktoś zaproponował mu pracę w Nowym Jorku, pewnie poleciałby tam na skrzydłach.

Teraz jednak zrobiłby wszystko, naprawdę wszystko, żeby tylko być w domu, usiąść przy stole jadalnym w otoczeniu rodziców i rodzeństwa. Składa chusteczkę z powrotem do kieszeni. Dom. Rodzina. Nic bardziej się nie liczy. Teraz to wie.

22 WRZEŚNIA 1939: Lwów kapituluje przed sowiecką Armią Czerwoną.

27 WRZEŚNIA 1939: Polska kapituluje. Hitler i Stalin natychmiast dokonują podziału kraju – Niemcy okupują część zachodnią (z Radomiem, Warszawą, Krakowem, Lublinem), a Związek Radziecki część wschodnią (z Lwowem, Pińskiem i Wilnem).

ROZDZIAŁ 7

Jakub i Bella

Lwów, Polska okupowana przez Związek Radziecki ~ 30 września 1939

BELLA SPRAWDZA MOSIĘŻNY NUMER zawieszony na czerwonych drzwiach.

– Trzydzieści dwa – szepcze pod nosem, dwa razy porównując numer z adresem napisanym ręcznie przez Jakuba w liście, który przywiozła ze sobą z Radomia. Ulica Kalinina 19. Mieszkania 32.

Na jej szyi wisi aparat fotograficzny Jakuba, na ramieniu jest przewieszona jego kurtka, złożona tak, żeby ukryć warstwy błota, jakie przywarły do niej po drodze. Nigdy wcześniej nie była taka brudna. Zdjęła parę podartych pończoch, przeklinając ich utratę. Starła się wytupać błoto z podeszew butów i polizanym kciukiem próbowała wytrzeć twarz, ale bez lustra był to daremny wysiłek. Włosy ma tak splątane jak ciernisty krzew, a pod wszystkimi warstwami ubrania wciąż czuje wilgoć. Gdy podnosi ramię, zapach jest potworny. Och, jak bardzo potrzebuje się umyć! Musi wyglądać strasznie.

Nieważne. Dotarłaś. Udało ci się. Po prostu zapukaj.

Jej pięść zawisa kilka centymetrów przed drzwiami. Bella powoli bierze głęboki oddech, oblizuje wargi i uderza delikatnie w drewno drzwi. Pochyliła do przodu głowę, nasłuchuje. Nic. Znow puka, tym razem głośniej. Gdy już ma to zrobić po raz trzeci, słyszy słaby odgłos kroków. Jej serce bije w rytm każdego kroku, coraz głośniej, w miarę jak głośniejsze stają się kroki, i przez chwilę Bella jest spanikowana. A co, jeśli po tej całej podróży przywita ją nie jej Jakub, ale ktoś obcy?

– Kto tam?

Z jej ust wydobywa się parsknięcie – śmiech, pierwszy od tygodni – i Bella nagle zdaje sobie sprawę, że przestała oddychać. To on.

– Jakub! Jakub, to ja! – mówi do drzwi, podnosząc się na palcach, nagle czując się lekka jak piórko. Zanim zdąży dodać: „To ja, Bella”, słychać szybkie kliknięcie metalu, przesunięcie zasuwki i drzwi szybko się otwierają, wywołując podmuch powietrza. A potem on, jej ukochany, patrzy na nią, w nią, aż pod warstwami brudu, potu i smrodu jakimś cudem czuje się piękna.

– To ty! – szepcze Jakub. – Jakim cudem...? Wejdz, szybko. – Wciąga ją do środka i zamyka drzwi na klucz. Ona kładzie na podłodze jego kurtkę i aparat, a gdy się prostuje, jego ręce spoczywają na jej ramionach. Trzyma ją delikatnie, wzrok błądzi po jej sylwetce, badając ją. Bella dostrzega w jego oczach zmartwienie, wyczerpanie i niedowierzanie. Cokolwiek wydarzyło się tu, we Lwowie, pozostawiło na nim ślad. Wydaje się, że od wielu dni nie spał.

– Kuba – zaczyna, zwracając się do niego, jak czasem to robi, jego żydowskim imieniem, niczego bardziej nie pragnąc, jak tylko zapewnić go, że z nią wszystko w porządku, teraz jest tutaj i on nie musi się martwić. Ale on jeszcze nie jest gotowy, żeby coś powiedzieć. Przyciąga ją do siebie, obejmując tak mocno, że prawie brak jej tchu, i w tej sekundzie Bella wie, że dobrze zrobiła, przyjeżdżając.

Z rękami wciśniętymi pod jego ramiona Bella przyciska głowę do znajomego zgięcia w jego szyi,

a potem głaszcząc jego wąskie plecy ku górze. Jakub pachnie tak jak zwykle – skrawkami drewna i skóry i mydłem. Czuje, jak jego serce bije tuż przy jej sercu, czuje ciężar jego policzka na swojej głowie. Pod koszulą kości ramion wystają mu jak bumerangi, bardziej, niż zapamiętała. Stoją tak całą minutę, w końcu Jakub odchyła się do tyłu, podnosząc ją do góry, aż jej stopy zaczynają machać nad podłogą. Śmieje się, okręca ją dookoła, aż wkrótce pokój staje się niewyraźnym tłem, a ona też się śmieje.

Gdy jej stopy wracają na podłogę, Jakub przechyla się do przodu. Ona pozwala swojemu ciału, by zagłębiło się w jego ramionach, a gdy on się nad nią pochyla, ona odrzuca głowę do tyłu, czuje, jak do uszu napływa jej krew. On kołysze ją tak przez chwilę, wiszącą na jego rękach, ostatnia, radosna pozycja w tańcu towarzyskim, a potem podciąga ją z powrotem do góry.

Znów się w nią wpatruje, trzymając ją za obie dłonie. Jego twarz przybiera nagle poważny wyraz.

– Nie mogę uwierzyć, że dałaś radę – mówi, kręcąc głową. – Twój list dostałem zaraz po rozpoczęciu walk. Potem nas zmobilizowano, a kiedy wróciłem, ciebie wciąż nie było. Gdybym wiedział, że będzie tak źle, Bello, przysięgam, że nigdy bym cię nie poprosił o przyjazd. Tak bardzo się martwiłem.

– Wiem, kochany. Wiem.

– Nie wiem, jak sobie poradziłaś.

– Kilkakrotnie prawie zawróciliśmy.

– Wszystko mi opowiedz.

– Opowiem, ale najpierw, błagam, kąpiel – Bella się uśmiecha.

Jakub wzdycha, jego spojrzenie łagodnieje.

– Co ja bym zrobił, gdyby...

– Ciiii, kochanie. Już dobrze, kochany. Jestem tutaj.

Jakub opuszcza podbródek, czołem łagodnie dotyka czoła Belli.

– Dziękuję – szepcze, zamykając oczy – że przyjechałaś.

Siedzą przy małym kwadratowym stole w kuchni, obejmując dłońmi kubki z gorącą czarną herbatą. Bella ciągle ma jeszcze po kąpieli mokre włosy i zaróżowioną skórę na szyi i policzkach – szorowała się i moczyła przez całe trzy minuty, zanim Jakub zapukał cicho do drzwi łazienki i, rozebrany, wszedł do niej do wanny.

– Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że się uda – mówi Bella. Właśnie skończyła wyjaśniać, na czym polegał plan Tomka, jak paraliżował ją strach przed tym, że ktoś ją odkryje, zawróci albo uwięzi. Okazuje się, że Tomek miał rację, jeśli chodzi o niemiecki front – przechodząc przez łąkę w miejscu, gdzie ją zostawił, zdołała go okrążyć. Ale gdy dotarła do lasu po drugiej stronie, straciła orientację i skręciła na północ. Szła godzinami, aż w końcu natrafiła na tory kolejowe, które doprowadziły ją do niewielkiej stacji na obrzeżach miasta. Tam, pomimo tego, że była cała zabłocona i wyglądała żałośnie, udało się jej przekonać kontrolerów, by pozwolili jej przejść. Za ostatnią złotówkę kupiła bilet w jedną stronę i ostatnich kilka kilometrów do Lwowa przejechała pociągiem.

– Gdy tu dotarłam, byłam zaskoczona – mówi Bella. – Nie widziałam na ulicach żołnierzy Wehrmachtu, a spodziewałam się, że będzie się tu od nich roić.

Jakub kręci głową.

– Niemcy wyjechali – mówi cicho. – Lwów jest teraz okupowany przez Sowieców. Hitler wycofał stąd swoich ludzi na kilka dni przed kapitulacją Polski.

- Poczekaj – na co?
- Lwów upadł tylko trzy dni wcześniej niż Warszawa...
- Polska s... skapitulowała? – Policzki Belli pobladły.

Jakub bierze ją za rękę.

- Nie słyszałaś?
- Nie – szepcze Bella.

Jakub przełyka ślinę, najwyraźniej nie wie, od czego zacząć. Chrząka i tak krótko, jak się da, wyjaśnia Belli, co przegapiła. Mówi, jak Polacy we Lwowie całymi dniami czekali na pomoc Armii Czerwonej, która stacjonowała zaraz pod miastem, od wschodu, a oni myśleli, że ją wysłano, by ich wesprzeć, i jak po jakimś czasie stało się jasne, że nie o to chodziło. Opisuje, jak wielokrotną przewagę liczebną mieli wrogowie, jak, gdy miasto w końcu się poddało, generał Sikorski, dowódca polskich wojsk, wynegocjował układ, na mocy którego polscy oficerowie mogli wyjechać ze Lwowa.

„Zarejestrujcie się w radzieckich urzędach i jedźcie do domu”, powiedział generał. Jakub robi przerwę, przez chwilę wpatruje się w swój kubek.

– Ale jak tylko Niemcy wyjechali, dziesiątki polskich oficerów zostało aresztowanych bez słowa wyjaśnienia przez NKWD. To wtedy zrzuciłem mundur – dodaje Jakub – i postanowiłem, że lepiej będzie, jeśli ukryję się tutaj i poczekam na ciebie.

Bella obserwuje jego jabłko Adama, jak podnosi się do góry i opada. Jest oszołomiona.

– Kilka dni później – mówi dalej Jakub – po upadku Warszawy, Hitler i Stalin podzielili Polskę na pół. Dokładnie pośrodku. Naziści przejęli zachód. Armia Czerwona wschód. Tutaj we Lwowie jesteśmy po radzieckiej stronie... i to dlatego nie widzisz tutaj Niemców.

Bella nie jest w stanie wydusić słowa. Sowieci przeszli na stronę Niemców? A Polska się poddała?

- Czy ty... czy musiałeś... – Słowa grzęzną jej w gardle.
- Były walki – mówi Jakub. – I bombardowania. Niemcy zrzucili mnóstwo bomb. Widziałem, jak umierają ludzie, widziałem okropne rzeczy... ale nie. – Jakub wzdycha, patrząc na własne dłonie. – Nie musiałem... udało mi się nikogo nie skrzywdzić.
- A co z twoim bratem, z Genkiem? A Selim? Adam?
- Genek i Adam są tutaj we Lwowie. Tylko Selim... nie odezwał się, odkąd Niemcy się wycofali.

Bella smutnieje.

- A co z aresztowanymi oficerami?
- Nikt ich odtąd nie widział.
- O Boże – szepcze Bella.

W sypialni jest ciemno, ale po oddechu leżącego obok Jakuba Bella wie, że on też nie śpi. Już prawie zapomniała, jak przyjemnie jest położyć się do snu na materacu. Zdawało się, że to istne niebo w porównaniu z drewnianą podłogą wozu Tomka. Odwraca twarz do Jakuba i przerzuca nagą łydkę na jego kolano.

- Co teraz zrobimy? – pyta.

Jakub ściska jej łydkę drugą nogą. Bella czuje jego wzrok. On znajduje jej dłoń, całuje ją i przyciąga do piersi.

- Powinniśmy się pobrać.

Bella się śmieje.

– Brakowało mi tego dźwięku – mówi Jakub, a Bella zgaduje, że się uśmiecha.

Oczywiście ona miała na myśli, co robić dalej – to znaczy na przykład, czy zostać we Lwowie, czy wrócić do Radomia.

Nie rozmawiali o tym, co będzie bezpieczniejsze. Przyciska nos, a potem usta do jego ust, trwając przez kilka sekund w pocałunku.

– Mówisz poważnie? – szepcze potem. – Nie możesz mówić poważnie. – Nie spodziewała się, że pojawi się temat ślubu. A przynajmniej nie pierwszej nocy spędzonej znowu razem. Najwyraźniej wojna dodała mu odwagi.

– Oczywiście, że mówię poważnie.

Bella zamyka oczy, jej kości mocno wbijają się w materac. Postanawia, że porozmawiają o planach jutro.

– Czy to były oświadczenia? – pyta.

Jakub całuje jej podbródek, policzki, czoło.

– No to chyba zależy od tego, jaka będzie odpowiedź – mówi w końcu.

Bella się uśmiecha.

– Wiesz, kochany, jaka jest moja odpowiedź. – Przekręca się na drugi bok, on wpasowuje się kolanem w zgięcie jej kolan od tyłu, obejmuje ją, otula własnym ciepłem. Są do siebie doskonale dopasowani.

– W takim razie postanowione – mówi Jakub.

Bella się uśmiecha.

– Postanowione.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – szepcze Jakub. – Tak bardzo się bałam, że ci się nie uda.

– A ja bardzo się bałam, że cię nie znajdę.

– Nigdy więcej już tak nie róbmy.

– Jak?

– To znaczy... nigdy już się nie rozdzielajmy, nigdy. To było... – Jego głos cichnie w szept. – To było okropne.

– Okropne – przytakuje Bella.

– Od teraz zawsze razem, dobrze? Żeby nie wiem co.

– Tak. Żeby nie wiem co.

ROZDZIAŁ 8

Halina

Radom, Polska pod okupacją niemiecką ~ 10 października 1939

TRZYMAJĄC W WOLNEJ RĘCE NÓŻ, Helena zdmuchuje z oczu kosmyk blond włosów i przesuwając się do przodu na kolanach. Przyciska wiązkę liści czerwonych buraków do ziemi, napina szczękę, podnosi ostrze i opuszcza je z możliwie największą siłą. Ciach. Parę godzin wcześniej nauczyła się, że jeśli włoży wystarczająco dużo siły, odetnie liście za jednym zamachem, zamiast ciąć każdą z roślin na dwa razy. Ale to było wtedy. Teraz jest zmęczona. Czuje, jakby ręce miała z drewna, jakby w każdej chwili miały się oddzielić od ramion. Teraz potrzeba dwóch, a czasem trzech prób. Ciach.

Bracia napisali niedawno ze Lwowa, że Sowieci przydzielili im prace biurowe. Biurowe! Ta myśl zaczęła ją drażnić. Jak to możliwe, że z całej rodziny właśnie ona skończyła na polu? Przed wojną Halina pracowała jako asystentka w laboratorium medycznym szwagra, Selima, nosiła tam biały kitel i lateksowe rękawiczki. Jej dłonie nigdy nie były brudne. Przypomina sobie pierwszy dzień w laboratorium, jak była pewna, że praca będzie uciążliwa, i jak tydzień później odkryła, że badania – ich szczegółowość, codzienny potencjał nowych odkryć – niosły ze sobą zaskakującą satysfakcję.

Wszystko by dała, by wrócić do dawnej pracy. Ale laboratorium, podobnie jak sklep rodziców, zostało skonfiskowane, a jeśli się było Żydem bez pracy, Niemcy szybko znajdowali mu nową. Rodziców przydzielono do niemieckiej kawiarni, Milę do warsztatu krawieckiego, w którym naprawiała mundury z niemieckiego frontu. Halina nie ma pojęcia, dlaczego ona dostała akurat takie zadanie. Myślała, że to żart, uśmieła się wręcz, gdy urzędnik tymczasowego miejskiego urzędu pracy wręczył jej świstek papieru, na którego górze napisano POLE BURAKÓW. Przecież ona nie ma ani krzty doświadczenia w uprawie warzyw. Ale najwyraźniej to nie ma znaczenia. Niemcy są głodni, a rośliny gotowe, żeby wyciągnąć je z ziemi.

Halina marszczy brwi, patrząc na swoje ręce. Ledwie dają się poznać, buraki zabarwiły je na ciemną fukcję, a każdą linię wypełnia brud – pod paznokciami, w małych zmarszczkach wokół stawów, w licznych zdartych pęcherzach na spodzie dłoni. W jeszcze gorszym stanie są jednak jej ubrania. Zupełnie zniszczone. Nie przejmuje się tak bardzo spodniami (jak dobrze, że nie włożyła spódnicy), ale bardzo lubi swoją szyfonową bluzkę, a buty to już w ogóle inna historia. To jej najnowsza para, sznurowane brogisy o lekko prostokątnym nosku na małym, płaskim obcasie. Kupiła je latem u Fogelmana i włożyła dzisiaj, sądząc, że dostanie pracę w biurze gospodarstwa, może przy księgowości, i nie zaszkodzi, jeśli porządny wyglądem zrobi dobre wrażenie na nowym szefie. Piękne, brązowe noski z cordovanu są teraz zdarte i odbarwione, już prawie nie widać misternych dekoracyjnych perforacji po bokach butów. Tragedia. Czyszczenie ich za pomocą igły zajmie jej wiele godzin. Jutro, postanowiła, włoży najbardziej zniszczone ubrania, może pożyczyci sobie coś z tego, co zostawił Jakub.

Siada z powrotem na piętach, tylną częścią dłoni wyciera pot z brwi i wydyma dolną wargę, dmuchając

znów na uparty kosmyk włosów łaskoczący ją po twarzy. Ciekawe, zastanawia się, ile czasu minie, zanim będzie mogła przyciąć włosy.

Radom od trzydziestu trzech dni jest pod okupacją. Jej dawny salon fryzjerski jest teraz niedostępny dla Żydów, co stwarza problem, bo bardzo potrzebuje strzyżenia. Wzdycha. To jej pierwszy dzień na polu, a ona już ma tego dosyć.

Ciach.

Wydaje się, że od początku dnia minęła cała wieczność. Odebrał ją rano oficer Wehrmachtu. Miał na sobie wyprasowany zielony mundur z nieskazitelnie czystą opaską ze swastyką na ramieniu, a nad górną wargą wąs tak wąski, że wydawało się, że ktoś mu go namalował ciemnym ołówkiem. Przywitał ją spojrzeniem spod daszka czapki polowej i jednym słowem: *Papier!* (najwyraźniej do Żydów nie wypadało mówić „dzień dobry”), następnie podniósł kciuk nad swoim ramieniem.

– Wsiadaj.

Halina wsiadła ostrożnie na ciężarówkę i znalazła sobie miejsce wśród innych ośmiu pracowników. Rozpoznała wszystkich z wyjątkiem jednego. Gdy jechali pod kasztanowcami okalającymi Warszawską – Halina nie używała nowej niemieckiej nazwy ulicy, Poststrasse – trzymała głowę spuszczoną z obawy, że ktoś ją rozpozna. Jaki byłby wstyd, pomyślała, gdyby ktoś z jej dawnego życia zobaczył, jak wywozi się ją w ten sposób ciężarówką.

Ale gdy samochód zatrzymał się na rogu Kościelnej, spojrzała w górę i ku swemu przerażeniu uchwyciła wzrok dawnej koleżanki ze szkoły, stojącej przy wejściu do cukierni Pomianowskiego. W gimnazjum Sylwia bardzo pragnęła być przyjaciółką Haliny – chodziła za nią przez większą część roku, zanim w końcu zbliżyły się do siebie. Razem odrabiały lekcje i odwiedzały się podczas weekendów. Któregoś roku Sylwia zaprosiła Halinę do domu na święta Bożego Narodzenia. Nakłoniona przez Nechamę, poszła z puszką migdałowych ciasteczek w kształcie gwiazdek, upieczonych przez matkę. Od skończenia szkoły straciły kontakt. Z ostatnich informacji Haliny wynikało, że Sylwia podjęła się pracy asystentki pielęgniarki w jednym z miejskich szpitali. Wszystko to przemknęło przez myśli Haliny w chwili, gdy samochód stał bez ruchu, a stare przyjaciółki patrzyły na siebie ponad brukiem jezdni. Przez moment pomyślała, żeby pomachać, jakby fakt, że jest tu stłoczona na pace ciężarówki razem z ośmioma innymi Żydami, w drodze do pracy, był czymś zupełnie normalnym, ale zanim zdążyła podnieść rękę, Sylwia zmrużyła oczy i odwróciła wzrok. Udawała, że w ogóle jej nie zna! Krew się w Halinie zagotowała z upokorzenia i wściekłości, a gdy samochód w końcu ruszył, przez kolejne pół godziny wymyślała, co powie Sylwii, gdy wpadnie na nią następnym razem.

Jechali i jechali, aż pejzaż miasta szybko się oddalił, a dwujezdniowe ulice i ceglaste fasady siedemnastowiecznych budynków ustąpiły mozaice sadów i pastwisk oraz wąskim brudnym drogom obrośniętym sosnami i olchami. Zanim dotarli do gospodarstwa, Halina się uspokoiła, ale jej pośladki były obolałe od trzęsienia w ciężarówce, co sprawiło, że jeszcze bardziej znienawidziła ten dzień.

Gdy zaparkowali, w zasięgu wzroku nie było żadnego budynku, tylko pola i całe rzędy liściastych łądyg. To wtedy, patrząc na hektary pola, Halina zrozumiała, że to nie będzie praca przy biurku. Oficer ustawił ich w rzędzie obok ciężarówki i rzucił przed nimi kosze i worki jutowe.

– *Stamme* – powiedział, wskazując na worki. – *Rotę ruben* – dodał, kopiąc kosz.

Choć Halina знаła niemiecki na tyle, żeby się w nim porozumiewać, to „łodygi” i „buraki” nie znalazły

się wcześniej w jej słownictwie. Instrukcje były jednak wystarczająco proste do rozszyfrowania. Łodygi do worka, buraki do kosza. Po chwili oficer wręczył każdemu nóż o długim, tępym ostrzu. Spojrzał na Halinę, gdy odbierała swój.

– *Fur die stamme* – powiedział, kładąc rękę na wysłużonym uchwycie przypiętego do paska pistoletu, wąs razem z ustami ułożył się przy tym w hak. Jaki odważny, że daje nam takie wielkie noże, pomyślała Halina.

I tak to poszło. Ciach, oderwać, potrząsnąć, włożyć. Ciach, oderwać, potrząsnąć, włożyć.

Może powinna schować kilka buraków do kieszeni i zanieść do domu, do matki. Zanim zaczęto racjonować żywność, Nechama tarła pieczone buraki i mieszała z chrzanem i cytryną na ćwikłę. Podawała ją z wędzonym śledziem i gotowanymi ziemniakami. Halinie zbiera się ślina w ustach. Od tygodni nie jadła porządnego posiłku. Ale coś jej podpowiada, że dodatkowy burak na kolację nie jest wart konsekwencji przyłapania na kradzieży.

Na dźwięk gwizdka Halina spogląda w górę i około stu metrów dalej widzi sylwetkę ciężarówki, obok której stoi niemiecki oficer, prawdopodobnie ten, który ich przywiózł, i macha czapką nad głową. Widzi, że dwoje z jej grupy już idzie w jego kierunku. Gdy się podnosi, jej mięśnie niemal krzyczą z bólu. Zbyt wiele godzin spędziła zgięta wpeł. Rzuca nóż na buraki w koszu i zawiesza wiklinową rączkę na łokciu. Krzywiąc się, sięga po worek wypełniony liśćmi, zakłada jego pleciony sznurek na drugim ramieniu i zaczyna kuśtykać w kierunku ciężarówki.

Słońce schowało się za linią drzew, barwiąc niebo na różowawo, jakby poplamiał je sok z roślin, które zbierała przez cały dzień. Zdaje sobie sprawę, że wkrótce będzie jej potrzebny cieplejszy płaszcz. Oficer ponownie gwizdze, gestem pokazując jej, że ma przyspieszyć, a ona przeklina go pod nosem. Jej kosz jest ciężki, musi ważyć z piętnaście kilo. Idzie tak szybko, na ile jest w stanie, zastanawiając się, czy któryś z zebranych przez nią buraków trafi do kawiarni, w której pracują jej rodzice. Są tam od tygodnia.

– Nie jest tak źle – powiedziała matka po pierwszym dniu – oprócz tego, że musimy przygotowywać smaczne jedzenie, którego nigdy nie spróbujemy.

Przy ciężarówce oficer z cienkim wąsem oczekuje z wyciągniętą dłonią.

– *Dos Messer* – mówi. Halina wręcza mu nóż, następnie kładzie torbę i kosz na pakę ciężarówki, po czym sama się na nią wspina. Inni już siedzą, każdy tak samo brudny jak ona. Zabierają ostatniego robotnika i sadowią się do transportu do domu, z efektami całodziennej pracy u stóp, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać.

– Jutro o tej samej porze – wyszczekuje Niemiec, gdy ciężarówka zatrzymuje się przy Warszawskiej 14. Jest już prawie ciemno. Przez okno kabiny samochodu podaje Halinie jej dokumenty i mały kawałek czerstwego chleba – jej dzisiejsze wynagrodzenie.

– *Danke* – mówi Halina, biorąc chleb i próbując ukryć sarkazm pod uśmiechem, ale oficer nie patrzy na nią i odjeżdża, zanim ona zdąży coś powiedzieć. – Szkop – szepcze, odwraca się i kuśtyka w kierunku domu, próbując w kieszeni płaszcza znaleźć klucz.

W środku w korytarzu Mila wiesza swój płaszcz. Właśnie wróciła z warsztatu naprawy mundurów. Felicja siedzi na perskim dywanie i macha srebrną grzechotką, uśmiechając się na dźwięk jej brzęczenia.

– Ojej! – wykrzykuje Mila, zaskoczona wyglądem Haliny. – Co oni najlepszego kazali ci robić?

– Pracowałam na roli – mówi Halina. – Cały dzień czołgałam się po polu. Uwierzyysz?

– Ty... na polu – żartuje Mila, powstrzymując śmiech. – A to dopiero!

– Wiem. Było okropnie. Myślałam tylko o tym – mówi Halina, stojąc przy drzwiach na jednej nodze, a drugą wysuwając z buta. Krzywi się, bo pęka jej pęcherz. – Co by było, gdyby Adam mnie zobaczył, jak się czołgam na czworakach w brudzie, jak zwierzę! Ale by się uśmieł. Spójrz na moje buty! – woła. – Boże, ale paskudztwo. – Ogląda skarpetki, dziwiąc się, ile ziemi zebrało się także na nich, zdejmując je ostrożnie, żeby nie pobrudzić podłogi. – Co to jest? – pyta, wskazując na materiał luźno zawieszony na szyi Mili.

– Ach – mówi Mila, patrząc na swoją klatkę piersiową – zapomniałam, że mam to na sobie. To jest coś takiego, co uszyłam... nie wiem, jak można to nazwać, chyba uprząż? – Obraca się, pokazując, jak materiał krzyżuje się między łopatkami. – Do środka mogę włożyć Felicję.

Znów się obraca i głaszcząc materiał wiszący jej wzdłuż ciała.

– Dzięki temu nie widać jej w drodze do warsztatu i z powrotem.

Mila codziennie zabiera Felicję do pracy, choć dzieciom nie wolno tam przebywać. Żadnych osób poniżej dwunastego roku życia w miejscu pracy – to jeden z wielu ogłoszonych przez Niemców dekretów, których nieprzestrzeganie karane jest śmiercią. Ale Mila nie może nie pracować – każdy musi to robić – a przecież nie zostawi Felicji, która nie ma jeszcze nawet roku, samej w mieszkaniu na cały dzień.

Halina podziwia pomysłowość siostry, jej odwagę. Zastanawia się, czy gdyby była na jej miejscu, odważyłaby się wejść do warsztatu z dzieckiem nielegalnie przypiętym do piersi. Odkąd Selim wyjechał, Mila się zmieniła. Halina często myśli o tym, że wtedy, gdy wszystko było proste, macierzyństwo było trudne dla Mili, i że teraz, gdy wszystko jest trudne, wypełnianie tej roli zdaje się jej przychodzić bardziej naturalnie. Jakby zadziałał u niej jakiś szósty zmysł. Halina już się nie martwi, czy po kolejnej nieprzespanej nocy Mila nie straci nad sobą panowania.

– Felicja lubi tam być, w swojej uprząży? – pyta Halina.

– Chyba jej to nie przeszkadza.

Halina idzie na palcach do kuchni, a Mila zaczyna nakrywać do kolacji. Mimo że ich posiłki nie są takie jak kiedyś, Nechama pilnuje, żeby wciąż używać srebrnej zastawy i chińskiej porcelany.

– A co robi Felicja przez cały dzień, kiedy ty szyjesz? – pyta Halina.

– Głównie bawi się pod stołem, gdzie pracuję. Podsypia w koszu ze skrawkami materiałów. Jest niezwykle cierpliwa – dodaje Mila. Z jej głosu wyparowała już wesołość.

Pochylona nad kuchennym zlewem Halina myje ręce i próbuje sobie wyobrazić, jak jej jedenastomiesięczna siostrzenica całymi godzinami bawi się pod stołem. Chciałaby móc jakoś pomóc.

– Nic dziś nie przyszło od Selima? – pyta.

– Nie.

Woda rozpryskuje się w metalowym zlewie, Halina przez chwilę milczy. Genek, Jakub i Adam wszyscy napisali, podając swoje nowe adresy we Lwowie, odezwali się. W listach piszą, że odkąd Sowietci przejęli Lwów, nie widzieli Selima. Halinie łamie się serce z żalu z powodu tego, co musi czuć siostra. Nie wiedzieć, gdzie jest mąż, a nawet tego, czy żyje, musi być nie do zniesienia. Kilka razy próbowała pocieszyć Milę swoim podejściem, że lepszy jest brak wiadomości niż złe wieści – ale nawet ona wie, że zniknięcie Selima nie może być niczym dobrym.

Adam w ostatnim liście potwierdził to, co przeczytały w „Trybunie” i „Radomer Leben” – gazety były teraz jedynym źródłem informacji, bo radioodbiorniki zostały skonfiskowane – że polska armia we Lwowie

została rozformowana, a Niemcy się wycofali, pozostawiając miasto w rękach Armii Czerwonej. Adam opisał warunki życia pod radziecką okupacją jako „nieokropne”. Jest dużo miejsc pracy – pisze. Sam też już znalazł pracę. Jest żałosna, ale jest. Halinie też mógłby coś znaleźć. Miał też wiadomość, którą może się z nią podzielić tylko osobiście. Podpisał list: „z miłością”, i dodał postscriptum: Myślę, że powinnaś przyjechać do Lwowa.

Mimo obaw związanych z życiem pod radziecką okupacją, myśl o przeprowadzce jest dla Haliny ekscytująca. Bardzo tęskni za Adamem – jego łagodnym i uspokajającym sposobem bycia, jego delikatnym, ale pewnym dotykiem, dzięki któremu rozumiała, że chłopcy, z którymi wcześniej się umawiała, byli w porównaniu z tym mężczyzną zupełnie nieudolni. Halina zastanawia się, czy tą wiadomością, którą Adam może jej przekazać tylko osobiście, mogą być oświadczyzny. Ona ma dwadzieścia dwa, on trzydzieści dwa lata. Są razem już wystarczająco długo, małżeństwo wydaje się logicznym następnym krokiem. Ciepło robi się jej na sercu, gdy myśli o tym, że mógłby poprosić ją o rękę, ale zaraz sama hamuje swoje zapędy, przypominając sobie, że aby być z Adamem, musiałaby wyjechać z Radomia. Jak by nie patrzeć, czuje, że nie powinna zostawiać rodziców. Skoro Jakub i Genek są we Lwowie, to kto ma się nimi opiekować?

Mila ma Felicję, a Adi ciągle nie może wydostać się z Francji – w ostatnim liście napisał, że dostał rozkaz powołania i w listopadzie idzie do wojska. To znaczy, że zostaje tylko ona. A nawet gdyby udało się jej uzasadnić wyjazd do Lwowa, tylko na krótko, z zamiarem powrotu, to przecież sama podróż jest praktycznie niemożliwa, bo ostatnie dekrety nazistów pozbawiły ją prawa do wychodzenia z domu albo podróży pociągiem bez specjalnej przepustki. W tej chwili nie ma wyboru. Zostanie tutaj.

Słychać, jak przekręca się klucz w zamku, a chwilę później w mieszkaniu rozlega się głos Sola wołającego do wnuczki: – Gdzie moja brzoskwinka?

Felicja uśmiecha się szeroko, staje na chwiejnych nóżkach i niepewnym krokiem przemierza korytarz od strony jadalni, rączki wyciągnęła jak maleńkie magnesy przyciągające ją w ramiona dziadka. Halina i Mila idą za nią. Felicja śmieje się, gdy Sol ją podnosi, wesoło pomrukuje i podgryza w ramionko, aż w końcu jej śmiech zamienia się w pisk. Za nim pojawia się Nechama, Halina i Mila witają się z rodzicami całusem.

– Ojej – szepcze Nechama, wpatrując się w ubrania Haliny. – Co się stało?

– Zbierałam plony. Czy kiedykolwiek widziałaś, żebym tak paskudnie wyglądała?

Nechama przygląda się swojemu najmłodszemu dziecku i kręci przecząco głową.

– Nigdy.

– A ty? Jak kawiarnia? – pyta Halina, wieszając płaszcz matki.

Nechama podnosi do góry kciuk obwinięty bandażem poplamionym krwią.

– Oprócz tego nudy.

– Mamo! – Halina wyciąga rękę po dłoń Nechamy, żeby się przyjrzeć z bliska.

– Nic mi nie jest. Gdyby Niemcy dawali nam porządne noże, to tak często bym się nie kaleczyła. Ale wiesz co? Odrobina krwi w ich kartoflance nikogo nie zabije. – Nechama uśmiecha się na myśl o swoim sekrecie.

– Powinnaś bardziej uważać – poucza ją Halina.

Nechama odsuwa rękę i ignoruje uwagę.

– Mam dla nas coś specjalnego – mówi i wyciąga chusteczkę spod bluzki. – Tylko trochę – mówi, gdy

Halina podnosi wysoko brwi – grubo je obierałam. Zobaczcie, będzie tutaj z połowa ziemniaka.

Halina wybałusza oczy.

– Ukradłaś je? Z kawiarni?

– Nikt nie widział.

– A jeśliby zobaczył? – Halina mówi ostro, chyba zbyt ostro. Nie jest do niej podobne, żeby mówić do matki takim tonem, i wie, że powinna przeprosić, ale nie robi tego. Co innego, jak Mila przemyca dziecko do miejsca pracy – ona nie ma wyjścia – a co innego, jak matka kradnie coś Niemcom, a potem wzdusza ramionami.

W pokoju zapada cisza. Halina, Mila i rodzice patrzą na siebie nawzajem, linie ich wzroku tworzą kwadrat. W końcu Mila mówi: – W porządku, Halina, potrzebujemy tego. Felicja wygląda jak szkielet, popatrz na nią. Dziękuję, mam. Chodź, ugotujemy zupę.

ROZDZIAŁ 9

Jakub i Bella

Lwów, Polska pod okupacją sowiecką ~ 24 października 1939

BELLA STĄPA OSTROŻNIE, żeby nie nadepnąć Annie na pięty. Siostry poruszają się powoli, uważnie, rozmawiając szeptem. Jest dziewiąta wieczorem, ulice są wyludnione. We Lwowie, w przeciwieństwie do Radomia, nie ma godziny policyjnej, ale wciąż nie działa elektryczność i ponieważ nie palą się lampy uliczne, trudno cokolwiek dostrzec.

– Nie wierzę, że nie wzięłyśmy latarki – szepcze Bella.

– Szłam tędy dzisiaj – mówi Anna. – Tylko się mnie trzymaj, wiem, dokąd idę.

Bella się uśmiecha. Przekradanie się bocznymi uliczkami w słabym niebieskim świetle księżyca przypomina jej noce, gdy z Jakubem wymykali się cichcem ze swoich mieszkań o drugiej w nocy, żeby kochać się w parku pod kasztanowcami.

– To już tutaj – szepcze Anna.

Wchodzą na niewielkie schody, a następnie bocznymi drzwiami do budynku. W środku jest jeszcze ciemniej niż na ulicy.

– Poczekał chwilę, zapalę zapałkę – mówi Anna, grzebiąc w torebce.

– Tak, proszę pani – mówi Bella, śmiejąc się. Przez całe życie to ona rozkazywała Annie. Anna jest dzieckiem, oczkiem w głowie rodziny. Ale Bella wie, że za ładną twarzą i spokojną fasadą kryje się bystry umysł, a jej siostra zdolna jest zrealizować wszystko, co postanowi.

Chociaż Anna jest dwa lata młodsza, pierwsza wyszła za mąż. Razem z mężem Danielem mieszkają przy tej samej ulicy we Lwowie co Bella i Jakub – dzięki temu Bella trochę mniej się zamartwia, że zostawiła rodziców w Radomiu. Siostry widują się często i często rozmawiają o tym, jak przekonać rodziców, żeby przenieśli się do Lwowa. Ale w listach Gustawa powtarza, że ona i Henryk radzą sobie sami w Radomiu. „Zakład dentystyczny Waszego ojca ciągle przynosi jeszcze jakiś dochód – napisała ostatnio. – Ojciec leczy Niemców. Nie ma sensu, żebyśmy się przenieśli, przynajmniej na razie.

Obiecacie tylko, że odwiedzicie nas, gdy będziecie mogli, i piszcie często”.

– Jakim cudem znalazłaś to miejsce? – pyta Bella. Nie zna adresu, ma tylko iść za siostrą. Prześlizgnęły się przez tyle wąskich bocznych uliczek, że straciła orientację.

– Adam je znalazł – mówi Anna, próbując bezskutecznie zapalić zapałkę, ale ciągle brak iskry. – Za pośrednictwem podziemia – dodaje. – Najwyraźniej korzystali z niego wcześniej jako bezpiecznej kryjówki. Jest opuszczone, więc nie powinniśmy mieć żadnych niespodziewanych gości. – W końcu zapałka się zapala, wydzielając ostry zapach siarki i promieniując bursztynowym światłem. – Adam powiedział, że zostawi świeczkę przy kranie – mamrocze, sunąc w kierunku zlewu i ochraniając płomień świeczki dłonią. Adam znalazł też rabiego, co również, Bella wiedziała, nie było łatwym zadaniem. Gdy Lwów upadł, Sowietci pozbawili rabbich tytułów i zabronili im praktyki. Ci, którym nie udało się znaleźć

nowej pracy, ukryli się. Joffe był jedynym rabbim, jakiego udało się znaleźć, jak powiedział Adam, który nie bał się przeprowadzić uroczystości zaślubin, pod warunkiem, że odbędzie się ona w ukryciu.

W słabym świetle zapalki pomieszczenie zaczyna nabierać kształtów. Bella rozgląda się, widzi cień czajnika na piecu, w rogu zarys miski z drewnianymi łyżkami, czarną zasłonę wiszącą w oknie nad zlewem. Ktoś, kto tu mieszkał, chyba wyjeżdżał w pośpiechu.

– Niezmiernie miło ze strony Adama, że to dla nas robi – mówi Bella bardziej do siebie niż do siostry.

Poznała Adama rok temu, kiedy wynajął pokój w mieszkaniu Kurców. Znała go przede wszystkim jako sympatię Haliny, spokojnego i raczej cichego – często niemal się nie odzywał przy jadalnianym stole. Ale od przyjazdu do Lwowa Adam zaskakiwał Bellę swoimi zdolnościami robienia rzeczy niemożliwych, mianowicie fałszywych dowodów osobistych dla członków rodziny. Według wiedzy Rosjan Adam pracuje w sadzie za miastem przy zbiorze jabłek, natomiast w podziemiu stał się cenionym fałszerzem. Już teraz setki Żydów noszą w kieszeniach zrobione przez niego dowody, które wykonuje tak misternie, że Bella przysięgłaby, że są prawdziwe.

Kiedyś zapytała go, jak to robi, że wyglądają tak autentycznie.

„One są autentyczne. A przynajmniej pieczętki – powiedział i wyjaśnił, jak odkrył, że można zdjąć oficjalne pieczętki rządowe z istniejących dowodów za pomocą obranego, dopiero co ugotowanego jajka. – Zdejmuję oryginał, gdy jajko jest ciągle jeszcze gorące, a potem przetaczam jajko po nowym dowodzie. Nie pytaj mnie, jak to działa, ale działa”.

– Znalazłam! – Wokół nich znów zapada ciemność, gdy Anna szpera w poszukiwaniu kolejnej zapalki. Chwilę później świeca już płonie.

Bella zdejmuje płaszcz i przewiesza go przez poręcz krzesła.

– Zimno tu – szepcze Anna. – Przepraszam! – Ze świecą w dłoni podchodzi do Belli.

– Jest w porządku. – Bella powstrzymuje dreszcz. – Czy jest już Jakub? A Genek? Herta? Jest tak cicho.

– Wszyscy już są. Pewnie szykują się w przedsiönku.

– A więc nie wyjdę za mąż w kuchni? – Bella się śmieje, a potem wzdycha, przypominając sobie, że choć tyle razy mówiła sobie, że gotowa jest wyjść za Jakuba gdziekolwiek, to myśl o tym, że zrobi to tutaj, w ciemnym, upiornym niemal domu rodziny, której nigdy nie pozna, zaczęła być dla niej nieprzyjemna.

– Proszę cię. Jesteś zbyt elegancka, żeby wychodzić za mąż w kuchni.

Bella się uśmiecha.

– Nie sądziłam, że będę się denerwować.

– To jest dzień twojego ślubu, oczywiście, że się denerwujesz!

Słowa te docierają do niej, Bella staje bez ruchu.

– Żałuję, że nie ma tu taty i mamy – mówi w końcu, a gdy słyszy siebie samą, jej oczy wypełniają się łzami. Rozmawiali z Jakubem o tym, czy nie poczekać ze ślubem do końca wojny, żeby mogli mieć bardziej tradycyjną uroczystość w Radomiu, z rodzinami. Ale nie było wiadomo, kiedy wojna się skończy. Uznali, że już się dość naczekali. Tatarowie i Kurcowie wysłali z Radomia swoje błogosławieństwa. W zasadzie to błagali Jakuba i Bellę, żeby wzięli ślub. Mimo to Bella jest bardzo zła, że nie ma z nią teraz rodziców – że pomimo szczęścia, jakie czuje, będąc z Jakubem, ma też poczucie winy. Czy to moralne, żeby świętować, gdy jej kraj prowadzi wojnę? Gdy jej rodzice są sami w Radomiu – jej rodzice, którzy przez całe życie dawali jej tak wiele, choć sami mieli tak mało? Bella wraca pamięcią do dnia, kiedy po

powrocie ze szkoły zobaczyły z Anną w salonie ojca, u którego stóp siedział zaniedbany pies. Szczeniak był podarunkiem, jak powiedział im ojciec, od jednego z pacjentów, który znalazł się w kłopotach i nie był w stanie zapłacić za ekstrakcję zęba.

Bella i Anna, które od małości błagały o psa, zapiszczały z radości i pobiegły uściskać ojca, a on, śmiejąc się, objął je obie ramionami, gdy tymczasem piesek wesoło podgryzał ich w kostki.

Anna zaciska dłoń.

– Wiem – mówi. – Też bym chciała, żeby tutaj byli. Ale oni tak bardzo tego dla ciebie pragną. Nie możesz się o nich martwić. Nie dzisiaj.

Bella kiwa głową.

– Po prostu to bardzo odbiega od moich wyobrażeń – szepcze.

– Wiem – mówi znów miękko Anna.

Gdy były nastolatkami, leżały czasem godzinami w łóżku, rozmawiając i obmyślając, jak będą wyglądały dni ich ślubu.

Wtedy Bella doskonale sobie to wyobrażała: bukiet słodko pachnących róż, który przygotuje dla niej mama, uśmiech na twarzy ojca, gdy podniesie jej welon, żeby pocałować ją w czoło pod chupą, podniecenie, gdy Jakub będzie wkładał jej na serdeczny palec obrączkę, symbol ich miłości, który na pamiątkę będzie nosić do końca życia. Wesele, gdyby odbyło się w Radomiu, nie byłoby wystawne, tego jest pewna. Byłoby proste. Piękne. Ale na pewno nie byłaby to ceremonia w ukryciu, w zimnym szkielecie opuszczonego domu bez elektryczności, pięćset kilometrów od rodziców. Jednakże, przypomina sobie Bella, ona sama zdecydowała się przyjechać do Lwowa. Razem z Jakubem postanowili, że tutaj się pobiorą. Jej siostra ma rację – rodzice od lat tego dla niej pragnęli. Powinna teraz skupić się na tym, co ma, a nie na tym, czego nie ma, zwłaszcza dziś wieczorem.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – dodaje Anna. – Ale pomyśl tylko – jej głos weseleje – następnym razem, gdy zobaczysz mamę i tatę, będziesz mężatką! Nie do wiary, co?

Bella uśmiecha się, pokonując łzy.

– W pewnym sensie tak – szepcze, myśląc o liście od taty, który przyszedł dwa dni temu. Henryk pisał w nim, jak bardzo byli z Gustawą szczęśliwi, gdy dowiedzieli się ojej zamiarze. „Droga Bello, bardzo cię kochamy. Jakub, ten chłopiec, jest dobrym duchem, z dobrej rodziny. Wszyscy razem uczymy to, gdy się spotkamy”. Zamiast od razu pokazać list Jakubowi, Bella wsunęła go pod poduszkę i postanowiła, że pozwoli mu go przeczytać wieczorem, jak już wrócą do mieszkania jako małżonkowie.

Ze ściśniętym żołądkiem Bella przesuwa dłonią po koronkowym gorsie sukni.

– Tak bardzo się cieszę, że pasuje – mówi, biorąc wdech. – Jest dokładnie tak piękna, jak ją zapamiętałam.

Gdy Anna zaręczyła się z Danielem, ich matka, wiedząc, że nie stać ich na taką suknię od krawca, jaką Anna by chciała, postanowiła, że sama ją uszyje. Ona, Bella i Anna przeczesywały strony „McCaH's” i „Harpe's Bazaar” w poszukiwaniu wzorów. Gdy Anna w końcu wybrała taki, który jej się najbardziej podobał, zainspirowany kadrami z filmu z Barbarą Stanwyck – kobiety z rodziny Tatarów spędziły całe popołudnie w sklepie Nechamy, ślęcząc nad belami rozmaitych satyn, jedwabi i koronek, napawając się luksusem dotykanych palcami tkanin. Nechama oddała im materiały, które w końcu wybrały, po kosztach. Ukończenie sukni zabrało Gustawie prawie miesiąc. Miała trójkątny dekol, gorset obramowany koronką,

długie bufiaste rękawy, guziki na całej długości pleców, spódnicę w kształcie dzwonka, która sięgała dokładnie do podłogi, a na biodrach kremową wstęgę. Anna, oczarowana, ogłosiła suknię arcydziełem. Bella w tajemnicy miała nadzieję, że kiedyś też będzie mogła ją włożyć.

– Cieszę się, że ją ze sobą wzięłam – mówi Anna. – Już prawie zostawiłam ją u mamy, ale jednak nie miałam serca, żeby się z nią rozstać. Och, Bella. – Anna robi krok do tyłu, żeby objąć ją wzrokiem. – Tak pięknie wyglądasz! Chodź – mówi, poprawiając złotą broszkę wiszącą na łańcuszku na szyi, żeby znalazła się dokładnie w zagłębieniu między kośćmi obojczyka. – Zanim się rozpłaczę. Gotowa?

– Prawie. – Bella wyciąga z kieszeni płaszcz metalową tubkę. Otwiera ją, przekręca od spodu i nakłada ostrożnie na usta odrobinę karminowej szminki, żałując, że nie ma lusterka. – Cieszę się, że to też przyniosłaś – mówi, pocierając wargami o siebie, a potem wrzuca tubkę z powrotem do kieszeni. – I że zechciałaś się ze mną podzielić – dodaje. Gdy wycofano pomadki z rynku – wojsko miało pilniejsze zastosowania dla benzyny i oleju rycynowego – większość znanych im kobiet pilnie strzegła swoich zapasów.

– No pewnie – mówi Anna. – A zatem gotowa?

– Gotowa.

Ze świecą w jednej ręce Anna przeprowadza Bellę spokojnie przez drzwi.

Przedpokój jest słabo oświetlony przez dwie świece w szklanych świecznikach, oparte o balustradę schodów. Jakub stoi u ich podnóża. W pierwszej chwili Bella widzi tylko zarys jego postaci – szczupły tułów, łagodny łuk ramion.

– Tę zostawimy na później – mówi Anna, zdmuchując swoją świecę. Całuje Bellę w policzek. – Kocham cię – mówi rozpromieniona, a potem podchodzi do reszty, żeby ich przywitać. Bella ich nie widzi, ale słyszy, jak szepczą: Och, jaka piękna!

Obok pana młodego pojawia się druga sylwetka, blask świecy oświetla lok długiej, srebrnej brody. To pewnie rabbi – dociera do Belli. Wchodzi w obręb migotliwego blasku świec, a gdy wkłada dłoń pod ramię Jakuba, czuje, że już nic jej nie ściska między zębami. Już się nie denerwuje. Unosi się w powietrzu.

Gdy Jakub kieruje na nią wzrok, jego oczy są pełne łez. W butach siostry w kolorze kości słoniowej, na obcasie Bella prawie dorównuje mu wzrostem. On całuje ją w policzek.

– Cześć, słońce – mówi, uśmiechając się.

– Cześć – odpowiada Bella z szerokim uśmiechem. Ktoś z gości się śmieje.

Rabbi wyciąga rękę. Jego twarz pokrywa siatka zmarszczek. Musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, zgaduje Bella.

– Jestem rabbi Joffe – mówi. Głos ma szorstki, tak samo jak brodę.

– Bardzo mi przyjemnie – mówi Bella, ujmując jego dłoń i skłaniając głowę. Jego palce są wiotkie, niczym gałązki.

– Dziękuję panu za to – mówi świadoma ryzyka, jakiego się podjął, przychodząc tutaj.

Joffe chrząka.

– A więc zaczynamy?

Jakub i Bella potakują.

– Yacubie – zaczyna Joffe – powtarzaj za mną.

Jakub sili się, jak może, żeby nie przekreślić wypowiedzianych przez rabiego słów, po części dlatego, że

hebrajski zna w stopniu podstawowym, ale głównie dlatego, że narzeczona za bardzo go rozprasza, by mógł się skupić choćby przez kilka sekund. W sukni ślubnej wygląda zjawiskowo. Ale to nie suknia go uderzyła. Nigdy nie widział jej skóry tak gładkiej, oczu tak błyszczących, a jej uśmiech, nawet w półcieniu, tworzy doskonały, promienisty łuk Kupidyna. Na hebanowym tle opuszczonego domu, spowita złotym migoczącym światłem świec, wygląda anielsko. Nie może spuścić z niej wzroku. I tak brnie przez modlitwy, myśląc nie o wypowiedzianych słowach, ale o stojącej przed nim kobiecie, która za chwilę będzie jego żoną, przypominając sobie każdą jej krągłość, marząc, by zrobić jej zdjęcie, które mógłby jej później pokazać, żeby zobaczyła, jak pięknie wyglądała.

Joffe wyciąga z kieszeni na piersi chusteczkę i kładzie ją na głowie Belli.

– Przejdź siedem razy – instruuje, rysując palcem wskazującym na podłodze wyobrażony krąg – wokół Yacuba.

Bella wyciąga rękę spod ramienia Jakuba i wykonuje polecenie, obcasy cicho stukają w drewnianą podłogę, gdy zatacza pierwszy krąg, potem drugi. Za każdym razem, gdy znajdzie się naprzeciwko Jakuba, on szepcze: – Jesteś przepiękna.

I za każdym razem Bella się rumieni. Gdy już z powrotem stoi u boku Jakuba, Joffe odmawia krótką modlitwę i ponownie sięga do kieszeni, tym razem wyjmując z niej złożoną na pół serwetkę. Rozkłada ją, ukazując małą przepaloną żarówkę – działająca jest obecnie zbyt cenna, żeby ją stłuc.

– Nie martwcie się, nie działa – mówi, zawijając żarówkę i schylając się powoli, by położyć ją im u stóp. Coś trzaska i Jakub zastanawia się, czy to deski podłogi, czy może jeden ze stawów rabiego. – W tej radosnej chwili nie zapominajmy – mówi rabbi, prostując się – jak kruche w istocie jest życie. Potłuczenie szkła to symbol zniszczenia świątyni jerozolimskiej, krótkości ludzkiego ziemskiego życia. – Wskazuje na Jakuba, a następnie na podłogę. Jakub delikatnie kładzie stopę na serwetce, powstrzymując się od cięższego kroku z obawy, że ktoś usłyszy.

– Mazeł tow! – wołają cicho zebrani ze swoich półcieni, też starając się powstrzymać okrzyki radości. Jakub bierze dłoń Belli i przeplata jej palce swoimi.

– Zanim skończymy – mówi Joffe, przerywając na chwilę, by spojrzeć na Jakuba i Bellę – chciałbym dodać, że nawet w ciemnościach widzę waszą miłość. Jesteście nią przepełnieni, a jej światło przebija w waszych oczach.

Jakub mocniej ściska dłoń Belli. Rabbi uśmiecha się, ukazując brak dwóch zębów, a potem intonuje ostatnie błogosławieństwo: *Błogosławiony bądź Ty, Panie i Boże, Królu wszechświata, który stworzyłeś radość i świętowanie, narzeczonego i narzeczoną, pocieszenie, radość, przyjemność i uciechę, miłość i braterstwo, pokój i przyjaźń...*

Pozostali śpiewają razem z nim, cicho klaszcząc, gdy Jakub i Bella przypieczętowują uroczystość pocałunkiem.

– Moja żona – mówi Jakub, jego spojrzenie tańczy po jej twarzy. Odczuwa to słowo na ustach jako nowe, wspaniałe.

Kradnie drugi pocałunek.

– Mój mąż.

Trzymając się za ręce, odwracają się, by pozdrowić wyłaniających się z cienia i podchodzących do nich gości, pragnących ich uściskać.

Po kilku minutach grupa zbiera się w jadalni na prowizoryczną kolację, posiłek przemycony pod płaszczykami. To nic specjalnego, a jednak smakołyki – kotlety z koniny, gotowane ziemniaki i domowe piwo.

Genek delikatnie uderza widelcem w pożyczony kieliszek i chrząka.

– Za pana i panią Kurc – mówi, podnosząc szkło. – Mazeł tow!

– Mazeł tow – odpowiadają pozostali.

– I wystarczyło ledwie dziewięć lat – dodaje Genek z szerokim uśmiechem. Stojąca obok Herta wybucha śmiechem.

– Ale na poważnie, za mojego młodszego brata i jego olśniewającą żonę, którą pokochaliśmy od pierwszego wejrzenia – niech wasza miłość trwa wiecznie. *L'chaim!*

– *L'chaim!* – odpowiadają wszyscy chórem.

Jakub podnosi kieliszek, uśmiecha się do Genka i żałuje, jak to często bywa, że nie oświadczył się wcześniej. Gdyby rok temu poprosił Bellę o rękę, mogliby świętować na prawdziwym weselu, z rodzicami, rodzeństwem, ciotkami i wujkami u boku. Tańczyliby do Popławskiego, sączyli szampana z wąskich kieliszków i objadali się ciastem piernikowym. Wieczór bez wątpienia zakończyłyby się występami przy fortepianie na zmianę Adiego, Haliny i Mili, którzy zagraliby dla ich gości trochę jazzu czy nokturn Chopina. Spogląda na Bellę. Uzgodnili, że tak będzie dobrze, pobiorą się tutaj we Lwowie, i chociaż nie powiedziała tego ani razu, on wie, że ona odczuwa podobną tęsknotę – za weselem, o jakim marzyli. Na jakie zasługiwała. Daj spokój, napomina się Jakub, odrzucając znajome ukłucie żalu.

Wokół stołu goście stukają się kieliszkami. Ich szklane podstawy przechwytyują światło świec, gdy panna młoda, pan młody i goście sączą piwo. Bella kaszle, przykrywa usta dłonią i podnosi brwi, a Jakub wybucha śmiechem. Od miesięcy nie pili alkoholu, a piwo jest mocne.

– Ma moc! – rzuca Genek, a dołeczki tworzą cienie na jego policzkach. – Zanim się zorientujemy, wszyscy będziemy pijani.

– Wydaje mi się, że ja już jestem pijana – odzywa się Anna z drugiego końca stołu.

Gdy inni się śmieją, Jakub obraca się i kładzie pod stołem dłoń na kolanie Belli.

– Twoja obrączka czeka w Radomiu – szepcze. – Przepraszam, że wcześniej ci jej nie dałem. Czekałem na idealny moment.

Bella kręci głową.

– Przestań – mówi. – Nie potrzebuję obrączki.

– Wiem, że nie tak miało...

– Ciiii, Jakub – szepcze Bella – wiem, co chcesz powiedzieć.

– Wynagrodzę ci to, kochanie. Obiecuję.

– Nie musisz. – Bella się uśmiecha. – Szczerze, jest idealnie.

Jakuba rozpiera szczęście. Pochyla się bliżej, ustami ociera jej ucho.

– Nie tak sobie to wyobrażaliśmy, ale chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie byłem szczęśliwszy niż teraz – mówi szeptem.

Bella się rumieni.

– Ja też.

ROZDZIAŁ 10

Nechama

Radom, Polska pod okupacją niemiecką ~ 27 października 1939

NECHAMA ZEBRAŁA DROGOCENNE RZECZY i poukładała je w schludne rzędkie na stole jadalnianym. Razem z Milą robią ich przegląd.

– Powinniśmy wziąć, ile się da – mówi Mila.

– Tak – zgadza się Nechama. – Zostawię parę rzeczy u Liliany.

Chłopcy Nechamy dorastali, bawiąc się na podwórku z dziećmi Liliany. Kurcowie i Sobczakowie są ze sobą blisko.

– Nie mogę uwierzyć, że się wyprowadzamy – szepcze Mila.

Nechama kładzie ręce na rzeźbionym mahoniowym oparciu krzesła. Nikt dotąd jeszcze tego nie powiedział, przynajmniej nie na głos.

– Ja też.

Z tą wiadomością zapukało do nich rano dwóch żołnierzy Wehrmachtu.

– Macie czas do końca dnia, żeby spakować swoje rzeczy i się wynieść – powiedział jeden z nich, rzucając w kierunku Sola świstek papieru z pieczętką z ich nowym adresem. – Jutro wróćcie do pracy.

Nechama patrzyła na niego zza pleców męża, żołnierz spojrzał na nią z twarzą tak skrzywioną, jakby zjadł coś zepsutego.

– Meble zostają – powiedział i obrócił się, żeby wyjść.

Gdy drzwi się zamknęły, Nechama wyrzuciła pięść do góry i wyszeptła wiązkę przekleństw, a potem rozdrażniona poszła do kuchni położyć sobie zimny kompres na karku.

Oczywiście wizyta żołnierzy nie była niespodzianką. Nechama czuła, że to tylko kwestia czasu, kiedy naziści zapukają do ich drzwi. Niemcy wciąż napływali do Radomia. Potrzebowali mieszkań, a to Kurców, z pięcioma sypialniami, było obszerne i leżało przy jednej z najbardziej pożądanym pod względem lokalizacji radomskich ulic. Gdy dwie żydowskie rodziny eksmitowano w ubiegłym tygodniu, ona i Sol zaczęli się szykować. Policzyli i wyczyścili srebro, włożyli kilka bel tkaniny za fałszywą ścianę w salonie, a nawet skontaktowali się z komitetem przydzielającym eksmitowanym Żydom nowe adresy, prosząc o miejsce, które będzie czyste i wystarczająco duże, żeby pomieścić ich wszystkich łącznie z Haliną, Milą i Felicją. A jednak nic tak naprawdę nie mogło przygotować Nechamy na to, co będzie czuła, gdy każą jej opuścić dom przy Warszawskiej 14, w którym spędziła ponad trzydzieści lat.

– Spakujmy się szybko i miejmy to za sobą – powiedziała, gdy już się uspokoiła.

Kiedy Nechama i Mila układały najcenniejsze rzeczy w kupki, Sol i Halina wędrowali tam i z powrotem do wyznaczonego im mieszkania z dwoma sypialniami przy Lubelskiej na starym mieście, dźwigając miedziane garnki, lampki nocne, perski dywan, ulubiony obraz zakupiony kilka lat temu w Paryżu, worek pełen pościeli, zestaw do szycia, małą puszkę z przyprawami. Nie mając pojęcia, kiedy będą mogli wrócić

do swojego domu, wypełnili walizki ubraniami na wszystkie pory roku.

Koło południa Sol oświadczył, że mieszkanie jest już prawie pełne.

– Gdy wniesiemy cenne przedmioty – powiedział – nie zostanie już miejsca na wiele więcej.

To nie była niespodzianka, ale Nechamie i tak ścisnęło się serce. Wiedziała, że wanna, jej biurko i fortepian będą musiały zostać, podobnie jak antyczny podnózek, który obiała francuskim tłoczonym jedwabiem, mosiężne wezglowie z pięknie odlanymi muszelmami i okrągłymi szczebelkami, niespodzianka od Sola na dziesiątą rocznicę ślubu, chiński kredens z lustrem, który kiedyś należał do jej prababki, stojący na balkonie kosz z kutego żelaza, który każdej wiosny wypełniała pelargoniami i krokusami – za nimi też będzie tęsknić. Ale jak mogą zostawić portret ojca Sola, Gerszona, który wisi w salonie? Błękitne obrusy i figurki z kości słoniowej, które przywoziła ze swoich podróży? Kryształową misę wypełnioną winogronami z dmuchanego szkła, którą postawiła na parapecie w salonie, żeby przechwytywała poranne światło?

Popołudnie minęło Nechamie na chodzeniu po mieszkaniu, przesuwaniu palcem po grzbietach ulubionych książek i przeglądaniu pudeł z rysunkami i zadaniami, które zachowała z czasów szkolnych. Choć na nic się nie przydadzą w nowym miejscu, to właśnie te rzeczy były ważne, uświadomiła sobie Nechama, obracając je w dłoniach. Te rzeczy stanowiły o ich tożsamości. W końcu pozwoliła sobie na zabranie jednej walizki pamiątek, z którymi po prostu nie mogła się rozstać. Wzięła kolekcję walców Chopina na fortepian, stos rodzinnych fotografii, tom poezji Pereca. Spakowała nuty utworu, którego Adi uczył się grać, gdy miał pięć lat – kołysanki Brahmsa, z notatką nauczyciela na marginesie: „Bardzo dobrze, Adi, dalej tak dużo ćwicz”. Połączoną ramkę do zdjęć z wygrawerowanym 1911, a w niej zdjęcie Mili, łysej, o wielkich oczach, nie większej niż Felicja teraz. Malutkie czerwone skórzane buty, które zawiązywała najpierw na stopkach Genka, potem Adiego, a następnie Jakuba, gdy stawiali swoje pierwsze kroki. Wypłowiła różową spinkę do włosów, którą Halina przez lata codziennie chciała zakładać. Resztę rzeczy swoich dzieci starannie spakowała do pudeł, które następnie wepchnęła na samo dno najgłębszych szaf, modląc się, by wkrótce mogła do nich wrócić.

Teraz przy stole w jadalni Nechama odkłada na bok dla Sobczaków srebrną misę i łyżkę wazową. Resztę, decyduje, zabiorą ze sobą.

– Zaczniemy od porcelany – mówi.

Podnosi ze stołu filizankę połączoną na krawędzi, pod którą ręcznie wymalowano delikatne różowe peonie. Każdą filizankę i sosjerkę obwijają osobno w lnianą ściereczkę i układają do pudła. Potem przechodzą do srebra – dwa zestawy, jeden po matce Sola, drugi matce Nechamy.

– Myślałam, żeby pokryć je tkaniną i przyszyć do koszuli, żeby wyglądały jak guziki – mówi Nechama, wskazując na dwie złote monety, które położyła na sporym stosiku banknotów – ułamku oszczędności, które udało się im wyjąć z banku, zanim zamrożono ich konta.

– Dobry pomysł – przytakuje Miła. Podnosi srebrne lusterko ręczne i zerka przez chwilę na swoje odbicie, marszcząc nos na widok ciemnych kręgów pod oczami. – To było twojej mamy, tak? – pyta.

– Tak.

Miła delikatnie wkłada lusterko do pudła i złożony w kwadrat kilka metrów kremowego włoskiego jedwabiu i francuskiej koronki, umieszcza tkaninę na górze.

Nechama zbiera banknoty i zwiija je, razem ze złotymi monetami, w ściereczkę, którą wsuwa potem do

portmonetki.

Na stole nie ma już niczego z wyjątkiem małej aksamitnej sakiewki. Mila podnosi ją.

– Co to jest? – pyta. – Jest ciężka.

Nechama się uśmiecha.

– Podaj – mówi. – Pokażę ci.

Mila wręcza jej sakiewkę, Nechama luzuje sznureczek, który zamyka ją na górze.

– Otwórz dłoń – prosi, wysypując zawartość na rękę Mili.

– Och – szepcze Mila. – Ojej.

Nechama zerka na błyszczący na dłoni córki naszyjnik.

– To ametyst – szepcze. – Znalazłam go kilka lat temu w Wiedniu. Miał w sobie coś takiego... Nie mogłam się oprzeć.

Mila obraca fioletowy kamień, a gdy odbija się w nim światło żyrandola, spogląda na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jest piękny – mówi.

– Naprawdę?

– Dlaczego nigdy go nie nosisz? – pyta Mila, przykładając go do szyi i czując ciężar kamienia i złoty łańcuszek na obojczyku.

– Nie wiem. Wydaje się trochę ostentacyjny. Zawsze się krępowałam, gdy miałam go na sobie.

Nechama przypomina sobie, jak w dniu, kiedy pierwszy raz zobaczyła ten naszyjnik, na myśl, że mogłaby posiadać coś tak ekstrawaganckiego, zmiękły jej kolana. Był rok 1935. Pojechała do Wiednia na zakupy służbowe i dostrzegła go w witrynie jubilera, idąc z powrotem na dworzec. Przymierzyła i postanowiła, kierując się nietypowym dla siebie impulsem, że powinna go mieć, ale już w chwilę po wyjściu ze sklepu zastanawiała się, czy nie będzie żałować tej decyzji.

To inwestycja, przekonywała się. A poza tym zasłużyła sobie. Wtedy sklep już od kilku lat bardzo dobrze prosperował, a większość dzieci była niezależna, kończyli ostatnie lata studiów na uniwersytetach i sami się utrzymywali. Naszyjnik był wyszukany, to prawda, ale pamięta, jak myślała wówczas, że pierwszy raz w życiu może łatwo usprawiedliwić szalony wydatek.

Nechama podskakuje na dźwięk łomotu do drzwi. Straciła poczucie czasu. To pewnie żołnierze Wehrmachtu wrócili, żeby ich stąd usunąć. Mila szybko wrzuca naszyjnik z powrotem do sakiewki, a Nechama wkłada ją sobie pod koszulę, między piersi.

– Widać?

Mila kręci głową.

– Zostań tutaj – szepcze Nechama. – Nie spuszcza z tego oczu – dodaje, kładąc portmonetkę na pudle z drogocенnościami leżącymi na podłodze przed nimi. Mila potakuje.

Nechama odwraca się, prostuje i bierze głęboki oddech, by się przygotować. Przy drzwiach niemal niezauważalnie unosi podbródek i przekazuje żołnierzom Wehrmachtu prostym niemieckim, że wkrótce wróci jej mąż i córka, żeby pomóc zabrać resztę rzeczy.

– Potrzebujemy jeszcze piętnastu minut – mówi chłodno.

Jeden z żołnierzy patrzy na zegarek.

– *Fünf Minuten* – rzuca. – *Schnell*.

Nechama nie odpowiada. Odwraca się od drzwi, powstrzymując chęć splunięcia na jego wypastowane oficerki.

Owinąwszy palce wokół kluczy, których nie jest jeszcze gotowa oddać, po raz ostatni przechodzi cicho przez swoje mieszkanie, wchodząc szybko do każdego z pokoi, szukając czegoś, czego może zapomniała spakować, usiłując nie zauważać rzeczy, których, jak wcześniej uznała, nie dało się zabrać. Jeśli będzie zbyt długo patrzeć, mogą się pojawić wątpliwości i pozostawienie ich stanie się torturą. W swojej sypialni poprawia podstawę lampy, tak żeby ułożyła się w linii z przodem kredensu, i prostuje zmarszczkę na pościeli. W toalecie dla gości składa i rozkłada lniany ręcznik. W pokoju Jakuba przesuwając zasłonę, żeby wisiała równo z drugą. Sprząta, jakby spodziewała się gości.

W salonie, który zostawiła na koniec, zatrzymuje się chwilę dłużej, wpatrując się w miejsce, gdzie dzieci całymi godzinami ćwiczyły przy fortepianie, gdzie przez tyle lat gromadzili się po posiłkach, a ktoś zasiadał przy klawiaturze.

Podchodzi do instrumentu i przesuwając dłonią po lśniących klawiszach. Powoli, bezgłośnie, zamyka nad nimi pokrywę.

Obraca się, zapamiętuje ściany pokoju wyłożone dębową boazerią, biurko przy oknie z widokiem na podwórko, przy którym najbardziej lubiła siedzieć i pisać, niebieską aksamitną sofę i fotele od kompletu, marmurowy gzyms nad kominkiem, sięgające od podłogi do sufitu półki wypełnione muzyką – Chopin, Mozart, Bach, Beethoven, Czajkowski, Mahler, Brahms, Schumann, Schubert – i dziełami jej ulubionych polskich pisarzy: Sienkiewicza, Żeromskiego, Rabinowicza, Pereca. Podchodzi bezgłośnie do swojego biurka i wyciera pyłek kurzu z jego blatu z drzewa satynowego, ciesząc się, że nie zapomniała spakować przyborów do pisania i ulubionego wiecznego pióra. Jutro napisze do Adiego do Tuluzy i opowie o nowych okolicznościach, o nowym adresie.

Adi. Fakt, że wkrótce wyjedzie z Tuluzy, żeby wstąpić do armii, głęboko martwi Nechamę. Już musiała sobie radzić ze stresem z powodu dwóch synów, którzy byli w wojsku. Służba Genka i Jakuba przynajmniej trwała krótko. Jeśli Francuzi włączą się do wojny, a wydaje się to tylko kwestią czasu, nie wiadomo, ile potrwać walki. Adi może spędzić w mundurze miesiące. Lata. Nechama drży, modląc się, żeby list zdążył dojść, zanim Adi wyjedzie do Parthenay. Będzie też musiała napisać do Genka i Jakuba do Lwowa. Synowie będą wściekli, gdy dowiedzą się, że rodzina została eksmitowana.

Gdy jej oczy napełniają się łzami, Nechama spogląda w górę, na sufit. To tylko na jakiś czas, tłumaczy sobie. Wydycha powietrze, spoglądając na portret teścia. Patrzy na nią z góry, a spojrzenie ma surowe i przenikliwe. Nechama przełyka ślinę i z szacunkiem kiwa głową.

– Opiekuj się naszym domem, dobrze? – szepcze. Palcami dotyka ust, potem ściany i powoli zaczyna iść w kierunku drzwi.

ROZDZIAŁ 11

Adi

Niedaleko Poitiers, Francja ~ 15 kwietnia 1940

POD ZIELONYMI SZPICAMI niekończącego się rzędu cyprysów tuzin skórzanych podeszew wzbija kurz na drodze.

Mężczyźni maszerują od świtu, niedługo zapadnie zmierzch.

Ostatnich kilka godzin Adi spędził, słuchając jednolitego rytmu kroków za sobą, na ignorowaniu pęcherzy na swoich stopach i myślach o Radomiu. Od kiedy miał wiadomość od mamy, minęło sześć miesięcy. W końcu października, zaraz przed wyjazdem z Tuluzy, dostał od niej ostatni list. Pisała, że rodzina jest bezpieczna, z wyjątkiem Selima, który zaginął.

Że jego bracia ciągle są we Lwowie, że Jakub i Bella wkrótce mają się pobrać. Sklep został zamknięty. Skierowano nas do pracy, pisała Nechama, podając szczegóły ich nowych obowiązków. Obowiązywała godzina policyjna i wprowadzono racje żywnościowe, Niemcy byli podli, ale liczyło się to, powtarzała Nechama, że wszyscy byli w dobrym zdrowiu i w większości wiadomo było, co się z nimi dzieje. Na koniec napisała, że dwie żydowskie rodziny mieszkające w ich kamienicy zostały eksmitowane do malutkich mieszkań na starym mieście. Obawiam się, pisała, że będziemy następni.

W odpowiedzi Adi błagał mamę, żeby dała mu natychmiast znać, jeśli zostaną zmuszeni do przeprowadzki, i żeby wysłała mu adresy Jakuba i Genka. Ale przed wyjazdem z Tuluzy już nie dostał listu. Teraz jest w drodze, nie można się z nim skontaktować. Wydaje mu się, jakby miał na piersiach ciężar, który z każdym dniem coraz mocniej go uciska. Nie znosi tego, że jest tak bardzo daleko, i bezsilności związanej z rozłąką z rodziną w Polsce.

Adi włącza lampkę czołową, próbując zachować optymizm. Ostatnio łatwo nachodzą go najczarniejsze myśli. Nie może wpaść w tę pułapkę. A zatem, zamiast wyobrazać sobie rodziców i siostry, wyrzuconych z domu i pracujących niczym niewolnicy w jakiejś kuchni czy fabryce pod nadzorem Wehrmachtu, myśli o Radomiu, starym Radomiu, takim, jakim go pamięta. Myśli o tym, że w rodzinnym mieście jego ulubioną porą roku była wiosna, bo to jest czas kolacji sederowych i czas urodzin – jego i Haliny. Wiosna jest wtedy, gdy Radomka i Mleczna, rzeki okalające miasto, mają wysoki stan wód i nawadniają okoliczne pola żyta i sady, i gdy pojawiają się liście na kopułach kasztanowców rosnących przy Warszawskiej, oferując cień klientom oglądającym witryny sklepów w poszukiwaniu skór, mydeł i zegarków. Wiosna jest wtedy, gdy doniczki przyozdabiające balkony na Malczewskiego wypełnione są po brzegi szkarłatnymi pelargoniami – przyjemne wytchnienie po długich, szarych zimach. Kiedy park Kościuszki roi się od sprzedawców marynowanych ogórków, startych buraków, wędzonego sera i żytniego zakwasu podczas czwartkowego targu. Kiedy sąsiad Kurców, Anton, zaprasza dzieci z kamienicy, żeby zobaczyły jego pisklęta, które nie wyglądają w ogóle jak ptaki, malutkie i przykurzone, o kremowych piórkach, niezdolne jeszcze nawet podnieść głowę. Będąc chłopcem, Adi uwielbiał patrzeć, jak gołębia flota Antona wylatywała z jego okna

w stronę okapu na stromym dachu budynku, gdzie ptaki cicho gruchały, przez kilka minut będąc władcami podwórka, a potem wracały przez okno do drewnianej klatki, którą dla nich zbudował.

Adi uśmiecha się do wspomnień, lecz nagle wraca do teraźniejszości. Obrazy znikają, gdy do świadomości przenika jakiś dźwięk. Szelest. Adi sztywnieje i zatrzymuje się, podnosi zgiętą w łokciu rękę, kierując dłoń w stronę nieba. W tej samej sekundzie idący za nim żołnierze nieruchomieją. Adi unosi podbródek i nasłuchuje. I znów, szelest dochodzący od kępy starych krzaków rosnących u podstawy cyprysu kilka metrów dalej. Adi odbezpiecza karabin.

– Gotowy – szepcze po polsku, kładąc delikatnie palec wskazujący na metalowym zgięciu spustu i wymierzając lufę w kierunku zagajnika. Za nim słychać kliknięcie dwunastu odsuwanych dźwigni bezpieczników. Szelest się powtarza. Adi rozważa strzał, ale postanawia jeszcze zaczekać. A co, jeśli to tylko szop – albo dziecko?

Rok temu mógł policzyć na palcach jednej dłoni, ile razy miał w ręku broń. Gdy dorastał, wujek czasem zapraszał go z braćmi na polowanie na bazanty, ale podczas gdy Genek zdawał dobrze się bawić, Adi i Jakub woleli stać z tyłu, w ciepłe ogniska. Cały proces wypłaszania ptaka z jego kryjówki nie wydawał im się atrakcyjny. Teraz na myśl o odpowiedzialności, jaką bierze na siebie za każdym razem, gdy celuje bronią, kręci mu się w głowie.

On i jego ludzie wymierzili lufy w kierunku kępy krzaków i czekają. Po minucie u podstawy jednego z krzaków pojawia się coś małego, trójkątnego, czarnego i błyszczącego. Chwilę później rozwiera się para dolnych gałęzi i ukazuje się pies myśliwski. Węszy w kierunku ciemniejszego nieba, potem nonszalancko, spode łba, spogląda na wpatrzonych w niego mężczyzn, na trzynaście luf wymierzonych w jego kierunku. Adi oddycha głęboko, cieszy się, że nie spieszył się ze strzałem. Obniża lufę.

– Nieźle nas wystraszyłeś, kapitanie – mówi, ale pies, niezainteresowany, odwraca się i puszcza kłusem wzdłuż drogi, na wschód.

– Mamy nowego przewodnika – żartuje Cyrus z tylnego rzędu. – Kapitan Łapa.

Szmer śmiechów.

– Chodźmy! – woła Adi. Karabiny są zabezpieczone i mężczyźni maszerują dalej, a powietrze wokół nich znów wypełnia się miarowym rytmem ciężkich butów opadających na ziemię.

Nad ich głowami rozpościera się gruba pokrywa chmur. Powietrze jest chłodne i pachnie deszczem. Adi postanawia, że za kilometr albo dwa rozbiją obóz, zanim zrobi się ciemno i zacznie padać. Na razie pozwala swoim myślom wrócić do Tuluzy, zastanawiając się, jak bardzo inne jest teraz jego życie od tego, które wiódł sześć miesięcy temu.

Piątego listopada Adi niechętnie opuścił swoje mieszkanie przy Rue de Remusat i nazajutrz, zgodnie z rozkazem, zgłosił się na służbę w polskiej 2 Dywizji Strzelców Pieszych, 2DSP, przy armii francuskiej. Po ośmiu tygodniach podstawowego szkolenia otrzymał oficjalny mundur armii francuskiej i – dzięki tytułowi inżyniera oraz biegłej znajomości polskiego i francuskiego – stopień *sergent de carriere*, który stawiał go na czele dwunastu *sous – officiers*. Adi lubił towarzystwo żołnierzy z 2DSP. Znalezienie się w grupie młodych Polaków odrobinę wypełniło pustkę, jaka go dręczyła, odkąd odmówiono mu prawa powrotu do domu, ale to było jedyne, co mu się w armii podobało. Choć bardzo się starał nie dać tego po sobie poznać, dziwnie czuł się z karabinem w ręku, a gdy jego kapitan wykrzykiwał w jego stronę rozkazy, instynktownie miał ochotę się roześmiać. Podczas musztry łapał się na tym, że w głowie komponował

muzykę, aby zająć się czymś podczas monottonnych biegów i ćwiczeń w strzelaniu do celu. Mimo że nie znosił wojska, to jednak zauważył, że dni wydawały się przyjemniejsze, gdy zaakceptował rutynę. Po jakimś czasie nosił już swoje dwie krokiewki na mundurze z odrobiną dumy i odkrył, że całkiem nieźle szło mu prowadzenie tej małej drużyny. Nieźle, przynajmniej jeśli chodzi o logistykę, to znaczy przeprowadzenie ich z punktu *a* do punktu *b*, a po drodze odkrycie ich mocnych stron i rozdzielenie zadań. Na przykład, gdy byli w drodze, Bartek codziennie wieczorem rozpałał w obozie ognisko. Padło gotował. Nowicki wspinał się na najwyższe drzewo, żeby potwierdzić, że okolica jest bezpieczna. Słoboda uczył jego ludzi, jak bezpiecznie wyciągnąć zawleczkę z granatów WZ-33, które nosili przy paskach, i co zrobić, gdy kula utknie w lufie ich berthierów jako niewypał. A Cyrus, najlepszy w grupie zdaniem Adiego, dla zabicia czasu intonował piosenki do marszu. Dotąd ulubionymi były *Marsz Pierwszej Brygady* i oczywiście najbardziej patriotyczna polska pieśń *Boże, coś Polskę*.

Dwa dni temu drużyna Adiego, jak również inne w 2DSP, dostała rozkaz przemarszu pięćdziesięciu kilometrów na wschód do Poitiers. Adi zgaduje, że zostało im jeszcze około dwudziestu kilometrów. Z Poitiers pojedą około siedmiuset kilometrów dalej z konwojem wojskowym do Belfort przy granicy szwajcarskiej, a stamtąd mają się przyłączyć do 8 Armii Francuskiej w Colombey – les – Belles, miasteczko niedaleko niemieckiej granicy, leżącym na linii Maginota, francuskiej linii obrony. Adi nigdy nie był w Poitiers, Belfort czy Colombey – les – Belles, ale przestudiował mapy. Byli jeszcze daleko.

– Cyrus! – wołał Adi przez ramię, czując potrzebę zajęcia się czymś innym – zaśpiewaj coś, proszę.

Z tylnego rzędu dochodzi: – Tak jest! – i po krótkiej przerwie gwizdanie. Słyszając pierwsze dźwięki, Adi ożywia się.

Piosenka nosi tytuł *List*. To jego piosenka. Inni również ją rozpoznają i przyłączają się, gwizdanie staje się głośniejsze.

Adi się uśmiecha. Nie powiedział nikomu o swoim marzeniu, żeby zostać kompozytorem, ani o piosence, którą napisał przed wojną i która odniosła najwyraźniej taki sukces, że jego pluton zna ją na pamięć. Adi myśli, że może to znak. Może to, że ją teraz słyszy, zapowiada, iż jest tylko kwestią czasu, kiedy znów nawiąże kontakt z rodziną. W końcu to piosenka o liście. Ciężar w piersiach Adiego nieco zelżał. Nuci razem ze swoimi ludźmi, układając w myślach słowa następnego listu do domu: „Nie uwierzysz, Mamo, co dzisiaj usłyszałem na polu walki...”.

10 MAJA 1940: Naziści najeżdżają Holandię, Belgię i Francję. Pomimo obrony aliantów, w ciągu miesiąca Holandia i Belgia poddają się.

10 CZERWCA 1940: Naziści bombardują Paryż.

22 CZERWCA 1940: Rządy Francji i Niemiec podpisują rozejm, dzielący Francję na „wolną strefę” na południu, ze stolicą w Vichy, która znalazła się pod rządami marionetkowego marszałka Petaina, i kontrolowaną przez Niemcy „strefę okupowaną”, obejmującą północ kraju i atlantyckie wybrzeże Francji.

ROZDZIAŁ 12

Genek i Herta

Lwów, Polska pod okupacją sowiecką ~ 28 czerwca 1940

PUKANIE ROZBRZMIEWA NAGLE W ŚRODKU NOCY. Genek momentalnie otwiera oczy. On i Herta siadają w łóżku, patrząc w ciemność. Kolejne pukanie, a potem rozkaz.

– *Otkrojcie dwier!*

Genek kopniakiem uwalnia się z pościeli i w ciemnościach szuka łańcuszka lampki nocnej. Mruży oczy, żeby przyzwyczyli się do światła. W małym pokoju powietrze jest gorące i ciężkie. We Lwowie wciąż obowiązuje zaciemnienie, więc okna są ciągle zasłonięte. Nie ma już czegoś takiego jak spanie przy otwartym oknie. Genek grzbietem dłoni wyciera mgiełkę potu z czoła.

– Chyba nie myślisz... – szepcze Herta, ale przerywają jej następne okrzyki.

– *Narodnyj Komissariat Wnutriennich Diet!* – Dobiegający z zewnątrz głos jest tak głośny, że mógłby obudzić sąsiadów.

Genek przeklina. Herta szeroko otwiera oczy. To oni. Tajna policja. Oboje wychodzą z łóżka.

W ciągu dziewięciu miesięcy, jakie upłynęły, odkąd urządzili się we Lwowie, Genek i Herta słyszeli historie o takich nalotach w środku nocy – o mężczyznach, kobietach i dzieciach zabranych z domów za nielegalne posiadanie pieniędzy, za podejrzenie o stawianie oporu albo po prostu za to, że byli Polakami. Sąsiedzi oskarżonych opowiadali, że słyszeli pukanie, kroki, szczekanie psa, a potem rano nic. Mieszkania były puste. Ludzie, całe rodziny, znikali. Nikt nie wiedział, dokąd ich zabierano.

– Lepiej otwórzmy – mówi Genek, próbując samego siebie przekonać, że nie ma się czego bać. Co też mogłaby mieć na niego tajna policja? Nic złego nie zrobił. Chrząka. – Idę – woła, sięgając po szlafrok i, w ostatniej chwili, leżący na kredensie portfel. Wsuwa go do kieszeni. Herta też narzuca szlafrok na koszulę nocną i idzie za nim korytarzem.

W momencie gdy Genek otwiera drzwi, do mieszkania wpada banda żołnierzy z karabinami, tworząc wokół nich półokrąg. Genek czuje, jak Herta wsuwa mu rękę pod ramię, gdy sam liczy naszywki z sierpem i młotem, brązowo – granatowe czapki. Jest ich razem ośmiu. Dlaczego aż tylu? Intensywnie wpatruje się w intruzów, zaciska pięści, włosy na karku stanęły mu dęba. Żołnierze patrzą na niego z zaciśniętymi szczękami, aż w końcu jeden z nich występuje z kręgu.

Genek mierzy go wzrokiem. Jest niski, ma budowę zapaśnika i jest pyszałkiem – to on tu dowodzi. Mała czerwona gwiazdka nad daszkiem skacze w górę i w dół, gdy kiwa głową do swoich ludzi, a oni posłusznie obracają się na obcasach i minawszy ich, defilują korytarzem.

– Czekaj! – protestuje Genek, patrząc chmurnie na tyły ich kurtek. – Jakim prawem... – niemal wymyka mu się z ust „jak karaluchy”, ale gryzie się w język. – Jakim prawem przeszukujecie moje mieszkanie? – Czuje, jak w skroniach zaczyna mu pulsować krew.

Oficer dowodzący wyciąga z kieszeni na piersi kartkę papieru. Ostrożnie ją otwiera i czyta.

– Gerszon Kurc? – Wymawia to jak jak Gajrzon Kurk.

– Ja jestem Gerszon.

– Mamy nakaz przeszukania mieszkania. – Mówi łamaną polszczyzną, z akcentem równie ciężkim jak jego sylwetka.

Macha przez chwilę kartką Genkowi przed nosem, jakby chciał potwierdzić swoją wiarygodność, potem ponownie ją składa i chowa do kieszeni. Genek słyszy odgłosy spustoszenia dokonującego się w sąsiednich pokojach – wyrywane z komody szuflady, meble przesuwane po drewnianej podłodze, rozrzucone papiery.

– Nakaz? – Genek mruży oczy. – Na jakiej podstawie? – Spogląda na karabin wiszący u boku oficera. Widział zdjęcia radzieckich karabinów, kiedy był w wojsku, ale jeszcze nigdy nie oglądał ich z bliska. Ten wygląda na M38. A może M91/30. Wie, gdzie jest bezpiecznik. Broń jest gotowa do strzału. – Co tu się do cholery dzieje?

Oficer ignoruje pytanie.

– Czekał tutaj – mówi, wkładając palce za pas strzelecki Sam Browne, następnie przechodzi swobodnie przez korytarz, jakby to było jego mieszkanie.

Zostali sami w przedsiönku. Herta wyjmując łokieć spod ręki Genka i krzyżuje ręce na piersiach. Gdy słyszy, jak coś ciężkiego spada na podłogę, przechodzi ją dreszcz.

– Dranie – szepcze Genek pod nosem. – Za kogo oni się...

Herta patrzy mu w oczy.

– Mogą cię usłyszeć – szepcze.

Genek znów gryzie się w język i oddycha głośno przez rozszerzone nozdrza. Zachowanie spokoju w jego przypadku jest niemal niemożliwe. Chodzi w kółko z rękami na biodrach. Odzywa się w nim prawnik, który domaga się zobaczenia nakazu – zresztą na pewno nie jest prawdziwy – ale coś mówi mu, że nie przyniesie to pożytku.

Po kilku minutach grupa ludzi w mundurach ponownie gromadzi się przy drzwiach. Stoją z szeroko rozstawionymi nogami, piersi wypięte jak u kogutów, wciąż trzymając w ręku broń. Dowódca wskazuje palcem Genka.

– Kurk, idziesz z nami na przesłuchanie – mówi.

– Dlaczego? – pyta Genek przez zęby. – Nie zrobiłem nic złego.

– Odpowiesz tylko na kilka pytań.

Genek patrzy na Rosjanina wilkiem, z góry, czerpiąc satysfakcję z tego, że jest od niego o dobrą głowę wyższy i że oficer, chcąc nawiązać kontakt wzrokowy, musi podnieść głowę.

– A potem będę mógł wrócić do domu?

– Tak.

Herta robi krok do przodu.

– Idę z tobą – mówi. To oświadczenie wypowiedziane zdecydowanym tonem. Genek patrzy na nią, zastanawia się, czy się sprzeciwić, ale ona ma rację, będzie lepiej, jeśli też pójdzie. A jeśli NKWD wróci?

– Ona idzie ze mną – mówi Genek.

– Dobrze.

– Musimy się ubrać – dodaje Herta.

Oficer patrzy na zegarek i wyciąga trzy palce do góry: – Macie trzy minuty.

W sypialni Genek wkłada spodnie i koszulę zapinaną na guziki. Herta wciąga spódnice, a potem sięga pod łóżko po walizkę.

– Na wszelki wypadek – mówi. – Kto wie, kiedy wrócimy.

Genek kiwa głową i bierze swoją walizkę. Nie chciałby tego przyznać, ale Herta, zakładając najgorsze, może mieć rację.

Pakuje trochę bielizny, prawie nowe oficerki, fotografię rodziców, szczyryk, szylkretowy grzebień, talię kart, notatnik adresowy. Sięga po szlafrok, przekłada portfel do kieszeni spodni. Herta pakuje mały stosik pończoch i bielizny, szczotkę do włosów, dwie pary spodni, wełnianą bluzkę. W ostatniej chwili postanawiają zabrać płaszcze zimowe, a potem szybko idą korytarzem do kuchni, żeby zabrać resztki bochenka chleba, jabłko i trochę solonej ryby ze spiżarni.

– Moja torebka – szepcze Herta. – Zapomniałam o niej. – Daje jeszcze raz nura do sypialni. Genek idzie za nią, krzywiąc się, gdy przypomina sobie, że jego portfel jest niemal pusty.

– Idziemy! – krzyczy oficer z przedsonka.

– Znalazłaś? – pyta Genek.

Ale Herta nie odpowiada. Stoi przy drzwiach szafy, chwyta się za głowę, kasztanowe włosy przelewają się jej między palcami.

– Nie ma jej – szepcze.

Genek wkłada pięść do ust, żeby powstrzymać przekleństwa.

– Co w niej było?

– Mój dowód, trochę pieniędzy... dużo pieniędzy – Herta łapie się za lewy nadgarstek – nie ma też mojego zegarka.

Wydaje mi się, że leżał na mojej szafce nocnej.

– Gnidy – szepcze Genek.

Oficer znów krzyczy, Genek i Herta cicho wracają do przedsonka.

Dwadzieścia minut później siedzą przy małym biurku naprzeciwko oficera noszącego taką samą granatowo – brązową czapkę jak mężczyźni, którzy ich przyprowadzili. Pokój jest niemal pusty, nad biurkiem wisi tylko portret Stalina. Genek czuje na sobie wzrok sekretarza generalnego o grubych brwiach, który patrzy z góry jak sęp, i powstrzymuje ochotę zerwania fotografii ze ściany i podarcia jej na strzępy.

– Mówisz, że jesteś Polak. – Siedzący naprzeciwko oficer nie kryje, że jest zdegustowany. Zerka na kartkę, którą trzyma w ręku. Genek zastanawia się, czy to jest ten tak zwany nakaz.

– Tak, jestem Polakiem.

– Gdzie się urodziłeś?

– Urodziłem się w Radomiu, trzysta pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Oficer kładzie kartkę na stole i Genek natychmiast rozpoznaje swoje pismo. Uświadamia sobie, że to formularz, kwestionariusz, który kazano mu wypełnić, gdy podpisywał umowę najmu z zarządcą mieszkania przy ulicy Zielonej, niedługo po tym, jak we wrześniu 1939 roku Sowieci przejęli kontrolę nad Lwowem. Umowę spisano na papierze z radzieckim nagłówkiem. Genek nie zastanawiał się wówczas nad tym.

– Twoja rodzina jest wciąż w Radomiu?

– Tak.

– Polska poddała się dziewięć miesięcy temu. Dlaczego nie wróciłeś?

– Tutaj znalazłem pracę – mówi Genek, choć to tylko połowa prawdy. Szczerze mówiąc, po prostu niechętnie wróciliby do domu. W listach matka maluje ponury obraz Radomia: Żydzi są zmuszeni przez cały czas nosić opaski, w całym mieście obowiązuje godzina policyjna, dwunastogodzinny dzień pracy, prawo zakazuje im korzystać z chodników, chodzić do kina, chodzenia na pocztę bez specjalnego pozwolenia. Nechama pisała, że, podobnie jak tysiące innych mieszkańców centrum, zostali eksmitowani z mieszkania i muszą płacić czynsz za lokal na starym mieście, stanowiący ułamek ich dawnego domu. „Jak ma być nas stać na czynsz, skoro odebrali nam nasze firmy, skonfiskowali nasze oszczędności i zmusili do niewolniczej pracy za grosze?” – denerwowała się Nechama. Prosiła go, żeby został. „We Lwowie będzie ci lepiej”, napisała.

– Jaka to praca?

– Pracuję dla kancelarii prawniczej.

Oficer podejrzliwie się mu przygląda.

– Jesteś Żydem, Żydzi nie nadają się na prawników. – Jego słowa skwierczą jak krople wody na rozgrzanej patelni.

– Jestem tam asystentem – mówi Genek.

Oficer pochyla się na swoim drewnianym krześle, kładzie łokcie na biurku.

– Kurc, rozumiesz, że znajdujesz się na radzieckiej ziemi?

Genek otwiera usta, kusi go, by wybuchnąć – „Nie, proszę pana, myli się pan. To pan znajduje się na polskiej ziemi”

– ale myśli o tym chwilę i wtedy uświadamia sobie, dlaczego został aresztowany. W kwestionariuszu, przypomina sobie, był kwadracik, który trzeba było zaznaczyć, żeby przyjąć obywatelstwo radzieckie. Zostawił go pusty. Wydawało mu się niewłaściwe uważać siebie za kogoś innego niż Polaka. Jak mógłby to zrobić? Związek Radziecki jest i zawsze był wrogiem jego ojczyzny. A poza tym calutkie życie spędził w Polsce, walczył dla Polski – na pewno nie zrezygnuje ze swojej narodowości tylko dlatego, że zmieniły się granice. Genek czuje, jak robi mu się gorąco, gdy dociera do niego, że kwestionariusz nie był tylko formalnością, ale rodzajem testu. Sposobem Sowietów na odróżnienie dumnych od słabych.

Odmawiając obywatelstwa, przypiął sobie łątkę buntownika, kogoś, kto może się okazać niebezpieczny. Z jakiegoż innego powodu przyszliby po niego? Zaciska usta, nie chcąc przyznać, że w tym, co mówi oficer, jest odrobina prawdy, zamiast tego rzuca mu prosto w oczy zimne, uparte spojrzenie.

– A jednak – mówi dalej oficer, przyciskając kwestionariusz palcem wskazującym – ty ciągle twierdzisz, że jesteś Polak.

– Powiedziałem panu. Jestem z Polski.

Żyły na karku oficera nabrzmiewają i jego szyja upodabnia się kolorem do czerwieni naszywki na jego kołnierzu.

– Nie ma już takiego czegoś jak Polska! – ryczy i spluwa gwałtownie.

Pojawia się dwóch młodych żołnierzy. Genek rozpoznaje, że to oni przeszukiwali ich mieszkanie. Patrzy na nich intensywnie, zastanawiając się, czy to jeden z nich zabrał torebkę Herty. Zbiry. A potem jest po wszystkim. Oficer kiwnięciem podbródka każe im odejść, Genek i Herta zostają eskortowani z komisariatu policji na dworzec kolejowy.

W bydlęcym wagonie jest ciemno i gorąco, powietrze jest bagienne i śmierdzi ludzkimi odchodami. Do środka wciśnięto pewnie ze trzydzieści – czterdzieści osób, ale nie wiedzą tego na pewno – trudno zgadnąć – stracili już też orientację co do tego, ile z nich zmarło. Więźniowie siedzą ramię w ramię, głowy im się kołyszą tam i z powrotem, gdy pociąg z łoskotem przesuwa się po nierównych torach. Genek zamyka oczy, ale nie da się spać na siedząco, a zanim przyjdzie jego kolejka, żeby się położyć, minie jeszcze wiele godzin. Jakiś mężczyzna kuca nad dziurą wyciętą na środku wagonu, Herta się krztusi. Smród jest nie do zniesienia.

Jest 23 lipca. Są zamknięci w bydlęcym wagonie od dwudziestu pięciu dni. Genek wydrapał w podłodze szczyrykiem kreskę oznaczającą upływające doby. W niektóre dni pociąg sunie przez cały czas, nawet w nocy, nigdy nie zwalniając.

W inne zatrzymuje się, a gdy otwierają się drzwi, na zewnątrz widać małą stację kolejową oznaczoną jakąś nieznaną nazwą. Czasami jakaś dobra odważna dusza z leżącej nieopodal wioski zbliży się do torów, okazując współczucie.

– Biedni ludzie... dokąd oni ich wywożą?

Niektórzy przynoszą bochenek chleba, butelkę wody, jabłko, ale radzieccy strażnicy szybko ich przeganiają, przeklinając i podnosząc w górę swoje M38. Na większości postojów odczepianych jest kilka wagonów, które odjeżdżają później w innym kierunku – na północ lub południe. Ale wagon Genka i Herty jedzie dalej. Rzecz jasna nikt im nie powiedział, kiedy albo gdzie wysiądą, ale przyciskając twarz do dziur w ścianach wagonu, mogli się zorientować, że zmierzają na wschód.

Gdy wsiedli do pociągu we Lwowie, Genek i Herta postanowili poznać jadące z nimi osoby. Wszyscy, czy to katolicy, czy Żydzi, są Polakami. Większość, tak jak ich, zabrano z domów w środku nocy. Ich historie są podobne – areszt za odmowę przyjęcia radzieckiego obywatelstwa, jak w przypadku Genka, albo za jakieś wymyślane przestępstwo, bez możliwości udowodnienia swojej niewinności. Niektórzy są sami, inni z bratem albo żoną przy boku. Jest też kilkoro dzieci. Przez jakiś czas rozmowy z innymi więźniami, poznawanie ich historii, rozmowy o tym, co za sobą zostawili, przynosiły Genkowi i Hercie ulgę, czuli dzięki nim, że nie są sami. Cokolwiek ich czekało, więźniom pomagała świadomość, że będą dzielić ten los. Ale po kilku dniach zobaczyli, że nie ma już więcej tematów. Gwar rozmów ustąpił i w wagonie zapanowała grobowa cisza niczym popiół po gasnącym ognisku. Niektórzy płakali, ale większość spała albo po prostu siedziała w milczeniu, wycofując się coraz bardziej w głąb siebie, skrępowana strachem przed nieznanym i niezaprzeczalnym faktem, że gdziekolwiek ich wyślą, to będzie bardzo, bardzo daleko od domu.

Gdy pociąg zatrzymuje się z piskiem, Genkowi burczy w brzuchu. Nie pamięta już, jak to jest nie być głodnym. Po kilku minutach podnosi się metalowa sztaba, drzwi wagonu się otwierają, a do więźniów dociera światło dnia. Pocierają oczy i mrużą je na widok świata zewnętrznego. Krajobraz widziany przez ramę drzwi jest ponury: płaska, niekończąca się tundra, a w dalszej perspektywie las. Nie widać żadnych ludzi. Nikt się nie podnosi. Dobrze wiedzą, że lepiej nie wychodzić z wagonu, zanim ktoś im tego nie rozkaże.

Strażnik w czapce z gwiazdką wspina się do środka, przestępując między nogami i nad zawszawionymi ciałami.

W najdalszym kącie wagonu zatrzymuje się, pochyla i szturcha ramię więźnia opartego o ścianę,

z podbródkiem opartym na piersi. Ten starszy mężczyzna jest nieprzytomny. Strażnik jeszcze raz go trąca i tym razem jego ciało przechyla się na lewo, a czoło opada ciężko na ramieniu siedzącej obok kobiety, która w reakcji wydaje z siebie stłumiony okrzyk.

Strażnik wydaje się poirytowany.

– Stiepan! – krzyczy i za chwilę w drzwiach pojawia się jego towarzysz w takiej samej czapce. – Kolejny.

Nowy strażnik wspina się do pociągu.

– Odsunąć się! – krzyczy i Polacy znajdujący się w tym rogu podnoszą się ociężale. Herta odwraca wzrok, gdy Sowietci schylają się, by podnieść bezwładne ciało, i niosą je w kierunku otwartych drzwi. Gdy przechodzą obok niego, Genek podnosi wzrok, ale nie widzi twarzy mężczyzny, tylko jego rękę dyndającą pod nienaturalnym kątem, o niezdrowo żółtej skórze. Przy drzwiach strażnicy liczą do trzech i stękając, wyrzucają ciało z pociągu.

Herta zakrywa sobie uszy, bojąc się, że jeśli znów usłyszy, jak ciało upada na ziemię, zacznie krzyczeć. To trzecia osoba wyrzucona w ciągu trzech dni. Wywalona jak śmieć, by gnić obok torów. Przez jakiś czas była w stanie zdystansować się od tego, od tej potworności. Postanowiła, że nic jej nie poruszy. Czasami udawała, że to wszystko farsa, sceny z horroru; umysł opuszczał wtedy jej ciało i patrzyła na siebie z góry. Innym razem myśli zabierały ją daleko od pociągu, przywołując obrazy z zupełnie innego świata, zazwyczaj te z przeszłości, z czasów dorastania w Bielsku: bogata synagoga na ulicy 3

Mają ze zdobną, neoromańską fasadą i bliźniaczymi wieżyczkami w stylu mauretańskim, widok ze szczytu Szyndzielni na dolinę i piękny bielski zamek. Jej ulubiony cienisty park, dwie ulice od rzeki Białej, gdzie, gdy była mała, jej rodzina urządzała pikniki. Zostawała tam, jak długo się dało, wspomnienia przynosiły jej pociechę. Ale w ubiegłym tygodniu, kiedy umarło dziecko, dziewczynka nie większa niż siostrzenica Genka, Herta nie wytrzymała. Dziecko się zagłodziło. Matka przestała mieć pokarm, przez wiele dni nic nie mówiła, tylko siedziała cicho, obejmując ciałem niedający oznak życia pakunczek. Pewnego popołudnia strażnicy ją zauważyli. A kiedy zabrali od niej dziecko, pozostali zaczęli krzyczeć: – To niesprawiedliwe! Prosimy, zostawcie ją! – ale strażnicy odwrócili się i wyrzucili malutkie ciało z pociągu, tak jak zrobili to z poprzednimi, a błagania więźniów zaraz potem zagłuszyło rozpaczliwe wycie kobiety, której serce pękło na pół; odtąd odmawiała jedzenia, a rozpacz była dla niej tak trudna do zniesienia, że cztery dni później jej martwe ciało zostało wyrzucone z pociągu.

To odgłos upadku dziecięcego ciała na ziemię złamał Hertę, sprawił, że jej odrętwienie ustąpiło nienawiści, płonącej w niej tak intensywnie, że myślała, iż jej płomień spali ją od środka.

Przychodzi trzecia granatowa czapka, przynosząc wiadro z wodą i kosz chleba – bochenki wielkości paczki papierosów, twarde jak kamień. Genek bierze jeden, odłamuje kawałek i podaje bochenek Hercie. Ona kręci głową, za bardzo ją mdli, żeby mogła jeść.

Drzwi się zamykają i w pociągu znów robi się ciemno. Genek drapie się po głowie, Herta zabiera jego rękę.

– To tylko pogorszy sprawę – szepcze.

Genek osuwa się, niepewny, co mierzi go bardziej – to, że jest uwięziony w świecie nieuchronnie zmierzającym ku zniszczeniu, czy też armia wszy, która rozmnożyła się na jego brudnej głowie. Poprawia walizkę pod zgiętymi kolanami i oddycha ustami, żeby nie czuć potwornego smrodu śmierci i zgnilizny. Po

chwili ktoś klepie go w ramię. Puszka z wodą dotarła do niego. Wzdycha, zamacza chleb w cuchnącej wodzie i podaje puszkę Hercie. Ta bierze mały łyk i przekazuje dalej ciału znajdującemu się po jej prawej stronie.

– Obrzydliwe – szepcze Herta, wycierając usta wierzchem dłoni.

– To wszystko, co mamy. Bez tego umrzemy.

– Nie mówię o wodzie. Mam na myśli całą resztę.

Genek bierze ją za rękę.

– Wiem, musimy tylko wysiąść z tego pociągu, a potem damy radę. Będzie dobrze. – W ciemności czuje na sobie wzrok Herty.

– Na pewno?

Genka przechodzi znajomy dreszcz wywołany poczuciem winy, ponieważ uważa, że to on jest odpowiedzialny za to, iż znaleźli się w tej sytuacji. Gdyby przez chwilę pomyślał, jakie mogą być skutki odmowy przyjęcia radzieckiego obywatelstwa, wszystko byłoby inaczej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wciąż byłiby we Lwowie. Opiera głowę o znajdującą się za nim ścianę wagonu. Wtedy wydawało się to takie oczywiste. Herta przysięga, że też nie zadeklarowałaby lojalności wobec Sowietów, że na jego miejscu zrobiłaby to samo, ale, ach, gdybyż tylko potrafił cofnąć czas.

– Na pewno. – Genek potwierdza skinieniem głowy, odsuwając na bok wyrzuty sumienia. Gdziekolwiek jada, musi być tam lepiej niż w pociągu. – Na pewno – powtarza, pragnąc odrobiny świeżego powietrza. I jasności. Zamyka oczy, skatowany poczuciem bezsilności, które – odkąd wsiedli do pociągu – przytłacza go niczym tony kamieni. Nie znosi tego uczucia. Ale co można zrobić? Jego spryt, urok, wdzięk – te wszystkie cechy, na których całe życie polegał, które zawsze pomagały mu wydostać się z kłopotów – na cóż mu się teraz zdadzą? Tego jednego razu, gdy uśmiechnął się do strażnika, myśląc, że może dzięki temu zyska jego przychylność, ta gnida zagroziła, iż zaraz mu przywali pięścią w tę śliczną chłopięcą twarz.

Musi być jakieś wyjście. Genka chwytają mdłości i nagle uderza go potrzeba modlitwy. Nie jest pobożny, nigdy zbyt często się nie modlił, prawdę mówiąc, nie widział w tym sensu. Ale jednocześnie nie jest przyzwyczajony do tego, by czuć się tak bardzo bezradnym. Jeśli kiedykolwiek miała przyjść godzina, w której można prosić o pomoc – postanawia – to nadeszła właśnie teraz. Nie zaszkodzi.

I tak Genek się modli. Modli się, żeby ich wielomiesięczny exodus się zakończył, żeby dało się przeżyć, gdy już wysiądą z pociągu, modli się o zdrowie dla siebie i dla Herty, o bezpieczeństwo rodziców, o bezpieczeństwo braci, a zwłaszcza Adiego, którego nie widział od ponad roku. Modli się, żeby nadszedł dzień, w którym znów będzie razem z rodziną. Jeśli wojna wkrótce się skończy, fantazjuje, to może zobaczy się z nimi w październiku, na Rosz Haszana. Jak pięknie byłoby wkroczyć razem w żydowski Nowy Rok.

Genek powtarza w ciszy swoje błagania, raz po raz, aż w końcu ktoś w wagonie intonuje pieśń. To hymn *Boże, coś Polskę*. Boże zbaw Polskę. Włączają się inni, śpiew staje się głośniejszy. Słowa pieśni wypełniają ciemny, wilgotny wagon, a Genek cicho przyłącza się do niej. *Proszę, Boże, chroń Polskę. Chroń nas. Chroń nasze rodziny. Proszę.*

LISTOPAD 1939 – CZERWIEC 1941: Ponad milion Polaków – kobiet, mężczyzn i dzieci – zostaje deportowanych przez Armię Czerwoną na Syberię, do Kazachstanu i radzieckiej części Azji, gdzie stawiają czoło ciężkiej pracy fizycznej, fatalnym warunkom życia, ekstremalnemu klimatowi, chorobom i głodowi. Tysiące z nich umiera.

7 WRZEŚNIA 1940: Blitz. Przez pięćdziesiąt siedem nocy z rządu niemieckie samoloty zrzucają bomby na stolicę Wielkiej Brytanii. Lotniczy atak Luftwaffe rozszerza się na piętnaście innych brytyjskich miast i trwa ponad trzydzieści siedem tygodni. Churchill odmawia kapitulacji i rozkazuje siłom RAF– u nie ustępować w kontrataku.

27 WRZEŚNIA 1940: Niemcy, Włochy i Japonia podpisują pakt trójstronny, zawiązując sojusz państw Osi.

3 PAŹDZIERNIKA 1940: Francuski rząd w Vichy publikuje Statut des Juifs, odbierający mieszkającym we Francji Żydom prawa obywatelskie.

ROZDZIAŁ 13

Adi

Vichy, Francja ~ grudzień 1940

ADI IDZIE CHODNIKIEM, kierując się ku schodom przy wejściu do Hotel du Parc. Nie ma nawet jeszcze ósmej rano, ale na skutek stresu każdą komórkę jego ciała przepelnia energia. Trzęsąc się podczas drogi z zimna, uświadamia sobie, że powinien był coś zjeść. Już teraz wydaje się, że to będzie jedna z najcięższych zim w historii Francji.

Z hotelu wyłania się mężczyzna w garniturze o krótko ostrzyżonych blond włosach, Adi zatrzymuje się na chwilę, przypominając sobie najbardziej aktualne zdjęcie Souzy Dantasa, jakie widział w gazecie. To nie on. Luis Martins de Souza Dantas, ambasador Brazylii we Francji, ma ciemne włosy i szeroką twarz. Jest też tęższy. Przez ostatni miesiąc Adi zbierał najróżniejsze informacje na jego temat. Udało mu się ustalić, że ambasador jest osobą znaną. Najbardziej podziwiają go w Paryżu, gdzie cieszy się popularnością w kręgach społecznej i politycznej elity miasta. Gdy Francja w czerwcu skapitulowała przed Niemcami, Souzę Dantasa i garstkę innych ambasadorów z państw przyjaznych Osi: Związku Radzieckiego, Włoch, Japonii, Węgier, Rumunii, Słowacji, przeniesiono z Paryża do Vichy. Jego nowe biuro mieści się przy Boulevard des Etats – Unis, ale Adi słyszał plotki, że ambasador mieszka w Hotel du Parc i w sekrecie, nielegalnie wydaje Żydom brazylijskie wizy.

Adi patrzy na zegarek, już prawie ósma. Ambasada wkrótce się otworzy. Wydycha powietrze kącikami ust i myśli, co będzie, jeśli jego plan się nie powiedzie. Co wtedy? Choć bardzo ciężko mu to przyznać, powrót do Polski wydaje się niemożliwy. Ponieważ Francja jest w rękach nazistów, nie tylko nie uda mu się zdobyć wizy tranzytowej, ale zdaje się, że też nie będzie mógł tu zostać. W Europie kontrolowanej przez państwa Osi nie ma dla niego bezpiecznej przyszłości.

Adi zastanawiał się, czy powinien wystąpić o wizę brazylijską, bo Getulio Vargas, quasi – faszystowski dyktator Brazylii, podobno sprzyjał reżimowi nazistowskiemu. Odmówiono mu już jednak wizy do Wenezueli, Argentyny i, po dwudniowym oczekiwaniu w kolejce okrążającej budynek amerykańskiej ambasady, do USA. Możliwości się wyczerpują.

Oczywiście ucieczka do Brazylii oznacza zwiększenie odległości dzielącej Adiego od bliskich o szerokość oceanu – ta myśl bezustannie go prześladowuje. Odkąd ostatni raz dostał wiadomość z Radomia od mamy, minęło trzysta miesięcy.

Często zadaje sobie pytanie, czy dotarł do niej któryś z jego listów, czy czułaby się zraniona albo zdradzona, gdyby poznała jego plan wyjazdu z Europy. Nie. Oczywiście, że nie, przekonuje się Adi. Matka chciałaby, żeby się stąd wydostał, póki jeszcze może. Tak czy inaczej, w Brazylii będzie można się z nim skontaktować równie dobrze jak przez ostatnie miesiące we Francji. A jednak czuje, że wyjazd bez upewnienia się, że rodzice i rodzeństwo są bezpieczni, bez powiadomienia ich o jego planach i o tym, jak mogą się z nim skontaktować, jest czymś złym. Żeby uspokoić sumienie, Adi mówi sobie, że jeśli uda mu

się zdobyć wizę, a dzięki temu bardziej stały adres, gdy już się urządzi w bezpiecznym miejscu, będzie mógł skoncentrować wszystkie wysiłki na odnalezieniu rodziny.

Gdyby tylko uzyskanie brazylijskiej wizy było łatwiejsze. Za pierwszym podejściem mu się nie udało. Przez dziesięć godzin czekał pod ambasadą brazylijską w zamarzającym deszczu, razem z dziesiątkami innych osób rozpaczliwie ubiegających się o pozwolenie na rejs do Rio, tylko po to, żeby jeden z pracowników Souzy Dantasa powiedział im w końcu, że wyczerpano już limit wiz. Adi wrócił do hostelu i przez następnych kilka wieczorów rozmyślał, czy nie mógłby przekonać tej młodej kobiety w ambasadzie, żeby zrobiła dla niego wyjątek, ale w jej oczach widział, że nie było takiej rzeczy, która zmusiłaby ją do odstąpienia od przepisów. Będzie musiał zwrócić się do osoby stojącej nad nią, do samego ambasadora.

Adi powtarza w duchu swoje błaganie, dotykając sprawdza, czy ma w kieszeni papiery – zaświadczenie z polskiej ambasady w Tuluzie o pozwoleniu na emigrację do Brazylii, jeśli Brazylia uzna, że jest godzien wizy. *Monsieur Souza Dantas, je m'appelle Adi Kurc*, recytuje pod nosem, żałując, że nie może porozmawiać z ambasadorem w jego języku ojczystym, portugalskim. *Plaisir de vous rencontrer*. Jest pan bardzo zajęty człowiekiem, ale gdyby poświęciłby mi pan chwilę swojego czasu, to chciałbym pana przekonać, dlaczego wydanie mi wizy do pańskiego pięknego kraju leży w pana interesie. Zbyt bezpośrednio? Nie, musi być pewny siebie. W przeciwnym razie dlaczego Souza miałby poświęcać mu czas? Gdyby tylko miał okazję wyjaśnić, jaki ma tytuł naukowy, jakie doświadczenie w elektrotechnice, ambasador potraktowałby go poważnie. Brazylia jest krajem rozwijającym się, na pewno potrzebują inżynierów.

Adi poprawia szalik między połamami płaszcza, łapie swoje odbicie w jednym z parterowych okien hotelu i gdy spogląda na siebie oczami ambasadora, w jednej chwili jego trwoga pierzcha. Wygląda elegancko, porządnie, profesjonalnie. Myśli sobie, że to była dobra decyzja, by włożyć garnitur. Rozważał mundur wojskowy, który zabiera ze sobą, dokądkolwiek się przenosi. Często się przydaje, bo ma wtedy na sobie wzbudzające szacunek trzy krokiewki stopnia *sergent – chef*, który nadano mu wkrótce po przybyciu do Colombey – les – Belles. Uniform wojskowy nosi czasem pod ubraniem cywilnym na wypadek, gdyby szybko musiał się przebrać. Ale w garniturze jest sobą, czuje się pewniej. Poza tym gdyby włożył mundur, ryzykowałby, że Souza Dantas zapyta, w jaki sposób i kiedy go zdemobilizowano. A prawdę mówiąc, nikt tego nie zrobił.

W przypadku Adiego proces opuszczenia wojska był szybki i nietypowy. Wyszedł z niego niedługo po kapitulacji Francji, gdy Niemcy nakazali rozformować wszystkie jednostki armii francuskiej z wyjątkiem kilku oddziałów. Te, które pozostały, znalazły się pod władzą Niemiec. Adi poczekałby na oficjalne papiery z decyzją o jego demobilizacji, ale odkrył, że wraz z wejściem w życie niedawnego *Statut des Juifs* Hitlera, francuscy Żydzi zostaną pozbawieni praw, aresztowani, a tysiące zostaną deportowane. I tak zamiast czekać na aresztowanie, Adi pożyczył maszynę do pisania i dokumenty demobilizujące kolegi jako wzór i sfalszował swoje papiery. Był to krok niebezpieczny, ale Adi czuł, że kończy mu się czas.

Jak dotąd na szczęście papiery się sprawdzały. Nikt za bardzo się im nie przyglądał – ani dowódca plutonu, ani urzędnik w Bureau Polonais w Tuluzie, gdzie zwrócił się z prośbą o pozwolenie na emigrację z Polski, ani kierowca francuskiej ciężarówki wojskowej, który podwiózł go do Vichy. Nie miał jednak żadnego interesu w tym, żeby kusić los w kontakcie z Souzą Dantasem.

Uwagę Adiego przyciąga na powrót odgłos kroków powyżej niego na schodach. Obraca się i widzi, jak

zbliża się dżentelmen o szerokiej twarzy i jeszcze szerszych ramionach i od razu wie – to on. Souza Dantas. Wszystko w nim wydaje się szczerze i bezpretensjonalne: granatowe luźne spodnie z kantem, wełniany płaszcz, skórzana teczka, nawet z jego kroku bije skuteczność, jak u biznesmena. Adi czuje, jak rośnie mu adrenalina. Chrząka.

– Senhor Souza Dantas! – woła, witając ambasadora mocnym uściskiem dłoni u podnóża schodów i próbując zwalczyć głos w głowie, który przypomina mu, że już raz odrzucono jego prośbę o wizę brazylijską. Że żaden inny kraj go nie przyjmie. Że ten plan musi się udać, to jego jedyna możliwość. Zachowaj spokój, napomina się Adi. W tej chwili to może najważniejszy człowiek w twoim życiu, ale nie możesz okazać desperacji. Po prostu bądź sobą.

Halina

Bug, granica rządów okupacyjnych w Polsce między Niemcami a Związkiem Radzieckim ~ styczeń 1941

HALINA PODNOSI KOŃCE WEŁNIANEGO PŁASZCZA i zanurza w wodzie kijek, posuwając się odrobinę w stronę drugiego brzegu Bugu. Lodowata woda szemrze wokół jej kolan i szarpie spodnie. Halina zatrzymuje się i patrzy przez ramię.

Minęła północ, ale księżyc w pełni, okrągły jak bochenek chleba, jest niczym reflektor rozświetlający bezchmurne nocne niebo. Halina doskonale widzi swoją kuzynkę Frankę.

– Na pewno wszystko dobrze? – pyta, drżąc z zimna. Na piegowatej twarzy Franki widać tylko skupienie. Porusza się powoli, jedną rękę wyciągnęła dla zachowania równowagi, na drugiej ma zawieszoną rączkę wiklinowego koszyka, który trzyma blisko przy ciele.

– W porządku.

Halina proponowała, że poniesie kosz, ale Franka się uparła.

– Idź przodem – powiedziała – uważaj na zagłębienia.

Halina nie przejmuje się koszykiem, tylko schowanymi w nim pieniędzmi. Zawinęły swoje pięćdziesiąt złotych w kawałek impregnowanego płótna i wsunęły je przez małą dziurkę w tkaninie wyściełającej koszyk z nadzieją, że tam będą bezpieczne i pozostaną w ukryciu na wypadek przesłuchania. Pochylając się nad prądem rzeki, Halina myśli o tym, że przed wojną pięćdziesiąt złotych nie miało dużej wartości. Może wystarczyło na nowy jedwabny szalik. Wieczór w Teatrze Wielkim w Warszawie. Teraz to równowartość tygodniowego wyżywienia, biletu na pociąg, sposób na wydostanie się z więzienia. Teraz to ostatnia deska ratunku. Halina wbija kij w dno rzeki i stawia kolejny niepewny krok, wokół niej skaczą i tańczą białoniebieskie refleksy księżyca.

Adam obiecywał w listach, że we Lwowie będzie jej lepiej; pisał, że życie pod okupacją sowiecką jest mniej uciążliwe od życia w Radomiu rządzonego przez Niemcy, jakie mu opisywała. Halina wiedziała, że ma rację. Nie znosiła gnieźdzenia się w zatłoczonym mieszkanku na starym mieście, gdzie Miła spała z Felicją w jednej sypialni, rodzice w drugiej, a ona na za małej dla niej sofie w salonie. Nie znosiła tego, że nie było tam chłodziarki i że czasem całymi dniami nie mieli bieżącej wody. Nieustannie deptali sobie po piętach. Co gorsza, Niemcy zabrali się do odgradzania sznurami poszczególnych części dzielnicy. Jeszcze tego nie ogłosili, ale zaczęli tworzyć getto. Więzienie. Niedługo Żydzi zostaną całkowicie odseparowani od ludności nieżydowskiej. Izaak, znajomy w żydowskiej policji, powiedział, że to samo zrobili już w Lublinie, Krakowie i Łodzi. Radomskim Żydom wolno jeszcze było wychodzić ze starego miasta i do niego wracać, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, gdy sznury zmienią się w mury i dzielnica zostanie zamknięta.

„Przyjedź do Lwowa, zaczniemy od nowa” – napisał Adam. „Belli się udało. Tobie też się uda. A potem sprowadzimy twoich rodziców i Milę”. Zaczniemy od nowa. Brzmiało to obiecująco, wręcz romantycznie,

pomimo okoliczności. Halina była teraz pewna, że ona i Adam wkrótce się pobiorą. Była jednak również pewna, że sumienie nie pozwoli jej zostawić rodziców i siostry w Radomiu, nieważne, jak trudne byłyby warunki mieszkaniowe.

Całymi tygodniami Halina mówiła sobie, że wyjazd do Lwowa nie wchodzi w rachubę. To się jednak zmieniło, gdy dostała od Adama list, w którym prosił ją, by określonego dnia, o określonej porze spotkała się z jego kolegą na schodach mauzoleum Czachowskiego w Radomiu. Poszła tam, drżąc w środku, i wtedy dowiedziała się, że Adam został zrekrutowany do podziemia. „Wyrobił sobie opinię najlepszego fałszerza dokumentów we Lwowie – powiedział jego kolega, który się nie przedstawił, a Halina nie pytała go o nazwisko. – Chciał, żebyś się o tym dowiedziała, i prosił, żebyś przyjechała do Lwowa. Myślę, że warto, byś to zrobiła” – dodał, zanim zniknął w ulicy Kościelnej. To musiała być ta „wiadomość”, o której wspominał Adam i której oczywiście nie mógł przekazać w liście. Halina nie była zaskoczona. Adam był najbardziej skrupulatną osobą, jaką знаła. Idealny, pamięta, tak pomyślała, gdy pierwszy raz pokazał jej jeden ze swoich rysunków architektonicznych, przedstawiający poczekalnię stacji kolejowej. Jej linie były czyste i nowoczesne, całość idealnie praktyczna i estetyczna. „Próbuję projektować »wolny od nieprawdy«” – powiedział, cytując słynnego modernistę i swojego mistrza, Waltera Gropiusa.

Po tej wiadomości Halina postanowiła, że wyjedzie do Lwowa. Wybrałaby się w podróż sama, ale jej kuzynka Franka nie chciała na to pozwolić. „Jadę z tobą – oświadczyła – czy tego chcesz, czy nie”.

Ich rodzice, co zrozumieli, obawiali się tej podróży. Jakub napisał, że jej brat Genek którejś nocy pod koniec czerwca zniknął ze Lwowa. Selim wciąż nie dawał znaku życia. W Radomiu było bardzo ciężko, rodzice to przyznawali, ale przynajmniej byli razem i wiedzieli, co się z nimi dzieje. Tak czy owak, wiązało się to z naprawdę dużym ryzykiem, bo podróże Żydów były zabronione i zgodnie z jednym z dekretów groziła za nie śmierć. Ale Halina przyrzekła, że znajdzie sposób, by bezpiecznie przedostać się do Lwowa, obiecała też, że nie zostanie tam długo. „Adam mówi, że znajdzie mi pracę – powiedziała. – Wrócę do Radomia za kilka miesięcy z odpowiednią ilością pieniędzy i dowodami osobistymi, żeby było nam trochę łatwiej. Może uda mi się dowiedzieć czegoś o tym, co stało się z Genkiem, Hertą i Selimem”.

Gdy Halina definitywnie postanowiła jechać, Sol i Nechama poddali się. Nie było najmniejszego sensu przekonywać ją do zmiany zdania.

Woda wpełza jej do pończoch. Halina przeklina, żałując, że los nie obdarzył jej wzrostem Franki. Cholera, zimno. Jeśli zrobi się głębiej, będzie zmuszona płynąć. Ona i Franka są dobrymi pływaczkami, razem nauczyły się pływać któregoś lata nad jeziorem, z pomocą ojców, ale woda tutaj w niczym nie przypomina pięknych wód jeziora Garbatka. Ma styczniową temperaturę, jest czarna jak smoła i ma szybki nurt. Niebezpieczne będzie w niej płynąć. Ryzykowałyby hipotermię.

A koszyk – czyby nie przemókł? Halina znowu myśli o pieniądzach, ile kosztowało jej matkę uciulanie tych pięćdziesięciu złotych. To jeszcze jeden powód, by jechać do Lwowa uzupełnić nasze zapasy. Co tam zimno, mówi sobie. To wszystko to część planu.

Poprzedniej nocy spały w Liskach u Salingerów, przyjaciół rodziny, których Halina poznała w sklepie z tkaninami jakieś dziesięć lat temu. Pani Salinger była jedyną znaną Halinie osobą, która mogła godzinami rozmawiać o jedwabiu. Nechama uwielbiała ją i wyczekiwała jej wizyt, które następowały dwa razy w roku, zanim sklep został zamknięty.

Miasteczko Liski leży piętnaście kilometrów od Bugu, rzeki wyznaczonej jako granica między ziemiami

polskimi pod okupacją sowiecką i tymi pod niemiecką. Pani Salinger powiedziała Halinie i France, że mostów na rzece po obu brzegach pilnują żołnierze i że najbezpieczniejszą drogą na drugą stronę będzie przejście w bród. „Rzeka jest wąska, słyszeliśmy, że najpłytsza jest w Zosinie – wyjaśniała pani Salinger. – Ale roi się tam od nazistów – ostrzegła – a prąd jest szybki. Musicie uważać, żeby się nie przewrócić. Woda jest lodowata”. I dodała, że jej siostrzeniec pokonał tę samą trasę w drugą stronę zaledwie tydzień wcześniej. „Zdaniem Jurka, jak już przejdziecie przez rzekę, możecie iść wzdłuż niej na południe do Uściługu i tam złapać podwózkę do Lwowa”.

Tego ranka pani Salinger włożyła do koszyka Haliny i Franki mały bochenek chleba, dwa jabłka i ugotowane jajko.

– Uczta! – wykrzyknęła na to Halina i całując dziewczyny w policzek na pożegnanie, szepnęła: – Powodzenia.

Halina i Franka poszły do Zosina bocznymi ścieżkami, żeby niemieccy żołnierze nie dostrzegli ich i nie zabrali na przesłuchanie. Próbowaly nie myśleć za dużo o tym, co by było, gdyby je złapano bez specjalnego zezwolenia na wyjazd poza miejsce zamieszkania. Droga zajęła im prawie trzy godziny. O zmierzchu dotarły do Zosina i przeczesywały wzrokiem brzeg rzeki w poszukiwaniu najwęższego pasa wody, a potem odczekały, aż zapadnie zmrok, i dopiero wtedy zaczęły przeprawę.

Odcinek rzeki, który wybrały, nie jest szerszy niż dziesięć metrów. Halina zgaduje, że są teraz gdzieś w połowie drogi do drugiego brzegu.

– Nadal wszystko w porządku? – pyta, pomagając sobie kijem zachować równowagę, gdy znów odwraca się, by spojrzeć za siebie. Franka zaczęła zostawać z tyłu, w odpowiedzi przez chwilę spogląda w górę i potem kiwa głową, białka jej oczu poruszają się w dół i w górę w świetle księżyca. Gdy Halina ponownie skupia się na wodnej otchłani przed sobą, w oddali dostrzega błysk. Małe błyski światła. Nieruchomieje, wpatrując się w kierunek, skąd przyszedł. Przez chwilę go nie ma, ale potem powraca. Wąska łuna. Dwie. Trzy! Latarki. W drzewach od wschodniej strony, rosnących na polu po drugiej stronie rzeki. Muszą należeć do żołnierzy radzieckich. Któż inny chodziłby po zimnie tak późno w nocy? Halina sprawdza, czy Franka widziała, ale jej kuzynka opuściła nisko głowę i usiłuje pokonać rzekę. Halina nasłuchuje, słyszy jednak tylko miarowy odgłos poruszającej się wody. Czeką jeszcze minutę i postanawia w końcu, że nie będzie nic mówić.

To nie powód do paniki, mówi sobie. Lepiej nie rozpraszać uwagi Franki. Niedługo będą po drugiej stronie, a gdy znajdą się na suchej ziemi, położą się nisko i przeczekają, aż właściciele latarek przejdą.

Pod jej stopami muł na dnie rzeki ustępuje kamieniom i po kilku krokach Halina czuje, jakby szła po nieociosanym marmurze. Rozważa zawrót i poszukanie lepszego, płytszego miejsca na przeprawę. Może mogłyby spróbować jeszcze raz jutro albo w jakiś deszczowy dzień, kiedy dzięki gęstym chmurom będą lepiej zakamuflowane. Ale jaki to ma sens? Nieważne, gdzie przejdą przez rzekę, bo nie mają przecież możliwości sprawdzenia, jak głęboka jest woda. Poza tym nie mają w Zosinie żadnych znajomych. U kogo by się zatrzymały? Jeśli spróbują spędzić noc na dworze, zamarzną na śmierć. Halina przeczesuje wzrokiem linię drzew. Smużki światła na szczęście zniknęły. Zostały im jeszcze tylko cztery metry, najwyżej pięć. Po rosyjskiej stronie będziemy mieć więcej szczęścia, zapewnia samą siebie Halina, brnąc do przodu.

– Jesteśmy w poł... – woła Halina, ale jej słowa ucina wrzask „Aaaaal”, a następnie wyraźny plusk wody pod ciężarem ciała, dobiegający zza jej pleców.

Halina odwraca głowę na tyle szybko, by zobaczyć, jak Franka z otwartymi szeroko ustami znika pod powierzchnią wody, jednocześnie milknie jej krzyk.

– Franka! – krzyczy Halina, powstrzymując oddech. Mija sekunda, potem druga. Nic.

Tylko dźwięk płynącej wody, perliste odbicie księżyca i nocnego nieba, i kilka bąbelków w miejscu, gdzie przed chwilą stała jej kuzynka. Halina lustruje rzekę wzrokiem, rozpaczliwie dopatrując się jakiegó ruchu.

– Franka! – szepcze, w jej oczach pojawia się panika.

W końcu kilka metrów dalej w dół rzeki Franka wyskakuje z wody, plując i chwytając powietrze, oczy zasłaniają jej kosmyki mokrych włosów.

– Koszyk! – wydziera się, sięgając w kierunku beżowego pałaka, który pojawił się na powierzchni wody naprzeciwko niej. Wykonuje gwałtowny ruch, usiłując złapać uchwyt, ale prąd jest zbyt szybki. Zanurzając się i lawirując w pędzącej wodzie, koszyk w końcu znika.

– Nieeeeeee! – powietrze przecina przepelniony paniką głos Haliny. Dziewczyna bez zastanowienia puszcza kij, nabiera powietrza i rzuca się z rozłożonymi ramionami do wody. Jest szokująco zimna. Tnie jej policzki, obejmuje ją niczym zbroja i przez chwilę Halina jest sparaliżowana, jej ciało zamrożone, czuje się jak kłoda porwana przez prąd wody. Podnosi głowę, polyka powietrze i zaczyna mocno machać rękami, jednocześnie wyciągając szyję, żeby utrzymać brodę nad powierzchnią. Ledwie widzi koszyk, jego rączka podskakuje kilka metrów dalej w dół rzeki niczym boja na wzburzonym morzu.

– Stop! – zawodzi Franka zza jej pleców. – Zostaw!

Ale Halina macha jeszcze mocniej, błagania kuzynki coraz bardziej się od niej oddalają, aż słyszy już tylko własny oddech i pluskanie wody o uszy. Płynie rozpaczliwie, uderza kolanem o dno rzeki. Mogłaby wstać, ale wie, że jeśli to zrobi, będzie po koszyku. Porusza nogami do żabki, wzrokiem celuje parę metrów dalej, próbuje zwalczyć drętwienie ciała i instynkt każący jej się zatrzymać, dopłynąć do brzegu i odpocząć.

Gdy pokonuje łagodny zakręt, rzeka się rozszerza i prąd na chwilę słabnie. Koszyk zwalnia, spokojnie ślizga się wokół wiru, a powierzchnia wody jest teraz tak gładka i błyszcząca jak lakierowana klawiatura steinwaya jej rodziców. Halina zbliża się do celu. Gdy rzeka zwęża się i prąd znów przyspiesza, ma koszyk w zasięgu ramion. Ostatnimi resztkami sił, jakie zostały w jej obolałych mięśniach, wybija ciało z wody i gwałtownie wyrzuca jedno ramię do przodu z szeroko rozstawionymi palcami.

Gdy otwiera oczy, ku własnemu zaskoczeniu widzi, że trzyma koszyk w ręku. Nie czuje kończyn, niczego już nie czuje.

Pozwala stopom opaść na dno i łapie równowagę. Wstaje powoli, utrzymując ciało nisko nad wodą, żeby oprzeć się prądowi, trzyma rączkę koszyka tak mocno, że palce, białe na kostkach, zaczynają łąpać skurcze, i jak już bezpiecznie znajdzie się na drugim brzegu, będzie musiała je rozdzielać wolną ręką.

Po wyjściu z wody Halina osuwa się na błotnisty brzeg, trzęsą się jej ręce, ramiona drżą, serce wali mocno w piersi. Kuli się i zagląda do koszyka. Jedzenie zniknęło. Wsuwa palce do dziurki we wkładzie do koszyka i wymacuje kawałek twardego płótna.

– Pieniądze! Są! – wyszeptuje, na sekundę zapominając, jak strasznie jest jej zimno. Zdejmuje płaszcz i uderza nim o kamień, a potem zarzuca go na ramiona. Ma spazmy dreszczy. Szybko muszą znaleźć jakieś schronienie.

Idzie szybko w górę rzeki i po kilku minutach słyszy wołanie Franki.

– Tu jestem! – krzyczy Halina, machając rękami, jej ciało wciąż napędza adrenalina. France też udało się przebrnąć na drugą stronę rzeki i teraz biegnie wzdłuż brzegu w jej kierunku. Halina podnosi koszyk nad głowę w geście triumfu.

– Straciłyśmy jedzenie, ale pieniądze są! – Rozpromienia się.

– Dzięki Bogu! – wybucha Franka, dysząc. Obejmuje Halinę. – Noga poślizgnęła mi się na kamieniu. Bardzo przepraszam! – Przygląda się jej. – Spójrz na siebie, wyglądasz jak zmokła kura!

– Ty też! – odcina się Halina i w stalowoniebieskim świetle księżyca, zdrętwiałe z zimna, ociekające wodą i trzęsące się od stóp do głów, obie zaczynają się śmiać – najpierw po cichu, a potem głośniej, aż z oczu zaczynają im płynąć łzy, ciepłe i słone na policzkach, i zaczyna im brakować tchu.

– Co teraz? – pyta w końcu Franka, gdy biorą się w garść.

– Teraz idziemy. – Halina bierze Frankę pod rękę, chucha w wolną dłoń i zaczynają iść na wschód, w kierunku linii drzew.

Po paru krokach Franka się zatrzymuje.

– Patrz! – wydaje z siebie okrzyk. Już się nie uśmiecha. – Latarki! – Jest ich co najmniej sześć.

– Armia Czerwona – szepcze Halina. – Na pewno. Kurwa. Miałam nadzieję, że do tej pory już ich tu nie będzie. Musieli nas słyszeć.

– Wiedziałaś, że tu są? – Franka szeroko otwiera oczy.

– Nie chciałam cię przestraszyć.

– Co robimy? Uciekamy?

Halina mocno zagryza wewnętrzną stronę policzków, żeby powstrzymać zęby przed szczekaniem. Też myślała o ucieczce. A co potem? Nie, zaszły już tak daleko. Prostuje się, zdecydowana zachować się przynajmniej na zewnątrz, dla Franki, ale tak samo dla siebie samej.

– Porozmawiamy z nimi. Chodź. Musimy znaleźć jakieś ciepłe miejsce. Może nam pomogą. – Halina zaciska rękę pod ramieniem Franki, zachęcając ją do dalszego marszu.

– Pomogą nam? A co, jeśli nie? Jeśli zaczną strzelać? Mogłybyśmy popłynąć trochę w dół rzeki i tam się schować.

– I zamarznąć na śmierć? Popatrz na nas. Na tym zimnie nie przeżyjemy następnej godziny. Słuchaj, już nas widzieli.

Damy radę, tylko zachowaj spokój.

Idą ostrożnie dalej w kierunku konstelacji błyskających światła.

Gdy znajdują się w odległości dziesięciu metrów od żołnierzy, postać schowana za jednym ze światła krzyczy: – *Ostanowka!*

Halina powoli kładzie koszyk koło swoich stóp, a potem ona i Franka podnoszą ręce do góry.

– My swoi! – woła Halina po polsku. – Nie mamy broni! – policzyła, że zbliża się do nich dziesięciu umundurowanych mężczyzn, i zasycha jej w ustach. Każdy z nich ma w jednej ręce długą metalową latarkę, a w drugiej karabin – oba te przedmioty są wycelowane w Halinę i Frankę. Halina odwraca głowę od wiązki białego światła oślepiającej jej oczy. – Przybyłam tu, żeby we Lwowie odnaleźć brata i narzeczonego – mówi, usiłując zachować spokój w głosie. Żołnierze zbliżają się. Halina patrzy na swoje mokre ubrania, na trzęsącą się z zimna Frankę. – Proszę was – mówi, spoglądając na żołnierzy – jesteśmy głodne i zmarznięte. Pomóżcie nam znaleźć coś do jedzenia, koc, jakieś schronienie na noc?

– W świetle widać, jak z każdym wydechem ulatują jej z ust szare kłęby pary.

Żołnierze okrążają młode kobiety. Jeden z nich podnosi koszyk, zagląda do środka. Halina wstrzymuje oddech. Odwróć jego uwagę, myśli. Zanim znajdzie pieniądze.

– Chętnie zaproponowałabym wam coś do jedzenia – kontynuuje – ale nasze jedyne jajko odpłynęło do Uściługu – trzęsie się teatralnie, pozwala zębom, by szczękały jak kastaniety. Żołnierz patrzy na nią, ona uśmiecha się, gdy on bada wzrokiem twarz jej, potem Franki, analizuje ich mokre ubrania, zabłocone buty. Nie jest pewnie starszy ode mnie, uświadamia sobie Halina. Może nawet młodszy. Ma najwyżej dziewiętnaście – dwadzieścia lat.

– Ty jedziesz zobaczyć rodzinę. A ona? – odpytuje żołnierz łamaną polszczyzną, wskazując latarką na Frankę.

– Ona...

– Moja mama jest we Lwowie – mówi Franka, zanim Halina zdąży odpowiedzieć. – Jest bardzo chora i nie ma nikogo, kto by się nią zaopiekował. – Mówi tak pewnie, że Halina musi wręcz wysilić się, żeby nie okazać zaskoczenia. U Franki co w sercu, to na języku, udawanie zawsze było dla niej trudną sztuką. Przynajmniej do teraz.

Żołnierz przez chwilę milczy. Krople rzecznej wody kapią z łokci młodych kobiet, spadając głośno na ziemię obok ich stóp. W końcu żołnierz kręci głową, a w wyrazie jego twarzy Halina dostrzega nutkę sympatii, może rozbawienia. Czuje, jak spada napięcie, jakie czuła w karku, a w jej poblaskłych policzkach powoli zaczyna krążyć krew.

– Chodźcie z nami – rozkazuje żołnierz. – Obierzecie ziemniaki, zostaniecie na noc w naszym obozie. Rano zdecydujemy, czy puścić was wolno. – Wręcza koszyk Halinie. Ona przyjmuje go swobodnie, wieszając sobie na łokciu, chwytając Frankę za rękę i zaczynają iść na północ, po obu bokach mężczyzn w mundurach. Nikt się nie odzywa. Powietrze wypełnia tylko rytm ich kroków – uderzenia ciężkich kozaków i chlupotanie mokrych obcasów na trawie. Po kilku minutach Halina zerka w bok na Frankę, ale jej kuzynka idzie, patrząc przed siebie, z obojętną miną. Tylko dlatego, że Halina tak dobrze ją zna, jest w stanie dostrzec lekkie drżenie szczęki. Franka jest przerażona. Mocniejszym ściśnięciem ręki Halina pociesza ją, że wszystko będzie dobrze. Ma przynajmniej taką nadzieję.

Idą niemal godzinę. Gdy adrenalina spada, Halina jest w stanie myśleć tylko o zimnie, o tym, jak bolą ją stawy, ręce i stopy, i czubek nosa, który już nie jest zdrętwiały, ale za to piekący. Czy to możliwe, martwi się, żeby krew zamarzała podczas marszu? Czy będzie trzeba amputować jej nos, jeśli po dotarciu do obozu okaże się, że jest odmrożony? Dosyć, napomina się i zmusza do myślenia o czymś innym.

Adam. Pomyśl o Adamie. Wyobraża sobie siebie w drzwiach jego mieszkania we Lwowie, jak obejmuje go za szyję i opowiada mu o upadku Franki i o tym, jak płynęła w lodowatym Bugu. Gdy analizuje swój czyn w myślach, wydaje jej się czystym szaleństwem. Co ona sobie wyobrażała, wskazując do wody? Czy Adam by ją zrozumiał? Rodzice by nie zrozumieli, tego jest pewna, ale on – tak. Może nawet podziwiałby ją za to.

Halina zerka na żołnierza idącego po jej prawej stronie. Też jest młody. Ciut po dwudziestce. Jemu też jest zimno. Pod wojskowym płaszczem drży, wygląda kiepsko, tak jakby wolał być gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj. Być może, myśli Halina, za dużymi karabinami i groźnie wyglądającymi mundurami kryją się zupełnie niegroźni młodzi ludzie. Może tak samo nie mogą się doczekać końca wojny jak ona. Mogłaby

przysiąc, że zauważyła, jak jeden z nich, najwyższy, zerka na Frankę. Zna to spojrzenie – trochę ciekawość, trochę pragnienie, zazwyczaj sama jest jego adresatką. Postanawia zagrać wdziękiem. Skomplementuje patriotyzm żołnierzy, uśmiechem przekona, że puszczenie ich wolno leży w ich interesie.

Może Franka mogłaby trochę poplirtować z tym wysokim, obiecać, że będzie pisać, obdarzyć pocałunkiem na pożegnanie.

Pocałunek! Ile to już czasu minęło, odkąd czuła usta Adama na swoich. Gdy udaje się jej siebie przekonać, że ten plan zadziała, krew w jej żyłach staje się o jeden stopień cieplejsza. Będą musiały zachować czujność, wiadomo, ale uda jej się dostać to, czego chce – zawsze jej się udaje, w tym właśnie jest najlepsza.

To ich trzecia noc w przejściowym obozie. Schowana pod wełnianym kocem Halina słucha ze środka namiotu, jak Franka i Julian szepczą przy ognisku. Zostawiła ich tam kilka minut wcześniej, siedzących przy dogasającym płomieniu, Franka z narzuconym na ramiona zimowym płaszczem Juliana. Ponownie zaskoczyła Halinę, tym razem umiejętnością flirtowania. Widziała ją wcześniej w towarzystwie chłopców. Często gdy znajdowała się obok swojej sympatii albo kogoś, na kim chciała zrobić dobre wrażenie, nie dawała sobie rady. Najwyraźniej, dziwi się Halina, Franka nie ma żadnych problemów z bałamuceniem chłopców, dopóki udaje. Halina zastanawia się, czy Julian w końcu się zorientuje, że nie jest niczym więcej jak wysoką nierównością na drodze, która – modli się – w końcu zaprowadzi ich do Lwowa.

Miała nadzieję, że do tej pory będą już dużo dalej. Tych ostatnich kilka dni było ciężkich. Żołnierze traktowali je z szorstką uprzejmością, ale Halina dobrze zdaje sobie sprawę, że ona i Franka są dwiema ładnymi dziewczynami, daleko od domu, w towarzystwie samotnych mężczyzn. Martwi się, co będzie, gdy żołnierze postanowią skończyć z uprzejmościami. Na razie wydaje się, że Juliana zadowolają same rozmowy.

Dmucha w palce dłoni, napina palce u nóg, chcąc się rozgrzać. Koc pomaga, ale i tak jest jej dotkliwie zimno. Ubrania są w końcu suche, ale Halina nie ma odwagi zdjąć do spania żadnej części garderoby, każda warstwa daje trochę ciepła.

Zamyka oczy i drząc, zapada w półsen, z którego ledwie kilka minut później budzi ją ktoś wczolgujący się do namiotu.

Siada szybko, instynktownie zaciskając pięści i prawie spodziewając się ujrzeć sylwetkę jednego z Sowietów, który ją zaatakuję. Ale to tylko Franka. Halina oddycha głęboko i kładzie się z powrotem.

– Przestraszyłaś mnie – mówi, serce jej kołacze.

– Przepraszam.

Franka wsuwa się pod koc i naciąga go im na głowy, żeby mogły porozmawiać, nie będąc słyszane.

– Julian powiedział, że nas stąd wydostanie – szepcze. – Jutro. Już rozmawiał z kapitanem, żeby nas wypuścić.

Halina słyszy ulgę w głosie Franki.

– Powiedział, że rano podwiezie nas do najbliższej stacji kolejowej.

– Dobra robota – szepcze Halina.

– Obiecałam, że zostaniemy w kontakcie – mówi Franka.

Halina się uśmiecha.

– Oczywiście.

– Wiesz co, on nie jest taki zły – mówi Franka, a Halina przez chwilę zastanawia się, czy żartuje, czy też rzeczywiście on jej się trochę podoba. – Wyobrażasz sobie – dodaje Franka – ja i Julian? Nasze dzieci byłyby gigantami – mówi, a na tę myśl obie parszczą tłumionym śmiechem.

– Wolałabym sobie tego nie wyobrażać – mówi w końcu Halina, z powrotem obciągając koc w dół, pod brodę. Odwraca się i mocno przytula do Franki.

– Przecież żartuję – szepcze Franka.

– Wiem.

Halina zamyka oczy i pozwala biec myślom, jak zwykle w ciemności, do Adama. Ciekawe, jak wyglądałyby ich dzieci? Za wcześnie, by myśleć tak daleko do przodu, ale nic na to nie poradzi. Miejmy nadzieję, że jutro razem z Franką będą w drodze. W końcu. Jeszcze jedna noc, Adamie. Jadę do ciebie.

CZEŚĆ II



NA NABRZEŻU ROI SIĘ OD LUDZI. Niektórzy krzyczą, spanikowani, łokciami torując sobie drogę do trapu. Inni rozmawiają szeptem, tak jakby podniesienie głosu mogło pozbawić ich przywileju wejścia na pokład. Adi porusza się miarowo z tłumem, w jednej ręce trzymając skórzaną brązową torbę, w drugiej bilet drugiej klasy w jedną stronę. Styczeniowe zimno jest dotkliwie, ale on prawie go nie zauważa. Co kilka minut przekręca szyję i przeczesuje wzrokiem tłum, modląc się, by jego oczom ukazała się jakaś znajoma twarz. To nierealne życzenie, ale nic nie poradzi na to, że trzyma się kurczowo prawdopodobieństwa, iż mama dostała jego ostatni list i udało się jej z rodziną przedostać do Francji. „Zróbcie wszystko – napisał – żeby tylko dostać się do Vichy. Jest tu pewien człowiek, nazywa się Souza Dantas. To z nim trzeba rozmawiać o wizach”. Zapisał dokładny adres Souzy Dantasa – zarówno hotelu, jak i ambasady. Adi wzdycha, bo ta sugestia wydaje mu się teraz niedorzeczna. Odkąd ostatnio dostał wiadomość od matki, minęło piętnaście miesięcy.

Nawet jeśli dostała jego list, jakie były szanse, aby cała rodzina wydostała się z Polski? Gdyby mama miała na tyle szczęścia, żeby móc wyjechać, nigdy w życiu nie zostawiłaby pozostałych, jest tego pewien.

Zbliżając się do statku, z każdym krokiem Adi czuje coraz mocniejszy ucisk w piersiach. Dotyka żeber po lewej stronie, tam, gdzie go boli. Pod palcami wyczuwa bicie serca, puls Adiego jak czasomierz odmierza sekundy do jego wyjazdu z tego kontynentu. Do chwili, gdy ocean oddzieli go od tych, których kocha najbardziej na świecie. Nie pomaga to, że kilku polskich uchodźców, których spotkał na nabrzeżu – mających tyle szczęścia, że ciągle są w kontakcie z rodziną, która została w domu – opowiada o sytuacji w kraju w kategoriach, których Adi nie może pojąć: przepełnione getta, publiczne pobicia, Żydzi tysiącami umierający z zimna, głodu i chorób. Pewna młoda kobieta z Krakowa powiedziała Adiemu, że jej mąż, profesor i znawca poezji, razem z dziesiątkami innych inteligentów został zabrany pod mury zamku wawelskiego, gdzie ustawiono ich w rzędy i rozstrzelano. Potem, powiedziała ze łzami spływającymi po policzkach, ich ciała zrzucano ze wzgórza, by przeturlały się do Wisły. Adi przytulił ją, zapłakaną, a potem z całych sił próbował uwolnić się od obrazu, jaki powstał w jego głowie. To było nie do zniesienia.

Zbliżając się powoli do statku, Adi analizuje, jakie słyszy wokół siebie języki: francuski, hiszpański, polski, niderlandzki, czeski. Większość towarzyszy podróży ma ze sobą tylko małe walizki, tak jak on – a w środku garstka rzeczy, z którymi mają nadzieję zacząć nowe życie. W jego torbie są sweter z golfem, koszula z kołnierzykiem, podkoszulek, dodatkowa para skarpetek, gęsty grzebień, mały kawałek wojskowego mydła, trochę sznurka, brzytwa, szczoteczka do zębów, notatnik z kalendarzem, dwa skórzane notatniki kieszonkowe (już zapisane), ulubiona płyta gramofonowa 78 rpm z nagraniem Poloneza A– dur opus 40 numer 1 Chopina i fotografia rodziców. Do kieszeni koszuli włożył w połowie zapisany notatnik, a w kieszeni spodni ma kilka monet i płócienną chusteczkę do nosa od mamy. Ma także 1500 złotych

i 2000 franków – oszczędności życia – wetknięte do portfela z wężowej skóry, obok szesnastu dokumentów, jakie zgromadził, by załatwić sobie zwolnienie z wojska i wizę brazylijską.

Spotkanie z ambasadorem Souza Dantasem w Vichy było krótkie.

– Proszę zostawić paszport u mojej sekretarki – powiedział Adiemu Souza Dantas, gdy na tyle się oddalili od hotelu, żeby nikt nie mógł ich podsłuchać. – Proszę jej powiedzieć, że ja pana przysyłam, a następnie wrócić po paszport jutro.

Wiza będzie czekać w Marsylii. Będzie ważna przez dziewięćdziesiąt dni. Około dwudziestego stycznia wypływa statek do Rio – nazywa się chyba „Alsina”. Nie wiem kiedy i czy w ogóle będzie następny. Powinien pan na niego wsiąść. Gdy dotrze pan do Brazylii, będzie pan musiał odnowić wizę.

– Oczywiście – powiedział Adi, dziękując wylewnie i sięgając po portfel. – Ile jestem panu winien? – Ale Souza Dantas tylko pokręcił przecząco głową i Adi zrozumiał, że ambasador nie ryzykował swojego miejsca pracy i reputacji dla pieniędzy.

Następnego dnia Adi odebrał paszport. Na górze pismem ambasadora napisano: „Ważny na podróż do Brazylii”. Adi ucałował te słowa i rękę sekretarki Souzy Dantasa, chwycił parę rzeczy i okazją pojechał na południe. Włożył mundur w nadziei, że łatwiej ktoś mu zaoferuje podwózkę. Szybciej byłoby pociągiem, ale Adi wolał uniknąć punktów kontrolnych na stacjach.

Po przyjeździe do Marsylii Adi natychmiast udał się do ambasady, gdzie, co zdumiewające, czekała na niego wiza. Była oznaczona numerem 52. Wpatrywał się w nią dobrych kilka minut, potem włożył do paszportu i na poły idąc, na poły biegnąc, dotarł do portu. Na widok olbrzymiego kadłuba „Alsiny” mającego nad zatoką wybuchł naraz śmiechem i płaczem, przyłoczony jednocześnie nadzieją i domysłami, co też nowy świat dla niego szykuje, a jednocześnie zdruzgotany na myśl, że wyjeżdża z Europy, zostawiając za sobą rodzinę.

– Czy słyszał pan, żeby jakieś inne statki wypływały w najbliższych miesiącach do Brazylii? – zapytał w biurze okrętowym.

– Synu – odpowiedział urzędnik w okienku, kręcąc głową – uważaj się za szczęściarza, że uda ci się wypłynąć tym.

Miał rację. Coraz mniej statków pasażerskich dostawało pozwolenie na rejs do obu Ameryk. Ale Adi nie tracił nadziei.

Popołudnie spędził skulony w kącie kawiarni niedaleko portu, pisząc list do matki.

10 stycznia 1940

Kochana Mamo, Modlę się, żebyś dostawała moje listy, i o to, żeby u Ciebie i innych wszystko było dobrze. Uzyskałem prawo popłynięcia do Brazylii statkiem o nazwie „Alsina”. Za pięć dni, 15 stycznia, wyruszamy do Rio de Janeiro. Kapitan szacuje, że do Ameryki Południowej dopłyniemy w ciągu dwóch tygodni. Jak tylko będę na miejscu, znów napiszę, podając adres, pod którym mnie zastaniecie. Pamiętaj, co Ci pisałem o ambasadorze Souzie Dantasie w Vichy. Proszę, uważajcie na siebie. Odliczam minuty do otrzymania od Ciebie wiadomości.

Jak zwykle z miłością, Adi

Przed wyjściem z kawiarni Adi wszedł do toalety, gdzie przebrał się ze sfatygowanego munduru w garnitur. Ale zamiast złożyć mundur do walizki, jak robił zazwyczaj, zwinął go i wsunął do kosza na śmieci.

Jego kabina jest maleńka. Adi zdejmuje buty i przesuwają się bosy na boki, ostrożnie, żeby nie zawadzić o chybliwą pryczę szerokości ramion, której orzechowy fornir zagłówka, tak jak i kremowa narzuta wyglądają, jakby swoje najlepsze czasy przeżyły jakieś dziesięć lat temu. Naprzeciwko zapadającego się materaca przycupnęła mała mahoniowa ławeczka i kilka płytkich półek. Kładzie buty na dolnej półce, torbę na ławce, płaszcz i kapelusz zawiesza na haczyku na drzwiach toalety, po czym zagląda do niej. Toaleta – powód, dla którego zdecydował się zaszaleć i wydać na bilet drugiej klasy – jest również nieprawdopodobnie mała. Słuchawka prysznicowa zwisa z metalowego węża przytwierdzonego do ściany nad sedesem, a nad maleńką porcelanową umywalką wisi małe okrągłe lustro. Adiego swędzi skóra na myśl o gorącym prysznicu. Ostatni raz miał okazję wziąć go prawie tydzień temu. Natychmiast się rozbiera.

Składa koszulę, marynarkę i spodnie w schludny stosik na łóżku, bierze mydło, grzebień i brzytwę i wchodzi do łazienki, mając wciąż na sobie bieliznę i skarpetki. Wsuwa słuchawkę prysznicową w uchwyt na ścianie i przekręca lewarek na stronę gorącą. Ciśnienie jest nędzne, ale woda ciepła, i gdy spływa po nim, Adi czuje, jak opuszcza go napięcie w ramionach.

Pomrukuje, szorując się – łącznie z bielizną – aż wytwarza wystarczająco dużo piany, a potem powoli obraca się wokół siebie, żeby ją spłukać. Gdy bielizna jest wolna od piany, zdejmuje ją i wiesza nad umywalką, a potem jeszcze raz się namydla i pozwala przez chwilę wodzie spływać po nagiej skórze, zanim zakręci kurek. Sięga po jedyny biały ręcznik wiszący na drzwiach łazienki i wyciera się do sucha, wciąż pomrukując. Przed lustrem myje zęby, czesze się i goli, przesuwając palcami wzdłuż linii szczęki, sprawdzając dokładnie, czy nie ominął jakiegoś miejsca. W końcu wyżyma mokre ubrania, mocuje swój sznurek i wiesza je do wyschnięcia. Uśmiecha się, wkładając zapasową bieliznę i garnitur. Czuję się jak nowo narodzony.

Na pokładzie, idąc w kierunku dziobu statku, Adi wplata się w tłum uchodźców, pozdrawiając ich i wychwytyjąc strzępy rozmów: „Słyszałeś, że na pokładzie jest Zamora?” – pyta ktoś, obok kogo przechodzi. Adi zastanawia się, czy rozpoznałby Zamorę, gdyby na niego wpadł. Były prezydent na pewno kupił bilet pierwszej klasy, pokład wyżej. Większość zasłyszanych rozmów dotyczy sprytnych sposobów i nieustających wysiłków, jakich wymagało zdobycie wiz. „Stałem w kolejce bez przerwy przez osiemnaście dni. Zapłaciłem pracownikowi ambasady. Czuję się okropnie, bo zostawiłem siostrę”.

Słyszy kilka szacunków co do liczby uchodźców znajdujących się na pokładzie. „Słyszałem, że sześciuset... powinno być trzystu... nic dziwnego, że jest tak cholernie zatłoczony... ci biedni ludzie niżej, w trzeciej klasie muszą mieć fatalne warunki”.

Na pokładzie drugiej klasy jest ciasno, ale Adi wie, że to nic w porównaniu z tym, co jest na dole.

Około połowy uchodźców, których poznaje, to Żydzi, kilku z nich wspomina nazwisko Souzy Dantasa. Gdyby nie ambasador... Inni to mieszanka Hiszpanów uciekających przed reżimem Franco, francuskich socjalistów i tak zwanych zdegenerowanych artystów oraz innych „niepożądanych” ludzi z całej Europy, wszyscy szukają schronienia w Brazylii.

Większość zostawiła za sobą rodziny – rodzeństwo, rodziców, kuzynów, a nawet dorosłe dzieci, i nikt nie ma pojęcia, co dokładnie przyniesie przyszłość. Ale mimo tej niepewności teraz, gdy wszyscy urządzili się już na pokładzie, ogólny nastrój zmienił się w atmosferę gorączkowego oczekiwania. Gdy „Alsina” wyrusza w rejs, mający trwać tysiąc siedemset godzin, powietrze nagle zaczyna pachnieć nadzieją i wolnością.

Adi przechodzi przez całą długość statku, aż dociera do dziobu, gdzie odkrywa granatowe drzwi, na których wisi plakat z orkiestrą dętą, uśmiecha się do swojego szczęścia: SALON DE MUSIQUE, PREMIERE CLASSE. Salon muzyczny!

Powstrzymuje oddech i sięga do klamki, ale ku jego rozczerowaniu drzwi są zamknięte. Może ktoś otworzy, mówi do siebie, podchodząc do barierki, i obserwuje spacerujących licznych mężczyzn i kobiety. Rzeczywiście, po kilku minutach niebieskie drzwi się otwierają i pojawia się w nich ubrany na biało, młody członek załogi. Adi czeka, aż chłopak zniknie w tłumie, i zatrzymuje drzwi czubkiem buta dosłownie na sekundę przed tym, zanim się zamkną. W środku widzi przed sobą schody. Wspina się po dwa stopnie naraz.

Salon jest pusty. Wiśniowe podłogi połyskują spod szachownicy miękkich wełnianych dywanów w kolorze czerwonym, złotym i błękitnym. Okna od podłogi do sufitu, wzdłuż ściany wychodzącej na prawą burzę, dają widok na port, a ściana naprzeciwko pokryta jest lustrami, przez co pomieszczenie wydaje się większe niż w rzeczywistości. W kątach stoją błyszczące drewniane kolumny, a szerokie drzwi w kształcie łuku, jak sądzi Adi, prowadzą do kabin pierwszej klasy.

W jednym końcu salonu stoi skórzana sofa, kilka okrągłych stolików i kilkanaście krzeseł, a na przeciwległym końcu, przycupnięty w kącie – serce Adiego skacze w tym momencie ze szczęścia – stoi oryginalnej wielkości steinway.

Adi mierzy instrument wzrokiem i zbliża się do niego. Został wykonany na początku wieku, zgaduje, przed Wielkim Kryzysem, kiedy to producenci zaczęli robić oszczędne wersje baby granda. Adi dmucha w pokrywę i mruży oczy, gdy pyłek kurzu unosi się nad instrumentem, błyszczącym w blasku słońca. Pod klawiaturą stoi elegancki okrągły stółek o rzeźbionych nogach z drewna orzechowego, ich żeliwne zakończenia w kształcie delfina aż proszą, by na nim usiąść. Adi delikatnie obraca stółek, żeby dopasować jego wysokość, i sadowi się na gładkiej, nieco zużytej powierzchni. Podnosi pokrywę, kładzie palce na klawiszach, i nagle uderza go uczucie nostalgii za domem. Napina kostkę i zawiesza czubek buta nad pedałem fortepianu. Od miesięcy nie miał okazji, by zagrać, ale nie ma wątpliwości, jaki utwór będzie pierwszy.

Gdy pokój wypełniają pierwsze dźwięki Walca f – moll opus 70 numer 2 Chopina, Adi pochyla głowę do przodu i zamyka oczy. W tej samej chwili ma znów dwanaście lat, siedzi na ławce przy klawiaturze fortepianu rodziców w Radomiu, na którym on, Halina i Mila ćwiczyli na zmianę po godzinie po lekcjach w szkole. Kiedy byli już wystarczająco zaawansowani, nauczyli się grać Chopina, którego nazwisko w domu Kurców było praktycznie święte. Adi wciąż pamięta uczucie spełnienia, które wypełniło jego serce, gdy po raz pierwszy ukończył pierwszą etiudę bez jednego błędu. „Maestro Chopin byłby bardzo dumny”, powiedziała cicho mama, poklepując go po ramieniu.

Gdy Adi otwiera oczy, zaskoczony widzi niewielką grupę ludzi zgromadzonych wokół niego. Widzowie są bardzo elegancko ubrani. Kobiety noszą kapelusze w kształcie dzwonka i szykowne płaszcze z futrzanymi kołnierzami z bobra, mężczyźni mają kapelusze filcowe, meloniki i szyte na miarę trzyczęściowe garnitury. W powietrzu czuć nutę wody kolońskiej, co jest przyjemną odmianą po nieco cuchnącym zapachu ludzkich ciał, jakim przesiąknięte są przestrzenie na pokładzie poniżej. To inna klasa społeczna uchodźców, tak, ale Adi wie, że niezależnie od tego, czy nosi te piękne futra i tweedy, każdy na tym statku ucieka przed tym samym złowieszczym losem.

– *Bravo! Che bello!* – wybucha jakiś Włoch zza jego pleców, gdy ostatnia nuta Adiego wybrzmiewa w salonie.

– *Encore!* – woła kobieta stojąca obok.

Addi uśmiecha się szeroko i podnosi ręce do góry.

– *Pourquoi non?* – rzuca. Nie daje się prosić.

Gdy kończy jeden utwór, zachęcają go, by zagrał następny, i z każdym kolejnym rośnie jego widownia, a zarazem zapal.

Gra klasyków: Beethovena, Mozarta, Scarlattiego, aż zaczyna się pocić. Zdejmuje płaszcz, odpina pod szyją kołnierzyk.

Widzowie wciąż się gromadzą, a on przechodzi do popowych melodii swoich ulubionych amerykańskich kompozytorów jazzowych: Louisa Armstronga, George'a Gershwina, Irvinga Berlina. Jest w połowie piosenki *Caravan* Duke'a Ellingtona, gdy rozlega się dźwięk syreny statku.

– *Odpywamy!* – wykrzykuje ktoś. Adi improwizuje zakończenie piosenki i wstaje, a salon nagle wypełnia się rozmowami. Sięga po płaszcz i podąża za tłumem, który zbiera się przy prawej burcie, żeby patrzeć, jak „*Alsina*”, z warkotem silników, odbija od nadbrzeża. Syrena odzywa się ponownie – niczym długi, gardłowy okrzyk na pożegnanie, który zawisa na kilka sekund w powietrzu, a potem rozplywa się nad morzem.

I tak zaczynają płynąć, na początku ledwo co, jakby w zwolnionym tempie, w stronę pomarańczowego słońca wiszącego nisko nad połyskującymi wodami Morza Śródziemnego. Kilkoro pasażerów wznosi okrzyki radości, ale większość, tak jak Adi, po prostu patrzy, jak silnik parowy wiezie ich ku zachodowi, obok wspaniałego siedemnastowiecznego Palais du Pharo Napoleona III, fortów z różowych kamieni i samotnej latarni przy wylocie Vieux Port. Gdy „*Alsina*” dociera na głębinę, słońca już nie widać, a morze jest bardziej czarne niż niebieskie. Statek skręca na południe i sceneria zamienia się w bezmiar otwartych wód. Gdzieś za horyzontem, uświadamia sobie Adi, gdy statek przyspiesza, jest Afryka. A za nią Ameryka. Spogląda przez ramię na długi ślad piany wiodący za nimi, na małą Marsylię.

– Na razie, *adieu* – szepcze, gdy miasto znika mu z pola widzenia.

Są na morzu już ponad tydzień, Adi jest teraz stałym bywalcem salonu pierwszej klasy, który zmienił w swego rodzaju salę koncertową – scenę, przy której zbierają się każdego wieczoru pasażerowie, żeby śpiewać, tańczyć, grać to, co umieją najlepiej, miejsce, w którym mogą zatracić się w muzyce, sztuce i zapomnieć, przynajmniej na chwilę, o świecie, który zostawili za sobą. Ktoś przesunął fortepian z kąta na środek pomieszczenia, wokół niego ustawiono kilka rzędów krzeseł.

Pojawiły się rozmaite inne instrumenty – afrykański bęben, altówka, saksofon, flet. Zadziwiająca jest liczba talentów muzycznych na statku. Pewnego wieczoru Adi niemal spadł ze stołka, kiedy dostrzegł w tłumie nie tylko braci Kranzów – dorastał, słuchając ich koncertów fortepianowych w radiu – ale stojącego obok nich znakomitego polskiego skrzypka Henryka Szerynga. Dziś wieczorem, szacuje Adi, w salonie ciśnie się ponad sto osób.

Ale on widzi tylko jedną.

Siedzi na ukos po prawej stronie od niego, na krześle w drugim rzędzie, obok kobiety o takich samych bladych oczach, karnacji w kolorze kości słoniowej, szerokich ramionach i postawie świadczącej o pewności siebie. Z pewnością to matka i córka. Adi pilnuje się, żeby się nie zagapić. Chrząka

i postanawia, że ostatnim utworem tego wieczoru będzie jego własny. *List*. Między zwrotkami rzuca jej spojrzenia. Na pokładzie są dziesiątki ładnych kobiet, ale ona jest wyjątkowa.

Może mieć najwyżej osiemnaście lat. Ma na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem, a między jego wyłogami połyskuje sznur pereł. Popielate włosy w drobną falę luźno upięła na karku w kok. Adi zastanawia się, skąd pochodzi i jak to się stało, że wcześniej jej nie zauważył. Postanawia, że przed końcem wieczoru się jej przedstawi.

Kończy swój występ ukłonem, a kiedy odchodzi od stołka, salon wybucha aplauzem. Manewrując w tłumie przez pokój, Adi jeszcze raz patrzy na dziewczynę i chwyta jej spojrzenie. Uśmiecha się szeroko, serce mu wali. Ona odwzajemnia uśmiech.

Jest północ, gdy Ziemiański, reżyser i aktor, którego publiczność również pokochała, przypieczętowuje wieczór teatralnym odczytaniem fragmentu *Les Voix Interieures*. Gdy tłum zaczyna się rozchodzić, Adi czeka spokojnie zaraz za łukowatymi drzwiami prowadzącymi do kabin pierwszej klasy, odwracając wzrok, by nie wdać się w rozmowę z przechodzącymi obok ludźmi, co nie jest wcale proste. Po kilku minutach pojawia się dziewczyna z matką. Adi prostuje się i gdy przechodzą obok, wyciąga rękę do matki: „To właśnie odróżnia chłopców od dżentelmenów – powiedziała mu kiedyś Nechama. – Jeśli matka się zgodzi, dopiero wtedy możesz przedstawić się córce”.

– *Bonsoir, Madame...* – ryzykuje Adi, stojąc z wyciągniętą w jej stronę ręką.

Matka dziewczyny zatrzymuje się gwałtownie, najwyraźniej poirytowana, że ktoś jej przeszkodził. Sposób, w jaki się nosi, ze ściągniętymi do tyłu ramionami i zaciśniętymi ustami, przypomina Adiemu jego starą nauczycielkę fortepianu – budzącą grozę kobietę, której surowe wymagania uczyniły z niego muzyka, jakim jest teraz, ale z którą nie chciałby raczej wypić drinka. Niechętnie ujmuje jego dłoń.

– *Lów – Beer* – mówi z lekkim akcentem, jej oczy w kolorze jasnego błękitu mierzą Adiego od stóp do głów. – *De Prague* – mówi, gdy jej spojrzenie w końcu napotyka jego wzrok. Ma podłużną twarz, usta pomalowane na fiołkowy róż. Są Czechosłowaczkami.

– *Kurc. Plaisir de vous rencontrer.* – Adi zastanawia się, na ile one rozumieją francuski.

– *Plaisir* – odpowiada madame Lów – Beerowa. Po chwili ciszy kobieta odwraca się do córki. – *Puis – je vous presenter ma filie, Eliška.*

Eliška. Jej bluzka, teraz widzi, jest uszyta z cienkiego płótna, a granatowa spódnica do kolan z pięknego kaszmiru.

Mama byłaby pod wrażeniem, myśli, a potem przełyka znajome ukłucie, zmartwienie, które zalewa mu serce za każdym razem, gdy jego myśli wędrują ku matce. Nic więcej nie możesz teraz zrobić, mówi sobie. Napiszesz do niej znów w Rio.

Eliška podaje mu dłoń. Ponownie patrzy na Adiego jasnoniebieskimi oczami, takimi samymi jak oczy jej matki.

– *I /otrę musique est tres belle* – mówi, wciąż patrząc mu w oczy. Jej francuski jest doskonały, a uścisk dłoni pewny. Jej pewność siebie wydaje się Adiemu atrakcyjna, ale go peszy. Ta młoda kobieta ma w sobie coś więcej niż tylko śliczną twarz. Pozwala swojej dłoni wyslizgnąć się z jej uścisku i natychmiast tego żałuje. Od roku nie czuł na sobie kobiecego dotyku – nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu go brakowało. Przez końce palców przechodzi go dreszcz. Drży na całym ciele.

– Czy wie pan, że na statku nazywają pana mistrzem ceremonii? – Gdy Eliška się uśmiecha, wokół

kącików ust tworzą się jej małe dołeczki. Podnosi rękę do spoczywających na obojczyku pereł.

– Tak słyszałem – odpowiada Adi, rozpaczliwie próbując ukryć zdenerwowanie. – Cieszę się, że podoba się pani moja gra. Muzyka od zawsze jest moją pasją.

Eliška kiwa głową, wciąż się uśmiecha. Jej policzki są zaczerwienione, chociaż wydaje się, że nie ma na nich różu.

– Praga to atrakcyjne miasto. A więc są panie Czechosłowaczkami – mówi Adi, odrywając wzrok od Eliški i zwracając się do jej matki.

– Tak, a pan?

– Ja jestem z Polski. – Czuje ukłucie w środku. Adi nie wie nawet, czyjego kraj jeszcze w ogóle istnieje. Ponownie odsuwa na bok troski, nie pozwalając, by zepsuły mu tę chwilę.

Nos madame Lów – Beer zaczyna drżeć, jakby miała za chwilę kichnąć. Polska – to z pewnością nie była odpowiedź, jakiej oczekiwała albo na jaką miała nadzieję. Ale Adi się nie przejmuje. Spogląda to na matkę, to na córkę, a w głowie kotłuje mu się lawina pytań. Jak to się stało, że znalazłyście się na „Alsinie”? Gdzie jest wasza rodzina? Gdzie jest monsieur Lów – Beer? Jaka jest wasza ulubiona piosenka? Nauczę się jej i zagram sto razy, jeśli dzięki temu jutro znów będziecie mnie słuchać!

– Cóż – mówi madame Lów – Beerowa z wymuszonym uśmiechem – jest późno. Musimy iść spać. Dziękujemy panu za koncert, był uroczy. – Szybko kiwa głową w stronę Adiego, bierze córkę pod rękę i obie wychodzą przez łukowate drzwi w kierunku swojej kabiny; na drewnianej podłodze rozbrzmiewają cicho obcasy ich zapinanych na kostkach butów.

– *Bonne nuit*, Adi Kurc – woła Eliška przez ramię.

– *Bonne nuit* – odpowiada Adi odrobinę za głośno. Każdą komórką ciała pragnie, by Eliška została. Czy powinien ją o to poprosić? Czuł się tak dobrze, flirtując z nią. Czuł się tak normalnie. Nie, poczeka. Bądź cierpliwy, mówi do siebie. Innym razem.

ROZDZIAŁ 16

Genek i Herta

Altynaj, Syberia ~ luty 1941

NIC NIE MOGŁO PRZYGOTOWAĆ Genka i Herty na syberyjską zimę. Wszystko jest ścięte mrozem. Klepisko na podłodze baraków. Słoma rozrzucona na ich drewnianej pryczy. Włosy w nosie. Nawet płwociny, zanim jeszcze zdążą sięgnąć podłogi. To cud, że na dnie studni jest jeszcze woda.

Genek śpi całkowicie ubrany. Dzisiaj ma na sobie kozaki, czapkę, parę rękawiczek, które kupił, gdy w październiku zaczął padać pierwszy śnieg, i swój zimowy płaszcz – na szczęście w ostatniej chwili pomyślał, żeby go zabrać ze Lwowa – a i tak jest obolały z zimna. Uczucie jest bardzo intensywne. Nie przypomina tępego bólu między łopatkami po wielu godzinach spędzonych na machaniu ciężką siekierą, to raczej głębokie, nieustające pulsowanie od stóp, przez kości nóg, środek ciała aż po ręce, wywołujące spastyczne, bezwarunkowe drżenie całego ciała.

Genek otwiera i zamyka dłonie, porusza palcami u stóp, przerażony na myśl, że mógłby któryś stracić. Od listopada niemal nie ma dnia, żeby ktoś w obozie po obudzeniu się nie odkrył, że jakaś wystająca część ciała szerniała mu od odmrożenia. Gdy to się stanie, często nie ma wyjścia, jak poprosić kogoś ze współwięźniów, by ją amputował. Genek widział kiedyś, jak pewien mężczyzna skręcał się z bólu, gdy tępy ostrzem scyzoryka odcinano mu mały palec u nogi. On sam prawie wtedy zemdleł. Przysuwa się odrobinę do Herty. Cegła, którą ogrzał przy ogniu, owinął ręcznikiem i położył im w nogach, wystygła. Kusi go, żeby spalić jeszcze trochę drewna, ale zużyli już oba przydzielone im kawałki, a wymknięcie się w celu kradzieży dodatkowego polana ze stosu przy pilnującym ich Romanowie byłoby nierozważne.

Ten zapomniany przez Boga kraj zaatakował ich pełną siłą. Gdy przyjechali tu sześć miesięcy temu, powietrze było tak gorące, że z trudem wdychali je do płuc. Genek nigdy nie zapomni dnia, kiedy pociąg w końcu zatrzymał się ze zgrzytem, a po otwarciu drzwi nie zobaczyli niczego poza lasem sosnowym. Zeskoczył na ziemię, jedną ręką ściskając łokieć Herty, drugą swoją walizkę. Na głowie roiło mu się od wszy, na skórze na plecach miał strupy od ciągłego opierania się przez czterdzieści dwa dni i nocę o chropowatą drewnianą ścianę wagonu. W porządku, pomyślał, rozglądając się po okolicy.

Byli sami w lesie, nieznośnie daleko od domu, ale tutaj przynajmniej mogli wyciągnąć nogi i załatwić się w odosobnieniu.

Przez dwa dni szli w prążącym sierpniowym upale, odwodnieni i głodni, aż kręciło im się w głowie. Dotarli do polany, na której stały długie, parterowe drewniane baraki, sklecone jakby w pośpiechu. Ich ciała śmierdziały i lepiły się od potu.

Gdy w końcu postawili swoje walizki, przywitał ich krótko Romanow, czarnowłosy strażnik o stalowym spojrzeniu, przydzielony do ich obozu: „Najbliższa miejscowość – powiedział – znajduje się dziesięć kilometrów stąd na południe.

Mieszkający tam wieśniacy zostali ostrzeżeni o waszym przyjeździe. Nie chcą mieć z wami nic

wspólnego. To – krzyknął, wskazując na ziemię – jest wasz nowy dom. Tu będziecie pracować, tu będziecie mieszkać. Polski już nigdy więcej nie zobaczycie".

Genek mu nie uwierzył – nie ma mowy, żeby Stalinowi uszło to płazem, powiedział sobie. Ale gdy dni zmieniły się w tygodnie, a potem w miesiące, napięcie związane z niepewnością co do przyszłości zaczęło podkopywać jego wiarę. Czy to już koniec? Czy mają spędzić życie, rąbiąc drzewo na Syberii? Czy, jak przewidział Romanow, już nigdy nie wrócą do domu? Jeśli tak miałyby być, Genek nie jest pewien, czy sobie poradzi z wyrzutami sumienia. Bo nie ma dnia, żeby mu się nie przypomniało, że to jego własna duma sprowadziła ich do tego potwornego obozu – ta prawda tak mu ciążyła, że bał się, iż wkrótce się załamie.

Najbardziej jednak dręczyło Genka to, że nie był już odpowiedzialny tylko za swoją żonę. Herta nie wiedziała tego wówczas, ale gdy wyjeżdżali ze Lwowa, była we wczesnej ciąży – była to niespodzianka, z której oczywiście bardzo by się cieszyli, gdyby nadal mieszkali w Polsce. Kiedy się zorientowali, od tygodni byli zamknięci w pociągu. Dosłownie chwilę przed aresztowaniem Herta wspomniała, że spóźnia jej się okres, ale biorąc pod uwagę stres, w jakim żyli, obojgu nie wydało się to nienormalne. Miesiąc później też nie dostała miesiączki. Sześć tygodni później, pomimo niedostatku jedzenia, jej talia poszerzyła się na tyle, że było widać, iż Herta spodziewa się dziecka. Urodzi je za kilka tygodni, w środku syberyjskiej zimy.

Genka przechodzi dreszcz, gdy słyszy trzaski głośnika wibrujące w mroźnym powietrzu. Wydaje z siebie jęk. Od rana do nocy głośniki plują propagandą, tak jakby niekończące się tyrady miały przekonać więźniów, że odpowiedzią na ich problemy jest komunizm. Fanatyczna ideologia rewolucyjna całymi dniami zatruwa im uszy, a teraz, znając już prawie perfekcyjnie rosyjski, Genek rozumie większość tego nonsensu, co sprawia, że nie może go ignorować. Delikatnie obejmuje żonę ręką i kładzie dłoń na jej brzuchu, czekając na kopnięcie. Herta mówi, że dziecko jest najbardziej aktywne w nocy, ale teraz Genek nie wyczuwa ruchów. Ona z kolei oddycha ciężko. Pozostaje tajemnicą, jak daje radę spać w zimnie i wśród ryków głośników. Musi być wycieńczona. Dni są wyczerpujące. Zazwyczaj upływają na ścinaniu drzew na przenikliwym zimnie, przenoszeniu pni z lasu przez śliskie, zamrożone grzędzawiska i po naniesionych przez wiatr śnieżnych zaspach na polanę, i składaniu ich na saniach ciągniętych przez konie. Pod koniec każdej dwunastogodzinnej zmiany Genek czuje się tak wykończony, że jest na granicy obłądu, a przecież on nie nosi w sobie dziecka. Od dwóch tygodni błaga Hertę, żeby zostawała rano w baraku, w obawie, że się przeforsuje przy pracy i dziecko urodzi się, gdy będzie sama w środku lasu, po kolana w śniegu. Ale sprzedali już wszystkie pamiątki i części garderoby, bez których mogą się obyć, na dodatkowe porcje jedzenia i oboje wiedzą, że w chwili gdy Herta przestanie pracować, ich racje żywnościowe zostaną obcięte o połowę. „Nie pracujesz, nie jesz”, przypominał im często Romanow. I co wtedy?

Głośnik milknie w końcu i Genek oddycha głęboko, luzując szczęki. Patrząc w ciemność, składa cichą obietnicę, że to będzie pierwsza i ostatnia zima, jaką spędzą w tym lodowym piekle. Nie ma siły, żeby przeżyć kolejną. Przez siebie tu jesteśmy, mówi do siebie, wymyśl więc, jak się stąd wydostać. Znajdzie jakiś sposób. Może da się uciec. Ale dokąd mieliby pójść? Coś wymyśli. Jakiś sposób, żeby ochronić swoją rodzinę. Tylko oni się liczą. I pomyśleć, że wystarczyło tylko postawić krzyżyk – stworzyć pozory lojalności wobec Sowietów do końca wojny. Ale nie, on był zbyt dumny. Zamiast tego oznaczył się jako

buntownik. Kurwa, w co on ich wpakował?

Genek zaciska powieki, każdą cząstką swojego jestestwa pragnąc cofnąć czas. Zabrać ich w lepsze, bezpieczniejsze miejsce. Cieplesze. Jego myśli szybują ku przejrzystej wodzie jeziora Garbatka, gdzie latem spędzał z rodzeństwem niekończące się popołudnia na pływaniu, i do pobliskich sadów, gdzie bawił się w ciuciubabkę. Odwiedza słoneczne wybrzeże Nicei, gdzie spędził kiedyś z Hertą tydzień, wygrzewając się na plaży o czarnych kamieniach, pijąc wino musujące i zajadając się dużymi porcjami *moulesfrites*. W końcu wspomnienia zabierają go do Radomia. Czegóż by nie dał, żeby usiąść do sutej kolacji u Wierzbickiego, umówić się z przyjaciółmi do miejscowego kina na kilka filmów z rzędu.

Przez chwilę Genek jest gdzie indziej, wspomnienia owijają go jak koc, łagodząc chłód. Ale gdy z daleka słychać wycie wilka, żalosne wołanie rozbrzmiewające echem poprzez drzewa na obrzeżach obozu, myśli Genka szybko wracają do lodowatego baraku. Otwiera oczy. Las jest pełen wilków – czasem widzi je podczas pracy, a nocne wycie ostatnio stało się głośniejsze, bliższe. Jak bardzo musi wygłodnieć stado, zanim odważy się napaść na obóz? Strach przed byciem rozerwanym na strzępy i zjedzonym przez wilka wydaje się dziecinny, to coś, czym mógłby go postraszyć w żartach ojciec, gdy w dzieciństwie nie chciał jeść kapusty. Ale tutaj, w lasach pokrytej śniegiem Syberii, taki bieg wydarzeń wydaje się dziwnie prawdopodobny.

Gdy Genek rozważa szczegółowo, w jaki sposób mógłby powstrzymać głodnego wilka, serce zaczyna mu walić, a z głowy wypływa potok możliwych scenariuszy: co będzie, jeśli się okaże, że ma po prostu za mało sił, i ostatecznie wilk będzie górą? A co, jeśli będą komplikacje przy porodzie? Co, jeśli dziecko nie przeżyje, tak jak ostatnich troje w obozie?

Albo, co gorsza, co będzie, jeśli dziecko przeżyje, a Herta umrze? Został już tylko jeden lekarz. Dembowski. Obiecał im, że pomoże przy porodzie. Ale Herta... Szanse przeżycia przeciętnego więźnia obozu w Altaju spadają z dnia na dzień.

Z ponad trzystu Polaków, którzy przybyli w sierpniu do obozu, niemal jedna czwarta umarła – z głodu, na zapalenie płuc, z wyziębienia, a jedna kobieta, Genek nie chce nawet o tym myśleć – przy porodzie. Ich ciała złożono w lesie, gdzie padał na nie śnieg, gdzie były narażone na atak wilków, ale ziemia była zbyt zmrożona, żeby mogli urządzić zmarłym godny pochówek.

Ponownie rozlega się wycie. Genek podnosi głowę i patrzy w kierunku drzwi. Na dole prześwituje srebrne światło księżyca. Na górze dostrzega cienie sopli zwisających z belek baraku niczym sztylety wycelowane w klepisko. Opuściwszy policzek z powrotem na siennik, na którym leży, przyciska drżące ciało do ciała swojej żony. Usiłuje zasnąć.

Adi

Dakar, Afryka Zachodnia ~ marzec 1941

ADII ELIŚKA SIEDZĄ WPATRZENI W MORZE, obserwując, jak gorące słońce opada ku horyzontowi. Chłodna bryza szeleści olbrzymimi liśćmi rosnącej za ich plecami palmy kokosowej. To ich trzecia wizyta na półkolistej Plage de la Voile d'Or.

Spacer z portu w Dakarze do schowanej między Parc Zoologique i starym cmentarzem chrześcijańskim plaży zajmuje godzinę. Za każdym razem mają całą plażę dla siebie.

Adi strzepuje kilka srebrnych drobinek piasku z rąk, które w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni zbrązowiły na kolor tostu z chleba baltonowskiego. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, gdy wyruszał w styczniu w rejs z Marsylii, że skończy w Afryce, z opalenizną. Ale odkąd „Alsina” została zatrzymana w Senegalu przez władze brytyjskie – „To francuski statek, a Francja nie jest już sojuszniczką aliantów”, oznajmiono kapitanowi – skóra Adiego zdążyła się przyzwyczaić do bezlitosnego zachodnioafrykańskiego słońca.

„Alsina” stała na kotwicy od dwóch miesięcy. Pasażerowie nie mają pojęcia, kiedy – albo czy – będzie im wolno odpłynąć. Jedyną datą, którą Adi dobrze zna, której jest boleśnie świadomy, jest upływający za dwa tygodnie termin ważności jego wizy.

– Wszystko bym dała, żeby się wykąpać – mówi Eliśka, muskając Adiego ramieniem. Początkowo nie uwierzyli miejscowym, którzy powiedzieli, że w morzu roi się od żarłaczy białych. Potem jednak zobaczyli nagłówek w gazecie: ATAK REKINA, ROŚNIE LICZBA OFIAR ŚMIERTELNYCH, i z dziobu „Alsiny” zaczęli dostrzegać pod powierzchnią wody cienie, długie i szare jak łodzie podwodne. A fale wyrzucały na plażę dziesiątki ostrych zębów w kształcie serca, które kłuły ich w pięty, gdy nieostroźnie stawiali kroki.

– Ja też. Czy będziemy *tempt the fate*, jak mówią Amerykanie? – Adi uśmiecha się na myśl o wieczorze dwa i pół roku temu, podczas którego nauczył się tego wyrażenia. Był w kabarecie na Montmartre i zajął miejsce obok saksofonisty, Williiego, który, jak się okazało, pochodził z Harlemu. Adi dobrze pamięta tę rozmowę. Powiedział Williemu, że jego ojciec przez krótki czas mieszkał w Stanach – była to przygoda, która zawsze, bez wyraźnej przyczyny, intrygowała Adiego, dlatego zarzucił biednego Williiego pytaniami o życie w Nowym Jorku. Wiele godzin później, ku wielkiemu rozbawieniu Adiego, Willie podał mu kilka charakterystycznych amerykańskich idiomów, a on nabazgrał je w swoim notesie. *Tempt fate*, *break a leg* oraz *close but no cigar* były jednymi z jego ulubionych.

Eliška śmieje się i kręci głową.

– Kusić los? Czy na pewno dobrze to zrozumiałaś? – pyta. Adi ma obsesję na punkcie amerykańskich zwrotów i niechętnie przyznaje się do błędów.

– Pewnie nie. Ale jak myślisz, będziemy?

– Zrobię to, jeśli ty to zrobisz – mówi Eliśka, patrząc na niego zmrużonymi oczyma, jakby chciała rzucić

mu wyzwanie.

Adi kręci głową, dziwiąc się, z jaką łatwością Eliśka potrafi zbywać niebezpieczeństwo śmiechem. Oprócz tego, że skarży się na upał, nie wydaje się, żeby niepokoił ją ich dwumiesięczny postój w Dakarze. Adi obraca się do niej, wesoło dmucha jej w blond włosy nad uchem i przygląda się jej głowie tak, jak kiedyś jego mama przyglądała się skórze kurczaków na targu w Radomiu.

– Jesteś w sam raz – mówi, układając palce w literkę c. – To czas kolacji. Założę się, że rekiny są głodne.
– Ściska jej kolano.

– *Netvor!* – krzyczy Eliśka, klapssem odsuwając jego rękę.

Adi ujmuje ją ponownie.

– *Netvor!* To coś nowego.

– *Tu es un netvor* – mówi ona. – *Uri monstre! Tu comprends?* – Rozmawiają ze sobą po francusku, ale Eliśka uczy Adiego kilkanaście czeskich słów dziennie.

– *Monstre?* – przekomarza się Adi. – To jest jeszcze nic, *Bebette!* – Obejmuje ją rękami i gryzie w ucho; przekręcając się na plecy, ich głowy miękko lądują na piasku.

Odkryli tę plażę dwa tygodnie temu. Świeże powietrze i odosobnienie czynią ją niebiańską. Pozostali pasażerowie statku nie mają na tyle odwagi, żeby oddalić się tak daleko na własną rękę, a miejscowi nie zdają się zbyt interesować plażą.

„A dlaczego by mieli? Mając taką ciemną skórę i w ogóle”, zażartowała kiedyś Eliśka, co skłoniło Adiego do pytania, czy kiedykolwiek wcześniej widziała osobę czarnoskórą. Zanim się znalazła w Dakarze, nie widziała. Tak samo zresztą jak wiele innych osób z pokładu „Alsiny”. Większość europejskich uchodźców na statku wręcz odmówiła rozmów z Afrykańczykami, co Adiemu wydało się zachowaniem absurdalnym. W końcu to rasizm – samo jądro ideologii nazistowskiej – był powodem, dla którego większość z nich musiała uciekać z Europy.

„Dlaczegoż miałbym nie chcieć poznać Afrykanów?” – zapytał, gdy Eliśka zakwestionowała to, że chciał spędzać czas wśród miejscowych. – Nie jesteśmy lepsi od nich. A poza tym – dodał – ludzie są najważniejsi, bo to dzięki nim poznaje się dane miejsce”.

Odkąd przyплыnęli, zdążył zaprzyjaźnić się z kilkoma sprzedawcami ze sklepów na brzegu zatoki, a z jednym nawet dokonał wymiany – oddał zdjęcie Judy Garland, wyrwane z jakiegoś magazynu pozostawionego przez jednego z pasażerów w salonie pierwszej klasy, za kolorową bransoletkę ze sznurka, którą później obwiązał nadgarstek Eliśki.

Adi patrzy na zegarek, wstaje i podciąga Eliśkę do góry.

– Już czas? – dąsa się dziewczyna.

– *Oui, ma chérie.*

Idą plażą z powrotem, tam, skąd przyszedli, w rękach niosą buty.

– Nie lubię stąd wracać – wzdycha Eliśka.

– Wiem, ale nie możemy sobie pozwolić na spóźnienie.

Namówili jednego ze strażników na specjalne pozwolenie na opuszczanie „Alsiny” między południem a szóstą wieczorem. Jeśli się spóźnią, mogą stracić ten przywilej.

– Jak się ma dzisiaj madame Lów – Beer? – pyta Adi po drodze.

Eliśka chichocze. – *La Grandę Dame!* Jest z niej... jak to się mówi... *bourru*. Zrzęda.

W ciągu ostatniego miesiąca matka Eliśki wyraźnie dała do zrozumienia, że w najmniejszym stopniu nie akceptuje zalotów Adiego do Eliśki. Nie ma to nic wspólnego z jego żydowskim pochodzeniem, zapewnia go Eliśka – przecież Lów – Beerowie też są Żydami – chodzi o to, że jest Polakiem, a w pojęciu Magdaleny Lów – Beer jej córka, która uczęszczała do szkoły z internatem w Szwajcarii i którą czeka świetlana przyszłość, jest o wiele za dobra dla jakiegoś Polaka. Mimo to Adi jest zdeterminowany, by przekonać madame Lów – Beerową do siebie, i wkłada dużo wysiłku w to, żeby traktować ją z najwyższym szacunkiem i poważaniem.

– Nie przejmuj się moją matką – Eliśka kręci nosem – ona nikogo nie lubi. Przejdzie jej. Niech minie trochę czasu.

Okoliczności są nieco... *etrange*, nie wydaje ci się?

– Pewnie tak – mówi Adi, choć nigdy wcześniej nie spotkał nikogo, kto by go nie lubił.

Idą powoli, ciesząc się otwartą przestrzenią, rozmawiają o muzyce, filmach i ulubionych potrawach. Eliśka wspomina dzieciństwo w Czechosłowacji, najlepszą przyjaciółkę z międzynarodowej szkoły w Genewie, Lorenę, lata spędzone w Prowansji. Adi opowiada o ulubionych kafejkach w Paryżu, o marzeniu, żeby pojechać do Nowego Jorku, odwiedzić kluby jazzowe w Harlemie i na żywo posłuchać wielkich muzyków. Dobrze jest tak rozmawiać, tak jak mogliby to robić, zanim ich świat wywrócił się do góry nogami.

– Za czym najbardziej tęsknisz z życia przed wojną? – pyta Eliśka, spoglądając na niego.

Adi się nie waha.

– Za czekoladą! Ciemną, ze Szwajcarii – promienieje. Na „Alsinie” już wiele tygodni temu wyczerpały się zapasy czekolady. Eliśka się śmieje.

– A ty? – pyta Adi. – Czego najbardziej ci brakuje?

– Mojej przyjaciółki Loreny. Mogłam jej wszystko powiedzieć. Pewnie wciąż mogę, w listach, ale na piśmie to nie to samo.

Adi przytakuje. Ja też tęsknię za ludźmi. Tęsknię za rodziną – chciałby powiedzieć, ale tego nie robi. Rodzice Eliśki są w separacji, a ona nie jest blisko związana z ojcem, który przebywa teraz w Anglii, podobnie jak wielu jej przyjaciół, łącznie z Loreną. W Brazylii ma wujka, i to cała jej rodzina. Adi wie też, że pomimo codziennych narzekań Eliśka bardzo kocha swoją matkę. Nie wyobraża sobie, jak by się czuła, nie mając przy boku la Grandę Damę. Eliśka nie leży w nocy bezsennie, zamartwiając się o los swoich najbliższych, zostawionych daleko. W jego przypadku jest inaczej. Są chwile, kiedy to się staje nie do zniesienia. Nie ma zielonego pojęcia, gdzie są jego rodzice, rodzeństwo, kuzyni, ciotki i wujkowie, jego mała siostrzenica – nie wie nawet, czy żyją. Wie tylko tyle, co donoszą gazety, a to nie są pocieszające wiadomości.

Ostatnie nagłówki potwierdzają to, co mówili mu Polacy na „Alsinie” – że naziści zaczęli gromadzić w jednym miejscu wszystkich żydowskich mieszkańców i zmuszać ich do zamieszkania w odgradzonych dzielnicach, po kilka osób w jednym pomieszczeniu. Getta. Ma je już większość większych miast, niektóre nawet dwa. Na myśl o tym, że rodzice mogliby zostać wyrzuceni z mieszkania – zmuszeni opuścić dom, w którym spędził pierwszych dziewiętnaście lat życia – Adiemu robi się niedobrze. Ale z Elišką nie może rozmawiać o tytułach w gazetach albo o swojej rodzinie. Kilka razy próbował, wiedząc, że gdy usłyszy ich imiona wypowiedziane na głos, będzie mu łatwiej poczuć, że są, żyją, przynajmniej w jego sercu. Za

każdym jednak razem, gdy porusza ten temat, ona go zniechęca.

– Tak smutno wyglądasz, gdy opowiadasz o swojej rodzinie – mówi. – Adi, jestem pewna, że nic im nie jest.

Rozmawiamy tylko o tym, co sprawia nam radość. O tym, co dobrego nas czeka. – I tak Adi rozśmiesza ją, a robiąc to całym sercem, kieruje tym samym myśli na coś innego i w beztroskich rozmowach odnajduje chwilę ulgi od miazdzącego ciężaru tego, co niewiadome. Gdy wchodzi w zakręt, ich oczom ukazują się sylwetki cylindrycznych kominów „Alsiny”, wystające ponad horyzont. Z daleka statek wydaje się zabawką w porównaniu z ogromnym, zakotwiczonym obok dwustupięćdziesięciometrowym okrętem wojennym o poczwórnych wieżach wzbijających się w niebo na wysokość czterech pięter. „Richelieu”, podobnie jak „Alsina”, został zatrzymany przez Brytyjczyków. Nie wiadomo, kiedy obie jednostki pływające będą mogły wyruszyć w dalszy rejs.

– Powinniśmy dziękować losowi – mówi Adi, gdy madame Low – Beerowa narzeka na beznadziejną sytuację. – Mamy dach nad głową, mamy co jeść. Mogłoby być o wiele gorzej.

Rzeczywiście mogłoby tak być. Mogliby nie mieć niczego dojedzenia, być zmuszonymi zebrać o resztki, grzebać w rynsztokach w poszukiwaniu ziaren zepsutego ryżu – tydzień temu widzieli, jak robią to afrykańskie dzieci. Albo mogliby utknąć w Europie. Tu przynajmniej mogą przyłożyć głowę do poduszki, mają niekończące się zapasy cieciorki, i, co najistotniejsze, wizy do kraju, w którym mogą żyć jako wolni ludzie.

Gdy są już w porcie, Adi jeszcze raz patrzy na zegarek. Zostało jeszcze kilka minut, zatrzymują się więc przy stoisku z gazetami znajdującym się przy drodze. LUFTWAFFE ZAATAKOWAŁA GLASGOW – można przeczytać na pierwszej stronie „West Africa Journal”. Z każdym dniem wiadomości o wojnie w Europie są coraz gorsze. Jeden po drugim poddają się kolejne państwa. Najpierw Polska, potem Dania i Norwegia, część Finlandii, Holandii, Belgii, Francji i państw bałtyckich.

Włochy, Słowacja, Rumunia, Węgry i Bułgaria przyłączyły się do państw Osi. Adi rozmyśla, gdzie też może być teraz Willie i przyjaciele z Montmartre, którzy tak wyśmiewali pogłoski o rychłym wybuchu wojny. Zostali we Francji czy tak jak on uciekli?

Adi uświadamia sobie, że za kilka tygodni święto Pesach, które już po raz trzeci spędzi daleko od domu. Czyjego rodzinie uda się w tym roku świętować? Zaczyna go ściskać w gardle, odwraca się z nadzieją, że Eliśka nie dostrzegła w jego oczach smutku. Eliśka. Zaczyna się w niej zakochiwać. Miłość! Jak może czuć coś takiego, gdy trawi go tyle zmartwień? Nie ma innego wytłumaczenia niż to, że tego nie kontroluje. Czuje się z tym dobrze. I wobec tego wszystkiego, co się dzieje w jego życiu, to jest po prostu jak dar. Sięga po chusteczkę od mamy i dyskretnie osusza kąciki oczu z łez.

Eliška bierze go pod rękę.

– Gotowy?– pyta.

Adi przytakuje, zmuszając się do uśmiechu, i ruszają w kierunku statku.

7 KWIECZNIA 1941: Zostają zamknięte bramy radomskich gett. W głównym getcie, przy ulicy Wałowej, jest uwięzionych około 27 tysięcy Żydów, w mniejszym na Glinicach, na obrzeżach miasta, przebywa 5 tysięcy. W obu gettach jest w sumie około 6,5 tysiąca izb mieszkalnych, ludzie żyją w dramatycznie przeludnionym otoczeniu. Z dnia na dzień pogarszają się warunki życia, maleją racje żywnościowe, szybko roznoszą się choroby.

ROZDZIAŁ 18

Mila i Felicja

Radom, Polska pod okupacją Niemiec ~ maj 1941

SZEPTY SZYBKO ROZNOSZĄ SIĘ wśród pracowników, niczym podmuch wiatru w wysokiej trawie. „Schutzstaffel.

– Niemieckie wojsko. – Idą". Mila blednie. Podnosi wzrok znad szycia i przez nieuwagę wbija sobie igłę w palec wskazujący.

Od zamknięcia bram radomskiego getta minął już ponad miesiąc. Większość Żydów z miasta – tych, których jeszcze nie przesiedlono – otrzymała nakaz opuszczenia swoich domów w ciągu dziesięciu dni. Niewielu szczęściarzom udało się zamienić mieszkania z Polakami, których domy znalazły się w granicach getta. Większość walczyła o miejsce do życia, co było niezwykle trudne, bo getta były już i tak niezwykle zatłoczone, jeszcze zanim przyjechali uchodźcy z Przytyka, sąsiedniej wioski, którą Niemcy zamienili w obóz wojskowy. Kurcowie zostali wyrzuceni ze swojego mieszkania i przeniesieni na starówkę już półtora roku temu. W pewnym sensie mieli szczęście, bo nie musieli brać udziału w szaleńczym wyścigu w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać. Mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu przy Lubelskiej i z drugiego piętra obserwowali, jak inni ludzie tysiącami wypełniają ulice.

Wkrótce po zamknięciu bram getta, w kwietniu, stacjonujący w mieście Wehrmacht zastąpiło jednak SS, co dało początek nowej erze zła. Można ich było łatwo rozpoznać po kruczoczarnych mundurach i patkach z literami SS

w kształcie piorunów. SS z dumą twierdziło, że wśród nich są tylko najczystszy rasowo ze wszystkich Niemców. Wśród Żydów szybko rozszła się plotka, że aby zostać członkiem SS, oficerowie musieli najpierw udokumentować czystość rasową, przedstawiając genealogię swojej rodziny aż od osiemnastego wieku.

– Ci ludzie szczerze w to wierzą – ostrzegł Milę jej przyjaciel Izaak. – Dla nich jesteśmy niczym. Pamiętaj o tym.

Jesteśmy mniej warci niż pies.

Jako członek policji żydowskiej Izaak ma trudną do pozazdroszczenia okazję bliskiej współpracy z SS – z bliska widział, do czego są zdolni.

W warsztacie słyszało się plotki o nalocie. To się zdarza często – mrowie esesmanów wpada niezapowiedziane do jakiegoś miejsca pracy w getcie; rozkazują Żydom ustawić się w szeregu, żeby ich policzyć i sprawdzić pozwolenia. Aby mieszkać w getcie, Żydzi muszą mieć papiery potwierdzające ich zdolność do pracy. Większość ludzi bez dokumentów – starsi, chorzy, bardzo młodzi – została już deportowana. Niewielu, którzy zostali, ukrywa się. Wolą raczej ryzykować, że ktoś ich znajdzie i zastrzeli na miejscu, niż oddzielić się od swoich rodzin, zwłaszcza teraz, gdy do głównego getta przy Wałowej dotarły głosy o warunkach panujących w obozach niewolniczej pracy, do których wysyła się Żydów.

Próbując nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli ktoś odkryje Felicję, Mila w ciągu ostatnich tygodni obmyślała plan, jak w przypadku nalotu ukryć dziecko, i modliła się o powrót swojej siostry.

Halina napisała w lutym. Razem z Franką udało się jej dostać do Lwowa i znalazła pracę w szpitalu. Jak tylko trochę zaoszczędzi, wróci do domu wraz z obiecanyymi przez Adama „rysunkami”. Mila miała nadzieję, że to „jak tylko” oznaczało kilka tygodni. Ich miesięczne racje żywnościowe wystarczały najwyżej na tydzień. Z każdym dniem coraz bardziej doskwierał im głód, a gdy gładziła Felicję po pleckach, próbując ją uspić, coraz wyraźniej czuła wystające kostki kręgosłupa. Od czasu do czasu Nechamie udawało się znaleźć na czarnym rynku jedno czy dwa jajka, ale kosztowało ją to pięćdziesiąt złotych, obrus albo porcelanową filiżankę. Bardzo szybko pozbywali się oszczędności, już prawie wykorzystali zapasy, które przynieśli z domu – to niepokojący fakt, biorąc pod uwagę, że nie widać końca tego życia w niewoli.

Całe ich codzienne życie jest koszmarnie – głód, praca, gnieźdzenie się na małej powierzchni. Nie istnieje już coś takiego jak prywatność. Nie ma przestrzeni do myślenia. Ulice z każdym dniem są coraz brudniejsze, coraz bardziej śmierdzą.

Jedynymi stworzeniami, które wspaniale radzą sobie w getcie, są wszy. Są tak duże, że Żydzi nazwali je „blondynkami”.

Gdy ktoś znalazł taką wesz, palił ją z nadzieją, że nie była zainfekowana wirusem tyfusu. Mila i jej rodzice są coraz bardziej przybici. Teraz, jak jeszcze nigdy dotąd, potrzebują Haliny – potrzebują też pieniędzy i dowodów osobistych, ale chyba najbardziej jej pewności siebie. Jej woli. Potrzebują kogoś, kto ich pocieszy, kto spojrzy im w oczy i z pewnością siebie oświadczy, że ma plan. Taki, który wyciągnie ich z getta.

Mila odkłada swoje szycie, dziurka od guzika w mundurze jest gotowa w połowie, i zlizuje kroplę krwi z palca.

– Felicja – szepcze, odsuwając krzesło od stołu i zaglądając w dół. Tam Felicja patrzy na nią spod szpulki nici, wymyśliła sobie zabawę polegającą na przewijaniu nici z jednej rączki na drugą.

– Tak?

– Chodź.

Felicja wyciąga rączki, a Mila podnosi ją ostrożnie i opiera na biodrze. Prawie biegnąc, zabiera ją do rogu, do ściany, przy której stoją długie bele wiskozy, wełny i tkanin z odzysku, a obok szereg papierowych worków, dwa razy wyższych od Felicji, w których składowane są skrawki materiałów. Stawia Felicję na podłodze i odwraca się w stronę znajdujących się w przeciwległym kącie drzwi. Kilka osób spogląda znad swojej roboty, ale nie reaguje.

Mila kuca, tak że jej oczy są na poziomie oczu Felicji, i bierze małą za rękę.

– Pamiętasz, jak się bawiłyśmy w chowanego? – pyta, oddychając spokojnie i starając się nie mówić za szybko. Ma niewiele czasu, a Felicja musi dokładnie zrozumieć to, co za chwilę usłyszy. Mila patrzy na papierowe worki. Gdy pierwszy raz ćwiczyły tę zabawę, Felicja musiała się nauczyć, co to znaczy „być posągiem”. Śmiała się, patrząc, jak jej mama stoi całkowicie bez ruchu, jakby została wyrzeźbiona w marmurze.

Felicja kiwa główką, przybierając naraz rozumny wyraz twarzy, jakby była o wiele starszym dzieckiem, a nie miała tylko dwa i pół roku.

– Musisz się teraz schować, kochanie. – Mila otwiera worek, który w dolnym rogu oznaczyła małą literą x, ponownie podnosi Felicję i delikatnie wkłada ją do środka. – Siedź tu, najdroższa – mówi.

Felicja kuli kolana do piersi, a za chwilę czuje, jak pod nią rusza się podłoga – to mama pcha worek, żeby znalazł się pod ścianą.

– Oprzyj się – nakazuje Mila. Felicja niepewnie opiera plecy o zimny cement. – Teraz mocno cię zawiążę – mówi jej mama, zaglądając z góry do worka. – Będzie ciemno, ale tylko przez jakiś czas. W żadnym wypadku się nie ruszaj, tak jak ćwiczyliśmy. Jak posążek. Nie wydawaj odgłosów, nie ruszaj żadnym mięśniem, dopóki po ciebie nie przyjdę, dobrze?

Rozumiesz, kochanie? – Oczywiście jej mamy są szeroko otwarte, właściwie nie mruga. Mówi zbyt szybko.

– Tak – szepcze Felicja, chociaż nie rozumie, dlaczego mama chce ją tu zostawić samą w ciemności. Ostatnim razem to wyglądało jak zabawa. Pamięta, że mama wyglądała jak posąg, i wydawało się to śmieszne. Dzisiaj pośpiech w głosie mamy w ogóle nie skłania do śmiechu.

– Grzeczna dziewczynka. Jak posążek – szepcze jej mama, przykładając palec do ust i pochylając się, by pocałować ją w głowę. Ona się trzęsie, myśli Felicja. Dlaczego ona się trzęsie?

Po sekundzie uszy Felicji wypełnia szeleszczący dźwięk, worek jest zawiązany, a świat wokół staje się czarny. Bardzo się stara wychwycić słaby odgłos kroków oddalającej się mamy, ale słyszy tylko warkot maszyn do szycia i delikatny dźwięk falującej zmarszczki powstającej w papierowym worku z każdym jej oddechem, dosłownie kilka centymetrów od ust.

Po chwili rozlegają się nowe dźwięki. Otwierają się drzwi. Nagłe poruszenie – męskie głosy wykrzykują dziwne słowa, krzesła szurają o podłogę. Potem kroki, wiele kroków, wszystkie naraz przechodzą obok niej w przeciwną stronę pomieszczenia. Ludzie, pracownicy, wychodzą! Mężczyźni wciąż krzyczą, aż do chwili gdy ucichną ostatnie kroki.

Zatrząskują się drzwi. A potem następuje kompletna cisza.

Felicja odczekuje chwilę, wyęzając słuch. Skrawki bawełny łaskoczą ją w łokcie i kostki, bardzo chciałaby się poruszyć, żeby podrapać się w te miejsca, żeby krzyknąć. Wciąż jednak pamięta, jak się trzęsła mama, i postanawia, że lepiej będzie, jeśli będzie siedzieć cicho, tak jak jej przykazano. Mruga w ciemności oczami. Po chwili, właśnie wtedy, gdy zaczęło ją swędzieć siedzenie, słyszy, jak drzwi się otwierają. Znowu czyjeś kroki. Felicja sztywnieje, od razu wyczuwając, że to nie mama. Jacyś ludzie przechadzają się po pomieszczeniu, głośno uderzając o podłogę ciężkimi butami.

Wkrótce do kroków dołączają głosy. Znowu dziwne słowa. Serce Felicji zaczyna przyspieszać, bije tak mocno, że dziewczynka zastanawia się, czy usłyszą je mężczyźni w pokoju. Zaciska powieki, nabiera odrobinę czarnego, klaustrofobicznego powietrza i cichutko szepcze do siebie: nie ruszaj się, jak posążek, jak posążek, jak posążek. Kroki zbliżają się. Podłoga pod nią drży teraz z każdym uderzeniem buta. Ktokolwiek tam jest, znajduje się ledwie centymetry od niej! Co zrobią, jak ją znajdą? I potem słyszy to: straszliwy chrzęst. Coś ciężkiego, może but, gwałtownie przygniata stojący obok niej papierowy worek. Felicja wydaje cichy okrzyk, ale natychmiast zakrywa sobie usta rękami. Trzęsie się.

Nagle czuje coś ciepłego i mokrego między nogami i zdaje sobie sprawę, że jej pęcherz nie wytrzymał.

Mężczyźni znowu zaczynają krzyczeć, powtarzając te same słowa.

– Wychodzić, wychodzić, w jakiegokolwiek dziurze się chowasz! – szyczą.

Po policzku Felicji spływa łza. Tak cicho, jak potrafi, zakrywa sobie twarz rękami, przygotowując się na

pewne uderzenie. Gdy nastąpi, odkryją ją i wyciągną z worka. Dokąd ją zabiorą? Felicja wstrzymuje oddech i każdym skrawkiem dwuipółletniego ciała pragnie, żeby mężczyźni sobie poszli.

ROZDZIAŁ 19

Halina i Adam

Lwów, Polska pod okupacją radziecką ~ maj 1941

W PÓŁSNIE HALINIE JAWI SIĘ, że jej bratu Genkowi udało się wydostać z piekła, w którym z pewnością się znalazł, i wrócić do Lwowa. Teraz stoi przy drzwiach jej mieszkania i puka, bo jego własne zostało skonfiskowane, a musi się gdzieś zatrzymać. Halina obraca się na bok, czuje ciepło leżącego obok niej Adama, i nagle ściska ją w żołądku, bo zdaje sobie sprawę, że to nie sen. Ktoś naprawdę puka.

Zdezorientowana siada na łóżku i kładzie dłoń na ramieniu Adama.

– Która godzina? Słyszałeś? Co też... kto to może być? – Ma jeszcze odrobinę wiary, a może chciałaby mieć, że to naprawdę Genek.

Adam sięga do lampki nocnej.

– Może Franka? – rzuca, przecierając oczy ze snu.

Kiedy w styczniu obie przyjechały do Lwowa, Franka znalazła mieszkanie dwie kamienice od Adama. Często ich odwiedza, ale nigdy w środku nocy. Halina wyskakuje z łóżka i narzuca szlafrok, rzucając okiem na zegarek – jest wpół do drugiej w nocy. Zatrzymuje się w bezruchu i czeka, aż pukanie się powtórzy. Słyszy je chwilę później, jest szybsze – bum – bum – bum – bum – bum – mięsista pięć szybko i mocno uderza w drewniane drzwi.

– NKWD!

Halina otwiera szeroko oczy.

– Kurwa – przeklina pod nosem.

Według jej wiedzy minęło już wiele miesięcy, odkąd Stalin wyekspediował ostatni pociąg pełen „niepożądanych”

przybyszów. Genka zabrało NKWD – potwierdzili to sąsiedzi – podobno walili w jego drzwi po północy.

Najprawdopodobniej przyszli też po Selima – szukała go i szukała, ale nie było po nim śladu. Czy teraz przyszli po nią? Po Adama?

Na początku rozmawiali o możliwości zamieszkania osobno, właśnie z tego powodu. Działalność Adama w podziemiu była ryzykowna, jeśli go złapią, na pewno wywiozą albo zabiją, ale Halina była nieugięta.

– Nie po to przechodziłam przez rzekę i o mało nie umarłam z wyziębienia, żebyśmy mieli mieszkać oddzielnie – powiedziała. – Masz doskonały fałszywy dowód. Jeśli przyjdą po ciebie, wykorzystaj go.

Adam się zgodził i wkrótce potem odbyła się ich piętnastominutowa ceremonia ślubna. Jakub i Bella byli ich świadkami. W tej chwili Halina zastanawia się, czyjej upór, żeby mieszkać razem z Adamem, był słuszny.

Adam wyskakuje z łóżka i wkłada przez głowę koszulę.

– Pójdę, zobaczę, co oni...

– Halina Eichenwald! – zza drzwi odzywa się kolejny głos, niższy, też po rosyjsku. – Otwierać

natychmiast albo zostaniesz aresztowana!

– Ja?– szepcze Halina. Odkąd pracuje w szpitalu, nauczyła się rosyjskiego. – Czego oni mogą chcieć ode mnie?

Wygląda sobie włosy za uszami, jej puls bije jak oszalały. Byli przygotowani na stukanie z powodu Adama, ale nie przemyśleli, co robić, jeśli przyjdą po nią.

– Pozwól mi – Adam znów zaczyna, ale tym razem przerywa mu Halina.

– Już idę, chwileczkę! – woła. Odwraca się do Adama, przewiązuje się bawełnianym paskiem od szlafroka. – Wiedzą, że tu jestem – mówi. – Nie ma sensu się ukrywać.

– Teraz wiedzą – szepcze Adam, czerwieniejąc na twarzy. – Nasze dowody osobiste – mogliśmy je wykorzystać.

Halina zdaje sobie sprawę ze swojego błędu.

– To na pewno nic takiego – mówi. – Chodźmy.

Oboje szybko przechodzą przez korytarz.

Dotąd życie we Lwowie było względnie bezbolesne. Korzystają z prawdziwych nazwisk, bo jako Żydzi traktowani są tutaj w dużym stopniu tak jak Polacy. Mają pracę. Franka jest służącą, Adam mechanikiem na kolei, a Halina asystentką technika w wojskowym szpitalu. Ich mieszkania są w centrum miasta. W odróżnieniu od Radomia we Lwowie nie ma jeszcze getta. Ich życie jest nieskomplikowane. Idą do pracy, wracają do domu, zarabiają wystarczająco, żeby się utrzymać. Halina oszczędza niewielkie sumy na czas, kiedy wróci do Radomia. I oczywiście Adam w wolnym czasie pracuje nad fałszywymi dowodami osobistymi. Przez większość czasu ich pobyt we Lwowie przebiegał spokojnie. Nikt się ich nie czepiał. Aż do teraz.

Stojąc przy drzwiach, Halina zbiera się w sobie. Prostuje się, osiągając maksimum wzrostu, na jakie pozwala jej drobniotka postura, i odsuwa zasuwkę. Dwóch funkcjonariuszy NKWD wita się z nią szybkim, zdecydowanym skinieniem głowy.

– Jak mogę panom pomóc? – pyta Halina po rosyjsku, jedną ręką wciąż trzymając gałkę drzwi.

– Pani Eichenwald – zaczyna jeden z funkcjonariuszy – musi pani natychmiast udać się z nami do szpitala.

– O co chodzi? – prosi o wyjaśnienie Halina.

– Potrzebna jest pani krew. W laboratorium czeka na nas doktor Levenhed.

To przełożony Haliny. Całymi dniami bada próbki krwi pod kątem zgodności do transfuzji i przenoszenia chorób zakaźnych. Zadaniem Haliny jest pomoc w przygotowaniu badań oraz zapisywanie wyników, gdy Levenhed wpatruje się w szkiełko pod mikroskopem.

– Co pan na myśli – moja krew? – dopytuje Halina, nie wierząc własnym uszom.

– W szpitalu przebywa generał. Stracił dużo krwi. Levenhed mówi, że pani krew nadaje się do transfuzji.

Pracownicy szpitala mieli obowiązek przebadac krew przed rozpoczęciem pracy. Nikt nie powiedział Halinie, jaką ma grupę krwi, gdy zrobiono jej badania, ale najwyraźniej zapisano wynik.

– Nikt inny w szpitalu nie może oddać krwi?

– Nie. Chodźmy.

– Przepraszam, ale to nie jest dobra chwila. Źle się czuję – kłamie Halina. Ma wątpliwości. A jeśli to podstęp, sprytny pretekst, żeby wyciągnąć ją z domu, by potem NKWD mogło ją aresztować i wywieźć?

– Obawiam się, że nas to nie interesuje. Jest pani potrzebna natychmiast. Proszę się szybko ubrać.

Halina zastanawia się, czyby się im nie postawić, ale dobrze wie, że to nie ma sensu.

– Dobrze – szepcze. Gdy idzie z powrotem do sypialni, Adam jest tuż za nią. To nie podstęp, tłumaczy sobie Halina.

Dlaczego NKWD miałyby wymyślać tak zawiłą historię, skoro, jak słyszała, nie potrzebują pretekstu do aresztowania?

I dlaczego przyszliby tylko po nią, a nie po Adama, gdyby chodziło o deportację?

– Idę z tobą – oświadcza Adam, gdy są już w sypialni.

– Jestem pewna, że się na to nie zgodzą – mówi Halina. – W szpitalu będzie Levenhed. Ufam mu, Adamie. A jeśli potrzebują tylko mojej krwi, to do rana wrócę.

Adam kręci głową, Halina dostrzega w jego oczach strach.

– Jeśli za kilka godzin nie wrócisz, przyjdę po ciebie.

– W porządku.

Halina zastanawia się, co to za rosyjski generał, jakie ciążą na nim winy. Czy jeśli da mu swoją krew i on dzięki temu przeżyje, uczyni ją to współwinną jego działań? Odrzuca tę myśl i mówi sobie, że przecież nie robi tego z własnej woli. Jak dotąd udawało jej się trzymać z dala od kłopotów dzięki temu, że robiła to, co jej kazano. Jeśli chcą jej krwi, to niech tak będzie.

W szpitalu wszystko dzieje się szybko. Odprowadzają ją do laboratorium, a po drodze dowiaduje się, że generała przywieziono tego wieczoru na pilną operację. Gdy Halina już siedzi, lekarz w białym fartuchu mówi jej, żeby podwinęła rękawy.

– Oba? – pyta Halina.

– *Da.*

Halina podwija rękawy bluzki ponad łokcie i patrzy, jak mężczyzna w fartuchu, zakładając, że lekarz, na metalowej tacce leżącej obok niej przygotowuje parę igieł, gumową opaskę uciskową, wacik, dwa bandaże, butelkę spirytusu i małą armię fiołek – Halina dolicza się dwunastu. Chwilę później zbliża igłę do jej ręki, przekręca nacięciem do góry i wbija koniuszek do żyły. Boli, bardziej niż powinno, ale Halina zaciska szczęki, powstrzymując się od wykrzywienia twarzy. Dla tych mężczyzn jest marionetką, ale przynajmniej może kontrolować swój wyraz twarzy, z którego bije siła. Po kilku sekundach pierwsza z fiołek ma kolor ciemnoczerwony. Lekarz jedną ręką zdejmując jej opaskę z ramienia i wymienia pełną fiołkę na pustą, igła wciąż tkwi w jej ciele. Obok stoi pielęgniarka, która za każdym razem, gdy fiołka jest pełna, szybko się z nią oddała. Przy szóstym podejściu krew Haliny spływa już powoli, więc lekarz każe jej otwierać i zaciskać pięść, aż fiołka się wypełni. W końcu wyjmując igłę, obwija rękę w łokciu bandażem i w milczeniu skupia się na drugim ramieniu.

Gdy pozwalają jej wrócić do domu, jest trzecia nad ranem. Oddała prawie litr krwi. Kręci jej się w głowie i nie ma pojęcia, czy generał przeżył tę noc, czy transfuzja się udała. Nie interesuje jej to. Chce tylko wrócić do Adama. Lekarz skrobie coś na kawałku papieru i wręcza go jej, gdy Halina wychodzi.

– Na wypadek gdyby ktoś zapytał, dlaczego jest pani poza domem – mówi.

Funkcjonariusze NKWD, którzy po nią przyszli, przywieźli ją do szpitala samochodem. Z zaświadczenia od lekarza wnioskuje, że nikt jej nie odwiedzi z powrotem do domu. Niech będzie i tak, myśli Halina. Cieszy się, że jest wolna. Bierze kartkę i bez słowa wychodzi.

Jej mieszkanie jest siedem przecznic dalej. Codziennie chodzi tą trasą i dobrze ją zna. Ale w środku nocy miasto wydaje się obce. Ulice są ciemne i puste. Z każdym uderzeniem obcasa o bruk Halina nabiera pewności, że ktoś ją śledzi albo czyha na nią gdzieś schowany w cieniu. Jesteś po prostu zmęczona, mówi sobie. Nie popadaj w paranoję. Nic jednak nie może poradzić. Jest tak wyczerpana, że nie czuje się sobą. Po pierwsze jest jej zimno. Jest już maj, ale noce są wciąż chłodne. Nie może powstrzymać dreszczy. Poza tym kręci jej się w głowie, członki wydają się ciężkie, jakby była pijana.

W połowie drogi do domu, przestraszona wrażeniem, że ktoś ją śledzi, zdejmuje buty i wysila resztki sił, by ostatnie trzy przecznice przebiec.

Zanim zdąży wyciągnąć klucz z kieszeni, drzwi się otwierają, stoi w nich Adam, w ubraniu, gotów do wyjścia.

– Dzięki Bogu – mówi. – Właśnie miałem wychodzić. Wchodź, szybko.

Bierze ją pod rękę, a gdy kciukiem przyciska ukłucie w zgięciu łokcia, Halina wykrzywia twarz.

– Halina, dobrze się czujesz?

– W porządku – mówi. Uśmiecha się, nieudolnie próbując ukryć ból i drgawki. Gdyby wiedział, ile krwi jej pobrali, byłby wściekły, a jeszcze bardziej na siebie, że nie mógł tego powstrzymać. – Jestem po prostu zmęczona – dodaje.

Adam zamyka za nią drzwi i przyciąga ją do siebie, przez koszulę czuje bicie jego serca.

– Tak bardzo się martwiłem – szepcze.

Zapas energii, który Halina wycisnęła z siebie, żeby dobiec do domu, zniknął i nagle czuje, że zaraz zemdleje.

– Rano poczuje się dobrze – mówi – ale teraz muszę się położyć.

– Oczywiście.

Adam pomaga jej się położyć. Poprawia poduszkę i naciąga na ramiona koc. Potem przynosi szklanek wody, kilka kawałków jabłka i kładzie to na jej nocnym stoliku.

– Dobrze się mną opiekujesz – szepcze Halina. Oczy ma już zamknięte, ciężko oddycha. – Nami.

Adam odsuwa na bok kosmyk jej włosów i całuje ją w czoło.

– Po prostu się cieszę, że wróciłaś – mówi. Rozbiera się, wyłącza światło i wchodzi do łóżka.

– Byłem przerażony.

Halina czuje, jak jej ciało osuwa się w otchłań.

– Adam? – pyta i po kilku sekundach już śpi.

– Tak, kochanie.

– Dziękuję.

MAJ 1941: Brazylijski dyktator Getulio Vargas zaczyna wprowadzać ograniczenia co do liczby Żydów, których jest gotów przyjąć jego kraj, nazywając ich „elementem niepożądanym i niezdolnym do asymilacji”. Rozzłoszczony liczbą wiz wydanych przez Suzę Dantasa, Vargas zaczyna zawracać uchodźców szukających w Brazylii schronienia i ogłasza dekret 3175, zmuszając ambasadora Souzę Dantasa do przejścia na emeryturę.

Adi

Casablanka, Maroko pod okupacją francuską ~ 20 czerwca 1941

ADI BADA WZROKIEM PORT W CASABLANCE, kolumnę autobusów zaparkowaną zaraz przy nabrzeżu, ciemnoskórych żołnierzy, którzy uformowali ludzki tunel u stóp trapu. Kapitan „Alsiny” powiedział pasażerom, że statek został wysłany z Dakaru na północ do Casablanki „w celu naprawy”. Jednak ciężko uzbrojeni mężczyźni nakazujący uchodźcom opuszczenie statku słabo przypominają brygadę remontową.

A więc to jest Maroko, myśli Adi.

„Alsina” spędziła ostatecznie prawie pięć upalnych miesięcy w doku w Dakarze. Do chwili gdy w czerwcu w końcu podniosła kotwicę, większość dziewięćdziesięciodniowych wiz do Ameryki Południowej, jakie mieli jej pasażerowie, straciła ważność. *Co teraz zrobimy? Co będzie, jeśli Vargas nie odnowi naszych dokumentów? Dokąd pojedziemy?* Fakt, że statek podążał własnym śladem na północ, w kierunku Europy, nie wpływał pozytywnie na atmosferę na pokładzie, z dnia na dzień robiło się coraz bardziej nerwowo. Nikt nie wierzył, że płyną do Casablanki z powodów technicznych. Aby złagodzić histeryczne nastroje uchodźców, kapitan „Alsiny” obiecał, że skontaktuje się z odpowiednimi władzami, aby zagwarantować możliwość popłynięcia do Rio. Powiedział, że wyśle do ambasady brazylijskiej w Vichy telegram z prośbą o przedłużenie wiz pasażerom, by zrekompensować im okres spędzony na zakotwiczonym statku. Nikt jednak nie wiedział, czy ta wiadomość w ogóle została wysłana lub odebrana, bo kapitan, tak samo jak załoga i uchodźcy, zaraz po zadokowaniu w Casablance dostał rozkaz opuszczenia statku. Kilku pasażerom, których stać było na opłacenie hotelu, zaproponowano zakwaterowanie w centrum miasta, ale większość miała zostać eskortowana do obozu uchodźców poza miastem i tam czekać na decyzję rządu Maroka, sympatyzującego z państwami Osi, czy „Alsina” będzie mogła wypłynąć.

Gdy Adi schodzi z trapu, żołnierze wymachują karabinami w kierunku autobusów, krzycząc na tłum obcokrajowców wylewający się na molo. – *Allez! Allez!*

Adi wsiada do autobusu i znajduje miejsce przy oknie od strony nabrzeża, wypatruje pań Lów – Beerowych, które z pewnością są w grupie pasażerów pierwszej klasy, stojących w cieniu dziobu „Alsiny” w oczekiwaniu na transport do miasta. Lustruje wzrokiem tłum, ale przez brudną szybę nie da się niczego zobaczyć. Klęka na siedzeniu, zsuwa okno kilka centymetrów w dół i wygląda przez szparę. Gdy autobus rusza, Adi dostrzega Eliškę, a przynajmniej tak mu się wydaje, ma wrażenie, że widzi czubek jej głowy o blond włosach. Wydaje się, że stoi na palcach i patrzy w jego kierunku. Adi wpycha dłoń do szpary w oknie i macha, zastanawiając się, czy Eliška go rozpozna. Chwilę później autobus szarpie do przodu, pozostawiając za sobą chmurę kurzu i dymu.

Po czterdziestu pięciu minutach karawana zwalnia i zatrzymuje się przy skrawku pustyni otoczonym drutem kolczastym. Wchodząc do środka, Adi spogląda na drewniany napis nad wejściem: KASHA

TADLA. W obozie roi się od much, a powietrze jest przesiąknięte wszechobecnym smrodem ekskrementów, pochodzącym z dziur wykopanych w ziemi, które mają służyć za toalety. Adi wytrzymał dwie noce, śpiąc na waleta w namiocie przewidzianym dla jednej osoby, ściśnięty między dwoma Hiszpanami, i postanawia, że ma już dość Kasha Tadla. Trzeciego dnia rano podchodzi do strażnika przy wejściu do obozu i nienaganną francuszczyzną oznajmia, że wybiera się do miasta po kilka absolutnie niezbędnych im rzeczy.

– Nie mamy papieru toaletowego i mydła. Jest niebezpiecznie mało wody. Bez tego ludzie zaczną chorować. Będą umierać. – Adi zerka na kartkę w notatniku, gdzie zapisał: *papier hygienique, savon, eau embouteillee*. – Mówię w waszym języku i wiem, czego potrzebujemy. Zabierzcie mnie do miasta. Zrobię trochę zapasów. – Adi grzechocze drobnymi, które ma w kieszeni, i dodaje: – Mam trochę franków. –

Uśmiecha się, a potem wzrusza ramionami, tak jakby właśnie zaproponował komuś wielką przysługę: skorzystasz z niej albo nie. Po chwili ciszy wartownik wyraża zgodę.

Zostawia go na początku Ziraoui Boulevard i każe wrócić w to samo miejsce za godzinę, z zapasami.

– Za godzinę! – woła Adi, wyruszając w drogę. Uskakując przed ciągniętymi przez osły wózkami, wdychając ostre, nieznanne zapachy kolorowego targu z przyprawami, przeciska się w stronę centrum Casablanki. Rzecz jasna nie wróci za godzinę. Jego jedynym zamiarem jest odnalezienie pań Lów – Beerowych, co na szczęście nie okazuje się tak trudne, jak się obawiał. Znajduje je w ogródku kawiarni, piją z wysokich, wąskich kieliszków French 75, usadowione pośród mężczyzn w dżelabach, ze smutną miną trzymających w rękach kubki z herbatą, wyróżniają się jak dwie papugi w stadzie gołębi. Na jego widok Eliška zrywa się z krzesła. Po krótkiej ceremonii uczczenia ponownego spotkania Adi sugeruje, by udać się do hotelu, gdzie nikt go nie zobaczy. Prośba o schronienie wydaje się mu bezczelna, ale strażnik, który czeka na niego na Ziraoui Boulevard, niedługo zrozumie, że został oszukany, i na pewno będzie go szukać. Madame Lów – Beerowa niechętnie się zgadza, pod warunkiem że Adi będzie spał na podłodze, do czasu aż nadejdą wiadomości o losie „Alsiny”.

Pięć dni później władze Maroka oświadczają, że „Alsina” jest statkiem wrogim, i twierdzą, że odkryli na jej pokładzie kontrabandę. Trudno jest Adiemu i paniom Lów – Beerowym uwierzyć w prawdziwość tego zarzutu, ale niezależnie od tego, czy statek rzeczywiście przewozi coś nielegalnie, czy nie, władze już zdecydowały. „Alsina” nie wypłynie z Casablanki. Więźniowie Kasha Tadla zostają zwolnieni i wszyscy, również ci, którym oszczędzono namiotowego obozu, otrzymują zwrot siedemdziesięciu pięciu procent ceny biletu. Pasażerowie muszą radzić sobie sami. Adi i obie panie Lów – Beerowe rozważają pozostanie w Casablance, z nadzieją, że może władze wydadzą im wizy marokańskie, ale potem porzucają tę myśl. W Casablance było już niemało działań wojennych, a Maroko, teraz pod rządami Vichy, nie wydaje się bezpieczniejsze niż Francja.

Szybko muszą się stąd wydostać. Jest tu sześciuset uchodźców i większość z nich jest zdesperowana, żeby zrobić to samo. Potrzebują planu, i to szybko. Po kilku dniach zbierania informacji ze wszystkich możliwych źródeł – od mieszkających tu Francuzów, urzędników, marynarzy, dziennikarzy – dowiadują się, że statki do Brazylii wypływają z Hiszpanii. Według wiadomości z prasy Hiszpania i Portugalia są jeszcze wciąż neutralne. Adi i Eliška z matką natychmiast postanawiają przedostać się na północ na Półwysep Iberyjski. Dalsze rozeznanie pozwala im nabrać pewności, że jedyne statki wypływające do Ameryki Południowej wyruszają z portu Cadiz w zachodniej Hiszpanii. Aby się tam jednak dostać,

najpierw muszą znaleźć sposób na przejazd do Tangeru, miasta na wybrzeżu północnoafrykańskim, leżącego trzysta czterdzieści kilometrów od Casablanki, potem zaś będą musieli przepłynąć Cieśninę Gibraltarską – wąski pas wody, przez który przechodzi praktycznie cały ruch między Morzem Śródziemnym a Atlantykiem. Rok temu był on intensywnie bombardowany przez siły powietrzne Vichy i aktualnie znajduje się pod ścisłym nadzorem marynarki brytyjskiej, która zbudowała tam umocnienia. Jeśli uda im się przedostać przez cieśninę do Tarify, będą musieli pokonać kolejne sto kilometrów, dzielące ich od Cadiz. Nie będzie łatwo. Ale z tego, co się orientują, nie mają wyboru. Szybko się pakują i Adi wyrusza, by załatwić transport do Tangeru.

Port w Tangerze wypełniają parowce przepływające przez cieśninę do Tarify i z powrotem. Adi dolicza się trzech brytyjskich lotniskowców, kilku statków towarowych i kilkudziesięciu rybackich. Razem z obiema paniami Lów – Beerowymi chodzi po pirsach, dyskutują, do którego przewoźnika powinni się zwrócić. Na końcu portu jest kasa biletowa, ale do zakupu biletu na pewno będzie wymagana wiza. Postanawiają, że będzie lepiej, jeśli na własną rękę zatrudnią przewoźnika.

– Może ten? – Adi wskazuje na rybaka o skórze zniszczonej przez słońce, z zaniedbaną brodą, który siedzi na kwadratowej rufie swojej łodzi i spożywa południowy posiłek. Jego łódź jest mała, ma płaskie dno i obłazi z niej niebieska farba. Adi ma nadzieję, że łódź akurat na tyle nie rzuca się w oczy, żeby niezauważenie przepłynąć cieśninę, i jest na tyle sprawna, aby bezpiecznie dowieźć ich do Tarify. Z wąskiego dziobu zwisa swobodnie wypłowiała hiszpańska flaga.

W odpowiedzi na pierwszą ofertę madame Low – Beerowej rybak kręci jednak głową.

– *Peligroso* – mówi.

Madame Lów – Beerowa zdejmuje zegarek.

– *Esto tambien* – mówi, zaskakując Adiego znajomością hiszpańskiego.

Rybak rozgląda się po pirsie, jakby sprawdzał, czy nie obserwuje ich jakiś przedstawiciel władz, potem przez chwilę patrzy znów na stojącą przed nim trójkę i waży racje. Adi się cieszy, że dobrze się prezentują. Może i są uchodźcami, ale z pewnością wyglądają na tyle porządnie, żeby wzbudzić zaufanie.

– *El reloj* – wysapuje w końcu rybak.

Adi pierwszy wchodzi do łodzi i pomaga załadować ich rzeczy. Obie panie na szczęście zdecydowały się wysłać swoje trzy ogromne kufry do brata madame w Brazylii. Teraz podróżują ze skózanymi walizkami zbliżonymi wielkością do walizki Adiego. Gdy bagaże są już na pokładzie, Adi wyciąga rękę i kobiety ostrożnie wchodzą na łódź, a on dostrzega na rufie małą kałużę olejowej wody.

Podczas rejsu mocno kołysz. Madame Lów – Beerowa dwukrotnie wymiotuje do morza. Policzki Eliśki przybierają upiorny odcień bieli. Nikt się nie odzywa. Adi wielokrotnie wstrzymuje oddech, pewny, że łódkę pochłonie fala, jaką zostawiają za sobą przepływające ciągle frachtowce. Wzrok wbił w skaliste wybrzeże Tarify i modli się, żeby udało im się niezauważonym – i utrzymując się na powierzchni wody – dotrzeć do hiszpańskiej ziemi.

22–30 CZERWCA 1941: Zaskakujący zwrot wydarzeń. Hitler odwraca się od Stalina, zrywa niemiecko – radziecki pakt o nieagresji i atakuje na całym froncie wschodnim, w tym ziemie polskie znajdujące się pod sowiecką okupacją. Inwazja ta, o olbrzymim zasięgu, otrzymuje kryptonim operacja Barbarossa. Po tygodniu ciężkich walk Sowietci przegrywają we Lwowie.

Jednak zanim wycofają się z miasta, NKWD morduje tysiące polskich, żydowskich i ukraińskich inteligentów, aktywistów politycznych i kryminalistów, osadzonych w miejskich więzieniach. Niemcy publicznie oskarżają o dokonanie tych masakr Żydów, oświadczając, że ofiarami byli głównie Ukraińcy. To oczywiście wzburza proniemiecką ukraińską milicję, która, razem z Einsatzgruppen (szwadrony śmierci SS), podejmuje akcję odwetową przeciwko mieszkającym we Lwowie Żydom. Tysiące żydowskich mężczyzn i kobiet, którym nie udało się ukryć, jest obnażanych, bitych i mordowanych na ulicach.

ROZDZIAŁ 21

Jakub i Bella

Lwów, Polska pod okupacją sowiecką ~ 1 lipca 1941

LWÓW UPADŁ. Szaleństwo zaczęło się pod koniec czerwca, zaraz po niespodziewanym ataku Hitlera na Związek Radziecki, i to wtedy Jakub, Bella, Halina i Franka zaczęli się ukrywać.

Od ponad tygodnia tkwili w piwnicy swojej kamienicy. Polski przyjaciel o imieniu Piotr przynosi im, kiedy może, wiadomości i jedzenie – taka jednoosobowa doraźna organizacja pomocowa.

– W mieście roi się od członków Einsatzgruppen i ukraińskiej milicji – powiedział Piotr, gdy po raz pierwszy przyszedł sprawdzić, jak się czują. – Biorą na cel Żydów.

Gdy Jakub zapytał dlaczego, Piotr wytłumaczył, że NKWD przed swoją ucieczką wymordowało większość więźniów, z których wielu było Ukraińcami, i winą za to obarcza się Żydów.

– Nie ma w tym sensu – powiedział. – Setki więźniów było przecież Żydami, ale jakoś nie ma to znaczenia.

Z góry dochodzi pojedyncze pukanie. Piotr. Nie było tajemnicą, że gdyby został przyłapany na pomocy Żydom, sam też stałby się celem Niemców. Jakub wstaje.

– Ja pójdę – mówi, po czym zapala świecę i na palcach podchodzi do schodów. Piotr, wraz z wiadomościami o pogromie, często przynosi jedzenie – małe kawałki chleba i sera. Zazwyczaj puka raz dziennie, wieczorem.

– Uważaj na siebie – szepcze Bella.

Wczoraj, dziesięć dni po rozpoczęciu pogromów, Piotr powiedział, że gazety szacują liczbę ofiar wśród Żydów lwowskich na, o zgrozo, trzydzieści pięć tysięcy. Dziesięciu, dwudziestu, nawet stu, w to Bella mogłaby uwierzyć. Ale tysiące? Statystyki były dla niej zbyt przerażające i nie do zniesienia, a na dodatek nie mogła przestać myśleć o tym, że od początku niemieckiej inwazji nie miała kontaktu z siostrą. Raz po raz wyobraża sobie piękne ciało Anny pomiędzy zwłokami leżącymi na ulicach. Piotr mówi, że aby dostać się do progu ich kamienicy, musi przestępować nad ciałami.

Bella błagała go, żeby poszedł do mieszkania Anny. Był tam już dwukrotnie i za każdym razem wracał z wiadomością, że nikt nie odpowiedział na jego pukanie.

Bella słucha, jak Jakub wchodzi po schodach. Wkrótce słyhać jeszcze jedno puknięcie, to Jakub, a potem odpowiedź w postaci czterech szybkich uderzeń – to kod Piotra potwierdzający, że można bezpiecznie otworzyć drzwi. Słychać jęk zawiasów, a piętro niżej Bella oddycha z ulgą, podsłuchując cichy szum rozmowy.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Halina, siadając obok niej.

Bella przytakuje, podziwiając siłę swojej szwagierki. Nie wiadomo przecież także, co się dzieje z Adamem. Nie chciał się ukryć po rozpoczęciu pogromów, twierdząc, że ruch oporu potrzebuje go teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Halina nie ma o nim wiadomości, a mimo to pociesza Bellę.

Obie siedzą w milczeniu, nasłuchując. Po chwili rozmowa się ucina, a Bella sztywnieje. Cisza na górze przeciąga się do dwóch, trzech, czterech sekund, potem do niemal pół minuty.

– Coś się stało – szepcze Bella. Przeczuwa to, bo nagle chwyta ją za serce strach. Cokolwiek to jest, ona nie chce wiedzieć. W końcu drzwi na górze piszczą, zasuwka się przesuwą i słychać kroki człapiące powoli schodami w dół. Zanim Jakub zejdzie z powrotem do piwnicy, Bella już z trudem oddycha.

Jakub podaje Halinie świeczkę i bochenek chleba, i siada.

– Bella – mówi cicho.

Bella patrzy w górę, przecząco kręci głową. *Proszę, nie.* Ale z wyrazu twarzy Jakuba wyczytuje, że jej przecucia się sprawdziły. *O Boże, nie.*

Jakub przełyka ślinę, przez chwilę wpatruje się w podłogę, a potem otwiera dłoń. Trzyma w niej kartkę.

– Piotr ją znalazł, wystawała spod drzwi Anny. Bella, tak bardzo mi przykro.

Bella wpatruje się w pognieciony świstek papieru, jakby to była bomba, która zaraz wybuchnie. Zapiera się o ścianę, pod którą siedzi, i odrzuca dłoń Jakuba, gdy próbuje chwycić ją za rękę. Jakub i Halina spoglądają na siebie zmartwieni, ale Bella tego nie zauważa. Jest sparaliżowana na myśl, że to, co jej mąż ma w dłoni, co on już wie, zniszczy ją. Że za chwilę wszystko będzie inaczej. Jakub cierpliwie, cicho czeka, aż Bella w końcu nabiera odwagi, by wziąć od niego kartkę.

Na pogniecionym skrawku papieru od razu rozpoznaje pismo siostry.

Zabierają nas. Myślę, że nas zabiją.

Bella oplata ręce wokół ciała i nagle się chwieje, jakby poruszyła się pod nią ziemia. Zgniata kartkę, a gdy ściany wokół zaczynają wirować, robi jej się ciemno przed oczami. Przykłada pięść do czoła i zaczyna zawodzić.

Halina

Lwów, Polska pod okupacją niemiecką ~ 18 lipca 1941

GOTOWA? – PYTA WOLF.

Zatrzymali się na rogu ulicy, jedną przecznicę od obozu pracy. Halina przytakuje, badając obóz wzrokiem – niechlujna cementowa budowla otoczona murem zakończonym drutem kolczastym. Przy wejściu stoi strażnik, u jego stóp siedzi owczarek niemiecki. Jeśli plan się nie powiedzie, uświadamia sobie Halina, w najbliższej przyszłości będzie patrzeć na ten mur od wewnątrz. Ale jaki ma wybór? Nie może dłużej siedzieć beczynnie. To ją zniszczy. I pewnie też Adama, jeśli już go nie zniszczyło.

– Lepiej już idź – mówi Wolf. – Zanim pomyślą, że coś kombinujemy.

Halina spogląda na ulice, na stoliki wystawione przed kawiarnię nieopodal, dwie kamienice dalej na wschód, gdzie mają się spotkać.

– Słusznie – mówi Halina. Bierze głęboki oddech i prostuje się.

– Na pewno chcesz to zrobić sama? – Wolf kręci głową z powątpiewaniem, jakby pragnął, żeby zaprzeczyła.

Halina kieruje swoją uwagę z powrotem na obóz.

– Tak, na pewno.

Wolf, znajomy Adama z podziemia, nalegał, że pójdzie z nią z centrum miasta do obozu, ale Halina twardo obstawała przy tym, żeby – kiedy już dojdą na miejsce – trzymał się na uboczu, bo jeśli jej plan się nie powiedzie, będzie mógł wrócić do Lwowa i zorganizować pomoc.

Wolf kiwa głową. Obok nich przechodzi polska para, ramię w ramię. Czeka, aż przejdą, a potem pochyła się, jakby zamierzał pocałować Halinę w policzek.

– Powodzenia – szepcze, a potem prostuje się i kieruje w stronę kawiarni.

Halina przełyka ślinę. To jest szaleństwo. Powinna być w drodze do Radomia, myśli, a od letniego upału nagle robi jej się duszno. Ojciec wysłał ciężarówkę. „Chodzą pogłoski o kolejnym pogromie we Lwowie” – napisał, gdy dowiedział się o pierwszej masakrze. „Przyjedźcie do Radomia. Będziecie tu z nami bezpieczniejsi”. Jakub, Bella i Franka wyjechali rano.

Halina została.

Była w domu siedem tygodni temu, na początku czerwca. Zawiozła dowody osobiste i trochę zaoszczędzonych pieniędzy – niestety nic z tego nie przyda się jej rodzicom i Mili w getcie. Czarny rynek już się skończył, a za murami getta przy Wałowej aryjskie papiery były nieprzydatne. Halina myślała o tym, żeby zostać w Radomiu, ale jej praca w szpitalu zapewniała jednak pewien dochód – byłaby głupia, gdyby ją rzuciła – a Adam był za bardzo zaangażowany w działalność lwowskiego podziemia, żeby wrócić. Zresztą nie było dla nich dwojga miejsca w małym mieszkaniu w getcie. Została tylko chwilę i wróciła do Lwowa z papierami podróжными wydanymi przez jej przełożonego ze szpitala i z kompletem srebrnych

sztućców babci, ostrożnie owiniętym w serwetkę.

„Weź to – nalegała Nechama przed jej wyjazdem. – Może będziesz to mogła wykorzystać, żeby nas stąd wyciągnąć”.

A potem Hitler zerwał pakt ze Stalinem i rozpuścił po Lwowie Einsatzgruppen. Doszło do masakry i ojciec wysłał samochód po rodzinę. Cierpiała, że musi odmówić jego prośbie powrotu do domu, i dręczyła się myślą, ile musiało kosztować wysłanie ciężarówki. Wie, że rodzina jej potrzebuje. Ale ona nie wyjedzie ze Lwowa bez Adama. A Adam zaginął.

Halina przypomina sobie dzień, trochę ponad dwa tygodnie temu, gdy we Lwowie ucichły walki i wreszcie można było bezpiecznie wyjść z ukrycia. Pobiegła pięćset metrów do swojego mieszkania i odkryła, że jest puste. Nie było Adama.

Wyszedł w pośpiechu, tak się wydawało – zabrał walizkę, trochę ubrań i fałszywy dowód schowany zwykle za wiszącą w kuchni akwarelę. Halina przeszukała mieszkanie pod kątem jakiejś wiadomości, sugestii, czegokolwiek, co mogłoby jej pomóc odgadnąć, co się z nim stało, ale niczego nie znalazła. Przez kolejne trzy dni kilkadziesiąt razy odwiedziła wszystkie trzy miejsca wyznaczone przez nich jako bezpieczne miejsca spotkań w razie nagłych sytuacji. Brama w kształcie łuku u stóp schodów prowadzących do katedry Świętego Jerzego, kamienna fontanna naprzeciwko uniwersytetu, bar na tyłach szkockiej kawiarni – ale Adama nigdzie nie było.

Dopiero gdy Wolf zapukał do jej drzwi, Halina zdołała poskładać fakty w całość. Najprawdopodobniej, powiedział Wolf, Niemcy pojawili się w ich mieszkaniu którejś nocy podczas pogromu. Zabrali Adama do obozu pracy, znajdującego się zaraz za centrum miasta. Wolf wiedział o tym tylko dlatego, że ktoś z podziemia przekupił strażnika w obozie, żeby przekazywał wiadomości przez ogrodzenie obozu. Wiadomość Adama trafiła do Wolfa tydzień wcześniej: „Proszę, sprawdź, co z moją żoną” – napisał. Podpisał się nazwiskiem, którym posługiwali się z Haliną w fałszywych papierach – Brzoza. Organizacja podziemna próbowała znaleźć sposób, żeby go wydostać, ale bez skutku. Dowiedziawszy się o tym, Halina poczuła ogromną ulgę, że Adam żyje, ale jednocześnie zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, co mogą szykować Niemcy. Gdyby wiedzieli o jego zaangażowaniu w podziemiu, byłby trupem.

– Mam trochę srebra – powiedziała Wolfowi – zestaw sztućców.

Wolf niepewnie kiwnął głową.

– To może zadziałać – powiedział. – Warto spróbować.

Halina owija palce wokół skórzanego paska torebki zwisającej jej z ramienia. *Masz tylko jedną szansę*, przypomina sobie. *Nie spartacz tego*. Gdy podchodzi do wartownika przy wejściu do obozu, serce bije jej w zdwojonym tempie, czuje się, jakby miała zaraz wejść na scenę na występ przed bezlitosną publicznością.

Pierwszy zauważa ją owczarek niemiecki, zaczyna szczekać i wyskakując do przodu, napina smycz, jego czarno – brązowa sierść stroszy się w złości. Halina jest niewzruszona. Trzyma podbródek wysoko i jak tylko może stara się podkreślić postawą pewność siebie. Wartownik mocno owinął sobie smycz wokół nadgarstka i dla zachowania równowagi stoi z szeroko rozstawionymi nogami. Gdy Halina podchodzi bliżej, owczarek ujada jak opętany. Halina sztucznie się uśmiecha do strażnika i czeka, aż pies się uciszy. Następnie szuka w torebce dowodu osobistego.

– Nazywam się Halina Brzoza – mówi po niemiecku. Podobnie jak rosyjskiego, nauka niemieckiego

przyszła jej łatwo.

Rzadko w nim mówi, ale ku własnemu zaskoczeniu słyszy, że słowa płynnie wychodzą z jej ust.

Strażnik się nie odzywa.

– Obawiam się, że omyłkowo wzięliście mojego męża za Żyda – kontynuuje Halina, wręczając strażnikowi podrobiony dowód osobisty. – Mąż jest w obozie, a ja przyszłam, żeby go zabrać. – Przyciska torebkę do boku, wyczuwając na żebrach zawiniątko ze sztućcami. Ostatni raz używała tych widelców i noży podczas kolacji u rodziców. Wyśmiałaby wówczas każdego, kto powiedziałby jej, że pewnego dnia będą mogły uratować życie jej męża. Patrzy w oczy strażnikowi, oglądającemu jej dowód osobisty. W przeciwieństwie do niektórych Niemców, których widziała w mieście, o szerokich i grubych karkach, ten tutaj jest wysoki i szczupły. W jego kącikach oczu i pod kośćmi policzkowymi widać cienie. Halina zastanawia się, czy zawsze miał tak ostre rysy twarzy, czy też może jest tak samo głodny jak ona. Jak cała Europa.

– A dlaczego miałbym ci uwierzyć? – pyta w końcu strażnik, oddając jej dokumenty.

Nad górną wargą Haliny zaczyna zbierać się pot. Myśli szybko.

– Ależ! – rzuca, kręcąc głową, jakby ją obraził. – Czy ja wyglądam na Żydówkę?

Wbija w niego nieruchome, twarde spojrzenie swoich zielonych oczu i modli się, żeby pewność siebie, na której dotąd polegała, i tym razem jej pomogła.

– To oczywiście pomyłka – mówi. – Poza tym skąd Żydówka miałaby takiej jakości srebra? – Wyciąga serwetkę z torebki i odwija jeden róg, ukazując rączkę łyżeczki. Połyskuje w słońcu. – Należały do praprababki mojego męża. Który swoją drogą był Niemcem – dodaje Halina. – Nazywał się Berghorst.

Halina przejeżdża kciukiem po wygrawerowanej literce B, w duchu dziękując mamie, że kazała jej zabrać srebro z Radomia, i przepraszając nieżyjącą babkę, która dumnie nosiła panięńskie nazwisko Baumblit.

Na widok srebra w oczach strażnika pojawia się błysk. Rozgląda się, upewniając, że nikt go nie widzi. Po czym znów spogląda na Halinę, opuszczając głowę, jego matowoszare oczy spotykają jej spojrzenie.

– Posłuchaj – mówi cicho, prawie szeptem. – Nie wiem, kim jesteś, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy twój mąż jest Żydem, czy nim nie jest. Ale jeśli twierdzisz, że ma niemieckie pochodzenie – przerywa na chwilę, patrząc znów na srebra w ręku Haliny – to jestem pewien, że szef zdoła ci pomóc.

– To zabierz mnie do niego – mówi Halina bez wahania.

Strażnik kręci głową.

– Nie ma wizyt. Daj, co masz, to mu zaniosę.

– Bez urazy, panie...?

Niemiec waha się.

– Richter.

– Panie Richter. Ale nie rozstanę się z tym, dopóki nie przyprowadzi mi pan mojego męża. – Wsuwa srebro z powrotem do torebki, którą mocno przyciska do piersi. W środku cała się trzęsie, stara się jednak opanować drżenie kolan i zachować niewzruszony wyraz twarzy.

Strażnik mruży oczy, mruga. Wydaje się, że nie jest przyzwyczajony do przyjmowania poleceń. Przynajmniej nie od cywilów.

– Zapłacę za to głową – mówi chłodno.

– To niech pan zachowa głowę. I srebro. Dla siebie – odpowiada Halina. – Wygląda pan, jakby go potrzebował.

– Wstrzymuje oddech, myśląc, czy nie przesadziła. Nie miała zamiaru, żeby ostatnie zdanie zabrzmiało jak obraza, ale tak wyszło.

Richter chwilę się zastanawia.

– Jego nazwisko – mówi w końcu.

– Brzoza. Adam Brzoza. Okrągłe okulary, jasna cera. Zupełnie nie wygląda na Żyda.

Richter kiwa głową.

– Niczego nie obiecuję – mówi. – Ale bądź tu za godzinę. Ze srebrem.

Halina przytakuje.

– W porządku. – Odwraca się i szybko oddala od obozu.

W kawiarni Wolf siedzi przy stoliku na zewnątrz, przed nim filiżanka kawy zbożowej, i udaje, że z zainteresowaniem czyta gazetę. Gdy Halina siada naprzeciwko niego, Richtera nie ma już na warcie.

– Masz wolną godzinę? – pyta Halina, chwytając za siedzenie krzesła, żeby opanować drżenie rąk, szczęśliwa, że stoliki obok nie są zajęte.

– Oczywiście – mówi Wolf, po czym obniża głos. – Co się stało? Niczego nie widziałem.

Halina zamyka na chwilę oczy i głośno wydycha powietrze, próbując uspokoić tętno. Gdy otwiera oczy, widzi, że Wolf pobladł, że denerwuje się tak samo jak ona.

– Zaproponowałam mu srebro – mówi. – Próbował wziąć je od razu, ale powiedziałam, że mu je dam, gdy przyprowadzi mojego męża.

– Myślisz, że to zrobi?

– Trudno powiedzieć.

Wolf kręci głową.

– Adam zawsze mówił, że jesteś odważna.

Halina przełyka ślinę, nagle czuje się wykończona.

– To wszystko gra. Miejmy nadzieję, że uwierzył.

Wolf woła kelnerkę, a Halina myśli o tym, jak jeszcze do niedawna wojna wydawała się czymś mało realistycznym.

Przez jakiś czas jej rodzina sobie radziła. Halina często powtarzała sobie, że wkrótce wszystko wróci do normy. U niej będzie wszystko dobrze. Rodzina będzie bezpieczna. Rodzice przeżyli pierwszą wojnę i dali radę. Nadejdzie czas, kiedy karta się odwróci i zaczną od nowa. Najpierw Selim, potem Genek i Herta – wszyscy zniknęli. Zapadli się pod ziemię.

Potem Anna, siostra Belli. A teraz Adam. Wydawało się jej, że Żydzi wokół niej po prostu znikali. I nagle skutki wojny okazały się niezaprzeczalnie realne. Świadomość ta podłamała Halinę, bo musiała stawić czoło faktowi, którego się bała i którego nienawidziła: że była bezradna. Od tamtej chwili zaczęła wyobrażać sobie najgorsze: Selima, Genka i Hertę uwięzionych przez Sowieców i umierających z głodu, długą listę okropności, które z pewnością musiał znosić Adam w obozie pracy, i mówić sobie, że jeśli spośród wszystkich ludzi właśnie on – ze swoim wyglądem i papierami – nie był w stanie przekonać ich do wypuszczenia go z niewoli, to sytuacja jest naprawdę tragiczna.

A co z Adim? Nie mieli od niego wieści już prawie od dwóch lat, odkąd rodzina przeniosła się do getta.

Czy, tak jak pisał, poszedł do wojska? Francja skapitulowała. Czyjej armia jeszcze istniała? Często wyteża umysł, żeby przypomnieć sobie brzmienie jego głosu, ale rezygnuje, gdy to się nie udaje. Mimo wszystko ma nadzieję, że miejsce, w którym przebywają Adi, Genek, Herta i Selim, jest bezpieczne. Że wszyscy czują, jak bardzo rodzina za nimi tęskni.

Kelnerka przynosi drugi kubek kawy i stawia go na spodku przed Haliną, ta dziękuje skinieniem głowy i spogląda na zegarek. Jest rozczarowana, bo minęło dopiero pięć minut. Zdaje sobie sprawę, że to będzie bardzo długa godzina. Ściąga zegarek i kładzie obok spodka, tak by móc sprawdzać czas w bardziej dyskretny sposób. A potem czeka.

ROZDZIAŁ 23

Genek i Herta

Altynaj, Syberia ~ 19 lipca 1941

HERTA CIĄGNIE KONAR MAŁEJ SOSNY w stronę polany. Czteromiesięczny Józef przywiązany jest bezpiecznie do jej piersi prześcieradłem. Kobieta stąpa ostrożnie, przeczesując ziemię w poszukiwaniu śpiących żmij i na wpół zagrzebanych skorpionów. Podśpiewuje, żeby odwrócić uwagę od burczenia w brzuchu. Zanim dostanie kromkę chleba i, przy odrobinie szczęścia, kąsek suszonej ryby, minie jeszcze wiele godzin.

Józef się wierci. Herta opuszcza konar na ziemię, przepoconym rękawem bluzki przeciera czoło i patrzy w niebo. Słońce jest dokładnie nad jej głową. Ze, jak nazywają synka, jest już na pewno głodny. Herta znajduje zacienione miejsce pod modrzewiem na skraju polany i siada ostrożnie, krzyżując nogi. Widzi stąd Genka i kilka innych osób, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, przy rzece, układają konary w stosy. W lipcowym upale ich sylwetki wydają się zamazane, jakby zaczęli się rozpuszczać.

Herta ostrożnie wyciąga Józefa z prześcieradła i kładzie delikatnie między nogami, opierając główkę o swoje kostki.

Chłopiec ma na sobie tylko szmacianą pieluchę, jego skóra, tak jak i jej, jest różowa i lepka.

– Jest ci gorąco, prawda, kochanie? – mówi cicho Herta, pragnąc, by skwar ustąpił, ale wie, że minie przynajmniej jeszcze miesiąc, zanim to nastąpi, i że letni upał, pomimo swojej intensywności, jest o wiele znośniejszy niż chłód, który da im się we znaki od początku października. Józef patrzy w górę niebieskimi jak niebo oczami swojego ojca, wpatruje się w nią w jedynie sobie znany sposób, bez mrugania, bez oceniania, i przez chwilę Herta nie jest w stanie robić nic innego, jak tylko się uśmiechać. Odpina guziki bluzki i idąc za wzrokiem Józefa, spogląda w górę na gałęzie modrzewia.

– Są tam jakieś ptaszki? – pyta z uśmiechem.

Choć Genek nigdy tego nie przyzna (na Altynaj mówi „niekończąca się linia syberyjskiego gównokrajobrazu”), las, pomimo panującej w nim letniej duchoty i potwornej sytuacji, w jakiej się znajdują, jest niezaprzeczalnie piękny. Tutaj, daleko od granic cywilizacji, w otoczeniu sosen, świerków i modrzewi, przybierających każdy możliwy odcień zieleni, pod bezkresnym niebem, pośród czarnych strumyków wijących się między drzewami ku północy, Herta jest tylko małą plamką na horyzoncie natury. Odczuwa spokój. Gdy Józef ssie, ona zamyka oczy, napawa się lekkim wiatrem, świergotem jaskółek i pliszek, dochodzącym z korony drzewa nad jej głową, i jest pełna wdzięczności za to szczęście, że może trzymać przy piersi zdrowe dziecko.

Józef urodził się 17 marca tuż przed północą na zamrzniętym klepisku ich baraku. Tego dnia Herta przeniosła kilka konarów, oddychając ciężko podczas skurczów, które pojawiały się co dziesięć, siedem, a potem co pięć minut, aż w końcu poprosiła przyjaciółkę Julię, żeby znalazła Genka, bo nie była pewna, czy sama da radę dojść do obozu.

– Gdy skurcze będą występować co trzy minuty – powiedział jej wcześniej doktor Dembowski – to znak, że dziecko się rodzi.

Julia wróciła sama, mówiąc, że Genka wysłano, żeby załatwił coś w mieście, i przyjdzie do niej, jak tylko stamtąd wróci, a jej mąż Otto będzie go krył. Potem pomogła Hercie wstać na nogi i powoli, pod rękę, doszły do obozu, gdzie Julia wezwała doktora Dembowskiego.

Gdy dwie godziny później przyszedł Genek, Herta była niemal nie do poznania. Pomimo arktycznego chłodu była zlana potem, miała zaciśnięte powieki i leżąc w pozycji płodowej, wciągała i wydychała szybko powietrze ustami uformowanymi w literę O, jakby próbowała zgasić jakiś wyjątkowo uporczywy płomień. Jej czoło oblepiały strąki mokrych, ciemnych włosów. Obok siedziała Julia, która masowała jej kręgosłup w przerwach między skurczami.

– Udało ci się – wysapała Herta, gdy przewróciła się na bok, żeby spojrzeć na Genka. Mocno chwyciła jego ręce obiema dłońmi. Julia życzyła im powodzenia i wyszła, a Herta wytrzymała kolejnych sześć godzin rozrywającego miednicę bólu, aż w końcu litościwie przyszła faza parcia. Było piętnaście minut przed północą, gdy, z Dembowskim kucającym między jej nogami i Genkiem obok niej, Józef po raz pierwszy zaciągnął się powietrzem. Na dźwięk płaczu dziecka i gdy doktor z wielką pewnością oświadczył: „To chłopiec”, Herta i Genek, rozpromienieni, spojrzeli na siebie ze łzami w oczach. Byli wykończeni.

Tamtej nocy ułożyli Józefa między sobą na sienniku, opatulonego w wełniany szal Herty i owiniętego dwiema koszulami Genka oraz małym kocykiem, który przechodził na kolejne niemowlęta urodzone w obozie. Widać było tylko jego oczy, które otwierał rzadko, i różowość usteczek. Martwili się, czy jest mu wystarczająco ciepło albo czy w nocy przypadkiem go nie przygniotą. Ale wkrótce zmogło ich ogromne zmęczenie, które przesłoniło te lęki jak burzowe chmury słońce, i kilka minut później wszystkich troje Kurców mocno spało.

Stopniowo Józef zaczął nabierać wagi, Herta wróciła do pracy, a razem z Genkiem przyzwyczaili się do spania z zawiniątkiem między sobą. Jedynym problemem były poranki, gdy Józef budził się z płaczem, gdyż zamarały mu rzęsy i nie mógł otworzyć oczu. Herta nauczyła się przemywać mu powieki kropelkami ciepłego mleka z piersi, co pomagało im się odkleić.

Teraz trudno jej uwierzyć, że od urodzin syna minęły cztery miesiące. Upływ czasu wyznacza jej jego pierwszy uśmiech, pierwszy ząb, dzień, gdy przewrócił się z brzuszka na plecy. Ciekawe, co będzie dalej: czy zacznie ssać kciuk? Raczkować?

Wypowiadać pierwsze słowa? Herta na każdym z tych etapów pisała list do domu, z utęsknieniem wyczekując jakichkolwiek wieści z Bielska. Przestały jednak przychodzić jeszcze przed ich wywózką ze Lwowa. Ostatni list przyszedł od jej brata, Zigmunda, a zawarte w nim wiadomości były przygnębiające. „W Bielsku pozostało coraz mniej Żydów”, pisał.

Niektórzy najwyraźniej wyjechali na początku wojny, żeby przystąpić do polskiej armii. Inni zostali wywiezieni pociągami i nigdy nie wrócili. „Prosiłem rodzinę – informował brat – błagałem, żeby wyjechali albo się ukryli, ale Lola jest w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby podróżować”. Teraz, uświadamia sobie Herta, dziecko jej siostry miałoby już prawie rok.

„A rodzice – dodał – za nic nie dają się przekonać do wyjazdu. Zasugerowałem, że moglibyśmy pojechać do Ciebie, do Lwowa, ale się nie zgodzili”. Herta myśli o dziecku, które dopiero ma poznać, zastanawia się, czy będzie ciocią chłopca czy dziewczynki, czy przyjdzie dzień, w którym Ze pozna swojego ciotecznego

brata lub siostrę. W tej chwili wydaje się to nieodgadnione, dzieli ich tak ogromna przestrzeń, a świat wokół nich się wali.

Herta często modli się za swoją rodzinę. Choć jakoś udaje jej się przeżyć tutaj, w Altynaj, niczego bardziej nie pragnie, jak wrócić do życia na wolności. Częstka jej pragnie przenieść się w czasie, przeskoczyć w przyszłość, do końca wojny. Ale inna częstka chciałaby, żeby czas się zatrzymał. Bo nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. A jeśli, po zakończeniu wojny, wróci do Polski i odkryje, że nie ma już tam jej rodziny? Nie może o tym nawet myśleć. To jakby patrzeć prosto w słońce.

Nie potrafi, nie będzie tego robić. I odsuwa od siebie tę myśl, znajdując pocieszenie w tym, że teraz, przynajmniej w tej chwili, ona i Genek są zdrowi i mają wspaniałego synka.

O zmierzchu Herta zastaje w baraku uśmiechającego się Genka.

– Jakież dobre wieści? – pyta. Odwiązuje Józefa od piersi, rozkłada prześcieradło na klepisku i kładzie na nim chłopca.

Wstaje, dotyka dłonią policzka męża i uświadamia sobie, jak miło jest znów zobaczyć jego dołeczki.

Genkowi promienieją oczy.

– Myślę, że wreszcie nadszedł przełom – powiedział. – Herto, Sowieci wkrótce mogą przejść na naszą stronę.

Miesiąc temu usłyszeli, że Hitler zerwał pakt ze Stalinem i napadł na Związek Radziecki. Wiadomość ta zadziwiła cały świat, ale w żaden sposób nie wpłynęła na zmianę ich sytuacji w Altynaj.

Na tę wiadomość Herta przechyla głowę.

– Na początku wojny też tak myśleliśmy, pamiętasz?

– To prawda. Ale dzisiaj po południu słyszeliśmy z Ottonem, jak strażnicy szeptali coś o tym, żeby przerzucić więźniów na południe po to, by uformować armię.

– Armie?

– Kochanie, myślę, że Stalin ogłosi dla nas amnestię.

Amnestia. Herta dziwi się temu słowu. Akt łaski. Ale za co? Za to, że są Polakami? Trudno to przetrawić. Ale skoro to oznacza, że odzyskają wolność, to oczywiście z radością przywita amnestię.

– Dokąd pojedziemy? – zastanawia się na głos. Z tego, co słyszeli, nie ma Polski, do której można wrócić.

– Być może Stalin myśli o tym, żeby wysłać nas do walki.

Herta patrzy na męża, na jego wymizerowaną sylwetkę, od niedawna podwyższone czoło, zagłębienie między kośćmi obojczyka. Mimo wszystko wciąż jest przystojny, ale oboje wiedzą, że zupełnie nie nadaje się do walki. Herta myśli też o innych ludziach w obozie, większość albo jest chora, albo głodna, albo i jedno, i drugie. Oprócz Ottona, który urodził się z posturą boksera wagi ciężkiej, żaden z więźniów nie nadaje się na pole bitwy. Otwiera usta, żeby wyrazić swoje wątpliwości, ale widząc nadzieję w oczach Genka, zachowuje te myśli dla siebie i zamiast tego klęka przy Józefie, który zajęty jest nową umiejętnością polegającą na przekręcaniu się z brzucha na plecy. Herta próbuje sobie to wyobrazić: Genek w mundurze razem z Sowietami walczy dla Stalina – człowieka, który skazał ich na wygnanie i życie w obozie pracy.

To jakaś paranoja. Zastanawia się, co to oznaczałoby dla niej i Józefa – co będzie z nimi, jeśli Genka wyślą do walki?

– Masz jakieś pojęcie, kiedy ta amnestia miałaby być ogłoszona? – pyta, przewracając delikatnie Józefa

na plecki.

Malec z radością macha rączkami, pokazując na policzkach dwie maleńkie repliki dołeczków swojego taty.

– Nie – mówi Genek i schyla się, by usiąść obok niej. Ściska dłonią kolano Józefa, a ten odpowiada gruchaniem. Genek się uśmiecha.

– Ale myślę, że wkrótce. Już niedługo.

Adi

Ilha das Flores, Brazylia ~ koniec lipca 1941

ADI PRYZYWCZAIŁ SIĘ do wczesnego wstawania, dużo wcześniej, zanim obudzą się inni uchodźcy, i spaceru wzdłuż ścieżki okalającej maleńką Ilha das Flores. Potrzebuje ruchu, ale jeszcze bardziej możliwości spędzenia godziny w samotności – i jedno, i drugie pomaga mu zachować zdrowie psychiczne. Pomagają też widoki. Zatoka Guanabara o świcie jest piękna, jest wtedy najspokojniejsza, jak w lustrze odbija się w niej niebo. O dziesiątej rano już roi się tam od statków płynących do i z ruchliwego portu w Rio de Janeiro.

Dziś rano przed wschodem słońca Adiego obudziła jazgotliwa kawatyna zimorodka przycupniętego na parapecie. Kusilo go, żeby ponownie zasnąć, bo we śnie znajdował się w Radomiu, a rodzina była dokładnie taka sama jak dawniej. Ojciec siedział przy jadalnianym stole i czytał niedzielne wydanie „Radomer Leben”, naprzeciwko siedziała mama, podśpiewując przy przyszywaniu skórzanej łatki na łokciu swetra. W salonie Genek i Jakub grali w karty, Felicja kręciła się niepewnie pod nogami ze szmacianą lalką w rączce, a Mila i Halina siedziały na ławce przy baby grandzie i na zmianę uderzały w klawisze, grając z rozłożonych przed sobą nut *Sonatę księżycową* Beethovena. Jedyną osobą, której w tym śnie brakuje, jest on sam. Ale to mu nie przeszkadza. Adi mógłby patrzeć na tę scenę całymi godzinami, zadowolony z samego faktu, że nad nią szybuje, grzeje się w jej ciepłe i ma świadomość, że wszystko jest dobrze. Ale zimorodek był uparty i w końcu sen pierzchnął. Adi wstał i westchnął, przecierając dłońmi kąciki oczu, a potem ubrał się i wyruszył na przechadzkę.

Idąc ścieżką, zrywa kwiaty, ich nazwy poznał w ciągu ostatnich trzech tygodni: amarylis, hibiskus, azalia, i jego ulubiona, strelicja. Ma płatki w kształcie wachlarza, czerwone i niebieskie, i przypomina kształtem lecącego ptaka. Na wyspie rośnie jakaś odmiana lilii, na którą chyba jest uczulony. Gdy na nią natrafi, przez następne piętnaście minut kicha w chusteczkę swojej mamy, którą zawsze nosi przy sobie, niczym talizman.

Po przyjsciu do kawiarni Adi wkłada swój bukiet do szklanki z wodą i ustawia go na stoliku, przy którym zazwyczaj spotyka się na śniadanie z paniami Lów – Beerow. Pojawia się pracownik, Adi wita go uśmiechem i pierwszymi słowami po portugalsku, których się nauczył po przyjeździe: – *Buon dia, tudo bem?*

– *Estou bem, si, senhor* – odpowiada pracownik, wręczając Adiemu filiżankę yerba matę.

Adi niesie herbatę na werandę i odwraca swoje krzesło w stronę zachodnią, ku wybrzeżu Rio. Odkąd ich statek przybił do wybrzeży Ameryki Południowej, polubił gorzki smak yerby. Podnosi filiżankę do ust i cieszy się spokojnym porankiem, zapachem tropików i wszechobecnym śpiewem ptaków. W normalnych okolicznościach zamknąłby oczy i pławił się w otaczającym go pięknie. Ale okoliczności w żadnym wypadku nie są normalne. To, co się dzieje, jest dla niego zbyt ważne, żeby mógł się naprawdę odprężyć.

Wpatruje się zatem w wybrzeże, myśląc o minionych miesiącach – o tym, na co musiał się zdobyć, żeby dostać się na tę wyspę u wybrzeży Brazylii.

Jak się okazuje, rybak, którego wybrał w Tangerze, dał radę, mimo że był właścicielem byle jakiej łódki, bezpiecznie dowieźć Adiego i obie panie Lów – Beerow do Tarify. Stamtąd pojechali autobusem na północ do Cadiz, gdzie powiedziano im, że hiszpański statek o nazwie „Cabo do Hornos” w następnym tygodniu wypływa do Rio.

– Sprzedam wam bilety – powiedział urzędnik w Cadiz – ale nie gwarantuję, że pozwolą wam zejść ze statku z przeterminowanymi wizami.

Nie to chcieli usłyszeć, na ile się jednak orientowali, „Hornos” był ich jedyną nadzieją – pewności co do tego nabrali, gdy zaczęli rozpoznawać w porcie twarze innych pasażerów „Alsiny”, którzy też mieli szczęście i przedostali się przez cieśninę do Cadiz. Cała trójka nie traciła więc czasu i kupiła trzy bilety w jedną stronę na pokładzie „Hornosa”, zapewniając się wzajemnie, że jeśli dotrą aż do Ameryki Południowej, to na pewno nie zostaną zawróceni.

Gdy w końcu znaleźli się na pokładzie, Adi był zmuszony przyznać się przed sobą, że zostało mu już tylko kilka franków.

W Brazylii będzie zaczynał niemal od zera – z faktem tym zmagał się od chwili, gdy „Hornos” wyruszył na południowy zachód, w kierunku Rio. Podróż trwała dziesięć dni. Uchodźcy niewiele spali, bo jak tylko weszli na pokład, ostrzeżono ich, że przynajmniej sześć statków płynących przed nimi zostało zawróconych do Hiszpanii. Na myśl o tym niektórzy grozili, że popełnią samobójstwo.

„Skoczę do wody, przysięgam – powiedział Adiemu pewien Hiszpan. – Skończę z sobą, zanim zabije mnie Franco”.

Adi, Eliśka i madame Lów – Beerowa pokładali nadzieję w swoich przedawnionych wizach i niezłomnej wierze, że kapitanowi „Alsiny”, tak jak obiecywał, udało się wysłać telegram do ambasady brazylijskiej w Vichy. Jeśli prośba dotarła do Souzy Dantasa, być może ambasador będzie mógł im pomóc. A nawet jeśli nie dotarła, zawsze istnieje szansa, że prezydent Brazylii Getulio Vargas zrozumie, w jakiej się znajdują sytuacji, i po ich przybiciu do brzegu przedłuży ważność ich papierów. To przecież nie ich wina, że podróż zajęła tyle czasu.

„Cabo do Hornos” przypłynął do Rio 17 lipca i jakiś łut szczęścia sprawił, że pasażerom pozwolono opuścić pokład.

Adiego rozpierała radość. Wolność trwała jednak krótko. Trzy dni później do drzwi Adiego, pań Lów – Beerow i trzydziestu siedmiu innych pasażerów „Alsiny”, którzy przybyli na „Hornosie” z przeterminowanymi wizami, zapukła policja brazylijska i zabrała ich z powrotem do portu. Następnie wsadzono ich na frachtowiec i wywieziono siedem kilometrów od wybrzeża na Ilha das Flores, gdzie teraz byli przetrzymywani.

– Jesteśmy zakładnikami – kipiała madame Lów – Beerowa po pierwszym dniu na wyspie. – *C'estabsurde*.

Nikt im nie wyjaśnił, dlaczego ich zatrzymano. Mogli tylko zakładać, że chodziło o przedawnione wizy. Potwierdził to jeden z pasażerów, znający dobrze portugalski, któremu udało się rzucić okiem na dokument. Wynikało z niego, że Vargas zamierza odesłać uchodźców z powrotem do Hiszpanii.

Adi bierze kolejny łyk herbaty. Nie chce przyjąć do wiadomości, że po sześciu miesiącach może

skończyć tam, gdzie zaczynał, w pogrążonej w wojnie Europie. Tak daleko udało się dotrzeć pasażerom „Alsiny”. Ktoś na pewno przekona prezydenta, żeby pozwolił im zostać. Może wujek Eliški – zatrzymali się u niego przez tych pierwszych kilka dni w Rio.

Wydawał się porządnym człowiekiem. Ma pieniądze. Ale z drugiej strony jakie dojście do prezydenta ma zwykły obywatel? Potrzebują kogoś, kto ma wpływy. Jak to często mówi madame Lów – Beerowa: „Gdy się posmaruje odpowiednią rękę, dostaniemy wizy”. Ona i jej córka mają środki, żeby dać łapówkę, ale gdzie były te „odpowiednie ręce”, Adi nie miał pojęcia. Pewien jest natomiast tego, że bez kontaktów w Brazylii, bez znajomości języka i bez oszczędności on sam niewiele się przyda. Zrobił wszystko, co w jego mocy, by doprowadzić ich do miejsca, w którym się znajdują, ale reszta – trudno mu to przyznać – jest poza zasięgiem jego możliwości.

Według pań Lów – Beerow obecnie cała nadzieja w Haganauerze, jednym z pasażerów „Alsiny”, którego dziadek w Rio ma słabe powiązania z ministrem spraw zagranicznych Brazylii. Tydzień temu Haganauer przekupił strażnika, żeby przekazał dziadkowi list, wyjaśniający sytuację przetrzymywanych na wyspie, i ma nadzieję, że dziadek przekaze ministrowi ich prośbę. Wszyscy zgadzali się, że pomysł wygląda obiecująco. Jednak dopóki coś z niego nie wyniknie, dopóty nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Adi dopija herbatę i obejmuje dłońmi ceramiczną filiżankę, a jego myśli wędrują ku Eliście, do miejsca u nasady jej szyi, które całował poprzedniego wieczoru, zanim nie wymówiła się koniecznością „snu dla urody”. W Dakarze postanowili, że ich przeznaczeniem jest małżeństwo – ale madame Low – Beerowa gwałtownie się temu sprzeciwiła. Adiego nie dziwi brak jej zgody. Przyjdzie czas, że przekona la Grandę Damę, iż jest godzien ręki jej córki.

Obserwuje barkę płynącą w kierunku Rio i zastanawia się, a robi to często, co jego rodzina pomyślałaby o Eliście. Jest bystra i jest Żydówką. Ma w sobie dużo pasji i ładnie się wysławia, potrafi dyskutować. Jego rodzeństwo na pewno by ją doceniło. Tak samo ojciec. Ale co z matką? Czasem słyszy, jak Nechama mówi mu, że stracił rozum, że Eliška jest zbyt rozpieszczona, żeby być żoną, na jaką zasługuje. To prawda, że jest zepsuta, ale Adi wie, że to nie byłby prawdziwy powód sprzeciwu jego matki.

„Każdy związek zaczyna się od szczerości – powiedziała mu kiedyś Nechama. – To jest podstawa, ponieważ kochać to znaczy móc wyznać sobie wszystko: swoje marzenia, swoje wady, swoje najgłębiej skrywane obawy. Bez prawdy związek nie przetrwa”. Adi godzinami rozważa te słowa, wstydząc się przyznać, że pomimo tylu rozmów z Elišką o Pradze, Wiedniu i Paryżu – o tych wspaniałych obrazkach z ich życia przed wojną – wciąż nie może z nią swobodnie rozmawiać o swojej rodzinie. Minęły prawie dwa lata, odkąd ostatni raz miał wieści od rodziców i rodzeństwa. Dwa lata! Na zewnątrz Adi zachowuje charakterystyczną dla siebie wesołość, ale w środku się zadrecza. Zzera go niepewność. Tymczasem Eliška jest promienna, zdaje się tak pewna swojej przyszłości. Adi instynktownie wie, że nie byłaby w stanie zrozumieć, dlaczego – mimo wszystko – w nocy on śni o Radomiu, a nie o Rio, dlaczego często żałuje, że nie budzi się w domu, w swoim starym pokoju przy ulicy Warszawskiej. Przesuwa kciukiem po krawędzi filiżanki. Eliška też coś straciła, on o tym wie.

Ciężko jej było, gdy w dzieciństwie opuścił ją ojciec, i może dlatego przekonała samą siebie, że nie ma sensu żyć przeszłością. Adi zaczyna rozumieć, że wświecie Eliški nie ma miejsca na wspomnienia, na smutek.

Nie musisz wybierać między Radomiem a Rio, mówi sobie Adi. Przynajmniej nie w tej chwili. Teraz

jesteś tu, na niemal bezludnej wyspie w Ameryce Południowej, z kobietą, którą kochasz. Adi zamyka oczy, próbując przez chwilę wyobrazić sobie życie bez Eliśki. Życie bez niczego, co wiązałyby go z ich wspólnymi europejskimi korzeniami. Życie bez jej uśmiechu, dotyku, bez jej niezachwianej zdolności odnajdywania radości w patrzeniu do przodu zamiast wstecz. Nie udaje mu się to.

Jakub i Bella

Pod Radomiem, Polska pod okupacją niemiecką ~ koniec lipca 1941

JAKUB I BELLA KUCAJĄ ZA ŚCIANĄ towaru na tyle ciężarówki, z kolanami przy piersiach, i opierają się o siebie nawzajem dla zachowania równowagi. Franka, jej rodzice, Mosze i Terza, oraz jej brat Salek chowają się naprzeciwko. Z przodu kierowca przeklina. Gdy wytracają prędkość, hamulce piszczą. Odkąd wyjechali ze Lwowa, zatrzymali się tylko dwa razy, żeby zatankować. Zgodnie z instrukcjami Sola jadą bez przerwy na północny zachód, w kierunku Radomia.

Ciężarówka sunie teraz powoli. Przez ściany słychać głosy. Niemcy.

– *Anhalten!* Zatrzymać się!

– Nie zatrzymuj się – szepcze głośno Jakub. – Proszę, jedź dalej.

Co się stanie, gdy ich znajdą? Mają fałszywe papiery, ale to oczywiste, że są przewożeni nielegalnie. Inaczej po co mieliby się chować?

Bella się nie porusza, milczy. Wydaje się, że od kiedy straciła Annę, strach nie ma do niej przystępu. Jakub nigdy nie widział jej tak zrozpaczonej. Zrobiłby wszystko, żeby jej pomóc. Gdyby tylko zechciała z nim porozmawiać. Ale widzi w jej oczach, że to wciąż zbyt bolesne, zbyt świeże. Potrzebuje czasu.

Obejmuje ją ramieniem, przytrzymując przy sobie, gdy ciężarówka się zatrzymuje. Układa w myślach wyjaśnienie i prośbę. Postanawia, że da Niemcom swój aparat fotograficzny, jeśli pozwolą im pojechać dalej. Ale samochód, tak szybko, jak się zatrzymał, wyrzywa do przodu, silnik warkocze. Gwałtownie skręcają i przez chwilę wydaje się, że samochód jedzie na dwóch kołach. Pod wpływem grawitacji pułda zaczynają spadać. Na zewnątrz głosy Niemców wzmagają się, rozzłoszczone, niebezpieczne. Gdy samochód nabiera prędkości, słychać serię strzałów, jedna z kul przedziera się przez drewniane ściany, dosłownie centymetry od głowy Jakuba, zostawiając za sobą dwie małe dziurki.

W tym chaosie on i Bella kulą się. Jakub osłania jedną ręką tył swojej głowy, drugą tył głowy Belli, modląc się, gdy silnik resztkami sił warkocze i trzaska. Szybciej. Jedź szybciej. Odgłosy wystrzałów ścigają ich jeszcze długo po tym, jak ucichną krzyki.

Na początku Bella sprzeciwiała się pomysłowi powrotu do Radomia, chwytając się nadziei, że może Anna żyje.

– Muszę znaleźć siostrę – mówiła zdecydowanie, zaskakując Jakuba złością w głosie. Gdy zrobiło się na tyle bezpiecznie, żeby wyjść z kryjówek, dowiedzieli się, że Niemcy założyli wokół Lwowa obozy, gdzie bez końca więzili każdego, kto wydawał się „podejrzany”. Bella uparła się, że będzie chodzić do tych obozów, bo może się okazać, że w jednym z nich przebywa jej siostra. Jakubowi nie podobał się ten pomysł, ale wiedział, że nie ma co się sprzeciwiać.

I tak przez tydzień Bella chodziła do obozów, ryzykując, że też zostanie aresztowana. Nie znalazła jednak śladu ani Anny, ani jej męża Daniela. W końcu dowiedziała się, co zaszło, od sąsiadów. Gdy

Niemcy zaatakowali Lwów, Anna i Daniel też się ukrywali, razem z bratem Daniela, Simonem. Drugiej nocy pogromu do ich mieszkania wpadła grupa żołnierzy Wehrmachtu z nakazem aresztowania Simona, nazywając go „aktywistą”. Jego tam w tym czasie nie było – akurat odważył się wyjść, żeby zdobyć coś do jedzenia.

– W takim razie zabierzemy ciebie – powiedzieli żołnierze, chwytając Daniela za ramię. Nie miał innego wyjścia, jak pójść z nimi, a Anna uparła się, że też pójdzie. Sąsiad powiedział, że zabrano też dziesiątki innych, a jego znajomy, który mieszka niedaleko w gospodarstwie, widział, jak zrzucano ich ciała z konwoju ciężarówek na skraju lasu, i aż do późnej nocy słyszał strzały przypominające odgłosy fajerwerków.

Niechętnie i z wielkim bólem Bella zrezygnowała z poszukiwań i w końcu zgodziła się przyjąć propozycję Sola, który chciał przysłać po nich samochód. Od tamtej chwili prawie się nie odzywa.

Samochód lekko zwalnia, Jakub podnosi głowę. *Proszę, tylko nie znowu.* Nasłuchuje strzałów, okrzyków, ale słyszy tylko warkot diesla ciężarówki. Zamyka oczy, modląc się, żeby nic nie stało na drodze. O to, żeby życie w getcie było lepsze niż to, które zostawiają za sobą we Lwowie. Trudno sobie wyobrazić, żeby mogło być gorzej. A przynajmniej będą z rodziną.

Z tymi, którzy z niej zostali.

Obok niego Bella zastanawia się, czy uda się im żywym dotrzeć do Radomia. Jeśli tak, będzie musiała spojrzeć w oczy swoim rodzicom. Henryka i Gustawę przydzielono do mniejszego z radomskich gett, na Glinicach, znajdującego się kilka kilometrów za miastem. Będzie musiała im powiedzieć, co się stało z ich najmłodszą córką.

Minęły prawie trzy tygodnie od zniknięcia Anny. Bella zamyka oczy i czuje znajomy ból w piersi, dotkliwy i piekący, jakby utraciła część siebie. Anna. Odkąd pamięta, wyobrażała sobie, jak jej dzieci dorastają razem z jej dziećmi. Fantazja ta przez chwilę stała się realna, gdy tuż przed pogromem Anna napomknęła, że razem z Danielem chcą im przekazać ekscytującą wiadomość. Na chwilę Bella zapomniała o wojnie i pozwoliła, by marzenie o dzieciach, o rodzeństwie ciotecznym dorastającym obok siebie, zdominowało jej myśli. Teraz już wiadomo, że jej siostra nigdy nie będzie miała dzieci. Ani nie pozna jej dzieci. A gdy do Belli dochodzi ta okrutna, niepojęta prawda, po jej policzkach znów płyną łzy.

25–29 LIPCA 1941: We Lwowie dochodzi do drugiego pogromu. Znany jako Dni Petlury i zorganizowany, jak twierdzono, przez Ukraińców pogrom jest skierowany przeciwko Żydom oskarżanym o kolaborację z Sowietami. Zamordowanych zostaje około dwóch tysięcy Żydów.

Adi

Ilha das Flores, Brazylia ~ 12 sierpnia 1941

– CO TO ZA STATEK? – pyta Eliška.

Adi zauważył mały szary okręt, gdy tego ranka okrążył wyspę. Jak tylko Eliška się obudziła, zabrał ją do doku, gdzie go zacumowano, żeby zobaczyć na własne oczy.

– Wygląda na okręt marynarki.

– Myślisz, że po nas?

– Nie wiem, w jakim innym celu mógłby tu przybić.

Adi i Eliška snują niekończące się domysły, dokąd mógłby ich zabrać ten okręt. Czy do Rio, „miejsca docelowego”

wybitego pieczęcią na ich biletach z „Alsiny”, obok daty z początku lutego – sześć miesięcy wcześniej? Czy też zabierze ich na większy statek pasażerski, wypływający do Europy? A jeśli tak, to czy zawiozą ich z powrotem do Marsylii? Czy gdzieś indziej? Czy będą mogli złożyć wnioski o nowe wizy? A jeśli tak, to czy wolno jeszcze statkom pasażerskim wypływać z Europy na Atlantyk?

W południe zatrzymani z „Alsiny” są proszeni o przyjście do kawiarni, gdzie Adi i Eliška w końcu dostają odpowiedzi na swoje pytania.

– Dziś jest wasz szczęśliwy dzień – oznajmia ubrany na biało oficer, choć z jego tonu trudno wywnioskować, czy nie żartuje. Hangauer tłumaczy jego słowa.

– Prezydent Vargas – kontynuuje oficer – wydał pozwolenie na przedłużenie waszych wiz.

Uchodźcy wspólnie wydają westchnienie ulgi. Ktoś wznosi okrzyk.

– Proszę spakować swoje rzeczy – nakazuje oficer. – Wypływacie za godzinę.

Adi uśmiecha się szeroko, obejmuje Eliškę i unosi ją do góry.

– Oczywiście, żeby było jasne – dodaje oficer, podnosząc do góry dłoń, jakby chciał ostudzić wybuch radości, na jaki się zanosilo – prezydent może, w każdej chwili i pod jakimkolwiek pretekstem, odebrać ten przywilej.

– Zawsze musi być jakieś zastrzeżenie – syczy madame Lów – Beerowa. Ale uchodźców to nie obchodzi. Mogą zostać.

Całą kawiarnię wypełniają odgłosy poklepywania się z przejściem po plecach i całowania policzków, ludzie obejmują się, śmieją i płaczą.

Dwie godziny później Adi i panie Lów – Beerow stoją w długiej wężowej kolejce wzdłuż doku. Z ucha do ucha powtarzane są plotki na temat tego, kto w końcu przekonał Vargasa, żeby wpuścił grupę tułaczy, ale nikt nie ma tyle odwagi, by zapytać głośno. Lepiej nie zaczynać rozmowy na ten temat.

Po znalezieniu się na okręcie Adi i Eliška stawiają swoje walizki, pomagają madame Lów – Beerowej znaleźć miejsce do siedzenia pod pokładem, a potem idą na dziób. Tam chwytają się metalowej bariery

i patrzą, jak ktoś z załogi odwiązuje linę cumowniczą od kołka na nabrzeżu. Silnik budzi się z warkotem. Gdy odbijają, Adi spogląda na małą wyspę, która przez ostatnich dwadzieścia siedem dni była dla niego domem. Jakaś część jego będzie za nią tęsknić, uświadamia to sobie teraz, gdy okręt powoli zawraca, pieniając błękitną wodę na białą. Wyspa, ze swoimi pachnącymi kwiatami i niekończącymi się symfoniami ptasich pieśni, dawała jakieś poczucie spokoju. Na Ilha das Flores Adi nie mógł robić nic innego, jak tylko chodzić, sączyć yerbę i czekać. W chwili gdy jako wolny człowiek przybije do Rio, jego los znów będzie w jego własnych rękach. Będzie musiał poznać język, złożyć wniosek o pozwolenie na pracę, znaleźć mieszkanie, pracę, sposób, żeby się utrzymać. Nie będzie łatwo.

Okręt kończy półobrot i nakierowuje dziób na zachód, w stronę kontynentu. Adi i Eliška wdychają pachnące solą powietrze i pochylają się nad błyszczącym morzem, zerkając na granitowe kopuły Pao de Açucar trzymające wartę nad zatoką Guanabara. Rejs jest krótki, trwa najwyżej piętnaście minut, ale sekundy upływają powoli.

– To się dzieje naprawdę – oznajmia Eliška, zdumiona, gdy okręt przybija do brzegu. – Całe to czekanie, oczekiwanie...

to tutaj kończy się teraz podróż. Nie wierzę, że odkąd wypłynęliśmy z Marsylii, minęło siedem miesięcy.

– To naprawdę się dzieje – powtarza Adi, przyciągając Eliškę do siebie i pochylając się do pocałunku. Jej usta są ciepłe, a gdy patrzy na niego, jej oczy są błyszczące, krystalicznie niebieskie.

Po zejściu z pokładu uchodźcom nakazuje się oczekiwanie w białym ceglany budynku urzędu celnego. Czekanie wydaje się prawie nie do wytrzymania. Trzy godziny później, z gotowymi papierami, Adi, Eliška i madame Lów – Beerowa pospiesznie wychodzą z budynku na Via Elvada da Perimetral. Adi zatrzymuje taksówkę i zanim się zorientują, już jadą na południe, w kierunku domu wuja Eliški w Ipanemie.

Następnego poranka Adi budzi się zeszywniały od spania na podłodze, czując, jak w ramię trąca go Eliška.

– Chodźmy pozwiedzać! – szepcze do niego i zrywa się na nogi, żeby przygotować kawę.

Adi ubiera się i wygląda przez okno na bruk Rua Redentor, a potem w górę na poranne niebo. W jego kieszeni pobrzękuje kilka monet. Jest prawie bez grosza, a nie chce żyć na koszt Eliški i jej matki. Ale dzień jest słoneczny i już od miesięcy czekają, żeby móc się cieszyć.

– *Vamos* – mówi.

Eliška zostawia matce wiadomość, obiecując, że wrócą przed zachodem słońca.

– To gdzie idziemy? – pyta, gdy wychodzą z domu wujka. Po tym, jak podskakuje obok niego, Adi widzi, w jaką euforię wprawia ją perspektywa poznania nowej ojczyzny.

– Co powiesz na Copacabanę? – sugeruje Adi, tłumacząc sobie, że nie ma nic złego w przyłączeniu się do entuzjazmu Eliški, jej podniecenia na myśl o tym, co znaczy zaczynać od nowa. *Dalej, też się ciesz. Przynajmniej dla niej.* Jutro będzie się martwił o pracę, mieszkanie, rodzinę i co zrobić, żeby ich odnaleźć, skoro w końcu udało mu się dostać do miasta, w którym działa poczta. Miasta, w którym, miejmy nadzieję, będzie mógł zostać na czas nieokreślony.

– Copacabana. *Parfait!*

Idą na południe ku wybrzeżu, a potem na wschód, wzdłuż zaokrąglonego brzegu w Ipanemie. Po kilku minutach dochodzą do olbrzymiej skały w kształcie hełmu i zdają sobie sprawę z tego, że żadne z nich nie wie, gdzie leży Copacabana. Eliška sugeruje, żeby kupić mapę, ale Adi zwraca uwagę na kobietę na plaży,

mającą na sobie to, co wydaje się typowym ubraniem w Rio: kostium kąpielowy, bawełnianą tunikę i skórzane sandały.

– Zapytajmy ją – mówi.

Kobieta uśmiecha się w odpowiedzi na ich pytanie, a potem podnosi dwa palce i pokazuje na wskazujący.

– *Aqui estamos en Ipanema* – tłumaczy. – *A próxima praia e Copacabana* – dodaje, wskazując na ogromną skałę na końcu plaży.

– *Obrigado* – mówi Adi, kiwając głową na znak, że zrozumiał. – *Muito bonita* – dodaje, wskazując ręką na całe wybrzeże, a kobieta odpowiada uśmiechem.

Adi i Eliška obchodzą dookoła skałę, która nazywa się Arpoador, i po kilku minutach dochodzą do południowego krańca długiej zatoczki w kształcie półksiężyca – doskonałe połączenie złotego piasku i kobaltowej toni.

– Chyba jesteśmy na miejscu – mówi cicho Adi.

– *Ces montagnes!* – szepcze Eliška.

Zatrzymują się na chwilę, podziwiając linię wybrzeża, zdominowaną przez wznoszące się jedno za drugim pofalowane zielone wzgórza.

– Zobacz, na tamto można wjechać – mówi Adi, wskazując na najwyższe wzniesienie, na które wjeżdża kolejka linowa.

Gdy idą promenadą, pod ich stopami wije się mozaika białych i czarnych kamieni, przypominająca olbrzymią falę. Adi wpatruje się przez chwilę, zadziwiony ogromem pracy, którą trzeba było włożyć w ułożenie tak wielu kamieni, mających – jak się im bliżej przyjrzeć – zaskakująco nieregularne kształty. Miejsca, w których czarne spotyka się z białym, doskonałość krawędzi, wywołują poczucie harmonii. Chodzimy po sztuce, zamyśla się Adi, spoglądając na wybrzeże i wyobrażając sobie, jak ten widok odebrałaby jego mama, ojciec, rodzeństwo. Byliby zachwyceni, myśli, i jak tylko sobie to uświadamia, ogarnia go poczucie winy. Jak to możliwe, że on jest tutaj – w raj! – podczas gdy jego rodzina przechodzi przez nie wiadomo jakie piekło? Na twarzy Adiego pojawia się cień melancholii, ale zanim zdąży przejąć kontrolę, Eliška wskazuje na plażę.

– Musimy chyba popracować nad opalenizną – mówi, śmiejąc się z odcienia ich skóry, który jest ciemny jak na europejskie standardy, ale bledziutki w porównaniu z brązowymi postaciami kąpiącymi na piasku piłkę nożną.

Adi przełyka ślinę, rozkoszując się widokiem i ciesząc radością w głosie Eliški.

– Copacabana – szepcze.

– Copacabana – wyśpiewuje Eliška, patrząc na niego, po czym obejmuje dłońmi jego twarz i całuje go.

Adi się wzrusza. Jej pocałunki potrafią zatrzymać czas. Gdy czuje na sobie jej usta, jego umysł przestaje funkcjonować.

– Spragniony?

– Zawsze – potwierdza Adi.

– Ja też. Chodźmy się napić.

Zatrzymują się na promenadzie przy małym niebieskim wózku z czerwonym parasolem z napisem *Bem vindo ao Brasil!*, gdzie można kupić napoje.

– Kokosy! – woła Eliška. – Do jedzenia czy do picia? – Pokazuje różnicę znaczenia gestami z nadzieją, że sprzedawca zrozumie, o co chodzi.

Młody Brazylijczyk pod parasolem śmieje się, rozbawiony jej entuzjazmem.

– *Para beber* – mówi.

– Przyjmie pan franki? – pyta Adi, podnosząc do góry monetę.

Sprzedawca lekko unosi ramiona.

– Doskonale. To poprosimy – mówi Adi i razem z Elišką ze zdumieniem patrzą, jak sprzedawca wybiera kokos, odcina jego czubek szybkim ruchem kilkudziesięciocentymetrowej maczety, wkłada do środka dwie słomki i podaje im.

– *Agua de coco* – oświadcza triumfalnie.

Adi się uśmiecha.

– *Primeira vez que visita o Brasil?* – pyta sprzedawca. Przeciętmemu tubylcowi musi się wydawać, że przyjechali tu na wakacje.

– *Si, primeira visita* – potwierdza Adi, naśladowując jego akcent.

– *Bem vindos* – mówi sprzedawca i uśmiecha się szeroko.

– *Obrigado* – odpowiada Adi.

Eliška trzyma kokos, a Adi płaci. Jeszcze raz dziękują i ruszają dalej promenadą z mozaiką. Eliška bierze pierwszy łyk.

– Dziwne – mówi po chwili i podaje kokos Adiemu.

Adi trzyma go w obu dłoniach – jest cięższy, niż się spodziewał. Podnosi ostrożnie do nosa, wdycha delikatny, lekko orzechowy zapach i znów patrzy na horyzont. Bylibyście zachwyceni, myśli, kierując swoje odczucia za ocean. Jest tu zupełnie inaczej niż w domu, ale bardzo by się wam spodobało. Bierze łyk i delektuje się dziwnym, mlecznym, nieco słodkim i całkowicie obcym smakiem *agua de coco*.

30 LIPCA 1941: Podpisanie w Londynie układu Sikorski – Majski, przywracającego stosunki dyplomatyczne między Związkiem Radzieckim i Polską.

12 SIERPNI 1941: Sowieci ogłaszają amnestię dla polskich obywateli przetrzymywanych w obozach pracy na Syberii, w Kazachstanie i radzieckiej części Azji, pod warunkiem że będą walczyć pod flagą ZSRR, który teraz jest w gronie aliantów.

Tysiące Polaków rozpoczyna exodus do Uzbekistanu, gdzie, jak im powiedziano, nowy dowódca Polskich Sił Zbrojnych, znanych później również jako II Korpus Polski, generał Władysław Anders, formuje oddziały. Jego samego niedawno wypuszczono po dwóch latach z moskiewskiego więzienia na Łubiance.

ROZDZIAŁ 27

Genek i Herta

Aktiubińsk, Kazachstan ~ wrzesień 1941

Z OBOZU WYJECHALI TRZY TYGODNIE TEMU, w sierpniu, prawie dokładnie rok po tym, jak do niego przybyli. Droga powrotna z Alтынaj przypomina Genkowi i Hercie podróż, która ich tam przywiodła, tyle że tym razem wagon nie jest całkowicie zamknięty, a zdrowych jest więcej niż chorych. Dla osób, które zmogła malaria i tyfus, wyznaczono dwa wagony z tyłu. W ciągu dwudziestu jeden dni podróży kilkanaście z nich zmarło. Genkowi, Hercie i Józefowi udało się uniknąć choroby. Usta i nosy zakrywają chustkami, Józefa, który ma teraz pół roku, trzymają w nosidełku przy piersi Herty tak długo, jak tylko wytrzyma. Głodni i niewyspani, starają się, jak mogą, zachować optymizm. Wreszcie nie są już więźniami.

– Gdzie jesteśmy? – zastanawia się głośno jeden z zesłańców, gdy pociąg się zatrzymuje.

– Napisane jest Ak – tiu – bińsk – odpowiada ktoś.

– A gdzie to, do diabła, może być?

– Wydaje mi się, że w Kazachstanie.

– Kazachstan – szepcze Genek, wstając, żeby wyjrzeć z bydlęcego wagonu na zewnątrz. Jego oczom ukazuje się kraj tak obcy jak obecnie luksus korzystania z toalety, czysta koszula, porządny posiłek i spokojny sen w nocy. Stacja wygląda jak wszystkie inne. Długi drewniany peron upstrzony gazowymi latarniami z kutego żelaza.

– Widać coś? – pyta Herta. Siedzi na podłodze, w jej ramionach śpi Józef, dlatego woli się nie ruszać.

– Niewiele.

Genek ma już wrócić na swoje miejsce koło Herty, gdy coś przykuwa jego wzrok. Wystawia głowę za drzwi wagonu i zaczyna szybko mrugać oczami. *A niech mnie.* Kilkanaście metrów dalej na peronie dwóch mężczyzn w mundurach ciągnie wózek wyładowany czymś, co wygląda na świeżo upieczony chleb. Jednak to nie chleb go poruszył, ale emblematy z białym orłem naszyte na czapkach. To polscy żołnierze. Polacy!

– Herta! Musisz to zobaczyć!

Pomaga jej wstać i Herta wciska się, by stanąć koło niego w drzwiach, gdzie zebrało się już kilka innych osób.

Rzeczywiście, w Aktiubińsku są polscy żołnierze. Serce Genka wypełnia nadzieja. Ktoś za jego plecami wykrzykuje z radości i nagle wszyscy są poruszeni. Otwierają się drzwi i zesłańcy wyskakują na zewnątrz, tryskając nagle energią, jakiej nie mieli od wielu miesięcy.

– Bochenek na głowę! – dwugwiazdkowy porucznik woła czystą polszczyzną, gdy z wagonów wylewa się tłum wychudzonych ciał. Zbliża się kolejna para żołnierzy, pchają błyszczący srebrzysty pojemnik, na którym napisano nierówno cyrylicą: KOFE. Dwa lata temu Genek kręciłby nosem na kawę zbożową. Dziś jednak nie mógłby dostać lepszego prezentu. Napój jest gorący i słodki, on i Herta wypijają go

z przyjemnością, pałaszując ciepły jeszcze chleb.

Zesłańcy mają tysiące pytań.

– Co tu robicie? Czy jest tu obóz wojskowy? Czy możemy się teraz zaciągnąć?

Wojskowi kręcą głowami zza wózków.

– Nie tutaj – tłumaczą. – Obozy są we Wrewskoje i w Taszkencie. Naszym zadaniem jest tylko was nakarmić i przypilnować, żebyście jechali dalej na południe. Całe wojsko polskie w ZSRR jest w ruchu. Przeorganizujemy się w Azji Środkowej.

Zesłańcy przytakują, a gdy odzywa się gwizd lokomotywy, ich twarze smutnieją. Nie chcą odjeżdżać. Niechętnie wspinają się z powrotem do wagonów i wychylają twarze, spoglądając na tory i machając entuzjastycznie, gdy pociąg odjeżdża. Jeden z poruczników salutuje po polsku dwoma palcami, co wzbudza gromką reakcję zesłańców i wszyscy naraz mu odsalutowują. Ich serca biją w rytm stukotu kół ruszającego pociągu. Genek obejmuje Hertę, całuje Józefa w czubek głowy i cieszy się; widok rodaków w mundurach, *kofe* rozgrzewająca mu krew, chleb w żołądku, powiew wiatru na twarzy, to wszystko podnosi go na duchu.

Okazało się, że chleb i kawa na stacji w Aktubińsku były praktycznie ich jedynym prawdziwym posiłkiem w trakcie całej podróży. Jadąc w kierunku Uzbekistanu, zesłańcy całymi dniami nie dostają nic do jedzenia. Genek i Herta nie mają pojęcia, kiedy albo gdzie pociąg się zatrzyma. Kiedy to robi, ci, którzy mają coś na zamianę albo parę groszy, wymieniają się z okolicznymi mieszkańcami, stojącymi obok torów i trzymającymi w rękach kosze ze smakołykami, takimi jak: okrągłe bochenki lepieszki, jogurt, pestki dyni, czerwona cebula, a dalej na południe słodkie melony, arbuzy i suszone morele.

Większość zesłańców, w tym Genek i Herta, nie traci jednak czasu na spoglądanie wygłodniałym wzrokiem na jedzenie, na które ich nie stać. Zamiast tego, gdy pociąg się zatrzymuje, wyskakują z wagonów i ustawiają się w kolejce do ubikacji i kranu z wodą, i czekają, a suche łupinki po ziarnkach słonecznika tańczą im wokół stóp. Nasłuchują pierwszego syku pary, pierwszego targnięcia silnika, wskazującego, że pociąg odjeżdża, a często robi to bez ostrzeżenia. Gdy tylko to usłyszą, pędzą z powrotem do wagonu, bez względu na to, czy udało się im skorzystać z ubikacji i napełnić wodą wiadra.

Nikt nie chce zostać porzucony w drodze.

Po kolejnych trzech tygodniach podróży Genek w końcu staje w kolejce w tymczasowym centrum poboru we Wrowskoje.

Przy biurku siedzi młody polski oficer.

– Następny! – woła.

Genek przesuwa się krok do przodu, już tylko dwie osoby dzielą go od przyłączenia się do Polskich Sił Zbrojnych. Gdy przyszedł dziś rano, kolejka dwa razy okrążyła mały budynek, ale jemu to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy, odkąd pamięta, wypełnia go poczucie sensu. Być może, myśli, od samego początku taki właśnie miał być jego los, było mu przeznaczone walczyć za Polskę. W każdym razie dostaje szansę na odkupienie, na naprawienie tej fatalnej decyzji, która kosztowała jego i Hertę rok życia w obozie pracy.

Genek nie wie jeszcze, kiedy ani gdzie nowo wcieleni rekruci mają się stawić na służbę. Ma nadzieję, że nie zatrzymają się zbyt długo w Uzbekistanie. W przydzielonej im izbie, choć lepszej niż syberyjskie baraki, jest bardzo gorąco, brudno i pełno w niej gryzoni. Przez pierwszych kilka nocy budzili się wielokrotnie z Hertą, czując, jak drobniutkie nóżki przebiegają im po piersiach. Nie było to przyjemne.

– Musiało dojść do pomyłki – mówi rekrut stojący na początku kolejki.

– Przykro mi – odpowiada siedzący za biurkiem oficer.

Genek pochyla się, żeby podsłuchać rozmowę.

– To musi być pomyłka.

– Nie, proszę pana, obawiam się, że nie. – Oficer kręci głową przeprasząc. – Armia Andersa nie przyjmuje Żydów.

Genka ściska w żołądku. Co takiego?

– Ale – wykrztusza mężczyzna – chce pan powiedzieć, że przejechałem taki kawał... ale dlaczego?

Genek obserwuje, jak oficer podnosi kawałek papieru i czyta: – „Zgodnie z polskim prawem osoba żydowskiego pochodzenia nie jest członkiem narodu polskiego, lecz żydowskiego”.

Przykro mi, proszę pana.

Mówi to bez złośliwości, ale na tyle zdecydowanie, żeby dać do zrozumienia, że to koniec dyskusji.

– Ale co ja mam teraz...

– Przykro mi, proszę pana, to nie zależy ode mnie. Następny proszę.

Gdy kwestia zostaje zamknięta, mężczyzna opuszcza kolejkę, mruczając pod nosem.

Nie biorą Żydów do Armii Andersa. Genek kręci głową z niedowierzaniem. Nie zdziwiłby się, gdyby to Niemcy pozbawili Żydów prawa do walki za swój kraj, ale Polacy? Jeśli nie zdoła się zaciągnąć, nie wiadomo, jak sobie z Hertą poradzą.

Prawdopodobnie wyślą ich z powrotem do pracy przymusowej. Do diabła z tym, syczy Genek pod nosem.

– Następny proszę.

Teraz już tylko jedna osoba dzieli go od oficera siedzącego przy biurku, odpowiedzialnego za pobór, od chwili, gdy będzie musiał wypełnić papiery. Zwija dłonie w pięści. Na czole gromadzą mu się krople potu. Ten formularz przesądzi o wszystkim, mówi mu wewnętrzny głos. O życiu albo śmierci. Już raz byłś w takiej sytuacji. Pomyśl. Nie przeżyłeś tak długiej drogi, żeby ktoś teraz cię zawrócił.

– Następny, proszę.

Zanim mężczyzna przed nim odejdzie od biurka, Genek naciąga czapkę nisko aż na brwi i cicho wysuwa się z kolejki.

Gdy przemyka przez wysuszone, popadające w ruinę miasto, ma gonitwę myśli. Przede wszystkim jest zły. Przecież oferuje siebie, być może swoje życie, do walki za Polskę. Jak jego ojczyzna śmie pozbawiać go tego prawa z powodu jego wyznania! Nie znalazłby się w tej okropnej sytuacji, gdyby uparcie nie deklarował się jako Polak. Chce krzyknąć, walić pięścią w ścianę. Ale potem myśli o tym roku spędzonym w Altynaj i nakazuje sobie zachować przytomność umysłu.

Wojsko jest mi potrzebne, mówi sobie, to dla mnie jedyne wyjście.

Zatrzymuje się na rogu ulicy, przy wejściu do małego meczetu. Gdy patrzy w górę na jego sporą kopułę, nagle go oświeca. Andreski.

Genek i Otto Andreski teoretycznie mają ze sobą niewiele wspólnego. Otto to pobożny katolik, były robotnik o wiecznie niezadowolonym wyrazie twarzy i klatce piersiowej potężnej jak bęben. Genek jest szczupłym Żydem, ma dołeczki w policzkach, a całe dotychczasowe życie zawodowe spędził za biurkiem w kancelarii prawniczej. Otto to twardziel, a Genek to czaruś. Ale pomimo tych różnic przyjaźń, jaką

zadzierzgnęli w lasach Syberii, jest trwała. Ostatnio, gdy zdarzały się rzadkie chwile wolnego czasu, zaczęli grać w ręcznie zrobione kości albo w kierki, używając talii kart Genka, będącej obecnie w opłakanym stanie z powodu zużycia, ale jakimś cudem wciąż kompletnej. Herta i Julia Andreski też się do siebie zbliżyły, odkryły nawet, że na uniwersytecie startowały w konkurujących ze sobą drużynach narciarskich.

– Musicie mnie nauczyć, jak być katolikiem – mówi Genek tego wieczoru. Właśnie opowiedział Ottonowi i Julii, co zaszło w punkcie poboru. – Od tej chwili – ogłasza – gdyby kto pytał, Herta i ja jesteśmy katolikami.

Genek jest pilnym uczniem. W ciągu paru dni Otto uczy go odmawiać pacierz i modlitwę *Zdrowaś Maryjo*, jak się przeżegnać prawą ręką, a nie lewą, jak wyrecytować szybko imię aktualnego papieża, Piusa XII, urodzonego jako Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli. Tydzień później Genek w końcu nabiera odwagi, żeby wrócić do centrum poboru. Wita się z młodym oficerem siedzącym przy biurku silnym uściskiem dłoni i pewnym siebie uśmiechem. Gdy w formularzu do zaciągu w rubryce WYZNANIE wpisuje wielkimi literami słowo „rzymskokatolickie”, jego niebieskie oczy są spokojne, a ręka mu nie drży. A gdy jego nazwisko, wraz z Hertą i Józefem jako członkami rodziny, zostaje oficjalnie dodane do listy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Andersa, Genek, salutując, dziękuje oficerowi i żegna się, mówiąc: „Z Bogiem”.

Dzień przed oficjalnym rozpoczęciem służby wojskowej Otto zaprasza Genka i Hertę do siebie, żeby świętować. Genek przynosi karty. Przekazują sobie zachowaną przez Ottona w sekrecie wódkę, popijając z wyszczerbionej butelki zgodnie z zasadami gry w oczko.

– Za naszych nowych chrześcijańskich przyjaciół – Otto wznosi toast, pociąga haust i przekazuje flaszkę Genkowi.

– Za papieża – dodaje Genek, bierze łyk i wręcza butelkę Hercie.

– Za nowy początek – mówi Herta, patrząc na Józefa, który śpi obok niej w małym koszyku. Przez chwilę cała czwórka milczy, bo każdy zastanawia się w duchu, co też przyniosą następne miesiące.

– Za Andersa – mówi wesoło Julia, sięgając po butelkę. Podnosi ją do góry w zwycięskim geście, co wszystkim poprawia nastrój.

– Za zwycięstwo w tej pierdolonej wojnie! – krzyczy Otto, a Genek śmieje się, bo perspektywa wygrania wojny, toczącej się w innym świecie tysiące kilometrów od Wrewskoje, zakurzonego miasteczka w Azji Środkowej, którego nazwę ledwie jest w stanie wymówić, wydaje się równie mało prawdopodobna, jak absurdalna.

Wódka wraca znów do Genka.

– Niech szczęście nam sprzyja – mówi, unosząc butelkę. Jak dotąd wydaje się, że szczęścia mieli niewiele. A coś mu podpowiada, że będzie im potrzebne.

7 GRUDNIA 1941: Japonia bombarduje Pearl Harbor.

11 GRUDNIA 1941: Adolf Hitler wypowiada wojnę Stanom Zjednoczonym. Tego samego dnia Stany Zjednoczone wypowiadają wojnę Niemcom i Włochom. Miesiąc później w Europie, w Irlandii Północnej, lądują pierwsze amerykańskie oddziały.

20 STYCZNIA 1942: Podczas konferencji w Wannsee w Berlinie szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Reinhard Heydrich, przedstawia plan „ostatecznego rozwiązania”, czyli deportacji milionów Żydów, którzy jeszcze mieszkają na terytoriach zdobytych przez Niemcy, do obozów śmierci na Wschodzie.

Mila i Felicja

Pod Radomiem, Polska pod okupacją niemiecką ~ marzec 1942

W ŚRODKU WAGONU JEST CIEPŁO, pomimo że chłodne marcowe powietrze smaga je po policzkach przez otwarte okno.

Mila i Felicja od ponad godziny stoją, nie ma miejsca, żeby usiąść, ale nastroje są pogodne, pasażerów rozpięra radosne podniecenie. Są nielicznymi szczęściarzami, którym udało się dostać na listę: około czterdziestu Żydów z getta przy Wałowej, lekarze, dentyści, prawnicy, najbardziej postępowi, najlepiej wykształceni w Radomiu, zostało wybranych do emigracji do Ameryki.

Na początku Mila miała wątpliwości. Tak jak zresztą wszyscy. W grudniu Ameryka wypowiedziała wojnę państwu Osi.

W styczniu wysłała wojska do Irlandii. Z jakiego powodu Hitler miałby przekazać grupę Żydów krajowi, który określił się jako nieprzyjacielski? Ale w ubiegłym miesiącu wyekspediowano grupę Żydów do Palestyny i wbrew temu, co wszyscy sądzili, mianowicie, że Żydzi nie zostali wysłani do Palestyny, ale na śmierć, w getcie pojawiły się plotki, że udało im się bezpiecznie dotrzeć do Tel Awiwu. Dlatego gdy pojawiła się okazja, Mila szybko wpisała swoje nazwisko na listę.

Uwierzyła, że to była dla niej szansa.

Felicja obejmuje rączkami nogi Mili, żeby utrzymać równowagę.

– Mamusiu, a co teraz widać? – To samo pytanie zadaje co kilka minut. Jest zbyt mała, żeby mogła wyglądać przez okno.

– Tylko drzewa, kochanie. Jabłonie. Pastwiska.

Co jakiś czas Mila podnosi ją i sadza sobie na biodrze, żeby Felicja mogła coś zobaczyć. Opowiedziała jej, dokąd jadą, ale słowo Ameryka w trzyipółletniej główce nie budzi żadnych skojarzeń.

„A tata?” – zapytała, kiedy pierwszy raz usłyszała o wyjeździe, a Mili omal nie pękło serce. Choć Felicja nie pamiętała ojca, martwiła się, że kiedy Selim wróci do Radomia, stwierdzi, że ona i Mila zniknęły. Ale Mila zapewniła ją solennie, że gdy tylko dotrą na miejsce, wyśle do Radomia ich nowy adres i Selim będzie mógł się z nimi spotkać w Ameryce, albo one wrócą do Polski, kiedy skończy się wojna.

„Po prostu w tej chwili – powiedziała – nie jest bezpiecznie tu zostać”.

Felicja pokiwała główką, ale Mila wiedziała, że dziecku musi być trudno cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć. Ona sama nie miała pojęcia, co ją czeka.

Jedynym niezaprzeczalnym faktem było to, że w getcie Felicja przestała być bezpieczna. Schowanie jej w worku ze skrawkami, a potem zostawienie samej, było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie Mila w życiu zrobiła. Nigdy nie zapomni, jak czekała na zewnątrz zakładu, gdy SS przeprowadzało nalot, jak się modliła, żeby Felicja pozostała w bezruchu, tak jak jej kazała, żeby Niemcy jej nie zauważyli, żeby okazało się, że dobrze zrobiła, zostawiając swoją małą córeczkę samą w warsztacie. Gdy SS odjechało, a Mila wraz

z pozostałymi mogła wreszcie wrócić na miejsce pracy, niemal wpadając w histerię, pobiegła od razu do kąta ze skrawkami, gdzie roniąc gorące łzy wdzięczności, wyjęła córkę z worka, trzęsącą się, ze zmoczonymi majteczkami.

Tego dnia w pracy Mila przysięgła sobie, że znajdzie dla Felicji bezpieczne miejsce poza gettem, gdzie SS nie wpadnie na to, żeby jej szukać. Kilka miesięcy wcześniej, w grudniu, wstrzymała oddech, gdy włożywszy córeczkę do wypchanego słomą materaca, wyrzuciła go z okna mieszkania na drugim piętrze. Ich kamienica leżała przy granicy getta. Na dole czekał Izaak. Jako członkowi policji żydowskiej wolno mu było wychodzić poza mury getta. Plan polegał na tym, że zabierze Felicję do katolickiej rodziny, pod której opieką dziewczynka będzie mieszkać, udając Aryjkę. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Materac zamortyzował upadek Felicji. Widząc, jak Izaak odchodzi, trzymając córkę za rączkę, Mila płakała, wciskając zaciśniętą pięść do ust. Choć paraliżowała ją myśl, że oddaje córkę obcym ludziom pod opiekę, to jednocześnie czuła ulgę, że Felicja przeżyła upadek. Wszystko będzie bezpieczniejsze od getta, w którym choroby rozprzestrzeniały się jak ogień w suchym lesie i gdzie codziennie, jak się wydawało, Niemcy znajdowali jakiegoś Żyda bez dokumentów, albo zbyt starego, albo zbyt chorego, i zabijali go strzałem w głowę albo bili i pozostawiali na ulicy, tak żeby każdy widział, jak umiera. Tej nocy, nie mogąc spać, Mila powtarzała sobie raz za razem, że zrobiła dobrze.

Następnego dnia znalazła jednak pod drzwiami wiadomość od Izaaka. „Oferta wycofana. Paczkę zwracam o dziesiątej wieczorem”. Mila nigdy się nie dowie, co poszło nie tak. Czy to rodzina zmieniła zdanie, czy też uznano, że Felicja ma zbyt żydowski wygląd, żeby ująć za jedną z nich. I tak tego wieczoru dziewczynka wróciła do getta, uchwyciwszy się kurczowo wężła na linie z prześcieradeł, zwieszanej z tego samego okna na drugim piętrze. Co gorsza, tydzień później u Felicji, która miała gorączkę i skrócony oddech, zdiagnozowano zapalenie płuc. Nigdy wcześniej Mila tak bardzo nie pragnęła powrotu Selima – on na pewno lepiej zająłby się ich córką niż lekarze w przychodni w Wałowej. Felicja długo wracała do zdrowia.

Dwukrotnie Mili wydawało się, że może ją stracić. W końcu jej układ oddechowy odblokowała inhalacja z ugotowanej gałęzi eukaliptusa, którą Izaak przemycił do getta, i dziewczynka mogła znów oddychać, a w końcu wyzdrowieć.

Kilka dni po tym, jak Felicja stanęła z powrotem na nogi, SS ogłosiło, że wyślą wybraną grupę Żydów z Wałowej do Ameryki. I teraz obie znajdują się w drodze. Mila próbuje sobie wyobrazić, co to znaczy być Amerykanką. W myślach widzi ciepłe domy o pełnych spiżarniach i szczęśliwe, zdrowe dzieci, i ulice, po których, nieważne, czy jest się Żydem, czy nie, można swobodnie chodzić, pracować i żyć tak samo jak inni ludzie. Kładzie rękę na głowie Felicji i obserwuje przez okno wagonu, jak szybko przesuwiają się mijane po drodze bezlistne korony buków. To ekscytująca perspektywa, nowe życie w Stanach. Ale i druzgocąca, bo oznacza pozostawienie za sobą rodziny. Milę ściska w gardle. Moment pożegnania z rodzicami w getcie omal nie doprowadził jej do zmiany zdania. Kładzie rękę na żołądku, gdzie wciąż odczuwa ten ból, jak świeżą ciętą ranę. Usilnie starała się przekonać rodziców, żeby też wpisali się na listę, ale się nie zgodzili.

„Nie – powiedzieli – nie wezmą pary starych sprzedawców. Ty jedź – nalegali. – Felicja zasługuje na lepsze życie niż to tutaj”.

W myślach Mila przelicza zapasy rodziców. Zostało im już tylko dwadzieścia złotych, sprzedali

większość porcelany, jedwabiu i srebra. Mają belę koronki, którą w razie potrzeby mogą na coś wymienić. Oczywiście jest też ametyst, na szczęście Nechama nie musiała się z nim jeszcze rozstać. Największym skarbem jest jednak Halina. Przeprowadzili się z Adamem z powrotem do Radomia niedługo po powrocie Jakuba i Belli. Dzięki fałszywym dowodom osobistym mieszkają poza murami getta. Z pomocą Izaaka udaje im się przemyścić co jakiś czas jajko albo kilka złotych. Rodzice mają też pod ręką Jakuba. Zamierza, powiedział Mili przed wyjazdem, postarać się o pracę w fabryce za miastem, gdzie pracowała Bella. Byłby tylko niecałe dwadzieścia kilometrów dalej i obiecał, że często będzie sprawdzał, co słychać u Nechamy i Sola. Rodzice nie są sami, przypomina sobie Mila, i to przynosi jej trochę ulgi.

Słychać pisk hamulców. Pociąg zwalnia. Mila wygląda za okno i ku swojemu zaskoczeniu po obu stronach torów widzi tylko po horyzont pola. *Dziwne miejsce na postój*. Może jakiś inny pociąg podjedzie, żeby zabrać ich w dalszą drogę do Krakowa, skąd, jak im powiedziano, grupa Amerykanów z Czerwonego Krzyża będzie ich eskortować do Neapolu. Drzwi się otwierają, podróżni słyszą rozkaz wyjścia z pociągu. Mila przesuwa wzrok wzdłuż rozgałęziających się przed nimi torów. Są puste. Robi jej się niedobrze. I dokładnie w chwili, gdy dociera do niej, że coś jest nie tak, otacza ich zastęp ludzi. Mila od razu zgaduje, że to Ukraińcy. Krzypcy, o ciemnych włosach, szerocy w barkach, pod żadnym względem nie przypominają bladych Niemców o ostrych rysach twarzy, którzy wsadzili ich do wagonu kilka godzin wcześniej na stacji w Radomiu. Ukraińcy wykrzykują rozkazy, Mila mocniej chwyta Felicję za rękę, w sekundę ich los staje się przeraźliwie pewny. Oczywiście. Jak mogła być tak naiwna? Zgłosili się dobrowolnie, sądząc, że to bilet do wolności. Felicja podnosi na nią wzrok, oczka ma szeroko otwarte. Mila musi się starać, by powstrzymać drżenie kolan. To była jej decyzja. Ona to na nie ściągnęła.

Ukraińcy nakazują grupie ustawić się w dwóch szeregach i odmaszerować dwadzieścia metrów w głąb pola, następnie dają im łopaty.

– Kopać! – wrzeszczy po rosyjsku jeden z Ukraińców, utworzywszy z przyłożonych do ust dłoni rodzaj tuby. Słabnące promienie popołudniowego słońca odbijają się od lufy jego karabinu. – Kopać albo strzelamy!

Gdy Żydzi zaczynają kopać, Ukraińcy zataczają wokół nich koła, szczerząc zęby jak dzikie psy, ujadające przez ramię rozkazami lub wyzwiskami.

– Wy, z dziećmi – wrzeszczy jeden z nich. Mila i trójka innych osób z dziećmi przy boku podnoszą głowy. – Szybciej, wy kopiecie dwa doły.

Mila każe Felicji usiąść przy swoich stopach. Głowę ma cały czas pochyloną, ani na chwilę nie spuszcza z córki jednego oka. Co jakiś czas spoziera w kierunku innych. Niektórzy szlochają, łzy cicho spływają po ich policzkach na zimną ziemię.

Inni wyglądają na oszołomionych, mają wzrok niewidzący, pokonany. Nikt nie patrzy w górę. Nikt nic nie mówi. Jedyne dźwięki, jaki wypełnia marcowe powietrze, to chrzęst stali w kontakcie z zimną, twardą ziemią. Wkrótce dłonie Mili obcierają się i krwawią, a jej plecy są śliskie od potu. Zdejmuje wełniany płaszcz i kładzie go na ziemi. Po sekundzie jeden z pilnujących zabiera go i rzuca na stertę ubrań obok pociągu.

Ukraińcy wciąż uważnie pilnują, upewniając się, czy wszystkie ręce są zajęte pracą. Jakiś oficer w mundurze kapitana nadzoruje całą scenę, stojąc przy pociągu. Wygląda na Niemca, SS. Może to Obersturmführer – Mila nauczyła się rozróżniać niemieckie stopnie wojskowe, ale jest za daleko, żeby

mogła dokładnie określić rangę tego mężczyzny.

Kimkolwiek jest, jasne, że to on wyda rozkaz strzelania. Ciekawe, co sobie myślał, zastanawia się Mila, kiedy dostał to zadanie? Krzywi się, gdy opierając się ciężarem na drewnianej rączce łopaty, odrywa sobie z dłoni kolejny kawałek skóry wielkości monety. Zignoruj, rozkazuje sobie, nie pozwalając na to, by poczuć ból. By się nad sobą litować. Ziemia jest lekko zamrznięta, więc robi słabe postępy. Dobrze. Dzięki temu zyska trochę czasu. Kilka dodatkowych minut na tym świecie razem ze swoją córką.

– Mamusiu – szepcze Felicja, ciągnąc Milę za nogawki spodni. Siedzi przy jej stopach z nóżkami na krzyż. – Mamusiu, popatrz.

Mila podążyła za jej wzrokiem. Jeden z Żydów rzucił łopatę i idzie w kierunku stojącego przy pociągu Niemca. Mila poznaje doktora Frydmana, który przed wojną był w Radomiu znanym dentystą. Selim do niego chodził. Dwóch Ukraińców też go zauważa, celują w niego karabinami. Mila wstrzymuje oddech. Co on robi, zabijają go! Ale kapitan gestem nakazuje swoim podwładnym opuścić broń.

Mila robi wydech.

– Co się stało? – szepcze Felicja.

– Ciii, *cherie*. Wszystko dobrze. – Mila oddycha ciężko, wciskając ostrze łopaty nogą w ziemię. – Nie ruszaj się, dobrze?

Zostań tu, gdzie cię widzę. Kocham cię, moja kochana córeczko. Tylko nigdzie nie idź.

Mila patrzy, jak doktor Frydman rozmawia z Niemcem. Wygląda, jakby mówił szybko, dotykając się w policzek. Po minucie kapitan kiwa głową i wskazuje przez ramię do tyłu. Doktor Frydman pochyła głowę, szybko podchodzi do pustego wagonu i wspina się do środka. Oszczędził go. Ale dlaczego? W Radomiu Niemcy ciągle przywoływali Żydów do pomocy.

Może, myśli Mila, doktor Frydman leczył zęby tego Niemca i ten zdał sobie teraz sprawę, że może jeszcze go w przyszłości potrzebować.

Mila robi się niedobrze. Ona nikomu nie robiła żadnych przysług. Lepiej już będzie, jeśli chwyci Felicję i zacznie biec, by ratować życie. Spogląda na linię drzew, ale od torów dzieli ją dwieście metrów. Nie. Nie mogą uciekać. W sekundę zginą od kul.

Zimny powiew wiatru unosi nad polem wirującą chmurę kurzu. Mila opiera się na łopacie, mruganiem próbuje pozbyć się piasku z oczu. Analizuje sytuację: żadnych przysług, za które można by się odwdziaczyć. Nie ma dokąd uciec. Są w pułapce.

Gdy próbuje przyjąć do wiadomości to, co ich czeka, powietrze przeszywa strzał. Odwraca głowę na tyle szybko, by zobaczyć, jak mężczyzna jeden rząd za nią upada na ziemię. Czy próbował ucieczki? Mila zakrywa usta dłonią i natychmiast zerka na Felicję.

– Felicja! – Ale jej córka jest jak w transie, nie może odwrócić wzroku od ciała leżącego twarzą do brudnej ziemi, od krwi ciekącej z tyłu jego głowy. – Felicja! – powtarza Mila.

W końcu jej córka się odwraca. Oczy ma szeroko otwarte i odzywa się piskliwym głosem: – Mamusiu? Co oni...

– Kochanie, popatrz na mnie – prosi ją Mila. – Patrz na mnie, tylko na mnie. Wszystko będzie dobrze.

Felicja się trzęsie.

– Ale dlaczego...

– Nie wiem, kochanie. Chodź, bliżej usiądź. Tutaj, koło mojej nogi i pilnuj mnie, dobrze?

Kiedy Felicja przysuwa się bliżej jej nogi, Mila szybko wyciąga do niej rękę. Felicja podaje jej swoją dłoń, a ona pochyla się, by ją pocałować.

– Wszystko dobrze – szepcze.

Gdy się podnosi, wokół słychać wrzaski.

– Kto jeszcze chce uciekać? – szydzą Ukraińcy. – Widzicie? Widzicie, co będzie? No, kto następny?

Felicja patrzy w górę na swoją mamę, której oczy wypełniają łzy. Mila gryzie się w policzek, żeby je powstrzymać. Nie może płakać, nie teraz, w obecności córki.

Jakub i Bella

Fabryka Armees – Verpflegungs – Lager (AVL) pod Radomiem, Polska pod okupacją niemiecką ~ marzec 1942

JAKUB ZBLIŻA SIĘ DO WEJŚCIA FABRYKI, machając chustką.

– *Schießen Sie nicht!* Nie strzelać! – krzyczy zziębniętym głosem, oddychając szybko i płytko. Przebiegł prawie osiemnaście kilometrów z walizką i aparatem fotograficznym, żeby się tu dostać, i jest w fatalnym stanie. Mięśnie prawej ręki będą go bolały przez tydzień, a stopy mu spuchły i zrobiły się na nich pęcherze, choć jeszcze tego nie zauważył.

Strażnik z SS kładzie dłoń na pistolecie i zerka w kierunku Jakuba.

– Nie strzelać – Jakub prosi znowu, gdy jest już na tyle blisko, żeby podać strażnikowi swój dowód osobisty. – Proszę, przyszedłem do żony. Ona – Jakub spogląda na sztylet dyndający na łańcuchu zawieszonym na pasku strażnika i nagle drętwieje. – Onanamięczka – wydusza jednym ciągiem.

Strażnik uważnie przegląda dokumenty Jakuba. Są prawdziwe. W getcie, tak samo jak tu, w fabryce, nie ma sensu udawać kogoś, kim się nie jest.

– Skąd? – pyta strażnik, czytając, co napisano w dowodzie Jakuba, choć brzmi to bardziej jak stwierdzenie, a nie pytanie.

– Z Radomia.

– Wiek.

– Dwadzieścia sześć lat.

– Data urodzenia.

– Pierwszy lutego tysiąc dziewięćset szesnastego.

Strażnik przepytuje Jakuba, aż uzyskuje pewność, że jest tym samym młodym mężczyzną, którego papiery trzyma w ręku.

– Gdzie twój ausweis?

Jakub przełyka ślinę. Nie ma ausweisu.

– Złożyłem wniosek, ale... proszę, przyszedłem do żony... jej rodzice są bardzo chorzy. Musi się o tym dowiedzieć.

– Jakub zastanawia się, czy kłamstwo jest tak oczywiste, jak to brzmi w jego własnych uszach. Strażnik na pewno się pozna. – Proszę – błaga Jakub. – To bardzo poważne.

Nad brwią uformowała się mu warstwa potu, teraz lśni w oślepiającym blasku słońca w zenicie.

Strażnik przez chwilę wpatruje się w niego.

– Zostań tu – burczy w końcu, wskazując wzrokiem na ziemię, a potem znika za nieoznaczonymi drzwiami.

Jakub jest posłuszny. Kładzie walizkę u stóp i czeka, gniotąc w rękach filcowy kapelusz. Ostatni raz

widział Bellę pięć miesięcy temu, w październiku, zanim przydzielono ją do pracy w fabryce Arnee – Verpflegungs – Lager, którą wszyscy nazywali w skrócie AVL. Mieszkali wtedy z jej rodzicami w getcie na Glinicach, ledwie parę przecznic od fabryki. Bella wciąż była w fatalnym stanie. Dnie upływające w ciężkiej atmosferze dłużyły się, Jakub niewiele mógł zrobić, żeby ją pocieszyć, gdy popadała w kolejne otchłanie rozpacz po stracie siostry. Nigdy nie zapomni dnia, kiedy odeszła. Stał w bramie getta, zacisnął palce na metalowej poręczy i patrzył, jak odprowadzają ją do czekającej nieopodal ciężarówki.

Zanim wsiadła, obejrzała się, jej twarz wyrażała niezmierny żal. Jakub posłał jej całusa i patrzył przez łzy, jak ona też podnosi dłoń do ust. Nie potrafił stwierdzić, czy chciała odwzajemnić pocałunek, czy też powstrzymać się od płaczu.

Wkrótce po tym, jak Bella odeszła do fabryki, Jakub poprosił o przeniesienie do głównego getta, żeby zamieszkać z rodzicami. Utrzymywał z Bellą kontakt listowny. Możliwość czytania jej słów trochę go uspokajała. Od zniknięcia Anny prawie nic nie mówiła, wydawało się, że łatwiej przychodzi jej używanie pióra. Opowiadała, że w AVL przydzielono ją do naprawy skórzanych oficerek i zepsutych futerałów z frontu niemieckiego. „Powinieneś dołączyć do mnie – namawiała go w ostatnim liście. – Z brygadzystą da się wytrzymać. A w barakach fabryki jest o wiele więcej miejsca niż w getcie. Tęsknię za Tobą. Tak bardzo. Proszę, przyjdź”.

Gdy Jakub przeczytał słowa „tęsknię za Tobą”, wiedział, że znajdzie sposób, żeby się przy niej znaleźć. Oznaczało to, że musi zostawić rodziców, ale była z nimi Halina. Mieli też w razie potrzeby fałszywe papiery. Niewielką ilość ziemniaków, mąki i trochę kapusty, zapasy, które mama zgromadziła przed zimą. A także ametyst. Będą nieopodal. Osiemnaście kilometrów. Może do nich pisać, a w razie potrzeby ich odwiedzić, tłumaczył sobie.

Była jednak jeszcze jego praca. Perspektywa rezygnacji z niej budziła niepokój. Praca była w getcie kołem ratunkowym.

Jeśli kogoś uznano za zdolnego do pracy, był godzien, by pozostać przy życiu. Gdy Niemcy odkryli, że Jakub potrafi posługiwać się aparatem, zatrudnili go jako fotografa. Co dzień rano wolno mu było wyjść za bramę getta, żeby robić zdjęcia wszystkiego, co wskazał mu przełożony – broni, zbrojowni, mundurów, czasem nawet kobiet. Raz na jakiś czas przełożony zatrudniał parę Polek o blond włosach, które za kilka złotych albo wieczorny posiłek pozowały Jakubowi ochoczo, mając na sobie tylko zatrzymane w tym celu podarte futro. Gdy wracał pod koniec dnia, oddawał film, nie mając pojęcia, kto będzie oglądał jego zdjęcia i po co.

Dziś jednak będzie inaczej. Jak zwykle poszedł po zlecenie, ale wyszedł z biura przełożonego z paczką junaków i zadaniem, którego nie wykona. Jeśli zostanie zmuszony do powrotu do głównego getta przy Wałowej, z pustą rolką filmu, prawdopodobnie zapłaci za to życiem.

Jakub patrzy na zegarek. Jest druga po południu. Za trzy godziny jego szef zorientuje się, że go nie ma.

Drzwi fabryki otwierają się i pojawia się w nich Bella, ubrana w te same granatowe spodnie i białą bluzkę z kołnierzykiem, które miała na sobie, gdy odchodziła z domu. Na głowie ma żółty szal, który zakrywa całe włosy z wyjątkiem wąskiego paska nad czołem. Na jego widok uśmiecha się, a Jakubowi robi się ciepło na sercu. Uśmiech.

– Cześć, słońce – mówi. Szybko się do siebie przytulają.

– Jakub! Nie wiedziałam, że przyjdiesz – mówi Bella, spoglądając przez ramię na stojącego parę

metrów za nią strażnika. – Czy twojej siostrze się udało?

W ostatnim liście Jakub opowiedział Belli o Mili planie wyjazdu do Stanów.

– Wyjechała dzisiaj rano – mówi. – Razem z Felicją.

– Dobrze to słyszeć. Cieszę się, że tu jesteś, Kuba – mówi Bella. – Poczekaj tu.

Strażnik idzie za nią do budynku, a Jakubowi o sekundę za późno przypomina się o papierosach. Miał zamiar ukradkiem wsunąć je Belli do ręki, żeby mogły jej posłużyć jako łapówka. Przeklina po cichu i czeka na zimnie, z kapeluszem w dłoni.

W środku Bella podchodzi do biurka brygadzysty Meiera, oficera, grubokościstego Niemca, o szerokim czole i z okazałym, dobrze utrzymanym wąsem.

– Mój mąż przyszedł z getta – zaczyna, postanawiając, że najlepiej będzie, jeśli od razu przejdzie do rzeczy. Po niemiecku mówi już płynnie. – Jest tutaj, na zewnątrz. To doskonały pracownik, Herr Meier. Jest dobrego zdrowia, bardzo odpowiedzialny – Bella robi przerwę. Żydzi nie proszą Niemców o przysługi, ale ona nie ma wyboru. – Proszę, błagam pana, czy znalazłby pan dla niego pracę tu w fabryce?

Meier to porządny człowiek. W ciągu ostatnich trzech miesięcy był dla Belli dobry. Pozwolił jej spożyć w Jom Kippur posiłek po zapadnięciu zmroku, raz na jakiś czas odwiedzać rodziców w getcie na Glinicach, które leży w odległości krótkiego spaceru od fabryki. Bella dobrze pracuje, jest niemal dwa razy bardziej wydajna niż większość robotników.

Może dlatego tak dobrze ją traktuje.

Meier gładzi wąsa kciukiem i palcem wskazującym. Mierzy Bellę wzrokiem, mruży oczy, jakby doszukując się jakiegoś ukrytego motywu.

Bella zdejmuje z łańcuszka na szyi złotą broszkę, którą dawno temu podarował jej Jakub.

– Proszę – mówi, kładąc małą różyczkę z perłą na dłoni i wyciągając ją w kierunku Meiera. – To wszystko, co mam.

Proszę to wziąć.

Bella czeka z wyciągniętą do przodu ręką.

– Proszę, nie będzie pan żałował.

W końcu Meier pochyla się, kładzie łokcie na biurku i spogląda jej w oczy.

– Kurk – mówi z silnym niemieckim akcentem – zatrzymaj to, Kurk.

Wzdycha i kręci głową.

– Zrobię to dla ciebie, ale dla nikogo więcej.

Zwraca się do strażnika stojącego na baczność przy drzwiach do jego biura.

– Idź, wpuść go.

ROZDZIAŁ 30

Mila i Felicja

Pod Radomiem, Polska pod okupacją niemiecką ~ marzec 1942

KOPCZYK ZIEMI OBOK MIEJSCA, które, Mila to wie, będzie jej grobem, urósł do pół metra.

– Głębiej! – wrzeszczy Ukrainiec, przechodząc zdecydowanym krokiem obok niej podczas jednej ze swoich rund.

Dłonie Mili kleją się od krwi, a całe ciało pomimo marcowego chłodu ma złane potem. Zdejmuje sweter, owija nim ramiona Felicji, a chustkę okręca sobie mocno na prawej ręce, tej, która bardziej boli. Przyciskając obcasem górną krawędź łopaty, ignoruje ukłucie bólu i znów spogląda w kierunku torów, by ocenić sytuację.

Kapitan stoi z założonymi rękami przed pociągiem. Kilka wagonów dalej sterczy kilkunastu Ukraińców, wyglądają na znudzonych. Bawią się czapkami, obracają je w palcach, karabiny wiszą im u boku. Niektórzy kopią butami w ziemię. Inni rozmawiają, od czasu do czasu w reakcji na czyjaś uwagę trzęsą im się ramiona. Barbarzyńcy. Do doktora Frydmana dołączyło jeszcze dwóch Żydów, najwyraźniej oni też mieli na koncie jakieś przysługi dla Niemców i ich oszczędzono.

Zaciskając zęby, Mila podnosi jeszcze jedną kupkę ziemi z dziury pod stopami i wysypuje ją na wierzch swojego kopca.

– Patrz – szepcze ktoś za jej plecami. Młoda blondynka rzuciła łopatę. Dumnie kroczy w kierunku torów, w stronę Niemca. Jest wyprostowana, czarny płaszcz zawiązała ciasno w talii, jego poły falują za nią, gdy idzie. Mila czuje ukłucie w sercu, przypominając sobie swoją siostrę Halinę, jedyną znaną jej osobę zdolną do takiego zuchwalstwa. Gdy inni zaczynają szeptać i pokazywać palcami, jeden z Ukraińców stojących obok pociągu podnosi karabin i celuje. Młoda uciekiniarka podnosi ręce do góry.

– Nie strzelać! – woła po rosyjsku, przyspieszając do truchtu, gdy zbliża się do mężczyzn. Żołnierze podnoszą karabiny i patrzą na Niemca, oczekując jego zgody, ale kapitan przechylił głowę i wpatruje się w zbliżającą się drobną, nieustraszoną Żydówkę. Kręci głową i mówi coś, czego Mila nie może odgadnąć, Ukraińcy powoli opuszczają broń.

Gdy młoda kobieta dochodzi do torów, Mili udaje się dostrzec przez chwilę jej profil. Jest ładna, ma regularne rysy i porcelanową cerę. Nawet z daleka łatwo jest dostrzec, że jej włosy są w kolorze truskawkowego blondu, odcieniu, którego nie da się podrobić. Tlenione włosy, powszechne teraz w getcie – żeby wyglądać mniej żydowsko – były łatwe do rozpoznania. Mila patrzy, jak kobieta gestykuluje swobodnie jedną ręką, z drugą opartą na biodrze, i mówi coś, co wywołuje śmiech Niemca. Mila mruga oczami. Kupiła go. Tak po prostu. Co mu oferuje? Seks? Pieniądze? Mila wzdyga się z obrzydzenia do kapitana i zazdrości o tupet pięknej, nieustraszonej blondynki.

Strażnik wydaje okrzyk i Żydzi bez słowa znów wracają do kopania. Mila próbuje sobie wyobrazić, że przybiera pewny siebie, prowokujący wyraz twarzy i kroczy w poprzek łąki. Ale na Boga, jest matką,

i nawet gdy była młodą dziewczyną, nie miała nigdy talentu do flirtów, tak jak Halina. Zabiliby ją, zanim jeszcze doszłaby do pociągu. A gdyby nawet udało się jej znaleźć w zasięgu ucha tego Niemca, co też mogłaby powiedzieć, żeby go uwieść? *Nie mam nic do...*

I nagle wpada na pomysł. Natychmiast się prostuje.

– Felicja! – szepcze. Dziewczynka patrzy w górę, zaskoczona zdecydowanym tonem matki. Mila mówi cicho, żeby inni nie słyszeli. – Popatrz tam gdzie ja, kochanie, czy widzisz tę panią, która stoi obok pociągu? – Mila spogląda w stronę wagonu, Felicja kieruje tam swój wzrok. Przytakuje. Mila oddycha płytko. Trzęsie się. *Nie ma czasu na zastanawianie się, co będzie – sama sprowadziłaś tu swoją córkę, możesz przynajmniej spróbować ją stąd wydostać.* Mila przez chwilę klęczy, udając, że wyciąga kamyk z buta, żeby móc spojrzeć Felicji w oczy. Mówi powoli. – Masz tam do niej pobiec i udawać, że jest twoją mamą.

Dziewczynka marszczy brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Gdy dobiegniesz – mówi Mila – złap się jej i nie puszczaj.

– Nie, mamusiu...

Mila kładzie palec na ustach córeczki.

– Tak będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, tylko rób, co mówię.

Oczy Felicji napełniają się łzami.

– Mamusiu, a ty też przyjdiesz? – ledwie słychać jej głosik.

– Nie, kochanie, nie teraz. Musisz iść sama. Rozumiesz?

Felicja przytakuje, patrzy w dół. Mila unosi jej podbródek, żeby znów spojrzeć jej w oczy.

– Tak?

– Tak – szepcze Felicja.

Mila ledwie jest w stanie oddychać, w piersi dławi ją smutek, jaki widzi w oczach własnego dziecka, ale jej plan za chwilę zostanie wprowadzony w życie. Przytakuje z taką pewnością siebie, na jaką ją stać.

– Jeśli cię zapytają, powiesz, że ta pani jest twoją mamusią, dobrze?

– Moja mamusia – powtarza Felicja, ale te słowa wydają jej się dziwne i złe, są jak trucizna.

Mila wstaje i znów patrzy na kobietę przy pociągu, która teraz jakby opowiadała jakąś historię. Niemiec jest wniebowzięty. Mila zdejmuje swój sweter z ramion Felicji.

– Biegnij teraz, kochanie – szepcze, wskazując głową na pociąg.

Felicja z trudem podnosi się na nogi, patrzy na nią, błaga wzrokiem – *nie kaź mi!* Mila kuca, szybko przykłada usta do czoła Felicji. Gdy wstaje, podtrzymuje się łopata, żeby zachować równowagę. Straciła czucie w nogach, nagle to wszystko wydaje jej się złym pomysłem. Otwiera usta, każda cząstka w niej, jako matki, błaga, by zmieniła zdanie. Ale nie może. Nie ma innego planu. Zostało jej tylko to.

– Biegnij! – rozkazuje Mila. – Szybko!

Felicja odwraca się w kierunku pociągu, patrzy przez ramię, a Mila jeszcze raz kiwa głową.

– Teraz! – szepcze.

Gdy Felicja biegnie. Mila próbuje dalej kopać, ale od szyi w dół jest sparaliżowana i może tylko patrzeć, wstrzymawszy oddech, jak przed jej oczami w zwolnionym tempie rozgrywa się zaaranżowana przez nią samą scena. Przez kilka niekończących się sekund zdaje się, że nikt nie zauważył małego ciała pomykającego przez łąkę. Felicja jest w jednej trzeciej drogi do pociągu, gdy jeden z Ukraińców w końcu

dostrzega ją i celuje. Inni podnoszą wzrok. Jeden z nich wykrzykuje jakiś rozkaz, którego Mila nie rozumie, i podnosi do góry karabin. Nagle oczy wszystkich na łące zwracają się ku małej postaci jej córki, patrzą, jak biegnie, drobniutka, ledwo sięga dorosłej osobie powyżej kolan, szeroko rozłożyła rączki, wygląda na zupełnie zdezorientowaną, jakby za chwilę miała się przewrócić.

– Mamusiu! – Okrzyk Felicji wybrzmiewa piskliwie, ostro, przeraźliwie. Mimo że Mila się tego spodziewała, słysząc, jak jej córka nazywa blondynkę matką, ból rozdziera jej serce. Jej wzrok przeskakuje między Felicją, Niemcem a Ukraińcem, z podniesioną bronią czekającym na rozkaz.

– Mamo! Mamo! – krzyczy zdyszana Felicja, zbliżając się do torów. Niemiec obserwuje ją, kręcąc głową, chyba nie rozumie, o co chodzi. Młoda kobieta spogląda na Felicję, potem za siebie. Ona też jest zdezorientowana. Ukraińcy przy skraju łąki kręcą głowami i przeczesują wzrokiem pole, próbując ustalić miejsce, z którego wyruszyło dziecko. *Niech tylko żaden z was nie ośmieli się mnie namierzyć*, rozkazuje po cichu Mila, ciesząc się, że nie zaczęła jeszcze kopać drugiego dołu, dla Felicji. Nikt się nie rusza. Po kilku następnych sekundach Felicja dobiega do pociągu, a jej krzyki cichną, gdy obejmuje rękami nogi ładnej blondynki i wtula się w jej płaszcz.

Mila wie, że powinna wrócić do kopania, ale nie może przestać patrzeć, jak młoda kobieta spogląda na ludzkie piskłę uczone jej kolan. Gdy podnosi wzrok, patrzy w kierunku łąki, w kierunku Mili. *Proszę, proszę, proszę*, mówi Mila bezgłośnie. *Weź ją. Podnieś ją do góry. Proszę*. Mija kolejna sekunda, i kolejna. W końcu kobieta pochyla się i sadza sobie Felicję na biodrze. Mówi coś niezrozumiałego, kładzie dłoń na tyle głowy dziewczynki i całuje ją w policzek. Ukraińcy patrzą po sobie, a potem krzykiem nakazują Żydom wrócić do pracy. Mila wydycha powietrze, patrzy w dół, próbuje się uspokoić. *Już dobrze, teraz możesz odetchnąć*, mówi sobie. Gdy podnosi wzrok, widzi, że Felicja objęła rączkami szyję kobiety i położyła głowę na jej ramieniu, klatka piersiowa ciągle jej faluje po wysiłku, jakim był bieg przez łąkę.

– Rozbierać się! Zdjąć wszystko! Już!

Żydzi rozglądają się wokół siebie w panice. Powoli odkładają łopaty i zaczynają rozwiązywać sznurówki, odpinać paski od spodni i spódnice. Mila trzęsącymi się rękami sięga ku górnemu guzikowi bluzki. Kilka osób już jest półnagich, trzęsą się, ich biała skóra wyraźnie odbija się na tle brązowej ziemi u ich stóp.

– Szybciej!

Żydzi stoją, nieudolnie próbując ukryć rękami nagość, a Ukraińcy schylają się po ich ubrania. Mila nie chce się rozebrać.

Wie, że ma tylko kilka sekund, zanim ktoś ją zauważy, zmusi do tego, ale w chwili, gdy zdejmie bluzkę, będzie po wszystkim. Obraca na palcu obręczkę i przez krótką chwilę zatapia się we wspomnieniu, jak Selim wsunął grubą złotą obręcz na jej palec. Jak wielkie mieli nadzieje. A potem mruga oczami.

Nie wahając się, sunie w kierunku pociągu po oznaczonej kopcami ziemi, po śladach córki. Idzie tak szybko, jak potrafi.

Kopce świeżo wykopanej ziemi, upiorne groby, żołnierze w mundurach i białe ciała tworzą wokół niej rozmazaną masę, gdy biegnie, wpatrzona nie w córkę, ale w jedyną osobę, która może jej pomóc – Niemca. Uświadamia sobie, że w każdej chwili może paść strzał, który powali ją na ziemię. Wpatruje się tylko w jeden punkt i żeby zachować spokój, odlicza sekundy. Dobiegnij do pociągu, nakazuje sobie, zimne powietrze piecze ją w płucach, z wysiłku palą ją łydki. Młoda kobieta przy pociągu, wciąż trzymając

Felicję, odwróciła się, tak by dziewczynka nie zobaczyła nadbiegającej Mili.

A potem nagle, jakimś cudem Mila ma tych dwadzieścia metrów za sobą. Dotarła do pociągu, cała i zdrowa, stoi obok Niemca, ciężko dysząc. Nogi jej się trzęsą, gdy wciska mu w dłoń swoją obrączkę.

– Bardzo droga – mówi, próbując uspokoić oddech i zmuszając się, żeby nie napotkać wzroku Felicji, która odwróciła się na dźwięk jej głosu.

Kapitan patrzy na Milę, obraca obrączkę w palcach, nadgryza. Mila rozpoznaje po srebrnych paskach na jego ramionach, że to Hauptsturmfuhrer. Żałuje, że nie ma bardziej kobiecej figury, większych ust albo jakiejś odzywki w zanadrzu, która by go rozbawiła lub uwiodła. Niestety, ma tylko obrączkę.

Słysząc dźwięk odbezpieczenia broni. Kolana Mili miękną, instynktownie zakrywa rękami tył głowy. Kucając, zerka między łokciami. Uświadamia sobie, że strzał nie był przeznaczony dla niej, ale dla kogoś na łące. Tym razem jakiejś kobiety. Też próbowała ucieczki. Mila powoli wstaje i natychmiast patrzy na Felicję. Kobieta, którą chwilę temu nazwała „mamą”, zakryła jej oczy wolną ręką i szepcze coś do ucha, serce Mili przepełnia wdzięczność. Ukraińcy wydają okrzyki, podchodząc do swojej najnowszej ofiary, jej ciało znika, gdy jeden z żołnierzy kopniakiem spycha je do dołu.

– Cholerne zamieszanie – mówi Niemiec, wsuwając obrączkę Mili do kieszeni. – Poczekaj tu – rzuca i zostawia kobiety same przy pociągu.

Mila, wciąż dysząc, spogląda na młodą blondynkę.

– Dziękuję – mówi, a kobieta przytakuje. Felicja odwraca się i patrzy Mili w oczy.

– Mamusiu – szepcze, a po jej nosku toczy się łza.

– Ciii, ciiiicho, wszystko jest dobrze – mówi cicho Mila. Tyle tylko może zrobić, żeby ją uspokoić. Nie wolno jej sięgnąć po córkę i objąć z całych sił. – Już jestem, kochanie. Wszystko dobrze. – Felicja znów zanurza twarz w kłapie żakietu obcej kobiety.

Na polu żołnierze nadal krzyczą.

– Stańcie w rzędzie! – rozkazują. Ich głosy brzmią chłodno, obojętnie. Gdy Żydzi stają, trzęsąc się przy swoich grobach, Hauptsturmfuhrer rozkazuje Ukraińcom też uformować szereg.

– Chodź – mówi Mila, obejmując kobietę w talii. Szybko idą w kierunku prawie pustego wagonu, by przyłączyć się do innych, którym oszczędzono życie. W chwili gdy schodzą z pola widzenia żołnierzy, Mila bierze Felicję na ręce i mocno przytula, rozkoszując się jej ciepłem, zapachem jej włosów, dotykiem jej policzka na swoim. Grupa ocalonych chowa się w kącie, kulą się do siebie, odwróceniem tyłem do łąki. Z zewnątrz dochodzą ich odgłosy szlochania. Mila zakrywa Felicji dłonią ucho i przyciska jej główkę do piersi, próbując wyciszyć dźwięki.

Felicja mocno zaciska powieki, ale rozumie sytuację. Wie, co się za chwilę wydarzy. I na dźwięk pierwszego głuchego trzasku coś w jej umyśle trzyipółletniego dziecka mówi jej, że nigdy nie zapomni tego dnia, zapachu zimnej, bezlitosnej ziemi, tego, jak zadrzała pod nią, gdy człowiek z szeregu za nimi próbował ucieczki, jak z jego dziury w głowie wypływała krew, niczym z przewróconego słoika, nie zapomni bólu w piersiach, gdy biegła tak szybko, jak tylko potrafiła, do kobiety, której nigdy wcześniej nie widziała, i teraz tego dźwięku wystrzałów, jednego po drugim, raz po raz, setki razy.

Adi

Rio de Janeiro, Brazylia ~ marzec 1942

ODKĄD W SIERPNIU UBIEGŁEGO ROKU Adi znalazł się w Brazylii, przekonał się, że najlepszym sposobem, żeby nie rozwódzić się zbytnio nad tym, co niewiadome, i bronić przed myślami o całkiem odmiennym świecie, który za sobą zostawił, jest przebywanie w ciągłym ruchu. Jeśli będzie wystarczająco zajęty, uda mu się zobaczyć Rio takim, jakie jest.

Będzie się mógł napawać wapiennymi, porośniętymi drzewami wzgórzami, odgałęzieniem Serra do Mar, wystającymi wysoko zza pięknego wybrzeża; wszechobecnym, kuszącym zapachem smażonego, solonego dorsza; wąskimi, tętniącymi życiem brukowanymi uliczkami centrum, gdzie kolorowe fasady kolonialnych budynków z czasów portugalskich stoją obok nowoczesnych, komercyjnych wieżowców; drzewami jakaranda, które kwitną na fioletowo, gdy kalendarz wskazuje jesień, ale w Brazylii jest wtedy wiosna.

Adi i Eliśka spędzają prawie każdy weekend od przyjazdu, poznając ulice Ipanemy, Leme, Copacabany i Urki. Podążają za zapachami straganów, gdzie można kupić wszystko, od słodkiej kukurydzy *pamonhas* po przyprawione krewetki na szpadzie, smaczne *refeiçao* i grillowane *queijo coalho*. Gdy przechodzą obok klubu samby, Adi zapisuje adres w notesie, i wracają tam wieczorem, żeby z miejscowymi, którzy okazują się bardzo przyjaźni, napić się *caipirinha* z lodem i posłuchać muzyki, która jest świeża i żywa, i niepodobna do niczego, co przedtem słyszeli. Przez większość wieczorów płaci Eliśka.

Gdy Adi jest sam, zajmują go bardziej praktyczne sprawy, na przykład czy stać go na opłacenie w przyszłym miesiącu czynszu. Zdobycie pozwolenia na pracę zabrało mu niemal siedem miesięcy. W tym czasie z trudem sobie radził; zarabiał na życie, podejmując się przypadkowych prac na czarno, najpierw w intrologatorni, a potem w agencji reklamowej, gdzie zatrudniono go jako rysownika. Praca była słabo płatna, ale bez pozwolenia niewiele mógł zrobić, pozostawało mu tylko czekać. W swoim dwudziestopięciometrowym pokoju w Copacabanie spał na podłodze, na bawełnianym dywanie (dostał go w prezencie za zainstalowanie elektryczności w mieszkaniu nowego znajomego), aż w końcu udało mu się zaoszczędzić na kupno materaca. Zanim było go stać na opłacenie rachunków za wodę, kąpał się pod publicznymi prysznicami na plaży Copacabana. Odkrył skład drewna na północy za miastem, gdzie sprzedano mu odpady prawie za bezcen, dlatego mógł sobie zbudować ramę łóżka, stół, dwa krzesła i zestaw półek. Na pchlim targu w Sao Cristóvão przekonał jednego ze sprzedawców, żeby sprzedał mu zestaw naczyń i sztuczków za cenę, którą mógł zapłacić. W zeszłym miesiącu, choć Eliśka namawiała go, żeby pozwolił sobie na prawdziwą ucztę z mięsa z grilla, on kupił coś cenniejszego, coś, co zostanie na długo – odbiornik radiowy Super Six Crosley. Znalazł używany. Był zepsuty i ku zadowoleniu Adiego przeceniony.

Rozłożenie go na części i znalezienie usterki, zresztą bardzo prostej – tylko trochę grafitu zebrało się na oporniku – zajęło mu dwadzieścia minut. Prosta naprawa. Słucha radia z religijnym oddaniem. Słucha

wiadomości z Europy, a gdy stają się zbyt ponure, przekręca gałkę, aż znajdzie w końcu muzykę klasyczną, która działa na niego uspokajająco.

Tak jak na Ilha das Flores, tak samo w Rio Adi wstaje wcześniej i rozpoczyna dzień od ćwiczeń na dywanie obok łóżka.

Dziś nie minęła jeszcze siódma, a on już się poci. W Rio jest kośćcówka lata, upał jest intensywny, ale Adi go polubił. Leżąc na plecach i kręcąc nogami rowerek, słyszy zgrzyt metalowych krat podnoszonych w kawiarniach i kioskach z gazetami trzy piętra niżej, na Avenida Atlantica. Po wschodniej stronie, jedną przecnicę dalej, wschodzące nad Atlantykiem oślepiające słońce zaczyna prażyć biały piasek plaży Copacabana. Za parę godzin sierpowata zatoka wypełni się typowym sobotnim tłumem – opalonymi kobietami w obcisłych kostiumach, wylegającymi się pod czerwonymi parasolami, i mężczyznami w krótkich kąpielówkach, ciągle grającymi w piłkę nożną.

– *Eins, zwei, drei...* – liczy Adi, trzymając ręce za głowę, gdy zgina ciało na prawo i lewo, sięgając kolanem do łokcia.

Eliška zapytała go kiedyś, dlaczego zawsze liczy po niemiecku.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło w Europie... – powiedziała, przechylając się nad łóżkiem, żeby na niego spojrzeć ze zdziwieniem. To wtedy najbardziej zbliżyli się w rozmowie do tematu wojny. Adi nie umiał tego wytłumaczyć inaczej niż tak, że gdy wyobrażał sobie sierżanta podczas musztry, który ponagla go do ćwiczeń, to zawsze był nim Niemiec o szerokim podbródku.

Skończywszy brzuszki, Adi wstaje i obejmuje palcami drewniany drążek, który zawiesił w drzwiach, odlicza dziesięć podciągnięć, a potem zawisa bezwładnie, pozwala ciału dyndać, rozluźnia się, Adi lubi to uczucie, jakby kręgosłup wydłużał mu się w kierunku podłogi. Zadowolony, szybko bierze prysznic, potem wkłada płócienne szorty, białą bawełnianą koszulkę w serek, płócienne tenisówki i słomkowy kapelusz. Zaczepia nowo zakupione okulary przeciwsłoneczne w metalowych oprawkach o dekolt koszulki, a potem sięga po leżącą na łóżku kopertę. Wkłada ją do tylnej kieszeni, wychodzi z mieszkania i zamyka za sobą drzwi.

– *Bom dia!* – rzuca śpiewnym głosem pod markizę swojego ulubionego baru z sokami na wolnym powietrzu na Rua Santa Clara, a koszula już przykleja mu się do spoconych pleców. Twarz Raoula za ladą rozpromienia się uśmiechem. Adi poznał go pewnego dnia na plaży podczas gry w piłkę.

– Nie jesteś stąd, prawda? – Raoul zachichotał na widok jego białej klatki piersiowej. Potem, gdy odkrył, że Adi nigdy nie próbował gujawy, długo go namawiał, by następnego dnia przyszedł do jego baru. Od tamtej chwili Adi stara się wpadać tam tak często, jak tylko jest to możliwe. Nie może nadziwić się dostępności tak wielu różnorodnych smaków.

Mango. Papaja. Arbuz. Marakuja. Rio tak bardzo się różni smakiem od Paryża.

– *Bom dia! Tudo bem?*

– *Tudo bem* – odpowiada Adi. Nauczył się mówić płynnie po portugalsku. – *Voce?*

– Nie narzekam, przyjacielu. Słońce świeci, jest gorąco jak w piekle, co oznacza, że interes będzie się kręcił. Zobaczmy – mówi Raoul do siebie, rozglądając się po produktach ułożonych na ladzie przed nim. –

O! Mam dziś dla ciebie coś specjalnego, dopiero przyszło – aęai. Dla ciebie doskonale, brazylijska specjalność. Niech cię nie przestraszy kolor.

Raoul przygotowuje sok, w tym czasie wymieniają uprzejmości.

– A więc dokąd się dziś wybierasz? – pyta Raoul.

– Dzisiaj świętuję – oświadcza Adi triumfalnie.

Raoul wyciska sok z pomarańczy i miesza go z ciemnofioletowym miąższem açaí w szklance Adiego.

– Si? A z jakiej okazji?

– Wiesz, że w końcu przyszło moje pozwolenie na pracę? Dostałem pracę. Prawdziwą pracę.

Raoul wysoko unosi brwi. Podnosi szklankę w dłoni: – *Felicitações*.

– Dzięki. Za tydzień zaczynam w Minas Gerais. Chcą, żebym tam pomieszkał parę miesięcy, dlatego teraz, w ten weekend, przyjacielu, żegnam się na jakiś czas z tobą i z Rio.

Adi kilka miesięcy temu usłyszał o pracy w brazylijskim interiorze. Projekt nazywał się Rio Doce i obejmował budowę szpitala dla małej wioski. Natychmiast złożył podanie o stanowisko głównego inżyniera elektryka, ale gdy spotkał się z menedżerami projektu, mieli związane ręce.

– Popracuj nad portugalskim i wróć, gdy dostaniesz pozwolenie na pracę – powiedzieli.

W zeszłym tygodniu, kiedy dostał pozwolenie, Adi skontaktował się z nimi. Zatrudnili go od razu.

– Będziemy za tobą tęsknić w Copacabanie – mówi Raoul, a potem sięga do tyłu po banana i rzuca go w kierunku Adiego.

– Ode mnie – mruga okiem.

Adi łapie banana i kładzie na ladzie monetę. Próbuje łyk napoju.

– Aach! – mówi, zlizując purpurowy sok z górnej wargi. – Cudowne. – Za nim zaczęła się ustawiać kolejka. – Jesteś popularny – dodaje i odwraca się, by odejść. – Do zobaczenia za kilka miesięcy, *amigo*.

– *Ciao, amigo!* – woła za nim Raoul, gdy Adi odchodzi od lady.

Wsuwa banana do tylnej kieszeni, obok koperty, zerka na zegarek i podąża w dół Rua Santa Clara. Ma ten dzień dla siebie aż do trzeciej, kiedy umówił się z Elišką, żeby popływać na plaży Ipanema. Stamtąd pójdą na kolację do znajomego imigranta, którego poznali kilka tygodni temu w barze samby. Ale najpierw musi wysłać list.

W urzędzie pocztowym w Copacabanie jest już znaną twarzą. Przychodzi co poniedziałek z kopertą zaadresowaną do rodziców na Warszawską i żeby zapytać, czy coś do niego przyszło. Dotąd odpowiedź zawsze brzmiała tak samo i było to współczujące „nie”. Dwa i pół roku minęło, odkąd miał wieści z Radomia. Choć bardzo się starał nie zamartwiać, to wycieczki na pocztę zawsze mu o tym przypominają. Wraz z upływem tygodni i miesięcy coraz trudniej znosi zastanawianie się nad tym, co też stało się z jego rodziną. Czasami traci przez to apetyt, a jego trzewia wypełniają się tępym bólem, który trwa całą noc. W inne dni ściska go w piersiach, niczym stalowy drut, i jest wtedy pewien, że w każdej chwili jego ciało może nie wytrzymać i serce rozerwie się mu na kawałki. Nagłówki w „Rio Times” jeszcze potęgują jego obawy: trzydzieści cztery tysiące Żydów zamordowanych pod Kijowem, pięć tysięcy na Białorusi, kolejne tysiące na Litwie.

To są masowe mordy, o wiele liczniejsze niż jakiś pojedynczy pogrom, a liczby są zbyt potworne, by móc je naprawdę pojąć. Gdy Adi za długo o nich myśli, wyobraża sobie, że jego rodzice, bracia i siostry są częścią tych statystyk.

Brazylia też szykuje się do wojny. Vargas, który tak jak Stalin przeszedł na stronę aliantów, walczy z niemieckimi łodziami podwodnymi przy południowym wybrzeżu Atlantyku, wysyła do Stanów Zjednoczonych zapasy żelaza i kauczuku, a w styczniu wydał pozwolenie na budowę amerykańskich baz

lotniczych na północnym wybrzeżu Brazylii.

Zaangażowanie kraju w wojnę było realne, ale Adi często dziwi się, że zupełnie nie widzi tego w Rio. Tak jak w Paryżu na kilka dni przed wojną, tak i tutaj toczy się normalne życie. Restauracje są pełne, plaże zatłoczone, a kluby pulsują rytmem samby. Adi chciałby czasem zatracić świadomość, zanurzyć się – jak potrafią to tutejsi mieszkańcy – w tym, co go otacza, i zupełnie zapomnieć o wojnie, o niewyobrażalnym świecie śmierci i zniszczenia, który się rozpada dziewięć tysięcy kilometrów stąd. Ale jak tylko taka myśl pojawia się w jego głowie, Adi się strofuje i zalewa go fala wstydu. Jak śmie o tym nie myśleć? W dniu, w którym zobojętnieje, w którym się podda, skaże się na życie bez rodziny. To będzie oznaczać, że uznał ich za zmarłych. I dlatego wciąż szuka sobie zajęć. Głowę zaprzęta mu praca i Eliśka, jednak wciąż pamięta.

Wyciąga list z tylnej kieszeni, przejeżdża palcami po swoim starym radomskim adresie, myśląc o matce. Zamiast wyobrazić sobie najgorsze, zaczął odtwarzać w myślach swój utracony świat. Myśli o tym, jak w niedzielę, kiedy kucharka miała wolne, Nechama gotowała obiad dla całej rodziny, z wielkim wyczuciem rozgniatała ziarnka kminku między palcami nad posiekaną czerwoną kapustą z jabłkami. Myśli o tym, jak, gdy był mały, podnosiła go do góry za każdym razem, gdy wychodzili z lub wchodzili do mieszkania, żeby mógł przejechać palcami wzdłuż mezuzy, która wisiała w łukowatej bramie ich kamienicy. Jak pochylała się nad jego łóżkiem i całowała rano w czoło, w ten sposób go budząc; pachniała zawsze delikatnie liliami od kremu odżywczego, który nałożyła sobie na policzki poprzedniego wieczoru. Adi zastanawia się, czy nadal dokuczają jej kolana, gdy jest zimno, czy jest już wystarczająco ciepło, żeby mogła posadzić krokusy i umieścić je w żelaznym kwietniku na balkonie. Jeśli wciąż ma balkon. Gdzie jesteś, mamó? Gdzie jesteś? Adi zdaje sobie sprawę, że jest prawdopodobne, iż w chaosie wojny jego listy nie dochodzą do matki. Albo jej listy nie docierają do niego. Żałuje, że nie ma nikogo znajomego w jednym z europejskich krajów, które zachowały neutralność, żeby móc przez niego przekazywać korespondencję. Jest też oczywiście taka możliwość, że jego listy przychodzą na stary adres, ale rodzina już tam nie mieszka. Wyobrażanie sobie rodziców zamkniętych w getcie, albo gorzej, jest nie do zniesienia. Zaczął pisać listy do swojego lekarza, do dawnej nauczycielki gry na pianinie, do zarządcy kamienicy rodziców, prosząc ich o jakieś informacje o rodzinie i o przekazanie jego listów dalej, jeśli przypadkiem wiedzą, gdzie przebywają jego rodzice i rodzeństwo. Jeszcze nikt nie odpisał, ale on nie przestanie wysyłać listów. Przelewanie słów na papier, nawiązywanie pewnej formy dialogu, widok słowa „Radom” naskrobanego na wierzchu koperty – to wszystko pozwala mu przeżyć.

Adi popycha drzwi urzędu pocztowego w Copacabanie, wdychając znajomy zapach papieru i atramentu.

– *Bom dia, Senhor/Curc* – woła do niego znajoma, Gabriela, ze swojego stałego miejsca za ladą.

– Dzień dobry, Gabi – odpowiada Adi. Wręcza jej list, już ostemplowany. Gabriela bierze go i kręci głową. Adi nie musi już pytać.

– Nic dzisiaj nie ma – mówi.

Adi ze zrozumieniem kiwa głową.

– Gabi, w przyszłym tygodniu na kilka miesięcy przenoszę się do interioru, do pracy. Czy możesz przetrzymać moją pocztę, jeśli przyjdzie coś podczas mojej nieobecności?

– Oczywiście. – Gabriela uśmiecha się uprzejmie, w sposób, który każe mu uwierzyć, że nie tylko on czeka na wieści z zagranicy.

Kiedy Adi wychodzi z poczty, robi mu się ciężko na sercu, bo uświadamia sobie, że martwi go nie tylko los jego rodziny, ale jeszcze inna sprawa. W ciągu ostatniego tygodnia Eliśka dwa razy poruszyła temat ślubu. Zapytała go, co chcieliby podać do jedzenia, a potem zasugerowała, żeby porozmawiali o miesiącu miodowym. Za każdym razem zmieniał temat, uświadamiając sobie, że nie może myśleć o ślubie, skoro wciąż nic nie wie o swojej rodzinie.

Adi wraca myślami do chwil spędzonych na plaży w Dakarze, gdy on i Eliśka uchwycili się siebie wzajemnie, tak samo mocno jak myśli o wolności; ich miłość płynęła wraz z prądem niebezpieczeństw i niepewności... Czy uda im się dotrzeć do Rio? Czy zostaną odesłani z powrotem do Europy? Cokolwiek by się działo, będą mieli siebie!

Teraz po długim czasie wreszcie są bezpieczni. Nie trzeba już przekupywać rybaków, lamentować nad przedawnionymi wizami, nie muszą iść godzinę na opuszczoną plażę, żeby kochać się w odosobnieniu. Ale teraz, po raz pierwszy, odkąd są razem, kłócą się. Kłócą się o to, kogo zaprosić na kolację – Eliśka mówi, że jej znajomi są zabawniejsi, a jego przeintelektualizowani.

„Nikt nie ma ochoty siedzieć i wciąż rozmawiać o Nietzschem” – zaciętrzewiła się kiedyś.

Ścierają się o drobiazgi, na przykład o to, jaka jest najkrótsza droga na targ, albo o to, czy espadryle z wystawy sklepu warte są tak dużych pieniędzy. („Nie sądzę” – powie Adi, wiedząc, że Eliśka na pewno pojawi się w nich na następnej randce). Sprzecniają się o to, na którą stację nastawić radio.

„Daj sobie spokój z wiadomościami, Adi – powiedziała kiedyś zirytowana Eliśka. – Są zbyt przygnębiające. Nie możemy posłuchać muzyki?”.

Adi wzdycha. Czego by nie dał za godzinę rozmowy z matką, żeby się jej poradzić w sprawie kobiety, z którą zamierzał się ożenić. *Porozmawiaj z nią*, powiedziałaaby Nechama. *Jeśli ją kochasz, musisz być z nią szczerzy. Żadnych tajemnic*. Ale oni rozmawiali, byli ze sobą szczerzy. Rozmawiali o tym, że na południowoamerykańskiej ziemi inaczej się im układa. Raz rozważali nawet, czy nie zerwać zaręczyn. Ale żadne z nich nie chce się jeszcze poddać. Adi jest dla Eliśki kotwicą, a ona dla niego nicią łączącą go ze światem, jaki za sobą zostawił. W jej oczach widzi Europę. Przypominają mu o jego dawnym życiu.

Idąc odruchowo w kierunku Teatro Municipal, Adi przypomina sobie słowa Eliśki z ubiegłego tygodnia, gdy po raz kolejny wyznał jej, jak bardzo się niepokoi brakiem kontaktu z rodziną.

– Za bardzo się martwisz – powiedziała. – Nie znoszę tego, Adi. Nie znoszę smutku w twoich oczach. Tutaj jesteśmy wolni jak ptaki. Odprężmy się, zabawmy się trochę.

Wolni jak ptaki. Ale on nie może się czuć wolny, gdy brakuje mu tak ważnej części jego samego.

ROZDZIAŁ 32

Mila i Felicja

Radom, Polska pod okupacją niemiecką ~ kwiecień 1942

PO MASAKRZE, JAK WSZYSCY ZACZĘLI tak nazywać to, co się stało w dniu, w którym Milę, Felicję i cztery inne osoby przywieziono z powrotem do getta, SS spuściło ze smyczy bestię. Może właśnie zrozumieli, do czego są zdolni, albo wcześniej coś ich powstrzymywało. Teraz nic już nie stoi im na drodze. Przemoc w getcie przy Wałowej nasila się z każdym dniem. Odkąd Mila wróciła, były jeszcze cztery łapanki. W jednym przypadku Żydów popędzono na stację i załadowano do wagonów bydłowych. W innym po prostu postawiono przy murze getta i zastrzelono. Nie ma już list ani fałszywych obietnic życia na wolności w Palestynie czy w Stanach. Zamiast tego są naloty, przeszukiwania fabryk, ustawianie Żydów w szeregach i przeliczanie. Niemcy ciągle liczą. I codziennie ginie jakiś Żyd, ukrywający się lub nieposiadający zaświadczenia o zatrudnieniu. Niektórych zabijają przypadkowe strzały. W zeszłym tygodniu, gdy Mila wracała z przyjaciółką z pracy w fabryce, dwójka esesmanów przechadzała się po ulicy. Od niechcenia odbezpieczyli pistolety, przyklękli i zaczęli strzelać, jakby ćwiczili trafianie do celu. Mila cichutko skręciła w boczną uliczkę, dziękując w duchu, że nie ma z nią Felicji, ale wpadła w popłoch i weszła im prosto pod nogi. Mila opadła na kolana i modliła się, gdy odgłos kolejnych wystrzałów odbijał się od ceglanych murów dwupiętrowych domów stojących wzdłuż ulicy. Gdy tupanie niemieckich oficerów w końcu ucichło, odważyła się wyjść i kilka metrów dalej znalazła Antoninę. Leżała bez ruchu, twarzą do bruku, z dziurą od kuli między łopatkami. To mogłam być ja, pomyślała przerażona. Zdała sobie bowiem sprawę, że porządek, który jakoś funkcjonował, gdy zakładano getto, już dawno przestał istnieć. Niemcy zabijali teraz dla sportu. Każdy dzień, wie o tym, może być jej ostatnim.

– Pamiętaj, masz chodzić tylko w skarpetkach i bawić się bardzo cichutko – instruuje Mila. Patrzy na zegarek. Nie może się spóźnić. Przestraszyła się, co może się stać, gdy ktoś znajdzie w fabryce Felicję, dlatego na czas, gdy idzie do pracy, zaczęła ją zostawiać w domu samą.

– Proszę, mamusiu, mogę iść z tobą? – błaga Felicja. Wcale nie chce zostawać sama w domu.

Ale Mila jest nieugięta.

– Przykro mi, kochanie. Tutaj będzie ci lepiej – tłumaczy. – Powiedziałam ci, jesteś już dużą dziewczynką i prawie się nie mieścisz pod moim stołem w warsztacie.

– Mogę się zmniejszyć! – prosi Felicja.

Oczy Mili zachodzą łzami. Codziennie ta sama walka. Okropnie jest słyszeć rozpacz w głosie córki, sprawiać jej zawód.

Ale nie może ustąpić. To naprawdę zbyt niebezpieczne.

– To nie jest bezpieczne – tłumaczy Mila. – I nie potrwa to długo. Wymyśliłam nowy sposób, jak nas stąd wydostać.

Obie. Musimy być cierpliwe. Przygotowania zajmą trochę czasu.

– Spotkamy się z tatą? – pyta Felicja. Mila mruga powiekami. To już trzeci raz w tym tygodniu, kiedy córka pyta o Selima. Mila nie może jej winić. W chwilach największego przygnębienia godzinami opowiadała Felicji o Selimie, był to jej sposób na oszukiwanie się, że jeśli będzie o nim mówić, on wróci, odpowie na jej pytania, da jakieś rady, jak przetrwać, jak zapewnić bezpieczeństwo Felicji. Opowiadała Felicji niezliczone historie o jej przystojnym ojcu lekarzu, jak poprawia sobie okulary na nosie, jak zmarszczył kąciki ust, kiedy Mila kilka miesięcy po ślubie powiedziała mu, że jest w ciąży, jakby siła ich miłości potrzebowała fizycznego odzwierciedlenia. I później, gdy urodziła się Felicja, jak ją rozśmieszał, licząc jej paluszki u nóg i dmuchając w brzuszek, jak bez końca bawił się z nią w a kuku. Felicja zna te opowieści na pamięć, podobnie jak szczegóły rysów jego twarzy, jakby to były jej własne wspomnienia.

Mila wiązała z powrotem Selima tak wiele nadziei, że nie dziwi ją, iż Felicja zakłada, że jakiegokolwiek plan zapewnienia im bezpieczeństwa musi uwzględniać jego osobę. Ale szanse, że jej mąż żyje, są w jej odczuciu coraz mniejsze. Mila wie, że im dłużej czepia się tej myśli, tym bardziej staje się ona niebezpieczna. To już dwa lata ciągłego zamartwiania się. Ciągłej obawy przed najgorszym. Mila ma już dosyć. Dłużej nie da już rady. Musi pozwolić mu odejść i przejąć odpowiedzialność za siebie i Felicję. Oplakiwanie go, uświadamia sobie, będzie mniejszą udręką niż ciągłe zamartwianie się o niego.

Postanawia, że do czasu, gdy znajdą się w bezpiecznym miejscu, musi uważać go za zmarłego. To jedyny sposób, żeby zachować zdrowy rozsądek.

Tylko jak ma to powiedzieć Felicji? Jak wytłumaczyć swojej córce, która nie ma jeszcze czterech lat, że być może nigdy nie pozna swojego ojca?

„Musisz ją przygotować – powtarza wciąż Nechama. – Nie możesz podsycać jej nadziei. Znienawidzi cię za to”.

Matka ma rację. Ale Mila nie jest jeszcze gotowa na tę rozmowę, na złamanie Felicji serca. Zamiast tego spróbuje nowej taktyki. Powie część prawdy. Sięga po rączki Felicji i ściska je.

– Bardzo, bardzo chcę wierzyć, że twój tata wróci do nas. Ale... ale nie wiem, gdzie on jest, kochanie.

Felicja kręci głową.

– Czy coś mu się stało?

– Nie. Nie wiem. Wiem tylko, że jeśli wszystko jest z nim dobrze, to gdziekolwiek jest, myśli o tobie. O nas. – Mila zmusza się do uśmiechu. Mówi łagodnym tonem. – Spróbujemy go znaleźć, obiecuję. Będzie nam dużo łatwiej pytać o niego, gdy znajdziemy się poza gettem. Ale do tej chwili musimy myśleć o tym, co jest najlepsze dla nas. Dla ciebie i dla mnie. Dobrze?

Felicja patrzy w podłogę.

Mila wzdycha. Kuca przed Felicją, obejmuje delikatnie palcami jej ramiona i czeka, aż dziewczynka podniesie wzrok.

Kiedy to robi, w oczach ma łzy.

– Wiem, że to okropne być cały dzień samemu w domu – mówi cicho Mila. – Ale wiedz, że tak jest najlepiej. Tu jesteś bezpieczna. Na zewnątrz... – Mila patrzy na drzwi i kręci głową. – Rozumiesz?

Felicja przytakuje.

Mila znów patrzy na zegarek. Jest późno. Będzie musiała podbiec do warsztatu. Przypomina Felicji, że w szufladzie jest chleb, że ma chodzić w skarpetkach i o tym, że w szafie jest takie tajemne miejsce, w którym, gdyby ktoś zapukał, gdy Mila będzie w pracy, ma się schować i nie ruszać, jak posązek.

– Do widzenia, kochanie – mówi Mila i całuje Felicję w policzek.

– Do widzenia – szepcze Felicja.

Mila zamyka za sobą drzwi do mieszkania i na chwilę zamyka oczy, modląc się, tak jak każdego ranka, żeby Niemcy nie zrobili nalotu na jej dom, gdy jej nie będzie, żeby za dziewięć godzin, gdy wróci, jej córka była tam, gdzie ją przed chwilą zostawiła.

Felicja marszczy brwi. W jej głowie kłębią się myśli. Jest pewna, że ojciec gdzieś jest. Wróci do nich. Może mama w to nie wierzy, ale ona tak. Po raz tysięczny zastanawia się, jak to będzie, gdy go spotka, wyobraża sobie, jak bierze ją na ręce, jak dzięki niemu przestaje być głodna, i przepelnia ją szczęście. Mama wspomniała o sposobie wydostania się z getta. Może ten nowy pomysł doprowadzi ich do taty. Felicja smutnieje, gdy przypomina sobie poprzednie dwa plany. Materac. Lista.

Oba przerażające. Za każdym razem wracała z powrotem do punktu wyjścia i było coraz gorzej. Mama często mówi, że trzeba czekać. Trzeba być cierpliwym. Felicja nienawidzi tego słowa.

Kilka tygodni zajmuje Mili zgromadzenie rzeczy potrzebnych do realizacji nowego planu: rękawiczki, stary koc, nożyczki, dwie igły, czarne nici, dwa guziki, garść skrawków materiałów i gazeta. To, co zabiera z fabryki, dyskretnie chowa w biustonoszu albo pod paskiem, doskonale wiedząc, że ostatni pracownik, którego przeszukano i znaleziono w kieszeni jego płaszczka szpulkę nici, został zabity na miejscu.

Codziennie wieczorem przyciska nos do okna mieszkania na drugim piętrze, przejeżdża wzrokiem po ceglanych domach stojących wzdłuż granicy getta i bada trzy bramy przy głównym wejściu: na rogu Wałowej i Lubelskiej – szeroki łuk dla samochodów, a po bokach dwa węższe przejścia dla pieszych. Codziennie wieczorem jest tak samo: żony Niemców przyjeżdżają dokładnie przed szóstą po południu, ubrane w eleganckie płaszcze i filcowe kapelusze. Wchodzą przez wjazd dla samochodów i gromadzą się przy brukowanym wejściu, czekając na mężów, strażników z getta, aż skończy im się służba. Niektóre tulą w ramionach niemowlęta, inne trzymają za ręce małe dzieci. Gdy kobiety rozmawiają ze sobą, około trzystu Żydów wracających z dziennych obozów pracy zaganianych jest z powrotem do getta przez dwa mniejsze przejścia dla pieszych. Punktualnie o szóstej strażnicy razem z żonami i dziećmi znikają spod wjazdu dla samochodów i wszystkie trzy bramy zostają dokładnie zamknięte aż do rana.

Mila sprawdza czas. Za dziesięć szósta. Mały chłopiec stojący obok matki w wejściu do getta rusza biegiem i obejmuje rączkami nogę jednego ze strażników. Ciekawe, kto z tych ludzi mieszka teraz w domu jej rodziców? Czyja żona kąpie się w porcelanowej wannie jej mamy? Które z dzieci ćwiczy teraz gamy na ich ukochanym steinwayu? Na myśl o tym, że jakaś nazistowska rodzina cieszy się wygodami mieszkania przy Warszawskiej 14, robi się jej niedobrze.

Patrzy, jak zamykają się bramy getta. Punkt szósta.

Tym razem, postanawia Mila, jej plan się powiedzie. Musi. Ona i Felicja wydostaną się stąd. I zrobią to w świetle dnia, na oczach wszystkich tych przeklętych strażników.

Jest już po godzinie policyjnej, w getcie panuje cisza. Mila z matką stoją przy małym kuchennym stole, przed nimi leżą równo poukładane materiały i narzędzia. Światło daje jedna zapalona świeczka.

– Szkoda, że zostawiłam swoje wykroje w sklepie – mówi cicho Nechama, wykrajając z gazety górę płaszczka. – Będiesz musiała się ciepło ubrać – dodaje. – Nie mamy nic na podszewkę.

Mila przytakuje i klęka, by przypiąć szpilką prowizoryczny wykrój matki do rozłożonego na podłodze koca. Przypina ostrożnie wzdłuż krańców papieru. Przekazują sobie z Nechamą nawzajem nożyczki

i powtarzają te same czynności z rękawami, połami, kołnierzem i kieszeniami płaszcza. A potem, siedząc po przeciwnych stronach stołu, zaczynają szyć.

Przy pracy szybko mijają godziny. Co jakiś czas spoglądają na siebie szklistymi oczami i uśmiechają się. Dawno razem nie szyły, sprawia im to przyjemność, odrobinę przypomina popołudnia, na długo przed urodzinami Felicji, gdy siadały razem, żeby podszyć brzeg albo zreperować rozpruty szew. Często wtedy właśnie, siedząc obok siebie, prowadziły najważniejsze rozmowy.

Około trzeciej nad ranem Nechama idzie na palcach do kuchni i wyciąga szufladę, w której jest skrytka. Wraca z czterema pięćdziesięciozłotowymi banknotami.

– Masz – mówi. – Przydadzą ci się.

Mila bierze dwa banknoty, pozostałe przesuwają z powrotem po stole.

– To zatrzymaj – mówi. – Dam sobie radę. Niedługo będę z Haliną.

Halina wyjechała z Radomia trzy tygodnie wcześniej, gdy Adama przydzielono do pracy na kolei w Warszawie, gdzie naprawiał tory zniszczone przez Luftwaffe przed kapitulacją miasta. Franka, jej brat i rodzice wyjechali razem z nią. Halina przysłała list, jak tylko się urządziła, nakłaniając Milę do przyjazdu do Warszawy: „Znaleźliśmy mieszkanie w sercu miasta”

– napisała. Oznaczało to, Mila wiedziała, że mieszkają poza murami getta, jako Aryjczycy. „Staram się załatwić rodzicom pracę w fabryce broni w Pionkach. Jeśli chodzi o ciebie, to w Warszawie jest pełno możliwości pracy. Franka pracuje niedaleko stąd. Mamy tu wszystko, co potrzeba. Proszę, zrób wszystko, żeby przyjechać!”

Nechama przesuwają banknoty z powrotem przez stół.

– My tu mamy pracę i kartki na jedzenie. Ty przez jakiś czas będziesz mogła liczyć tylko na siebie – mówi, wskazując głową w kierunku okna. – Przydadzą ci się bardziej niż nam.

– Mamo, ale to ostatnie...

– Nieprawda. – Nechama lekko stuka się palcem wskazującym w mostek.

Mila niemal zapomniała. Złoto. Dwie monety zawinięte w bawełnę w kolorze kości słoniowej – mama zrobiła z nich guziki.

– Jest jeszcze ametyst – dodaje Nechama. – Jeśli będzie trzeba, wykorzystamy go.

Resztki srebra kupiły życie Adamowi. Wszystko inne sprzedali albo wymienili na dodatkowe porcje jedzenia, koce i lekarstwa. Na szczęście nie byli jeszcze zmuszeni rozstać się z fioletowym kamieniem Nechamy.

– Dobrze. – Mila wkłada po dwa banknoty po każdej ze stron kołnierza płaszcza, a potem je zaszywa.

Gdy zaczęła obmyślać nowy plan, prosiła rodziców, żeby uciekli do Warszawy razem z nią, ale oni upierali się, że to zbyt niebezpieczne.

„Znajdź siostrę i Frankę, i bezpieczne miejsce dla Felicji – mówili. – My będziemy tylko ciężarem”.

Mila przyznawała to z wielkim bólem, ale mieli rację. Bez nich jej szanse na ucieczkę były większe. Rodzice poruszali się powoli i ciągle mieli lekki akcent jidysz, który został im z dzieciństwa. Trudniej byłoby im udawać Aryjczyków. Halina wspominała w liście fabrykę w Pionkach i plan, żeby ich tam przenieść. Na razie wciąż mieli pracę, a wiadomo, że w getcie to było najważniejsze.

Gdy pokój zaczyna wypełniać słabe, srebrne światło, Nechama odkłada igłę. Mila zsuwa resztki tkanin ze stołu na dłoń i chowa je pod zlewem. Praca zakończona. Mila owija sobie szyję szalikiem pozszywanym ze

skrawków mundurów SS, a następnie wkłada ręce w rękawy swojego nowego płaszcza. Nechama stoi, przejeżdża palcami po szwach, sprawdza, czy nie zostały jakieś nitki w dziurkach na guziki, patrzy na dolną krawędź płaszcza zwisającą centymetr nad podłogą.

Wygląda klapy i pociąga za rękaw, by dobrze się ułożył. Wreszcie robi krok do tyłu i kiwa głową.

– Tak – szepcze. – Jest dobry. Spełni swoją funkcję. – Wyciera łzę z kącika oka.

– Dziękuję – mówi Mila, obejmuje matkę i mocno ją przytula.

Następnego dnia Mila spieszy się z powrotem z pracy, jest w domu o wpół do szóstej. Gdy Nechama wraca z kawiarni.

Mila zajęta jest ubieraniem Felicji w przedpokoju.

– Gdzie tata? – pyta Mila, wkładając Felicji przez głowę trzecią koszulkę. Martwi się, gdy rodzice spóźniają się z powrotem do domu więcej niż kilka minut.

– Dziś miał dyżur przy zmywaniu naczyń – mówi Nechama. – Musiał zostać chwilę dłużej, żeby posprzątać. Zaraz będzie.

– Po co mi tyle ubrań, mamusiu? – pyta Felicja, podnosząc na nią zaciekawiony wzrok.

– Dlatego – szepcze Mila, kucając, by mieć twarz na wysokości Felicji. Zakłada kilka cienkich kosmyków włosów w kolorze cynamonu za ucho córki. – Że dzisiaj stąd wychodzimy, *cherie*. – Specjalnie nie wyjawiała wcześniej Felicji szczegółów swojego planu. Sama wystarczająco się denerwowała, nie chciała, żeby Felicja też była spięta.

Na twarzyczce Felicji pojawia się ekscytacja.

– Wychodzimy z getta?

– Tak – uśmiecha się Mila. A potem zaciska usta. – Ale jest bardzo ważne, żebyś robiła dokładnie to, co ci powiem – dodaje, choć przecież wie, że Felicja posłucha jej poleceń. Zapina drugą parę spodni w wąskiej talii swojej córki, pomaga jej włożyć płaszczyk i wkłada na ręce parę skarpetek, które mają pełnić funkcję rękawiczek. W końcu wkłada jej na głowę wełnianą czapkę i chowa pod nią włosy Felicji.

Nechama podaje Mili chusteczkę, w której zawinęła swoją dzienną rację chleba. Mila wkłada ją sobie za koszulę.

– Dziękuję – szepcze.

W kuchni, z szuflady z dodatkowym dnem wyciąga fałszywy dowód, który zrobił dla niej Adam, i wkłada go do torebki.

Wraca do przedpokoju, wkłada nowy płaszcz, szalik, kapelusz, rękawiczki. Na koniec, zamiast jak zwykle założyć na rękaw opaskę, bierze ją między zęby, chwytając palcami i rozrywa wzdłuż szwu. Felicja wydaje cichy okrzyk.

– Nie martw się – mówi Mila. Felicja jest za mała, żeby nosić opaskę, ale wie, co się dzieje z Żydami w getcie, jeśli zostaną przyłapani bez nich. Mila przykładła biały pasek płótna do rękawa, tak by widać było niebieską gwiazdę Dawida, i unosi łokieć. Nechama z powrotem zszywa końce opaski dwoma małymi szwami i obcina nitkę, nie zawiązując pętelki.

Mila poprawia opaskę i wtedy słyszy na schodach ojca.

– Oto i ona! – promienieje Sol i wchodząc przez drzwi, rozkłada ramiona. Schyla się, żeby podnieść Felicję do góry, obraca ją w powietrzu i całuje w policzek. – Ojej – mówi – w tych wszystkich ubraniach jesteś ciężka jak słoń!

Felicja chichocze. Uwielbia swojego dziadka, uwielbia, kiedy przytula ją tak mocno, że brak jej tchu, kiedy śpiewa jej kołysankę o mrugającym kotku, tę samą, którą – jak jej kiedyś powiedział – gdy był mały, śpiewała mu jego mama; uwielbia, kiedy obraca ją w powietrzu, aż zaczyna się jej kręcić w głowie, i wyrzuca ją do góry, a potem łapie, tak że czuje, jakby latała.

– Tego chyba nie potrzebujesz? – pyta Sol, stawiając Felicję na podłodze. Wzrok nagle mu spowaźniał, wskazuje palcem na ramię Mili.

– Tylko do dojścia do bramy – mówi Mila, przełykając ślinę.

– Słusznie. Oczywiście – przytakuje Sol.

Mila patrzy na zegarek. Jest za piętnaście szósta.

– Musimy iść. Felicja, uściskaj babcię i dziadka.

Felicja patrzy w górę, jest rozczarowana. Nie wiedziała, że dziadkowie zostają. Nechama przyklęka i przyciąga Felicję do piersi.

– Do widzenia – mamrocze dziewczynka i całuje babcię w policzek.

Nechama na dłuższą chwilę zamyka oczy. Gdy wstaje, pochyla się Sol, a Felicja obejmuje go za szyję.

– Do widzenia, dziadku – mówi z noskiem wtulonym między kości jego obojczyka.

– Do widzenia, serce – szepcze Sol. – Kocham cię.

Mila musi się powstrzymać, by nie wybuchnąć szloch. Obejmuje ojca, potem matkę, trzyma ich mocno, z nadzieją, modląc się o to, żeby to nie było ich ostatnie spotkanie.

– Kocham cię, Miriam – szepcze matka, używając jej hebrajskiego imienia. – Niech Bóg będzie z tobą.

Potem Mila i Felicja wychodzą.

Mila przeczesuje wzrokiem ulicę, upewniając się, czy nie ma na niej esesmanów. Potem bierze Felicję za rękę i razem wyruszają w stronę bram getta. Idą szybko, ostry wiatr uderza je po policzkach. Jest prawie ciemno, idąc, wydychają przezroczytoszane powietrze, które rozpływa się w noc.

Gdy są już kilkadziesiąt metrów od bram i widzą strażników, Mila odpina poły płaszcza.

– Chodź – mówi cicho, wskazując na swój but. – Stań mi na stopie i chwyć się mojej nogi. – Mila czuje, jak małe ciało Felicji przyciska się do niej, obejmuje rączkami jej nogę. – Teraz mocno się trzymaj.

Felicja zerka w górę i przytakuje, otwierając szeroko oczy, gdy Mila zapina wokół niej poły płaszcza. Idą, teraz już wolniej, w kierunku bram. Mila stara się, jak może, żeby nie utykać, pomimo dodatkowych jedenastu kilogramów, jakie niesie na nodze.

Przy obu bramach getta przeznaczonych dla pieszych stoi piętnastu, może dwudziestu strażników. Każdy z nich ma przewieszony przez ramię karabin. Kilku głośno odlicza, gdy sznur Żydów, ślaniających się z wycieńczenia po dniu pracy poza gettem, przechodzi przez bramy.

– Szybciej! – wrzeszczy jeden ze strażników, machając w górze pałką jak lassem.

Mila wyciąga szyję, wpatruje się w przechodzących Żydów o zmęczonych oczach, jakby kogoś szukała, może męża albo ojca. Wydaje się, że nikt nie zauważa, jak miesza się w tłum i powoli przesuwa w stronę bram. Wkrótce dzieli ją już tylko kilka metrów od środkowej bramy dla samochodów, gdzie, jak się spodziewała, zaczyna się gromadzić kilkanaście niemieckich żon, opatulonych w płaszcze, z dziećmi o zaróżowionych policzkach.

Od ciężaru Felicji boli ją noga. Zatrzymuje się, by spojrzeć na zegarek. Za sześć szósta. Trzęsąc się, po raz tysięczny myśli o konsekwencjach, jeśli ucieczka się nie powiedzie. Czyja zwariowałam? – zastanawia

się. Czy warto podejmować takie ryzyko? A potem robi jej się ciemno przed oczami, znów jest łapanka, a ona kuli się obok pozostałych w pustym wagonie, rękami obejmując głowę Felicji, żeby uchronić ją od oglądania bestialskich scen, choć i tak obie słyszą wystrzały i uderzenia wątlých, nagich ciał o zamrożoną ziemię ledwie dwadzieścia metrów od nich.

Nad jej górną wargą pojawia się pot. *Dasz radę*, szepcze Mila, odrzucając wątpliwości. *Zacznij liczyć*. To metoda jej ojca, stosuje ją od dzieciństwa.

„Na trzy” – mówił i zawsze przed jakimś trudnym wyzwaniem, na przykład wyrwaniem zęba, wyjęciem drzazgi spod paznokcia czy polaniem zakrwawionego kolana wodą utlenioną, odliczanie jakoś ułatwiało sprawę.

Na prawo, przez bramę dla pojazdów, przejeżdża ze stukotem wóz zaprzężony w konia, wiozący jedzenie z siedziby Rady Żydowskiej. Zatrzymuje się, sześciu esesmanów przeszukuje jego zawartość, a bramę nagle wypełnia zgiełk. Musi to zrobić teraz, uświadamia sobie Mila, potrzebowała właśnie takiego zamieszania.

Na trzy. Mila wstrzymuje oddech i liczy. Raz... dwa... Na trzy odwraca się plecami do bram, otwiera poły płaszcza i sięga w dół, by dotknąć głowy Felicji. Po sekundzie Felicja stoi obok niej i trzyma ją za rękę. Wolną ręką Mila zrywa białą opaskę z ramienia, słysząc elektryzujący cichy dźwięk, gdy ustępują dwa szwy Nechamy. Zgniatą opaskę w pięści i szybko wkłada ją do kieszeni. Nikt nic nie widział, mówi sobie. Od tej chwili jesteś Niemką, która wyszła naprzeciw jednemu ze strażników. Jesteś wolną osobą. Myśl w ten sposób i tak się zachowuj.

– Stój obok mnie – nakazuje chłodno. – Patrz przed siebie, w stronę getta. Nie oglądaj się. – Mila widzi, że kilka niemieckich żon po jej lewej stronie spotkało już swoich mężów. Stoją w parach i rozmawiają, ogrzewając się skrzyżowanymi na piersiach rękami. Ścisła dłoń Felicji. – Powolutku – szepcze i drobnymi krokami obie posuwają się tyłem, w stronę bramy, poruszając się jakby w zwolnionym tempie, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Mila usiłuje trochę rozluźnić napięte do granic możliwości mięśnie szyi i szczęki, żeby naśladować swobodny wyraz twarzy i sposób bycia otaczających ją Niemek. Gdy zbliżają się do bram, nagle odnosi wrażenie, że ktoś jest za blisko niej. Odwraca się w chwili, gdy jakaś młoda żona, z głową odwróconą w przeciwnym kierunku, wpada na nią od tyłu.

– *Entschuldigen Sie mich* – przeprosza ją kobieta, poprawiając kapelusz. Pachnie szamponem.

Mila uśmiecha się i wykonuje gest wolną ręką.

– *Es is nichts* – mówi cicho, kręcąc głową. Kobieta przez chwilę patrzy na Milę krystalicznie błękitnymi oczami, spogląda w dół na Felicję. A potem ginie w tłumie. Mila robi wydech i ścisła rękę Felicji. Idą dalej, przesuwając się tyłem w kierunku bramy dla pojazdów. Kolejne żony wchodzi z za ich pleców do środka getta. Raz na jakiś czas któraś z nich obraca głowę w kierunku Mili, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Jesteś jedną z nich, przypomina sobie Mila. Jeśli tylko przez cały czas będą się poruszać dyskretnie, tyłem do bram, to wtopią się w tłum. *Powoli, teraz. Prawa stopa, lewa stopa. Przerwa. Prawa stopa, lewa stopa. Przerwa. Nie tak sztywno*, mówi sobie, luzując uścisk na rączce Felicji w rękawiczce ze skarpetki. *Prawa. Lewa. Prawa. Lewa. Powoli, już prawie jesteśmy na miejscu.*

Do getta weszli ostatni Żydzi. Mila patrzy kątem oka, jak bramy dla pieszych są zamykane i ryglowane. Nagle ktoś ją poszturchuje, uderzając czymś twardym w łokieć, Mila w ostatniej chwili zaciska usta, z trudem powstrzymując rosnący w jej gardle krzyk.

– Dalej! – krzyczy strażnik, ale się nie zatrzymuje.

W końcu Mila wyczuwa nad głową mur. Są pod głównym wejściem – bramą dla pojazdów. Podmuch wiatru uderza je po plecach, Mila przytrzymuje ręką kapelusz, żeby nie pofrunął. Ściąga rondo nisko nad brwi i spogląda w dół na Felicję; córka jest blada, ale ma zadziwiająco spokojny wyraz twarzy. *Skup się*, mówi do siebie Mila. Już niedaleko! Licz kroki.

Raz... dwa... powoli suną do tyłu. Przy piątym kroku Mila widzi już zewnętrzną ścianę wejścia i napis ZAGROŻENIE

CHOROBAMI ZAKAŹNYMI. ZAKAZ WSTĘPU.

Nie może uwierzyć. Udało im się wyjść poza mury getta! Uświadamia sobie jednak, że następnych kilka kroków będzie najważniejszych. To jest właśnie ten moment, który wciąż wyobrażała sobie w myślach, niczym scenę z filmu, aż w końcu uznała, że plan może się powieść.

Mila bierze głęboki wdech, by zebrać w sobie resztki odwagi. Teraz.

– Chodź! – szepcze. Odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni, pociągając za sobą Felicję.

A potem, mając getto za plecami, idą. *Prawa, lewa, powoli, nie za szybko*, myśli Mila, powstrzymując odruch nakazujący jej biec. *Prawa, lewa, prawa, lewa*. Próbuje się wyprostować, trzymać głowę wysoko, ale serce wali jej jak młot, a w żołądku czuje, jakby miała kulkę z drutu kolczastego. Czeka na wrzaski i wystrzały. Zamiast tego słyszy jednak tylko ich kroki, trzy kroczyki Felicji na jej dwa, obcasy ich butów uderzają lekko o chodnik przy Lubelskiej, teraz odrobinę szybciej, byle dalej od strażników i ich żon, dalej od warsztatu i brudnych, śmierdzących ulic i rzekomych chorób zakaźnych.

Mila skręca w pierwszą ulicę na prawo, w Traugutta, idą w ciszy jeszcze sto metrów, aż w końcu umykają w pustą boczną alejkę. Tam, w ciemności, serce Mili zaczyna zwalniać. Rozluźniają się mięśnie jej karku. Za chwilę, jak dojdzie do siebie, pomaszerują na Warszawską, do dawnego domu rodziców, gdzie zapuka do drzwi sąsiadów i przyjaciół, Sobczaków, i jeśli się zgodzą, obie zostaną u nich na noc. Jutro skorzysta z fałszywych papierów, żeby przygotować podróż do Warszawy. Jeszcze nie są bezpieczne. Gdy je złapią, zabiją, ale z więzienia getta uciekły. Jej plan, przynajmniej pierwsza jego faza, się powiódł. *Dasz radę*, mówi sobie Mila. Zerka za siebie, żeby się upewnić, że nikt za nią nie idzie, a potem zatrzymuje się i pochyla. Obejmuje dłonią policzek Felicji i przyciska usta do jej czoła.

– Grzeczna dziewczynka – szepcze. – Grzeczna dziewczynka.

Sol i Nechama

Radom, Polska pod okupacją niemiecką ~ maj 1942

NECHAMA I SOL, TRZYMAJĄC SIĘ ZA RĘCE, leżą na materacach. Patrzą w sufit, zbyt zdenerwowani, by spać.

Krążą pogłoski, że getto przy Wałowej ma niedługo zostać zlikwidowane. Nikt nie jest do końca pewien, co to znaczy, ale plotki, każda kolejna coraz bardziej przerażająca, są zdominowane przez wydarzenia w Łodzi. Według ludzi działających w podziemiu Niemcy deportowali tam tysiące Żydów z o wiele większego getta niż to w Radomiu do obozu koncentracyjnego w niedalekim Chełmnie. Żydzi myśleli, że jadą do obozu pracy. Ale kilka dni temu w Warszawie pojawiło się dwóch uciekinierów, którzy opowiedzieli tak przerażające historie, że Nechama nie potrafi myśleć o niczym innym. W Chełmnie nie było miejsc pracy, oświadczyli. Żydów wciśnięto do ciężarówek, po stu pięćdziesięciu naraz, i uduszono gazem. Mężczyzn, kobiety, dzieci, niemowlęta. Wszystko stało się w ciągu kilku godzin.

Dotąd Nechama pocieszała się, że przeżyli już różne pogromy, że rozlew krwi i wojna w końcu przeminą. Ale po wiadomościach z Łodzi zrozumiała, że sytuacja, w jakiej teraz się znajdują, jest zupełnie inna. Tu już nie chodzi tylko o skazanie ich na straszny głód i nędzę. To nie są prześladowania. To jest eksterminacja.

– Nazistom się to nie uda – mówi. – Ktoś ich powstrzyma.

Sol nie odpowiada.

Nechama powoli wydycha powietrze. W duszącej ciszy, która następuje po jej słowach, uświadamia sobie, jak bardzo wszystko ją boli. Nawet powieki, jakby błagały o odpoczynek. Jej ciało ją zaskakuje. Często zastanawia się, jakim cudem ona i Sol jeszcze mają siły na cokolwiek. Żyją w stanie nieustającego bólu, wycieńczenia i głodu – umęczeni długimi godzinami pracy w kawiarni, osłabieni z powodu żałośnie małych racji żywnościowych i wyczerpani nerwowo zmuszaniem się, by ignorować otaczające ich na co dzień okropieństwa. Prawie już zubożeli na nieustający odgłos wystrzałów z karabinów w getcie, na konieczność omijania ciał zmarłych i umierających na ulicach, na zmuszanie się do zamykania oczu, gdy przechodzą przez bramę getta, gdzie esesmani wieszają w szeregu Żydów, przedłużając, jak tylko się da, ich agonię, tak by inni to widzieli i by dotarło do nich przesłanie: *To was czeka, jeśli złamiecie zasady. To spotka wszystkich, którzy są bezczelni, buntują się albo po prostu nie mają szczęścia.* Nechama widziała kiedyś powieszonoego w ten sposób pięcio – albo najwyżej sześćoletniego chłopca, zdawało się, że minuty dzieli go od śmierci, i choć nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, to pozwoliła sobie zerknąć na jego bosa stopy, małe i blade, z bólu wykręcone w kostkach.

Chciały do niego podejść, dotknąć go, jakoś pocieszyć, ale wiedziały, że czekałaby ją za to kula w łeb albo sznur na szyi.

– Przynajmniej Amerykanie przyłączyli się do wojny – mówi, odnosząc się do iskry nadziei, jaka

pojawiła się w getcie, cienia prawdopodobieństwa, którego można się uchwycić. – Może uda się powstrzymać Niemców.

– Może – zgadza się Sol. – Ale dla nas będzie już za późno. – Głos mu się załamuje, Nechama wie, że powstrzymuje łyzy.

– Jeśli wezmą się za radomskie getto, my będziemy pierwsi w kolejności. Może oszczędzą młodych. Ale kto wie, może nawet ich też nie.

Nechama w głębi duszy wie, że jej mąż ma rację, ale nie chce przyznać tego przed sobą, przynajmniej nie na głos.

Bierze Sola za rękę i całuje ją, przyciska sobie do policzka.

– Kochany, nie wiem, co się wydarzy, ale cokolwiek przyniesie nam los, przynajmniej będziemy mieć siebie. Będziemy razem.

Jeszcze miesiąc temu może któreś z dzieci byłoby w stanie im pomóc. Ale teraz są w getcie sami. Jakub jest z Bellą w fabryce AVL niedaleko getta na Glinicach, a Mila, Nechama modli się, by to była prawda, w drodze do Warszawy, gdzie ma się spotkać z Haliną. Od podjęcia próby ucieczki ona i Felicja nie wróciły na Wałową, ale to może oznaczać wszystko.

Teraz, gdy sytuacja z każdym dniem staje się coraz trudniejsza, ich jedyną realną nadzieją jest Halina. Nie udało jej się jednak jak dotąd załatwić im pracy w fabryce broni w Pionkach, wygląda na to, że mają coraz mniej czasu. „Wciąż staram się załatwić przeniesienie – obiecała Halina w ostatnim liście.– Trzymajcie się, nie traćcie wiary”.

Przynajmniej są z Haliną w kontakcie, porozumiewają się przez listy przemycane do getta i z getta z pomocą Izaaka.

Odkąd Genek i Herta zniknęli ze Lwowa, nie miała od nich żadnych wiadomości. Niedługo miną cztery lata, odkąd ostatni raz widziała Adiego. Oddałaby wszystko, nawet życie, za to, by wiedzieć, że żyją, że nic im nie jest.

Nechama kładzie dłoń na sercu. Dla matki nie ma nic gorszego, lepsze już nawet codzienne piekło w getcie, niż to, że pełna lęku musi żyć w niepewności co do losu swoich dzieci. Z upływem tygodni, miesięcy i lat jej udręka rośnie i spala ją w środku, odnosi wrażenie, że nasilający się ból wkrótce rozerwie jej trzewia. Zaczyna się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie w stanie go znieść.

Pod palcami Nechama wyczuwa słabe bicie serca. Chciałaby się rozplakać, ale jej oczy są suche, tak samo gardło.

Mruga powiekami w ciemnościach, przypominając sobie słowa córki. „Trzymajcie się. Nie traćcie wiary”.

– Halina znajdzie sposób, żeby przenieść nas do fabryki – mówi po dłuższej chwili, cicho, prawie szeptem. Ale Sol nie odpowiada i po długości jego oddechu Nechama poznaje, że zasnął.

Nasz los, stwierdza, jest w rękach Haliny. Myśli Nechamy biegną ku najmłodszemu dziecku. Wspomina, jak, zanim jeszcze nauczyła się mówić, Halina domagała się nieustannej uwagi, a kiedy jej nią nie obdarzano, to znalazła na to taki sposób, że znajdowała coś kruchego i rozbijała. Albo po prostu krzyczała. Jak, kiedy uczyła się w gimnazjum, często stwierdzała, że jest zbyt chora, by iść do szkoły. Nechama przykładła rękę do jej czoła i od czasu do czasu pozwalała zostać w domu, a parę minut później widziała, jak Halina biegnie przez korytarz do salonu, gdzie kładzie się na brzuchu i godzinami ogląda ilustrowane

magazyny Mili, wrywając strony z sukienkami, które jej się podobają.

Odkąd to wszystko się zaczęło, jej mała Halinka tak bardzo wydorosłała. Może naprawdę to ona ich stąd wyciągnie.

Halina. Nechama zamyka oczy i próbuje zasnąć. Gdy powoli zapada w sen, wyobraża sobie, że stoi w oknie dawnego domu, wyglądając na korony kasztanowców rosnących przy Warszawskiej. W dole ulica jest pusta, ale po niebie latają ptaki. W półśnie Nechama widzi, jak fruują pomiędzy chmurami, lądują od czasu do czasu na gałęzi, żeby sprawdzić, co się dzieje dookoła, a potem znów odlatują. Oddycha coraz wolniej. Zasypia, myśląc o Halinie, która szybuje nad nią, ręce rozłożyła jak skrzydła, a wzrok ma czujny, bo myśli o tym, jak znaleźć jakieś rozwiązanie dla nich wszystkich.

Halina i Adam

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ maj 1942

– MYŚLISZ, ŻE KTOŚ NA NAS DONIÓSŁ? – szepcze Halina. Siedzi z Adamem przy małym stole w kuchni w wynajmowanym przez nich w Warszawie mieszkaniu na poddaszu.

Adam zdejmuje okulary i przeciera oczy.

– W Warszawie prawie nikogo nie znamy – mówi.

Mieszkają w tym mieszkaniu od miesiąca i dotąd czuli się w nim bezpieczni. Ale wczoraj żona właściciela wpadła do nich niezapowiedziana, węsząc jak pies. Zadawała im pytania na temat ich rodzin, pracy, wychowania.

– Nasze papiery są bez zarzutu – dodaje Adam. Przy ich dowodach szczególnie się starał. Ich nazwisko, Brzoza, jest tak polskie i katolickie, na ile to tylko możliwe. Dzięki fałszywej tożsamości i wyglądowi – Halina ma blond włosy i zielone oczy, a Adam wyraźne kości policzkowe i jasną cerę – łatwo wziąć ich za Aryjczyków. Nie da się jednak ukryć faktu, że do Warszawy przyjechali niedawno, nie mają w okolicy przyjaciół ani rodziny, a to wystarczy, by wydali się podejrzani.

– Co robimy? Powinniśmy się przeprowadzić?

Adam zakłada okulary i zerka na Halinę przez grube okrągłe szkła.

– To jakby przyznać, że jesteśmy winni. Myślę... – przerywa, stukając palcem wskazującym w obrus w białoniebieską kratkę. – Myślę, że mam plan.

Halina przytakuje i czeka. Rozpaczliwie potrzebują planu. Inaczej to tylko kwestia czasu, gdy żona właściciela zgłosi ich na policję.

– Pomimo naszych dokumentów Aleksandra podejrzewa, że jesteśmy Żydami... Próbowałem wymyślić, jak możemy jej wytłumaczyć, że nimi nie jesteśmy, i jedynym sposobem, żeby to udowodnić, naprawdę udowodnić... jest, żeby ona to zobaczyła. To znaczy zobaczyła, że nie jestem Żydem.

Halina kręci głową.

– Nie rozumiem.

Adam wzdycha i wierci się na krześle.

– Kombinowałem, jak by tu... – Zakłopotany patrzy na swoje kolana i przerywa, słysząc jakiś odgłos. Ktoś wspina się po schodach na poddasze. Adam szybko odwraca się do drzwi za jego plecami.

– To ona – szepcze, gdy kroki się zbliżają.

Patrzą sobie w oczy. Adam wskazuje na lampę nad zlewem.

– Światło! – mówi.

Halina patrzy na niego, nie rozumiejąc.

– Światło przy umywalce, wyłącz je.

Rozpina pasek.

– Dlaczego? – pyta Halina, spiesząc w kierunku umywalki. Rozlega się pukanie do drzwi.

– Idę! – woła Adam.

Halina pociąga łańcuszek, żeby wyłączyć światło. Adam trzyma ręce w spodniach i szybko nimi porusza.

– Co, na Boga...? – szepcze Halina.

– Zaufaj mi – odpowiada szeptem Adam. Pukanie staje się głośniejsze. Adam wstaje i idzie w stronę zlewu, zapinając pasek. Halina przytakuje i podchodzi do drzwi.

– Jesteście tam? Wpuśćcie mnie! – Głos po drugiej stronie drzwi jest piskliwy, na granicy hysterii. Adam daje Halinie sygnał, że jest gotów. Chwilę później Aleksandra wtacza się do mieszkania i rzuca na nich gniewne spojrzenie.

– Dzień dobry, Aleksandro – zaczyna Halina, spoglądając w stronę Adama. Jego dłonie spoczywają nonszalancko na krawędzi umywalki, przy której stoi.

Aleksandra ignoruje pozdrowienie i przechodzi przez pokój do Adama, roztaczając atmosferę niezadowolenia.

– Postawię sprawę jasno – mówi, zatrzymując się przed nim na wyciągnięcie ręki i spoglądając na niego zwężonymi oczami. – Ktoś przekonał mnie, że nas okłamujecie. Mówi, że jesteście Żydami! I wiecie co? – Wskazuje Adama palcem.

– Ja was broniłam, powiedziałam, jak się nazywacie, że jesteście dobrymi chrześcijanami, jak my wszyscy, ale teraz nie jestem już tego taka pewna. – Do jej górnej wargi przywarło trochę śliny. – To prawda, co nie? – wrzeszczy. – Jesteście Żydami?

Adam podnosi rękę.

– Proszę...

– Co proszę?! Proszę wybaczyć, że naraziliśmy państwa życie na niebezpieczeństwo? Nie wiesz, że za ukrywanie Żydów grozi nam areszt i strybek?

Adam sztywnieje.

– Z kimkolwiek pani rozmawiała, ta osoba się myli – odpowiada spokojnym głosem. – I mówiąc szczerze, czuję się obrażony. W naszej rodzinie nie ma nawet kropli żydowskiej krwi.

– Niby dlaczego miałabym panu uwierzyć? – warczy Aleksandra.

– Nazywa mnie pani kłamcą?

– Mam źródło informacji. – Aleksandra opiera dłonie na biodrach, jej ręce tworzą bo bokach dwa trójkąty. – Mówi pan, że nie jest Żydem, ale nie może tego udowodnić.

Adam zaciska usta w wąską linię.

– Niczego nie muszę pani udowadniać – mówi, pilnując, by słowa wypływały z jego ust powoli.

– Mówisz tak, bo kłamiesz! – rzuca Aleksandra.

Adam patrzy jej w oczy.

– Dobrze. Chce pani dowód? – Sięga ręką do paska.

Halina nie ruszyła się spod drzwi. Stoi za Aleksandrą, w tej chwili robi gwałtowny wdech i zakrywa usta dłonią. Gdy Adam mocuje się z paskiem, Aleksandra wydaje z siebie dziwne dźwięki, jakby miała czkawkę. Ale zanim zdąży zaoponować, Adam, w przyływie furii, rozpina spodnie, kładzie kciuki poniżej talii i jednym ruchem przesuwa je, razem z bielizną, do kolan w dół. Halina zakrywa oczy, nie może na to patrzeć.

Aleksandrze opada szczęka, kobieta nieruchomieje.

Adam podnosi koszulę.

– Czy ten dowód pani wystarczy? – krzyczy, stojąc z opuszczonymi do kostek spodniami. Zerka w dół, obawiając się, że jego kamuflaż wyjdzie na jaw. Dziś rano roztworem z białka kurzego i wody przykleił sobie cielisty bandaż, a potem uważnie przyglądał się sobie w lustrze. Miał nadzieję, że w półmroku będzie to wyglądało jak napletek. Oddycha z ulgą, bandaż jest na miejscu.

Halina zerka przez palce na postać męża przy zlewie. W słabym świetle widzi ledwie zarys jego genitaliów. Teraz już rozumie, dlaczego prosił ją, żeby zgasiła światło przy umywalce.

– Dobry Boże wszechmogący, dosyć! – wydusza wreszcie z siebie Aleksandra, odwracając z obrzydzeniem głowę. Sunie w kierunku drzwi, wyglądając, jakby miała zaraz zwymiotować.

Halina wydycha głośno powietrze, oniemiała, że plan Adama się udał. Zastanawia się, jak długo chodził z przyczepionym w kroczu bandażem. Chrząka i otwiera drzwi, sugerując Aleksandrze, że powinna już wyjść.

– Nazywać nas Żydami – mamrocze Adam pod nosem, pochylając się, żeby podciągnąć spodnie.

Żona właściciela kamienicy dotyka nerwowo swojej bluzki, na szyi pojawiły jej się gorące czerwone plamy. Unika kontaktu wzrokowego z Haliną i bez słowa wychodzi na klatkę schodową. Halina zamyka za sobą drzwi i czeka, aż kroki ucichną, a potem odwraca się do Adama. Kręci głową.

Adam podnosi ręce do góry i wzrusza ramionami.

– Nic innego nie przyszło mi do głowy – mówi.

Adam patrzy na swoje stopy, potem znów na nią. Gdy ich wzrok się spotyka, kąciki ust unoszą mu się w uśmiechu, a Halina śmieje się cicho, zakrywając dłonią usta. Mija chwila, zanim jest w stanie się opanować. Wycierając z oczu łzy, przechodzi przez pokój.

– Mogłeś mnie uprzedzić – mówi, opierając ręce na piersi Adama.

– Nie było czasu – szepcze Adam, obejmując ją w talii.

– Szkoda, że nie widziałam jej twarzy – mówi Halina. – Jak wychodziła, wyglądała na zdruzgotaną.

– Szczęka jej opadła prawie do samej podłogi.

– Jesteś bardzo odważny – mówi Halina cicho.

– Jestem szczęściarzem. Prawdę mówiąc, dziwię się, że bandaż się trzymał.

– Dzięki Bogu! Zdenerwowałeś mnie.

– Przepraszam.

– Czy wciąż... tam jest? – Halina spogląda w dół.

– Zsunął się, gdy Aleksandra wychodziła. Myślałem, że od niego oszaleję. Nosilem go przez wiele godzin. Jestem zaskoczony, że nie zauważyłaś, jak dziwnie chodzę.

Halina znów się śmieje, kręci głową.

– A bolało, jak się odkleiło? Wszystko w porządku... tam na dole?

– Chyba tak.

Halina mruży oczy. Adrenalina zwiększyła jej wrażliwość na dotyk. Nie może się oprzeć ciepłu bijącemu od ciała Adama.

– Lepiej sprawdzę – mówi, sięgając dłonią do jego paska i rozpinając go. Całuje Adama i zamyka oczy, gdy jego spodnie znów opadają mu do kostek.

4 SIERPNIA 1942: Późnym wieczorem policja otacza getto na Glinicach i oświetla je reflektorami. Na miejscu ginie od stu do stu pięćdziesięciu osób, dzieci i dorosłych. Następnego dnia około dziesięciu tysięcy pozostałych Żydów zostaje wysłanych pociągiem do obozu zagłady w Treblince.

Jakub i Bella

Fabryka AVL, Radom, Polska pod okupacją niemiecką ~ 6 sierpnia 1942

STOJĄC NIEPEWNIENIE NA SEDESIE w męskiej ubikacji, Bella nasłuchuje pukania Jakuba. Dla zachowania równowagi jedną ręką, na którą zarzuciła w zgięciu łokcia zimowy płaszcz, opiera się o ścianę kabiny, w drugiej ściska rączkę małej skórzanej walizki. Drzwi do ubikacji są małe, jej pozycja skrajnie niewygodna: jeśli się wyprostuje, głowa będzie wystawać ponad kabinę, jeśli zejdzie z sedesu, to na dole będzie widać jej stopy, jeśli się poruszy, ryzykuje upadek albo, jeszcze gorzej, wpadnięcie do cuchnącej dziury znajdującej się między jej stopami. Na szczęście w ciągu ostatnich trzydziestu minut nikt nie przyszedł, by sprawdzić toalety. Ale Bella mimo wszystko nie zmienia pozycji, próbując, jak tylko może, ignorować upał, rwanie w dole kręgosłupa i wszechogarniający odór kału i stęchłego moczu. *Szybciej, Jakub. Dlaczego to tyle trwa?*

Ich plan, jeśli się uda, polega na tym, żeby uciec niezauważenie z terenu AVL i przedostać się do pobliskiego getta na Glinicach. Bella trzyma się resztek nadziei, że odnajdzie tam rodziców, żywych. Że jakimś cudem ich oszczędzono. Czuje jednak, że już ich tam nie ma.

Getto zostanie zlikwidowane. Bellę i Jakuba ostrzegł o tym znajomy polski policjant. Z Rubenem byli blisko w czasach szkolnych. Mieli nadzieję, że gdy został wyznaczony na patrol w AVL, będzie mógł jakoś im pomóc. Ale dwukrotnie, kiedy Bella się na niego natknęła, przeszedł koło niej, nawet nie skinąwszy głową, nawet nie spojrzawszy w jej kierunku.

Oczywiście nie było to zaskakujące – taka zmiana w relacjach między starymi przyjaciółmi stała się powszechna. Dlatego Bella była zaskoczona, kiedy w zeszłym tygodniu Ruben chwycił ją za ramię, popchnął w kierunku magazynu i wszedł tam za nią, zamykając za sobą drzwi. Bella, która teraz oczekiwała zazwyczaj najgorszego, modliła się, żeby to, co dla niej szykował, było przynajmniej szybkie. Jednak Ruben ją zaskoczył, bo zwrócił się do niej z wyrazem głębokiego smutku na twarzy.

– Przepraszam, Bello, że cię ignorowałem – powiedział ton głośniejszym od szeptu. – Zapłaciłbym głową, gdybym... no dobrze, masz w getcie rodzinę, prawda? – zapytał w ciemności.

Bella przytaknęła.

– Dowiedziałem się dzisiaj, że w przeciągu tygodnia getto na Glinicach ma zostać zlikwidowane. Zostanie tylko kilka miejsc pracy, może parę osób przeniosą na Wałową, ale reszta... – Spojrzał w podłogę.

Gdy Bella zapytała, dokąd zostaną wysłani Żydzi, Ruben odpowiedział tak cicho, że musiała się wysilić, żeby zrozumieć jego słowa.

– Słyszałem, jak dwóch esesmanów mówiło o obozie niedaleko Treblinki – szepnął Ruben.

– To obóz pracy? – zapytała Bella, ale Ruben w odpowiedzi tylko pokręcił przecząco głową.

Dowiedziawszy się tego, Bella błagała Meiera, brygadzystę w fabryce, by pozwolił jej sprowadzić rodziców do AVL.

Jakimś cudem się zgodził, a nawet wydał jej specjalny dokument, żeby mogła jednego wieczoru przejść dwa kilometry dzielące ich od Glinie. Ruben ją eskortował. Ale jej rodzice odmówili.

– Jeśli sądzisz, że możemy sobie tak po prostu stąd wymaszerować, to zwariowałaś – powiedział jej ojciec. – Ten Herr Meier twierdzi, że możemy dla niego pracować, ale powiedz to strażnikom getta. Powiedz im, że porzucamy miejsca pracy, żeby pracować dla kogoś innego, to się pośmieją, a potem władają nam kulki, tobie zresztą też. Widzieliśmy już takie przypadki.

Bella widziała przerażenie w oczach ojca. Ale była nieugięta.

– Proszę, tato. Zabrali nam już Annę. Nie pozwól, żeby was też zabrali, musicie przynajmniej spróbować. Ruben pomoże – naciskała nienaturalnie wysokim głosem, z którego biła rozpacz.

– To dla nas zbyt niebezpieczne – powiedziała matka, kręcąc głową. – Idź, Bello. Idź. Ocal siebie.

Bella była bardzo zła na rodziców, że odrzucili jej plan, porzucili nadzieję. Dała im szansę ucieczki, wzięcia losu we własne ręce, ale oni, zamiast chwycić za lejce, zaparli się, zsunęli z siodła i poddali się strachowi.

– Proszę was! – błagała zalana łzami Bella, szlochając w ramionach matki. Widziała jednak po ich skulonych ramionach, po opuszczonym wzroku, że rodzice stracili wolę walki. Śmierć Anny odebrała im resztki sił. Byli cieniami samych siebie, pustymi, wycieńczonymi i przestraszonymi. Gdy Bella opuściła w końcu z Rubenem Glinicę, nie mogła do siebie dojść.

Ledwie cztery dni później, 4 sierpnia o północy rozpoczęła się likwidacja getta na Glinicach, tak jak przewidział Ruben.

Dwa kilometry dalej w fabryce Bella słyszała słabe odgłosy wystrzałów i następujące po nich mrozące krew w żyłach krzyki. Bezradna, odchodząca od zmysłów i ledwie trzymająca się na nogach po bezsennych nocach, kompletnie się załamała. Jakub odnalazł ją w baraku, leżała skulona i nie chciała z nim rozmawiać ani nawet na niego spojrzeć. Tylko płakała. Nie mając dla niej słów pocieszenia, Jakub położył się obok niej, objął ją i trzymał mocno, gdy łkała. Minęły godziny, zanim odgłosy wystrzałów wreszcie ucichły. Wtedy Bella się uspokoiła.

O świcie następnego dnia Jakub pomógł jej wejść na prycze i powiedział strażnikowi pilnującemu baraków, że żona jest zbyt chora, by iść do pracy.

– Jesteś pewien, że żyje? – zapytał strażnik, gdy wsadził głowę do baraku i zobaczył, że Bella leży bez ruchu na plecach, z mokrą szmatką na czole. Godzinę później Meier ogłosił przez głośniki, że AVL zostanie zamknięty, Żydzi zostaną wysłani do innej fabryki, więc mają się zacząć pakować. Muszą być gotowi do wyjazdu następnego dnia rano, punktualnie o dziewiątej. Ale Jakub dobrze wiedział, dokąd ich wyślą. Musieli się wydostać z fabryki. Tego wieczoru zmusił Bellę, żeby zjadła kawałek chleba, i błagał, by wzięła się w garść.

– Potrzebuję cię – powiedział. – Nie możemy tu zostać, rozumiesz?

Bella przytaknęła, a Jakub opowiedział jej o swoim planie, którego elementem były nożyce do cięcia drutu, choć ona z trudem podążała za jego słowami. Zanim wyszedł, błagał ją, żeby spotkała się z nim jutro o ósmej trzydzieści rano w męskiej ubikacji.

Letnie słońce świeci prosto na dach z blachy falistej nad jej głową, w kabinie jest duszno. Bella boi się, że zemdleje.

Z ogromnym wysiłkiem podniosła się tego ranka z łóżka, a gdy to robiła, wydawało się jej, że już nie

włada własnym ciałem, jakby jej mięśnie się poddały. Mruga oczami, gdy słyhać skrzek głośników, ciesząc się, że coś odwraca jej uwagę.

Słyhać głos Meiera.

– Robotnicy, idźcie do wejścia fabryki po swoje racje. Zabierzcie swoje rzeczy.

Bella zamyka oczy. Wkrótce przed fabryką uformuje się kolejka. Wyobraża sobie strażników przybyłych, żeby eskortować Żydów na dworzec. Zastanawia się, czy to ci sami, którzy nadzorowali podróż jej rodziców na niemal pewną śmierć. Robi jej się niedobrze. *Gdzie jest Jakub?* Udało się jej przyjść do ubikacji o ósmej dwadzieścia pięć, pięć minut przed czasem. Minęło co najmniej pół godziny. *Powinien już tu być. Proszę* – modli się Bella, słuchając cichego kapania potu, który co kilka sekund spada z jej podbródka na podłogę z cementu. Zwalcza chęć, by wypaść z łazienki i zawołać do strażników, by ją też zabrali. *Proszę, Jakub, pospiesz się.*

W końcu słyszy ciche puk, puk, puk, puk. Robi wydech i niepewnie schodzi z sedesu. Na jej dwukrotne pukanie szybko odpowiada kolejne poczwórne. Otwiera drzwi. Jakub kiwa głową z ulgą, że ją tam widzi.

– Przepraszam za spóźnienie – szepcze. Bierze od niej walizkę i prowadzi ją dookoła kabiny, blisko ściany. Bella wyciera pot z twarzy i wdycha świeże powietrze, wdzięczna, że teraz może polegać na Jakubie, może po prostu za nim iść.

– Widzisz to pole, zaraz za męskimi barakami? – pyta Jakub, wskazując ręką. – To tam idziemy. Ale najpierw musimy dojść do baraków.

Bella rzuca okiem w kierunku budynków, są jakieś trzydzieści metrów dalej. Za nimi jest ogrodzenie z siatki i drutu kolczastego, otaczające cały obszar fabryki, a po drugiej stronie ich punkt docelowy – pole przejrzałej pszenicy.

– Będziemy musieli biec – szepcze Jakub – i mieć nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

Wygląda ostrożnie zza rogu ubikacji na tyły fabryki i mówi, co widzi: koniec kolejki ciągnącej się od samego wejścia wokół budynku i trzech strażników nakazujących ostatnim kilku robotnikom stanąć na końcu szeregu. Po kilku długich minutach Jakub sięga za siebie i bierze Bellę za rękę. – Poszli – mówi. – Szybko. Biegniemy!

Szarpie Bellę do przodu i za chwilę kurzy się za nimi, gdy biegną w kierunku baraków, mając teraz fabrykę za plecami.

Po kilku sekundach Belli zaczyna brakować tchu, ale wie, że musi mocno trzymać dłoń Jakuba. Kusi ją, żeby się odwrócić i sprawdzić, czy ktoś ich nie zauważył, ale boi się, że jeśli to zrobi, ogarnie ją panika i stanie jak wryta. Trzydzieści metrów kurczy się do dwudziestu, następnie dziesięciu, pięciu, a potem zwalniają, wskakują za męski barak, przyciskają plecy do zniszczonego drewna, i haustami wciągają powietrze w płonące ogniem płuca. Bella pochyla się i kładzie ręce na kolanach, czuje, jak w piersi wali jej serce. Ten bieg niemal ją wykończył, ale też coś w niej poruszył. Przynajmniej przez chwilę poczuła, że jest znów we własnym ciele.

Pomimo wyczerpania oddychają tak cicho, jak to tylko możliwe, i nasłuchują kroków, krzyków, wystrzałów. Nic. Jakub odczekuje pełną minutę, a potem wystawia nos za róg. Wydaje się, że nikt ich nie widział.

– Chodź – mówi i wyruszają, teraz poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku, w stronę ogrodzenia. Gdy do niego dochodzą, Jakub przykłęka i szybko zabiera się do pracy. Czoło wilgotnieje mu od potu, gdy

metodycznie przecina nożycami stal, aż w końcu udaje mu się zrobić dziurę wystarczająco dużą, żeby mogli przez nią przejść.

– Ty pierwsza, kochanie – mówi, podnosząc do góry siatkę. Bella przeczołguje się przez otwór. Jakub podaje jej walizkę i wchodzi za nią, po czym – na ile to możliwe – z powrotem zagina za nimi ogrodzenie. – Trzymaj się nisko – mówi.

Przesuwają się w kierunku łąki, gdzie na czworakach czołgają się wśród łanów przejrzałej pszenicy, kołyszących się po ich bokach. Powoli oddalają się od świeżo przedziurawionego ogrodzenia, fabryki i bydłych wagonów wypełniających się mężczyznami i kobietami, którzy poprzedniej nocy spali obok nich na pryzkach. Bella na chwilę przypomina sobie rano na początku wojny, kiedy czołgała się przez łąkę, żeby dostać się do Lwowa. Wydawało się, że tak wiele od tego zależy, tyle było niewiadomych. Ale wtedy przynajmniej miała siostrę. I rodziców.

Po kilku minutach zatrzymują się i klękają, żeby zerknąć poprzez kłosa na fabrykę. Przeszli już spory dystans – AVL

wydaje się mały, przypomina beżową cegłę na horyzoncie.

– Myślę, że tutaj jesteśmy bezpieczni – mówi Jakub. Przygniata do ziemi źdźbła wokół nich, tworząc swego rodzaju legowisko, żeby mogli odpocząć. Źdźbła pszenicy są wysokie, nikt ich nie zobaczy, nawet jeśli usiądą. Bella, lepiąc się od potu, rozkłada na ziemi płaszcz i siada na nim. Jakub znów spogląda w kierunku fabryki.

– Powinniśmy poczekać, aż się ściemni, zanim pójdziemy dalej.

Bella przytakuje i Jakub przysuwa się, żeby usiąść obok niej. Sięga do kieszeni po połowę ugotowanego ziemniaka.

– Zachowałem go z wczorajszego wieczoru – mówi, rozwijając chusteczkę.

Bella nie jest głodna. Kręci przecząco głową, opuszcza brodę na piersi i kładzie policzek na kolanie. Jakub marszczy brwi i zagryza wargi. Nie rozmawiali jeszcze o tym, co się stało poprzedniej nocy na Glinicach. Bo co można powiedzieć? Bella myślała o tym, żeby się przed Jakubem otworzyć, powiedzieć, jak to jest stracić matkę, ojca, siostrę, całą rodzinę, co się czuje, myśląc, że wszystko mogło być inaczej, gdyby podczas pogromów we Lwowie ukrywała się razem z Anną, gdyby udało się jej przekonać rodziców, żeby przyszli do AVL. Fabryka, tak jak getto, wkrótce będzie zlikwidowana, ale gdyby podjęli się tam pracy, to przynajmniej mogliby spróbować razem ucieczki. Nie potrafi jednak zebrać się w sobie, by o tym rozmawiać. Nie jest w stanie wyrazić swojej rozpaczki słowami.

Łany pszenicy szumią, kołysząc się na lekkim wietrze. Jakub obejmuje Bellę ramieniem. Widzi, jak lzy zbierają się na jej rzęsach, gdy zamyka oczy. Siedzą w ciszy, minuty zmieniają się w godziny, nie mają nic innego do roboty, jak tylko czekać, aż bursztynowe światło popołudnia zacznie przechodzić w ciemność.

Halino

Wieś pod Warszawą, Polska pod okupacją niemiecką ~ 15 sierpnia 1942

OJCIEC, PROWADZĄC AUTO, nuci i uderza palcami w drewnianą kierownicę maleńkiego czarnego fiata. Za nim, blisko siebie, siedzą Halina i Nechama, trzymając się pod ręce. Dzięki Bogu, ich starzy przyjaciele i sąsiedzi po raz kolejny okazali im pomoc i pożyczyli samochód na tę podróż. Halina rozważała przejazd z rodzicami z Radomia do Wilanowa pociągiem, ale obawiała się, czy po drodze nie będzie zbyt wielu punktów kontroli na stacjach pośrednich. Miała nadzieję, że samochód okaże się bezpieczniejszym wyborem, choć oznaczał walkę o zdobycie paliwa, które było drogie i niemal niedostępne. Halina obiecała, że przed oddaniem auta Sobczakom zatankuje je do pełna, i nalegała, żeby Liliana, w podziękowaniu za wypożyczenie fiata, zatrzymała srebrną misę i chochlę, którą Nechama zostawiła jej przed eksmisją.

Z tylnego siedzenia Halina obserwuje, jak jej ojciec chłonie widok – modre niebo, zielone wsie, słońce odbijające się w zakolu Wisły. Zaproponowała, że poprowadzi samochód, ale Sol się nie zgodził.

– Nie, pozwól mi prowadzić – powiedział, kręcąc głową, tak jakby chciał pokazać, że to jego obowiązek, ale tak naprawdę wiedziała, że marzy tylko o tym, by usiąść za kierownicą. Przez czternaście miesięcy granice świata jego i Nechamy wyznaczały mury z cegły, drut kolczasty, opaski z niebieską gwiazdą, marazm i udręka pracy przymusowej.

Halina uśmiecha się, wiedząc, jak dobrze muszą się czuć tutaj, na otwartej drodze. Razem napawają się ulotnym zapachem wolności, słodkim i soczystym jak zapach kwiatów lipy opadających na nich przez otwarte okno.

Nechama właśnie skończyła opowiadać, jak to było mieszkać i pracować w fabryce broni w Pionkach.

– Czuliśmy się tam tacy starzy – mówi – inni robotnicy byli praktycznie dziećmi. Musiałabyś usłyszeć te rozmowy: zakochałem się... ona nawet nie jest ładna... on od wielu dni się do mnie nie odzywa... zazdrość, dramaty. Zapomniałam już, jakie to męczące być młodym. Chociaż – wyznaje, obniżając głos i pochylając się ku Halinie – czasem było to nawet dość zabawne.

Halina nie może powstrzymać śmiechu, wyobrażając sobie rodziców słuchających takich frywolnych rozmów. Cieszyła się, że w Pionkach było im lepiej niż w getcie, i byłaby zadowolona, gdyby zostali tam do końca wojny, ale Adam ostrzegł ją tydzień temu, że fabryka ma być zamknięta.

– Wybacz, że wcześniej się tego nie dowiedziałem – powiedział. – To się może stać lada dzień.

Halina wiedziała, że musi wydostać rodziców, zanim skończą w jednym z przerażających obozów, do których wysyłano Żydów, gdy ich praca nie była już potrzebna.

Otrzymanie pozwolenia na zabranie rodziców z Pionek było oczywiście zadaniem niemożliwym. Halina wiedziała, że będzie zmuszona działać drogą nieoficjalną. Tydzień temu, uzbrojona w aryjskie papiery i trochę pieniędzy, poszła do fabryki z zamiarem przekupienia strażnika przy wejściu, żeby pozwolił rodzicom wyjść dyskretnie pod koniec dnia pracy – zamierzała powiedzieć, że to starzy przyjaciele,

niesłusznie oskarżeni o to, że są Żydami. Ale pojawiła się tam w piątek, gdy matkę razem z innymi robotnicami zabrano do łaźni publicznej. Halina tego wieczoru pracowała i nie mogła czekać na jej powrót. Dziś rano, czując, że nie może dłużej zwlekać i że sto złotych może nie wystarczyć, postanowiła wziąć ze sobą ostatnią cenną rzecz matki – ametyst. Nechama sekretnie przekazała naszyjnik Izaakowi w dniu ich transferu z getta do Pionek, błagając go, by szybko i bezpiecznie przekazał go Halinie. Izaak natychmiast napisał do Haliny do Warszawy, informując, że ma dla niej specjalną fioletową przesyłkę i że powinna po nią przyjechać tak szybko, jak tylko może.

Mimo że, zgodnie z rozkazem Hitlera, każdemu Niemcowi, który weźmie łapówkę od Żyda, groziła kara śmierci, jak pokazało doświadczenie Haliny z obozu pracy Adama, nie powstrzymało to wielu nazistów przed ich przyjmowaniem.

I oczywiście, gdy tylko w Pionkach, przy wejściu do fabryki, błysnęła strażnikowi fioletowym kamieniem, to zaświeciły mu się oczy. Piętnaście minut później wrócił z jej rodzicami.

– Tutaj w lewo. – Halina wskazuje na drewnianą tabliczkę z napisem „Wilanów” oznaczającą małą wioskę na obrzeżach Warszawy. Gdy zbaczają z głównej arterii, droga twarda ustępuje gruntowej, a Sol zagląda w lusterko, uśmiechając się na widok Haliny i Nechamy siedzących obok siebie i cieszących się bliskością.

– Opowiedz nam o sobie, o pozostałych – mówi Nechama.

Halina się waha. Rodzice nie słyszeli o Glinicach, o rodzinie Belli. Nie ma serca mówić im o tym. Ostatnia godzina była tak przyjemna; rozmawiając z mamą o mało ważnych rzeczach, czuła się prawie normalnie. Nie chce jeszcze wracać do smutku tego świata. Opowiada więc o tym, jak Adam niedawno ledwo uszedł cało ze spotkania z żoną właściciela budynku. Mówiąc, skupia się na aspekcie humorystycznym wydarzenia, nie wspomina, jak bardzo była wówczas przerażona. Opowiada o swojej pracy w Warszawie jako kucharki niemieckiego biznesmena. O tym, że Mila, też udając Aryjkę, niedawno zatrudniła się w domu bogatej niemieckiej rodziny.

– A Felicja? – pyta Sol przez ramię. – Tak bardzo mi jej brakuje.

– Właściciel mieszkania Mili od razu podejrzliwie popatrzył na Felicję – wyjaśnia Halina. – Wystarczyło jedno spojrzenie w jej smutne, ciemne oczy, żeby odgadnąć, że jest Żydówką. Mila ma dobre papiery, więc jej się udaje, ale w przypadku Felicji jest to o wiele trudniejsze. Pewna moja znajoma zgodziła się ją ukrywać.

Halina usiłuje zachować pogodny ton, chociaż wie, że Mila zadręczała się decyzją oddania córki pod opiekę komuś innemu.

– Felicja jest tam sama, bez Mili? – pyta Sol i Halina widzi w odbiciu jego oczu w lusterku wstecznym, że ojciec już się nie uśmiecha, domyśla się tego, czego ona nie mówi.

– Tak, dla obu to trudna sytuacja.

– Słodka dziewczynka – mówi cicho Nechama. – Musi się czuć taka samotna.

– Rzeczywiście. Bardzo jej się to nie podoba. Ale tak jest najlepiej.

– A Jakub? – pyta Nechama. – Czy wciąż jest w fabryce AVL?

Halina waha się, spuszcza wzrok.

– Tak, o ile wiem. Napisałam mu, że opuściliście getto przy Wałowej. Zapytał, czy mogłabym wydostać też jakoś rodziców Belli z Glinie, ale... – Halina przełyka ślinę. W samochodzie panuje cisza. –

Próbowałam – szepcze.

Nechama kręci głową.

– Co to znaczy?

– Oni... Getto na Glinicach zostało zlikwidowane. – Halina mówi teraz tak cicho, że ledwo ją słyhać w warkocie silnika.

– Izaak mówi, że zostało tam jeszcze parę osób, ale reszta... – Nie potrafi wypowiedzieć tych słów.

Nechama podnosi dłoń do ust.

– O nie. A getto przy Wałowej?

– Najwyraźniej jest następne.

Halina słyszy, że oddech siedzącego przed nią ojca staje się cięższy. Po policzku matki spływa łza. Cała radość, jaką czuli na początku podróży z powodu ponownego spotkania, wyparowała. Przez kilka minut nikt nic nie mówi. W końcu Halina przerywa ciszę.

– Zwolnij, tato, to tu, następna w prawo. – Wskazuje ponad jego ramieniem na wąską dróżkę. Jadą nią około dwustu metrów, aż dojeżdżają do małego wiejskiego domku pokrytego strzechą.

Nechama wyciera oczy i pociąga nosem.

– To tutaj? – pyta Sol.

– Tak – mówi Halina.

– Przypomnij, jak oni się nazywają? – pyta Nechama. – Ci gospodarze.

– Górcy.

Adam, poprzez swoje kontakty z podziemiem, znalazł Górskich na liście Polaków, którzy mieli odpowiednie warunki i byli gotowi za pieniądze ukrywać Żydów. Halina nie wiedziała, czy rzeczywiście nazywali się Górcy, wiedziała tylko, że mogą przyjąć jej rodziców. A przy swojej stałej pracy była w stanie im płacić.

Halina zna ten dom. Była tam raz, żeby się przedstawić i sprawdzić warunki życia. Żona była nieobecna, ale Halina nawiązała nić porozumienia z panem Górskim, który wtedy jeszcze nie zdradził jej swojego nazwiska. Był szpakowatym mężczyzną w średnim wieku, o drobnej posturze i życzliwych oczach.

„Jest pan pewien, że pańska żona nie ma nic przeciwko temu?” – upewniła się Halina przed odjazdem.

„Ależ nie – odpowiedział. – Oczywiście, że się denerwuje, to normalne, ale się zgadza”.

Sol zwalnia i zatrzymuje fiata przed domem. W zasięgu wzroku nie widać żadnych budynków mieszkalnych.

– Dobry wybór – mówi Nechama, kiwając głową.

Halina spogląda na matkę, pozwalając sobie przez chwilę cieszyć się jak dziecko z pochwały z jej ust. Podąża za wzrokiem Nechamy, spoglądającej na małą niską chatkę, zbudowaną na planie czworokąta, o ścianach z cedrowego drewna i białych okiennicach. Wybrała Górskich częściowo dlatego, że wydawali się naprawdę godni zaufania, i dlatego, że mieszkali godzinę drogi od Warszawy, na wsi. Ponieważ w pobliżu nie było sąsiadów, Halina miała nadzieję, że będzie mniejsze ryzyko, iż ktoś na nich doniesie.

– Nic szczególnego, ale stoi w odosobnieniu – mówi Halina. – Nie rozgaszczajcie się tu jednak za bardzo. Pan Górski powiedział, że policja granatowa już dwukrotnie pukała do ich drzwi w poszukiwaniu osób, które się ukrywają.

Słyszeli, że za złapanego Żyda dostaje się torebkę cukru albo tuzin jajek. Polacy traktują obławę na

Żydów poważnie.

Niemcy też. Wymyślili nawet na to określenie: *Judenjagd*. Polowanie na Żydów. Schwytanych Żydów można dostarczyć żywych lub martwych, nie ma różnicy. Jednocześnie Niemcy wprowadzili karę śmierci dla każdego Polaka, u którego znajdą ukrywającego się Żyda.

– Górscy obiecali, że nikomu o was nie powiedzą, nawet rodzinie i najbliższym przyjaciołom. Ale miejcie cały czas przy sobie fałszywe papiery – mówi dalej Halina. – Na wszelki wypadek. Nie możemy się ludzi, że nie będą mieli gości.

Nechama ściska łokieć Haliny.

– Nie martw się o nas, kochana. Damy sobie radę.

Halina przytakuje, choć nie potrafi już nie martwić się o rodziców. Opieka nad nimi stała się dla niej czymś naturalnym.

Tylko o tym może myśleć.

Sol przekręca kluczyk w stacyjce, z silnika dochodzi burknięcie, po czym zapada cisza. On i Nechama zerkają przez zabrudzoną od owadów szybę na swój nowy dom. Szaroniebieski chodnik prowadzi do drzwi frontowych, na których pobłyskuje w słońcu mosiężna kołatka zrobiona z podkowy.

– Będzie dobrze – mówi Sol, spoglądając na Halinę w lusterku wstecznym. Jego oczy są zaczerwienione.

– Mam nadzieję – szepcze Halina. – Chodźmy do środka.

Sol składa fotel kierowcy, żeby Nechama i Halina mogły się wygramolić na zewnątrz, a potem otwiera bagażnik, by wyjąć to, co zostało z ich stanu posiadania – małą płócienną torbę zawierającą zapasowy komplet ubrań dla obojga, trochę zdjęć, swoją hagadę i torebkę Nechamy.

– Tędy – mówi Halina i rodzice, okrążając dom, idą za nią do wejścia od tyłu, gdzie wzdłuż sznurka rozciągniętego między dwoma klonami wisi kilka poszarzałych koszul i gdzie w małym ogródku warzywnym rośnie groszek, kapusta i pomidory.

Halina puka dwukrotnie w tylne drzwi. Po minucie w oknie ukazuje się twarz pana Górskiego, a chwilę później drzwi się otwierają.

– Proszę – mówi, zapraszając ich do wejścia. Cicho wchodzą do pokoju, Sol zamyka za nimi drzwi. Pomieszczenie jest dokładnie takie, jak Halina je zapamiętała – małe, z niskim stropem, stoi tu fotel z obiciem w tureckie wzory, wysłużona sofa, a przy przeciwległej ścianie dwa regały na książki.

– Zapewne pani Górską – mówi Halina, uśmiechając się do szczupłej kobiety stojącej obok męża. – Ja jestem Halina. To moja mama, Nechama, i mój tata. Sol.

Kobieta szybko przytakuje, ręce ma splecione w talii.

Halina przerzuca wzrok z Górskich na swoich rodziców. Pomimo czasu spędzonego w getcie Sol i Nechama mają wciąż dość pełne, okrągłe kształty. Przy nich Górscy, ze swoimi wąskimi kibiciami i sterczącymi obojczykami, wyglądają jak szkielety.

Sol stawia torbę i podchodzi, wyciągając dłoń.

– Dziękuję pani, pani Górską – mówi. – Jesteście państwo bardzo wspaniałomyślni i odważni, że nas przyjmujecie.

Zrobimy wszystko, żeby nie sprawiać kłopotu podczas pobytu tutaj.

Pani Górską przez chwilę wpatruje się w Sola, a potem podaje mu rękę. *Delikatnie, tato*, błaga w duchu Halina, *bo połamiesz jej kości*.

– Madame – mówi Nechama, również wyciągając dłoń – proszę nam powiedzieć, co możemy zrobić, żeby pomóc w pracach domowych.

– To miło z pani strony – mówi pan Górski, zerkając na żonę. – I proszę nam mówić po imieniu – Albert i Marta.

Marta kiwa głową na potwierdzenie, ale usta ma zaciśnięte. Coś w jej postawie nie podoba się Halinie. Zastanawia się, o czym Górscy rozmawiali przed ich przyjazdem.

– Powinnam wkrótce wracać – mówi Halina. Wskazuje na regał. – Czy możecie wytłumaczyć rodzicom, jak to działa, zanim odjadę?

– Oczywiście – mówi Albert. Sol i Nechama przyglądają się, jak ich gospodarz obejmuje rękami wąską półkę i przesuwa ją ostrożnie wzdłuż ściany z cedrowego drewna.

– Jest na kółkach – zauważa Sol. – Nie zauważyłem.

– Tak, nie widać ich, ale przyspieszają i wyciszają przesuwanie. – Albert przykładą rękę do ściany. – Ta ściana ma od sufitu do podłogi osiem desek. Jeśli trzecią z nich przyciśniesz dokładnie tutaj, między tymi dwoma gwoździami – mówi, przesuując palcami po główkach dwóch żelaznych wbitych w drewno gwoździ – usłyszycie, jak coś przeskakuje.

Sol patrzy na ścianę, gdy Albert mocno się o nią opiera. Rzeczywiście rozlega się pstryknięcie i otwierają się małe prostokątne drzwi.

– Dopasowałem zawias do łączenia między deskami, więc jeśli ktoś nie wie, że tu są drzwi, to ich nie zobaczy.

– Koronkowa robota – szepcze Sol, będąc szczerze pod wrażeniem, a Alfred uśmiecha się zadowolony.

– Do kryjówki prowadzą trzy schodki. Nie da się w niej stanąć – mówi Albert, a Sol i Nechama pochylają głowy, żeby zajrzeć w czarny kwadrat za ścianą. – Położyliśmy tam koce i zostawiliśmy latarkę. Jest tam całkiem ciemno.

Sol kilka razy otwiera i zamyka małe drzwiczki.

– Tym – wyjaśnia Albert, wskazując na małą metalową zasuwkę – możecie się zamknąć od środka.

Dociska drzwi, aż znów rozlega się pstryknięcie, a potem przesuwa półkę z książkami z powrotem na miejsce.

– Chodźcie – mówi dalej, ponaglając ich ruchem ręki – teraz pokażę wam wasz pokój.

Marta odsuwa się i idzie na końcu, gdy jej mąż prowadzi Kurców krótkim korytarzem do sypialni obok.

– Jak będzie bezpiecznie – dodaje Albert – możecie spać tutaj.

Sol i Nechama rozglądają się po otynkowanym na biało pokoju, z dwoma jednoosobowymi łózkami. Nad prostą dębową komodą wisi pordzewiałe lustro.

– Damy wam znać, kiedy będziemy się spodziewać gości. Róża, siostra Marty, przychodzi dwa razy w tygodniu. Gdyby ktoś pojawił się niezapowiedziany, zatrzymamy go przy drzwiach, żebyście zdążyli schować się w kryjówce. Musicie wtedy oczywiście zabrać wszystkie swoje rzeczy, więc może najlepiej nie rozpakowujcie się.

– Macie syna? – pyta Sol, widząc w rogu parę rękawic bokserskich.

Marta wzdryga się.

– Tak, Zachariasza – mówi Albert. – Jest w Armii Krajowej.

– Ale od kilku miesięcy nie mamy od niego wiadomości – dodaje cicho Marta, wpatrując się w podłogę.

W ciszy wszyscy wracają do pierwszego pokoju.

Nechama kładzie rękę na ramieniu Marty.

– My mamy trzech synów – mówi.

Marta podnosi wzrok.

– Naprawdę? Gdzie... gdzie oni są?

– Jeden – wyjaśnia Nechama – z tego, co ostatnim razem słyszeliśmy, pracuje w fabryce pod Radomiem. Ale od dwóch pozostałych nie mamy wieści od, no cóż, tak naprawdę od początku wojny. Jednego zabrali Rosjanie, a nasz średni syn w momencie wybuchu wojny był we Francji. Teraz... nie wiemy...

Marta kręci głową.

– Przykro mi – szepcze. – To straszne nie wiedzieć, gdzie oni są, czy nic im nie jest.

Nechama kiwa głową i między kobietami zawiązuje się coś, co uspokaja serce Haliny.

Albert staje z powrotem u boku swojej żony, kładzie jej rękę na ramieniu.

– Niedługo – oświadcza nagle spoważniałym głosem – ta przekłeta wojna się skończy. A my wszyscy będziemy mogli wrócić do normalnego życia.

Kurcowie przytakują mu, modląc się w duchu, by w jego słowach było ziarno prawdy.

– Naprawdę muszę już jechać – mówi Halina. Wyciąga z torebki kopertę z dwustoma złotymi i podaje ją Albertowi.

– Przyjadę za miesiąc. Masz mój adres, proszę, gdyby coś się stało – mówi, unikając wzroku rodziców – natychmiast do mnie napisz.

– Oczywiście – mówi Albert. – Do zobaczenia za miesiąc. Uważaj na siebie.

Górcy wychodzą z pokoju, żeby zostawić Kurców na chwilę samych.

Sol uśmiecha się do Haliny, a potem z uśmiechem wskazuje pokój, zwracając dłonie ku górze.

– Dobrze o nas zadbałaś – mówi, a w kącikach jego oczu pojawiają się kurze łapki. W sercu Haliny rodzi się tęsknota za ojcem, za jego uśmiechem, którego będzie jej brakować, zaraz gdy tylko wyjdzie za drzwi. Wyciąga ku niemu ręce, przyciska policzki do jego miękkiej piersi.

– Do widzenia, tato – szepcze, ciesząc się ciepłem jego uścisku i mając nadzieję, że on pierwszy jej nie puści.

– Uważaj na siebie – mówi Sol, gdy uwalniają się z uścisku, i wręcza jej kluczyki od fiata.

Z oczami pełnymi łez, podkreślającymi zieleń jej oczu, Halina odwraca się do matki. Jest wdzięczna za to, że w pokoju panuje mrok, bo obiecała sobie, że nie będzie płakać. *Weź się w garść*, przywołuje się do porządku. *Są tutaj bezpieczni. Za miesiąc znów ich zobaczysz.*

– Do zobaczenia, mamó – mówi. Obejmują się i całują w policzki. Po tym, jak faluje klatka piersiowa Nechamy, Halina domyśla się, że matka też robi wszystko, żeby się nie rozplakać.

Halina zostawia rodziców przy sprytnej półce z książkami i odchodzi w stronę drzwi.

– Przyjadę we wrześniu – mówi już z ręką na klamce. – Postaram się zdobyć jakieś wieści.

– Tak, bardzo prosimy – mówi Sol, biorąc Nechamę za rękę.

Jeśli rodzice tak samo denerwują się jej odjazdem jak ona, to dobrze udało im się to ukryć. Otwiera drzwi i mruży oczy w świetle popołudnia, niemal spodziewając się, że za suszącymi się koszulami Alberta przyłapie kogoś na szpiegowaniu.

Wychodzi na zewnątrz i odwraca się, by spojrzeć na rodziców. Ich twarze są ukryte w cieniu.

– Kocham was – mówi do zarysów ich postaci i zamyka za sobą drzwi.

17– 18 SIERPNIA 1942: Duże getto w Radomiu jest likwidowane. W ciągu dwóch dni zamordowano ośmiuset mieszkańców, wśród nich pensjonariuszy schroniska dla osób starych, osoby niepełnosprawne i chorych ze szpitala w getcie. Około osiemnastu tysięcy pozostałych Żydów zostaje wysłanych do Treblinki. W Radomiu pozostają mniej więcej trzy tysiące młodych wykwalifikowanych robotników do pracy przymusowej.

ROZDZIAŁ 37

Genek i Herta

Teheran, Iran ~ 20 sierpnia 1942

W PRZEŚWICIE POMIĘDZY ICH RAMIONAMI pojawia się pomarańczowy błysk. Genek wzdyga się. Herta instynktownie zakrywa dłonią twarz Józefa. Stanowią troje z dwadzieściora polskich rekrutów, upchanych na pace starej ciężarówki, jedno obok drugiego, na warstwie dykty. Każdy przyjechał z innego obozu, zwolniony, tak jak Genek i Herta, na mocy amnestii, żeby walczyć po stronie aliantów. Są w kiepskiej formie fizycznej, ich skórę pokrywają liczne wrzody, strupy, rany po świerzbie. Tłuste włosy, w których roi się od wszy, lepią się im do czoła. Postrzępione ubrania zwisają luźno na ich wątłych ciałach, wokół roztacza się smród, podążający za samochodem jak odrażający, cuchnący cień. Kilkoro z nich, najbardziej chorych, leży u stóp Genka i Herty, nie mogąc już siedzieć, wydaje się, że tylko godziny dzieli ich od śmierci.

Od trzech dni jadą wzdłuż wybrzeża Morza Kaspijskiego, wąską bitą drogą, wzdłuż której roztaczają się piaszczyste wydmy, a od czasu do czasu rośnie palma.

– Myślę, że już prawie jesteśmy w Teheranie – mówi Genek. Szeroko otwartymi oczami wpatrują się w Irańczyków, którzy stoją wzdłuż zakurzonej jezdni i odwzajemniają im się tym samym.

– Musimy wyglądać żałośnie – szepcze Herta.

Teheran ma być końcem ich podróży, przemierzili już pięć tysięcy kilometrów. Odkąd zostali zwolnieni z obozu pracy w Altynaj, minął rok. W tym dziewięć miesięcy, odkąd wyjechali w końcu z Wrewskoje w Uzbekistanie, gdzie zmuszeni byli spędzić zimę. W styczniu i lutym było im ciężko. Przy racjach żywnościowych, składających się z osiemdziesięciu gramów chleba i miski wodnistej zupy dziennie, stracili około jednej czwartej wagi ciała. A gdyby z Armii Andersa nie przysłano im koców, zmarliby na śmierć.

Ale i tak mieli szczęście. Setki tych, którzy podobnie jak oni przyjechali do Uzbekistanu, żeby przyłączyć się do armii, umarło we Wrewskoje. Co tydzień przez wioskę przejeżdżał ze stukotem wóz i zbierał wychudzone szczątki tych, którzy przegrali walkę z malarią, tyfusem, zapaleniem płuc, biegunką i głodem. Zwłoki wrzucano na wóz za pomocą wideł, a poza miastem układano je w stosy. Gdy urosły, oblewano ciała ropą naftową i palono je. Mdlący zapach utrzymywał się w powietrzu jeszcze długo po tym, jak ciała obróciły się w popiół.

W marcu było już jasne, że Stalin ani nie jest w stanie, ani nie chce nakarmić i wyposażyć zesłańców, którzy zgłosili się do Armii Andersa. Według spisu w Uzbekistanie czekało na rozkazy czterdzieści cztery tysiące rekrutów. Sowieci wydawali jednak racje żywnościowe tylko dla dwudziestu sześciu tysięcy. Anders, wściekły, zaczął naciskać na Stalina, by dał mu pozwolenie na ewakuację wojsk do Iranu, gdzie przeszliby na utrzymanie Brytyjczyków. Gdy Stalin w końcu się na to zgodził, Genek i Herta wyruszyli w kolejny, czteromiesięczny exodus, pokonując dwa tysiące czterysta kilometrów niekończących się

stepów i pustyni, przez Samarkandę i Czirakchi do portowego miasta Krasnowodzk w Turkmenistanie na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Tam zostali otoczeni przez żołnierzy NKWD trzymających w rękach duże płócienne worki.

„Zostawcie wszystko, czego nie jesteście w stanie unieść” – powiedziano im. Rozkaz ten był zupełnie bez sensu, bo większość z nich nie miała ze sobą nic poza koszulą na grzbiecie.

„Pieniądze i dokumenty też – rozkazał jeden z enkawudzistów, dodając, że przy wejściu na pokład będą przeszukani.

– Każdy, kto spróbuje przemycić pieniądze albo papiery, zostanie aresztowany”.

Genek i Herta ostatnie pieniądze wydali wiele miesięcy temu. Polskie paszporty skonfiskowano im jeszcze we Lwowie.

We Wrewskoje pożegnali się z zaświadczeniami o amnestii i pozwoleniami na pobyt czasowy wydanymi w Altynaj, tak samo jak z paszportami, które dostali już w Uzbekistanie. Bez grosza przy duszy i jakichkolwiek dokumentów byli prawdziwymi nomadami. Ale to się nie liczyło. Ochocho spełnili wszystkie polecenia, żeby tylko wydostać się z uścisku żelaznej pięści i znaleźć się pod troskliwą opieką Brytyjczyków albo generała Andersa. Dopiero wchodząc stromym trapem na pokład zardzewiałego frachtowca „Kaganowicz”, który miał ich zabrać do irańskiego portu Pahlawi, poczuli w gorącym, słonym powietrzu pierwszy powiew wolności.

Po kilku dniach na morzu zapach ten szybko jednak zdominował smród wymiocin, kału i moczu. Przez piekielnych czterdzieści osiem godzin stali na pokładzie ramię w ramię razem z tysiącami innych pasażerów, brodząc w ekskrementach, a ich głowy smażyły się w blasku bezlitosnego słońca. Od nieprzerwanego kołysania fal przewracało im się w żołądkach. Zatłoczony był każdy centymetr kwadratowy statku: ładownia, pokład, klatki schodowe, a nawet łodzie ratunkowe. Dziesiątki ludzi zmarło, ich zwiotczale ciała podawano sobie na wyciągniętych rękach ku najbliższej barierce, przez którą wyrzucano je za burtę w otchłanie morza.

W końcu, w sierpniu, Genek i Herta dotarli do Pahlawi, irańskiego portu na południowym wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Byli oszołomieni ze zmęczenia, w głowie kręciło im się z głodu, pragnienia i od choroby morskiej.

Dowiedzieli się, że poprzedni statek z ponad tysiącem osób na pokładzie zatonął. Przez dwie noce spali pod gołym niebem na plaży w Pahlawi, czekając na konwój ciężarówek, które miały ich zabrać do Teheranu, gdzie, jak im powiedziano, stacjonowała dywizja Wojska Polskiego.

Nad ich głowami przelatuje druga kulka i tym razem Genek instynktownie ją łapie. Dlaczego tubylcy mieliby nękać tak nędznie wyglądającą grupę ludzi – zastanawia się. Ale gdy otwiera dłoń, znajduje w niej pomarańczę. Ładną. Świeżą.

Soczystą. Pierwszy owoc, jaki ma w rękach od ponad dwóch lat. Ogląda się przez ramię, żeby znaleźć wzrokiem tego, kto ją rzucił, i dostrzega młodą kobietę w brązowym szalu na głowie, stojącą na poboczu i trzymającą ręce na ramionach dwóch stojących przed nią małych chłopców. Uśmiecha się, jej brązowe oczy są łagodne i pełne litości. Wtem wszystko jest jasne – pomarańcza nie została rzucona na znak pogardy, to był dar. Pomoc. Gdy Genek obraca owoc w dłoni, jego oczy wypełniają się łzami. Dar. Macha do kobiety, która odwzajemnia gest, a następnie znika w chmurze kurzu. Genek nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś obcy zrobił dla niego coś miłego, nie oczekując niczego w zamian.

Wbija brudny paznokieć w pomarańczę, obiera ją i podaje cząstkę Hercie. Ona odgryza od niej kawałek, a resztę wkłada do ust Józefowi, śmiejąc się cicho, bo ten marszczy nosek.

– To pomarańcza, Ze – mówi. To dla niego nowe słowo. – Pomarańcza. Niedługo polubisz.

Genek odrywa cząstkę dla siebie, zamyka oczy i przeżuwa. Smak eksploduje mu w ustach. To najśladza rzecz, jaką w życiu jadł.

Ich obóz zwrócony jest na północ, ku wybrzeżu Morza Kaspijskiego, widać z niego fioletowoszare góry Elburs.

– Czy my jesteśmy w raju? – szepcze Herta, chwytając Genka za rękę, gdy zbliżają się do obozu.

Dwie młode Angielki w wojskowych czapkach nasuniętych nisko na czoło witają ich skinieniem głów i kierują ku długim, wąskim namiotom, których boczne płachty są podniesione i zwinięte dla lepszej cyrkulacji powietrza.

– Mężczyźni na prawo, kobiety na lewo – tłumaczą, wskazując na dwa namioty, na których napisano: DEZYNFEKCJA.

W męskim namiocie Genek rozbiera się bardzo chętnie. Zapasowe ubrania sprzedał za drewno i dodatkowe racje żywnościowe na przetrwanie syberyjskiej zimy. Od tamtego czasu niemal codziennie miał na sobie te same spodnie, koszulę i bieliznę. Podchodzi do gumowego węża, z którego psika coś, od czego pieką go nozdrza.

– Lepiej zakryć oczy! – woła rekrut, który stał przed nim i już kończy zabieg.

Prysznic dezynfekcyjny szczypie, ale Genek rozkoszuje się zimnymi biczami, które czuje na żebrach, które splukują brud z jego skóry, oczyszczają go z pobytu na wygnaniu. Gdy jest już po wszystkim, otwiera oczy i z ulgą widzi, że mały stosik jego łachmanów zniknął, z pewnością przeznaczony do spalenia. Strzepuje z siebie kilka kropli substancji o silnym zapachu i przyłącza się do innego rekruta, który stoi przy czymś, co wygląda na wiadro z wodą morską, i splukuje się gąbką – gąbką! Ponieważ za nim jest kolejka, Genek bardzo się stara, żeby nawet o minutę nie przedłużyć swojej pierwszej od miesiąca kąpieli. Teraz pachnie jak mieszanka chloru i morza. Dostaje ręcznik i prowadzą go do drugiego namiotu, w którym przygotowano, starannie poukładane, stosiki nowych ubrań: bieliznę, podkoszulki i mundury w różnych rozmiarach i różnych rodzajów. Wybiera cienkie spodnie w kolorze khaki i wkłada przez głowę koszulę z kołnierzykiem, z krótkim rękawem; dotyk miękkiej bawełny na piersi wydaje mu się luksusem. W trzecim namiocie dostaje parę białych płóciennych butów, hełm z korka, woreczek daktyli, sześć papierosów i małą sumę pieniędzy.

– Śniadanie jest punkt o siódmej – słyszy przed wyjściem od kwatermistrza.

– Śniadanie? – Genek tak bardzo przyzwyczyił się do jedzenia raz dziennie, że myśli, iż rano można wrzucić do żołądka coś pożywnego, jest mu obca.

– No, chleb, ser, dżem, herbata.

Ser i dżem, i herbata! Genek tylko kiwa głową, bo ślinka napłynęła mu do ust i zbyt jest rozradowany, żeby wydusić z siebie słowo.

Na plaży znajduje Hertę. Siedzi z Józefem na kolanach, obok niej stoi kosz pomarańczy. Dostała takie same spodnie khaki i koszulę, tyle że damskie. Józef ma na sobie tylko pieluchę i chusteczkę, którą Herta zanurzyła w wodzie morskiej i zawiązała mu na głowie. Kopie stopami w piasku, zafascynowany dotykiem drobnych gorących ziarenek na swojej skórze. Obok przechodzi młody Pers sprzedający winogrona. Przez

chwilę siedzą w ciszy, wpatrzeni w horyzont, w połyskujące Morze Kaspijskie i mający nad nim zębaty masyw Elbrusu.

– Myślę, że to dobre miejsce – mówi Genek, uśmiechając się.

SIERPIEŃ 1942, TEHERAN: Wkrótce po tym, jak ludzie generała Andersa docierają do Teheranu, Stalin naciska, by Polaków od razu wysłać na front. Generał uważa jednak, że rekruci potrzebują więcej czasu, by nabrać sił. Wielu z nich umiera w Teheranie – jedni na skutek chorób i osłabienia po długiej tułaczce, inni w wyniku niedrożności jelit, bo ich żołądki nie są w stanie przystosować się do nagłego przyływu dużych ilości jedzenia. Pozostali, dzięki opiece Persów i zapasom przysyłanym z Wielkiej Brytanii, nabierają sił. Gdy w październiku przybywają do obozu nowe mundury połowę i prawdziwe skórzane oficerki, morale w obozie sięga szczytu.

23 SIERPNIA 1942: Początek bitwy o Stalingrad. Nazistowskie Niemcy przy wsparciu sił państw Osi przesuwają granice swoich europejskich terytoriów i walczą o Stalingrad w południowo – zachodniej Rosji. Bitwa ta okaże się jedną z najkrwawszych w historii.

Felicja

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ wrzesień 1942

FELICJA CICHO PODŚPIEUWUJE PIOSENKĘ o kotku, której nauczył ją dziadek. Kuca w kuchni na podłodze z linoleum, układając jedna na drugiej metalowe miski. Co kilka minut zerka na okrągły zegar, który wisi obok pieca (mama nauczyła ją niedawno odczytywać godzinę ze wskazówek zegara), odliczając minuty do piątej, kiedy ma przyjść Miła. Mieszkanie należy do znajomej ciotki Haliny. Jest o wiele ładniejsze niż to w getcie, ale tam mama przychodziła do niej codziennie wieczorem. Tu w Warszawie, z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów, jej mama mieszka w osobnym mieszkaniu nieopodal. Razem spędzają czas tylko w soboty lub niedziele, a raz w tygodniu Miła przychodzi, żeby zostawić pieniądze właścicielom mieszkania. Para, która tu mieszka, pracuje, więc Felicja przyzwyczaiła się do tego, że całymi dniami jest sama. Jest tu jeszcze jeden podrzutek, starszy pan imieniem Karol, który pojawił się kilka tygodni temu, ale Felicja nie spędza z nim czasu. On najczęściej czyta albo siedzi w swoim pokoju. Felicji to nie przeszkadza, bo gdy obcy ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, zadają jej pytania, czuje się nieswojo.

Słysząc, jak przekręca się klucz w zamku, i Felicja patrzy na zegar, na długą wskazówkę. Jest za wcześnie. Jej mama przychodzi zazwyczaj kilka minut po piątej, nigdy wcześniej, a właściciele wracają dopiero o szóstej. Przez chwilę Felicja wyobraża sobie, że to jej tata.

„Znalazłem cię!” – powiedziałby, wpadając przez drzwi w mundurze wojskowym.

Ale potem dziewczynka nieruchomieje i zastanawia się, czy powinna się schować. Powiedziano jej, żeby uważała na obcych. Drzwi mieszkania otwierają się i zamykają, a po chwili słychać wołanie. Felicja rozluźnia się, rozpoznając głos kuzynki mamy, Franki.

– Felicja, kochanie, to ja. Franka. Twoja mama nie mogła przyjść – tłumaczy Franka, idąc korytarzem do kuchni. – Tu jesteś – mówi na widok Felicji siedzącej na podłodze wśród misek. – Twoja mama ma się dobrze, tylko musi dzisiaj zostać dłużej w pracy. – Franka stawia na kuchennym stole pudełko i pochyla się, żeby przytulić Felicję.

– Musi zostać dłużej w pracy? – pyta Felicja, kierując wzrok za Frankę, jakby w nadziei, że zobaczy tam mamę.

– Spróbuj przyjść do ciebie jutro. – Franka prostuje się. – Wszystko dobrze?

Felicja spogląda w górę na Frankę. Wydaje jej się zdenerwowana, jakby się spieszyła.

– Tak, dobrze. Zostaniesz ze mną? – pyta, chociaż wie, jaka będzie odpowiedź.

– Bardzo bym chciała, kochana. Ale dzisiaj wieczorem pracuję, na dole czeka na mnie Sabina. Przyszła ze mną, żeby stać na czatach. Nikt nie powinien mnie tu widzieć, ale przyniosłam pieniądze.

Felicja wzdycha i wstaje, żeby przyjrzeć się pudełku, które Franka postawiła na stole.

– Co to jest? – pyta. Ponieważ zbliżają się jej czwarte urodziny, błagała mamę o nową sukienkę. Może Franka właśnie ją przyniosła.

– To buty. Pomyślałam, że najlepiej, jeśli będzie wyglądało, że przyniosłam przesyłkę. Na wypadek gdyby ktoś spytał, dlaczego tu jestem – mówi Franka.

– Aha – oczy Felicji są na poziomie pudełka. Staje na paluszkach, żeby zajrzeć pod pokrywkę, zastanawiając się, jak mogą wyglądać nowe buty. Ale półbuciki znajdujące się w środku są stare i znoszone.

– Czegoś ci potrzeba? – mówi Franka, wyciągając spod bluzki kopertę.

Felicja spuszcza wzrok na podłogę. Potrzebuje wielu rzeczy. Nie odpowiada.

Franka wkłada kopertę tam, gdzie zwykle – za ramę obrazu nad piecem.

– Gdzie jest pan... jak on się nazywa? – pyta, patrząc na zegarek.

Felicja ma właśnie opowiedzieć, że Karol jeszcze nie wyszedł ze swojego pokoju, gdy ktoś głośno puka w drzwi.

Pierwsza myśl Felicji jest taka, że to przyjaciółka Franki, Sabina. Ale Franka podskakuje. Patrzy na zegarek, potem na Felicję. Wpatrują się w siebie, niepewne, co robić. Po kolejnym stuknięciu w drzwi Franka podnosi obrus i wskazuje palcem.

– Chowaj się, szybko! – szepcze.

Felicja gramoli się pod stół. Stukanie rozlega się po raz trzeci. Tym razem brzmi, jakby o drewno uderzał metal. Jeśli nikt im nie otworzy, wyważą drzwi, uświadamia sobie Felicja.

Franka poprawia obrus, tak żeby zwiisał centymetr nad podłogą.

– Idę! – woła, a potem kuca i szepcze: – Jeśli cię znajdą, to jesteś córką stróża.

„Jestem córką stróża”. To ma powiedzieć, gdyby ktoś odkrył, że się ukrywa. W ciągu miesięcy, odkąd przeprowadziła się do tego mieszkania, nie musiała tego robić. Aż do dziś nikt nie przychodził bez zapowiedzi, z wyjątkiem właścicieli mieszkania.

– Jestem córką stróża – szepcze, wiedząc, że to kłamstwo.

Gdy tylko Franka otwiera drzwi, Felicja słyszy głosy. Trzy, może cztery, krzyczą w języku, który już umie rozpoznać, to niemiecki. Głosy należą do mężczyzn. Wchodzą głośno z przedpokoju do kuchni. Pod stołem Felicja podskakuje ze strachu na dźwięk brzęczenia jej misek, rozrzuconych po podłodze.

W zamieszaniu słyhać też głos Franki. Mówi szybko, wyjaśnia, że tu nie mieszka, potem mówi coś o butach, ale Niemców zdaje się to nie interesować.

– *Halt die Schnauze!* – krzyczy jeden z nich, Felicja wstrzymuje oddech. Idą korytarzem w kierunku sypialni. Przez chwilę jest cicho. Felicja czuje pokusę, by stamtąd uciec albo zawołać Frankę, ale zamiast tego postanawia, że będzie liczyć. Raz, dwa, trzy. Zanim zdąży doliczyć do czterech, znów odzywają się wrzaski, a gdy dziewczynka słyszy też głos Karola, zaczyna się trząść. Czy to po niego przyszli?

Wkrótce słyhać, jak mężczyźni się przemieszczają, ich oficerki z powrotem stukają po korytarzu, zbliżają się w jej kierunku, a potem ci ludzie są w kuchni i znów krzyczą, a Karol błaga z płaczem i rozpaczą w głosie: – Proszę, nie, błagam! Mam dokumenty!

Felicja modli się, żeby Niemcy obejrzeliby jego dokumenty i poszli sobie, ale to na nic się zdaje. Słyhać wystrzał.

Franka wydaje okrzyk, a chwilę potem podłoga trzęsie się pod ciężarem czegoś ciężkiego, co upada z głuchym łoskotem.

Felicja kładzie sobie ręce na ustach, by zagłuszyć okrzyk przerażenia. Serce bije jej tak mocno i szybko,

że wydaje się, że zaraz podejdzie jej do gardła.

Jeden z niechcianych gości wybucha śmiechem. Felicja stara się oddychać spokojnie, cała się przy tym trzęsie z wysiłku.

Słysząc jakieś poruszenie. Więcej śmiechu. Coś o pieniądzach.

– Widzisz? – mówi ktoś chrapliwie łamaną polszczyzną, pewnie do Franki. – Widzisz, co się dzieje z tymi, którzy próbują się ukrywać? Powiedz właścicielom, że tu wrócę.

W zasięgu wzroku Felicji coś się porusza. Wstążka purpury wężykiem zmierza powoli w jej kierunku pod obrus. Gdy dziewczynka uświadamia sobie, co to jest, prawie wymiotuje. Przesuwa się cicho pod drugi kraniec stołu, przyciąga kolana do piersi i zaciska oczy.

– Tak, proszę pana – mówi Franka tak cicho, że ledwie ją słyszeć.

W końcu głosy i kroki cichną i drzwi mieszkania się zamykają. Niemcy wyszli.

Felicja instynktownie chciałaby się ruszyć, wyjść, tak szybko, jak tylko się da, spod stołu, uciec jak najdalej od tej krwawej sceny, ale nie może. Kładzie głowę na kolanach i płacze. Chwilę później pod stołem jest z nią Franka i obejmuje jej skulone ciało.

– Już dobrze – szepcze, przyciskając usta do ucha Felicji i kołysząc się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. – Nic ci się nie stało. Wszystko będzie dobrze.

Adi

Rio de Janeiro, Brazylia ~ styczeń 1943

PIERWSZE KROKI PO POWROCIE do Rio de Janeiro z Minas Gerais, po zakończeniu pracy w interiorze, Adi kieruje do urzędu pocztowego w Copacabanie. Codziennie wieczorem w Minas modlił się o list, ale gdy wchodzi do środka i widzi spojrzenie Gabrieli, jego nadzieje natychmiast się rozwiewają.

– Przykro mi, Adi – mówi Gabriela zza kontuaru. – Miałam nadzieję, że coś do ciebie przyjdzie. – Wydaje się, że naprawdę jest jej przykro, iż musi przekazać złe wieści.

Adi zmusza się do uśmiechu.

– W porządku, płonne nadzieje. – Przeczesuje włosy ręką.

– Miło, że wróciłeś! – woła Gabriela, gdy Adi odwraca się do wyjścia.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – mówi Adi z udawanym optymizmem.

Gdy wychodzi z poczty, opuszcza głowę, zaczyna odczuwać ból w piersiach. Głupi był, że łudził się nadzieją. Pociąga nosem, żeby powstrzymać łzy, a potem krzyżuje ręce na piersi. *Sama tęsknota niczego nie załatwi* – mówi sobie. *Musisz robić więcej. Coś. Cokolwiek.* Dzisiaj po południu, postanawia, pójdzie do biblioteki. Przejrzy zagraniczne gazety, poszuka wskazówek. Może znajdzie jakąś informację, która go pocieszy. To, co czytał w Minas, było przygnębiające, a czasem niezrozumiałe. Jeden z autorów artykułów nazwał działania Hitlera mające na celu likwidację Żydów w Europie „masowymi mordami z premedytacją” i podał wręcz nieprawdopodobną liczbę zabitych. W innym artykule napisano, że „sytuacja Żydów” jest przedstawiana z dużą przesadą i że ich nie likwidowano, tylko po prostu prześladowano. Adi nie wiedział, w co wierzyć. Oburzało go też to, że te nieliczne informacje, które udawało mu się znaleźć, wciskano w środek gazety, tak jakby redaktorzy nie byli pewni, czy fakty są prawdziwe, i jakby nagłówek **PONAD MILION ZABITYCH OD**

WYBUCHU WOJNY nie nadawał się na pierwszą stronę. Najwyraźniej los europejskich Żydów nie interesował zbyt wiele Brazylijczyków. Ale on nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Adi zakłada okulary przeciwsłoneczne, instynktownie wsuwa rękę do kieszeni po chusteczkę mamy i gładzi palcami miękkie białe płótno, dopóki w kącikach oczu nie wyschną mu łzy. Patrzy na zegarek. Za piętnaście minut ma się spotkać z Elišką na lunch.

Odwiedziła go raz podczas jego pobytu w Minas, ale jej wizyta nie wpłynęła na naprawę psującego się związku. Eliškę przybiło to, gdy Adi wyznał jej, jak bardzo się martwi i że nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o swojej rodzinie.

„Chciałabym zrozumieć, przez co przechodzisz – powiedziała i Adi pierwszy raz w życiu zobaczył, jak płacze. – Adi...

a jeśli nigdy nie odnajdziesz swojej rodziny? Co wtedy? Jak sobie poradzisz?”.

Te słowa, wypowiedziane przez Eliškę na głos, oraz ich konsekwencje sprawiły mu wiele bólu, miał jej

za złe, że je wypowiedziała, choć przecież sam też sobie te pytania zadawał.

„Będę miał ciebie” – powiedział cicho, ale czuło się, że jego słowom brakuje głębi. Teraz było już jasne. Eliška wiedziała równie dobrze jak on, że dopóki nie odnajdzie rodziny, nie będzie w stanie w pełni poświęcić się budowaniu z nią nowego życia i kochać jej całym sercem. Eliška nie płakała nad nim, uświadomił sobie, ona płakała nad sobą. Już zaczęła sobie wyobrażać przyszłość bez niego.

Adi zbliża się do końca budynku i ku ustawionym na zewnątrz stolikom Cafe Campanha. Jest wcześnie. Eliški jeszcze nie ma. Zajmuje miejsce przy jednym ze stolików i zastanawia się, jak rozwinie się rozmowa, czy doprowadzi do zerwania zaręczyn, a jeśli tak, co to będzie dla nich obojga oznaczać. Z ciężkim sercem wyciąga z kieszeni na piersi skórzany notes.

Od miesięcy niczego nie skomponował, ale teraz myśli o rodzinie i Eliście, o tym, co to znaczy kochać i być kochanym, układają mu się w melodię. Na białej kartce rysuje pięciolinię, dodaje znajomy znak oznaczający tempo trzy czwarte. Ten nowy utwór, postanawia, przelewając na papier pierwsze nuty, to będzie powolny walc w tonacji molowej.

Mila

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ styczeń 1943

EDGAR, KTÓRY TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ skończył pięć lat, skacze wokół idącej Mili. Nos ma różowy od zimna.

- Tędy się nie idzie do parku, Frau Kremska. – Mówi takim tonem, jakby był mądrzejszy od niej.
- Wiem. Po drodze gdzieś wstąpimy. Tylko na chwilę.

Po czterech miesiącach pracy w Warszawie u rodziny nazistów Mila mówi płynnie po niemiecku.

W domu Backerów (Mila dowiedziała się, że uprzednio należał do rodziny żydowskiej, która teraz najprawdopodobniej mieszkała w getcie) Milę znają jako Izę Kremską. Ojciec Edgara to wysoko postawiony oficer Gestapo. Jego matka, Gundula, jest tak samo leniwa jak ich kot, ale swoje próżniactwo nadrabia wybuchowością i roszczeniowością – to typ człowieka, który uważa, że wszystko wie najlepiej, ma skłonność do trzaskania drzwiami i szastania pieniędzmi swojego męża. Praca Mili daleka jest od ideału, ale dzięki niej ma pieniądze, i pomimo tego, że łamie jej się serce, iż codziennie zajmuje się cudzym dzieckiem, nie swoim, lubi Edgara, nawet tak rozpieszczonego, a praca jest o wiele lepsza niż ta w warsztacie w getcie przy Wałowej. Przynajmniej tu, w Warszawie, w przeciwieństwie do getta, ma coś, co odrobinę przypomina niezależność.

Mila spędza poranki, przecierając meble wilgotną ścierką, myjąc porcelanowe kafelki w łazience i przygotowując posiłki. Po południu zabiera Edgara do parku. Nieważne, jaka pogoda – mróz czy deszcz, gołoledź czy śnieg – Gundula chce, żeby jej syn spędził godzinę na dworze. I tak codziennie Mila spaceruje z chłopcem tą samą trasą od bramy Backerów, ulicą Stępińską do południowego krańca Łazienek. Dziś jednak zboczyła nieco w bok, na ulicę Zbierską. To ryzyko – nie jest pewna, czy uda się jej przekonać Edgara, żeby nic nie powiedział matce – ale Edith powiedziała jej, żeby przyszła w ciągu dnia, a ona rozpaczliwie potrzebuje się z nią spotkać.

Edith, krawcową, poznała niedługo po tym, jak zaczęła pracować u Backerów. Przychodzi co tydzień, żeby zreperować obrus albo wziąć miarę na sukienkę dla Frau Backer, marynarkę dla Herr Backera czy pumpy dla Edgara. Wczoraj Edith przyszła, gdy nie było Gunduli, więc zaczęły ze sobą rozmawiać. Mila była akurat w połowie polerowania srebra wypełniającego całą szufladę. Bardzo dobrze im się gawędziło przyciszonym głosem po polsku, w ich ojczystym języku.

Mila nie mogła się oprzeć podejrzeniu, że Edith też była Żydówką udającą Aryjkę, a potwierdzeniem tego były jej słowa, że wychowała się niedaleko ulicy Okopowej – Mila od razu wiedziała, że to część dzielnicy żydowskiej, dziś getta. Gdy powiedziała jej o Felicji, Edith wspomniała o klasztorze sióstr katolickich poza Warszawą, który przyjmował osierocone dzieci.

– Mogę się dowiedzieć, czy mają miejsce dla jeszcze jednego – zaproponowała, ale w chwili gdy to mówiła, wróciła Gundula i przez resztę popołudnia kobiety pracowały w ciszy. Przed wyjściem Edith

ukradkiem podała Mili swój adres, naskrobała go na skrawku papieru, wyrwanym z rogu jednego z czasopism Backerów.

– Mieszkam przy tej ulicy – szepnęła i dodała: – Musisz przyjść wczesnym przedpołudniem, kiedy moi sąsiedzi będą w pracy. Oni... uważnie obserwują.

Mila zerka na mały trójkątny kawałek papieru, który trzyma w dłoni, i sprawdza adres: Zbierska 4.

– Gdzie wstąpimy po drodze? – dopytuje Edgar. – Chcę iść do parku.

– Twoja mama prosiła, żebym zaszła do Edith, krawcowej – kłamie Mila. – Znasz ją, widziałeś ją w domu. W zeszłym tygodniu zdejmowała z ciebie miarę na koszulkę.

– A po co?

– To nieważne. Tylko na minutę. – Mila przyciska dzwonek przy nazwisku Edith, ciesząc się, że krawcowa dopisała do adresu swoje nazwisko, a po chwili przez głośnik słyhać skrzeczący głos Edith.

– Kto tam? – pyta po polsku.

Mila chrząka.

– Edith, tu Iza. Jest ze mną Edgar. Możemy wejść na chwilę?

Sekundę później drzwi się otwierają i Mila i Edgar wspinają się wąską klatką schodową trzy piętra w górę, do drzwi oznaczonych 3B.

Edith wita ją uśmiechem.

– Witaj, Iza. Cześć, Edgar. Proszę, wejdźcie.

Edgar, niezadowolony, wchodzi do środka.

– Przepraszam, że wpadłam do ciebie niezapowiedziana – mówi Mila. Zerka na Edgara, zastanawiając się, jak wiele chłopiec rozumie z polskiego, a potem patrzy z powrotem na Edith. – Wczoraj wspomniałaś o klasztorze...

Edith porozumiewawczo kiwa głową.

– Tak, jest we Włocławku, około osiemdziesięciu kilometrów stąd. Szczerze mówiąc, wysłałam dzisiaj list, żeby poinformować ich, że znam dziecko w potrzebie. Jak tylko odpiszą, dam ci znać.

– Dziękuję – szepcze Mila. – Bardzo... bardzo doceniam twoją pomoc.

– Nie ma za co.

Edgar szarpie Milę za spódnice.

– Możemy już iść? Minuta już minęła.

– Tak, już wychodzimy. Idziemy do parku – odpowiada Mila po niemiecku, starając się zachować w głosie beztroski ton, i odwraca się do wyjścia.

– Dzięki za wizytę, Iza – mówi Edith. – Trzymajcie się ciepło.

– Spróbujemy.

Następnego dnia, w chwili gdy Mila wiesza płaszcz w przedpokoju Backerów, czuje, że coś jest inaczej niż zwykle.

W mieszkaniu nie słyhać najmniejszego ruchu, panuje niepokojąca cisza. Herr Backer już powinien być w pracy, ale zazwyczaj, gdy Mila przychodzi, Gundula krząta się bez celu, gryzmoli dla Mili listę prac domowych do wykonania, a Edgar odbija piłkę albo biega po mieszkaniu, bawiąc się w wojnę i udając, że trzyma w ręce karabin, krzyczy: „Pif – paf, pif – paf!”.

Dziś jednak panuje cisza, która sprawia, że przez ciało Mili przechodzi dreszcz.

Trzęsie się, idąc korytarzem w stronę salonu. Nikogo tam nie ma. Idzie dalej do kuchni, ale mijając jadalnię, zatrzymuje się. W głębi pokoju, u szczytu stołu, siedzi nieruchoma postać. Nawet z korytarza Mila widzi, że Gundula ma czerwone policzki, a jej oczy płoną gniewem. Mila powstrzymuje instynkt nakazujący jej uciekać i zwraca twarz w kierunku Gunduli; zostaje jednak w drzwiach.

– Frau Backer? Czy wszystko w porządku? – pyta, splatając dłonie na wysokości pasa.

Gundula wpatruje się w nią przez chwilę. A potem zaczyna mówić, ledwo otwierając usta.

– Nie, Izo, nie jest w porządku. Edgar powiedział mi, że wczoraj w drodze do parku wstąpiliście do domu krawcowej.

Mila wstrzymuje oddech.

– Tak, przepraszam, powinnam była pani powiedzieć.

– Tak, powinnaś była. – Gundula nigdy dotąd nie zwracała się do Mili takim głośnym i ostrym głosem. – Co też, wyjaśnij łaskawie, skłoniło cię do tej wizyty?

Mila domyśliła się, że Edgar mógł coś powiedzieć, więc wymyśliła wytłumaczenie.

– Zapytałam ją, czy przyjdzie do mnie w tym tygodniu – zaczyna Mila. – Bardzo jest mi potrzebna nowa spódnica.

Wstydziałam się pani powiedzieć. – Mila patrzy w dół. – Tę noszę już od lat, bo... bo nie stać mnie na nową. Edith wspomniała kiedyś, że ma kawałek materiału, który może mi sprzedać za ułamek tego, ile kosztowałaby w sklepie.

Gundula rzuca Mili gniewne spojrzenie, powoli kręcąc przecząco głową.

– Spódnica.

– Tak, proszę pani.

– A gdzie ta spódnica?

– Właśnie mi ją wykraja, powiedziała, że przyniesie w przyszłym tygodniu.

– Nie wierzę ci. – Gundula jeszcze chwilę temu była opanowana, ale teraz zaczyna tracić nad sobą kontrolę.

– Słucham? Ale dlaczego?

– Kłamiesz! Widzę to w twoich oczach! Kłamiesz na temat spódnicy, kłamiesz na temat swojego nazwiska, wszystko to same kłamstwa!

W drzwiach za Gundulą pojawia się głowa Edgara.

– Mutter? Co...

– Powiedziała, że masz zostać w swoim pokoju – rzuca Gundula. – Idź stąd!

Edgar znika, a gdy Gundula wstaje, krzesło, na którym siedziała, głośno rysuje drewnianą podłogę.

– Myślisz, że jestem głupia, Izo? Jeśli faktycznie masz tak na imię.

Mila opuszcza ręce wzdłuż ciała.

– Oczywiście, że mam tak na imię, proszę pani. I oczywiście ma pani prawo złościć się na mnie, ponieważ nie powiedziałam pani, że idę do krawcowej. Jest mi z tego powodu bardzo przykro. Ale niesłusznie oskarża mnie pani, że kłamię na temat mojego pochodzenia. Czuję się obrażona, słysząc coś takiego z pani ust.

Gdy Gundula zbliża się do niej. Mila zauważa nabrzmiałą żyłę na jej szyi, wystającą niczym purpurowy wąż, i cofa się o krok. Instynkt znów podpowiada jej, że powinna uciekać, wydostać się stamtąd. Ale nie

rusza się z miejsca, bo ucieczka oznaczałaby przyznanie się do kłamstwa.

Gundula zatrzymuje się tak blisko, że Mila czuje jej oddech. Dłonie ma zaciśnięte w pięści, jest rozjuszona, ciężko dyszy.

Gdy się odzywa, brzmi to jak warczenie: – Powiedziałam Carty'emu – cedzi. – Powiedziałam mu, że nie można ci ufać. Czekać tylko, jak każe cię aresztować, tylko czekać!

Mila powoli cofa się do korytarza.

– Proszę pani – mówi spokojnie – reaguje pani zbyt przesadnie. Może napiłaby się pani wody, zaraz pani przyniosę.

Gdy odwraca się, żeby pójść do kuchni, zauważa kątem oka coś niepokojącego – cień jakiegoś przedmiotu przesuwającego się szybko w powietrzu. Usuwa się, ale jest za późno. Wazon trafia ją z głośnym odgłosem w tył głowy.

U jej stóp rozpryskuje się szkło.

Mili na chwilę robi się ciemno przed oczami. Ból jest przenikliwy. Z zamkniętymi oczami sięga w kierunku framugi drzwi. Szczęśliwa, że je znalazła, opiera się o nią, łapiąc równowagę. Gdy otwiera oczy, dotyka tyłu głowy wolną ręką.

W miejscu uderzenia pojawił się guz. Mila patrzy na palce. Jakimś cudem nie ma krwi. Tylko boli. Trzeba było uciekać, myśli.

– O mój Boże! O mój Boże! – mówi z płaczem Gundula. – Nic ci się nie stało? *Ach mein Gott*.

Odzyskawszy równowagę, Mila wycofuje się ostrożnie z miejsca, gdzie leżą odłamki rozbitego szkła, i idzie korytarzem do schowka po szczotkę. Gdy wraca, Gundula stoi wciąż w tym samym miejscu, kręci głową, spoglądając błędnym wzrokiem, jakby była szalona.

– Nie chciałam... Przepraszam – skamle.

Mila nie odpowiada. Zamiata. Gundula opada na krzesło, mruczając coś do siebie pod nosem.

Zmiotłszy odłamki szkła na szufelkę, Mila idzie do kuchni, wysypuje je do pojemnika na śmieci pod zlewem i odkłada szufelkę z powrotem na miejsce. Następnie bierze do rąk stojące na blacie dwa puste słoiki na mleko. Ze wszystkich sił stara się zignorować pulsowanie promieniujące od tyłu głowy do oczodołów. Wewnętrzny głos nakazuje jej uciekać, i to szybko.

– Idę do mleczarza – mówi spokojnie, przechodząc obok drzwi do jadalni. I tak cicho, jak przyszła, wychodzi, nie mając najmniejszego zamiaru wrócić.

Bella

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ styczeń 1943

TO MATKA I CÓRKA, dochodzi do wniosku Bella, obserwując zza lady sklepu dwie Niemki przymierzające sukienki. Mają taką samą cerę w kolorze kości słoniowej i ostro zarysowane szczęki, taki sam sposób bycia, lekko pochylają głowy, gdy palcami przejeżdżają po wiszących rzędami w całym sklepie sukienkach. Bella mruganiem powstrzymuje nagromadzone łzy.

– W tej byłoby ci do twarzy – mówi dziewczyna, przykładając niebieską wełnianą sukienkę do sylwetki matki. – To kolor idealny dla ciebie. Pasuje ci do oczu.

Bella i Jakub są w Warszawie od pół roku. Przez chwilę chcieli zostać w Radomiu, ale w porównaniu z Warszawą to małe miasto i bali się, że ktoś ich rozpozna. A poza tym nie było tam pracy. Zlikwidowano oba getta, pozostało tam tylko niewielu młodych pracowników. Nie było też już rodziców Belli. Zostali deportowani wraz z innymi, jak przestrzegał Ruben, i nie było to już tajemnicą, że jeśli wyślą kogoś do Treblinki, to już stamtąd nie wraca.

I tak, skoro nie było już strażników u bram getta, Bella i Jakub zebrali parę rzeczy, które udało im się uratować ze swoich pustych mieszkań, pomodlili się, żeby ich podrobione dowody dobrze im posłużyły, i wsiedli do pociągu do Warszawy, wydając na bilet prawie wszystkie pieniądze, jakie im jeszcze zostały.

Na początku Bella miała nadzieję, że zmiana otoczenia pomoże jej trochę ukoić rozpacz. Wydawało się jednak, że gdziekolwiek poszła czy spojrzała, zawsze coś przypominało o jej stracie. Trzy siostry bawiące się w parku. Ojciec pomagający córeczce wsiąść do wagonu. Matki z córkami przychodzące do sklepu, w którym pracowała. To były tortury.

Całymi tygodniami Bella nie mogła spać. Nie mogła myśleć. Ani jeść. Pomijając fakt, że niewiele było do jedzenia, to na samą myśl o nim ją odrzucało. Jej kości policzkowe stały się bardziej widoczne, a pod bluzką żebra wystawały jak czarne klawisze na klawiaturze. Czuła się tak, jakby chodziła w wodzie z ciężarkami przypiętymi do nadgarstków i w każdej chwili mogła utonąć. Była przybita i nie znosiła, jak Jakub ciągle ją pytał, czy wszystko dobrze, i próbował wmusić w nią odrobinę jedzenia.

„Wróć do mnie, kochana – błagał. – Jesteś tak daleko”.

Ale ona nie potrafiła. Przypominała sobie, jak to było być dawną sobą, tylko wówczas gdy się kochali, ale nawet wtedy to uczucie nie trwało długo. Dotyk jego skóry przypominał jej, że żyje, ale poczucie winy trawiące ją później było tak silne, że robiło się jej niedobrze.

Podczas tych pierwszych kilku tygodni w Warszawie Bella zdawała sobie sprawę, że nie może dłużej żyć pogrążona w żalu. Bardzo chciała z powrotem czuć się sobą. Być lepszą osobą, lepszą żoną. Zaakceptować to, co się stało. Pójść dalej. Ale strata siostry, a potem rodziców, była paraliżująca. Ich śmierć zżerała ją na jawie i dręczyła w czasie snu. Co noc widziała, jak jej siostrę włoką do lasu, a rodzice wsiadają do pociągu, który zawiezie ich do miejsca, gdzie spotka ich śmierć. Co noc śniła o sposobach, dzięki którym mogła im

pomóc.

W listopadzie zaczęła spinać agrafką spódnicę w pasie, żeby nie spadła jej z bioder. To wtedy uświadomiła sobie, że ma problem i że Jakub ma rację. Musi zacząć jeść. Zadbac o siebie. Potrzebowała Jakuba. Zastanawiała się jednak, czy nie jest już za późno. Od miesiący mieszkali osobno – Jakub powiedział, że tak będzie bezpieczniej, że dzięki temu ich fałszywe dowody będą bardziej wiarygodne – ale Bella wiedziała, że częściowo chodziło o to, że Jakub nie ma siły być przy niej i patrzeć beczynn timer, jak ona powoli zadrecza się na śmierć. Czy mogła mu się dziwić? Była w tak głębokiej żałobie, że zapomniała, co to znaczy kochać mężczyznę, który zanim świat zaczął się walić, był dla niej wszystkim. Przysięgła, że spróbuje wziąć się w garść.

– Weźmiemy ją – mówi matka, kładąc sukienkę na ladzie.

Bella bierze głęboki wdech, powstrzymując łzy.

– Świetnie – odpowiada.

Po niemiecku mówi już płynnie.

– To dobry wybór. – Zmusza się do uśmiechu.

Nie pozwól, żeby zobaczyła, że jest ci smutno. Wydaje kobiecie resztę.

Gdy wychodzą, Bella zamyka oczy, wykończona wysiłkiem włożonym w to, żeby zachować nad sobą panowanie.

Zawsze coś będzie mi ich przypominać, myśli. Będą dni lepsze i takie nie do zniesienia. Najważniejsze jest to, mówi sobie, że nawet w najcięższe dni, kiedy rozpacz jest tak wielka, że niemal ją dusi, ona musi trwać. Musi wstać, ubrać się i pójść do pracy. Będzie żyć z dnia na dzień. Będzie dalej trwać.

ROZDZIAŁ 42

Mila i Felicja

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ luty 1943

KIEDY MAMA POWIEDZIAŁA JEJ, że w końcu znalazła dla niej bezpieczne miejsce, które nazwała klasztorem, Felicja miała wątpliwości.

– Będą tam inne dzieci – powiedziała Mila, próbując ją rozweselić. – Dziewczynki w różnym wieku. A opiekować się wami będą miłe siostry zakonne. Nie będziesz już musiała zostawać sama.

Choć Felicja bardzo pragnęła towarzystwa, to przede wszystkim brakowało jej towarzystwa mamy. Było jej bardzo przykro, że Mila znów miała ją zostawić.

– A inne dziewczynki, czy będą... takie jak ja? – zapytała, zastanawiając się, czy rzeczywiście jakaś dziewczynka w miejscu, o którym mówi jej mama, będzie chciała się z nią zaprzyjaźnić. Mila powiedziała jej, że dziewczynki są katoliczkami, i wytłumaczyła, że gdy Felicja tam będzie, też będzie katoliczką. Na pewno inne dziewczynki będą chciały się z nią zaprzyjaźnić.

– Tylko słuchaj się siostr, kochanie – dodała – a ja obiecuję, że dobrze się tobą zaopiekują.

Pierwszego dnia w klasztorze rude włosy Felicji zostają zafarbowane na blond. Nie nazywa się już Felicja Kajler, ale Barbara Cedrańska. Uczą ją, jak się przeżegnać i przyjmować komunię. Po tygodniu, gdy jedna z zakonnice zauważa, że dziewczynka wypowiada słowa modlitwy bezgłośnie, zaciąga Felicję do biura matki przełożonej i podaje w wątpliwość jej dobre wychowanie. Felicja jest zaskoczona, gdy słyszy, jak matka przełożona mówi z głębokim przekonaniem: – Znam rodzinę tej dziewczynki od dawna. Traktujemy ją jak pozostałe.

W rzeczywistości Felicja jest tak niedożywiona, że traktują ją nieco lepiej niż inne dzieci. Matka przełożona często przemyca dla Felicji kawałek ciastka, gdy inni nie patrzą, pozwala jej zostać chwilę dłużej na dworze, na słońcu, i obserwuje ją uważnie podczas zabaw w czasie wolnym, a także interweniuje, gdy starsze dziewczynki, uznając, że jest od nich słabsza, rzucają w jej stronę wyzwiska albo patyki.

Naciągnąwszy niżej wełnianą czapkę, Mila chodzi wzdłuż drewnianego płotu okalającego klasztor, próbując rozpoznać twarze dzieci bawiących się w środku. Ma pozwolenie na jedną wizytę w tygodniu, ale ta jest niezapowiedziana. Nie potrafi się powstrzymać. Bardzo źle znosi rozłąkę z córką. Przebiega wzrokiem po ogrodzie, próbując rozpoznać, które z małych opatulonych ciałek należy do Felicji. W ciemnych zimowych płaszczykach i czapkach dzieci wyglądają podobnie.

Mila uśmiecha się. Coś w dźwięku ich śmiechu sprawia, że jej serce natychmiast napęlnia się nadzieją. W końcu zauważa dziewczynkę, drobniejszą niż inne, która stoi bez ruchu i patrzy w jej kierunku.

Mila swobodnie podchodzi do płotu, walcząc z pragnieniem przeskoczenia przez drewniane szczeble, pochycenia córki w ramiona i zabrania jej ukradkiem z powrotem do Warszawy. Felicja, zadartłszy główkę, też zbliża się do ogrodzenia, ciekawa, dlaczego jej mama przyjechała – dokładnie zapamiętuje dni wizyt i z pewnością zdaje sobie sprawę, że za wcześniej jeszcze na następne odwiedziny. Mila uśmiecha się

i łagodnie kiwa głową. Oczami przekazuje małej, że nie ma się czym martwić.

Felicja przytakuje ze zrozumieniem. Gdy jest o rzut beretem od matki, zatrzymuje się przy ławce, opiera na niej stopę i pochyla się, jakby zawiązywała sznurówkę. Z jej pochylonej głowy spada czapka, ukazując zafarbowane na blond włosy, które opadając, okalają jej małą, piegowatą twarz. Dziewczynka zerka ku mamie i wiedząc, że nikt nie patrzy, macha do niej.

Kocham cię – mówi bezgłośnie Mila i przesyła jej całusa.

Felicja uśmiecha się i robi to samo. Ja też cię kocham.

Powstrzymując łzy, Mila obserwuje, jak Felicja wstaje, wkłada sobie czapkę na głowę i odbiega z powrotem do innych dzieci.

GENKOWI WRÓCIŁY BÓLE ŻOŁĄDKA. Kiedy go chwytają, zazwyczaj mniej więcej co pół godziny, zgina się wpół i wykrzywia twarz.

– Jaki to rodzaj bólu? – zapytała Herta, gdy pojawiły się po raz pierwszy minionej zimy.

Błagała go, żeby poszedł do lekarza, ale Genek nie chciał tego zrobić. Zakładał, że jego układ trawienny po prostu potrzebuje czasu, żeby z powrotem przyzwycząić się do w miarę normalnego jedzenia.

– Nic mi nie będzie – powtarzał. Poza tym w Teheranie było tak wiele osób, które czuły się gorzej niż on, że nie chciał marnować cennego czasu lekarzy.

Ale to było w Iranie. Teraz są w Palestynie, gdzie pod opieką Armii Brytyjskiej on i jego polscy koledzy z Armii Andersa mają dostęp do sześciu namiotów medycznych, sporej ilości lekarstw i zespołu lekarzy. Teraz bóle już nie przechodzą, nasiliły się do tego stopnia, że Genek zaczął się zastanawiać, czy w żołądku nie pękł mu wrzód.

– Najwyższy czas – powiedziała Herta głosem, w którym mniej było słycać współczucie, a bardziej irytację. – Proszę cię, Genek, idź do lekarza, zanim będzie za późno. Nie pozwól, by po tym wszystkim, co przeszliśmy, zważyło cię z nóg coś, co można wyleczyć.

Genek siedzi na skraju łóżka, z nogami spuszczone na ziemię, ma na sobie tylko białą koszulę zawiązywaną z tyłu. Za nim stoi lekarz, który przykłada mu do żeber zimne słuchawki i nie otwierając ust, mruczy „mhm”, kiedy Genek odpowiada na jego pytania.

– Proszę się położyć – instruuje lekarz.

Genek kładzie nogi na łóżku i opada do tyłu. Zerka, jak lekarz przyciska palce do jego bladego brzucha.

– Wydaje mi się, że ma pan wrzód – mówi. – Proszę się trzymać z daleka od cytrusów i wszystkiego, co kwaśne. Koniec z pomarańczami i cytrynami. Proszę jeść tylko potrawy łagodne w smaku. Dam też panu lekarstwo, które pomoże zneutralizować kwasy w żołądku. Zaczniemy od tego i zobaczymy, jak pan się będzie czuł po tygodniu.

– Dobrze – kiwa głową Genek.

Lekarz poprawia słuchawki wokół szyi i wkłada pióro do kieszeni na piersi fartucha.

– Zaraz wracam – mówi – proszę się nie ruszać.

Genek patrzy, jak lekarz odchodzi. Ostatnim razem, kiedy musiał włożyć szpitalną koszulę, miał czternaście lat, usuwano mu wtedy migdałki. Nie pamięta wiele z tej operacji, oprócz tego, że potem cały czas mama dawała mu świeżo wyciśnięty sok jabłkowy i przez cały tydzień obdarzała go czułością. Nachodzi go fala tęsknoty. Czego by teraz nie dał, żeby zobaczyć się z mamą. Odkąd wyjechał z domu, minęło trzy i pół roku.

Dom. Myśli o tym, jak daleko rzucił go los w ciągu tych czterdziestu dwóch miesięcy; o mieszkaniu we

Lwowie i nocy, gdy waląc w drzwi, pojawili się enkawudziści; jak się spakował i jak podejrzewał, gdy wyszli stamtąd z Hertą, że już nie wróca. Myśli o wagonach bydłowych, w których był zamknięty tygodniami – ciemnych, wilgotnych, pełnych zarazków i chorób, o barakach na Syberii i mroźnej nocy, podczas której urodził się Józef. Myśli o tych wszystkich zwłokach, które widział podczas podróży z Syberii przez Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenistan do Iranu, o obozie wojskowym w Teheranie, który przez cztery miesiące był dla nich domem, o podróży z Teheranu do Tel Awiwu i o tym, jak gdy ciężarówka wchodziła w ostre zakręty na wąskich drogach w górach Zagros, zastanawiał się, co będzie, jeśli, co wydawało się bardzo prawdopodobne, stoczą się tysiąc pięćset metrów niżej do doliny. Myśli o pięknych plażach Palestyny i o tym, jak bardzo będzie mu ich brakować, gdy zostanie wysłany na front. Ostatnio dużo mówi się o tym, że Armia Andersa ma być wysłana do Europy, żeby walczyć na froncie włoskim.

Oczywiście jego prawdziwym domem zawsze będzie Radom. Tego jest pewien. Krzyżuje nogi w kostkach, zamyka oczy i już po chwili opuszcza w myślach namiot medyczny i przenosi się w dobrze znane mu miejsce – jest na spotkaniu rodzinnym na Warszawskiej, w mieszkaniu, w którym się wychował. Siedzi w salonie na niebieskiej aksamitnej sofie, pod portretem pradziadka Gerszona, po którym dostał imię. Obok niego Herta karmi Józefa. Adi siedzi przy Steinwayu i gra improwizowaną wersję *Anything Goes* Cole'a Portera. Halina i Adam tańczą. Mila i Nechama rozmawiają przy gzymsie kominka z drewna kasztanowca i śmieją się, patrząc, jak Sol okręca Felicję w powietrzu. A Jakub stoi w rogu na krześle i kieruje na nich obiektyw swojego Rolleiflexa.

Genek oddałby wszystko, żeby przeżyć jeszcze raz wieczór z kolacją i muzyką w domu, w przedwojennym Radomiu. Ale tak szybko, jak w jego myślach pojawił się salon rodziców, tak szybko nasuwa się nowa myśl, inne wspomnienie. Ścisza go w żołądku, co powoduje falę bólu w brzuchu, gdy przypomina sobie rozmowę, którą podsłuchał, przechodząc kilka dni temu obok kwatery kapitanów.

– To musi być przesada – powiedział jeden z nich. – Ponad milion?

– Ktoś mówił, że dwa – odezwał się inny głos. – Zlikwidowali setki obozów i gett.

– Co za chore, pierdolone dranie – odparł pierwszy głos.

Przez chwilę było cicho, Genek musiał się powstrzymać, żeby nie wejść do środka i zażądać więcej informacji. Wiedział, że nie może tego zrobić. Panika w oczach mogłaby go zdradzić, w końcu niby jest katolikiem. Ale miliony? Na pewno mówili o Żydach. Jego mama, ojciec, siostry i mała siostrzenica – według ostatnich wiadomości, jakie miał, wszyscy byli w getcie. Także ciotki, wujkowie i kuzyni. Wysłał do domu kilkanaście listów, ale nie dostał odpowiedzi. *Błagam*, modli się, *żeby to były przesadzone liczby. Żeby moja rodzina była bezpieczna. Proszę.*

Ze ściśniętym gardłem Genek napomina się, że powinien być wdzięczny, są z nim przecież Herta i Józef. Są razem i w zasadzie zdrowi. Kto wie, jak długo tu zostaną, ale na razie ma szczęście, że to Tel Awiw jest jego domem. Miasto, położone przy plaży z białym piaskiem, i obrosnięte palmami wybrzeże niebieskozielonego Morza Śródziemnego są piękniejsze od wszystkiego, co w życiu widział. Nawet powietrze jest przyjemne, jakimś cudem zawsze pachnie słodkimi pomarańczami i oleandrem. W dniu, kiedy przyjechali, Herta podsumowała to jednym słowem: raj.

Do świadomości Genka przedziera się z powrotem zgiełk panujący w namiocie medycznym, odgłos napinanego brezentu, gdy sąsiad przewraca się na drugi bok, brzęk nocnika, wymienianego pod innym

łóżkiem. I nagle coś przyciąga jego uwagę. Czyjś głos. Głos, który rozpoznaje. Głos z poprzedniego życia, który przypomina mu dom. Prawdziwy dom.

Genek otwiera oczy.

Większość pacjentów w namiocie śpi albo czyta. Kilku rozmawia cicho ze stojącymi obok lekarzami. Genek rozgląda się po pokoju i nasłuchuje. Głos umilkł. Pewnie go sobie wymyślił, nadal częściowo tkwiąc pamięcią w Radomiu. Ale potem znów go słyszy. Genek siada na łóżku. Dochodzi stamtąd, uświadamia sobie, patrząc przez ramię – należy do lekarza stojącego tyłem trzy łóżka dalej. Genek, zaintrygowany, przerzuca nogi przez łóżko. Lekarz jest o głowę niższy od niego, ma prostą sylwetkę i ciemne włosy, obcięte niemal przy skórze. Genek wpatruje się w niego, aż w końcu lekarz się odwraca i patrzy przez okrągłe okulary, zapisując coś w notatniku. Genek natychmiast go poznaje. Serce podskakuje mu do gardła.

– Hej! – krzyczy Genek, zrywając się na nogi. Dwudziestu paru mężczyzn, kilku lekarzy i grupa pielęgniarek na chwilę odrywają się od swoich zajęć i spoglądają na Genka. A on znów krzyczy: – Hej, Selim!

Lekarz podnosi wzrok znad notatnika, rozgląda się po pokoju, aż wreszcie jego spojrzenie napotyka Genka. Mruga oczami i kręci głową z niedowierzaniem.

– Genek?

Genek zeskakuje z łóżka, zapominając, że z tyłu jest nagi, i biegnie w kierunku szwagra.

– Selim!

– Co... – jąka się Selim – co tu robisz?

Genek, też zbyt poruszony, żeby cokolwiek powiedzieć, obejmuje Selima, prawie unosząc go nad podłogę.

Zgromadzeni w namiocie medycznym przez chwilę patrzą na tę scenę, uśmiechając się. Kilka pielęgniarek wymienia spojrzenia na widok golizny Genka i powstrzymuje chichot, a potem wraca do swoich zajęć.

– Nie masz pojęcia, bracie, jak bardzo jestem szczęśliwy, że cię widzę – mówi Genek, kręcąc głową.

Selim się uśmiecha.

– Też się cieszę, że cię widzę.

– Zniknąłeś we Lwowie. Myśleliśmy, że cię straciliśmy. Co się stało? Poczekaj, Selim. – Genek odsuwa się odrobinę i przygląda jego twarzy. – Powiedz, masz jakieś wieści o rodzinie?

Na widok szwagra coś się w nim obudziło, połączenie nadziei i tęsknoty. Może to dobry znak. Może jeśli Selim żyje, to inni także.

Ramiona Selima opadają, potem opuszcza ręce Genek.

– Miałem cię zapytać o to samo – mówi Selim. – Wywieźli mnie do Kazachstanu, nie pozwalali pisać listów z obozu.

A na te, które wysłałem później, nie dostałem odpowiedzi.

Genek obniża głos, żeby nikt nie podsłuchał.

– Ja też – mówi cicho, tracąc rezon. – Ostatnie wiadomości mam sprzed naszego aresztowania we Lwowie. To było prawie dwa lata temu. Wtedy Mila była w Radomiu, mieszkała z moimi rodzicami w getcie.

– Getto – szepcze Selim. Poblądł na twarzy.

– Trudno to sobie wyobrazić, wiem.
– Oni... oni likwidują getta, słyszałeś?
– Tak – odpowiada Genek. Obaj przez chwilę milczą.
– Powtarzam sobie ciągle, że nic im nie jest – dodaje Genek, patrząc w górę, ku krokwiom dachowym namiotu, jakby tam szukał odpowiedzi. – Ale wolałbym być tego pewien. – Patrzy Selimowi w oczy. – To straszne uczucie, gdy nic nie wiadomo.

Selim przytakuje.

– Często myślę o Felicji – ciągnie Genek, uświadamiając sobie, że jeszcze nie powiedział szwagrowi o Józefie. – Musi teraz mieć... trzy lata?

– Cztery – odpowiada Selim chłodno.

– Selimie – zaczyna Genek. Robi przerwę, oblizuje usta, zawstydzony swoją sytuacją, gdy jest niewykluczone, że Selim mógł stracić wszystkich. – Mamy z Hertą syna. Urodził się na Syberii. W marcu skończy rok.

Selim wygląda na uradowanego. Uśmiecha się.

– Mazel tow, bracie – mówi. – Jak ma na imię?

– Józef. Mówimy na niego Ze.

Mężczyźni przez chwilę patrzą na swoje stopy, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jak nazywał się twój obóz w Kazachstanie? – pyta w końcu Genek.

– Dolinka. Byłem tam lekarzem, leczyłem też w sąsiedniej wiosce.

Genek kiwa głową, uświadamiając sobie, że aby Selim mógł uprawiać zawód, którego nie wolno było mu wykonywać w Radomiu, musiał zostać wywieziony do obozu internowania, skorzystać z amnestii i znaleźć się w wojsku.

– Szkoda, że nie mieliśmy takich jak ty lekarzy w naszym obozie – mówi, kręcąc głową.

– Gdzie byliście?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Najbliższa miejscowość nazywała się Altynaj. Totalne zadupie. Jedynym dobrem, które stamtąd mamy, jest Ze.

Selim, zaniepokojony, przypatruje się jego sprężystej sylwetce.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze, tylko brzuch mi dokucza. Altynaj mnie wykończył. Cholerni Sowieci. Lekarz sądzi, że to wrzód.

– Sporo ich tu lecę. Jeśli niedługo ci się nie poprawi, daj znać. Zobaczę, jak będę mógł ci pomóc.

– Dzięki.

Z drugiego końca sali dobiega wołanie pacjenta i Selim wskazuje w tym kierunku notatnikiem.

– Lepiej już pójdę.

Genek kiwa głową.

– Oczywiście.

Ale gdy Selim się odwraca, Genkowi przychodzi coś do głowy, dlatego jeszcze raz kładzie rękę na ramieniu szwagra.

– Poczekaj, Selim – mówi. – Pomyślałem, że teraz, skoro można mnie namierzyć przez wojsko, powinienem napisać do Czerwonego Krzyża.

Przyjaciel Genka, Otto, niedawno nawiązał w ten sposób kontakt z bratem i Genek zaczął się zastanawiać, czy nie spróbować, bo może i jemu dopisze szczęście.

– Może pójdziemy tam razem, wypełnimy formularze, wyślemy telegramy.

Selim przytakuje.

– Warto spróbować.

Umawiają się na spotkanie za kilka dni w biurze Czerwonego Krzyża w Tel Awiwie. Selim wkłada notatnik pod pachę i ponownie zbiera się do odejścia.

– Selimie – mówi Genek, pozwalając sobie na uśmiech od ucha do ucha – naprawdę wspaniale cię widzieć.

Selim odwzajemnia uśmiech.

– Ciebie też, Genek. Do zobaczenia w niedzielę. Cieszę się, że poznam twojego syna.

Genek wraca do łóżka, kręcąc głową z niedowierzaniem. *Selim, w Palestynie, ze wszystkich miejsc na świecie właśnie tutaj. To dobry znak, musi być dobry.* Genek postanawia, że w poszukiwaniach za pośrednictwem Czerwonego Krzyża nie ograniczy się tylko do Polski. Wyśle telegramy do oddziałów Czerwonego Krzyża w całej Europie, na Bliskim Wschodzie i w obu Amerykach. Jeśli członkowie rodziny żyją, to z pewnością też skontaktują się z instytucjami, które pomagają ludziom się odnaleźć.

Wchodzi z powrotem na łóżko i kładzie się, jedną rękę trzymając na sercu, drugą na żołądku, w którym na chwilę ustąpiły bóle.

19 KWIETNIA – 16 MAJA 1943 – POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM: Hitler stopniowo likwiduje getto w Warszawie, deportuje i dokonuje zagłady blisko trzystu tysięcy Żydów. W getcie zostaje około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, którzy w tajemnicy przygotowują zbrojny odwet. Powstanie zaczyna się w wigilię Pesach, gdy Niemcy przystępują do ostatniej akcji likwidacyjnej. Mieszkańcy getta nie chcą się zgodzić na wywiezienie i przez blisko miesiąc walczą z Niemcami, aż w końcu ulegają nazistom, systematycznie niszczącym i palącym getto. W walce giną tysiące Żydów, niektórzy zostają spaleni żywcem albo zagazowani. Tych, którzy przeżyli powstanie, Niemcy wysyłają do Trebłinki i innych obozów zagłady.

WRZESIEŃ 1943: Żołnierze Andersa stacjonujący w Tel Awiwie zostają powołani do służby i wysłani do Europy, do walki na froncie włoskim. Ich żony i dzieci zostają w Tel Awiwie.

Halina

Warszawa, Polska pod okupacją niemiecką ~ październik 1943

– SIADAJ – SYCZY OFICER, wskazując metalowe krzesło naprzeciwko swojego biurka w małym komisariacie na dworcu kolejowym.

Halina zaciska usta ze złości. Na stojąco czuje się pewniej.

– Powiedziałem siadać!

Halina wykonuje polecenie. Gdy siedzi, na poziomie wzroku ma lufę pistoletu przymocowanego do paska stojącego przed nią Niemca.

Uświadamia sobie, że było tylko kwestią czasu, kiedy jej pula szczęścia się wyczerpie.

Wychodząc dziś rano z mieszkania w centrum Warszawy, pocałowała Adama na pożegnanie i przypomniała mu, że wróci późno. Zamierzała po pracy dostać się na dworzec, pojechać do Wilanowa i przejść cztery kilometry do domu Górskich na wsi, gdzie odwiedziłaby rodziców i wręczyła Górskim opłatę za październik. Planowała zostać tam godzinę i potem wrócić do Warszawy. Już trzy razy tam była i dotąd jej fałszywe papiery, potrzebne do zakupu biletów, wejścia na peron i opuszczenia stacji, sprawdziły się bez żadnych problemów.

Dziś jednak ledwie udało jej się przejść kontrolę biletów na dworcu w Warszawie. Czekala na peronie, gdy członek tajnej policji Hitlera, Gestapo, podszedł do niej i zażądał dokumentów.

– Do czego są panu potrzebne? – zapytała po polsku (mówiła już płynnie po niemiecku, ale wiedziała skądinąd, że Niemcy są podejrzliwi wobec Polaków mówiących w ich języku).

– Rutynowa kontrola – odpowiedział. Obejrzał dokładnie jej papiery i zapytał o nazwisko i datę urodzenia.

– Brzoza – wyrecytowała pewnie Halina. – Siedemnasty kwietnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Ale gdy zbliżał się pociąg, oficer pokręcił głową.

– Idziesz ze mną – powiedział i wzięwszy Halinę pod ramię, poprowadził ją przez dworzec.

– Dla kogo pracujesz? – dopytuje się oficer. Ciągle stoi.

Halina poznała swojego nowego pracodawcę, Herr Dena, zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Był na kolacji w domu jej poprzedniego szefa, gdzie pracowała jako służąca i pomoc kuchenna. Den jest Austriakiem, po sześćdziesiątce, bogatym bankierem. Halina przypomina sobie wieczór, kiedy pierwszy raz podawała mu kolację, jak przyglądał się jej uważnie podczas pracy. Najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie, w czym nie było nic dziwnego, bo dorastała w domu, gdzie pracowała kucharka i służąca, i znała się na dobrej służbie. Tego samego wieczoru Den ją zaskoczył. Stała przy zlewku w kuchni, gdy do niej podszedł. Nie zauważyła, że tam wszedł, dopóki nie znalazł się tuż obok.

„Chopin?” – zapytał, przyłapując ją na chwili nieuwagi.

„Przepraszam?”.

„Melodia, którą pani właśnie nuciła, to Chopin?”.

Halina nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że nuci.

„Tak – kiwnęła głową. – Chyba tak”.

Den uśmiechnął się.

„Ma pani dobry gust” – powiedział, a potem odwrócił się i wyszedł. Następnego dnia Halina dostała wiadomość z urzędu pracy, że w kolejnym tygodniu zaczyna pracę dla Dena. Nie ma pojęcia, czy on podejrzewa, że jest Żydówką. Na razie wydawało się, że ją lubi.

– Pracuję dla Herr Gerarda Dena – mówi Halina, wzdychając, jakby urażona pytaniem.

– Czym on się zajmuje?

– Jest szefem Banku Austriackiego w Warszawie.

– Co dla niego robisz?

– Jestem służącą.

– Jaki jest do niego numer telefonu?

Halina recytuje z pamięci numer telefonu do banku i czeka, aż oficer go wykręci. Przekłęte rutynowe kontrole.

Przekłęte Gestapo. Przekłęci Polacy, którzy nie ustają w donoszeniu Niemcom, wydawaniu Żydów. Za co? Za kilo cukru?

Przyjaźń już się nie liczy. Przekonała się o tym jeszcze w Radomiu, w drodze na pole buraków, kiedy jej przyjaciółka ze szkoły, Sylwia, udała, że jej nie zna. Często przypominała to sobie tu w Warszawie, gdzie już kilka razy oskarżono ją, że jest Żydówką.

Nie chodziło tylko o podejrzliwą właścicielkę mieszkania. Była jeszcze znajoma jej byłego szefa, Niemka, która kiedyś poszła za nią ulicą, a gdy się zrównały, wyszeptala zjadliwie: „Wiem, co ukrywasz!”. Niewiele myśląc, Halina wciągnęła ją w boczną uliczkę, wsunęła do ręki równowartość tygodniowej pensji i przez zaciśnięte zęby kazała milczeć. To było, zanim zrozumiała, że bezpieczniej jest nigdy się przed nikim nie przyznawać. Niedługo potem, bojąc się, że jeśli nie będzie wręczać jej ciągle nowych łapówek, kobieta ujawni jej tożsamość szefowi, poszukała nowej pracy.

Był jeszcze żołnierz Wehrmachtu, który zapamiętał Halinę ze Lwowa, z czasów, gdy posługiwała się jeszcze starym nazwiskiem. Postanowiła wyczuć jego intencje, próbując innego, subtelniejszego podejścia. Zaprosiła go na kawę do kawiarni. Użyła całego swojego uroku, gawędząc z nim przez godzinę, po której żołnierz wydawał się dużo bardziej oczarowany jej osobą niż zadowolony jej poprzednim życiem. Pożegnała go pocałunkiem w policzek i czuła, że nawet jeśli pamiętał, kim naprawdę jest, to zatrzyma to dla siebie.

Oczywiście nie mogła nic zrobić z Polakami, których podsłuchiwała na Chłodnej, tego majowego dnia, gdy SS ostatecznie przystąpiło do zrównania getta z ziemią i likwidacji jego ostatnich mieszkańców, by na dobre zdusić powstanie.

„Popatrz, Żydki się palą” – powiedział jeden z Polaków, gdy Halina przechodziła obok.

„Sami się o to prosili” – powiedział ktoś inny.

Halina z całych sił musiała się powstrzymać, żeby nie złapać mężczyzn za poły ich płaszczów i nimi nie potrząsnąć.

Tego ranka omal nie zrzekła się swojej aryjskiej tożsamości, żeby walczyć w powstaniu wraz z Żydami.

Żeby odegrać jakąś rolę w opozycji wobec Niemców, bez względu na to, w jakim stopniu wysiłki te były skazane na porażkę. Zmusiła się wtedy do tego, żeby sobie przypomnieć, że ma pod opieką rodziców. Że musi myśleć o siostrze. Musi na siebie uważać, żeby zadbać o bezpieczeństwo rodziny. Patrzyła więc z daleka, jak płonęło getto, a jej serce wypełniał żal, nienawiść, ale i duma – nigdy przedtem nie była świadkiem tak bohaterskiego aktu samoobrony.

Oficer trzyma słuchawkę przy uchu i wpatruje się w Halinę. Ona patrzy na niego, pewna siebie, oburzona. Po minucie ktoś po drugiej stronie podnosi słuchawkę.

– Poproszę z Herr Denem – mówi oficer. Następuje dłuższa przerwa, a potem odzywa się kolejny głos po drugiej stronie kabla.

– Herr Den, przepraszam, że przeszkadzam. Jest tu ze mną na dworcu ktoś, kto twierdzi, że dla pana pracuje, a ja mam powody sądzić, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Cisza. Halina wstrzymuje oddech. Skupia się na postawie: łopatki ściągnięte, ręce opuszczone wzdłuż ciała, kolana i stopy ściśnięte.

– Twierdzi, że nazywa się Brzoza – B– R– Z– O– Z– A.

W słuchawce cisza. Czy Den się rozłączył? Jaki jest jej plan B? Słyszy pomruk, głos szefa, ale nie rozumie, co powiedział.

Cokolwiek to było, mówi gniewnym tonem.

Połączenie musi być słabe, bo oficer zaczyna mówić wolniej, wyraźnie wymawiając każde słowo.

– W – papierach – ma – napisane – że – jest – chrześcijanką.

Znów mówi Den. Teraz głośniej. Oficer odsuwa słuchawkę od ucha, marszcząc się z niezadowoleniem, aż wrzaski ustają. Halinie udaje się wychwycić kilka słów: „Wstyd... pewien... sam”.

– Jest pan pewien. Dobrze, dobrze, nie, proszę nie przyjeżdżać. To nie będzie konieczne. Tak, rozumiem, proszę pana, natychmiast. Jeszcze raz przepraszam, że przeszkodziłem. – Oficer rzuca słuchawkę.

Halina oddycha z ulgą. Wstaje i wyciąga rękę nad biurkiem.

– Moje papiery – mówi z irytacją.

Oficer marszczy brwi, przesuwając dokumenty na drugą stronę biurka. Halina szybko je podnosi.

– Oburzające – rzuca cicho, na tyle jednak głośno, żeby ją usłyszał, a potem odwraca się do wyjścia.

STYCZEŃ– MARZEC 1944: Alianci, chcąc otworzyć sobie drogę do Rzymu, zaczynają serię nieudanych ataków na niemiecką warownię Monte Cassino w regionie Lacjum, w środkowych Włoszech.

Genek

Nad rzeką Sangro, środkowe Włochy ~ kwiecień 1944

– LEPIEJ, ŻEBY TO BYŁA DOBRA WIADOMOŚĆ – mówi Otto, opierając się o poręcz krzesła i krzyżując ręce na piersi. Genek przytakuje, powstrzymując ziewnięcie. Ciągły, usypiający deszcz, grochówka wypełniająca mu żołądek – ostatnia porcja była tak gęsta, że łyżka stała w misce prosto jak maszt flagi – to wszystko sprawia, że wydaje mu się, iż zaraz zapadnie w śpiączkę. Ich dowódca, Pawlak, wdrapuje się na wysoką na metr scenę przy wejściu do namiotu jadalnego. Z tego podium wygłasza swoje przemowy. Ma poważny wyraz twarzy.

– Wygląda na to, że dziś przejdzie do rzeczy – zauważa Genek, a rozmowy w namiocie cichną, wszystkie oczy zwracają się ku stojącemu przed nimi kapitanowi o szerokich barach.

– Ostatnio też tak mówileś. Przedtem też – wzdycha Otto, kręcąc głową.

Genek i Otto wraz z pozostałymi rekrutami z Armii Andersa, w liczbie około czterdziestu tysięcy, przez cały kwiecień tkwili u brzegów rzeki Sangro we Włoszech. Ich położenie, jak pokazał im Pawlak na mapie, gdy przybyli na miejsce, jest strategiczne – dwa dni marszu od niemieckiej twierdzy na Monte Cassino i sto dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Rzymu. Cassino to kamienny klasztor o liczącej czternaście wieków historii, wznoszący się pięćset dwadzieścia metrów nad poziomem morza, ale, co istotniejsze, stanowi centrum dowodzenia linii obrony nazistów. Okupujący go Niemcy wykorzystują go jako punkt strategiczny, pozwalający namierzyć i strzelać do każdego, kto się zbliży, dzięki czemu kontrolują drogę na Rzym. Alianci już trzykrotnie przypuszczali na niego atak, ale dotąd okazał się nie do zdobycia.

– Może dzisiaj będą inne wiadomości – mówi Genek z nadzieją. Otto przewraca oczami.

Mimo narzekania Ottona Genek cieszy się, że ma przyjaciela u boku. Jest on jedyną bliską mu osobą, odkąd zostawili Hertę, Józefa i żonę Ottona, Julię, w Tel Awiwie, by wraz z armią wyruszyć na brytyjskim statku do Włoch przez Egipt i Morze Śródziemne. Do tej pory tylko ćwiczili strzelanie ze swoich pepesz, ale, rzecz jasna, nie musieli mówić tego na głos, aby wiedzieć, że gdy w końcu przyjdą rozkazy i zaczną strzelać do żywych celów, będą się wzajemnie ochraniać, a gdyby któremuś coś się stało, zaopiekują się swoimi rodzinami.

– Panowie! – woła Pawlak. Żołnierze II Korpusu Polskiego skupiają uwagę.

– Słuchajcie! Mam wieści. Są rozkazy. Nareszcie to, na co wszyscy czekaliśmy.

Otto unosi wysoko brwi. Patrzy na Genka. Miałeś rację, mówi bezgłośnie i uśmiecha się. Genek rozstawia nogi szeroko i pochyła się do przodu na krześle, nagle rozbudzony.

Pawlak odchrząkuje.

– Dowódcy sił alianckich i prezydent Roosevelt spotkali się, żeby omówić czwartą zmasowaną ofensywę na Monte Cassino – zaczyna. – Pierwsza faza natarcia o kryptonimie Diadem polega na oszukaniu wroga,

a jej celem jest marszałek polny Kesselring. Cel: przekonać go, że alianci zaprzestali dalszych ataków na wzgórze klasztorne i że ich zamiarem teraz jest zdobycie Civitavecchia.

Genek i Otto mieli dokładne informacje na temat trzech poprzednich ataków na Monte Cassino, z których każdy zakończył się gorzką, krwawą klęską. Pierwszy miał miejsce w styczniu, gdy Brytyjczycy i Francuzi próbowali okrążyć klasztor od zachodu i wschodu, a Francuski Korpus Ekspedycyjny walczył na północy na mrozie i w śniegu z niemiecką 5

Dywizją Górską. Brytyjczycy i Francuzi napotkali jednak śmiertelny ostrzał, a przemarznięci żołnierze Korpusu Ekspedycyjnego, choć bliscy zwycięstwa, musieli się w końcu wycofać z powodu przewagi liczebnej Niemców. Drugi atak przeprowadzono w lutym, kiedy setki samolotów alianckich zrzuciły raz po raz na Cassino czterystupięćdziesięciokilowe bomby, obracając klasztor w stos gruzu. Miały go zająć oddziały nowozelandzkie, ale nie dały rady wspiąć się po stromej i śliskiej drodze prowadzącej na wzgórze klasztorne i niemieckim spadochroniarzom udało się wcześniej wylądować w pozbawionej teraz dachu budowli. Miesiąc później, w trzeciej próbie aliantów, oddziały nowozelandzkie zrzuciły na Cassino tysiąc dwieście pięćdziesiąt ton materiałów wybuchowych, zrównując miasto z ziemią i doprowadzając niemiecką obronę do granic wytrzymałości. Bliski zdobycia klasztoru był oddział indyjski, ale po dziewięciu dniach ostrzału śmiertelnościami bombami, rakietami Nebelwerfer oraz pociskami dymnymi alianci po raz kolejny zostali zmuszeni do odwrotu.

Genek analizuje w myślach liczby. Trzy nieudane próby ataku. Tysiące ofiar. Na jakiej podstawie ich dowódca wierzy, że czwarte podejście się powiedzie?

– Taktyka dywersyjna – krzyczy Pawlak – będzie polegać między innymi na przesłaniu zaszyfrowanych informacji, tak żeby przechwycił je wywiad niemiecki. Oddziały alianckie zostaną wysłane do Salerno i Neapolu, żeby widziano je podczas „ćwiczeń” – gdy wypowiada to słowo, robi w powietrzu cudzysłów – desantu morskiego. Oprócz tego lotnictwo alianckie wykona widoczne loty rozpoznawcze nad plażami Civitavecchia i przekaże fałszywe informacje niemieckim szpiegom.

Taktyka ta jest kluczem do sukcesu w tej misji.

Ludzie Pawlaka kiwają głowami i wstrzymują oddech w oczekiwaniu najważniejszej informacji: o rozkazach dla nich.

Pawlak odchrząkuje. O nawoskowane płótno dachu namiotu uderzają krople deszczu.

– W czwartym natarciu na Monte Cassino – mówi Pawlak, zniżając głos – weźmie udział trzynaście dywizji. II Korpus Amerykański zaatakuję od zachodu, wzdłuż wybrzeża i drogi numer siedem w kierunku Rzymu. Francuski Korpus Ekspedycyjny spróbuje wspiąć się na góry Aurunci na wschodzie. W międzyczasie XIII Korpus Brytyjski zaatakuję wzdłuż doliny Liri. Armia Andersa dostała jednak w mojej opinii najistotniejsze zadanie. – Przerzywa i rozgląda się po twarzach swoich ludzi. Milczą, słuchając uważnie, wyprostowani, z zaciśniętymi szczękami. Pawlak kontynuuje, wymawiając ostrożnie każde słowo: – Panowie, my, żołnierze II Korpusu Polskiego, zostaliśmy wyznaczeni do zdobycia wzgórza klasztorne.

Słowa te trafiają w Genka niczym cios w gardło, zapierając mu dech w piersiach.

– Podejmiemy próbę dokonania tego, co nie udało się w lutym 4 Dywizji Indyjskiej: odizolowania klasztoru i przedostania się do leżącej za nim doliny Liri. Tam połączymy się z XIII Korpusem. I Korpus Kanadyjski będzie czekał w rezerwie, by wykorzystać moment przełomu. Jeśli nam się uda – dodaje

Pawlak – przebijemy linię Gustawa i naruszymy pozycje 10 Armii Niemieckiej. Otworzymy drogę do Rzymu.

Gdy żołnierze próbują uświadomić sobie wagę swojej misji, w namiocie podnosi się szmer. Genek i Otto spoglądają na siebie.

– Pokładam pełne zaufanie w naszej armii – mówi dalej Pawlak, potwierdzając swe słowa skinieniem głowy. – To dla żołnierzy Andersa historyczna chwila. To chwila chwały dla Polski. Razem sprawimy, że nasz kraj będzie dumny!

– Dowódca salutuje, a namiot wybuchuje entuzjazmem. Mężczyźni zrywają się z krzeseł, wydają okrzyki, wznoszą pięści w górę, salutują.

– Czas na nas! My im pokażemy! Boże błogosław Polskę! – wykrzykują.

Genek też wstaje, ale nie potrafi się zmusić do udziału w świętowaniu. Ma miękkie kolana, w żołądku mu się przewraca, boi się, że zwymiotuje kolację.

Gdy mężczyźni z powrotem siadają na swoich miejscach, Pawlak wyjaśnia, że Francuski Korpus Ekspedycyjny już zaczął w tajemnicy budować zamaskowane mosty przez rzekę Rapido, które będą potrzebne Armii Andersa, żeby dotrzeć do klasztoru.

– Na razie nikt ich nie zauważył – mówi. – Jak tylko zostanie ukończony ostatni z nich, opuścimy naszą pozycję i przesuniemy się na wschód ku rzece Rapido. Aby nas nie zauważono, będziemy szli małymi oddziałami, nocą, przy wyłączonych radiostacjach. Pakujcie swoje rzeczy, panowie, i gotujcie się do walki. Rozkaz wymarszu przyjdzie lada chwila.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami w swoim małym namiocie, Genek zwija zapasowe skarpety i podkoszulek w ciasne, małe kulki i wciska je na dno plecaka. Poprawia lampkę czołową, słowa Pawlaka wciąż kołoczą mu się w głowie. To się dzieje naprawdę – będzie walczył. Jak rozwinie się to zadanie bojowe? Oczywiście nie sposób zgadnąć, i to właśnie, ta wielka niewiadoma, najbardziej go przeraża, bardziej nawet niż myśl o wspinaniu się na pięćsetdwudziestometrowe wzgórze wprost na niemiecką broń wycelowaną w niego zza umocnień kamiennej fortecy.

Genek wie, że Polacy są jedną z około dwudziestu alianckich dywizji, obok Amerykanów, Kanadyjczyków, Francuzów, Brytyjczyków, Nowozelandczyków, Południowoafrykańczyków, Marokańczyków, Hindusów i Algierczyków, stacjonujących wzdłuż trzydziestokilometrowego odcinka od Cassino do Zatoki Gaeckiej. Dlaczego alianci mieliby ze wszystkich armii właśnie Polakom zlecić najtrudniejsze zadanie? Dlaczego wybrali ludzi, którzy nie mają za sobą elitarnych obozów szkoleniowych, ale obozy pracy, ludzi, którzy potrzebowali niemal roku, by odpocząć i nabrać sił na Bliskim Wschodzie, zanim ich przywódca uznał, że wreszcie nadają się do walki? To nie ma żadnego sensu. To, że świat pokłada tak wielką wiarę w Armii Andersa, wydaje się tak samo nienormalne, jak zaszczytne. Jest też jeszcze możliwość, w którą Genek nie chce wierzyć – że chaotyczna zbieranina Polaków jest tak bezwartościowa, że najlepiej użyć jej jako mięsa armatniego w tej niewątpliwie samobójczej misji. Nie, mówi sobie Genek, zostali wybrani z konkretnego powodu: są Polakami, a więc brakuje im w wyszkoleniu nadrobnej gorliwości.

Do plecaka wsuwa wełnianą bieliznę, rękawiczki, czasopismo i swoją talię kart. Jego wzrok pada na stary egzemplarz *Palę Paryż* Jasieńskiego, leżący obok materaca. Wyciąga zza okładki specjalny wojskowy papier listowy i sięga do kieszeni na piersi po pióro. Przerzywa pakowanie, kładzie się na boku i umieszcza

pustą kartkę na okładce książki.

„Najdroższa Herto”, zaczyna, a potem przerywa. Najchętniej napisałby jej o swoim pierwszym zadaniu bojowym, rozkazie zdobycia Monte Cassino! Głównego filaru niemieckiej obrony! Próbuje wyobrazić sobie siebie w walce, ale obraz wydaje się nierealny, jakby był sceną z filmu. Czy gdyby poznała jego rozkazy, zrobiłoby to na niej wrażenie? Gdyby się dowiedziała, że jej mąż będzie częścią czegoś tak zaszczytnego? Tak wielkiego? A przynajmniej czegoś, co potencjalnie może być wielkie? Czy raczej byłaby przerażona, tak jak on, wielkością zadania, jakie przed nim stoi, perspektywą, że znajdzie się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Genek wie, że Herta byłaby przerażona. Błagałaby go, żeby na siebie uważał. Ale ona się nie dowie, przypomina sobie Genek. Nie wolno pisać o niczym, co, na wypadek przechwycenia, mogłoby zdradzić ich plany. Zamiast tego pisze więc: „Jak tam w Tel Awiwie? Mam nadzieję, że słonecznie. My wciąż jesteśmy na włoskiej ziemi. Deszcz nie przestaje padać.

Mój namiot, ubrania, wszystko jest ciągle wilgotne. Już nie pamiętam, jak to jest włożyć suchą koszulę. Ponieważ nie mam wiele do roboty, jak tylko czekać w ukryciu, godzinami gram w karty i czytam, i wciąż od nowa czytam kilka krążących tu książek – Struga, Jasińskiego, Sterna, Wata. Jest też tom poezji Leśmiana, który by ci się spodobał, *Dziejba leśna*. Może na niego natrafisz”.

Genek słucha uderzeń kropli deszczu w spadzisty dach namiotu i myśli o tamtym weekendzie w górach, kiedy pierwszy raz zobaczył Hertę. Widzi siebie w białym zrobionym na drutach swetrze i angielskich tweedowych spodniach, obok niego Herta w eleganckiej narciarskiej kurtce puchowej, policzki ma zaróżowione od zimna, jej świeżo umyte włosy pachną lawendą. To wspomnienie wydaje się teraz tak nierealne, jakby to był sen.

„Pomimo deszczu – pisze dalej – morale tu jest zaskakująco wysokie. Nawet Wojtek zdaje się w dobrym humorze, człapie po obozie w poszukiwaniu zdobyczy. Powinnaś zobaczyć, jaki duży urósł”.

Szeregowy Wojtek, jedyny oficjalny czworonożny członek Armii Andersa, jest niedźwiedziem. Żołnierze przygarnęli go w Iranie. Wojtek, którego imię oznacza „wesoły wojownik”, jest teraz nieoficjalną maskotką II Korpusu Polskiego.

Przywędrował z wojskiem z Iranu przez Irak, Syrię, Palestynę, Egipt, aż do Włoch. Po drodze nauczył się przenosić skrzynie z amunicją i odpowiadać na pozdrowienia. Lubi bawić się w boksowanie, a gdy dostaje butelkę piwa albo papierosa, co bardzo sobie ceni, dziękuje skinieniem głowy. Nic dziwnego, że Wojtek z łatwością zdobył tytuł najpopularniejszego żołnierza II Korpusu Polskiego.

Genek przewraca się na brzuch i czyta, co napisał. Czyjegożona domyśli się, że kryje się za tym coś więcej? Herta wystarczająco dobrze go zna, żeby wyczuć, gdy coś ukrywa. Sięga na koniec książki i wyciąga zdjęcie. Jest na nim Herta w nowej szarej sukience z kołnierzem, opiera się o niski kamienny murek w Tel Awiwie. On stoi obok niej w mundurze.

Pamięta, kiedy Otto zrobił to zdjęcie. Julia trzymała Józefa, a Otto odliczył do trzech, zanim przycisnął spust aparatu.

W ostatniej chwili Herta wzięła Genka pod rękę, pochyliła się ku niemu i swawolnie zgięła nogę w kolanie, jak nastolatka na randce.

Genek bardzo za nią tęskni. Także za Józefem. „Nie jestem pewien, kiedy znów będę mógł napisać. Wkrótce nas przenoszą. Odezwe się, jak tylko to będzie możliwe. Proszę Cię, nie martw się”.

Herta oczywiście będzie się martwić, myśli Genek, żałując, że to napisał. On sam się martwi. Jest

sparaliżowany strachem. Gryzie końcówkę pióra. Trzy porażki. Wojsko złożone z byłych więźniów obozów pracy. Niewiele przemawia na korzyść II Korpusu Polskiego.

„Co u ciebie? – kończy. – Jak ma się Ze? Odpisz szybko. Kocham Cię i tęsknię za Tobą niewyobrażalnie. Twój Genek”.

Adi

Rio de Janeiro, Brazylia ~ kwiecień 1944

WIECZOREM, PO POWROCIE ADIEGO z Minas Gerais, on i Eliška zerwali zaręczyny. Zgodzili się oboje, że małżeństwo nie było im pisane. Nie było to łatwe, bo żadne z nich nie chciało być samo; nie chcieli też, by postrzegano ich jako ludzi, którzy poddają się bez walki, choć wiedzieli, że w tym wypadku tak jest najlepiej. Obiecali sobie, że zostaną przyjaciółmi.

I mimo że było to bardzo trudne, to gdy już zapadła decyzja, Adi poczuł wyraźną ulgę.

Madame Lów – Beerowa była oczywiście zachwycona faktem zerwania zaręczyn i zaraz potem, o ironio, na nowo polubiła Adiego. Najwyraźniej gdy znikła perspektywa, że wkrótce zostanie oficjalnie jej zięciem, Wielka Dama uznała, że może zaprzyjaźnić się z Polakiem. Zaczęła zapraszać Adiego w weekendy do swojego mieszkania, żeby grał na fortepianie, i prosiła go o pomoc, gdy psuło się jej radio. Zaproponowała nawet, że skontaktuje go ze znajomym z General Electric w Stanach Zjednoczonych, gdyby zdecydował się wyemigrować na północ.

Miesiące, jakie nastąpiły po zerwaniu, Adi spędził, skupiając się na pracy, cotygodniowych wizytach na pocztę i śledzeniu wiadomości radiowych i prasowych o wojnie. Nie były pocieszające. Nieustanne walki w Anzio i pod Monte Cassino we Włoszech. Bomby zrzucone nad południowym Pacyfikiem i Niemcami. Od tego wszystkiego robiło się Adiemu niedobrze. Jedyna pozytywna informacja, na którą się natknął, dotyczyła tego, że prezydent Franklin Roosevelt wydał dekret o stworzeniu Rady do spraw Uchodźców Wojennych, która, jak to ujęto w czytanim przez niego artykule, miała odpowiadać za „ratowanie ofiar opresji wroga znajdujących się w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia”.

Przynajmniej ktoś gdzieś pomagał, pomyślał Adi, zastanawiając się, jakie są szanse na to, żeby jego rodzice, bracia i siostry znaleźli się pośród ocalonych.

Adi był w wyjątkowo złym nastoju, gdy do drzwi jego mieszkania w Copacabanie zapukał Jonathan, jego znajomy.

– Wyprawiam przyjęcie w następny weekend – powiedział z eleganckim brytyjskim akcentem. – Masz przyjść. O ile dobrze pamiętam, zbliżają się twoje urodziny. Dość już tego życia jak odludek.

Adi machnął ręką w proteście, ale zanim zdążył odmówić, Jonathan dodał, okraszając słowa uśmiechem, który mówił: „Przydałaby ci się, bracie, randka”: – Zaprosiłem dziewczyny z ambasady.

Adi wiele słyszał o dziewczynach z amerykańskiej ambasady. W małym środowisku obcokrajowców w Rio słynęły z urody i zabawowego sposobu bycia, ale nigdy jeszcze żadnej nie poznał.

– Serio. Musisz przyjść – naciskał Jonathan. – Chociaż na chwilę. Będzie fajnie.

W sobotę wieczorem Adi stoi w rogu mieszkania Jonathana w Ipanemie i popijając *cachaęa* z wodą, rozmawia od czasu do czasu z gośćmi na przyjęciu. Jest rozkojarzony myślami o domu. Za dwa dni skończy trzydzieści jeden lat. Halina, gdziekolwiek jest, skończy dwadzieścia siedem. Minie sześć lat,

odkąd razem świętowali. Adi przypomina sobie, jak w swoje ostatnie urodziny, dwudzieste piąte, spędził z Haliną wieczór w jednym z nowych radomskich lokali. Wypili za dużo szampana i tańczyli tak długo, aż rozboleły ich nogi. Tysiąc razy analizował szczegóły tamtego wieczoru, wciąż obracał je w myślach, by wszystko zapamiętać. Nie zapomnieć cierpkiego posmaku cytrynowego ciasta szyfonowego, które razem jedli; dotyku jej dłoni w jego ręce, gdy tańczyli; podniecającego odgłosu korka wylatującego z drugiej butelki Ruinarta; tego, jak bąbelki piekły go w gardło i jak kilka łyków później przestał czuć język. Poprzedniego wieczoru było Pesach. Rodzina jak zwykle świętowała hucznie, zgromadziwszy się najpierw przy stole, a potem przy fortepianie w salonie na Warszawskiej.

Adi obraca w dłoni szklanekę z drinkiem, patrząc, jak pływa kostka lodu, i zastanawia się, czy Halina gdzieś tam też o nim myśli.

Kiedy podnosi głowę, jego wzrok przykuwa postać stojąca po drugiej stronie pokoju. Brunetka. Stoi przy oknie z kieliszkiem wina w dłoni i przysłuchuje się słowom stojącej obok niej kobiety; przypomina jedyny spokojny element pośród chaosu. Dziewczyna z ambasady? Na pewno. Nagle wszyscy inni stają się niewidoczni. Adi przygląda się wysokiej, szczupłej sylwetce, wdzięcznie zarysowanym kościom policzkowym, swobodnemu uśmiechowi. Dziewczyna ma na sobie jasnozieloną sukienkę z dekoltem typu halter, która zapina się z przodu na guziki i jest przewiązana w pasie, na ręce zegarek z prostym paskiem, brązowe skórzane sandały z wąskimi paskami, zapięte wokół jej szczupłych kostek. Jej oczy są łagodne, twarz ma szczerą, jakby nie miała niczego do ukrycia. Jest uderzająco piękna, ale w bezpretensjonalny sposób.

Nawet z odległości Adi czuje, że dziewczyna jest skromna.

A co tam, postanawia. Może Jonathan ma rację. Czując treść, Adi odstawia szklanekę i przechodzi przez pokój. Gdy się zbliża, dziewczyna odwraca się do niego. On wyciąga do niej rękę.

– Adi – mówi i od razu dodaje: – Proszę wybaczyć mój słaby angielski.

Brunetka uśmiecha się.

– Miło cię poznać – mówi, podając mu dłoń.

Adi miał rację, to na pewno Amerykanka.

– Jestem Caroline. Nie przepraszaj, twój angielski jest uroczy. – Mówi powoli, a sposób, w jaki wymawia słowa, miękko i łagodnie, tak że trudno powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie, sprawia, że Adi czuje się przy niej bardzo swojsko. Ta kobieta, uświadamia sobie Adi, emanuje atmosferą akceptacji i luzu, wydaje się, że całkowicie zadowolona ją po prostu to, że jest. Coś kłuje Adiego w serce, gdy przypomina sobie, że on też kiedyś taki był.

Caroline ma cierpliwość do jego łamanej angielszczyzny. Gdy Adi potyka się na jakimś słowie, ona czeka, aż pozbiera myśli i spróbuje jeszcze raz; przypomina mu, że nie ma potrzeby mówić szybko. Gdy Adi pyta, z jakiego regionu w Stanach pochodzi, ona opowiada mu o mieście w Karolinie Południowej, gdzie się urodziła.

– Wspaniale było tam dorastać – mówi. – Clinton stanowiło zwartą wspólnotę, wszyscy byli tam zawsze silnie zaangażowani w szkole i w Kościele... Ale chyba zawsze wiedziałam, że tam nie zostanę. Ja po prostu... musiałam się stamtąd wydostać. Miasteczko zaczęło mi się wydawać takie małe. Moja biedna mama. – Caroline wzdycha i opowiada o tym, w jakim szoku była jej matka, gdy usłyszała, że ona razem z najlepszą przyjaciółką Virginią postanowiły wyjechać do Ameryki Południowej. – Myślała, że

zwariowałyśmy, żeby tak nagle zostawić nasze życie w Karolinie Południowej.

Adi kiwa głową i uśmiecha się.

– Nie masz... Jak to się mówi... nie masz w sobie strachu.

– Można powiedzieć, że przyjazd tutaj był aktem odwagi. Myślę jednak, że po prostu byliśmy żądne przygód.

– Mój ojciec też wyjechał z domu w Polsce – mówi Adi. – Do Ameryki. Za przygodą. Kiedy był młodym człowiekiem. Bez dzieci. Zawsze mówić mi, że Nowy Jork bardzo mi się spodoba.

– Dlaczego wrócił? – pyta Caroline.

– Dla pomocy matce – mówi Adi. – Po śmierci jego ojca ona opiekować pięcioro dzieci w domu, sama. Mój ojciec chce pomóc.

Caroline uśmiecha się.

– Wygląda na to, że twój tata jest dobrym człowiekiem.

Rozmowa kończy się, gdy znajoma, którą Caroline przedstawia jako Virginie, a na którą wszyscy mówią Ginna, w końcu odciąga ją na bok. Idą na inną imprezę, mówi Ginna, mrugając do Adiego niebieskim okiem, i bierze Caroline pod rękę.

Adi patrzy na ich plecy, gdy w podskokach zbliżają się do drzwi, i żałuje, że rozmowa tak szybko się skończyła.

Wychodzi niedługo potem, po drodze przyjacielsko poklepuje Jonathana po plecach.

– Dziękuję, *amigo* – mówi. – Cieszę się, że przyszedłem.

Po drodze do domu myśli o Caroline, podobnie jak w niemal każdej minucie kolejnego tygodnia. Miała w sobie coś takiego, co sprawiło, że Adi bardzo zapragnął lepiej ją poznać. I tak, zdobywszy jej adres w Leme, zbiera się na odwagę, żeby zostawić pod drzwiami liścik napisany przy pomocy nowo zakupionego słownika francusko – angielskiego.

Droga Caroline, podobała mi się rozmowa z Tobą w miniony weekend. Jeśli byłabyś do dyspozycji, sprawiłoby mi przyjemność, gdybym zabrał Cię na kolację do restauracji Belmond obok hotelu Copacabana Palace. Moja propozycja, że spotykamy się w Pałace na aperitif o ósmej w tę sobotę, 29 kwietnia. Mam nadzieję Cię tam zobaczyć.

Twój, Adi Kurc

Kilka dni później, w świeżo wyprasowanej koszuli, trzymając w ręku fioletową orchideę, którą kupił po drodze w kiosku z kwiatami, Adi przybywa do Copacabana Palace, odczuwając to samo łaskotanie w środku, co wtedy, gdy poznał Caroline. Patrzy na zegarek, jest dokładnie ósma, kiedy dziewczyna przechodzi przez szklane drzwi lobby. Na jego widok macha do niego i Adi natychmiast zapomina o zdenerwowaniu.

W hotelowym barze opowiadają sobie, jak spędzają dni i co podoba im się w Rio. Jego angielski się poprawia, jeszcze nigdy Adi nie był tak zmotywowany do nauki, ale ciągle go kaleczy. Caroline wydaje się jednak tego nie zauważać.

– Kiedy pierwszy raz jadłam w *churrascarii* – czerwieni się – tak się przejadłam, że zrobiło mi się niedobrze. Czuję się okropnie, że zostawiam mięso na talerzu, więc zmuszałam się dojedzenia, a wtedy oni znów mi dokładali!

Adi żartuje na temat tego, jak straszliwie powoli poruszają się tutejsi mieszkańcy, i palcami pokazuje na

blacie baru swoje tempo w porównaniu z tempem typowego Brazylijczyka.

– Tutaj nikomu się nie spieszy – mówi, kręcąc głową.

Potem, w Belmond, Caroline prosi Adiego, żeby to on zamówił coś dla nich obojga. Gdy rozmawiają, tym razem nad półmiskami *moqueca de camarao*, krewetek w mleczku kokosowym, Adi dowiadyuje się, że Caroline jest jedną z czworga rodzeństwa Martinów i że jej trzech starszych braci, których imiona ciągle musi mu powtarzać – Edward, Taylor i Venable – wciąż mieszka w domu w Clinton.

– Gdy byliśmy dziećmi, mieliśmy w ogrodzie krowę – opowiada Caroline, a na to wspomnienie jaśniejają jej oczy.

Adi niemal się zakrztusił, usłyszawszy, że krowa miała na imię Sara.

– To hebrajskie imię mojej młodszej siostry Haliny – wyjaśnia, a Caroline się rumieni.

– Och, mam nadzieję, że cię nie obraziłam – mówi. – Sara była członkiem rodziny! – dodaje. – Doiliśmy ją, a czasem nawet jeździliśmy na niej do szkoły.

Adi uśmiecha się.

– Wasza Sara wygląda na dużo mniej upartą niż moja.

Opowiada Caroline o Halinie, przypomina mu się, jak po obejrzeniu *Ich nocy* uparła się, że obetnie sobie włosy na krótko, jak Claudette Colbert, a potem całymi dniami nie wychodziła z domu, przekonana, że ta fryzura jej nie pasuje.

Śmiejąc się, Adi uzmysławia sobie, jak dobrze się czuje, rozmawiając o członkach swojej rodziny, jak usłyszenie ich imion wypowiedzianych na głos pomaga w jakimś sensie potwierdzić, że istnieją.

Caroline też opowiada mu o swojej rodzinie, o ojcu, profesorze matematyki w Presbyterian College w Clinton, gdzie uczył aż do śmierci w 1935 roku.

– Nie dorastaliśmy w luksusach – mówi. – Z wyjątkiem edukacji. Wyobrażasz sobie, jaką wagę ojciec, który był profesorem, przywiązywał do naszego wykształcenia.

Adi przytakuje. Jego rodzice nie byli profesorami, ale gdy dorastał, zdobycie dobrego wykształcenia też było sprawą nadrzędną w jego domu.

– Jak zwracaliście się do ojca? – pyta zaciekawiony Adi. – Jak miał na imię?

Caroline uśmiecha się.

– Miał na imię Abram.

Adi patrzy na nią.

– Abram? Podobnie do Abrahama?

– Tak, Abram. Pochodzi od Abraham. To imię rodzinne. Przekazywane od prapradziadka.

Adi uśmiecha się, a potem sięga do kieszeni po chusteczkę mamy i rozkłada ją przed nimi na stoliku.

– Moja mama, ona... – Adi udaje, że szyje.

– Ona szyje?

– Tak, szyje to dla mnie, zanim wyjeżdżam z Polski. Tutaj – wskazuje Adi – tu są moje... jak to się nazywa?

– Inicjały.

– To są moje inicjały. „A” oznacza pierwszą literę mojego hebrajskiego imienia, Abraham.

Caroline pochyla się nad chusteczką i wpatruje się w haft.

– Ty też jesteś Abraham?

– Si.

– Nasze rodziny mają dobry gust, jeśli chodzi o wybór imion – mówi Caroline, uśmiechając się. Adi składa chusteczkę i wsuwa ją z powrotem do kieszeni. Może mamy wspólne korzenie, myśli. Caroline przez chwilę milczy. Patrzy w dół.

– Moja mama zmarła trzy lata temu – mówi. – Nie mogę sobie darować, że nie było mnie przy niej, kiedy umarła.

Wyznanie to zaskakuje Adiego, bo dopiero poznał Caroline. Przez te lata, kiedy był z Elišką, ona ledwie wspominała o przeszłości, a co dopiero żeby wyznała, że czegoś żałuje. Kiwa głową ze zrozumieniem, myśląc o swojej matce i pragnąc jakoś pocieszyć Caroline. Może poczułaby się mniej samotna, wiedząc, że on też okropnie tęskni za mamą. Nie powiedział jej, że stracił kontakt z rodziną. Tak przyzwyczaił się do unikania tego tematu, że nie był już nawet pewien, czy potrafił o tym rozmawiać. Od czego miałby zacząć?

Podnosi wzrok, Caroline patrzy na niego. Jest w niej coś tak szczerego, łagodnego. Możesz z nią porozmawiać, uświadamia sobie Adi. Spróbuj.

– Wiem, jak się czujesz – mówi.

Caroline wygląda na zaskoczoną.

– Ty też straciłeś matkę?

– Niezupełnie. Nie wiem. Moja rodzina, jak myślę, jest ciągle w Polsce.

– Myślisz?

Adi patrzy w dół.

– Nie jestem pewien. Jesteśmy Żydami.

Caroline wyciąga do niego rękę nad stołem, w oczach ma łzy, i nagle opowieść, którą przez tyle lat trzymał w sobie, wylewa się z jego ust.

Dwa tygodnie później siedzą przy biurku w mieszkaniu Caroline, przy wychodzącym na wschód oknie z widokiem na Leme Beach, przed nimi leży stosik kartek papieru. Od pierwszej kolacji w Belond widywali się niemal codziennie. To Caroline wpadła na pomysł, żeby skontaktować się z Czerwonym Krzyżem z prośbą o pomoc w ustaleniu miejsca przebywania jego bliskich. Adi dyktuje, pochylając się nad ramieniem Caroline, która pisze. Jej optymizm dodał mu energii, słowa wydobywają z jego ust szybciej, niż ona jest w stanie zapisywać.

– Czekaaj, czekaaj, wolniej – śmieje się Caroline. – Czy możesz jeszcze raz przeliterować imię mamy? – Patrzy w górę, w jej aksamitnobrązowych tęczęwkach odbija się promień światła. Pióro sunie po papierze. Adi odchrząkuje. Łagodne spojrzenie i mydlany zapach jej kasztanowych włosów sprawiają, że gubi się w myślach. Starannie wymawiając każdą głoskę, literuje po angielsku imię Nechama. Potem imię ojca i każdego z rodzeństwa. Pismo Caroline, zauważa Adi, jest swobodne i eleganckie w porównaniu z jego pismem.

Gdy list jest gotowy, Caroline wyciąga z torebki kartkę.

– Poprosiłam o to w ambasadzie – mówi, kładąc kartkę między nimi i przesuwając palcem po spisie miast. – Zdaje się, że biura Czerwonego Krzyża są wszędzie. Powinniśmy wysłać twój list do kilkunastu oddziałów, tak na wszelki wypadek.

Adi kiwa głową, przeglądając nazwy piętnastu miast, które wypisała Caroline, od Marsylii, przez Londyn, Genewę, aż po Tel Awiw i Delhi. Obok każdego zanotowała adres.

Rozmawiają cicho, gdy Caroline starannie przepisuje list piętnaście razy. Potem zbiera listy, układa je delikatnie w równy stosik i wręcza go Adiemu.

– Dziękuję – mówi Adi. – To jest dla mnie bardzo ważne – dodaje, trzymając rękę na sercu i żałując, że nie potrafi lepiej wyrazić, ile dla niego znaczy jej pomoc.

Caroline kiwa głową.

– Wiem. To, co się tam dzieje, jest okropne. Mam nadzieję, że dostaniesz odpowiedź. Przynajmniej wiesz, że w tym momencie zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Jest szczerza, jej słowa niosą pocieszenie. Poznał ją zaledwie kilka tygodni temu, ale już wie, że nie trzeba zgadywać, co ona myśli. Po prostu mówi to, co myśli, bez owijania w bawełnę. To dla niego miła odmiana.

– Masz serce ze złota – mówi Adi i uświadamia sobie, jak bardzo stereotypowo brzmią te słowa, ale nie przejmuje się tym.

Palce Caroline są długie i mają wąskie koniuszki. Macha nimi przed twarzą i kręci głową. Adi już wie, że Caroline nie potrafi przyjmować pochwał.

– Ja do poczty jutro – mówi.

– Dasz mi znać, jak tylko czegoś się dowiesz?

– Tak, oczywiście.

Adi spogląda przez okno na wschód, ponad wzgórze Leme i głęboki błękit Atlantyku, ku Europie.

– Przyjdzie czas – mówi, starając się, by w jego słowach wybrzmiała nadzieja – przyjdzie czas, że ich znajdę.

11 MAJA 1944: Zaczyna się czwarta, ostatnia bitwa o Monte Cassino. Zgodnie z nadziejami aliantom udaje się wziąć siły niemieckie z zaskoczenia. Gdy Francuski Korpus Ekspedycyjny niszczy południową flankę niemieckiej obrony, XIII Korpus, formacja 8 Armii Brytyjskiej, przesuwa się w głąb lądu, zajmując miasto Cassino i uderzając na niemieckie siły w dolinie Liri.

Polacy podejmują pierwszą próbę zdobycia Cassino, ale zostają odparci. Dwa bataliony znikają z powierzchni ziemi, liczba ofiar zbliża się do czterech tysięcy. Chociaż klasztor znajduje się pod ciągłym natarciem, wydaje się nie do zdobycia.

Genek

Monte Cassino, Włochy ~ 17 maja 1944

NAD ICH GŁOWAMI PRZELATUJĄ POCISKI moździerzowe. Genek obejmuje tył hełmu dłońmi i przyciska ciało do zbocza góry. Przyzwyczał się już do kłującego bólu w kolanach i łokciach, na których się opiera, wspinając na bezlitosną skałę, do chrzęstu pyłu pomiędzy zębami, nieustającego grzmotu i huku wystrzałów artylerii, dolatujących do jego uszu z bardzo bliskiej odległości. Czteryście metrów wyżej pozostałości sił wroga – regiment, jak się przypuszcza, ośmiuset niemieckich spadochroniarzy – raz za razem wypuszczają pociski z ruin klasztoru. Genek zastanawia się, skąd biorą amunicję.

Z pewnością niedługo im się skończy.

Polakom udało się wziąć Niemców z zaskoczenia, ale choć przewyższają nazistów liczebnie, to ci ciągle jeszcze wyraźnie górują nad Armią Andersa. Zbocze góry po wielu dniach bombardowań zmieniło się w zgliszcza, dlatego wspinaczka jest ekstremalnym wyzwaniem. Nie widać wroga, więc zanim będą mogli strzelać, muszą wspiąć się na szczyt.

W międzyczasie, nie mając bezpiecznego miejsca, w którym mogliby się schronić, są bezpośrednio narażeni na ogień wroga i bezbronni.

Przyciśnięty do zbocza Genek cedzi przez zęby przekleństwa. Wojsko miało być bezpiecznym wariantem. Droga ucieczki z Syberii. Sposobem na utrzymanie rodziny razem. I przez chwilę było. Teraz jednak on sam jest tak bezpieczny jak środek tarczy strzelniczej, a jego rodzina przebywa w Palestynie, jakieś cztery tysiące siedemset kilometrów stąd.

Genek nie może zapomnieć o tym, że poprzednie natarcie Polaków na Monte Cassino, pięć dni temu, tak samo jak trzy wcześniejsze, okazało się dramatyczną klęską. Napotykając ogień z moździerzy, z broni lekkiej i niszczycielskich dział kalibru 75 mm, dywizje piechoty Andersa zostały niemal zmiecione z powierzchni ziemi w ciągu kilku zaledwie godzin. Tak szybko, jak zaczęła się operacja, tak szybko II Korpus Polski został zmuszony do odwrotu, tracąc około czterech tysięcy ludzi. Genek i Otto cieszyli się, że wyznaczono ich do dywizji piechoty na tyłach, i złorzeczyli, że pomimo strat poniesionych również przez wroga klasztor wciąż był w rękach Niemców. Do tej pory jedyna pozytywna informacja w trakcie trwania kampanii dotarła do nich od generała Juina, dowódcy Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego, który donosił, że jego ludzie przejęli Monte Maio i mogli teraz wesprzeć brytyjski XIII Korpus stacjonujący w dolinie Liri. Do Polaków należało jednak wciąż zdobycie klasztoru. Podjęli tego ranka kolejną próbę.

Jeszcze więcej moździerzy. Huk artylerii nad głową. Stukot pocisku uderzającego o kamień, przypominający dźwięk werbla. Ktoś poniżej krzyczy. Genek schyla się nisko. Myśli o Hercie, o Józefie, o tym, czy nie znaleźć skały, za którą mógłby się schować do zakończenia walki. Ale potem w głowie pojawia mu się nagle pewien obraz – jego rodzina wywożona przez nazistów do obozu zagłady. Członkowie jego rodziny, jedni z podobno milionów ofiar. Ścisła go w gardle, krew napływa mu do

twarży. Nie może się chować. Jest tutaj. Jeśli to natarcie się powiedzie, to on pomoże złamać Niemców, przypomni światu, że Polska, choć pokonana, jest wciąż liczącą się siłą w Europie. Czując w ustach metaliczny smak strachu, uzmysławia sobie, że nawet jeśli jest to misja samobójcza, to jeśli on może przyczynić się w ten sposób do zakończenia tej przeklętej wojny, z pewnością się nie podda.

Genek czeka, aż ogień artyleryjski na chwilę ucichnie, i wspina się kilka metrów, trzymając się nisko i rozglądając uważnie, żeby nie wpaść na minę pułapkę z drutu. Zabezpieczając fortecę, Niemcy zastawili mnóstwo prostych pułapek, które kosztowały życie dziesiątki towarzyszy Genka. Przeszedł kurs, jak rozbroić minę, ale zastanawia się, czy gdyby teraz napotkał na drodze ładunek wybuchowy, to czy w tych okolicznościach byłby w stanie odtworzyć procedurę postępowania. Kolejny huk, olbrzymia eksplozja gdzieś po prawej Genka. Upada na skałę, niemal kompletnie ogłuszony.

Co to, kurwa, było? Dzwoni mu w uszach. Ludzie Andersa dużo rozmawiali o tym, czy niemieccy spadochroniarze mieli dostęp do dział kolejowych kalibru 28 cm K5, użytych w czasie walk w Anzio. Niemcy nazywali tę broń Leopoldem.

Alianci mówili o niej „Anzio Annie”. Pociski ważyły ćwierć tony i miały zasięg ponad stu trzydziestu kilometrów. To niemożliwe, żeby dali radę wciągnąć takiego kolosa na wzgórze, tłumaczy sobie Genek, próbując złapać oddech – jeśli tak było, to jest pewien, że do tej pory jego oddział zostałby już zmieciony. W powietrzu znów rozlegają się serie z broni maszynowej. Genek podnosi głowę, nabiera powietrza i wdrapuje się kolejnych kilka metrów w górę.

18 MAJA 1944: Podczas drugiego natarcia na Monte Cassino II Korpus Polski napotyka nieustający zmasowany ostrzał z artylerii i moździerzy z silnie ufortyfikowanych pozycji niemieckich na wzgórzu. Żołnierze nie mają praktycznie naturalnych osłon, walczą zaciekle, czasem zmuszeni do walki wręcz. Dzięki udanej akcji Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego w dolinie Liri, Niemcy spadochroniarze wycofują się z Cassino na nowe pozycje obronne na „linii Hitlera” na północy. Wczesnym rankiem 18 maja Polacy zdobywają klasztor. Są tak wycieńczeni, że tylko niewielu ma siłę, by wdrapać się ostatnich kilkanaście metrów. Na szczycie nad ruinami klasztoru zatykają polską flagę i odśpiewują na cześć polskiego zwycięstwa żołnierską pieśń „Czerwone maki na Monte Cassino”. Droga do Rzymu stoi otworem.

6 CZERWCA 1944– D– DAY: Bitwa o Normandię, o kryptonimie Overload, dowiedziona przez generała Eisenhowera, zaczyna się od zmasowanego ataku wodno – lądowego około 156 tysięcy sił sojuszniczych na silnie ufortyfikowany odcinek francuskiego wybrzeża. Niski przyływ, kiepska pogoda i akcje dezinformacyjne aliantów mające na celu zmylenie wroga sprawiają, że Niemcy zostają zaskoczeni.

NA DŹWIĘK PIERWSZEGO WYBUCHU krew odpływa Belli z twarzy. Nie zastanawiając się, opada na kolana za ladą sklepu z sukienkami. Po detonacji – tak blisko, że zabrzęczały monety w kasie – następują krzyki i szybka seria wystrzałów. Bella czołga się do rogu lady, wygląda nad nią w kierunku szklanej witryny sklepu. Na zewnątrz przebiega trzech mężczyzn w mundurach z karabinami Błyskawica. Spada kolejna bomba, Bella instynktownie zakrywa dłońmi głowę. Zaczęło się.

Powstanie Armii Krajowej. Musi się stąd wydostać. I to szybko.

Czołga się do małego pokoiku, który wynajęła na tyłach sklepu, i próbuje w gorączce zdecydować, co ze sobą wziąć.

Torebka, szczotka do włosów – nie, szczotka nie, nieważna – klucze, choć zastanawia się, czy budynek przetrwa choćby jeden dzień. W ostatniej sekundzie podnosi materac i wyciąga dwie fotografie – rodziców oraz jej i Anny jako dzieci – i wsuwa je do żakietu. Zastanawia się, czy nie zamknąć sklepu na klucz, ale gdy przebiega przed nim czterech kolejnych mężczyzn w mundurach, postanawia, że nie. Biegnie do tylnego wyjścia i cicho wychodzi ze sklepu.

Ulica na zewnątrz jest pusta. Bella zatrzymuje się, by złapać oddech. Słyszy w głowie słowa Jakuba.

„W mojej kamienicy jest bezpieczna piwnica – powiedział jej tydzień temu, gdy wydawało się, że powstanie jest blisko.

– Jeśli zaczną się walki, spotkajmy się tam”.

Będzie musiała przedostać się na drugą stronę Wisły, żeby do niego dołączyć.

Rusza biegiem ulicą Wójtowską na północny wschód ku mostowi, a gdy słyszy brzęczenie nadlatującego samolotu Luftwaffe, wskakuje w boczną uliczkę. Przyciska ciało do cegieł, wyciąga szyję i odlicza sześć samolotów. Lecą nisko, jak sępy. Zastanawia się, czy powinna przeczekać i puścić się biegiem, gdy niebo będzie znów czyste, ale uznaje, że nie ma czasu do stracenia. Musi być z Jakubem. *Tysiąc razyszłaś tą trasą, tłumaczy sobie, zajmie ci to dziesięć minut. Tylko się tam przedostań.*

Bella przyspiesza, próbując kątem oka obserwować niebo, ale nierówny bruk jej to utrudnia. Dwukrotnie niemal skręca kostkę i w końcu decyduje, że bezpieczniej będzie patrzeć pod nogi i nasłuchiwać samolotów, zamiast biec na ślepo z głową zwróconą ku górze. Przebiegła wzdłuż sześciu kamienic, kiedy wraca warkot sztukasów. Wpada w kolejną boczną uliczkę dokładnie w chwili, gdy cień pojawia się nad jej głową. *Proszę, Boże, nie*, modli się, zaciskając oczy i przyciskając ciało do ściany. Czeką. Warkot oddala się. Otwiera oczy i rusza dalej. Gdzie są ludzie? Na ulicach jest pusto. Wszyscy się schowali.

Powstanie nie jest zaskoczeniem. Każdy w Warszawie słyszał plotki, że się zbliża, i każdy miał plan, co robić, gdy w końcu się zacznie, choć nikt dokładnie nie wiedział, kiedy to będzie. Bella i Jakub mieli szczęście, bo mogli liczyć na informacje z podziemia przekazywane przez Adama.

„Może się zacząć w każdej chwili – powiedział w poprzedni weekend. – Armia Krajowa czeka tylko, aż zbliży się Armia Czerwona”.

Państwa Osi, jak pisano w „Biuletynie Informacyjnym”, wreszcie zaczynały słabnąć. Oddziały aliantów przełamywały obronę nazistów w Normandii, mówiło się też o zmasowanej kampanii aliantów we Włoszech. Polska Armia Krajowa, tłumaczył Adam, miała nadzieję, że przy wsparciu Armii Czerwonej uda jej się wyzwolić stolicę spod okupacji niemieckiej i tym samym dołożyć kamyczek do szali zwycięstwa aliantów w Europie.

Brzmiało to szlachetnie. Jakub i Adam rozmawiali o tym, czy nie włączyć się w szeregi Armii Krajowej, usilnie bowiem chcieli pomóc w walce. Teraz Bella cieszy się, że Halina przekonała ich, by tego nie robili. Ona też nie pragnęła niczego bardziej niż wyzwolenia Polski. Ale Armia Krajowa, przypomniała im, nie patrzyła łaskawie na Żydów, a co więcej, Niemcy mieli wielką przewagę liczebną. Warszawa wciąż była przez nich opanowana. „Zobaczcie, co się stało – powiedziała Halina – po powstaniu w getcie. A co, jeśli Armia Czerwona nie będzie współpracować?”. Armia Krajowa liczyła na pomoc Stalina, ale on w przeszłości już ich zawiódł, przestrzegła Halina, błagając Jakuba i Adama, by się pohamowali. „Proszę was – powiedziała – podziemie was potrzebuje. Są jeszcze inne sposoby walki z wrogiem”.

Bella kieruje się w prawo, na wschód, ulicą Wójtowską, ciesząc się, że jej oczom ukazała się rzeka. Zbliżając się do niej, zwalnia jednak. Gdzie most? Nie ma go. Zbombardowany. Widać stos powyginanego żelastwa i otwarte wody.

Przyspieszając, Bella skręca na północ, biegnie wzdłuż zakola Wisły, modląc się, by napotkać jakiś inny niezniszczony most.

Kilkaset metrów dalej, z piekącym bólem w piersi i w przepoconej bluzce oddycha z ulgą, widząc, że most przy Cytadeli wciąż stoi. Na niebie pojawiły się jednak junkersy. Ignorując je, podobnie jak palący ból w piersiach, pieczenie w mięśniach ud i głos wewnętrzny ponagający ją, żeby się gdzieś zatrzymała i schowała, Bella pędzi tak szybko, jak tylko może.

W połowie drogi na moście pojawia się kilku mężczyzn. Biegną w jej stronę szaleńczymi, wielkimi susami. Bella staje jak sparaliżowana, aż orientuje się po ich ubiorze, że to Polacy. Cywile. Niektórzy mają przewieszane na szyi karabiny. Inni trzymają widły i łopaty. Kilku ma w rękach noże rzeźnicze. Gonią co sił w nogach w jej kierunku, coś wykrzykując, ale Bella jest zbyt zmęczona, za głośno oddycha, żeby zrozumieć ich słowa. Dopiero gdy są już blisko, uzmysławia sobie, że krzyczą do niej.

– Biegniesz w złą stronę! – wrzeszczą, trzymając jak wojownicy swoje narzędzia walki nad głowami. – Chodź walczyć z nami! O Polskę! O zwycięstwo!

Bella, mijając ich, kręci głową, biegnie, dla zachowania równowagi patrząc w ziemię. Nie podnosi głowy, dopóki nie staje przed drzwiami Jakuba.

To ich ósmy dzień w ukryciu. Bombardowania nie ustąpiły. Bella i Jakub nieustannie się zamartwiają, czy pozostali – Halina, Adam, Mila, Franka i jej rodzina – znaleźli bezpieczne schronienie i jak będzie wyglądała Warszawa, gdy naloty wreszcie się skończą.

Dziela piwnicę z parą, która pojawiła się tam z osiemnastomiesięcznym dzieckiem, belą siana i, ku zdziwieniu Jakuba i Belli, mleczną krową. Kosztowało to trochę wysiłku, ale w końcu udało im się nakłonić krnąbrne zwierzę, żeby zeszło po schodach do piwnicy. Krowa śmierdzi, nie ma innego wyjścia, jak tylko zbierać jej odchody w stosik w rogu piwnicy, ale jej wymiona są zawsze pełne. Dwa razy dziennie świeże

mleko wynoszą z piwnicy na górę, by je zagotować, po to, „żeby nadawało się dla dziecka”, powiedziała matka malucha, choć Bella była przekonana, że świeże mleko od krowy nie zaszkodziłoby dziecku. Myślała, żeby zaprotestować – wychodzenie na górę było niebezpieczne, a w tych okolicznościach było wręcz głupotą, ale ugryzła się w język, nie chcąc psuć przyjaznej atmosfery. Dzisiaj jej kolej, żeby zagotować mleko.

Patrzy na zegarek. Od ostatniego wybuchu minęło prawie trzydzieści minut. Przerwa. Jakub, stojący razem z nią u podnóża schodów, kiwa głową.

– Uważaj – mówi.

Bella odwzajemnia kiwnięcie i zaczyna wchodzić po schodach, trzymając w ręku wiadro, a potem szybko przebiega przez korytarz do kuchni. Staje przy kuchence i przelewa mleko do garnka, a potem zapala zapałkę i przekręca czarną gałkę pod palnikiem, żeby zapalić płomień. Gdy mleko się podgrzewa, Bella podchodzi na palcach do okna. Widok miasta na zewnątrz jest surrealistyczny. Co trzeci budynek przy ulicy Danusi jest zburzony. Inne ciągle stoją, ale brakuje im dachów, jakby ktoś ściął im głowy. Patrzy w niebo i przeklina, bo w zasięgu wzroku pojawia się chmara samolotów Luftwaffe. *Cholera*. Samoloty na początku są małe, ale przybliżają się, a potem zmieniają kurs i znikają z pola widzenia.

Bella odchodzi od okna, żałując, że już ich nie widzi. Nasłuchuje uważnie, wpatrując się w mleko, chce, żeby już się zagotowało. Po chwili warkot silników staje się głośniejszy. Bella słyszy, jak Jakub uderza w podłogę kijkiem miotły na znak, że powinna wrócić do piwnicy. On też słyszy samoloty. A potem, niedaleko, spada bomba, cały pokój się trzęsie, na półkach drży porcelana. Jakub znów puka, tym razem mocniej. Słysząc, jak woła ją spod podłogi.

– Bella!

– Idę! – woła, wyłączając gałkę kuchenkę. Następna bomba. Tym razem bliżej, może w tej kamienicy. Powinna rzucić wszystko i biec, ale najpierw, postanawia, obwijając sobie rękę ręcznikiem, musi wziąć mleko. Gdy sięga po rączkę rondla, słyszy nowy odgłos. Początkowo brzmi jak niski, koci skowyt. Zostaw mleko, napomina się, i rzuciwszy ręcznik, odwraca się, by uciec. Ale jest za późno. Ledwie doszła do drzwi, gdy okno wylatuje w powietrze. W kuchni robi się czarno od dymu, Bella czuje, że zważyło ją z nóg. Przebiera w powietrzu rękami, bezradnie, w zwolnionym tempie, jakby pływała pod wodą, jakby próbowała uciec ze złego snu. Rozbite szkło. Odłamki pocisku. Naczynia pozrzucone z półek, skorupy. Bella opada ciężko i leży bez ruchu na brzuchu, chroniąc tył głowy dłońmi i próbując oddychać, ale powietrze jest tak gęste od dymu, że sprawia jej to trudność. Spada kolejna bomba, podłoga pod nią skrzypi.

Jakub teraz krzyczy, ale jego głos jest zduszony, jakby dobiegał z oddali. Z zamkniętymi oczami Bella analizuje w myślach stan uszkodzeń swojego ciała. Może poruszać palcami u rąk i u nóg. Ma wszystkie członki i wydaje się, że są sprawne. Ale jest mokra. Czy krwawi? Nie czuje bólu. Co się pali? Oszołomiona, siada, kaszląc, i otwiera oczy. Pokój jest zadymiony, jakby patrzyła na niego przez warstwę brudnego szkła. Mruga oczami. Gdy udaje się jej skupić wzrok, zauważa coś jakby szarą smugę dymu zmierzającą wężykiem ku sufitowi od tyłu kuchenki. Bella sztywnieje – czy wyłączyła kuchenkę? Jest tego pewna? *Tak, tak, jest wyłączona*. Patrzy na rumowisko na podłodze: odłamki szyb okiennych, potłuczone naczynia, kawałki drewna, kilkanaście dużych odłamków pocisku. Rondel leży na boku w kałuży mleka. Patrzy na swoje ubranie – nie krwawi, jest mokra od mleka.

– Bella! – woła Jakub głosem przepełnionym lękiem. Nagle pojawia się przy niej, kuca obok, dotyka jej

ramion, policzków. – Bella! Nic ci nie jest?

Bella słyszy go, ale słabo. Kiwa głową.

– Tak, nic... nic mi nie jest – mamrocze.

Jakub pomaga jej wstać. Coś śmierdzi, jakby się paliło.

– Kuchenka? – pyta Jakub. Zaczęło syczeć.

– Jest wyłączona.

– Chodźmy stąd.

Nogi chwieją się pod Bellą, jakby szła na szczydlach. Jakub pomaga jej, otacza ją ramieniem i na wpół ją niosąc, idzie z powrotem schodami do piwnicy.

Na pewno jesteś cała? Myślałem... myślałem...

Wszystko dobrze, kochany. Nic mi nie jest.

17 PAŹDZIERNIKA 1944: „[Warszawa] ma służyć jedynie jako punkt przeładunkowy dla transportu Wehrmachtu. Kamień na kamieniu nie powinien pozostać. Wszystkie budynki należy zniszczyć aż do fundamentów”.

Dowódca SS Heinrich Himmler podczas narady oficerów SS

Mila

Niedaleko Warszawy, Polska pod okupacją niemiecką ~ koniec września 1944

ODKĄD NA WARSZAWĘ na początku sierpnia zaczęły spadać bomby, minęło prawie osiem tygodni. Kiedy spadła pierwsza bomba, Mila rozważała pożyczanie samochodu, żeby odebrać Felicję z klasztoru we Włocławku, ale wiedziała, że w żadnym wypadku nie uda się jej tam dotrzeć. Warszawa stała się wielkim polem bitwy. Wszyscy się ukrywali. Na obrzeżach miasta stacjonowali Niemcy, pochowani w bunkrach, gotowi do natarcia, gdy tylko Armia Krajowa okaże oznaki słabości. Wyjazd był niemożliwy. Zamiast tego uciekła więc do mieszkania Haliny w centrum przy ulicy Stawki, gdzie spędzała dnie i noce ściśnięta z siostrą i Adamem w ich piwnicznym korytarzu, nasłuchując w ciemności, jak spadające bomby dziesiątkują nad nimi miasto.

Co jakiś czas znajomy z podziemia przynosił im coś dojedzenia i wiadomości. Nie były pocieszające. Niemcy mieli ogromną przewagę, zarówno liczebną, jak i pod względem uzbrojenia. Podobno na Woli dokonano egzekucji dziesięciu tysięcy mieszkańców, na Starym Mieście siedmiu tysięcy. Dziesiątki tysięcy innych zostało wywiezionych do obozów zagłady. Nie oszczędzono nawet chorych – zamordowano prawie wszystkich pacjentów Szpitala Wolskiego. W miarę jak walki się przeciągały, sytuacja Armii Krajowej stawała się rozpaczliwa.

„Czy Stalin wysłał wsparcie?” – pytał Adam za każdym razem, gdy przychodziły wiadomości z podziemia. Odpowiedź zawsze była negatywna – nie było żadnych sygnałów o pomocy ze strony Rosjan. Wciąż trwały bombardowania i niegdyś kwitnąca stolica Polski powoli znikła z powierzchni ziemi. Po tygodniu zniszczona była jedna trzecia miasta, potem połowa, potem dwie trzecie.

Mila jest w fatalnym stanie psychicznym, cierpi z powodu rozłąki z Felicją. Nie ma skąd się dowiedzieć, czy bombardowania dosięgły Włocławka, a wcześniej nigdy nie wpadła na to, żeby zapytać, czy w klasztorze jest schron. I tak mają niewiele jedzenia, a na dodatek ona prawie nic nie je. Spodnie zaczynają jej spadać z cienkiej talii. Nie wie, co robić.

Z każdym kolejnym dniem – a naliczyła ich już pięćdziesiąt dwa od chwili, kiedy się ukrywa – wpada w coraz większą rozpacz. Wydaje się, że co kilka minut porusza się ziemia i następna bomba spada, zostawiając po sobie zburzone domy, sklepy, szkoły, kościoły, mosty, samochody i zabitych ludzi. A ona nie może zrobić nic, jak tylko słuchać i czekać.

Halina

Więzienie Montelupich, Kraków, Polska pod okupacją niemiecką ~ październik 1944

HALINĘ BUDZI NAGLE METALICZNY SZCZĘK klucza w zamku i chrzęst metalu o cement, gdy otwierają się drzwi celi. Mruży to oko, które nie jest spuchnięte.

– Brzoza! – rzuca do niej Betz. – Wstawaj. Już!

Powoli wstaje, oddychając płytko, by zmniejszyć kłujący ból w plecach. W ciągu czterech dni, które spędziła w więzieniu, przesłuchiowano ją już kilkanaście razy. Za każdym razem wraca do celi z kolejnymi siniakami, a każdy ma głębszy odcień fioleto niż poprzednie. Jest na granicy poddania się. Ale wie, że musi wytrzymać ból, upokorzenie, krew ciekącą z nosa, czoła i górnej wargi. Nie może się załamać. Jest na tyle mądra, by wiedzieć, że ci, którzy się załamią, nie wracają. A ona nie wyzionie ducha w tym zapomnianym przez Boga i ludzi więzieniu. Nie pozwoli, żeby Gestapo wygrało.

Halina została aresztowana ledwie kilka dni po tym, jak generał Bór – Komorowski wywiesił białą flagę i ogłosił, że powstanie warszawskie się skończyło. Ostatecznie ludzie Stalina, stojący pod miastem, nigdy nie przybyli. Po sześćdziesięciu trzech dniach walki Armia Krajowa była zmuszona się poddać. Drugiego października, po raz pierwszy od dwóch miesięcy, nad miastem zapanowała cisza. Gdy Halina odważyła się wyjść na zewnątrz, wyczerpana nerwowo ciągłymi bombardowaniami, śmierdząca i brudna, niemal umierająca z głodu, Warszawa, wciąż w płomieniach, była nie do poznania. Kamienica Haliny była jedną z dwóch, które przetrwały przy Stawkach. Inne zostały zrównane z ziemią.

Niektóre, przełamane na pół, ukazywały wnętrza w niepokojącym chaosie – toalety, kredensy, porcelana, czajniki i sofy wbite przypadkowo w zgnieciony metal i cegły – ale z większości domów nie zostało nic oprócz szkieletów, ich trzewia były wydrążone, wypatroszone jak ryby. Halina wyruszyła w drogę przez zniszczone miasto, żeby spróbować odnaleźć Jakuba i Frankę – zadanie niemal niemożliwe, biorąc pod uwagę, jak wiele ulic było zasypanych gruzami. Najpierw dotarła pod drzwi Franki, gdzie osunęła się na kolana, bo kamienicy nie było. Nigdzie nie mogła znaleźć Franki, jej rodziców i brata. Godzinę później, gdy w końcu dostała się do mieszkania Jakuba, odkryła, że jego dom również został wypatroszony. Niemal zemdląca, gdy nagle z ruin wyłonił się Jakub prowadzący Bellę. Byli bezpieczni. Ale niemal umierali z głodu.

W tym momencie Halina już ledwie była w stanie trzeźwo myśleć. Nie znalazła Franki i jej rodziny. Wiedziała, że nie może wyjechać z Warszawy, zanim nie spróbuje ich odnaleźć. Ale ona, Adam, Jakub i Bella znajdowali się w dramatycznej sytuacji. Byli głodni, nie mieli pieniędzy, a przecież zbliżała się zima. Przed powstaniem pracodawca Haliny, Herr Den, powiedział jej, że poprosił o przeniesienie do Krakowa.

„Gdyby czegoś pani potrzebowała, znajdzie mnie w banku w centrum miasta, na Rynku Kleparskim” – dodał. Teraz Halina nie miała innego wyjścia, jak zwrócić się do niego po pomoc. Adam oczywiście

sprzeciwił się temu pomysłowi, twierdząc, że samotna podróż do Krakowa będzie dla Haliny zbyt niebezpieczna. Ale ona się uparła. W strukturach podziemia wciąż działał odłam, który potrzebował Adama bardziej niż kiedykolwiek. Była jeszcze Miła, pełna niepokoju, jak dotrze do Felicji.

„Jeśli zostaniesz, pomożesz Mili dostać się do Włocławka i będziesz dalej szukał Franki – powiedziała Halina. – Proszę, dam sobie radę sama”.

Miała pojechać i zaraz wrócić, jak obiecała, z pieniędzmi – sumą wystarczającą, żeby dało się przetrwać zimę. W końcu Adam się zgodził. I tak po zaaranżowaniu wymiany z innym młodym Żydem – jej płaszcz za worek ziemniaków, który miał wyżywić pozostałych podczas jej nieobecności – Halina pojechała do Krakowa.

Realizacja jej sprytnego planu została jednak nagle przerwana dzień później na dworcu w Krakowie, gdzie zaraz po wyjściu z pociągu Halinę aresztowano. Gestapowca, który ją zabrał z peronu, nie interesowała jej opowieść ani możliwość kontaktu z Herr Denem, który mógł ją potwierdzić.

„W takim razie proszę mi pozwolić wysłać telegram do męża” – powiedziała Halina, nie próbując ukryć gniewu.

Gestapowiec znów ją zignorował. W ciągu godziny została przewieziona samochodem policyjnym przez centrum Krakowa do mającego złą sławę więzienia Montelupich.

Gdy wchodziła do więzienia wejściem z czerwonej cegły, spojrzała w górę na drut kolczasty i potłuczone szkło okalające budynek i nabrała pewności, że nie wróci do Warszawy. Przynajmniej nieprędko. I że Adam będzie zdruzgotany.

– Brzoza!

– Idę! – odburkuje Halina. Kuśtykając w stronę drzwi, przestępuje nad ciałami innych więźniów. Wśród niemal czterdziestu kobiet siedzących w celi zaskakująco niewiele jest Żydówek, przynajmniej z tego, na ile Halina się orientuje.

Jest najwyżej jedną z czterech, może pięciu. Większość uwięzionych na oddziale kobiecym Montelupich to złodziejki, przemytniczki, agentki wywiadu, członkinie różnych organizacji oporu. Według Gestapo jej zbrodnią jest jej wyznanie. Ale ona nigdy się do tego nie przyzna. Nigdy nie nazwie swojej religii przestępstwem.

– Zabierz łapy – cedzi przez zęby, gdy Betz, zamknąwszy za nimi drzwi, wykręca jej rękę z tyłu i pcha przed sobą korytarzem.

– Zamknij się, Złotko.

Na początku Halina myślała, że jej przewisko wzięło się od koloru jej blond włosów, ale szybko zrozumiała, że pochodziło od żółtych gwiazd, które zmuszeni byli nosić Żydzi w Europie.

– Nie jestem Żydówką.

– Co innego mówi twój przyjaciel Pinkus.

Halina ma wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Pinkus. Skąd wiedzą, jak się nazywa? Pinkus, młody Żyd, u którego przed wyjazdem z Warszawy wymieniła płaszcz na kartofle. Musieli go złapać, a on wyjawiał jej nazwisko w nadziei, że mu to jakoś pomoże. Halina przeklina jego głupotę.

– Nie znam żadnego Pinkusa.

– Pinkus, Żyd, który wziął twój płaszcz. Twierdzi, że cię zna. Że nie jesteś osobą, za którą się podajesz.

Pinkus, ty dupku bez kręgosłupa.

– Dlaczego Żyd miałby wydać innego Żyda? – irytuje się Halina.
– To się zdarza cały czas.
– Przecież powiedziałam, że nie znam tej osoby. On kłamie. Powie wszystko, żeby uratować własne życie.

W pełnej plam krwi celi bez okien, którą Gestapo wyznaczyło na miejsce przesłuchań, Halina po raz kolejny składa te same wyjaśnienia, tym razem dwóm bydlakom, których rozpoznaje z poprzednich przesłuchań – jednego po szkaradnej bliźnie nad oknem, drugiego po tym, że kuleje.

– Dałaś mu swój płaszcz! – krzyczy ten z bliźną. – Jeśli jesteś Polką, jak twierdzisz, to dlaczego robiłaś interesy z Żydem?

– Nie wiedziałam, że jest Żydem! – udaje Halina. – Nie jadłam od tygodni. Zaproponował ziemniaki. Co miałam zrobić?

– Halina nagle traci grunt pod nogami, pięść podnosi ją do góry za kołnierz i rzuca o ścianę celi. – Nie wiedziałam, że jest Żydem – sapie.

Trzask. Jej czoło uderza o ścianę.

– Przestań kłamać!

Ból jest obezwładniający. Halina ma nogi jak z waty.

– Czy... nie rozumiesz? – rzuca. – To zemsta I Żydzi... Oni próbują się zemścić... na Polakach I Kolejny trzask. Wzdłuż nosa spływa strużka, gorący, cierpki smak krwi. *Nie wolno ci się zawahać.*

– Przysiągł na grób własnej matki – syczy gestapowiec. – Co powiesz na to?

– Żydzi... nienawidzą nas. – *Lomot.* Halina mówi przez zęby, z jednym policzkiem przyciśniętym do ściany. – Zawsze tak było... to kara!

Lomot. Kościsty, wyciszony chrzęst, dostaje otwartą dłoń w szczękę.

– Popatrz na siebie – wyglądasz na Żydówkę!

Oddech Haliny jest ciężki, charczący.

– Nie... obrażaj... mnie. Popatrz na siebie... na swoje kobiety. Blondynki... niebieskie oczy. One też są Żydówkami?

Trzask. Znów jej głowa uderza o ścianę. Ma teraz krew na rzęsach, pieką ją oczy.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– A dlaczego nie? Moje... wszystko mam w papierach! Prawdę powie ci też mój szef... Herr Den. Zadzwoń do niego.

Pracuje w banku na Rynku Kleparskim. Mówiłam wam... byłam w drodze do niego, kiedy, sukinsyny, mnie aresztowaliście.

– Ta część jej historii jest akurat prawdą.

– Zapomnij o Denie. Na nic nam się nie przyda – syczy ten kulawy.

– To zatelegrafujcie do mojego męża.

– Jediną osobą, której potrzebujemy, jesteś ty. Złotko! – wrzeszczy ten z bliźną. – Mówisz, że jesteś Polką. To odmów pacierz!

Halina kręci głową, udając zirytowanie i dziękując w duchu rodzicom, że posłali ją do polskiego gimnazjum, a nie do jednej z radomskich szkół żydowskich.

– Znowu to samo. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje...

– Dobrze, dobrze, wystarczy.

– Zadzwoń do mojego szefa – błaga Halina, wykończona. To ostatnia karta, którą może zagrać, jej ostatnia nadzieja.

Zastanawia się, czy Niemcy chociaż spróbowali się z nim skontaktować. Być może Herr Dena zatrzymało w Warszawie powstanie, może w ogóle nie dotarł do Krakowa. A może zadzwonili, a on w końcu przestał za nią ręczyć. Ale wydawał się taki stanowczy: „Przyjedź do Krakowa. Znajdź mnie. Pomogę”. Spróbowała. A teraz jest tutaj. Minął niecały tydzień, a jej ciało już jest w ruinie. Nie wie, ile jeszcze takich przesłuchań jest w stanie znieść. Słyszała od jednej z nowo przybyłych na oddział kobiety, że Warszawa wciąż się tli. Nieustannie martwi się o Adama, który na pewno odchodzi od zmysłów, że ona nie wraca. O Miłę, która ledwo była w stanie funkcjonować, gdy Halina wyjeżdżała. I o Frankę, ale najbardziej o rodziców. Górcy w zamian za bezpieczeństwo rodziców oczekiwali comiesięcznej zapłaty, a teraz mijają już prawie dwa miesiące, odkąd ostatni raz dostali pieniądze. Czy mogła liczyć na ich dobroć, jeśli chodzi o przetrwanie rodziców?

Widziała ich ubogi dom, ledwie mogli się sami utrzymać. Halina nie może powstrzymać obrazu, który jej staje przed oczami – Albert wyprowadza jej rodziców z domu, niezdolny spojrzeć im w oczy: *Przepraszam, żałuję, że nie możecie zostać. Ale albo odejdziecie, albo wszyscy umrzemy z głodu.* Górcy z pewnością za jakiś czas uznają, że Halina nie żyje.

Rodzina też będzie o tym przekonana.

„Wróć”, mówi cicho, gdy w końcu odprowadzają ją z powrotem do celi, trochę do siebie, a trochę do Adama i rodziców. A nuż ją usłyszą?

Mila

Okolice Warszawy, Polska pod okupacją niemiecką ~ październik 1944

PODRÓŻ SAMOCHODEM DO ZAKONU trwa dwa razy dłużej niż zwykle. Wiele ulic i dróg jest nieprzejezdnych, co zmusza Milę do zbaczania w długie objazdy. Wszystko, co kiedyś wyglądało znajomo, zniknęło – wytwórnia beczek w Józefinie, garbarnia w Mszczonowie – krajobraz ogranicza się do niekończących się zgliszcz.

Mila pochyła się do przodu, patrzy przez okno ukradzionego volkswagena. Znalazła go razem z Adamem; leżał przewrócony na bok kamienicę dalej od mieszkania Haliny. Potrzeba było sześciu osób, żeby go postawić z powrotem na koła. Adam pomógł go uruchomić. Brakowało szyb w oknach, ale to nie miało znaczenia. Bak jakimś cudem był w jednej czwartej pełny, wystarczy akurat, żeby pojechać do klasztoru i z powrotem.

Mila nerwowo uderza palcami w kierownicę, analizując ruiny na drodze przed sobą. Chyba się zgubiłam, myśli. Czyżby źle skręciła? Od tygodni prawie nie śpi, bardzo możliwe, że zgubiła drogę. Klasztor powinien być dokładnie tam, przed nią, mogłaby przysiąc... Po chwili jej wzrok pada na coś czarnego, kawałek tablicy wystaje do góry z ziemi. Mili robi się niedobrze, bo rozpoznaje tablicę szkolną. Jest w dobrym miejscu. Klasztoru nie ma. Zniknął. Został wysadzony w powietrze.

Mila bez zastanowienia wychodzi z samochodu, zostawiając włączony silnik, i biegnie przez pole, gdzie ostatni raz widziała córkę, przeskakuje w wysokiej trawie przez rozrzucone cegły i połamane słupki płotu. Na widok małego krzeselka, wywróconego do góry nogami, opada na kolana. Usta ma otwarte, ale nie oddycha, omdlewa. A potem październikowe powietrze przecinają jej krzyki, z każdym rozpaczliwym wdechem coraz bardziej przeraźliwe.

– Proszę pani, proszę pani – młody człowiek szturcha Milę. Ona ledwo go słyszy, choć mężczyzna klęczy obok niej.

– Proszę pani – mówi.

Mila czuje ciężar jego dłoni na swoim ramieniu. Ma wyschnięte gardło, ślady łez na policzkach, a w środku jakiś głos bezlitośnie jej powtarza: *Zobacz, co zrobiłaś! Nie powinnaś była jej tu zostawiać!* Jej serce przeszywa ból, jakby ktoś przebił je oszczepem.

Mila patrzy w górę, mruga, przykładając dłoń do piersi, drugą do czoła. Uświadamia sobie, że ktoś wyłączył silnik w aucie.

– Jest tu piwnica – tłumaczy młody człowiek. – Od kilku dni próbuję się do nich dostać. Mam na imię Tymoteusz. Moja córka Emilia też tam jest. Pani córka to...?

– Felicja – szepcze Mila, zbyt oszołomiona, by pamiętać, że w klasztorze jej córka była Barbarą.

– Chodźmy, proszę mi pomóc. Może jest jeszcze nadzieja.

Mila i Tymoteusz na zmianę odkopują gruz z miejsca, gdzie kiedyś stał klasztor.

– Widzi pani – tłumaczy Tymoteusz, wskazując ręką – to wygląda na schody. Jeśli to oczyścimy, to może znajdziemy drzwi do piwnicy.

Po niemal dwóch godzinach pracy Tymoteusz przerywa, klęka i przyciska głowę do ziemi.

– Coś słyszałem! Pani też?

Mila opada na kolana, wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Ale po kilku chwilach kręci głową.

– Niczego nie słyszę. Co to był za dźwięk?

– Jakby pukanie.

Tętno Mili przyspiesza. Wstają i znów zaczynają odkopywać gruz, tym razem z nowym poczuciem sensu, z nowym promykiem nadziei. A potem, gdy Mila pochyła się, by podnieść kawałek cementu, nieruchomieje. Słychać jakiś dźwięk..

Tak, pukanie, pochodzi spod ich stóp.

– Słyszę! – woła cicho. Przykłada twarz do rumowiska i krzyczy tak głośno, jak tylko potrafi: – Słyszemy was! Jesteśmy!

Idziemy po was! – Na jej okrzyki odpowiada kolejne pukanie. Stłumiony okrzyk. Mili natychmiast podchodzą do oczu łyzy.

– To oni – śmieje się przez łyzy, a potem przypomina sobie, że pukanie może oznaczać cokolwiek. Na przykład że przeżyła tylko jedna osoba.

Pracują teraz szybciej. Mila ociera z policzków pot i łyzy, Tymoteusz dyszy ciężko, skoncentrowany, mocno zmarszczył brwi. Krwawią im ręce. Bolą mięśnie pleców. Gdy muszą zrobić przerwę, odpoczywają przez minutę albo dwie, rozmawiając o błahych rzeczach, żeby tylko nie wyobrazić sobie najgorszego.

– Ile lat ma Emilia? – pyta Mila.

– Siedem. A Felicja?

– W listopadzie skończy sześć.

Mila pyta Tymoteusza, skąd jest, ale pomija temat matki Emilii, mając nadzieję, że on też nie zapyta o ojca Felicji.

Gdy są w połowie drogi do oczyszczenia schodów, zachodzi słońce, co znaczy, że mają jeszcze godzinę, najwyżej dwie, światła dziennego. Oboje wiedzą jednak, że nie odejdą, dopóki nie skończą.

– Mam latarkę – mówi Tymoteusz, jakby czytał Mili w myślach. – Wyciągniemy ich stąd. Dzisiaj.

Gdy w końcu docierają do drzwi piwnicy, na niebie świecą gwiazdy. Mila myślała, że znowu usłyszą okrzyki, że osoba, która wcześniej pukała, nawiąże dalszy kontakt, ale od tamtej chwili nie słyszała niczego i nagle nie przeraża jej ani gruz, ani ciemność, ani niepewność, czy uda im się otworzyć ciężkie drzwi, tylko cisza. Przecież ten, kto tam jest, na pewno ich teraz słyszy – dlaczego więc jest tak cicho? Ścisną latarkę w trzęsących się rękach i oświetla klamkę, odwracając twarz na bok, gdy Tymoteusz z wysiłkiem otwiera drzwi.

– Nic pani nie jest?

Mila nie jest pewna, czy może się ruszać.

– Chyba nie – szepcze.

Tymoteusz chwytą ją za ramię.

– Chodźmy – mówi i razem zstępują w ciemności.

Wąską strużką światła Mila oświetla loch na metr przed nimi, gdy w milczeniu wchodzą do środka.

Początkowo nie widzą w świetle latarki niczego oprócz podłogi z cementu, jej pęknięć i kurzu. Ale potem wiązka światła pada na coś, co wygląda na ślady stóp, a sekundę później Mila podskakuje na dźwięk dobiegającego z bliska głosu. Rozpoznaje matkę przełożoną.

– Tu jesteśmy.

Mila świeci latarką w kierunku, skąd dobiegł głos. Tam, wzdłuż ściany lochu, zaczyna dostrzegać ciała, duże i małe.

Większość małych leży bez ruchu. Kilka siada, przeciera oczy. *Biegnij do nich!* – krzyczy serce Mili. *Znajdź ją! Jest tam, musi być!* Ale nie może. Stopy przykleiły jej się do podłoża, płuca nie chcą wciągać powietrza przesiąkniętego zapachem ekskrementów i czymś jeszcze, czymś potwornym. To *śmierć*, uzmysławia sobie Mila. Pachnie śmiercią. Przez głowę przelatują jej rozmaite myśli. A jeśli Felicji tu nie ma? Jeśli była na zewnątrz, gdy zaczęły się bombardowania? Albo jeśli tu jest, ale jest jedną z tych, które się nie ruszają? Zbyt chore, by choćby usiąść, albo gorzej...

– Chodźmy – poganiana ją Tymoteusz i Mila porusza się wraz z nim, nie mogąc oddychać. Ktoś kaszle. Przechodzą w kierunku matki przełożonej, która siedzi, najwyraźniej nie mając siły wstać. Gdy docierają do niej, Mila oświetla latarką pozostałych. Jest tam przynajmniej kilkanaście osób.

– Matko przełożona – szepcze Mila. – Jestem Mila Kurc, matka Felicji... to znaczy Barbary. I... I Tymoteusz...

– Ojciec Emilii – mówi Tymoteusz.

Mila oświetla na chwilę twarz swoją i Tymoteusza.

– Dzieci... czy one...

– Tata? – rozbrzmiewa w ciemnościach cichy, wystraszony głos. Tymoteusz nieruchomieje.

– Emilia! – Opada na kolana przed córką, a ona znika w jego ramionach. Oboje płaczą.

– Tak bardzo mi przykro, że nie mogliśmy wcześniej do was dotrzeć – szepcze Mila do matki przełożonej. – Jak... jak długo...

– Mamusiu!

Felicja. Mila szybko przesuwając światło po ciałach pod ścianą, aż w końcu pada ono na jej córkę. Powstrzymuje łzy.

Felicja z trudem próbuje wstać. W świetle latarki jej oczy wydają się w małej twarzyczce o wiele za duże i nawet z daleka Mila widzi, że na szyi i policzkach ma brzydkie pęcherze.

– Felicja. – Mila wciska latarkę w rękę matki przełożonej i sunie przez loch. – Moje kochanie. – Klęka obok Felicji i podnosi ją do góry, włożywszy jej jedną ręką pod szyję, a drugą pod uda. Dziewczynka waży tyle co nic. Jest rozpalona.

Za bardzo, uświadamia sobie Mila. Felicja coś mamrocze. Coś ją boli, mówi, ale nie potrafi powiedzieć co ani nie ma na to siły. Mila kołysze ją delikatnie.

– Wiem. Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam. Już jestem, kochanie. Cii. Jestem już. Wszystko będzie dobrze. Nic ci się nie stanie – powtarza te słowa ciągle od nowa, kołysząc swoją rozpaloną córeczkę w ramionach jak niemowlaka.

Gdzieś za sobą słyszy, że ktoś do niej mówi. Tymoteusz. Jego głos jest łagodny, ale stanowczy.

– Znam lekarza w Warszawie. Musi ją pani do niego zabrać – mówi. – Natychmiast.

17 STYCZNIA 1945: Sowieckie wojsko zdobywa Warszawę. Tego samego dnia Niemcy wycofują się z Krakowa.

18 STYCZNIA 1945: W obliczu zbliżających się sił Armii Czerwonej Niemcy w ostatniej chwili ewakuują Auschwitz i sąsiednie obozy. Około sześćdziesięciu tysięcy więźniów zostaje zmuszonych do wyruszenia pieszo w drogę do Wodzisławia w południowo – zachodniej Polsce – później takie marsze ewakuacyjne nazwano „marszami śmierci”. Tysiące ludzi zostaje zamordowanych przed wymarszem, a ponad piętnaście tysięcy ginie po drodze. Pozostałych Niemcy ładują w Wodzisławiu do pociągów towarowych i wywożą do obozów koncentracyjnych w Niemczech. W kolejnych tygodniach i miesiącach podobne marsze wyruszają z obozów w Stutthof, Buchenwaldzie i Dachau.

Halina

Więzienie Montelupich, Kraków, Polska pod okupacją niemiecką ~ 20 stycznia 1945

SNOP MIENIĄCEGO SIĘ ŚWIATŁA przedostaje się do celi przez maleńkie zakratowane okno trzy metry nad jej głową, oświetlając kwadrat cementu na ścianie przed nią. Halina zgaduje z jego położenia, że jest późne południe. Niedługo się ściemni. Zamyka oczy, powieki ma ciężkie z wycieńczenia. Poprzedniej nocy w ogóle nie spała. Najpierw myślała, że to z powodu zimna. Jej koc jest przetarty, a siennik wcale nie chroni przed lodowatym styczniowym chłodem przenikającym od podłogi. Ale chodziło raczej o to, że nawet jak na zwyczaj więzienia Montelupich, w nocy sporo się działo. Wydawało się jej, że co kilka minut wybudzają ją rozzwierające krzyki kogoś z celi nad nią albo szlochanie jakiejś więźniarki w korytarzu. Beznadzieja jej własnego położenia dławi ją, ma wrażenie, że w każdej chwili ją załamię.

Z trzydziestu dwóch współwięźniarek zostało dwanaście. Tych kilka rozpoznanych jako Żydówki zniknęło wiele miesięcy temu. Inne pojawiają się i znikają co parę godzin. W zeszłym tygodniu przybyła Polka oskarżona o zbieranie informacji dla Armii Krajowej. Dwa dni później pospiesznie wyciągnięto ją przed świtem z celi. Gdy słońce zaczynało wschodzić, Halina usłyszała krzyk i wystrzał z broni – kobieta już nie wróciła.

Skulona na boku, z rękami między kolanami, balansuje na granicy snu, jak przez mgłę słysząc szepty dwóch współwięźniarek leżących na siennikach obok niej.

– Coś się dzieje – mówi jedna z nich. – Dziwnie się zachowują.

– Prawda – zgadza się druga. – Co to znaczy?

Halina też zauważyła zmianę. Niemcy zachowują się inaczej. Niektórzy, jak na przykład Betz, zniknęli, co dla niej jest błogosławieństwem, bo od tygodni nie zabierali jej do pokoju przesłuchań. Mężczyźni, którzy przychodzą teraz po więźniarkę albo żeby przynieść wodnistą zupe, w tych krótkich chwilach, kiedy ich widzi, wydają się działać w pośpiechu.

Są rozkojarzeni. Wręcz zdenerwowani. Współwięźniarki z celi mają rację. Coś się rzeczywiście dzieje. Chodzą plotki, że Niemcy przegrywają wojnę. Że Armia Czerwona wkracza do Warszawy. Czy to możliwe, żeby plotki się potwierdziły?

Halina bez przerwy myśli o ukrywających się rodzicach, o Adamie, Mili, Jakubie i Belli, prawdopodobnie wciąż w Warszawie. O France i jej rodzinie – czy Adamowi udało się ich znaleźć? Czy Warszawa zostanie wkrótce wyzwolona?

Czy Kraków będzie następny?

Drzwi się otwierają.

– Brzoza!

Halina przytomnieje. Zmusza się, by usiąść i potem powoli wstać, ma zeszywniałe stawy, kiedy idzie przez celę.

Niemiec stojący w drzwiach cuchnie przetrawionym alkoholem. Gdy idą korytarzem, trzyma ją mocno za łokieć, ale zamiast skrócić do pokoju przesłuchań, otwiera drzwi na klatkę schodową, tę samą, którą schodziła prawie cztery miesiące temu, w październiku, gdy prowadzono ją na oddział kobiecego więzienia Montelupich.

– *Herauf* – nakazuje Niemiec, puszczając jej łokieć. *Do góry.*

Idąc po schodach, Halina przytrzymuje się mocno metalowej balustrady z obawy, by nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Na górze Niemiec prowadzi ją do kolejnych drzwi, a potem długim korytarzem do biura, na którego drzwiach z szybą z matowego szkła czarnymi literami napisane jest HAHN. W środku siedzi za biurkiem mężczyzna – Halina zgaduje, że to Herr Hahn – ma na sobie mundur Policji Bezpieczeństwa, Sicherheitspolizei, z patkami z podwójnym piorunem. Daje znak skinieniem głowy i po chwili Halina zostaje z nim sama; trzęsąc się, stoi w drzwiach.

– Siadaj – mówi Hahn po niemiecku, patrząc na drewniane krzesło naprzeciwko biurka. Ma zmęczone oczy i z lekka rozczochrane włosy.

Halina zniża się łagodnie, by usiąść na brzegu krzesła. Kręci jej się w głowie, zastanawia się, w jaki sposób Gestapo zamierza ją zabić, czy nastąpi to szybko, czy będzie cierpieć. Czy rodzina, jeśli jeszcze żyje, dowie się, co ją spotkało.

Hahn przesuwając po biurku kartkę papieru.

– Frau Brzoza. Pani zwolnienie.

Halina wpatruje się przez chwilę w niego, a potem w kartkę.

– Frau Brzoza, wydaje się, że aresztowanie pani było nieuzasadnione.

Halina podnosi wzrok.

– Od miesiący próbowaliśmy skontaktować się z pani szefem, Herr Denem. Okazało się, że jego bank został zamknięty.

Ale w końcu go odnaleźliśmy. Potwierdził, że faktycznie jest pani tą osobą, za którą się podaje. – Hahn zwija palce w pięść. – Najwyraźniej zaszła pomyłka.

Halina robi wydech. Gdy patrzy na siedzącego naprzeciw mężczyznę, wzrasta w niej fala wściekłości. Przez cztery miesiące siedziała w więzieniu, głodna i bita. Przez cztery miesiące bez przerwy zamartwiała się o rodzinę. A teraz co, nieszczerze przeprosiny? Rozjuszona, otwiera usta, ale nic nie mówi. Zamiast tego przełyka ślinę. Gdy uczucie ulgi zaczyna dominować nad gniewem, zaczyna się jej kręcić w głowie. Wydaje jej się, że cały pokój wiruje. Pierwszy raz w życiu Halina nie wie, co powiedzieć.

– Jest pani wolna – mówi Hahn. – Może pani zabrać swoje rzeczy w drodze do wyjścia.

Halina mruga.

– Rozumie pani? Jest pani wolna.

Halina podnosi się z trudem, opierając ręce na podłokietnikach krzesła.

– Dziękuję – szepcze, odzyskawszy równowagę. „Dziękuję”, szepcze, już po cichu, do Herr Dena. Zrobił to jeszcze raz.

Ocalił jej życie. Nie wyobraża sobie, jak mogłaby mu odpłacić. Nie ma niczego, co mogłaby mu dać. Kiedyś znajdzie jakiś sposób. Ale najpierw musi się skontaktować z Adamem. *Błagam, oby tylko żył. Oby żyła moja rodzina.*

W biurze więzienia Halina odbiera swoją torebkę i ubrania, w których ją tu przywieziono, i wchodzi do

łazienki, żeby się przebrać. Materiał bluzki i spódnicy wydaje jej się taki miękki w zetknięciu ze skórą, ale ona sama wygląda szokująco.

„O Boże”, szepcze na widok swojego odbicia w lustrze nad umywalką. Oczy ma nabiegłe krwią, a skórę pod nimi fioletową jak bakłażan. Siniaki na policzkach zbladły, są już jasnozielone, ale rozcięcie nad prawą brwią, szerokie, z czarnym strupem, z czerwoną intensywną wysypką wokół, wygląda upiornie. Włosy ma w strasznym stanie. Pochyla się nad umywalką, składa dłonie i kilka razy oblewa sobie twarz wodą. W końcu wyciąga z torebki spinkę i kilkakrotnie przeczesuje kosmyk jasnych włosów palcami, żeby potem nasunąć go na bok na czoło i w ten sposób ukryć ranę nad brwią.

Sklada obszarpany uniform więzienny i kładzie go na podłodze. Grzebie potem w torebce i jakimś cudem znajduje tam zegarek i portfel. Oczywiście pieniądze, które zamierzała dać Górskim, zniknęły. Ale jest jej fałszywy dowód. Pozwolenie na pracę. Kartka z informacjami o Denie. Oraz – ścisła ją w żołądku, gdy czuje, że wciąż tam jest, schowany pod miękką podszewką torebki – dowód Adama. *Prawdziwy*. Z prawdziwym nazwiskiem, Eichenwald. Halina i Adam wymienili się starymi dowodami na początku wojny, wkrótce po ślubie. To był pomysł Adama. „Nigdy nie wiadomo, kiedy znów się przydadzą – powiedział. – A do tego czasu lepiej nie ryzykować, że ktoś je przy nas znajdzie”.

Halina nacięła podszewkę torebki i wszyła dowód Adama do środka. Nie miała czasu wyrzucić go po aresztowaniu, zanim zabrano jej torebkę. Niemcy go przegapili. Halina oddycha z ulgą, a potem tak szybko, jak pozwalają jej spuchnięte stawy, wychodzi z więzienia.

Na zewnątrz uderza ją w twarz styczniowy chłód. Brukowaną ulicę pokrywa miejscami śnieg i lód. Przywieźli ją tu na początku października, było wtedy jeszcze względnie ciepło, a swój zimowy płaszcz prehandlowała Pinkusowi. Lekki trencz, jaki ma na sobie, nie wystarczy na zimowy chłód. Podnosi kołnierz do góry i wkłada ręce do kieszeni, niespokojnie patrząc w słońce. Nie zważając na wiatr chłoszczący ją po policzkach i przeszywający ból w łydkach, idzie szybko, żeby jak najdalej odejść od więzienia Montelupich, i zastanawia się, co dalej.

Przy ulicy Kamiennej zatrzymuje się przy kiosku z gazetami i po raz pierwszy od wyjścia z więzienia uświadamia sobie, że nie widziała dotąd na ulicy żadnego Niemca. Rzuca wzrokiem na gazety i jest poruszona tym, że ledwie trzy dni temu Sowieci zajęli Warszawę. Że naziści zaczęli się wycofywać z Krakowa. Że we Francji Niemcy wycofują się z Ardenów. To dobre znaki! Może krążące po Montelupich plotki są prawdziwe – może wojna wkrótce się skończy.

Halina przygląda się grupie Polaków stojących przy kiosku, zamierzając poprosić kogoś o wskazówki, jak trafić pod adres podany przez Herr Dena. Hahn powiedział, że bank jest zamknięty, ale może, skoro Niemcy się wycofują, ponownie został otwarty. Przecież udało im się znaleźć Herr Dena. Jeśli tam go nie ma, postanawia Halina, będzie musiała zdobyć jego adres domowy. Zdobędzie go. Podziękuję mu. Obieca, że mu się odpłaci, a potem poprosi o pożyczkę. Tylko tyle, żeby starczyło na kupno czegoś do jedzenia i powrót do Warszawy, gdzie, modli się, znajdzie swoją rodzinę całą i zdrową.

– TO TUTAJ, NA LEWO – MÓWI HALINA, a Adam skręca volkswagenem w wąską dróżkę prowadzącą do domu Górskich. – Dziękuję, że przyjechałeś ze mną – dodaje.

Adam spogląda na nią zza kierownicy i kiwa głową.

– To oczywiste.

Halina kładzie rękę na jego kolanie, głęboko wdzięczna za mężczyznę, którego ma u swojego boku. Nigdy nie zapomni dnia, kiedy wróciła z Krakowa do swojego mieszkania w Warszawie i znalazła go tam, czekał na nią. Mila, Felicja, Jakub i Bella też tam byli. Nie da się opisać uczucia, jakiego doznała, widząc tam ich wszystkich razem. Euforia minęła jednak, kiedy Adam powiedział jej, że nie ma żadnych wieści o France i jej rodzinie. Wciąż nie było wiadomo, gdzie są. Jego rodzice i troje rodzeństwa – dwóch braci i siostra z dwuipółletnim synkiem – też zniknęli, niedługo po tym, jak ona wyjechała do Krakowa. Adam rozpaczliwie ich szukał, ale jak dotąd bez rezultatu, i Halina czuła, jak bardzo go to męczyło.

Na początku czuła się źle, prosząc go, żeby pojechał z nią do Wilanowa. Wiedziała jednak, że on i tak nie pozwoli jej już nigdy wyjeżdżać samej i że gdyby dom okazał się pusty albo czekałyby na nią złe wiadomości od Górskich, nie znalazłaby siły, żeby sama wrócić do Warszawy.

Adam zatrzymuje samochód i Halina spogląda przez zakurzone szyby na chatkę Górskich. Dom wygląda na zaniedbany, jakby wojna sprawiła mu cięgi. Widać dziury w pokryciu dachu, a biała farba zaczęła odpadać od okiennic, wyglądają więc teraz jak pnie brzozy. Pomiędzy niebieskimi płytkami, którymi jest wyłożona ścieżka prowadząca do drzwi, rośnie trawa.

Halinę ściska w żołądku. Dom wygląda na opuszczony. Adam mówił, że dwukrotnie pisał do Górskich w trakcie zimy, żeby sprawdzić, w jakim są położeniu, obiecywał, że przyśle pieniądze tak prędko, jak będzie mógł, ale nie dostał odpowiedzi.

Halina przejeżdża palcami po brzydkiej bliźnie nad brwią, a potem wkłada rękę do kieszeni, gdzie wsunęła kopertę z pieniędzmi – połową sumy, którą pożyczył jej Herr Den, kiedy w końcu udało jej się go znaleźć w Krakowie. Minęło siedem miesięcy, odkąd mogła dostarczyć Górskim zapłatę, odkąd ostatni raz widziała swoich rodziców, i teraz stara się, jak może, powstrzymać strach, że spełnią się jej najgorsze koszmary.

– Po prostu bądźcie tu – szepcze Halina, odganiając od siebie przerażające wizje, w których ukazywaniu wyćwiczył się po mistrzowsku jej umysł: że Górscy, bez środków do życia, zmuszeni byli zostawić jej rodziców z ich fałszywymi dokumentami na dworcu na pastwę losu; że wścibska siostra Marty odkryła fałszywą ścianę za półką z książkami i zagroziła, że wyda Alberta, iż ukrywa Żydów, jeśli ten się ich nie pozbędzie; że jakiś sąsiad zauważył suszące się w ogrodzie ubrania jej rodziców, podejrzenie większe niż te Górskich, i doniósł na nich granatowej policji; że niespodziewanie pojawiło się Gestapo i znalazło jej

rodziców, zanim zdążyli schować się w swojej kryjówce. Możliwości było nieskończenie wiele.

Adam wyłącza silnik. Halina bierze głęboki wdech, po czym wydmuchuje powietrze przez szczelinę w lekko otwartych w ustach.

– Gotowa? – pyta Adam.

Halina przytakuje.

Wychodzi z samochodu i idzie prosto, prowadząc Adama wokół domu do tylnego wejścia. Przy drzwiach odwraca się i kręci głową.

– Nie wiem, czy dam radę – mówi.

– Dasz – mówi Adam. – Mam zapukać?

– Tak – szepcze Halina. – Dwa razy. Zapukaj dwa razy.

Gdy Adam wyciąga rękę ku drzwiom, Halina obserwuje, jak rząd małych czarnych mrówek sunie po kamiennym progu od drzwi do jej stóp. Adam uderza kostkami dłoni dwa razy w drzwi, a potem bierze ją za rękę. Halina wstrzymuje oddech, nasłuchuje. Gdzieś za jej plecami grucha leśny gołąb. Szczeka pies. Wiatr szmerzy w gałęziach tui. A potem, w końcu, rozlega się odgłos kroków. Jeśli to Górcy, to ich wyraz twarzy powie jej wszystko, uświadamia sobie Halina, wpatrując się teraz w kłamkę, czekając.

W drzwiach pojawia się Albert, szczuplejszy i bardziej siwy, niż kiedy widziała go ostatnim razem. Na jej widok podnosi brwi.

– To ty! – mówi, a potem kładzie dłoń na ustach, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Halina – mówi przez palce – myśleliśmy...

Halina zmusza się, żeby spojrzeć mu w oczy. Otwiera usta, ale nie potrafi wydobyć z siebie słowa. Nie ma odwagi zapytać go o to, czego musi się dowiedzieć. Szuka odpowiedzi w jego oczach, ale odczytuje tylko zaskoczenie tym, że on widzi ją w swoich progach.

– Wejdźcie, proszę – mówi Albert, zachęcając ich gestem. – Tak bardzo się martwiłem, gdy przychodziły wiadomości z Warszawy. Takie zniszczenia. Jakim cudem...

Adam przedstawia się i w tej samej chwili ogarnia ich półmrok, Albert zamyka drzwi.

– Proszę, wejdźcie – mówi Albert, włączając lampę. – Jest tu okropnie ciemno.

Halina, mrugając oczami, przeczesuje pomieszczenie w poszukiwaniu znaku, jakiegokolwiek śladu swoich rodziców, ale pokój jest dokładnie taki, jak go zapamiętała. Ciemny ceramiczny wazon na parapecie, zielony turecki wzór na fotelu wciśniętym w kąt, Biblia leżąca na małym dębowym stoliku obok sofy. Nie widać niczego wyjątkowego. Błądzi wzrokiem wzdłuż przeciwległej ściany, po regale na niewidzialnych kółkach.

Albert odchrząkuje.

– No tak – mówi, idąc w stronę półki. Halina przełyka ślinę. Promyk nadziei.

– Gdy zobaczyłem wasz samochód, nie poznałem go – mówi Albert, delikatnie odsuwając półki od wyłożonej drewnem ściany. – Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli się ukryją. Na wszelki wypadek.

Lepiej niech się ukryją.

Albert puka w ścianę w miejscu, gdzie stała półka.

– Państwo Kurc – woła cicho.

Halina czuje nagle ciepło na policzkach, ogarnia ją dreszcz emocji.

Adam, stojący za nią, kładzie ręce na jej ramionach i pochyla się, tak że policzkiem dotyka jej ucha.

– Są tutaj – szepcze.

Pod podłogą coś się rusza. Halina nasłuchuje szmeru zbliżających się do niej osób, zduszonego stukotu obcasów na drewnianej podłodze, dźwięku odsuwanej zasuwki.

A potem się pojawiają. Najpierw jej ojciec, potem matka, mrużąc oczy, pochyleni wychodzą z kryjówki do jasno oświetlonego pokoju. Gdy Nechama się prostuje i widzi przed sobą Halinę, z jej ust wydobywa się zduszony okrzyk. Albert usuwa się na bok, a kobiety padają sobie w ramiona.

– Halina – szepcze Sol. Obejmuje ramionami złączone ze sobą żonę i córkę, zamyka oczy, wtula nos między czubki ich głów. Stoją tak przez dłuższą chwilę złączeni w jedno, płacząc cicho, aż w końcu matka, ojciec i córka rozluźniają uścisk i wycierają oczy. Sol wydaje się zaskoczony widokiem Adama.

– Panie Kurc – mówi Adam, skinąwszy z uśmiechem głową. Ostatnio widział Kurców, obecnie swoich teściów, jeszcze przed ślubem z Haliną. Sol śmieje się i wyciąga rękę, a potem przyciąga Adama, by go uścisnąć.

– Proszę, synu – mówi, a wokół oczu układają mu się kurze łapki – mów mi Sol.

8 MAJA 1945: Dzień zwycięstwa. W Europie Niemcy kapitulują, alianci ogłaszają zwycięstwo.

CZEŚĆ III



ADAM MAJSTRUJE PRZY POKRĘTLE do strojenia radia, kręcąc nim, aż z trzeszczących głośników przebija się głos.

– Za kilka minut – mówi po polsku spiker – nadamy transmisję na żywo z Białego Domu w Stanach Zjednoczonych.

Prosimy pozostać na tej częstotliwości.

Halina otwiera okno w pokoju. Aleja trzy piętra niżej jest pusta. Jakby wszyscy wrócili do domów, żeby zasiąść przy swoich odbiornikach i wyczekiwać wiadomości o tym, że Łódź, a wraz z nią cała okupowana Europa, cały świat, ma przed sobą jaśniejszą część dziesięciolecia.

Decyzja Haliny, żeby przywieźć rodzinę do Łodzi, wynikała ze względów praktycznych. Przez jakiś czas radzili sobie w Warszawie, ale to, co zostało z miasta, nie nadawało się do życia. Rozmawiali o powrocie do Radomia, odważyli się nawet tam pojechać i przenocować u Sobczaków, ale okazało się, że mieszkanie na ulicy Warszawskiej i sklep rodziców zajmowali teraz Polacy. Halina nie była gotowa na spotkanie w swoich dawnych progach obcych ludzi, którzy spojrzeli na nią spod zmarszczonych brwi i w żadnym razie nie zamierzali się wyprowadzić, bo – jak mieli czelność twierdzić – to, co niegdyś należało do jej rodziny, teraz było ich własnością.

Spotkanie to tak rozzłościło Halinę, że wpadła w szał. To Adam przywiódł ją na powrót do przytomności umysłu, przypominając jej, że wojna jeszcze się nie skończyła, że nadal udawali Aryjczyków i głośne okazywanie złości groziło zwróceniem na siebie uwagi, a to było niebezpieczne. Wyjechała z Radomia zniechęcona, ale zdeterminowana znaleźć miasto, gdzie mogliby osiąść, przynajmniej do końca wojny. Potrzebowała miejsca, w którym byłoby wystarczająco wiele zakładów przemysłowych, żeby znaleźli pracę, i mieszkania, które pomieściłyby resztki jej rodziny, łącznie z rodzicami, których przekonała, aby aż do oficjalnego zakończenia wojny zostali w Wilanowie. W Łodzi, jak słyszała, były i mieszkania, i praca, i biuro Czerwonego Krzyża. I faktycznie, gdy przyjechali, znalezienie miejsca do życia nie zajęło dużo czasu.

Łódzkie getto zostało zlikwidowane później niż w innych miastach, co oznaczało, że w starej dzielnicy żydowskiej były setki pustych domów i za mało Polaków, by je zapełnić. Myśl o tym, co się stało z rodzinami, które tam wcześniej mieszkaly, wywoływała mdłości, ale Halina wiedziała, że nie stać ich na wynajem w centrum miasta. Wybrała dwa sąsiadujące mieszkania, największe, jakie mogła znaleźć. Brakowało w nich połowy mebli, ale było tak dużo pustych domów, że to stąd, to stamtąd zdobyła potrzebne sprzęty, żeby ich mieszkania nadawały się do życia.

Gdy Jakub ustawia pięć krzeseł w półkole przed kominkiem, na którego gzymsie niczym kamień nagrobny stoi radio, w pokoju panuje cisza.

– Usiądź, kochanie – mówi, zachęcając Bellę gestem.

Ona łagodnie osuwa się na krzesło, rękę kładąc na subtelnym zaokrągleniu brzucha. Jest w szóstym miesiącu ciąży.

Mila, Halina, Adam i Jakub też siadają, a Felicja układa się na podłodze. Jej twarz wykrzywia ból, gdy podciąga kolana pod brodę. Mila przeczesuje palcami jej włosy, które zaczęły odrastać w naturalnym, rudym kolorze. Serce jej się kraje, gdy widzi, jak jej córka cierpi. Szkorbut, którego się nabawiła w klasztorным lochu, prawie ustąpił, ale dziewczynka nadal narzeka na ból w stawach. Przynajmniej, wzdycha Mila, wrócił jej apetyt. Gdy wydostała ją z piwnicy, Felicja tygodniami odmawiała jedzenia, twierdząc, że gdy je, bardzo ją boli.

W końcu z głośników radia dobiega głos Harry'ego Trumana, prezydenta Stanów Zjednoczonych, i wszyscy nachylają się w stronę aparatu.

„To moment podniosły, ale i chlubny – ogłasza Truman poprzez morze trzasków. Lokalny spiker tłumaczy na język polski. – Generał Eisenhower – kontynuuje Truman – poinformował mnie, że siły niemieckie poddały się Narodom Zjednoczonym. – Na chwilę przerywa, dla lepszego efektu, a potem dodaje: – W całej Europie powiewają flagi wolności!”

Słowa „wolność” i „powiewają” pobrzmiwiają w pokoju, unosząc się niczym konfetti.

Wszyscy wpatrują się w radio, a potem w siebie nawzajem, gdy powoli docierają do nich słowa prezydenta. Adam zdejmuje okulary, zadziera głowę i szczypie się palcami w nasadę nosa. Bella ociera łzy z oczu, a Jakub sięga po jej dłoń.

Mila przygryza usta. Felicja patrzy na nich, a potem na matkę zaciekawionym i niepewnym wzrokiem, dziwiąc się, dlaczego wszyscy płaczą, słysząc coś, co ona odebrała jako dobre wiadomości.

Halina próbuje wyobrazić sobie amerykańskiego prezydenta, który triumfalnie siedzi za swoim biurkiem jakieś sześć tysięcy kilometrów na zachód od Łodzi. Truman mówił o Dniu Zwycięstwa w Europie. Ale dla Haliny słowo „zwycięstwo”

brzmi pusto. Nawet fałszywie. Cóż jest zwycięskiego w zrujnowanej Warszawie, którą opuścili, albo w tym, że tak wielu członków rodziny nadal jest zaginionych, albo w tym, że na terenie ogromnego dawnego łódzkiego getta otaczają ich duchy dwustu tysięcy Żydów – których większość, jak wieść niesie, spotkała śmierć w ciężarówkach i komorach gazowych w Chełmnie i Auschwitz.

Z mieszkania obok dobiegają przygłuszone odgłosy radości. Również za oknem rozbrzmiewa kilka okrzyków. Łódź zaczęła świętować. Świat zaczął świętować. Hitler został pokonany – wojna się skończyła. Co w praktyce oznacza, że znów mogą być Kurcami, Eichenwaldami i Kajlerami. Znów mogą być Żydami. Ale nastrój w domu nie jest radosny. Nie będzie, dopóki nie wiadomo, co się stało z resztą rodziny. I z powodu tak wielkiej liczby ofiar. Z każdym dniem rosną szacunkowe dane. Najpierw był milion, potem dwa – liczby tak wielkie, że nawet nie można ich sobie wyobrazić.

Po przemówieniu Trumana polski spiker ogłasza, że Czerwony Krzyż nadal będzie zakładać w całej Europie swoje biura, jak też obozy dla wysiedleńców, i namawia ocalałych do rejestracji. Adam wyłącza radio i w salonie znów nastaje cisza.

Cóż można powiedzieć? W końcu Halina przerywa milczenie.

– Jutro – oświadcza, siląc się na spokojny ton – znów pójde do biura Czerwonego Krzyża, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy wszystkie nasze nazwiska zostały zarejestrowane. Zapytam też o obozy dla

wysiedleńców i o to, kiedy dokładnie będziemy mogli zobaczyć pełną listę nazwisk. I zaczę przygotowania do wyjazdu na wieś po mamę i tatę.

Na ulicy radość rozbrzmiewa coraz głośniej. Halina wstaje, podchodzi do okna i powoli je zamyka.

DZIEŃ W DZIEŃ HALINA WYCHODZI w Łodzi z mieszkania, by przejść tą samą trasą, najpierw do tymczasowej siedziby Czerwonego Krzyża w centrum, potem do nowo założonego biura Hebrajskiego Stowarzyszenia Pomocy Imigrantom, a w końcu do Amerykańsko – Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego, czyli do Jointa, jak wszyscy go nazywają – z nadzieją, że dowie się czegoś nowego o zaginionych członkach rodziny. W pozostałym czasie wertuje lokalną gazetę, która od niedawna publikuje listy nazwisk i ogłoszenia osób ocalałych poszukujących swoich krewnych. W budynku radia jest też punkt pomagający w nawiązywaniu utraconych kontaktów. Dwa razy już tam wstąpiła. W ubiegłym tygodniu jej nadzieje gwałtownie wzrosły, bo na liście opublikowanej przez Centralny Komitet Żydów w Polsce, organizację założoną przez Joint, odkryła nazwisko Franki. Razem z bratem i rodzicami została wysłana do Majdanku. Dzięki cudownemu zrządzeniu losu ona, Salek i Terza przeżyli. Halina zaczęła się starać o to, żeby jej kuzyni i ciocia przyjechali do Łodzi, ale powiedziano jej, że to może potrwać miesiące, bo znajdują się w grupie tysięcy osób czekających na pomoc w obozie dla wysiedleńców, w którym się znaleźli. Przynajmniej rodzice Haliny są teraz w Łodzi. W końcu udało się jej przywieźć ich z Wilanowa.

Pewnie mają już mnie dosyć, myśli Halina, zbliżając się do biura Czerwonego Krzyża, w którym wszyscy wolontariusze dobrze ją znają. Zazwyczaj na powitanie uśmiechają się półgębkiem, potrząsają głowami i smętnie mówią: „Niestety, brak wieści”.

Dzisiaj jednak, ledwie zamknęły się za nią aluminiowe drzwi, od razu podbiega do niej jedna z wolontariuszek.

– To do pani! – krzyczy, machając w górze skrawkiem papieru. Kilkanaście osób odwraca głowy. Podniecenie w jej głosie w miejscu zazwyczaj przepełnionym smutkiem jest czymś niezwykłym.

Halina zatrzymuje się, spogląda przez ramię i potem znów na wolontariuszkę.

– Do mnie? Co, co jest do mnie?

– To! – Kobieta wyciąga do niej ręce, w których trzyma telegram, i zaczyna czytać na głos: – Z Selimem we Włoszech.

Znajdź nas przez II Korpus Polski. Genek Kurc.

Na dźwięk imienia brata Halinie wydaje się, że wszystko wokół zaczyna wirować. Odruchowo rozkłada ręce na boki, by utrzymać równowagę.

– Co? Gdzie on jest? – Głos jej drży. – Proszę mi to pokazać. – Oszołomiona wyciąga rękę po telegram. II Korpus Polski?

Czy to nie Armia Andersa? Z *Selimem*, a przecież wszyscy myśleli, że on nie żyje? Halina ledwo może złapać dech. Cała Łódź mówi o generale Andersie – on i jego ludzie to bohaterowie. Zdobyli Monte Cassino. Walczyli nad rzeką Senio, w bitwie o Bolonię. Halina potrząsa głową, próbuje sobie wyobrazić

Genka i swojego szwagra Selima w mundurach, w bitwie, zmieniających bieg historii. Ale nie potrafi.

– Proszę, niech pani zobaczy.

Halina ścisza telegram tak mocno, że bieleją jej opuszki palców. Modli się, żeby to nie była pomyłka.

Z SELIMEM WE WŁOSZECH

ZNAJDŹ NAS PRZEZ II KORPUS POLSKI GENEK KURC

Na samym dole z pewnością widnieje imię i nazwisko jej brata. Halina podnosi wzrok. Inni czekają na jej reakcję.

Otwiera usta, potem zamyka, dusząc w sobie, sama nie wie, szloch czy śmiech.

– Dziękuję! – wykrzykuje w końcu chrypliwie, przyciskając telegram do piersi. – Dziękuję!

Podnosi telegram do ust, całuje go raz po raz, a całe biuro wybucha radością. Łzy spływają jej po policzkach, ale nie zwraca na to uwagi. Tylko jedna myśl wypełnia jej głowę. *To nie pomyłka. Oni żyją.* Wsuwa telegram do kieszeni swetra, wypada z biura i biegnie. Dwanaście ulic dalej przeskakuje po dwa stopnie po schodach i wpada do kuchni, gdzie rodzice przygotowują obiad.

Matka patrzy na nią. Halina stoi w drzwiach bez tchu, z zarumienionymi policzkami.

– Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojona Nechama, przerywając krojenie marchewki. – Płakałaś?

Halina nie wie, od czego zacząć.

– Miła w domu? – pyta, próbując złapać oddech.

– Poszła z Felicją na targ. Będzie za chwilę. Halina, o co chodzi? – Nechama odkłada nóż i wyciera dłonie w ścierkę wsuniętą za pasek spódnicy.

Stojący obok niej Sol nieruchomieje.

– Halina, mów, co się stało? – Przygląda się córce, marszcząc z niepokoju brwi.

– Mam... mam wieści! – wykrzykuje Halina. – Jak dawno Miła... – przerywa, słysząc, że otwierają się drzwi. – Miła!

– biegnie ku wejściu, wita siostrę w drzwiach i zdejmuje jej z ramienia płócienną torbę. – Dzięki Bogu już jesteś. Chodź, szybko.

– Dlaczego tak dyszysz? – pyta Miła. – Jesteś cała spocona!

– Wieści! Mam wieści!

Miła otwiera oczy tak szeroko, że prawie wyskakują jej z orbit.

– Co? Jakie wieści? – Wieści mogą oznaczać wszystko. Idzie z Felicją za Haliną.

Ta staje w drzwiach kuchni i zachęca rodziców gestem, by poszli z nią do pokoju dziennego.

– Chodźcie! – woła.

Gdy wszyscy już są, Halina bierze głęboki oddech. Trudno jej zachować spokój.

– Właśnie byłam w Czerwonym Krzyżu – mówi, sięgając do kieszeni swetra po telegram. Podnosząc bezcenny skrawek papieru tak, by wszyscy mogli go zobaczyć, powstrzymuje drżenie rąk. – Przyszedł dzisiaj, z Włoch. – Odczytuje telegram na głos, wypowiadając uważnie każde słowo. – „Z Selimem we Włoszech. Znajdź nas przez II Korpus Polski”. – Halina patrzy na matkę, ojca, siostrę, Felicję. Jej wzrok przeskakuje po ich twarzach, a oczy znów wypełniają łzy. – „Podpisano: Genek Kurc” – dodaje i głos jej się załamuje.

– Co? – Miła przyciąga do siebie Felicję, przytula jej głowę do brzucha.

Nechama opiera się na ramieniu Sola, żeby nie upaść.

– Przeczytaj jeszcze raz – szepcze Sol.

Halina znów odczytuje telegram, potem jeszcze raz. Przy trzecim razie Nechama jest cała we łzach, a po małym mieszkaniu niesie się głośny wybuch śmiechu Sola.

– To najlepsze wieści, jakie słyszałem od... nie pamiętam – mówi, nie mogąc powstrzymać drżenia ramion.

Tulą się parami, Sol do Nechamy, Mila do Felicji, Mila do Haliny, Halina do Nechamy, a potem przytulają się razem, tworząc wielkie koło, rękami obejmują się w pasie, przykładają czoło do czoła, a Felicja jest schowana gdzieś w środku.

Czas się zatrzymuje, gdy tak stoją, śmiejąc się i płacząc, a Sol raz po raz powtarza dwanaście cudownych słów telegramu.

Halina jako pierwsza wydostaje się z uścisku.

– Jakub! – krzyczy. – Muszę powiedzieć Jakubowi!

– Tak, idź – mówi Nechama, ocierając łzy. – Powiedz mu, żeby przyszedł dzisiaj do nas na kolację.

– Dobrze – woła Halina, biegnąc korytarzem.

Drzwi się otwierają, potem zamykają, a chwilę później w mieszkaniu zapada cisza.

– Mamusiu? – szepcze Felicja, spoglądając na matkę, jak gdyby szukała wyjaśnienia. Ale Mila zamilkła. Jej oczy błędzą po pokoju, jakby w poszukiwaniu czegoś, czego nie da się zobaczyć. Może ducha.

Zauważając to, Nechama opiera dłoń na ramieniu Sola.

– Czy możesz pójść z Felicją przygotować herbatę? – szepcze. Sol spogląda na Milę i kiwa głową, kierując Felicję do kuchni.

Gdy zostają same, Nechama spogląda na Milę i kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Mila, co ci jest, kochanie?

Mila mruga, potrząsa głową.

– Wszystko dobrze, mam... Ja tylko...

– Chodź – zachęca Nechama, kierując Milę w kierunku małego stołu w pokoju, przy którym spożywają posiłki.

Mila porusza się powoli, siada, myślami jest gdzieś indziej. Kładzie łokcie na stole, zaciska splecione palce i opiera podbródek na kciukach. Przez chwilę obie milczą.

– Nie spodziewałaś się... że go znajdziemy – mówi w końcu Nechama, starannie dobierając słowa. – Nie sądziłaś, że żyje.

– Nie. – Łza spływa Mili z kącika oka na policzek. Nechama delikatnie ją ściera.

– Ale musiało ci ulżyć, prawda?

Mila potakuje.

– Oczywiście. – Podnosi brodę, zwracając twarz ku matce. – Po prostu... przez ostatnie sześć lat myślałam, że... on nie żyje. Przyzwyczyłam się do tego. Nawet to zaakceptowałam, choć to brzmi strasznie.

– To zrozumiałe. Musiałaś żyć dalej dla dobra Felicji. Każda matka by tak postąpiła.

– Nie powinnam była się poddawać. Powinnam była mieć więcej nadziei. Co to za żona, która godzi się ze stratą męża?

– Mila – mówi Nechama łagodnym, pełnym zrozumienia głosem. – A co miałaś myśleć? Nie było od

niego wieści.

Wszyscy myśleliśmy, że nie żyje. Poza tym teraz to nie ma znaczenia.

Mila spogląda przez ramię w kierunku kuchni.

– Muszę porozmawiać z Felicją.

Odkąd Mila przyznała się córce, że nie jest pewna, jaki jest los jej taty, odkąd dla własnego dobra postanowiła uwierzyć, że już go nie ma, coraz mniej opowiadała Felicji o Selimie. Ale Felicja nie chciała się z tym pogodzić. Przez ostatni rok wciąż o niego pytała, błagając matkę o szczegóły.

– Zbudowała sobie w głowie jego wyidealizowany obraz – dodaje Mila. – A jeśli będzie... rozczarowana? Gdy zniknął, była małym dzieckiem, zdrowym, rumianym... Jeśli... – Mila przerywa, nie jest w stanie opisać tego, jak bardzo Felicja się zmieniła.

Nechama ujmuje dłonie Mili w swoje ręce.

– Mila, kochanie, wiem, że to się wydarzyło tak nagle, ale pomyśl o tym tak: dostałaś szansę, bezcenną, niewyobrażalną szansę, by zacząć od nowa. A Selim to ojciec Felicji. Będzie go kochać. A on ją, tak jak ty ją kochasz.

Bezwarunkowo.

Mila kiwa głową.

– Masz rację – szepcze. – A jednak to straszne, że on w ogóle jej nie zna.

– Daj mu czas – mówi Nechama – i sobie też... żebyście znów nauczyli się... co to znaczy być rodziną. Cierpliwości.

Spróbuj za bardzo się tym nie martwić. Już się w życiu namartwiłaś.

Mila uwalnia ręce z dłoni matki, żeby otrzeć łzy z policzka. Co to znaczy, zastanawia się, przeżyć dzień bez zmartwień?

Bez planu? Odkąd wybuchła wojna, Mila, jak tylko mogła, planowała każdą minutę każdego dnia. Czy w ogóle jest w stanie, zastanawia się, pozwolić sprawom biec swoim torem?

Wieczorem, gdy Felicja zasnęła, cała rodzina siedzi przy kolacji i studiuje rozłożoną przed nimi na stole mapę. Halina wysłała do Genka telegram z informacją, że większość członków rodziny żyje i ma się dobrze. „Nadal brak wieści od Adiego – napisała. – Kiedy cię zwolnią ze służby? Gdzie się spotkamy?”.

Decyzja o tym, dokąd się dalej udać, jest trudna. Bo „dalej” najpewniej będzie oznaczać nowy początek, na zawsze.

Czyli jest to decyzja o tym, gdzie się osiedlić. Gdzie zacząć od nowa. W czasie wojny wybór mieli ograniczony, stawka była większa, a cel tylko jeden. W pewnym sensie było to proste. Trzymaj głowę nisko, a gardę wysoko. Zawsze bądź o krok do przodu. Przeżyj jeszcze jeden dzień. Nie pozwól wrogowi wygrać. Teraz myślenie o długofalowych planach wydaje się skomplikowane i uciążliwe, jak rozciąganie mięśnia, który zanikł.

– Pierwsze pytanie to – mówi Halina, spoglądając na stół – czy zostajemy w Polsce?

Sol kręci przecząco głową. Wzrok ma poważny. Oprócz wieści od Genka z Włoch ostatnio mało miał powodów do śmiechu. Dwa tygodnie temu, niedługo po tym, jak się dowiedział, że nie żyje jego szwagier Mosze, odkrył, że zabici zostali również jego siostra, dwaj bracia, czterech kuzynów i sześcioro ich dzieci, którzy mieszkali na początku wojny w Krakowie. Z jego dalszej rodziny, niegdyś tak licznej, zostało zaledwie kilka osób. Wieści te całkowicie go przybiły.

Przyciska opuszkę palca wskazującego do stołu.

– Tu – mówi, marszcząc brwi – nie jesteśmy bezpieczni.

Pozostali siedzą w milczeniu, zastanawiając się, co wiedzą, a czego nie wiedzą. Niemcy się poddali, to prawda, ale jeśli chodzi o ocalałych Żydów, do końca wojny było jeszcze daleko. Kurcowie słyszeli opowieści o swoich współwynawcach, którzy wracali do rodzinnych miast, a tam ich atakowano, ograbiano, niekiedy nawet zabijano. W jednym przypadku, gdy grupa mieszkańców oskarżyła powracającego Żyda o porwanie polskiego dziecka, mężczyznę powieszono na drzewie, a potem wybuchł pogrom i przez następnych kilka dni zastrzelono na ulicach kolejnych kilkudziesięciu Żydów. W tym, co mówi Sol, jest ziarno prawdy.

Oczy zwracają się ku Nechamie, a ona przytakuje, zerkając na męża, a potem znów na mapę.

– Zgadzam się. Powinniśmy wyjechać. – Słowa te są tak ciężkie, że Nechama z trudem łapie oddech. To decyzja, której, jak sądziła, nigdy nie będzie musiała podjąć. Sześć lat temu oświadczenie Hitlera, że Żydzi powinni zniknąć z Europy, wydawało się absurdalne. Nikt nie wierzył, że tak bezlitosne plany mogłyby zostać zrealizowane. Ale teraz już wiedzą.

Widzieli gazety, fotografie i zaczynają sobie uświadamiać, jak wielkie są liczby ofiar. Teraz nie da się już wątpić, do czego jest zdolny wróg. – Myślę, że tak będzie najlepiej – dodaje, przełykając ślinę. Myśl o zostawieniu za sobą wszystkiego, co kiedyś było ich życiem – domu, ulicy, sklepu, przyjaciół – jest niemal niemożliwa do pojęcia. Ale, mówi sobie Nechama, to wszystko należy już do przeszłości. Do życia, którego już nie ma. Teraz w ich domu mieszkają obcy. Czyjej i Solowi udałoby się cokolwiek odzyskać, gdyby spróbowali? Czy zostali tam w ogóle jacyś przyjaciele? O ile widzieli, w Radomiu nie było już żadnych Żydów. Sol ma rację. To niemądre zostawać w Polsce. Historia się powtarza. Tego jednego Nechama jest pewna.

– Też tak myślę – mówi Mila. – Chcę, żeby Felicja dorastała w miejscu, gdzie będzie bezpieczna, gdzie będzie mogła czuć się... normalnie. – Mila marszczy brwi, zastanawiając się, jak jej córeczka w ogóle rozumie słowo „normalnie”.

Jedynе życie, jakie Felicja zna, to takie, gdy jest zwierzyną łowną. Gdy musi się chować. Przemykać przez bramy getta.

Jest zostawiona na pastwę obcych. Ma prawie siedem lat i z wyjątkiem pierwszego roku życia resztę przeżyła w czasach wojny, mając bolesną świadomość, że są ludzie, którzy chcą jej śmierci tylko dlatego, że się urodziła. Mila i jej rodzeństwo przynajmniej wiedzą, że nie zawsze tak było. Ale dla Felicji wojna, prześladowanie, codzienna walka o przetrwanie – to właśnie jest normalne. Oczy Mili zaczynają zachodzić łzami. – Pomyślcie o wszystkim, przez co przeszliśmy – mówi – przez co przeszła Felicja. Nie da się wymazać tego, co się tutaj stało. – Mila kręci głową. – Za dużo duchów, za dużo wspomnień.

Siedząca obok Mili Bella przytakuje, a Jakubowi ściska się z żalu serce. Bella nie musi nic mówić. Wszyscy wiedzą, że nie mogłaby wrócić do Radomia. Po śmierci rodziców i siostry nie ma tam już nikogo. Jakub bierze ją za rękę i przeplata jej palce swoimi; nie może odpędzić wspomnienia o tym, jak niemal ją stracił w miesiącach jej największej rozpacz. Jak wypchnęła go ze swojego życia. Serce mu pękało, gdy widział ją w takim stanie, gdy patrzył na jej udękę. Nigdy nie czuł się tak bezsilny. I nigdy nie poczuł takiej ulgi, gdy w końcu uczyniła wysiłek, by powoli się podnieść i małymi krokami iść dalej. W Warszawie dostrzegwał w niej czasami ślady dawnej Belli, ale dopiero ciąża, nowe życie, które w sobie

nosiła, chyba pomogło jej odzyskać siłę potrzebną do tego, by w końcu wyleczyć rany.

Jakub spogląda na rodziców. Widzi, że matka jakby przygotowuje się na to, co on powie, choć właściwie już to wie. To nic nowego – już jej mówił, że rozważają z Bellą wyjazd do Stanów Zjednoczonych – ale i tak trudno mu wydobyć z siebie słowa.

– Wuj Belli w Illinois – zaczyna po cichu – zgodził się za nas poręczyć. Nie gwarantuje to oczywiście wizy, ale to jakiś krok do przodu. I myślę, że to ma sens, żebyśmy skorzystali z jego propozycji. – Wszyscy tam obecni doskonale rozumieją, że w Stanach Bella mogłaby być blisko członków rodziny, którzy jeszcze jej zostali.

– Gdy już się znajdziemy w Chicago – mówi Bella, spoglądając na Nechamę i Solę – możemy popytać w sprawie wiz dla reszty rodziny. Jeśli bylibyście tym zainteresowani.

– Na razie zostaniemy w Polsce – dodaje Jakub – przynajmniej do czasu, gdy urodzi się dziecko.

Poręczenie, żeby wyjechać do Ameryki. Ta informacja spoczywa w sercu Nechamy niczym ołowiany ciężar. Jeśli to od niej zależało, spędziłaby wszystkie chwile do końca życia, mając wszystkie swoje dzieci na wyciągnięcie ręki. Ale nie może odwieść Jakuba od wyjazdu. Byłoby to z jego strony niemądre, gdyby nie przyjął pomocy wuja Belli. Bez poręczenia otrzymanie amerykańskiej wizy jest prawie niemożliwe.

Jakub wyjaśnia, że na razie statki nie mogą żeglować z Europy do Stanów, ale ograniczenia mają być wkrótce zniesione.

– Statki pasażerskie odpływają z Bremerhaven – mówi, pochylając się nad mapą i wskazując miasto w północnozachodnich Niemczech. – Myśleliśmy, żeby, gdy już urodzi się dziecko, osiąść na jakiś czas w obozie wysiedleńców w Stuttgarcie. Tam mielibyśmy większe szanse na wizę.

Halina patrzy na Jakuba z drugiego krańca stołu i wykrzywia usta w zniesmaczeniu. Bulwersuje ją perspektywa wyjazdu brata do Niemiec.

– A to nie ma obozów wysiedleńców w Polsce? – prychna. – Nie byłoby wam lepiej tutaj? – Potrząsa gwałtownie głową i wyzywająco wpatruje się w Jakuba zielonymi oczami. – Ja prędzej podetnę sobie gardło, niż postawię stopę w tym jądrze zła.

Halina mówi ostrym tonem. Kiedyś być może drażniłoby to Jakuba, ale dzisiaj już nie. Zdaje sobie bowiem sprawę, że misją Haliny stała się ochrona członków rodziny – ona po prostu troszczy się o niego. Odpowiada jej więc spojrzeniem pełnym zrozumienia i zgody na to, że pomysł przeniesienia się do Niemiec może się wydać irytujący.

– Uwierz mi, Halina, to nie będzie łatwe. Ale jeśli w ten sposób znajdziemy się o krok bliżej nowego życia w Stanach, to jesteśmy gotowi to zrobić. W tej chwili można już chyba powiedzieć, że nie będzie to najgorsza rzecz, jaka nas spotka.

W pokoju przez chwilę zalega cisza. Przerywa ją Halina.

– Dobrze – oświadcza. – Ty i Bella macie powód, żeby tu na razie zostać. Ale my nie. Co do tego chyba się wszyscy zgodziliśmy. Ja głosuję za tym, żebyśmy pojechali do Włoch. Do Genki i Selima. Tam możemy wspólnie, jako rodzina, zdecydować, dokąd wyruszymy dalej. – Patrzy na rodziców.

Nechama i Sol wymieniają spojrzenia.

– Chciałabym tylko się dowiedzieć, czy, czy Adi... – mówi Nechama i przerywa, by się poprawić – gdzie jest Adi.

Pozostali milczą, pochłonięci własnymi obawami. Ale Nechama potakuje: – Włochy.

– Nie możemy zapominać, że Mussolini w czasie wojny był sprzymierzeńcem Hitlera – mówi Sol. – Powinniśmy znaleźć taką drogę, na której będzie jak najmniej punktów kontroli cywilów.

A więc decyzja zapadła: Jakub i Bella w ciągu kilku miesięcy wyjadą z Łodzi do Stuttgartu, a stamtąd, miejmy nadzieję, do Ameryki, pozostali wyruszą do Włoch.

Wszyscy pochylają się nad mapą, Adam śledzi palcem drogę z Łodzi na południowy zachód do Włoch, wyliczając po drodze miasta, w których, jest przekonany, będą biura Czerwonego Krzyża: Katowice, Wiedeń, Salzburg, Innsbruck.

Pomija Kraków, bo lepiej, żeby jego żona nie znalazła się choćby w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od więzienia Montelupich. Trasa będzie wymagała przedostania się przez Czechosłowację i Austrię. Wszyscy się zgadzają, że to dla nich jedyne dobre wyjście.

– Napiszę do Terzy, Franki i Saleka, żeby dać im znać o naszych planach – mówi Halina, myśląc na głos.
– Zapytam w Joencie, czy mogą opłacić im podróż, żebyśmy mogli się z nimi spotkać we Włoszech. Porozmawiam z pracownikami Czerwonego Krzyża, może pomogą nam zaplanować trasę albo powiedzą o innych swoich oddziałach na naszej trasie, o których możemy nie wiedzieć. Będzie nam potrzebna wódka i papierosy. Na łapówki w punktach kontrolnych.

Nechama patrzy na Sola, wyobrażając sobie ich podróż. Nie będzie łatwo dostać się do Włoch. Ale gdyby im się udało, znów znajdzie się blisko swojego pierworodnego. A Felicja odzyska ojca! Na tę myśl poprawia jej się humor. Na początku wojny nie miała pojęcia, czy ona i Sol dożyją jej końca, czy jej dzieci dożyją jej końca, czy w ogóle kiedykolwiek znów będą razem, w całości jako rodzina. W dniu, w którym Niemcy wkroczyli do Radomia, jej świat rozpadł się na kawałki. Od tego momentu obserwowała, jak wszystko, co najważniejsze w jej dotychczasowym życiu – dom, rodzina, bezpieczeństwo – ulatuje w powietrze jakby z podmuchem porywistego wiatru. Teraz te wszystkie fragmenty jej dawnej egzystencji zaczęły powracać na ziemię i po raz pierwszy od kilku lat pozwoliła sobie uwierzyć, że z czasem, jeśli będzie cierpliwa, może uda się jej na powrót pozyskiwać te skrawki, by powstało coś na kształt przeszłości. Nechama dobrze wie, że nigdy nie będzie już tak samo. Ale są tutaj i prawie wszyscy razem, co po prostu wydaje się jakimś cudem.

Oczywiście nie mogła przestać myśleć o brakujących elementach przeszłości, o Mosze i rodzinie, którą stracił Sol, o krewnych Adama, o których nadal nic nie wiadomo – a zwłaszcza o ogromnej pustce, jaką zostawił po sobie jej średni syn. Co się stało z Adim? Nechama upada na duchu, gdy zaczyna zmagać się z tajemnicą, prawdopodobieństwem, że może nigdy się tego nie dowie – i prawdą, że jej świat, jej gobelin przeszłości, nigdy nie będzie kompletny bez Adiego.

Halina

Alpy Austriackie ~ lipiec 1945

PRZEZ PRZERZEDZENIE W KORONIE DRZEW Halina widzi tylko stalowoniebieskie niebo. Minęła już ósma wieczorem, ale nadal jest tak jasno, że mogłaby czytać książkę, gdyby jakąś miała. Jej rodzice, Mila i Felicja śpią, spoceni, w prowizorycznym obozowisku, opierając głowy na torebkach i małych skórzanych sakwach na ramię, zawierających wszystko, co zostało z ich dobytku. Wsłuchując się w stukot dzięcioła na pniu niedalekiej osiki, Halina wzdycha: minie jeszcze godzina, zanim się całkiem ściemni – i jeszcze dwie, jest tego pewna, zanim zaśnie. Lepiej wykorzystać ostatni promień światła, postanawia, i z wewnętrznej, zamykanej na zamek kieszeni swojej torebki wyciąga chusteczkę. Rozkłada ją przed sobą na ziemi, układa w rzędzie resztkę papierosów i liczy. Jest ich dwanaście. Wystarczy, ma nadzieję, żeby przekupić strażników w następnym punkcie kontrolnym.

Spotkajmy się w Bari, napisał Genek w ostatniej korespondencji. Mimo silnych ograniczeń co do podróży cywilów Halina, Nechama, Sol, Mila i Felicja nie opóźniali wyjazdu z Łodzi. Adam został.

„Jedźcie sami – powiedział Halinie – ja zostanę, trochę zarobię i zgromadzę oszczędności. – Znalazł stałą pracę w lokalnym kinie. – Spotkamy się we Włoszech, gdy już się urządzicie”.

Halina nie oponowała. Kilka tygodni wcześniej Adam znalazł przez Międzynarodową Służbę Poszukiwań nazwiska swoich rodziców, rodzeństwa i bratanka na liście osób, których śmierć została potwierdzona. Nie było żadnej innej informacji, tylko dziewięć nazwisk zapisanych na kartce obok setek innych. Adam był zdruzgotany – a fakt, że nie otrzymał żadnego wyjaśnienia, jak lub kiedy zginęli, doprowadzał go po prostu do szaleństwa. Halina wiedziała, że Adam nie zostaje w Łodzi z powodu pracy. Musiał dowiedzieć się więcej.

I tak Halina i pozostali wyjechali, zaopatrzeni w taką ilość papierosów i butelek wódki, ile mogli unieść. Halina wynajęła kierowcę, żeby zawiózł ich do Katowic, dwieście kilometrów na południe od Łodzi. W Katowicach, ponieważ nadal mówiła płynnie po rosyjsku, skombinowała podwózkę na pace ciężarówki dostarczającej zaopatrzenie do Armii Czerwonej w Wiedniu. Podróż trwała wiele dni. Kurcowie pozostawali ukryci, upchnięci między skrzynkami z mundurami i mięsem w puszkach, w obawie, że jeśli ich złapano na przekraczaniu granicy w Czechosłowacji lub Austrii bez stosownych dokumentów, to zostaliby zawróceni albo, co gorsza, aresztowani.

Z Wiednia dotarli okazją do Grazu, gdzie wysadzono ich u podnóża Południowych Alp Wapiennych, piętrzących się ośnieżonym łańcuchem, który wił się na południowy zachód przez Austrię aż do Włoch. Halina zastanawiała się, czy rodzice i Felicja, nadal chuda jak patyk, będą w stanie przejść przez góry –

Alpy były imponujące, wyższe niż jakiegokolwiek góry, które wcześniej widziała. Ale jeśli nie chcieli napotkać dziesiątek stacji kolejowych i punktów kontrolnych, piesza wędrówka była najlepszym wyjściem. Po tygodniu odpoczynku w Grazu Kurcowie wyrzucili część swoich rzeczy, zapelnili torby Chlebem i wodą

i za resztę oszczędności (Adam nalegał, by wzięli choć tę niewielką sumę, którą miał) wynajęli przewodnika – młodego Austriaka imieniem Wilhelm – by wskazał im drogę przez łańcuch górski.

„Macie szczęście, że lato przyszło trochę wcześniej – powiedział Wilhelm, gdy wyruszyli. – Południowe Alpy przez dziesięć miesięcy w roku pokrywa śnieg i zazwyczaj o tej porze są nie do przejścia”.

Szli dzień w dzień, od siódmej rano do siódmej wieczorem. Wilhelm jako przewodnik okazał się bardzo pomocny, aż do pewno ranka, gdy obudzili się i spostrzegli, że zniknął. Na szczęście zostawił im resztki jedzenia i swoją mapę. Przeklinając tchórzostwo młodego Austriaka, Halina przejęła dowodzenie.

Owija teraz papierosy w chusteczkę i chowa z powrotem do torebki, a następnie sięga do kieszeni na piersi po mapę i otwiera ją delikatnie, łapiąc za rogi. Tyle razy używana, ma już wystrzępione krawędzie, a linie złożenia są niebezpiecznie cienkie. Odgarnia z ziemi kamyczki i rozkłada mapę, wodząc brudnym paznokciem między miejscem, w którym mniej więcej się znajdują, a najbliższym miasteczkiem u stóp południowych Alp, Villach – leżącym blisko granicy z Włochami.

Ocenia, że mają przed sobą jeszcze czterdzieści godzin marszu na południe, co oznacza, że mogliby być za cztery dni we Włoszech. To będzie wyzwanie. Ich płuca przyzwyczały się już do wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, ale podeszwy ich butów, nieprzystosowane do ciągłego, intensywnego użycia, zaczęły się rozpadać. Będą musieli być szczególnie ostrożni, zwłaszcza przy schodzeniu. Halina rozważa przerwę w marszu, żeby dać odpocząć nogom. Dzień wcześniej Sol potknął się o korzeń na drodze i prawie skręcił kostkę. Wszyscy są kompletnie wyczerpani. Dwanaście godzin marszu w górach to naprawdę dużo. Mają też jednak mało zapasów, chleba tylko na cztery czy pięć dni i co najwyżej tyle samo wody. Zatem pójdą dalej, decyduje Halina. Żeby tylko dostać się na włoską ziemię. Pozostali na pewno się z nią zgodzą.

Halina podziwia ogromną rozpiętość skrzydeł krążącego nad ich głowami orła o białym ogonie. Potem spogląda na pakunki z prowiantem, które zawiesiła na gałęzi nieopodal, upewniając się, że są ciasno zamknięte. Zamknij oczy, mówi do siebie. Wsuwa mapę do kieszeni spódnicy, splata palce i opiera głowę na dłoniach. Jej ciało jest skatowane wysiłkiem całego dnia, ale jest też za bardzo zdenerwowana, by zasnąć. Jej myśli, niczym nieprzerwane stukanie dziecięcia, przychodzą i odchodzą w przyspieszonym tempie. Co się stanie, jeśli wybierze złą drogę zejścia? Mogą się zgubić, może im się skończyć jedzenie, mogą nigdy nie dotrzeć do Włoch. A jeśli tam dotrą, ale zostaną zawróceni? Jeszcze miesiąc temu ten kraj był okupowany przez nazistów. A co będzie, jeśli coś stanie się w Łodzi Adamowi? Dopiero za kilka tygodni, a może i później, będzie mogła do niego napisać, podając adres zwrotny.

Halina patrzy na ciemniejące niebo. Nie może zasnąć nie tylko z powodu ponurych wizji. Jest też podekscytowana, ponieważ tylko kilka dni dzieli ją od ponownego spotkania z najstarszym bratem! Wyobraża sobie, co będzie czuć, gdy zobaczy Genka po tylu latach. Gdy usłyszy jego śmiech. Gdy ucałuje jego policzki z dołeczkami. Gdy usiądą razem, jak rodzina, żeby się zastanowić, co dalej. Planowanie przyszłości, w której nie ma wojny, jest porywające, upojne – sprawia, że na samą myśl o tym Halinie zaczyna szybko bić serce. Może Bella ma rację – może jej krewni mogliby poświadczyć za całą rodzinę Kurców i będą mogli przenieść się do Stanów. A może na północ, do Wielkiej Brytanii, albo na południe, do Palestyny, albo na drugi kraniec ziemi, do Australii. Ich decyzja oczywiście będzie uzależniona od tego, który kraj zechce otworzyć przed nimi drzwi.

Przestań myśleć i śpij, mówi sobie Halina. Przewraca się na bok, opiera głowę na łokciu, a drugą rękę

kładzie na dole brzucha. Już dwa tygodnie spóźnia jej się okres. Próbuje policzyć, żeby oszacować, ile dni minęło od momentu, gdy była z Adamem, ale to prawie niemożliwe. Spędziła tyle lat, myśląc o tym, co będzie, że jej mózg zapomniał, jak spoglądać w przeszłość. Dni przed wyjazdem z Łodzi rozmywiają się. Czy może być w ciąży? Tak. To możliwe. Ale jest równie możliwe, że okres się po prostu spóźnia. Przez cztery miesiące pobytu w więzieniu w Krakowie ani razu nie miała miesiączki. Za dużo stresu. Za mało jedzenia. Nigdy nie wiadomo, mówi do siebie z uśmiechem. Wszystko jest możliwe.

Teraz po prostu doprowadź wszystkich bezpiecznie do Włoch. Skup się na tym zadaniu. Na kolejnych czterech dniach.

W tej chwili, stwierdza, zmuszając swój umysł do odpoczynku, tylko to się liczy.

FELIGAŚPI W POZYCJI EMBRIONALNEJ na siedzeniu obok Mili, z policzkiem opartym na jej udzie. Mila, zbyt zdenerwowana, by się zdrzemnąć, opiera rękę na ramieniu córki i przyciska czoło do okna, chłonąc błękit Adriatyku, gdy pociąg mknie wzdłuż włoskiego obcasa na południe ku Bari. Powtarza sobie w myślach tysięczny raz to, co powie mężowi, gdy go zobaczy. To powinno być oczywiste: *Tęskniłam za tobą. Kocham cię. Tak wiele się wydarzyło... od czego zacząć?*

Ale nawet w jej głowie te słowa brzmią tak, jakby były wymuszone.

Nechama powiedziała jej, żeby była cierpliwa. Żeby spróbowała się za bardzo nie martwić. Ale Mila tego nie potrafi.

Zastanawia się, czy Selim będzie tym samym mężczyzną, którego знаła przed wojną; próbuje sobie wyobrazić ponowne wejście w rytm życia małżeńskiego; Selima, znów odgrywającego rolę głowy rodziny, tego, kto zarabia na utrzymanie, troszczy się o ich los. Czy uda się jej podporządkować, znów zdać się na niego? Czy będzie w stanie to zrobić? Była tak długo sama z Felicją, nie jest pewna, czy jest gotowa, by ktoś inny przejął ster. Nawet jeśli ten ktoś jest ojcem Felicji.

Po drugiej stronie wagonu Halina wachluje się gazetą. Na początku podróży usiadła naprzeciwko Mili, ale rozmowa z siostrą przy jednoczesnym obserwowaniu przesuwanego się do tyłu krajobrazu wywołała u niej mdłości, więc przesiadła się tak, żeby patrzeć do przodu. Jest w ciąży. Teraz jest już pewna. Mdli ją, gdy ma pusty żołądek, piersi są obrzmiałe i wrażliwe, a spodnie w pasie się jakby skurczyły. W ciąży! To prawda tak samo przytłaczająca, jak porywająca.

Rodzinie nie wspomniała o tym jeszcze ani słowem. Chce im powiedzieć, gdy dotrą do Bari. I będzie musiała znaleźć zmyślny sposób, żeby podzielić się tą wieścią z Adamem w Łodzi – może nawet wykosztuje się na rozmowę telefoniczną.

Właśnie przeszłam Alpy i jestem w ciąży, powie mu. Gdyby ktoś przed wojną powiedział jej, że kiedy będzie miała dwadzieścia osiem lat, przeprowadzi rodzinę przez łańcuch górski, w ciąży i pieszo, toby się zdrowo uśmieła. Nie jest dziewczyną ze wsi! Trzytygodniowa przeprawa przez góry, spanie na ziemi, czerstwy chleb i woda, żeby przetrwać?

Nosząc w sobie dziecko? Nie ma mowy.

Halina odtwarza w myślach ostatnie tygodnie ich podróży, dziwiąc się, że mimo ciężkich warunków nie usłyszała ani jednej skargi. Ani od Mili, która maszerowała godzinami z Felicją na plecach, ani od rodziców, którzy z dnia na dzień coraz bardziej kuleli, ani nawet od Felicji, której buty były takie małe, że w końcu w jednym z nich jej pokryte pęcherzami palce zrobiły dziurę, i która, gdy Mila jej nie niosła, żeby nadążyć, musiała przebierać nogami podwójnie na jeden krok dorosłych.

Przeprawa przez granicę do Włoch na całe szczęście obyła się bez większych trudności. *Siamo italiani*,

skłamała Halina władzom brytyjskim w punkcie kontrolnym w Tarcento. A gdy strażnicy się wahali, otworzyła torebkę. „Wracamy do naszych rodzin” – powiedziała, sięgając po resztkę papierosów.

Dziwnie było kroczyć po raz pierwszy po włoskiej ziemi. Nechama jako jedyna była tutaj wcześniej – niegdyś dwa razy w roku jeździła do Mediolanu po jedwab i len do swojego sklepu. Żeby zabić czas i odwrócić myśli od swoich bolących kolan, gdy schodzili z Alp, opowiadała historie ze swoich podróży – jak to sprzedawcy na mediolańskich targowiskach przewali ją *la tigre cieca*, „ślepa tygryśnica”, bo zanim złożyła ofertę kupna, chodziła od stoiska do stoiska, pocierając materiały między palcami, zawsze z zamkniętymi oczami. Nie dało się jej oszukać, jeśli chodzi o jakość. „Mogłam odgadnąć cenę co do lira” – powiedziała z dumą.

Kiedy już się znaleźli we Włoszech, Halina spytała o drogę do najbliższej wsi. Szli potem jeszcze sześć godzin, nie mając już wody. Zmierzchało, gdy zapukali do drzwi małego domu na obrzeżach miasteczka, będąc już na skraju kompletnego wyczerpania. Halina widziała, że nie dadzą rady spędzić kolejnej nocy na dworze, bez wody, mając dojedzenia okruszki chleba, i zmówiła cichy pacierz, by ktokolwiek otworzył drzwi, spojrzął na ich skrajnie brudną, przemokniętą gromadkę z sympatią, a nie podejrzliwością. Odetchnęła z ulgą, gdy w odpowiedzi na pukanie w drzwiach pojawił się młody rolnik o miłym spojrzeniu i jego żona, a potem oboje zaprosili wszystkich do środka. Nechama знаła odrobinę włoski, więc udało się jej z nimi porozmawiać; wkrótce smakowali ciepłą pikantną *pasta aglio e olio*. Tej nocy cała piątka Kurców spała w najlepszych warunkach od tygodni, bo na kocach, które małżeństwo rozłożyło im na podłodze.

Następnego ranka, podziękowawszy serdecznie swoim włoskim gospodarzom, Kurcowie poszli pieszo do stacji kolejowej. Po drodze spotkali grupę amerykańskich żołnierzy, którzy, gdy Halina pomachała i uśmiechnęła się do nich, wysiedli z wojskowych dżipów w maskujących kolorach. Amerykanie, na szczęście jeden z nich mówił po francusku, bardzo chcieli się dowiedzieć czegoś o sytuacji w Polsce. Kiwali głowami z niedowierzaniem, gdy Halina opowiedziała im krótko o niewyobrażalnym zniszczeniu Warszawy i drodze, jaką ona i jej rodzina przebyli, by uciec z ojczyzny i bezpiecznie dostać się do Włoch.

Zanim odeszli, młody, niebieskooki sierżant z naszywką z napisem „T. O'Driscoll” na mundurze sięgnął do kieszeni i kucnął obok Felicji.

– Trzymaj, kochanie – powiedział z akcentem, którego Felicja nigdy wcześniej nie słyszała. Zarumieniła się, przystojny Amerykanin podał jej brązowo – srebrną zafoliowaną paczuszkę. – To baton Hershey. Mam nadzieję, że będzie ci smakował – dodał sierżant O'Driscoll.

– *Merci* – powiedziała Mila, ściskając drugą rękę Felicji.

– *Merci* – powtórzyła po cichu Felicja.

– Dokąd zmierzacie? – zapytał Amerykanin, głaszcząc Felicję po głowie. Żołnierz mówiący po francusku przetłumaczył jego słowa.

– Do rodziny w Bari – wyjaśniła Halina.

– Jesteście daleko od Bari.

– Maszerowanie wychodzi nam całkiem nieźle – powiedziała Halina, uśmiechając się.

– Poczekajcie tu. – Sierżant O'Driscoll odszedł i wrócił po kilku minutach z pięciodolarowym banknotem.

– Pociąg jest szybszy – powiedział, podając Halinie banknot i odwzajemniając uśmiech.

Siedzący naprzeciwko Haliny Nechama i Sol to zasypiają, to się budzą, ich głowy kiwają się w rytm uderzeń kół pociągu o tory. Patrząc na nich jakby oczami Genka, Halina dostrzega, jak bardzo wojna ich

postarzała. Wyglądają na dwadzieścia lat więcej niż przed zamknięciem w getcie, ukrywaniem się i głodem, który niemal ich zabił.

– *Bari, cinque minuti!* – woła konduktor.

Mila przesuwa palcami po bliznach po szkorbcie nadal widocznych na karku i policzkach Felicji. Dziewczynka ma teraz włosy do ramion, poniżej uszu nadal w kolorze blond. Felicja porusza gałkami ocznymi pod powiekami. Marszczy czoło.

Nawet we śnie, zdaje sobie sprawę Mila, jej córka wygląda na przerażoną. Ostatnie pięć lat pozbawiło ją zupełnie niewinności. Łza wędruje z oka Mili na policzek i dalej na kołnierz bluzki Felicji, zostawiając na bawełnie małą plamę, idealne szare koło.

Mila wyciera oczy i myślami wraca znów do Selima. Do pytań, których nie może pominąć. Co on pomyśli o Felicji, córce, której tak dawno nie widział? Co Felicja będzie myśleć o nim? Wczoraj zapytała, jak ma się zwracać do Selima. „Może po prostu tato” – odpowiedziała jej Mila.

Kilka minut później, gdy pociąg zaczyna zwalniać, serce Mili bije coraz szybciej. Błaga samą siebie o przyjęcie tego daru w postaci męża i ojca, który wraz z Felicją mają otrzymać. Bóg wie, co się stało z rodziną Selima – z jego ojcem, skromnym zegarmistrzem, i z ośmiorgiem jego rodzeństwa. Wiedziała tylko, że siostra, Eugenia, wyemigrowała do Paryża, brat, Dawid, do Palestyny, a reszta, jak sądziła, została w Warszawie. Próbowwała odnaleźć ich przed powstaniem, ale albo wyjechali gdzieś z własnej woli, albo zostali wywiezieni – nie mogła natrafić na ich ślad. To wielkie szczęście, uświadamia sobie Mila, że wkrótce znów połączy się z mężem, pośród tej niewyobrażalnej tragedii, którą pozostawiła po sobie wojna.

Większość ludzi zrobiłaby wszystko, by być na jej miejscu.

Piszcza hamulce. Widok za oknem przesuwa się coraz wolniej. Mila widzi już dworzec w Bari, jakieś sto metrów dalej, peron i czekających na nim ludzi. Delikatnie pociera ramię Felicji, żeby ją obudzić, i składa sobie obietnicę: przyjmie swojego męża z otwartym sercem. Wyobraz sobie stabilność u jego boku. Dla dobra Felicji. A co się stanie potem – co Selim pomyśli o dziewczynce siedzącej jej na kolanach, z okropnymi włosami i różowymi bliznami na twarzy, czy Felicja nauczy się kochać mężczyznę, o którym nie ma żadnych wspomnień – te sprawy, mówi do siebie Mila, najlepiej zostawić w rękach losu.

ROZDZIAŁ 58

Rodzina Kurców

Bari, Włochy ~ sierpień 1945

NA STAGI W BARI PANUJE CHAOS. Peron wypełniają ludzie tłoczący się w trzech rzędach: mężczyźni w mundurach, małe dzieci trzymające za ręce osoby wyglądające na ich dziadków i kobiety. Ubrane w swoje najlepsze sukienki, stoją na palcach i machają rękami; z tyłu na łydkach mają namalowaną węglem drzewnym długą linię, żeby wyglądało, iż mają na sobie pończochy.

Kurcowie wysiadają z pociągu i idą za Haliną. Nechama i Sol trzymają się blisko niej, szereg zamyka Mila, z przewieszoną przez ramię skórzaną torbą, mocno trzymając za rękę Felicję. Posuwają się powoli, żeby nie nadepnąć nikomu na piętę, ich pięć ciał porusza się tak, jakby stanowili jedność.

– Poczekajmy tam – mówi przez ramię Halina, gdy przeciskają się przez tłum pod zadaszenie z napisem Bari Centrale, a obok kolejnym ze strzałką na Piazza Roma. Stanąwszy pod zadaszeniem, trzymają się blisko siebie i szukają na peronie znajomych twarzy. Obawiając się, że nie rozpoznają Genka i Selima wśród tyłu żołnierzy, napominają się, żeby szukać tylko mężczyzn w polskich mundurach.

– Kurde – mruczy Halina – jestem za niska. Nic nie widzę.

– Nasłuchuj polskiego – proponuje Nechama.

Na peronie słychać różne języki – włoski, co oczywiste, i od czasu rosyjski, francuski, węgierski. Ale polskiego na razie nie usłyszeli. Najgłośniejsi są Włosi. Poruszają się powoli i mówią, gwałtownie gestykulując rękami.

– Widzisz coś? – Halina przekrzykuje zgiełk.

Mila kręci głową.

– Jeszcze nie. – Jest z nich najwyższa. Rozgląda się, badając wzrokiem morze nieznanymi wokół siebie, co jakiś czas zatrzymuje spojrzenie na tyle jakiejś głowy, aż jej właściciel się odwróci, pokazując twarz nieprzypominającą jej męża lub brata, a potem przeskakuje do kolejnej głowy w tłumie.

– Mamusiu – mówi Felicja, ściskając rękę Mili.

– Co, kochanie?

– Widzisz go?

Mila kręci głową i próbuje się uśmiechnąć.

– Jeszcze nie, skarbie. Ale on na pewno tu jest. – Pochyla się szybko, żeby pocałować Felicję w policzek.

Gdy się podnosi, dostrzega coś w tłumie i jej serce na chwilę zamiera. Profil. Przystojny. Wysoki mężczyzna.

Ciemnowłosy, choć linia włosów sięga jakby wyżej, niż zapamiętała... Czy to może być...?

– Genek! – wykrzykuje, wymachując ręką nad głową. Stojąca za nią Nechama wydaje cichy okrzyk. Genek się odwraca, a jego oczy promieniają radością; przeczesuje wzrokiem twarze w kierunku, z którego usłyszał swoje imię. W końcu zauważa Milę.

– Gdzie? Gdzie on jest? – krzyczy Halina, podskakując co chwila, żeby lepiej widzieć.

Pomimo wrzawy ponad głowami tłumu dobiega ich głos Genka: – Mila! – Jego ramiona gwałtownie wystrzelują w górę, niechący zrzucając mężczyźnie przed nim czapkę z głowy.

Na chwilę znika, żeby ją podnieść, a gdy się znów pojawia, przeciska się do Mili. – Zostań tam! – krzyczy. – Idę do ciebie.

– To on! To on! To on! – Halina, Sol i Nechama powtarzają po sobie uradowani, podskakując w miejscu. Już samo usłyszenie głosu Genka to powód do świętowania.

Mila zrzuca torbę na ziemię i bierze Felicję na rękę. Dziewczynka jeszcze nie odzyskała wagi, którą straciła w klasztornych lochach – Mila z łatwością może ją utrzymać jedną ręką na swoim biodrze. Wskazuje na Genka.

– Widzisz? Tam! Twój wujek Genek! Ten przystojny, z szerokim uśmiechem i dołeczkami. Pomachaj mu! – Felicja śmieje się i macha razem z matką.

– A tata? Jest tam z nim? – Głos Felicji niemal ginie w zgiełku.

Po głowie Mili zaczynają się nagle kłębić myśli: A jeśli Selima tu nie ma? Jeśli coś się stało od czasu, gdy ostatnio korespondowali? Jeśli odszedł? Jeśli zabrakło mu odwagi, żeby się z nimi spotkać? Gdzie jesteś, Selimie?

– Jeszcze nie widzę taty – zaczyna, ale gdy jej brat się zbliża, dostrzega, że zaraz za nim ktoś idzie. Ciemnowłosa, o głowę niższy niż Genek. Nie zauważyła go wcześniej. – Czeka. Chyba go widzę! Jest tuż za wujkiem.

Felicja wyciąga szyję.

– Ty pierwsza się przywitaj – mówi, nagle zawstydzona.

Mila potakuje i stawia Felicję na ziemię, biorąc ją za rękę.

– Dobrze.

– Czy Genek jest blisko? – pyta Nechama. – Jest z nim Selim?

Mila odwraca się do matki.

– Tak, jest z nim Selim. Chodź – mówi i wypycha Nechamę delikatnie przed siebie. – Genek już tu prawie jest. Powinnaś się z nim przywitać pierwsza.

Genek utknął za grupą Włochów. Mila obserwuje, jak traci cierpliwość i przeciska się, obracając z boku na bok. Kilku mężczyzn pokrzykuje na niego po włosku, ale on pozostaje niewzruszony.

Kiedy w końcu Nechama widzi, jak jej najstarszy syn, jeszcze szykowniejszy w wojskowym mundurze, niż go zapamiętała, zbliża się do niej, łzy, które zebrały się w jej oczach, spływają po policzkach niczym woda z przerwanej tamy.

– Genek! – Tylko tyle jest w stanie wydusić z siebie, gdy syn ją dostrzega. On też ma łzy w oczach. Wyciąga do niej rękę, ona do niego i, przepełnieni czystą, niepohamowaną radością, splatają się na długi czas w objęciach, na przemian to śmiejąc się, to płacząc. Nechama zamyka oczy, czuje, jak ciepło jej syna przenika przez nią, gdy on lekko nią kołysze na boki.

– Tak bardzo tęskniłem za tobą, mammo.

Nechama jest zbyt wzruszona, by mówić. Gdy w końcu odrywa się od niego, Genek wyciera oczy dłońmi i z radością spogląda na całą rodzinę. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, Halina wskakuje w jego ramiona.

– Udało się wam – śmieje się Genek. – Nie mogę uwierzyć, jak daleko doszliście.
– Nie masz pojęcia... – mówi Halina.
– A ty... – Genek rozpromienia się i wyraża zdumienie na widok swojej siostrzenicy. – Patrzcie ją! Byłaś taka mała jak kotek, gdy ostatni raz cię widziałem!
Felicja się rumieni. Genek kuca i obejmuje ją, potem Milę.
– Och, Genek, jak dobrze cię widzieć! – woła Mila, przytulając mocno brata.
Gdy Genek w końcu przeciska się do ojca, wpada w najdłuższy i najmocniejszy uścisk w swoim życiu.
– Też za tobą tęskniłem, tato – mówi ze ściśniętym gardłem.
Gdy ojciec i syn stoją w objęciach, Mila odwraca się z powrotem w stronę tłumu. Selim stoi w odległości metra, trzymając w ręku czapkę. Zatrzymują na chwilę na sobie wzrok i Mila podnosi niezgrabnie rękę, jakby chciała pomachać, przywołać Felicję do siebie.
– Nie chciałem przeszkadzać – mówi Selim, podchodząc.
Mila ledwo łapie oddech, gdy patrzy na stojącego przed sobą mężczyznę – na jego krótko obcięte brązowe włosy, okrągłe okulary, zgrabną sywetkę. Myślała, że będzie odmieniony, ale wygląda zupełnie tak samo. Otwiera usta.
– Ja... Selim, ja... – Ale po tylu tygodniach rozmyślań o tym, co powiedzieć w tej chwili, czuje, że brak jej słów.
– Mila – mówi Selim, podchodząc do niej.
Gdy ją przytula, Mila zamyka oczy. Czuje zapach mydła. Po chwili wysuwa się z objęcia i pochyla się, żeby delikatnie wziąć rękę córki w swoje dłonie.
– Felicja, skarbie – mówi łagodnie, przenosząc wzrok z córki na Selima – to twój tata.
Felicja wiedzie wzrokiem za spojrzeniem matki i zatrzymuje spojrzenie na ojcu.
Selim chrząka, przenosi wzrok z Felicji na Milę. Mila wstaje. No dalej, daje znak skinieniem. Selim kuca, żeby Felicja nie musiała zadzierać głowy, żeby mogła spojrzeć mu w oczy.
– Felicjo... – zaczyna i przetyka ślinę. Wzdycha, zaczyna jeszcze raz. – Felicjo, coś dla ciebie mam. – Sięga do kieszeni, wyjmuje bitą srebrną monetę i podaje ją córce.
Dziewczynka obraca ją w ręku, przyglądając się jej uważnie.
– Dostałem ją od młodej irańskiej rodziny – wyjaśnia Selim – w podzięce za pomoc w przyjsciu na świat ich dziecka.
Widzisz tutaj Iwa? – Wskazuje na wytłoczenie. – Trzyma miecz. Tutaj na górze jest jego korona. A na odwrocie...
– Odwraca delikatnie monetę w dłoni Felicji. – To tutaj oznacza po persku liczbę pięć. Dla mnie wygląda jak serce.
Felicja pociera kciukiem po wytłoczeniach.
Selim ponownie spogląda na Milę.
– Jaki wspaniały prezent – mówi z uśmiechem Mila, nadal trzymając dłoń na ramieniu córki. Felicja spogląda na matkę i potem znów na ojca.
– Dziękuję, tatusiu – mówi.
Selim milczy przez chwilę, przyglądając się stojącej przed nim małej dziewczynce.
– Felicjo, chciałabyś, żebym cię przytulił? – pyta. Dziewczynka przytakuje. Gdy Selim delikatnie

obejmuje wąskie ramiona córki, Felicja kładzie policzek na jego ramieniu, a Mila musi zagryźć usta, żeby się nie rozplakać.

TO NIEMIECKI POCIĄG. Litery nagryzmołone białą farbą na odrapanych, pordzewiałych wagonach bydłych układają się w Koblen, czyli Koblenz, skąd wyjechał skład.

Żołnierz idzie wzdłuż torów, zamykając drzwi wagonów, a ostatni pasażerowie wsiadają z pomocą do środka. Wśród nich są Jakub i Bella.

– Gotowa? – pyta Jakub.

Stojąca obok niego Bella przytakuje. Ich dwumiesięczny syn Wiktor śpi w jej ramionach.

– Ty pierwszy.

Ktoś podstawił do ich wagonu drewnianą skrzynkę, żeby ułatwić podróżnym wspinanie. Kiedy Jakub wstawia do środka swoją walizkę, czuje w nozdrzach zapach kurzu i stęchlizny. Drży, gdy podciąga się ze skrzynki, by usiąść na brzegu wagonu; próbuje oddalić od siebie obraz setek, tysięcy, a może i więcej osób, które bez wątpienia wchodziły wcześniej do tego wagonu, by odjechać do takich miejsc jak Treblinka, Chełmno i Auschwitz – wszystkie te nazwy są obecnie synonimem śmierci. Ścisza go w środku na myśl, że pewnie rodzice Belli musieli jechać takim pociągiem.

Bella spogląda na niego z peronu i uśmiecha się; Jakuba doprowadza to prawie do łez. Jej siła wzbudza jego podziw.

Dwa lata temu Bella niemal straciła wolę życia. Z trudem ją poznawał. Dzisiaj znów przypomina dziewczynę, w której się zakochał. Tyle że teraz nie są już tylko we dwoje. Teraz są rodziną. Jakub wyciąga rękę.

– Do góry – szepcze Bella. – Masz go? – pyta, zanim wypuści syna z rąk.

– Mam.

Jakub całuje Wiktora w policzek, a potem jedną ręką przyciska go do piersi, a drugą wyciąga po Bellę. Gdy wszyscy troje są już w środku, w jednej chwili gromadzą się wokół nich pozostali pasażerowie wagonu. Coś takiego jest w Wiktorze, w tym, jak pachnie słodkim mlekiem, w jego aksamitnej skórze, co rozbudza nadzieję w otaczających go udreńczonych ludziach, którzy ocaleli w wojnie.

Rozlega się głośny gwizd.

– Dwie minuty! – krzyczy konduktor. – Dwie minuty! Pociąg odjeżdża za dwie minuty!

Wagon jest pełny, ale nie zatłoczony. Jakub i Bella znają twarze większości pasażerów – wiele z Łodzi, kilka z Radomia.

Większość to Żydzi. Chcą się dostać do obozu wysiedleńców w Stuttgarcie. Tam, jak się dowiedzieli, Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, którą wszyscy nazywają w skrócie UNRRA, oraz Joint otworzyły punkt, który ma zapewnić uchodźcom przyjazne warunki do życia i, dla większości po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, porządne racje żywnościowe. Jakub i Bella mieli

nadzieję, że w Stuttgarcie łatwiej im będzie utrzymywać kontakt z wujem Belli w Illinois. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, to po pewnym czasie będą mogli wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Do Ameryki. Słowo to, gdy je wypowiadają, brzmi niczym pieśń o wolności, możliwościach, szansie, by zacząć od nowa. Ameryka. Niekiedy brzmi zbyt doskonale, jak ostatnia nuta nokturnu, która unosi się, zawieszona w czasie, zanim zacznie cichnąć i w końcu zamilknie. Ale to ma sens, zapewniają się. Poręczenie, mieli nadzieję, zostanie szybko zatwierdzone i wtedy będą potrzebować już tylko trzech wiz.

Jakub i Bella często rozmawiają o tym, że ich syn, jeśli ich plan się powiedzie, wyrośnie na Amerykanina, co to będzie oznaczać, że Wiktor pozna całkiem odmienny styl życia, język, kulturę. Na pewno lepiej na tym wyjdzie, mówią, nawet jeśli nie mają pojęcia, co się wiąże z wyrastaniem na Amerykanina.

Drugi gwizdek. Bella podskakuje.

– O nie! – krzyczy Jakub. – Prawie zapomniałem! – Oddaje Wiktora w ręce Belli, sięga po aparat i zsuwa się szybko z powrotem na peron.

Bella kiwa głową, patrzy na niego w dół przez drzwi wagonu.

– Dokąd idziesz? Przecież odjeżdżamy!

– Chciałem zrobić zdjęcie – mówi Jakub, machając ręką. – Tu, szybko, popatrzcie tutaj.

– Teraz? – pyta Bella, ale nie protestuje. Zachęca innych, żeby się do niej przyłączyli, i podróżni szybko gromadzą się w drzwiach. Stoją razem wyprostowani i uśmiechają się.

Jakub patrzy na nich przez obiektyw rolleiflexa. Są ubrani w prochowce z szerokimi klapami, wełniane sukienki za kolano, dopasowane bluzki i skórzane buty. Wyglądają, zdaje sobie sprawę Jakub, nastawiając ostrość, o wiele lepiej niż powinni – i biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło. Są wyczerpani. Ale też – Jakub spogląda w górę i uśmiecha się – dumni. Robi zdjęcie w momencie, gdy pociąg zaczyna bieg.

– Szybko, kochanie! – krzyczy Bella i Jakub wciąga się z powrotem do wagonu.

Żołnierz przemaszerowuje obok i zasuwa dolną część drzwi wagonu.

– Zostawić otwarte? – pyta, wskazując na górę.

– Otwarte – odpowiadają szybko pasażerowie.

– Proszę bardzo – mówi żołnierz.

Pociąg zaczyna się toczyć. Jakub i Bella stoją przy drzwiach, patrząc, jak świat na zewnątrz się przesuwa, najpierw powoli, a potem, gdy nabierają prędkości, coraz szybciej. Jakub jedną ręką trzyma się drewnianych drzwi, drugą obejmuje Bellę. Ona opiera się na nim dla równowagi i pochyla się, żeby pocałować w czoło Wiktora. Chłopiec patrzy na nią bez mrugnienia, nie odwracając od niej wzroku.

– Do zobaczenia, Polsko – mówi Jakub, choć on i Bella wiedzą dobrze, że nie będzie następnego razu.

Gdy pociąg przyspiesza, Bella patrzy na oddalający się pejzaż miasta, na kamienne fasady, dachy z czerwoną dachówką, połączaną kopułę katedry Świętego Aleksandra Newskiego.

– Żegnajcie – szepcze, ale jej słowa giną, pochłonięte przez rytmiczny stukot kół pociągu podążającego w kierunku Niemiec.

Obóz dla przesiedleńców w zachodnim Stuttgarcie nie jest właściwie obozem, lecz kwartałem budynków. Nie ma tu ogrodzenia, nie ma granic, tylko dwupasowa aleja o nazwie Bismarckstrasse, z rzędem trzy – lub czteropiętrowych budynków po obu stronach. Mieszkanie Jakuba i Belli jest w pełni urządzone dzięki, jak się dowiedzieli, generałowi Dwightowi D. Eisenhowerowi, który tuż po Dniu

Zwycięstwa odwiedził pobliski obóz koncentracyjny Vaihingen an der Enz. Wstrząśnięty i rozwścieczony tym, co tam zobaczył, kazał mieszkańcom Stuttgartu zapewnić schronienie Żydom, którym udało się dożyć końca wojny. Gdy odmówili, stracił cierpliwość i zarządził ich eksmisję. „Możecie zabrać swoje rzeczy osobiste, ale macie zostawić meble, porcelanę, srebra i wszystko inne – rozkazał, dodając: – Daję wam dwadzieścia cztery godziny”.

Choć większość Żydów, którzy znaleźli się w zachodnim Stuttgarcie, nie miała praktycznie nic – ani domu, ani rodziny, ani niczego, co do nich należało – obóz był dla nich urzeczywistnieniem upragnionej odmiany. Bismarckstrasse okazała się domem dla garstki ocalałych z Radomia, wśród nich doktora Bauma, który wyleczył Bellę z anginy, gdy była dzieckiem, i który teraz co miesiąc bada Wiktora. W obozie mogą wreszcie święcić swoje tradycje i obchodzić święta, czego im długo zabraniano. Pod koniec listopada, gdy żydowscy kapelani armii amerykańskiej zaprosili ich do opery stuttgarckiej na obchody pierwszej nocy Chanuki, byli po prostu uszczęśliwieni. Jakub i Bella, wraz z setkami innych przesiedleńców, pojechali do centrum trolejbusem. Wzięli udział w obchodach święta, na które przyszło tyle ludzi, że uroczystości odbywały się na stojąco. Gdy stamtąd wyszli, uderzyło ich, po raz pierwszy, od kiedy potrafili sobie przypomnieć, głębokie poczucie przynależności.

Nikt w obozie nie mówił o wojnie. Wydawało się, jakby przesiedleńcy chcieli jak najszybciej zapomnieć o straconych latach i zacząć od nowa. I zaczęli. Na wiosnę wraz z liliami rozkwitły w obozie romanse. W weekendy odbywały się wesela, a co miesiąc rodziło się kilkoro dzieci. Były również naciski, by stworzyć system edukacyjny dla dzieci – kolejny luksus, który w czasie wojny był w przeważającej mierze niedostępny. Mieszkania zamieniono w klasy, w których dzieci uczyły się wszystkiego, od idei syjonizmu po matematykę, muzykę, rysunek i krawiectwo. Były też lekcje dla dorosłych, uczono się mechaniki, metalurgii, garbarstwa, złotnictwa i robótek ręcznych. Bella uczyła bielizniarstwa, gorseciarstwa i kapelusznictwa.

W pierwszych miesiącach pobytu w Stuttgarcie Jakub i Bella spędzali większość czasu, chodząc do biura UNRRA, gdzie grupa Amerykanów przydzielała żywność, ubrania i inne produkty, i do Konsulatu Generalnego USA, w którym codziennie sprawdzali status swoich dokumentów emigracyjnych.

„Czy jest coś od mojego wujka, Freda Tatara?” – pytała Bella za każdym razem. Do tej pory odebrali tylko jeden telegram, tuż po tym jak przybyli do obozu: „Załatwiam poręczenie” – napisał wuj Belli. Od tej pory nie było od niego żadnych wiadomości.

Pewnego ciepłego sobotniego popołudnia Bella i Wiktor siedzą na kocu na skraju prowizorycznego boiska piłkarskiego w niedalekiej odległości od Bismarckstrasse.

– Widzisz tam tatusia? – pyta Bella, nachylając się do Wiktora i wskazując palcem Jakuba. Stoi przy bramce przeciwnika z rękami na biodrach. Spogląda w ich stronę i macha ręką. Jakub pomógł założyć w obozie drużynę piłkarską. Była to okazja, żeby się trochę poruszać, i idealna odskocznia od czekania na papiery emigracyjne. Trenowali codziennie, a raz w tygodniu organizowali zawody, najczęściej przeciwko innym drużynom żydowskich przesiedleńców, ale czasami także przeciwko zespołom złożonym z mieszkańców Stuttgartu. Mecze przeciwko Niemcom rozgrywane są na o wiele lepszych boiskach niż te przeciwko drużynom żydowskim, ale Jakub jest przyzwyczajony do tego od czasów, gdy grał przeciw polskim zespołom w Radomiu. Jest też świadom tego, jak szybko atmosfera meczu może się popsuć, i jak tylko przeciwnicy wejdą na boisko, potrafi rozróżnić Niemców, którzy przyszli tutaj dla zabawy, od tych,

którzy nadal żywią wyraźną niechęć wobec Żydów. Gdy dochodzi do meczu z tymi ostatnimi, to z reguły po kilku minutach zaczyna się miotanie obelg – brudni Żydzi, przebiegli złodzieje, świnie, zasłużyliście na to, co się stało. Zawodnicy drużyny Jakuba od dziecka byli przyzwyczajeni do wrogości i choć mogli pokonać przeciwników, to jednak zawsze w przerwie decydowali po cichu, że w ich interesie będzie odpuścić i pozwolić sukinsynom wygrać, bo przecież wiadomo, do czego jest zdolna grupa rozjuszonych Niemców, na boisku lub poza nim.

Gwizdek. Koniec meczu. Jakub ma obtarte jedno kolano, a na jego koszulce są brązowe smugi błota, ale on jest szczęśliwy. Ściska dłonie graczy z drużyny przeciwnej (przyjaznej – Bella ogląda tylko mecze między żydowskimi drużynami) i wybiega poza linię boiska.

– Cześć, słonko! – mówi, całując spoconymi ustami Bellę, a potem Wiktora. – Widziałeś, jak strzeliłem gola, chłopczyku? Robimy rundę honorową? – Rusza truchtem z Wiktorem na rękach.

– Uważaj, kochanie! – krzyczy za nim Bella. – On ledwo trzyma prosto głowę!

– Nic mu nie będzie! – krzyczy Jakub przez ramię, śmiejąc się. – Bardzo mu się podoba!

Bella wzdycha, widząc, jak niemal całkiem łysa główka Wiktora podskakuje, gdy Jakub robi całe kółko biegiem i w końcu wraca na koc. Wiktor tak szeroko się uśmiecha, że Bella widzi wszystkie jego cztery zęby.

– Jak myślisz, kiedy będzie na tyle duży, żeby kopnąć piłkę? – pyta Jakub po zakończeniu rundy honorowej. Delikatnie kładzie Wiktora z powrotem na koc obok Belli.

– Już niedługo, najdroższy – odpowiada ona ze śmiechem. – Już niedługo.

Adi

Rio de Janeiro, Brazylia ~ luty 1946

ADI IDZIE PO WYŁOŻONEJ CZARNO– BIAŁĄ mozaiką promenadzie Avenida Atlantica w Copacabanie, rozmawiając z jednym z kilku Polaków z „Alsiny”, z którymi nadal utrzymuje kontakt – Sebastianem, pisarzem pochodzącym z Krakowa.

Sebastianowi, tak jak Adiemu, udało się przepłynąć przez Cieśninę Gibraltarską i wsiąść na „Cabo do Hornos”. Jak powiedział: „Tylko dzięki temu, że sprzedałem złote spinki do mankietów należące dawniej do dziadka”. Nieczęsto się widują, ale gdy już się spotkają, to wykorzystują tę okazję, by rozmawiać w ojczystym języku. Powrót do języka, w którym dorastali, jakby dodaje otuchy – przywołuje te rozdziały ich życia, czasu i przestrzeni, które istnieją już tylko we wspomnieniach. Ich spotkania nieuchronnie prowadziły do rozmów o banalnych rzeczach z Polski, za którymi tęsknili: dla Sebastiana był to zapach bzów na wiosnę, słodycz pączków z konfiturą różaną, dreszczyk emocji towarzyszący wyjazdowi na nową operę do Teatru Wielkiego w Warszawie. A dla Adiego przyjemność spaceru do kina letnim wieczorem na najnowszy film Charliego Chaplina, zatrzymanie się po drodze, żeby posłuchać melodyjnych taktów Romana Totenberga na stradivariusie, dobiegających z otwartego okna, nieodparty smak herbatników w kształcie gwiazdy pieczonych przez mamę i maczanych w gorącym gęstym słodkim kakao po dniu spędzonym na łyżwach na sadzawce w Starym Ogrodzie.

Oczywiście bardziej niż za pączkami i jeżdżeniem na łyżwach Adi i Sebastian tęsknili za swoimi rodzinami. Przez jakiś czas rozmawiali długo o swoich rodzicach i rodzeństwie, porównując w nieskończoność swoje przypuszczenia, kto gdzie mógłby się znajdować i jak mógłby tam trafić. Ale z upływem miesięcy, a potem lat, które mijały bez wieści o pozostałych w Europie krewnych, zastanawianie się na głos o ich losie stawało się zbyt trudne i rozmowy o rodzinie ograniczyli do minimum.

– Masz jakieś wieści z Krakowa? – pyta Adi.

Sebastian kręci głową.

– A ty z Radomia?

– Nie – mówi Adi, odchrząkując i starając się ukryć przygnębienie w głosie. Od Dnia Zwycięstwa, ogłoszonego przez amerykańskiego prezydenta Harry'ego Trumana, Adi podwoił swoje wysiłki w kontaktach z Czerwonym Krzyżem, mając nadzieję, marząc, modląc się, że wraz z ostatecznym końcem wojny jego rodzina wreszcie się odnajdzie. Ale do tej pory poznał jedynie przerażające liczby niemieckich obozów koncentracyjnych odkrywanych w całej Europie, a zwłaszcza w Polsce. Wydaje się, że każdego dnia alianci natrafiają na kolejny obóz i znajdują kolejną garstkę cudem ocalałych.

Gazety zaczęły publikować ich fotografie. Obrazy są przerażające. Ludzie, którzy ocaleli, wyglądają na nich bardziej na martwych niż żywych. Mają niemal przezroczystą cerę, zapadnięte policzki i oczy i wystające obojczyki. Większość ma na sobie pasiaki, które zwisają żałośnie na ich wychudzonych

ramionach. Są boso i mają ogolone głowy. U tych bez koszuli widać, że są tak wychudzeni, iż mocno wystają im żebra i biodra. Gdy Adi natrafia na takie zdjęcie, nie może oderwać od niego wzroku, gotuje się ze złości i pogrąża w rozpacz, przerażony tym, że kiedyś jakaś twarz wyda mu się znajoma.

Prawdopodobieństwo, że jego rodzina zginęła w jednym z hitlerowskich obozów, jest bardzo wysokie. Jego bracia w pasiakach. Jego śliczne siostry wycieńczone, z ogolonymi głowami. Jego matka i ojciec podtrzymujący się nawzajem, gdy płuca zalewa im toksyczny gaz, a oni biorą ostatni w życiu oddech. Kiedy takie obrazy wkładają się do jego myśli, Adi je odrzuca, wyobraża sobie zamiast tego rodziców i rodzeństwo takich jak przed wojną – Genek sięga do srebrnej papierośnicy po papierosa, Jakub uśmiecha się, ramieniem obejmując Bellę, Mila przy klawiaturze fortepianu salonowego, Halina potrząsa głową w napadzie śmiechu, matka siedzi z piórem w ręku przy biurku, ojciec stoi przy oknie i obserwując gołębie, nuci arię z *Casanovy* Różyckiego, opery, na której był razem z Adim w Warszawie z okazji jego dwudziestych urodzin. Tylko tak chce ich pamiętać.

Sebastian zmienia temat i idą dalej, mrużąc oczy przed silnym popołudniowym słońcem odbijającym się w spienionych wodach Copacabany.

– Przekąsimy coś? – pyta Adi, gdy dochodzą do wzgórza Leme na północnym krańcu plaży.

– Koniecznie. Przez to gadanie o pączkach zgłodniałem.

Przy wzgórzu skręcają w Rua Anchieta, a Adi wskazuje na mieszkanie Caroline wychodzące na plażę Leme.

– A co u Caroline? – pyta Sebastian.

– W porządku. Choć coraz częściej mówi o powrocie do Stanów.

– Zakładam, że wzięłaby cię ze sobą? – Sebastian się uśmiecha.

Adi śmieje się, speszony.

– Taki jest plan. – Adi postanowił latem, że nie może już dłużej czekać z oświadczeniami. Pobrali się w lipcu, a świadkami byli Sebastian i przyjaciółka Caroline, Ginna. Adi poważnieje na myśl o tym, jak będzie czuć się Caroline, kiedy wróci do Stanów, gdzie nie czekają już na nią rodzice. Jej ojciec, jak mu powiedziała, zmarł przed wojną. Matka zmarła krótko po przeprowadzce Caroline do Brazylii. Co jest gorsze? – zastanawia się Adi, stracić rodziców, nie pożegnawszy się z nimi wcześniej, czy utracić kontakt z rodzicami i nie wiedzieć, czy i kiedy się ich znów zobaczy? Idąc bulwarem, Adi rozważa ten dylemat. Caroline przynajmniej wie, co się stało. On nie. A jeśli nigdy się nie dowie? Jeśli do końca życia będzie się zastanawiał, co się stało z jego rodziną? Albo gorzej – co by było, gdyby został we Francji i znalazł sposób, by wrócić do Polski.

Adi przeskakuje pamięcią do dnia, gdy ostatni raz widział matkę. Było to w 1938 roku na stacji kolejowej w Radomiu.

Prawie dekadę temu. Miał dwadzieścia pięć lat. Przyjechał do domu na Rosz Haszanę, a matka odprowadziła go rankiem w dniu wyjazdu na stację. Sięga do kieszeni i przesuwa palcami po chusteczce, którą dostał od niej podczas tamtego pobytu w domu. Pamięta, jak mocno go ścisnęła, gdy czekając na pociąg, trzymał ją pod rękę. Jak mówiła mu, żeby na siebie uważał, całowała w policzki, jak mocno przytuliła na pożegnanie, a potem machała mu chusteczką, gdy pociąg odjeżdżał – machała i machała, aż stała się tylko kropką na peronie, maleńką sylwetką, która nie odeszła, póki nie straciła pociągu z pola widzenia.

– Chodźmy do Porcao – proponuje Sebastian, czym przywołuje Adiego z powrotem do rzeczywistości. Adi przytakuje.

Nie ma jeszcze piątej, a przy plastikowych stolikach rozstawionych na zewnątrz Porcao rozsiadło się już wielu Brazylijczyków, rozmawiają i palą papierosy przy krokietach z suszonym dorszem i butelkach Brahma Chopp. Adi spogląda na stolik, przy którym usadowiły się trzy atrakcyjne pary. Kobiety, siedzące razem po jednej stronie, wyglądają na całkowicie pochłonięte rozmową. Mówią szybko, ich brwi poruszają się to w górę, to w dół zgodnie z rytmem żartów i przekomarzań. Naprzeciwko rozparli się na krzesłach ich ciemnowłosi towarzysze. Obserwują otoczenie z rozdziawionymi ustami, trzymając między dwoma palcami papierosy. Jeden z mężczyzn wygląda na tak odprężonego, że Adi zastanawia się, czy za chwilę nie zaśnie i się nie przewróci.

Adi i Sebastian wzywają gestem kelnera, ten zaś pokazuje na palcach, że na stolik na zewnątrz trzeba poczekać jeszcze pięć minut. Czekając, rozmawiają o planach na weekend. Sebastian wyjeżdża tego wieczoru w odwiedziny do przyjaciela w Sao Paulo. Adi zamierza spędzić czas z Caroline. Patrzy na zegarek – dochodzi piąta. Caroline niedługo wróci z ambasady. Adi ma właśnie zapytać Sebastiana o jego wrażenia z Sao Paulo, bo nigdy tam był, gdy czuje, że ktoś stuka go delikatnie w ramię. Adi odwraca się. Młody człowiek stojący za nim wygląda na dwadzieścia parę lat, jest schludny i ma bladozielone oczy, które natychmiast przywołują Adiemu na myśl jego siostrę Halinę.

– Przepraszam pana – mówi nieznajomy.

Adi patrzy na Sebastiana i się uśmiecha.

– Polak! A to ci!

Młody człowiek wygląda na zmieszanego.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Przypadkiem usłyszałem, że rozmawiają panowie po polsku, więc muszę spytać...

– Spogląda najpierw na Adiego, potem na Sebastiana. – Czy któryś z panów nie nazywa się przypadkiem Adi Kurc?

Adi przechyla głowę do tyłu i wydusza z siebie Hal, które brzmi bardziej jak krzyk niż śmiech, przez co ludzie siedzący przy pobliskich stolikach zaczynają się na nich gapić. Młody człowiek spuszcza wzrok.

– Wiem, małe szanse – mówi, kręcąc głową – ale w Rio nie ma tak wielu Polaków, a mnie jest po prostu bardzo trudno znaleźć tego pana Kurca. Wygląda na to, że mamy jego stary adres w kartotece.

Trzy tygodnie temu Adi przeprowadził się do nowego mieszkania w Carvalho Mendonca. Wyciąga rękę do nieznajomego.

– Miło mi.

Młody człowiek szybko mruga oczami.

– Pan... to pan jest Adi?

– W cóż takiego się wplątałeś? – pyta z udawaną troską Sebastian.

– Nie jestem pewien – żartuje Adi, a w jego brązowych oczach pojawia się błysk. Spogląda na Sebastiana, puszcza oko, a potem znów kieruje uwagę na stojącego przed nimi młodego Polaka: – Pan niech mi powie.

– Oj, proszę pana, to nie żadne kłopoty – mówi młody człowiek, nadal potrząsając dłonią Adiego. – Pracuję dla polskiego konsulatu. Odebraliśmy telegram dla pana.

Na brzmienie słowa „telegram” pod Adim uginają się kolana. Młody człowiek chwyta pewnie jego dłoni, żeby nie upadł.

– Telegram? Od kogo? – Adi nagle poważnieje. Jego oczy ślizgają się po twarzy nieznajomego, jakby usiłował rozwiązać jakąś zagadkę.

Młody Polak wyjaśnia, że nie może zdradzić żadnych informacji, zanim Adi nie uda się do ambasady, a to pół godziny drogi od Leme.

– Biuro zamykają za dziesięć minut – dodaje. – Najlepiej przyjść... – Ale zanim zdążył powiedzieć „w poniedziałek”, Adiego już nie ma.

– Dziękuję! – krzyczy Adi przez ramię, pędząc co sił w nogach. – Sebastian, jestem ci winny piwo!

– Biegnij! – woła Sebastian, choć Adi jest już za daleko, by go usłyszeć. Czubek jego głowy to chowa się, to pojawia, gdy Adi mknie po promenadzie między opalonymi ciałami spacerowiczów, poruszających się o wiele wolniej niż on.

Gdy Adi dociera do ambasady, jest cały mokry od potu, aż po biały bawełniany podkoszulek. Jest pięć po piątej. Drzwi budynku są zamknięte. Tak długo wali pięściami w drewniane drzwi, aż w końcu się otwierają.

– Proszę! – błaga, dysząc, gdy ktoś mówi mu, że ambasada jest zamknięta. – Dostałem telegram. To bardzo ważne.

Pracownik ambasady patrzy na zegarek.

– Przepraszam pana, ale... – zaczyna, ale Adi mu przerywa.

– Proszę – wykrztusza z siebie – zrobię wszystko.

Obaj wiedzą, że „ambasada jest zamknięta” to nie jest odpowiedź, która zadowoli Adiego. Mężczyzna przy drzwiach w końcu kiwa głową, luzując krawat pod szyją.

– Dobrze – wzdycha, wskazując Adiemu, żeby poszedł za nim.

Zatrzymują się w małym pomieszczeniu z plakietką z napisem „M. Santos”.

– To pan jest Santos? – pyta Adi.

Mężczyzna podaje mu rękę i Adi wchodzi za nim do pomieszczenia.

– Jestem Roberto. Santos odpowiada za przychodzące telegramy. Te, których nie przekazał, trzyma tutaj.

– Roberto obchodzi biurko dookoła. – Proszę usiąść – mówi, wskazując na krzesło, po czym wyjmuje okulary z kieszeni koszuli, nakłada je i spogląda w dół na gruby plik papierów, które wyglądają na świeżo zapisane atramentem.

Adi jest zbyt zdenerwowany, żeby usiedzieć.

– Jestem Adi – mówi. – Adi Kurc.

– Proszę przeliterować – mówi Roberto. – Najpierw nazwisko. – Ślini kciuk i poprawia okulary na nosie.

Adi literuje, a potem chodzi tam i z powrotem, przygryzając język. To wszystko, co może zrobić, żeby zachować spokój.

W końcu Roberto wyciąga kartkę z pliku.

– Adi Kurc – czyta i spogląda w górę. – To pan?

– Tak! Tak! – Adi sięga po portfel.

– Nie trzeba – mówi Roberto, machając ręką. – Wierzę, że to pan. – Zerka na telegram i podaje go nad biurkiem Adiemu. – Wygląda na to, że przyszedł dwa tygodnie temu, z Czerwonego Krzyża.

Adi bierze od niego kartkę i próbuje się przygotować. Złe wieści przyszłyby z gazety, z list zmarłych, ale telegram...

Mówi sobie, że telegram nie może zawierać złych wiadomości. Trzymając papier w obu dłoniach, podnosi go blisko oczu i czyta.

DROGI BRACIE – STRASZNIE SIĘ CIESZĘ, ŻE ZNALAZŁEM CIĘ NA LIŚCIE CZERWONEGO KRZYŻA JESTEM Z SIOSTRAMI I RODZICAMI WE WŁOSZECH – JAKUB CZEKA NA WIZĘ DO USA PRZEŚLIJ WIEŚĆ – TWÓJ GENEK

Adi pożera wzrokiem słowa zapisane na kartce. Jeden z listów, które Caroline wysłała do biur Czerwonego Krzyża na całym świecie – prawie dwa lata temu – musiał jakoś dotrzeć do jego brata. Kręci głową, mruga i nagle ma wrażenie, jakby unosił się ponad własnym ciałem. Spogląda spod sufitu ambasady w dół na pokój, na Roberta, na siebie, nadal trzymającego w rękach telegram, na małe literki rozsypane na kartce. Dopiero dźwięk własnego śmiechu ściąga go z powrotem na ziemię.

– Proszę coś dla mnie zrobić – mówi Adi i podaje nad biurkiem telegram Roberto. – Czy mógłby mi go pan przeczytać?

Chcę być pewny, że nie śnię.

Gdy Roberto czyta wiadomość na głos, Adi przestaje się śmiać, jest oszołomiony. Jedną ręką opiera się o biurko, drugą zakrywa sobie usta.

– Wszystko w porządku? – Roberto nagle wydaje się zaniepokojony.

– Żyją – szepcze Adi przez palce. Słowa te wreszcie do niego docierają, prostuje się i przyciska dłońe do skroni. – Żyją.

Czy mogę... mogę to jeszcze raz zobaczyć?

– Jest pański – mówi Roberto, oddając telegram.

Adi przyciska przez moment papier do piersi i zamyka oczy. Gdy chwilę później patrzy w górę, łzy spływają mu z kącików oczu po policzkach, gdzie mieszają się z kroplami potu.

– Dziękuję! – mówi. – Dziękuję!

29 MARCA 1946: Grupa około dwustu pięćdziesięciu niemieckich policjantów uzbrojonych w amerykańskie karabiny wchodzi do obozu dla przesiedleńców w Stuttgarcie, twierdząc, że zostali uprawnieni przez armię amerykańską do przeszukania budynków. Dochodzi do walki i kilku Żydów zostaje rannych. Samuel Danziger z Radomia zostaje zastrzelony.

Jego śmierć i cały incydent są szeroko relacjonowane w amerykańskiej prasie. Niedługo potem Stany Zjednoczone wprowadzają bardziej liberalną politykę otwarcia drzwi dla żydowskich uchodźców.

JAKUB STOI NA DZIUBIE SS „MARINĘ PERCH", podnosi swojego rolleiflexa i majstruje przy przysłonie, patrząc przez obiektyw w dół na żonę i syna. Od morza dochodzi nieustanna bryza, słona i zimna, niosąc ze sobą powiew wiosny. Bella kołysze Wiktora w ramionach, uśmiecha się na dźwięk migawki aparatu Jakuba.

Tego ranka wypłynęli z Bremerhaven rzeką Weser ku Morzu Północnemu. Pod wieczór „Okoń", jak z czułością nazywają statek, skieruje dziób na zachód, przygotowując się do przeprawy przez Atlantyck.

Trzy tygodnie wcześniej dostali potwierdzenie z amerykańskiego Konsulatu Generalnego w Stuttgarcie, że po badaniu lekarskim (uchodźcy w złym stanie zdrowia nie dostają pozwolenia na wjazd do USA) ich poręczenie zostanie zatwierdzone, a w Bremerhaven będą na nich czekać wizy. Doktor Baum przeprowadził badania i wystawił Belli, Jakubowi i Wiktorowi zaświadczenie, że cieszą się doskonałym zdrowiem. Następnie zostali sfotografowani i wydano im certyfikaty tożsamości. Dwa tygodnie później pożegnali się z przyjaciółmi w Stuttgarcie i wsiedli do nocnego pociągu.

W Bremerhaven, zanim „Marinę Perch" wpłynął do portu i wpuszczono ich na pokład, spali przez tydzień na podłodze pod tablicą z napisem MIEJSCE ZBIÓRKI EMIGRANTÓW.

„Okoń" to stary statek zabierający tysiąc pasażerów – jedna z pierwszych tego rodzaju jednostek, która przewozi emigrantów z Europy do Ameryki. Statek Wolności. Nie mając żadnych oszczędności, Jakub i Bella musieli polegać na Joincie. Organizacja opłaciła koszty biletów dla ich dwojga w wysokości stu czterdziestu dwóch dolarów, przyznała też każdemu uchodźcy kwotę pięciu dolarów kieszonkowego. Przed opuszczeniem Stuttgartu Jakub i Bella gromadzili swoje przydziały kawy z UNRRA i wymienili tak poszukiwane na rynku mielone ziarna na świeżo wyprasowaną niebieską koszulę dla Jakuba, białą bluzkę z kołnierzykiem w ząbki dla Belli i nową białą czapkę dla Wiktora. Chcieli dobrze się prezentować, gdy wuj Belli, Fred, powita ich na amerykańskiej ziemi.

Podchodzi jakaś młoda kobieta i zaczyna przemawiać pieszczotliwie do Wiktora. Odkąd weszli na statek, nie było praktycznie minuty, żeby ktoś nie zatrzymał się, pytając o wiek Wiktora, gdzie się urodził, lub żeby po prostu pogratulować Belli i Jakubowi młodego podróżnika towarzyszącego im w wyprawie do Stanów.

– *Quel age a fil?* – pyta młoda kobieta, zaglądając Belli przez ramię.

– W sierpniu będzie miał rok – odpowiada po francusku Bella.

Młoda kobieta się uśmiecha.

– Ajak ma na imię?

– Wiktor. – Bella dotyka zewnętrzną częścią palca wskazującego delikatnej skóry policzka dziecka. Nie zastanawiali się długo, jak nazwą swojego pierworodnego. Imię Wiktor zawierało w sobie radość, którą

czuli, gdy wojna się wreszcie skończyła i uświadomili sobie, że mimo, wydawałoby się, nieprzezwycięzalnych trudności nie tylko udało im się przeżyć.

ale i sprowadzić na świat nowe życie. Często rozmyślali o tym, że kiedyś, gdy ich syn będzie już wystarczająco duży, zrozumie znaczenie swojego imienia.

Kobieta kiwa potakująco głową, wpatrzona w różowe, sercowate usta Wiktora, lekko otwarte w czasie snu.

– Jest piękny.

Bella też na niego patrzy.

– Dziękuję.

– Jak spokojnie śpi.

Bella potakuje, uśmiechając się.

– Tak jakby świat nic go nie obchodził.

ROZDZIAŁ 62

Rodzina Kurców

Rio de Janeiro, Brazylia ~ 30 czerwca 1946

– LEPIEJ SIĘ POSPIESZ – MÓWI CAROLINE, uśmiechając się do Adiego z łóżka na oddziale położniczym szpitala Samaritano. – Idź – dodaje, starając się przybrać nieznoszący sprzeciwu ton nauczycielki. – Tutaj wszystko będzie dobrze.

– Słowo „dobrze” wypowiedziane z jej południowoamerykańskim akcentem wybrzmiewa długo i łagodnie.

Adi patrzy na nią, a potem na Kathleen, śpiącą w inkubatorze przy końcu łóżka. Urodziła się dwa dni temu, o trzy tygodnie za wcześnie, ważąc zaledwie dwa kilogramy. Jest zdrowa, jak zapewniają ich lekarze, ale zanim będzie mogła opuścić szpital, przez co najmniej tydzień potrzebuje ciepła i tlenu z inkubatora. Adi całuje żonę.

– Caroline – mówi ze łzami w oczach. – Dziękuję.

Caroline nie tylko pomogła mu odnaleźć rodzinę za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, ale również spieniężyła swoje obligacje wojenne, jedyne oszczędności, jakie miała, żeby opłacić ich podróż z Włoch. Adi błagał, żeby tego nie robiła – przyrzekł, że sam wymyśli jakiś sposób, żeby zapłacić za bilety – ale ona nalegała.

Caroline kręci głową.

– Adi, jestem taka szczęśliwa z twojego powodu. Ale teraz, proszę, już idź! – popędza go, ściskając mu dłoń. – Bo się spóźnisz.

– Kocham cię! – mówi rozpromieniony Adi, a potem biegnie do drzwi.

Statek z rodzicami na pokładzie ma zawinąć do portu o jedenastej. Na pokładzie oprócz Nechamy i Sola są jego siostra Halina i szwagier Adam, ze swoją kuzynką Alą, która straciła kontakt z rodziną na początku wojny, ale przeżyła w ukryciu, jak napisała Nechama, i bratem Herty, Zigmundem, którego Adi spotkał tylko raz przed wojną. Genek, Herta i ich syn Józef, Mila, Selim i Felicja, a także kuzyni Adiego, Franka i Felek, oraz ciocia Terza mają przybyć do Rio następnym statkiem z Neapolu. Piętnaścioro krewnych. Adiemu bardzo trudno uwierzyć, że to wszystko prawda. Odkąd przybył do Brazylii, było to jego jedyne marzenie: odnaleźć rodzinę całą i zdrową, sprowadzić ją do Rio i zacząć razem od nowa. Raz po raz mówił sobie, że to marzenie ma szansę się spełnić, ale zawsze była też bardzo realna możliwość, że tak się nie stanie – że będzie to tylko... marzenie, takie, które w końcu zamieni się w koszmar i będzie go prześladować do końca życia.

A potem przyszedł telegram i Adi całymi tygodniami śmiał się i płakał na przemian, nagle niepewny tego, jak żyć bez poczucia winy i obaw, które niczym wielki kamień od tyłu lat ciążyły mu na sercu. Czuł się teraz lekko, swobodnie.

„Jestem wolny”, powiedział kiedyś Caroline, gdy spytała, jak się czuje. Tylko tak mógł opisać to uczucie.

W końcu wolno mu było z całym przekonaniem wierzyć, że nie jest na świecie sam.

Adi od razu odpisał na telegram Genka, błagając, by przyjechał do Rio – Brazylia znów otworzyła wtedy swoje granice dla uchodźców. Rodzina we Włoszech od razu się zgodziła. Zaraz wystąpią o wizy, napisał Genek. Sam proces zdobywania dokumentów, jak i podróż do Ameryki Południowej będą oczywiście powolne, ale dzięki temu Adi będzie miał czas, żeby przygotować się na ich przybycie.

Gdy tylko zapadła decyzja, Adi zabrał się do organizowania pobytu: dla rodziców załatwił mieszkanie na Avenida Atlantica; dla Haliny i Adama kawalerkę niedaleko od siebie, na Carvahlo Mendonca; dla kuzynów i cioci Terzy trzypokojowe mieszkanie na Rua Belfort Roxo. Każdy lokal wyposażył w podstawowe meble, które sam zrobił – ramę do łóżka, biurko, półki. Z pomocą Caroline zgromadził mieszaninę talerzy, sztućców, kilka garnków i patelni, a także kilka sarongów i niedrogich obrazów z pchłego targu w Sao Cristóvão do powieszenia na ścianach. Mieszkania są skromne.

Wypadają blado w porównaniu z pięknym domem przy Warszawskiej, w którym Adi spędził młodość, ale to najlepsze, na co go stać.

„Mam nadzieję, że nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby przez jakiś czas pomieszkać jak studenci” – powiedział z westchnieniem Adi, zanim urodziła się Kathleen, gdy rozejrzał się po mieszkaniu, w którym mieli wkrótce zamieszkać jego rodzice. Proste biurko ze sklejki, które zbudował tydzień temu, nagle wydało mu się komiczne w porównaniu z pięknym fornirowanym pulpitem do pisania, który pamiętał z salonu matki w Radomiu.

„Och, Adi, na pewno będą ci wdzięczni” – zapewniła go Caroline.

Palmy otaczające Rua Bambina tworzą wokół Adiego smugę zieleni, gdy mknie pożyczonym na tę okazję chevroletem Sebastiana. Kręci głową. Gdzieś w środku wciąż ma wrażenie, że to wszystko mu się śni. Dwa dni temu po raz pierwszy poczuł, jak maleńka rączka pierworodnej córki owija się wokół jego małego palca – a niebawem poczuje dotyk matki, ojca, sióstr, brata i kuzynów, siostrzenicy, którą dopiero pozna, i nowego bratanka. Wyobrażał sobie to spotkanie już tyle razy. Ale nic – nic na świecie, uświadamia sobie – nie może go przygotować na to, jak to będzie na własne oczy zobaczyć członków rodziny. Poczuć ciepło ich policzków na swoich. Słyszeć brzmienie ich głosów.

Adi prowadzi samochód, a jego myśli przeskakują w czasie do tego poranka w Tuluzie, w marcu 1939 roku, gdy otworzył list od matki, w którym pisała, co się zaczęło dzieć w Radomiu. Myśli o służbie we francuskiej armii, o tym, jak podrobił dokumenty demobilizacyjne, które nadal nosi w swoim portfelu z wężowej skóry. Widzi, jak stoi pod rękę z Elišką na pokładzie „Alsiny”, jak targuje się z tubylcami w Dakarze, jak sprytną gadką uwalnia się z obozu namiotowego Kasha Tadla w Casablance i dostaje się na „Cabo do Hornos”. Przypomina sobie podróż przez Atlantyk, tygodnie uwięzienia na Ilha das Flores, pierwszą pracę w introligatorni w Rio, niezliczone wizyty na poczcie w Copacabanie i w biurach Czerwonego Krzyża. Myśli o imprezie u Jonathana, jak mocno i szybko zabiło mu serce w piersi, gdy zebrał się na odwagę, żeby przedstawić się Caroline. Myśli o zielonookim pracowniku konsulatu, który zagadnął go przed Porcao, o słowach wydrukowanych na cieniutkim papierze telegramu, który otrzymał w ambasadzie – słowach, które wtargnęły nagle do jego życia i wszystko zmieniły. Minęło siedem i pół roku od czasu, gdy ostatni raz widział rodzinę. Siedem i pół!

Muszą nadrobić niemal dekadę. Od czego zaczną? Tyle musi się dowiedzieć, a przecież i on sam też ma tyle do opowiedzenia.

Adi dociera do portu punkt o jedenastej. Pospiesznie parkuje, prawie wyrywając z konsoli hamulec ręczny chevroleta, i biegnie ku budynkowi celnemu z białej cegły, który oddziela go od zatoki Guanabara. Był już w tym budynku cztery razy – dwukrotnie, gdy sam dotarł do Rio, i dwa razy w ostatnim miesiącu, żeby dowiedzieć się szczegółowo o przebieg procedur, gdy przyplyną członkowie jego rodziny. Powiedziano mu, że zostaną doprowadzeni ze statku do biura kontroli paszportowej, a potem do innego biura, gdzie, zanim ich wizy zostaną potwierdzone i ostemplowane, będą musieli odpowiedzieć na szereg pytań. Dopiero wtedy, gdy zakończą się procedury urzędowe, będzie mu wolno się z nimi przywitać.

Zbyt podekscytowany, żeby czekać w środku, Adi okrąża budynek celny i zatrzymuje się, gdy nagle jego oczom ukazuje się zatoka. Widać dziesiątki małych kutrów rybackich i kilka frachtowców, ale tylko na jednym z nich są na pokładzie jego bliscy. Z odległości mniejszej niż pięćset metrów płynie w jego kierunku statek handlowy. Z dwóch ogromnych kominów w bezchmurne niebo wzbijają się kłęby pary. Jest wielki. „Duque de Caxias”. To musi być on!

W miarę zbliżania się statku Adi zaczyna dostrzegać maleńkie sylwetki pasażerów stojących na dziobie, ale nie sposób odróżnić jednej postaci od drugiej. Osłania oczy od słońca i zerka spod przymrużonych powiek ponad horyzontem, idąc wzdłuż doku i klucząc między tłumem ludzi, którzy zgromadzili się, by przywitać statek. „Duque” porusza się nieznośnie powoli. Adi chodzi tam i z powrotem po krańcu doku. W końcu nie może już tego wytrzymać.

– *Ola!* – woła, machając do rybaka przepływającego obok łódką. Starzec podnosi wzrok. Adi wyciąga z portfela pięć cruzeiro. – Pożycz mi pan swoją łajbę?

Adi siedzi na drewnianej ławeczce szalupy i wiosłuje zwrócony plecami do „Duque”; widzi, jak białe cegły budynku celnego z każdym uderzeniem wiosła o fale stają się coraz mniejsze. Przepływa obok boi wyznaczającej strefę zakazu wytwarzania fali, a jakiś kapitan statku zmierzającego do brzegu gwizdże, by go ostrzec. – *Perigioso!* Adi wiosłuje jednak jeszcze mocniej, płynie na głębsze wody, co jakiś czas zerkając za siebie, by ocenić, jak bardzo się przybliżył do „Duque”.

Gdy ludzie w doku są już tylko kropkami na horyzoncie, Adi odkłada wiosła. Serce wali mu jak metronom ustawiony na sto dwadzieścia uderzeń na minutę. Dysząc, Adi przerzuca nogę przez ławkę i odwraca głowę ku „Duque”. Zaslaniając oczy przed słońcem, powoli wstaje, dla równowagi szeroko rozstawia stopy i przeczesuje wzrokiem dziób statku. Ileżby dał, żeby mignęła mu przed oczami znajoma twarz! Niestety! Nadal jest za daleko. Opada na ławeczkę, odwraca się na powrót tyłem do statku i wiosłuje dalej.

Jest trzydzieści metrów od „Duque”, gdy całe jego ciało przeszywa dreszcz emocji. Poznaje ten głos – głos, który przez tyle lat słyszał tylko w marzeniach.

– Aaaa – di!

Wrzuca wiosła na łódkę i chwiejąc się na nogach, wstaje – zdecydowanie za szybko – więc zanim łapie równowagę, prawie wywraca łódkę dnem do góry. A potem ją dostrzega, jak macha chusteczką nad głową, tak samo jak w dniu, kiedy żegnała go na dworcu w Radomiu: jego matka. Tuż przy niej stoi ojciec, podnosi i opuszcza łaskę, jakby robił dziury w niebie, a obok niego siostra, macha jak szalona jedną ręką, w drugiej trzymając duże zawiniątko – być może dziecko. To bardzo podobne do jego siostrzyczki – zrobić mu taką niespodziankę. Adi wyciąga szyję i patrzy w górę na swoją rodzinę, z rękami rozpiętymi w wielkie V – gdyby tylko mógł sięgnąć dalej, dotknąłby ich. Wykrzykuje ich imiona, a oni odkrzykują, płacze teraz,

i oni też płaczą, nawet ojciec.

ROZDZIAŁ 63

Rodzina Kurców

Rio de Janeiro ~ 6 kwietnia 1947

ADI I CAROLINE WCISNĘLI wokół trzech stolików zestawionych razem w salonie osiemnaście krzeseł, dwa wysokie foteliki dla dzieci i łóżeczko dla niemowlaka. Większość mebli jest pożyczona. Piekarnik był włączony niemal przez cały dzień, wydzielając tyle ciepła, że z ich małego mieszkania zrobiła się istna sauna, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, a nawet jeśli zwrócił, to się tym nie przejmował. Mieszkanie wypełniają rozmowy, pobrzękiwania zastawy stołowej i zapach świeżo upieczonej macy. Rodzina kończy przygotowania do tak długo oczekiwanego posiłku – pierwszego Pesach, które po raz pierwszy od czasów sprzed wojny będą obchodzić razem. Sześć miesięcy temu na statku „Campana” przyплыnęli do Rio pozostali członkowie rodziny. Brakowało tylko Jakuba, Belli i Wiktora. Jakub często pisał. Jak donosił w ostatnim liście, znalazł pracę w Stanach jako fotograf. Zwykle do korespondencji załączał jedno lub dwa zdjęcia, w większości fotografie Wiktora, który za kilka miesięcy skończy dwa lata. Na specjalne okazje przysyłał telegram. Tego dnia też go otrzymali: *MYŚLĘ O WAS W ILLINOIS. L'CHAIM. J*

Adi postanowił, że po kolacji zadzwonią do niego od sąsiada.

Sol, nucąc pod nosem, przygotowuje stół, wygładza obrus, który Nechama uszyła z małej beli koronki zakupionej w Neapolu. Kładzie swoją hagadę na szczytce stołu, tam, gdzie będzie siedział, a modlitewniki, które udało im się zdobyć, przy każdym z krzeseł.

W kuchni Nechama i Mila szykują miseczki ze słoną wodą, obierają jajka ze skorupki i co kilka minut sprawdzają piekarnik, żeby nie przypiec za bardzo macy. Mila nabiera z garnka na drewnianą łyżkę trochę rosołu, dmucha na nią, a potem podaje matce do spróbowania.

– Czego brakuje?

Nechama wyciera ręce w fartuszek i podnosi łyżkę do ust. Uśmiecha się.

– Tego, co właśnie połknęłam!

Mila śmieje się. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz słyszała, jak jej matka mówi te słowa.

Przy stole Genek nalewa hojnie wina do kieliszków, raz na jakiś czas spoglądając na Józefa; jego syn niedawno obchodził szóste urodziny, a teraz bawi się ze starszą kuzynką Felicją, która w listopadzie będzie miała dziewięć lat. Siedzą na podłodze przy oknie, wciągnięci w grę w bierki, klóćąc się po portugalsku o to, czy Józef ostatnim razem potrafił niebieską bierkę małym palcem, czy nie potrafił.

– Potrafiłeś, widziałam, jak się ruszała! – mówi Felicja, poirytowana.

– Nieprawda – upiera się Józef.

Adam też siada na podłodze, obok swojego rocznego synka Ricarda, który wydaje się czerpać radość z obserwowania, jak jego dziesięciomiesięczna kuzynka Kathleen, raczkując, zatacza wokół niego kręgi.

– Zanim ty się nauczysz wstawać, ona będzie już biegać – droczy się Adam, ściskając pulchną nóżkę Ricarda.

Urodził się pierwszego lutego w szpitalu imienia Federico II w Neapolu. Jednak we wrześniu, kilka miesięcy po przybyciu do Rio, Halina dziwnym trafem „zgubiła” jego włoski akt urodzenia i złożyła wniosek o nowy. Gdy brazylijscy urzędnicy zajmujący się naturalizacją zapytali, kiedy jej syn się urodził, Halina skłamała i powiedziała, że w sierpniu, już w Brazylii. Razem z Adamem ustalili, że dla Ricarda będzie lepiej, jeśli porzuci swoją europejską tożsamość. Członkowie rodziny Adama nie żyli – w końcu dowiedział się, że zginęli w Auschwitz, a rodzina Haliny przebywała teraz w Brazylii i w Stanach, więc nic już nie wiązało ich z ojczyzną. Gdyby urzędnicy przyjrzeni się bliżej puciołowatym policzkom Ricarda, z pewnością domyśliliby się, że jest stanowczo za duży jak na miesięczne dziecko. Ale on spał w swoim wózku, ukryty pod górą kocyków, a urzędnicy za bardzo się nie przyglądali. Po miesiącu otrzymał drugi akt urodzenia, tym razem brazylijski, z datą 15 sierpnia 1946. Postanowiono, że jego prawdziwa data urodzenia pozostanie tajemnicą.

Caroline klęczy na podłodze obok Adama i pokazuje Hercie, jak zawinąć jej drugiego synka, Michela, który ma zaledwie dwa tygodnie, w becik.

– Nechama nauczyła mnie, jak to robić z Kathleen – mówi cicho, poprawiając miękką muślinową tkaninę pod pleckami Michela. Przed ich przyjazdem Caroline martwiła się, co rodzina Adiego pomyśli sobie o niej, Amerykance, którą ich syn zaprosił do swojego życia, a która nie znała będącego ich udziałem cierpienia i znoju. Adi powtarzał jej, że ją pokochają.

– Już cię uwielbiają – mówił jej. – To dzięki tobie tu się znaleźli, pamiętasz o tym?

Herta dziękuje jej skinieniem głowy, a Caroline uśmiecha się, wdzięczna, że pomimo bariery językowej jest w stanie pomóc. – Najważniejsze to zawinąć rączki – dodaje, pokazując, jak to zrobić.

W rogu pokoju, gdzie Adi trzyma gramofon – luksus, na jaki pozwolił sobie tuż przed przyjazdem bliskich – razem z Haliną przeglądają małą kolekcję płyt, zastanawiając się, co włączyć. Adam proponuje Ellingtona, ale Halina się nie zgadza.

– Posłuchajmy czegoś stąd – mówi. Wybierają płytę młodego brazylijskiego kompozytora i skrzypka Claudia Santora.

Kiedy rozbrzmiewa pierwszy utwór – solo na fortepianie, nowoczesna, jazzująca melodia – Adi podkręca głośność.

Uśmiecha się, widząc, jak w drugim krańcu pokoju jego ojciec wyciąga rękę do matki, obejmuje ją w pasie, zamyka oczy i oboje zaczynają się kołysać do rytmu.

Tuż przed szóstą kolacja jest gotowa. Niebo za oknem zaczyna ciemnieć. W Rio kończy się jesień, dni są krótkie, a noce chłodne. Adi przycisza gramofon, a potem zdejmuje igłę z płyty. W pokoju robi się cicho, wszyscy zmierzają ku swoim miejscom przy stole. Caroline i Halina sadzają Ricarda i Kathleen w wysokich fotelikach i wkładają im za kołnierzyki bawełniane chusteczki. Po przeciwnej stronie stołu Genek klepie delikatnie dłonią stojące obok niego krzesło, a gdy Józef na nie wskakuje, ukradkiem podszczypuje synka w żebra. Józef odsuwa jego dłoń, mruży niebieskie oczy i śmieje się, pokazując dołeczki w policzkach. Herta łagodnie kładzie jego braciszka Michela, zawiniętego w becik, w starym łóżeczku Kathleen.

Naprzeciwko Genka siedzą Mila i Selim, a między nimi Felicja.

– Ładnie wyglądasz – szepcze Selim do Felicji. – Podoba mi się twoja kokardka – dodaje.

Felicja sięga dłonią do granatowej wstążki, którą dostała od Caroline, i związała nią koński ogon.

Uśmiecha się wstydliwie, wciąż niepewna, jak reagować na komplementy własnego ojca, ale jego słowa bardzo ją cieszą. Terza, Franka, Salek, Ala i Zigmund siedzą na pozostałych krzesłach.

Kiedy Sol zajmuje miejsce u szczytu stołu, Nechama podaje Caroline pudełko zapalek. Zazwyczaj to ona zapalała świece – tradycja Pesach mówi, że robi to najstarsza domowniczka, ale Nechama się uparła.

– To twój dom – powiedziała, kiedy Adi zapytał ją, czy zechciałaby mieć ten zaszczyt. – Mogę powiedzieć błogosławieństwo, ale sprawiłoby mi wielką przyjemność, gdyby to Caroline zapaliła świece.

Caroline przez chwilę się wahała, czy wziąć na siebie tę odpowiedzialność. To było nie tylko jej pierwsze święto Pesach, ale też pierwsze święta w gronie nowej rodziny. Chciałaby pomóc we wszystkim, ale wolałaby po cichu. „Nie ja jestem w centrum uwagi” – powtarzała. Adiemu udało się ostatecznie nakłonić ją słowami o tym, jak wiele to będzie znaczyło dla niego i jego mamy.

Caroline zapala zapalną, a potem dwie świeczki. Obok niej Nechama odmawia pierwszą modlitwę. Po jej zakończeniu kobiety siadają, Caroline obok Adiego, a Nechama u szczytu stołu naprzeciwko męża. Uwaga wszystkich skupia się teraz na Solu.

Ten rozgląda się, cicho pozdrawiając wszystkich siedzących przy stole, jego oczy połyskują w świetle świec. W końcu jego wzrok spoczywa na Nechamie, ona zaś bierze głęboki oddech, ściąga łopatki i kiwa głową na znak, że można zaczynać. Sol odwzajemnia gest. Nechama patrzy, jak podnoszą się i opadają jego ramiona, i przez chwilę wydaje się jej, że jej mąż się rozpłacze. Jeśli to zrobi, uświadamia sobie Nechama, a w gardle już ją zaczyna ścisnąć, ona z pewnością też nie powstrzyma łez. Ale po chwili Sol się uśmiecha. Otwiera hagdę i wznosi kieliszek.

– *Baruch ata Adonai elohenu...* – zaczyna barytonem, a na rękach wszystkich dorosłych zgromadzonych w niewielkim pokoju pojawia się gęsia skórka.

Jego błogosławieństwo jest krótkie: – Błogosławiony jesteś Panie, Boże wszechświata, dzięki któremu żyjemy i przetrwaliśmy, i dotrwaliśmy do tej niezwykłej chwili.

Słowa wybrzmiewają miękko w wilgotnym powietrzu, a członkowie rodziny chłoną jego głos i znaczenie modlitwy.

Dzięki któremu żyjemy. Przetrwaliśmy. Dotrwaliśmy do tej niezwykłej chwili.

– Dziś – dodaje Sol – obchodzimy Święto Macy, czas naszego wyzwolenia. Amen.

– Amen – odpowiadają wszyscy, wznosząc kieliszki.

Sol odmawia błogosławieństwo *karpas*, a wszyscy zanurzają nać pietruszki w małych miseczkach z soloną wodą.

Siedząca naprzeciwko Nechama napawa się widokiem pięknych twarzy – jej dzieci, ich żon i mężów, pięciorga wnucząt, kuzynów i innych członków rodziny, na chwilę zatrzymując wzrok na pustym krześle Jakuba. Patrzy na zegarek, prezent od Adiego (Na wszystkie zaległe urodziny, podczas których mnie z tobą nie było – powiedział). Jakub, daleko w Illinois, dokładnie w tej samej chwili też z pewnością siedzi przy wieczerzy pesachowej, świętując z rodziną Belli.

Gdy Nechama podnosi wzrok, w oczach ma łzy, a twarze wokół niej się zamazują. Jej dzieci. Wszystkie. Zdrowe. Żyją.

Mają się wspaniale. Przez tyle lat żyła, obawiając się najgorszego, wyobrażając sobie niewyobrażalne, a jej serce przepełniała trwoga. W tej chwili wydaje jej się to nierzeczywiste, myśli o tych wszystkich miejscach, w których byli, o chaosie, śmierci i zniszczeniu depczących im zawsze po piętach, o decyzjach,

które podjęli, i planach, które kreślili, nie mając jednak pewności, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczą swoich najbliższych ani czy oni wszyscy przeżyją. Zrobili, co mogli, a potem czekali, modlili się. Ale teraz, teraz już koniec z czekaniem. Są tutaj. Jej rodzina. W końcu, jakimś cudem, wszyscy razem. Nechama wypowiada bezgłośnie „dziękuję”, a po policzkach ciekną jej łzy.

Chwilę później czuje ciepło czyjejś dłoni na swoim łokciu. To Adi. Nechama uśmiecha się i daje znać skinieniem głowy, że nic jej nie jest. On też się uśmiecha ze łzami w oczach i podaje jej swoją chusteczkę. Nechama ociera łzy, rozkłada chusteczkę na kolanie i gładząc palcami białe inicjały AAIK, przypomina sobie tamto popołudnie, gdy je wyszywała.

Sol specjalnie robi małe zamieszanie przy łamaniu macy, gdyż chce odłożyć kawałek na afikoman. Mila szepcze coś Felicji do ucha. Halina podrzuca Ricarda na swoich kolanach i żeby go zabawić, daje mu do polizania swój palec zanurzony w słonej wodzie w miseczce stojącej obok jej talerzyka. Genek obejmuje Józefa i Hertę, kładąc im ręce na ramionach.

Herta uśmiecha się, oboje patrzą na Michela śpiącego spokojnie w swoim łóżeczku.

Herta odkryła, że jest w ciąży, niedługo po tym, jak dotarła do niej wiadomość, że jej rodzice, siostra Lola, szwagier i siostrzenica – wszyscy oprócz brata Zigmunda – zostali zamordowani w obozie koncentracyjnym niedaleko Bielska. To ją załamało, zastanawiała się, jak żyć dalej, wiedząc, że była ciocią dziewczynki, której nigdy nie widziała, że Józef pozna swoich dziadków z jej strony tylko z imienia. Całymi miesiącami przepełniały ją żal, gniew i wyrzuty sumienia. W bezsenne noce wciąż od nowa zadawała sobie pytanie, czy mogła coś zrobić, żeby im pomóc. Cięża pomogła jej się pozbierać i wykorzystać jeszcze raz tę siłę, która pozwoliła jej przetrwać lata na wygnaniu na Syberii i pobyt jako samotna młoda matka w Palestynie, oczekująca wieści z frontu. A kiedy w marcu urodził się ich drugi syn, ona i Genek od razu uzgodnili, że dostanie imię Michel, po jej ojcu.

Wokół stołu krąży talerz z macą, Felicja kręci się na krześle. Dziadek poprosił ją, jako najmłodszą z obecnych, która umie czytać, o zadanie Czterech Pytań. Ćwiczyli codziennie przez kilka tygodni, ona pytała, a Sol odśpiewywał odpowiedzi.

– Jesteś gotowa? – pyta cicho Sol.

Felicja przytakuje, bierze głęboki wdech i zaczyna.

– *Ma nisztana halaila haze* – śpiewa. Jej głos, miękki i czysty, rzuca czar na zebranych. Są urzeczeni.

Pod koniec *magid* Sol recytuje błogosławieństwo nad drugim kielichem wina, a potem nad macą, której skrawek odłamuje i zjada. Podczas błogosławieństw *maror* i *korech* wokół stołu krążą miski z chrzanem i charośtem.

Gdy w końcu przychodzi czas na ucztę, podczas dzielenia się miskami zupy z macą, podawania sobie półmisek z gefilte na słono, kurczakiem upieczonym z tymiankiem i smacowym antrykotem wołowym przy stole wybucha gwar rozmów.

– *L'chaim!* – woła Adi, gdy wszystkie talerze po brzegi wypełniają się jedzeniem.

– *L'chaim!* – powtarzają pozostali.

Gdy wszyscy są już najedzeni i razem sprzątaję ze stołu, Sol dyskretnie usuwa się ze swojego miejsca. Całymi tygodniami zastanawiał się, gdzie najlepiej schować afikoman, a ponieważ to pierwsze tradycyjne święto Pesach, które zapamiętają Felicja i Józef, przed kolacją dokładnie im wytłumaczył, jakie jest znaczenie tego rytuału. Wkłada macę za książki na niskiej półce w sypialni Adiego i Caroline. Znalezienie

jej nie będzie za trudne dla Józefa i zbyt proste dla Felicji. Gdy wraca, dzieci puszczają się małym korytarzem, a dorośli uśmiechają się, słysząc ich szybko oddalające się kroki. Sol promienieje z radości, a Nechama kręci głową z zadowoleniem. Jego marzenie w końcu się spełniło, może świętować z dziećmi, które są na tyle duże, żeby docenić zabawę. Już sobie wyobraża, ile trzeba będzie się natrudzić, by znaleźć miejsce ukrycia macy w przyszłym roku, kiedy w poszukiwaniach będą też w mogli uczestniczyć Ricardo i Kathleen.

Kilka minut później Felicja wraca, trzymając w ręku serwetkę.

– Za łatwe było! – krzyczy Sol, gdy dziewczynka pokazuje mu macę. – Chodźcie – mówi i kiwa na Felicję i Józefa, by podeszli do jego miejsca u szczytu stołu. Obejmuje ramionami stojące po jego bokach wnuki. – Powiedz mi, panienko Kajler – mówi, przybierając nagle poważny ton i obniżając głos o kilka oktaw – ile sobie życzysz za ten afikoman?

Felicja nie wie, co powiedzieć.

– Co powiesz na jedno cruzeiro? – proponuje Sol, wygrzebując z kieszeni monetę i kładąc ją na stole. Felicja otwiera oczy szeroko i patrzy, a w końcu wyciąga rękę po monetę.

– Tylko tyle? – droczy się Sol, zanim dziewczynka weźmie ją do ręki. Felicja jest zdezorientowana. Patrzy w górę na dziadka i przebiera palcami nad monetą.

– Nie sądzisz, że należy ci się więcej? – pyta Sol, puszczając oko do pozostałych, którzy przyglądają się tej scenie.

Felicja jeszcze nigdy się nie targowała. To jest jej pierwsza lekcja. Uśmiecha się i zabiera palce z nad pieniążka.

– *Mais!* Jest wart więcej! – oświadcza, a potem czerwieni się, bo wszyscy wybuchają śmiechem.

– Cóż, skoro nalegasz – wzdycha Sol i kładzie na stole drugie cruzeiro.

Felicja znów instynktownie sięga po monety, ale tym razem zatrzymuje się i patrzy Solowi w oczy. Opuszcza rękę i kręci głową, dumna z siebie, że udało się jej powstrzymać.

– Ostro się targujesz – mówi Sol, głośno wydychając powietrze, i jeszcze raz wkłada rękę do kieszeni. – Jak myślisz, młody człowieku, powinniśmy dać jej więcej? – pyta, zwracając się do Józefa, który, oczarowany, dotąd tylko się przyglądał temu, co się dzieje.

– *Si*, dziadek, *s!* – woła, entuzjastycznie kiwając głową.

Gdy kieszenie są puste, Sol podnosi ręce do góry w geście poddania.

– Zabraliście wszystko, co miałem – oświadcza. – Ale, panienko – dodaje, kładąc dłoń na czubku rudej głowy Felicji – zasłużyłaś sobie na to. – Felicja uśmiecha się i całuje dziadka w policzek.

– A ty, proszę pana – mówi Sol, zwracając się do Józefa – ty też się napracowałeś, jestem tego pewien. Może w przyszłym roku to ty znajdziesz afikoman! – Wyciąga ostatnią monetę z kieszeni koszuli i wkłada ją Józefowi do ręki.

– Idźcie teraz na swoje miejsca. Nasze Pesach dobiega już końca.

Dzieci wracają na swoje miejsca przy stole, Józef jest rozpromieniony, a Felicja mocno trzyma swoją kolekcję cruzeiro w zaciśniętej pięści; uchyła ją tylko odrobinę, żeby pokazać zawartość ojcu. Selim otwiera szeroko oczy i wydaje z siebie ciche „och”.

Gdy Sol odmawia modlitwę do proroka Eliasza, dla którego zostawili w mieszkaniu otwarte drzwi, kieliszki do wina napełniają się po raz trzeci i czwarty. Śpiewają *Elijahu ha – Nawi*, a potem *Adi, Genek*,

Mila i Halina po kolei recytują psalmy.

Sol odstawia pusty kieliszek, rozgląda się jeszcze raz po stole i uśmiecha się.

– Nasz seder jest zakończony! – mówi z wielką dumą w głosie nieco rozluźnionym z powodu wypitego wina. Bez wahania intonuje piosenkę *Adir hu*, a pozostali przyłączają się, śpiewając kolejny refren coraz głośniejszy i z większym zaangażowaniem.

Jiwne weito bekarow, Bimhera, bimhera, Bejameinu bekarow.

El bene! El bene!

Bene weitcha bekarow!

Niechaj wkrótce odbuduje swój dom, Szybko, szybko, za naszych dni, wkrótce.

Boże, odbuduj! Boże, odbuduj!

Odbuduj swój dom wkrótce!

– Czy już wreszcie nadszedł czas? – woła Halina. – Możemy tańczyć?

Na te słowa jej bracia zrywają się z krzesel, odsuwają stoły na bok i otwierają okna tak szeroko, jak tylko pozwalają na to wąskie okiennice. Na zewnątrz panuje ciemność.

Adi wychyla głowę za okno i wdycha nocne powietrze. W górze, na aksamitnym niebie księżyc w pierwszej kwadrze śmieje się do niego zakrzywionym sierpem, oświetlając brukowaną ulicę srebrzystym światłem. Adi również się do niego uśmiecha, a potem odwraca z powrotem do środka.

– Mila pierwsza – rozkazuje Genek.

– Dawno nie ćwiczyłam – mówi Mila, siadając na stołku przy fortepianie – ale postaram się.

Gra mazurka B–dur, popularny, wesoły utwór tak bardzo polski, że Kurcowie na chwilę nieruchomieją, gdyż nuty wywołują w nich wspomnienie domu. Pomimo tego, że Mila od lat nie siedziała przy klawiaturze, jej wykonanie jest bezbłędne. Następna gra Halina, a potem wreszcie przychodzi kolej na Adiego. Podrywa wszystkich na nogi żywo wykonanym utworem *Strike Up the Band* Gershwin. Przechodnie zadzierają głowy i uśmiechają się, słysząc śmiechy i muzykę dochodzącą z otwartego okna u Kurców, cztery piętra wyżej.

Minęła północ. Porozkładali się po całym salonie, na krzesłach, na podłodze. Dzieci śpią. Z odbiornika płyną nuty *Shine* Louisa Armstronga.

Adi siedzi na sofie obok Caroline, która oparła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

– Jesteś święta – szepcze Adi, splatając swoje palce z palcami żony. Caroline uśmiecha się z wciąż zamkniętymi oczami.

Nie tylko zorganizowała rozmowę telefoniczną z Jakubem w Stanach, dzięki czemu wszyscy skupili się przy słuchawce w salonie u sąsiada, żeby go pozdrowić. Okazała się też uprzejmą, cierpliwą gospodynią, z wrodzonym spokojem opiekującą się głośną grupą poliglotów, która najechała jej małe mieszkanie. Przez cały wieczór nieustannie rozbrzmiewały trzy języki – polski, portugalski i jidysz, tylko nie angielski. Ale jeśli Caroline czuła się speszona, nie dała tego po sobie poznać.

Otwiera oczy i odwraca się do Adiego. Mówi cicho, szczerze: – Masz piękną rodzinę.

On ściska ją za rękę i odchyła się do tyłu, opierając plecy o oparcie sofy, a palcem u nogi wybija rytm muzyki.

Just because I always wear a smile Like to dress up in the latest style 'Cause I'm glad I'm livin'

I take these troubles all with a smile Ja na uśmiech mam ochotę, Lubię elegancki szyk, Bo żyw jestem

i kłopoty, Kiedy zechcę, znikną w mig.

Adi nuci melodię pod nosem. Chciałby, żeby ten wieczór trwał wiecznie.

OD AUTORKI



Autorka jako roczne dziecko z dziadkiem

Kiedy byłam dzieckiem, nie miałam wątpliwości, że mój dziadek Eddy (Adi Kurc z mojej opowieści) jest typowym Amerykaninem. Odnosił sukcesy w biznesie. Po angielsku mówił, tak mi się przynajmniej wydawało, bez akcentu.

Mieszkał niedaleko nas w dużym, nowoczesnym domu, który miał panoramiczne okna od podłogi do sufitu i werandę, idealną do zabawy, a na podjeździe parkował ford. Nie zastanawiałam się za bardzo nad tym, że jedyne piosenki dla dzieci, których mnie uczył, były po francusku, że keczup (*un produit chimique*, jak go nazywał) był ściśle zakazany w jego jadłospisie albo nad tym, że połowę rzeczy w swoim domu zrobił sam (ustrojstwo mocujące mydło do magnesu nad umywalką w łazience, żeby było suche; gliniane popiersia jego dzieci na klatce schodowej; cedrową saunę w piwnicy; zasłony w salonie, utkane na zrobionym przez siebie krośnie). Dziwiłam się co prawda, gdy słyszałam przy stole „Nie skaczcie na spadochronie na swoje ziarnka grochu” (co to w ogóle oznaczało?), i trochę się irytowałam, gdy udawał, że mnie nie słyszy, jeśli odpowiadałam na jego pytania „taa” albo „yhm” – „tak” to była jedyna odpowiedź twierdząca, która spełniała jego standardy gramatyczne. Gdy spoglądałam wstecz, wydaje mi się, że niektóre z tych nawyków można by nazwać nietypowymi. Ale ja, jedynaczka, mająca tylko jednego żyjącego dziadka, innych zwyczajów nie znałam. Tak jak byłam głucha na delikatną modulację, która, jak mówi mi teraz moja mama, towarzyszyła jego angielskiej dykcji, tak samo nie dostrzegałam też jego dziwactw. Bardzo kochałam Dziadka. Dla mnie był po prostu sobą.

Oczywiście niektóre rzeczy robiły na mnie ogromne wrażenie. Na przykład jego muzyka. Nigdy nie spotkałam osoby tak oddanej sztuce. Jego półki ugięły się od płyt winylowych, ułożonych alfabetycznie według nazwiska kompozytora, i pod ciężarem publikacji z nutami na fortepian. W jego domu zawsze grała muzyka – jazz, blues, muzyka klasyczna, czasem jego własne nagranie. Często, gdy przychodziłam,

zastawałam go przy klawiaturze Steinwaya; z ołówkiem HB wetkniętym za ucho komponował nowy utwór, który następnie odtwarzał, dopracowywał i znów odtwarzał, aż był z niego zadowolony. Czasem, gdy grał, prosił mnie, żebym obok niego usiadła. Serce zaczynało mi bić szybciej, gdy obserwowałam go z bliska, czekając na delikatne skinienie głowy, które oznaczało, że już czas na przewrócenie strony partytury. *Merci, Georgie*, mówił, gdy doszliśmy do końca utworu, a ja patrzyłam na niego rozpromieniona i dumna, że na coś się przydałam. Najczęściej, gdy dziadek skończył grę, pytał mnie, czy chcę poćwiczyć, a ja zawsze odpowiadałam, że tak – nie dlatego, że podzielałam jego miłość do fortepianu, lecz po prostu dlatego, że wiedziałam, jak cieszą go te lekcje.

Wyciągał z półki książkę dla początkujących i siadał tuż obok mnie, a ja niepewnie kładłam palce na klawiszach. Starłam się, jak mogłam, żeby nie robić błędów, gdy prowadził mnie cierpliwie przez kilka taktów tematu z symfonii *Niespodzianki* Haydna. Bardzo chciałam zrobić na nim wrażenie.

Oprócz jego zdolności muzycznych podziwiałam dziadka za to, że mówił siedmioma językami. Przypisywałam tę biegłość temu, że miał biura na całym świecie i rodzinę w Brazylii i we Francji, choć jedyną znaną mi krewną z jego pokolenia była Halina, siostra, z którą czuł się bardzo zżyty. Kilka razy przyjechała do nas z Sao Paulo, a od czasu do czasu kuzyn w moim wieku przylatywał z Paryża, żeby latem przez kilka tygodni pouczyć się angielskiego. Wszyscy w rodzinie dziadka, jak się wydawało, musieli mówić co najmniej dwoma językami.

Gdy byłam dzieckiem, nie wiedziałam natomiast o dziadku tego, że urodził się w Polsce, w mieście, które było niegdyś domem dla trzydziestu tysięcy Żydów; że naprawdę nie miał na imię Eddy (tak przemianował się później), lecz Adolf, ale od dzieciństwa wszyscy nazywali go Adim. Nie wiedziałam też, że był średnim z pięciorga rodzeństwa, ani tego, że przez prawie dziesięć lat swojego życia nie wiedział, czy jego rodzina przeżyła wojnę, czy też jego bliscy zginęli w obozach koncentracyjnych lub znaleźli się wśród tysięcy zamordowanych w gettach w Polsce.

Mój dziadek nie ukrywał tego przede mną celowo – to były po prostu fragmenty jego wcześniejszego życia, które z wyboru zostawił za sobą. W Ameryce stworzył siebie na nowo, poświęcając swoją okazałą energię i kreatywność teraźniejszości i przyszłości. Nie był z tych, którzy trzymają się przeszłości, a mnie nigdy nie przyszło do głowy, żeby go o nią zapytać.

Dziadek zmarł na chorobę Parkinsona w roku 1993, gdy miałam czternaście lat. Rok później nauczyciel angielskiego w liceum zadał mojej klasie pracę „I – Search” (poszukiwanie siebie). Dogrzebując się do dziejów naszych przodków, mieliśmy się nauczyć prowadzenia badań naukowych. Biorąc pod uwagę, że pamięć o dziadku była jeszcze świeża, postanowiłam porozmawiać z moją babcią Caroline, która prawie pół wieku była jego żoną, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego losach.

To właśnie podczas tej rozmowy dowiedziałam się po raz pierwszy o Radomiu, choć wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, jak ważne było niegdyś to miasto dla mojego dziadka czy też jak ważne stanie się dla mnie – do tego stopnia, że dwadzieścia lat później odwiedzę je, aby przejść się jego brukowanymi ulicami i spróbować sobie wyobrazić, jak to było tam dorastać. Babcia pokazała mi Radom na mapie, a ja zastanawiałam się głośno, czy po wojnie dziadek kiedykolwiek tam wrócił. „Nie – powiedziała babcia. – Eddy nigdy nie chciał tam wracać”. I wyjaśniła mi następnie, że dziadek Eddy miał szczęście, bo gdy naziści najechali w 1939 roku Polskę, on mieszkał we Francji i był jedynym członkiem rodziny, który uciekł z Europy na początku wojny. Powiedziała mi też, że dziadek był kiedyś zaręczony z Czeszką, którą

poznał na pokładzie statku „Alsina”, że ona sama poznała go w Rio de Janeiro na przyjęciu w Ipanemie, że ich pierwsze dziecko, Kathleen, urodziło się w Rio na krótko przed tym, jak Eddy ponownie spotkał się z rodziną – z rodzicami, rodzeństwem i innymi dalszymi członkami rodziny, których od wielu lat nie widział ani nic nie wiedział o ich losie. Jakimś cudem wszyscy przeżyli wojnę, w której zginęło ponad dziewięćdziesiąt procent polskich Żydów i (jak odkryłam później) wszyscy, z wyjątkiem około trzystu, z trzydziestu tysięcy mieszkających w Radomiu.

Babcia wyjaśniła mi, że gdy rodzina urządziła się w Brazylii, ona i dziadek przeprowadzili się do Stanów Zjednoczonych, gdzie urodziła się moja mama, Isabelle, i mój wujek, Tim. Dziadek natychmiast zmienił imię i nazwisko z Adolf Kurc na Eddy Courts i złożył przysięgę wierności, by uzyskać obywatelstwo USA. „To był nowy rozdział w jego życiu”, powiedziała babcia. Gdy zapytałam, czy zachował jakieś zwyczaje ze Starego Świata, przytaknęła. „Niewiele mówił o swoim żydowskim wychowaniu, nikt nie wie, że urodził się w Polsce, ale miał swoje przyzwyczajenia”. Tak jak fortepian był nieodłączną częścią jego własnego wychowania, tak dziadek pilnował, by jego dzieci codziennie ćwiczyły grę na instrumencie. Rozmowy przy kolacji musiały się odbywać po francusku. Przygotowywał espresso na długo przed tym, zanim sąsiedzi w ogóle o nim usłyszeli, i uwielbiał targować się ze sprzedawcami na Haymarket Square w Bostonie (z zakupów wracał często z owiniętym w papier ozorem wołowym, twierdząc, że to przysmak). Jedynymi słodyczami, na jakie zezwalał, była ciemna czekolada, którą przywoził z podróży do Szwajcarii.

Rozmowa z babcią przyprawiła mnie o zawrót głowy. Czułam, jakby ktoś odsunął jakąś zasłonę i pierwszy raz mogłam wyraźnie zobaczyć dziadka. Dotarło do mnie, że wiele z tych osobliwości, cech, które uznawałam za nieszkodliwe dziwactwa, można przypisać jego europejskim korzeniom. W głowie zaczęły mi się mnożyć pytania. „Co się stało z jego rodzicami? Z jego rodzeństwem? W jaki sposób im udało się przetrwać wojnę?”. Dopytywałam babcię o szczegóły, ale ona знаła tylko kilka skąpych faktów. „Poznałam jego rodzinę po wojnie – powiedziała. – Niewiele mówili o swoich przeżyciach”. W domu poprosiłam mamę, żeby powtórzyła mi wszystko, co wie. „Czy dziadek kiedykolwiek opowiadał o swoim dzieciństwie w Radomiu? Czy opowiadał ci o wojnie?”. Odpowiedź za każdym razem brzmiała: nie.

A potem latem 2000 roku, kilka tygodni po tym, jak ukończyłam college, moja mama zaproponowała, żeby w naszym domu na wyspie Martha's Vineyard zorganizować zjazd rodziny Kurców. Jej kuzyni przyjęli zaproszenie, bo rzadko się widywali, a wiele spośród ich dzieci nigdy nawet się nie poznało. Najwyższy czas na spotkanie w większym gronie. Jak tylko pomysł chwycił, kuzyni (jest ich w sumie dziesięcioro) zabrali się do załatwiania spraw związanych z podróżą i gdy nadszedł lipiec, zlecieli się do nas krewni z Miami, Oakland, Seattle, Chicago, a nawet z Rio, Paryża i Tel Awiwu. Łącznie z żonami, mężami i dziećmi było nas trzydzieści dwie osoby.

Codziennie wieczorem pokolenie mojej mamy i moja babcia siadali po kolacji na werandzie z tyłu domu i rozmawiali.

Większość tych wieczorów spędziłam z młodszymi wiekiem kuzynami na sofach w salonie, porównując zainteresowania i gusta muzyczne i filmowe (jak to możliwe, że moi brazylijscy i francuscy krewni lepiej ode mnie znali amerykańską popkulturę?). Jednak ostatniego dnia wyszłam na zewnątrz, usiadłam na ławie obok cioci Kath i zaczęłam słuchać.

Kuzyni mamy rozmawiali swobodnie, pomimo tego że wychowywali się w różnych miejscach, mieli różne języki ojczyste i wielu z nich nie widziało się od kilkudziesięciu lat. Było dużo śmiechu, była

piosenka – polska kołysanka, którą Ricardo i jego młodsza siostra Anna przypomnieli sobie z dzieciństwa (powiedzieli, że nauczyli się jej od dziadków), był humor, jeszcze więcej śmiechu i toast za moją babcię, ostatnią przedstawicielkę swojego pokolenia. Nieraz w środku zdania mieszały się trzy języki: angielski, francuski i portugalski. Bardzo się starałam nie stracić wątków. I udawało mi się, a kiedy rozmowa zesłała na dziadka, a potem na wojnę, nadstawiłam ucho.

Oczy zaświeciły się babci, gdy opowiadała, jak poznała dziadka w Rio. „Lata mi zajęło, zanim nauczyłam się portugalskiego – powiedziała. – A Eddy nauczył się angielskiego w ciągu kilku tygodni”. Powiedziała, że dziadek miał obsesję na punkcie idiomów amerykańskich, i przyznała, że nie miała serca go poprawiać, gdy w rozmowie użył jakiegoś niewłaściwie. Ciocia Kath kręciła głową, gdy przypomniawszy jej się zwyczaj dziadka brania prysznica w bieliźnie. Kiedy podróżował, to był jego sposób na mycie się i jednoczesne pranie. „W imię efektywności – powiedziała – zrobiłby niemal wszystko”. Wujek Tim wspominał, jak dziadek zawstydział go, kiedy był dzieckiem, bo zawsze wszystkich zagadywał, od kelnerki po przypadkowych przechodniów. „Potrafił rozmawiać z każdym”, powiedział, a pozostali śmiali się i potakiwali; po błysku w ich oczach widziałam, że siostrzeńcy i bratankowie dziadka po prostu go uwielbiali.

Śmiałam się wraz z nimi, żałując, że nie znałam dziadka, kiedy był młody, a potem zamilkłam, kiedy kuzyn mamy z Brazylii, Józef, zaczął opowiadać o swoim tacie, czyli starszym bracie dziadka. Dowiedziałam się, że w czasie wojny Genek i jego żona Herta zostali wywiezieni do gułagu na Syberii. Poczulałam gęsią skórę na ramionach, gdy Józef opowiadał, jak urodził się w baraku w środku zimy. Było tak zimno, że nie mógł otworzyć oczu, bo zamarzały mu rzęsy, i jego mama musiała codziennie rano delikatnie przemywać je ciepłym mlekiem z piersi, żeby się otworzyły.

Słyszając to, musiałam się powstrzymać, żeby nie wykrzyknąć: „Co robiła?”. Ale choć ta opowieść była szokująca, to po niej nastąpiły kolejne, każda na swój sposób równie zdumiewająca. Była historia o tym, jak Halina, będąc w ciąży, przeszła pieszo przez austriackie Alpy, opowieść o zakazanym ślubie w ciemnym domu, o fałszywych papierach i o wymyślonym naprędce sposobie na zamaskowanie obrzezania, o odważnej ucieczce z getta i wstrząsająca relacja o uratowaniu się z miejsca egzekucji. Pierwszą moją myślą było: dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? A potem: ktoś musi spisać te opowieści.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że tym kimś będę właśnie ja. Nie poszłam spać tamtej nocy z przeświadczeniem, że muszę napisać książkę o historii mojej rodziny. Miałam dwadzieścia jeden lat, dopiero co uzyskałam dyplom na uczelni i byłam skupiona na poszukiwaniu pracy, mieszkania, swojego miejsca w „realnym” świecie. Zanim wyjechałam do Europy z cyfrowym dyktafonem i pustym notatnikiem, żeby przeprowadzić wywiady z krewnymi o wojennych przeżyciach mojej rodziny, minęło prawie dziesięć lat. Tamtego wieczoru poszłam jednak spać poruszona. Zainspirowana.

Zaintrygowana. Miałam mnóstwo pytań i pragnęłam znaleźć na nie odpowiedzi.

Nie mam pojęcia, o której w końcu wróciłam z werandy do swojego pokoju, pamiętam tylko, że ostatnia głos zabrała Felicja, najstarsza z kuzynostwa mojej mamy. Zauważyłam, że w porównaniu z innymi zachowywała się z większą rezerwą. Podczas gdy oni byli towarzyscy i nieskrępowani, Felicja była poważna i powściągliwa. Kiedy mówiła, w oczach miała smutek. Tego wieczoru dowiedziałam się, że miała rok, gdy wybuchła wojna, i siedem lat, gdy się skończyła.

Wydawało się, że wciąż dobrze pamięta tamten czas, ale nie było jej łatwo opowiadać o swoich przeżyciach. Zanim powoli odkryłam jej historię, minęły lata, ale pamiętam, że już wtedy się domyślałam, iż jej wspomnienia muszą być bolesne.

„Nasza rodzina – powiedziała Felicja poważnym tonem, z mocnym francuskim akcentem. – My nie powinniśmy byli przeżyć. Przynajmniej nie tak wielu z nas”. Przerwała, wsłuchując się w wywołany bryzą szum liści dębów rosnących koło domu. Nikt się nie odzywał. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu, że będzie mówić dalej, że będzie chciała coś wyjaśnić.

Felicja westchnęła i podniosła dłoń do miejsca na szyi, gdzie wciąż miała ślad, jak potem się dowiedziałam, po szkorbutcie, na który zapadła podczas wojny i który jej omal nie zabił. „To pod wieloma względami cud – powiedziała w końcu, patrząc w dal, w kierunku drzew. – My mieliśmy szczęście”.

Słowa te tak długo we mnie tkwiły, aż w końcu zawładnęło mną przemożne pragnienie zrozumienia, jak to się stało, że moi krewni pokonali takie przeciwności. Musiałam zacząć szukać odpowiedzi na swoje pytania. *My mieliśmy szczęście* to historia przetrwania mojej rodziny.

DALSZE LOSY

Kiedy podczas pracy nad tą książką chodziłam ulicami Radomia, rodzinne miasto Kurców było już odbudowane, wydało mi się przyjazne i urokliwe. Jednak znając druzgocącą historię Holocaustu, nie dziwię się, że po wojnie moi krewni nigdy nawet nie rozważali powrotu do Polski. Poniżej przedstawiam pokrótce, gdzie Kurcowie ostatecznie postanowili osiąść, gdy już bezpiecznie dotarli do brzegów Ameryk (zwracam uwagę, że posługuję się tu prawdziwym imieniem Belli, Maryla).

W książce zmieniałam je, gdyż wydawało mi się, że brzmi zbyt podobnie do imienia Mila, co mogłoby dezorientować czytelników).

Po wojnie nowymi „ojczyznami” Kurców stały się Brazylia, Stany Zjednoczone, a później jeszcze Francja. Członkowie rodziny utrzymywali ze sobą bliskie kontakty, głównie listowne, a kiedy tylko mogli, odwiedzali się, często z okazji Pesach.

Mila i Selim zostali w Rio de Janeiro, Felicja uczęszczała do tamtejszej akademii medycznej. Po jej ukończeniu poznała pewnego Francuza i kilka lat później przeniosła się do Francji, by tam założyć rodzinę. Po śmierci Selima Mila do niej dołączyła. Dziś w mieszkaniu Mili w XVI Dzielnicy, w sąsiedztwie eleganckiego apartamentu Felicji i jej męża Louisa z widokiem na wieżę Eiffla, mieszka jej wnuczek. Mila utrzymywała bliskie kontakty z zakonnicą, która przyjęła Felicję w czasie wojny. W 1985 roku, dzięki jej nominacji, siostra Zygmunta otrzymała pośmiertnie odznaczenie Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Halina i Adam zapuścili korzenie w Sao Paulo, gdzie w 1948 roku urodziła się siostra Ricarda, Anna. Mieszkali razem z Nechamą i Solem, a ich sąsiadami byli Genek z Hertą i ich dwaj synowie, Józef i Michel. Halina regularnie wysyłała czeki do Wiednia, by odwdziżyć się Herr Denowi za uratowanie jej życia w czasie wojny. Ona i Adam nigdy nie powiedzieli swojemu pierworodnemu synowi, kiedy się naprawdę urodził. Ricardo był już po czterdziestce i mieszkał w Miami, gdy odkrył, że urodził się we Włoszech, a nie w Brazylii, jak zapisano w jego akcie urodzenia.

Jakub i Maryla osiedli w końcu w Skokie w Illinois, gdzie urodził się młodszy brat Wiktora, Gary, a Jakub (dla amerykańskich przyjaciół i krewnych – Jack), cały czas pracował jako fotograf. Utrzymywali bliskie relacje z Adim (który zmienił imię na Eddy) i Caroline, którzy w 1947 przenieśli się do Massachusetts, gdzie urodziła się siostra Kathleen (a moja matka), Isabelle, oraz ich brat, Timothy. Eddy często jeździł w odwiedziny do rodziny w Illinois, w Brazylii i we Francji. I wciąż tworzył muzykę. Nagrał kilka płyt, zarówno z muzyką popularną, jak i klasyczną, i do samej śmierci komponował.

W 2017 roku wnuki Nechamy i Sola, ich małżonkowie i dzieci to grupa ponad stu osób. Jesteśmy rozrzućeni od Brazylii, przez Stany Zjednoczone, Francję, Szwajcarię aż po Izrael. Rodzinne zjazdy mają iście globalny wymiar. Są wśród nas pianiści, skrzypkowie, wiolonczeliści i fleciści; inżynierowie, architekci, prawnicy, lekarze i bankowcy; stolarze, motocykliści, filmowcy i fotografowie; urzędnicy celni, menedżerowie projektów, restauratorzy, didżeje, nauczyciele, przedsiębiorcy i pisarze. Gdy się spotykamy,

panuje hałas i chaos. Niewielu z nas jest do siebie podobnych, podobnie się ubiera czy ma ten sam ojczysty język. Czujemy jednak wszyscy wdzięczność za sam fakt, że jesteśmy razem. Jest między nami miłość. I zawsze jest muzyka.

PODZIĘKOWANIA

Punktem wyjścia dla tej książki była obietnica spisania historii mojej rodziny, którą złożyłam sobie samej, Kurcom, mojemu synowi, jego dzieciom, ich praprawnuczkom i tak dalej. Nie miałam na początku pojęcia, na czym ten projekt będzie polegał ani jak wielu ludzi będzie mi pomagać podczas jego realizacji.

Zasadniczy szkielet książki *My mieliśmy szczęście* powstał przede wszystkim na podstawie opowieści przekazanych mi ustnie przez członków rodziny. Dzięki temu, że tak chętnie dzielili się ze mną wspomnieniami, zgromadziłam wiele godzin nagrań, zapisałam dziesiątki notatników, wypełniając je nazwiskami, datami i osobistymi opowieściami. Szczególnie wdzięczna jestem mojej zmarłej babci Caroline, za staranne pielęgnowanie ziaren historii mojego dziadka, do czasu aż przyszedł odpowiedni moment, żeby się nimi podzielić, a także Felicji, Michelowi, Annie, Ricardo, Victorowi, Kath i Timowi za ciepłe przyjęcie w swoich domach, oprowadzenie po pięknych miastach, w których mieszkają, i za to, że cierpliwie odpowiadali na moje niekończące się pytania. Dziękuję również Eliście, która pomogła mi zrozumieć, jak się czuli uchodźcy podczas tych okropnych miesięcy 1940 roku i której niebieskie oczy błyszczały jeszcze w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, gdy opisywała mojego dziadka w młodości.

Przez wiele lat odbywałam podróże po całym świecie, żeby spotykać się z rodziną i bliskimi przyjaciółmi Kurców, z każdym, kto mógł mieć coś wspólnego z moją opowieścią. Gdy brakowało mi informacji, odnajdowałam ocalałych o podobnych doświadczeniach i wypytywałam badaczy specjalizujących się w tematyce Holocaustu i drugiej wojny światowej. W poszukiwaniu szczegółów na temat tego, co przeżyli moi bliscy, czytałam książki, oglądałam filmy, przekopywałam się przez archiwa, biblioteki, ministerstwa i urzędy, podejmując każdy wątek, bez względu na to, jak nieznacznie wydawał się powiązany z tematem. Choć osób, z którymi współpracowałam, jest zbyt wiele, bym mogła je wszystkie wymienić, to jednak kilku z nich chciałabym szczególnie wyrazić swoją wdzięczność.

Dziękuję Jakubowi Mitkowi z radomskiego Ośrodka Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska”, który był łaskaw przez cały dzień oprowadzać mnie po ulicach rodzinnego miasta mojego dziadka. Jego encyklopedyczna wiedza o mieście i jego historii przydała mojej opowieści kolorytu i głębi. Dziękuję Susan Weinberg za pracę z radomskim KehilaLinks i Dorze Zaidenweber za to, że podzieliła się ze mną wspomnieniami o swoim dorastaniu w przedwojennym Radomiu; Fabio Koifmanowi za książkę o ambasadorze Souzie Dantasie i bezcenną pomoc w odnalezieniu zapisów w Brazylijskich Archiwach Narodowych; Irenie Czernichowskiej z Hoover Institution, która pomogła mi odkryć dziewięciostronicową relację mojego stryjecznego dziadka Genka z pobytu na wygnaniu i w wojsku; Barbarze Kroll z ministerstwa obrony Wielkiej Brytanii, która przesłała mi całe stopy rejestrów wojskowych i pomogła odzyskać nieodebrane medale dla krewnych walczących po stronie aliantów; Janowi Radke z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który osobiście wręczył mi dziesiątki istotnych dla mnie dokumentów; bibliotekarzom i archiwistom z U.S. Holocaust Memorial Museum, którzy odpowiedzieli na

wiele moich pytań; USC Shoah Foundation za nagranie rozmów z tysiącami ocalałych z Holocaustu (te nagrania wideo są dla mnie bezcenne); członkom grupy dyskusyjnej Kresy – Siberia z portalu internetowego Yahoo za to, że opowiedzieli mi o własnych przeżyciach i nakierowali na właściwą drogę co do roli Stalina w drugiej wojnie światowej; Domowi Polskiemu w Seattle za pomoc w dotarciu do kilku osób, które przeżyły pobyt w gułagu, i nawiązaniu kontaktu z tłumaczką Aleksandrą, z którą blisko współpracowałam w toku moich badań (została moją przyjaciółką); Hankowi Greenspanowi, Carlowi Shulkinowi i Boaz Tal za to, że poświęcili mi tak wiele czasu i służyli swoją ogromną wiedzą ekspercką w zakresie konsultacji historycznych; oraz niezliczonym osobom, które pomogły skatalogować i zapisać cyfrowo ogromne bazy danych takich organizacji, jak JewishGen, Jad Waszem, American Jewish Joint Distribution Committee, International Tracing Service, U.S. Holocaust Memorial Museum, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Holocaust and War Victims Tracing Center. Ilość materiałów, które dziś można wyszukać dzięki tym źródłom, powoduje wręcz zawrót głowy.

Na długo zanim moja praca zaczęła przypominać książkę, jako jedni z pierwszych wsparli mnie członkowie mojej grupy na zajęciach z kreatywnego pisania w Seattle – Kristina, Alida, Chad, John i Janet. Wypowiadali swoje wnikliwe uwagi i, co pewnie najważniejsze, przekazywali słowa zachęty potrzebne, bym mogła całymi miesiącami pisać. Rozmowy z Janną Cawrse Esary zainspirowały mnie do tego, by sporządzić własną listę Big Hairy Audacious Goals (wielkie, ryzykowne i śmiałe cele), z których jednym było napisanie tej książki. Organizacja pozarządowa Seattle 826 na tyle uwierzyła w moją pracę, że w 2014 roku opublikowała jej fragment w antologii *What to Read in the Rain*. Ta propozycja współpracy była zaszczytem, a zarazem motywacją, której wtedy potrzebowałam.

Mój drogi przyjaciel, pisarz John Sherman, był jedną z pierwszych osób, które przeczytały całą książkę. Jego niezachwiane uznanie i udzielane przez lata rady pomogły mi nabrać pewności siebie i wprowadzić moją pracę na inny, wyższy poziom.

Zdolności redakcyjne Jane Fransson zdziałały z moją książką cuda. Jej szczerą fascynacją historią mojej rodziny i wiara we mnie jako pisarkę dodały mi siłę i pomogły przejść do kolejnej fazy projektu.

Dziękuję Sarze Dawkins za przyjaźń i rozsądne rady dotyczące procesu wydawniczego oraz moim bliższym i dalszym przyjaciółkom, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat z entuzjazmem wyczekiwały wydania tej książki (mam nadzieję, że było warto!) i swoją miłością i wsparciem podnosiły mnie na duchu, w chwilach gdy bardzo było mi to potrzebne.

Gdyby książki miały bratnie dusze, w przypadku *My mieliśmy szczęście* byłaby to moja agentka, Brettne Bloom z The Book Group. Od razu poczuła się głęboko związana z moją opowieścią. Jej błyskotliwy umysł i wnikliwe oko pilnowały logiki procesu myślowego i płynności tekstu podczas wprowadzania w nim ogromu poprawek. Jestem jej dogłębnie wdzięczna za przyjaźń, niezwykły talent i pokłady energii, jakie ona sama i TLC włożyli w ten projekt, by mógł zakończyć się powodzeniem.

Gdy maszynopis trafił w ręce mojej troskliwej redaktorki w wydawnictwie Viking, Sary Stein, wiedziałam, że książka jest w dobrych rękach. Sarah przyjęła moją opowieść i wizję ze szczerym entuzjazmem, a zarazem bardzo cierpliwie przekazywała mi swoje kolejne, często bardzo istotne, komentarze do tekstu. Nasza współpraca przeniosła moją opowieść, podobnie jak moje zdolności pisarskie, na poziom, którego sama nigdy bym nie osiągnęła.

Ogromnie dziękuję całemu zespołowi Vikinga i wszystkim niezastąpionym twórczym umysłom, bez

których książka by nie powstała i którzy przekształcili ją w ten pieczołowicie zredagowany i dokładnie ułożony tekst, którym jest teraz: Andrei Schulz, Brianowi Tartowi, Kate Stark, Lindsay Prevette, Mary Stone, Shannon Twomey, Olivii Taussig, Lydii Hist, Shannon Kelly, Ryanowi Boyle'owi, Nayon Cho i Jasonowi Ramirezowi. Wyrazy wdzięczności kieruję również do Alyssi Zelman i Ryana Mitchella za ich wkład w graficzne opracowanie książki.

W te dni, gdy przez ostatnie dziesięć lat zadawałam sobie pytanie, czy całe to poszukiwanie i pisanie były warte zachodu, mój mąż sprawiał, że zbliżałam się do końca pracy. Szczere wyrazy wdzięczności kieruję więc do Roberta Farinholta – za jego niezachwianą wiarę we mnie i w mój projekt (nikt tak jak on nie walczył o *My mieliśmy szczęście*), za jego niekończący się optymizm (to Robert pilnował, żebyśmy świętowali każdy ważny moment w toku powstawania książki) i upór, by ostatnie wakacje spędzić nie na wygrzewaniu się na plaży, lecz na podążaniu śladem rodziny Kurców w Polsce, Austrii i Włoszech. Nie ma na tej planecie nikogo innego, z kim wolałabym przemierzyć te ponad tysiąc siedemset kilometrów.

Muszę podziękować też naszemu synowi Wyattowi, który rósł razem z tym projektem (w chwili publikacji będzie miał pięć lat) i którego cechuje silna i jakże znajoma determinacja. Lubię sobie wyobrażać, że jego pradziadek byłby z tej cechy dumny, i mam nadzieję, że posłuży mu ona, podobnie jak mnie, by radzić sobie w zarówno dobrych, jak i gorszych momentach życia. Wyatt sprowadził mnie na ziemię, nauczył pokory, otworzył przede mną nowe perspektywy i przyniósł więcej radości, niż się kiedykolwiek spodziewałam.

Nie mogę oczywiście podziękować mojemu synowi, nie dziękując zarazem „jego Liz”, jak ją zwie – naszej ukochanej niani, która w milczeniu opiekowała się naszą rodziną, gdy ja byłam pogrążona w pracy.

Chciałabym też wyrazić szczególną wdzięczność moim rodzicom. Przede wszystkim dziękuję mojemu ojcu, Thomasowi Hunterowi, który swoją debiutancką powieść (po długiej i udanej karierze aktora i scenarzysty) napisał, gdy miałam trzy lata – nigdy nie zapomnę dźwięków jego olivetti, stukającej na górze w naszym małym domku głęboko w lasach Massachusetts, ani dreszczu emocji, gdy po raz pierwszy wzięłam do ręki świeżo wydrukowany egzemplarz jego książki *Softly Walks the Beast*. Od kiedy nagryzmoliłam swoje pierwsze dzieło (miałam cztery lata, a swoją „powieść”

zatyłowałam *Charlie Walks the Beast*), mój ojciec naprawdę uwierzył, że będę pisać. Stanowi on dla mnie stałe, napełniające mnie energią źródło inspiracji.

Na samym końcu dziękuję osobie, która wiele, wiele lat temu zaszczepiła we mnie pomysł na tę książkę i która od tamtej chwili towarzyszyła mi na każdym kroku: mojej mamie, Isabelle Hunter. Nie sposób wystarczająco podziękować jej za to wszystko, co zrobiła, by pomóc w powstaniu *My mieliśmy szczęście*. Ponieważ dorastała wśród licznych postaci z tej książki, mama podzieliła się ze mną znanymi jej bezcennymi osobistymi opowieściami, które rzucają wiele światła na wyjątkowy charakter rodziny Kurców. Czytała raz po raz mój maszynopis i czyniła szczegółowe uwagi redakcyjne.

Sprawdzała fakty i tropiła za mnie liczne szczegóły. Często rzucała wszystko, by przeczytać jakiś rozdział, i nieraz wysyłała mi uwagi o nieludzkiej porze, bym zdążyła na czas. Od początku do końca była stale i niezmiernie obecna w mojej pracy. Jestem jej niepomniernie wdzięczna nie tylko za poświęcony czas i wnikliwy punkt widzenia, lecz również za ogrom miłości, którą przelała na mnie i na karty tej książki.